



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

### **Usage guidelines**

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

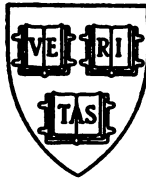
- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

### **About Google Book Search**

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



## Harvard College Library



FROM THE  
**BRIGHT LEGACY**

One half the income from this Legacy, which was received in 1880 under the will of

**JONATHAN BROWN BRIGHT**  
of Waltham, Massachusetts, is to be expended for books for the College Library. The other half of the income is devoted to scholarships in Harvard University for the benefit of descendants of

**HENRY BRIGHT, JR.**,  
who died at Watertown, Massachusetts, in 1686. In the absence of such descendants, other persons are eligible to the scholarships. The will requires that this announcement shall be made in every book added to the Library under its provisions.









111  
CZESŁAW JANKOWSKI

---

---

37

---

---

NA MARGINESIE LITERATURY.

Digitized by Google





32. 50

411. 1361

# NA MARGINESIE LITERATURY







OZESŁAW JANKOWSKI

RZEŻBA C. MAKOWSKIEGO. 1905

CZESŁAW JANKOWSKI



NA MARGINESIE  
LITERATURY

SZKICE I WRAŻENIA



KRAKÓW  
G. GEBETHNER I SPÓŁKA  
1906

Slaw 7114.8.383  
✓



Bright

5533  
90



KOLEGOM MOIM Z PRASY  
POŚWIĘCAM.

**K**siążka niniejsza, którą, być może, da komu  
przypadek do ręki, — jest bezpretensyj-  
ną, wiązanką luźnych rozdziałów.

Każdy rozdział stanowił niegdyś samodzielny  
dziennikarski artykuł. Utonęło ich sporo w stosach  
bibuły wyrzucanej co dzień, co tydzień, co miesiąc  
z pod tłoczni drukarskich, obsługujących niestrud-  
zenie prasę naszą. Śladu po nich nie zostało. To  
tylko rzeczą jest pewną, że to, co każdy z nas,  
dziennikarzy, napisał w ciągu długiego nieraz za-  
wodu, wypełniłoby cały szereg tomów, — nawet  
*in quarto*. Niczem Lopez de Vega i Kraszewski...  
Wprawdzie oni tworzyli prozą lub wierszem: dzieła  
sztuki, a my... Sądzilby kto, doprawdy, że dobry,  
nawet znośny artykuł dziennikarski z kunsztem  
pisarskim nic niema wspólnego!

»Na kolanie« wszak piszemy!

Mój Boże! Tyle kolan jest na tym *padole*,  
a tak względnie mało ludzi, którzy *właśnie* »na



kolanie« pisać potrafią! Jest natomiast wielu, których najfundamentalniejszy stół nie wybawi z kłopotu wobec czystej ćwiartki papieru, uncyi atramentu i pióra. A, prawda! Czasem, — wstyd przyznać się, — dziennikarz sięga ukradkiem do głowy, do serca, do bibliotecznej szafy.... Brzydko, że zdradzam ów sekret zawodowy. Pozostawny w dalszym ciągu *pleno titulo* publiczności jej złudzenie że dziennikarz ot, chwyta wszystko — z powietrza, pisze — w lot i dostarcza rękopis z automatyczną punktualnością.

\*

Są, którzy wypierają się nazwy dziennikarza; bardziej do gustu przypada im nazwa: »publicysty«; boć to przecie niejako wyższa ranga w prasie; są inni, którzy prasę wogóle, bez względu na to, co przynosi, uważają za dziecko nieprawe piśmienictwa, często za *enfant terrible* bruźdzące przede wszystkim spokojnemu, wytrawnemu, gruntownemu a pełnemu godności i odpowiedniego nastroju: obcowaniu czytelnika z autorem książkowym. Są wreszcie ludzie chętni do utożsamiania dziennikarza z... (uczciwszy uszy) śpiewakiem operowym. Wielkie honory podczas występów, sute wynagrodzenie, popularność, a potem, gdy ze szpalt czasopism zniknie jego podpis — wiekuiste zapomnienie.

*As You like it?* — może słuszność mają ci ostatni?

Autorowie natomiast »książkowi«, to jest wy-

dający dzieła swoje od razu w kształcie typograficznym książki, których to potem książek tytuły notuje skrupulatnie każda szanująca się »Bibliografia«.... autorowie tacy... rzecz oczywista, autorowie tacy nie »popelnili« nigdy t. zw. »wiadomości bieżącej«. Niemalby to tytuł do respektu potomności oraz — dziejopisów literatury.

Czy jednak dobrze napisane — dla czasopisma — nawet sprawozdanie o pierwszym lepszym wypadku dnia, ot, o zawaleniu się szybu w kopalni, o wyruszeniu kompanii do Częstochowy, o pożarze gmachu teatralnego etc. — czy mocno kolorowy feljeton, czy opis nawet balu, czy rzut oka opisowo-krytyczny na wystawę obrazów, czy »impressya« żywa a sugestyjna, ot, z koncertu lub uroczystości jakiej, czy dramatyczno-jaskrawe sprawozdanie sądowe, czy »artykuł wstępny« poruszający, z werwą gorącego odczucia sprawy, temat jaki społeczny, polityczny, obyczajowy — czy to wszystko nie najczystszej wody literatura! Nie w Homerze tylko artyzm poetycki... nie wyłącznie w kilku-tomowej powieści lub w historycznym »dziele« artyzm pisarski... A o przynależności do literatury stanowi — umiejętność pisania. Tandeta pisarska, choćby *in octavo majori* i zarejestrowana we wszystkich bez wyjątku podręcznikach »dziejów literatury«, pozostanie — za nawiasem literatury. Nie położyć jej z czystym sumieniem nawet na literatury — marginesie.

O! gdyby te stopy bibuły prasowej, przepojone bardziej niż farbą drukarską, mózgiem i krwią

serdeczną i tchnieniem talentu, przemówić mogły! Gdyby czyje pióro benedyktyńsko-syntetyczne odtworzyło kiedy ten chorał potężny, grzmiący od lat po krajach kulturalnych! Gdyby czyje ucho, lowiące po lebkach »wiadomości« i »sensacye«, raczyło wsłuchać się w tę potężną orkiestrę, wśród której buńczuczne i puste wewnątrz tamtamy grają wespół z najwyszukańszych i najdrogocenniejszych instrumentów blachą szczerosrebrną oraz strun niedościgłą subtelnością! O! gdyby *la feuille volante* dziennika nie była istotnie tą kartą ulotną, co się ją wzrokiem roztargnionym przebiega, mnie i rzuca obojętnie przez ramię by chwycić — już nadlatującą kartę nową!... Gdyby cudem jakim, przez przetak sprawiedliwości i pietyzmu przesiał ten olbrzymi już dziś zbiornik, ba! skarbiec zwany »prasą«, — jaka urosła by góra ziaren złotych, jaką bryłę złotej wszechświatowej literatury utworzyły by te rozproszone, na wieki wieczne pozamulane, w prochach plew pogrzebane ziarna!

\*

Nie *pro domo sua* przecie mówię! Dom mój nie żadna kamienica »dochodowa« lub »na spekulacyę« wniesiona budowla, potrzebująca zachwalń i szyldów krzyczących z daleka. Dom mój: to szalas koczowniczy polskiego dziennikarza, z Syrokomlowską strzechą, po przez którą widać »niebo gwiazdziste«. W kleconce tej, z piórem w rękę, przebyłem ci lata całe, pogwizdując pod wiatr

dmuchający tak często w oczy, uczciwie dając całego siebie tej Danaid i Syzyfowej robocie, wierząc że jednak *non omnis moriar*, skorom bodaj w jednym, drugim momencie zdołał kiedy dać wyraz ludzkim duszom lub wybiedz słowem trafnym na spotkanie czyich myśli i aspiracyj. Wystarcza mi być okruchem w wielkiem dziele duchowem, dokonanem i dokonywanem przez prasę polską i literaturę. Tam gdzieś, na zbieżnych miedzach granicznych prasy i literatury, trwać będzie, wierzę, — jak każdego z nas — blysk mego istnienia, com go narodowi memu dał, ubogiemu narodowi memu ja, najuboższy...

\*

Lata mi te całe spędzone w dziennikarskim szalasio stanęły tak żywo przed oczami, gdym oto zgarniał dziś, potroszę na chybi trafi, tych kilkanaście przerozmaitego pokroju, treści i nastroju, ongi »artykułów« skazanych na powolne rozkruszenie się poźółklemi strzępkami bibuły. Życie mi wszak bez mała — zbiegło z piórem w rękę. Za pióro sięgało się mimowoli po przeczytaniu książki, o której by się — mówić chciało; brało się za pióro przed staroświeckim portretem, nad zakurzonym zwojem starych fascykułów; z piórem w rękę wiodło się rozmowy z ludźmi, których by malarz rzucił się portretować; szło pióro samo do ręki w atmosferze podniecenia tą lub ową sprawą społeczną, artystyczną, polityczną; piórem chwytano się na gorąco kontury wiejskich wycieczek i obrazków miejskich; na zgromadzeniu wiecowem, w po-

dróży, w kularach parlamentu, w sali teatralnej brało się w siebie nietylko miód i pyłki wrażeń ale i wzór najprzedziwniejszy, bo żywy, dla natchmiasowej »roboty piórem«, co potem zwała się, przywarta do wielkiej płachty pisma: bądź artykułem wstępnym, bądź sprawozdaniem, bądź wrażeniem z podróży, bądź feljtonem..... Ile się tego napisało, ile! Pamięcią, juści, nie ogarnąć... Nie poznać dziś nie jednej własnej pisaniny, choćby imieniem i nazwiskiem najprzykładniej podznaczanej... Ja-ż to pisałem? kiedy? z jakiego powodu? Ha! być może...

\*

Rzucam dziś oto pod okładkę książki kartek tych kilka — z dorobku? nie, — z życia dziennikarza. Zdaje mi się, że niewtajemniczonym dostatecznie w nasz »zawód«, dać one mogą niejaki wyobrażenie o kalejdoskopowych cechach tej działalności pisarskiej wiecznie czujnej, wiecznie żywej, rzutkiej, nerwowej, przebiegającej nieobliczalną skalę wrażeń i tematów, znajdującej wytchnienie li tylko w »odmianie« treści i formy. Pozwalam sobie tę garść szkiców, sylwetek, wrażeń chwili, wrażeń krytycznych, dotknięć tematów »na dobie«, chwytai w lot przemijających objawów i nastrojów — rzucić gdzieś na margines literatury. Nie ruszyłem tylko t. zw. publicystycznej strony działalności dziennikarskiej, która z natury rzeczy, jako ściśle »aktualna«, tonie bez śladu a bezapelacyjnie we fluktach prasy. Z publicystyki polityczno-społecznej urastają nie książki lecz — wy-

padki; ona dotwarza w znacznej mierze nie dzieje literatury lecz dzieje polityczne i społeczne narodów i państw; sama ona atoli, bezimienna pracownica, idzie na dno, kładzie się podglebiem pod dzieła, których sama w znacznej mierze jest twórczynią.

Wiem, że indygenatu literackiego »książki« tego, co niniejsza pokroju, nie dają. Wiem, że łatwiej, stokroć łatwiej wydać »książkę« — niż obywatelstwo mieć w literaturze.

Herbowa, dostojnej krwi, szlachta literatury polskiej!... Dalibóg, warta tytułów papieskich lub zdegenerowanych spadkobierców »pańskich ostatków«. Polski indygenat literacki nie wisi na kołku w żadnej magnackiej antykamerze. Nie leży też na półce żadnej księgarni. Nie wyżebrać go, nie kupić, nie wyludzić »czapką, papką lub solą«. U podwoi literatury każdy z nas przykładowie, cierpliwie a długo stać musi, zanim *curriculum* jego pisarskie skrupulatnie przetrząśnięte zostanie, zanim czystość jego krwi literackiej stwierdzoną będzie, zanim usłyszy nieodwołalne: *dignus est intrare*... Potem już nigdy żadne »pozbawienie praw szczególnych i przywilejów« nastąpić nie może; żadna już potem destytucya nie grozi takiemu wysokiemu arystokracji ducha i talentu; sam tylko niech baczy aby dostojęstwa swego nie zaszargał...

\*

Z szerokich gościńców prasy przychodzę, z szerokich jej gościńców, gdzie karmazynów napotkał

i pospólstwa wiele, ile że miejsca i trudu starczyło dla ciżby wcale ogromnej... Strząsnąwszy jeno kuzę z podróznego żupanika, nie pcham się nieobyczajnie do senatorskiej izby. Nie do krzeseł mi jwielmożnych possessionatów.

Na ławie mi tylko gdzie przysiąść pozwólcie, mnie szaraczkowi...

**Cz. J.**

Polany, w maju 1905.

# KONSTANCYA Z RYKÓW BENISŁAWSKA

## SYLWETKA POETKI Z XVIII-go WIEKU.

Kiedy ks. Konstanty Benisławski, kanonik inflancki, wydając w roku 1776 zbiór utworów bratowej swojej, wierszowaną do onych przedmowę pisał, ktoś, widocznie z blizkich znajomych i wielbicieli poetki, równie skromnie, jak ks. kanonik, podznacząc się pierwszymi tylko literami: B. B. Ł. C., taki dodał do przedwstępnego słowa dopisek:

Nie chcę Cię, Stolnikowo, ani sadzić blisko,  
Ni równać z Skarbnikową, dawną wierszopiską;  
Tamtą często w swym rymie, jak rodek niewieści,  
Z światem miewa zabawkę, z Kupidem się pieści,

Tamtey sam wiersz duchowny często ziemią trąci,  
Często nieczysta czysty źródł Wenera maści.  
Twój wiersz z Bogiem, Maryą, Niebem i Świętymi;  
O wyższaś nad Drużbackę jak Niebo do ziemi!

Już sam ton, polemiczny niejako, tego ośmiowiersza charakteryzuje w drobnej mierze epokę, w której wydane zostały «z cienia wiejskiego na jaśnie» prace autorskie stolnikowej inflanckiej. W sto lat po tem, z epoki tej od-mętu dobędzie historyk obfite w najciekawsze wypadki



i odcienia dzieje przewrotu umysłowego, który się właśnie wtedy na całym niemal obszarze Rzeczypospolitej dokonywał<sup>1)</sup>. Cienie i światła kładły się gęsto tuż przy sobie; od nielicznych ówczesnych ognisk umysłowych szły nieśmiało promienie, hen, na daleką prowincję, ówdzie skwapliwie, a gorąco witane, ówdzie odbijające się bezsilnie o mur chiński, za którym walczyły do upadłego przesady i swawole, ciemnota i kastowość, martwota scholastyczna i bezmyślne rozpasanie. Kraj zdawał się budzić, otrząsać z tylewiekowego uspienia, przewiewały jakieś zachodnie poddmuchy mimo pańskich dworów, muskając nawet w przelocie wioskowe strzechy. Sekularyzacya szkół, zabiegi komisji edukacyjnej, przebłyśki oryginalnych prac z zakresu nauk ścisłych, rozchodzące się po kraju przekłady pism encyklopedystów francuskich, rozszerzające sieć swą łożę masońskie, do których przystępują oto nawet damy sfer arystokratycznych, polemiki gazet, upadek Jezuitów, wszystko to obija się echem o głuche wiejskie zakątki. Głęboka tam jeszcze ciemnota i martwota. «Po prowincjach, niby to najpolerowańszych — pisze jeden z ówczesnych publicystów, cytowany w dziele Wł. Smoleńskiego, — trzeba objechać dziesięć, dwadzieścia domów szlacheckich, zanim się znajdzie jaka książka do czytania. Jeżeli zaś inny zbierze bibliotekę, to żeby się z nią popisał, nie żeby ją czytał. Z tych zaś, którzy czytają i wiele czytają, jak mało jest takich, coby czytali jak społeczności przyjaźni filozofowie, jak obywatele, jak patryoci, jak przyszli prawodawcy!... Wstręt do bawienia się naukami jeszcze tak jest u nas wielki między dobrze urodzonymi; jakież być niema dopiero między gminem po wsiach i miastach naszych?» Prowincya taka wciągnięta w ruch przewrotowy, zabiera wobec niego dwojakie stanowisko. Pojedyncze jednostki, które wyrzwały dalej, niż za granicę swego po-

---

<sup>1)</sup> Wł. Smoleński: «Przewrót umysłowy w Polsce XVIII-go wieku». 1891.

wiatu, zwłaszcza otrzaskane z potępianymi przez Krasickiego, ale dobroczynnymi jednak na zachód «wyjazdami», chętnie idą za prądem; domatorzy zaś przeciwnie i ludzie starego autoramentu sztorcem się stanowią, usiłując utrzymać *status quo* poreformackiej jeszcze reakcyi konserwatywnej. Podobnie, jak kwaśno przyjęto zniesienie jezuickiego zakonu, tak też ci i owi podejrzliwie patrzą na wichrzące ich spokój dotychczasowy «nowinki» zagraniczne.

Zwłaszcza zaś popłoch istotny budzą pisma z zapaszką wolnomyślnym, rozchodzące się coraz gęściej po kraju. Do silnie zatrwożonych należy też pani stolnikowa, z inflacyjnych majątności swoich pilnie śledząca, co i jak poczynają sobie swojscy pisarze, drukarze i — czytelnicy. «Byli pisarze — powiada w dopisku do jednej ze swych pieśni, — którzy nic nie napisali, jedno ku czci Maryi. Byli drukarze i drukarnie, w których nic nie drukowano, jedno na cześć Maryi; o szczęśliwi pisarze! o szczęśliwe drukarnie! o po stokroć drukarze szczęśliwi, których za to wszystkich na wysokości pewnie złotemi literami dawno wydrukowano! O gdzież ci drukarze, kędyż takie drukarnie? Prędsiej teraz, o wstydzie! romansik miłośny z pod prasy wyciska się i na skrzydłach Kupidyna na świat wylata zaraza rozumu i trucizna cnoty. Prędsiej nocy arabskie, które ku strawieniu napróżno drogiego czasu służą, nocy xiążąt ciemności wychodzą, w których niezawodnie gwiazda Maryi nie przyświeca. Prędsiej pochlebne ku niczemu nie godzące się wierszyki: jedno ku ugruntowaniu się w niecnocie; bo też ten towar, o żalu! drukarniom i splatniejszy. Powtóre snadź też drukarze nie mają co cnotliwego i świętobliwego drukować, bo też mało, powstydzmy się! i pisarzy ku służbie Boga i Maryi i cnoty prowadzących, ile takich, z którychby pióra i rozum i świętobliwość razem spływały; ile takich, którzy będąc z rozumu wziętymi mogliby towar swój przez samą uprzedzoną swą sławę czytelnikowi ciekawemu zalecić, zarazem, niby to na złotej wędce, zdradą świętobliwe Bogu dusze poławiać. Woleli gdzie-

indziej pióra swe obrócić. Mniejsza o to, że talent rozumu nie tylko grzebią, ale przez złe użycie utracają, z czego w czasie obliczać się wiedzą komu będzie potrzeba; wreszcie nie wiem kogo tu naprzód obwiniać: czy drukarza, czy pisarza, czyli czytelnika? Niech się radniej sami z sobą rozmówią i osądzą. Z tym wszystkim najprędzej, zda mi się, winę z siebie zwali drukarz (któremuby inaczej z głodu przyszło umierać) na pisarza i czytelnika. Tego mniej potrzebnie bałamuctwy zaprzątnionego, tamtego te bałamuctwa chciwiej skupiającego. Ja zaś nie mam za co pochwalić wszystkich».

Już ten ustęp jedyny charakteryzuje wymownie stanowisko autorki «Pieśni sobie śpiewanych», wśród ruchu umysłowego jej współczesnych. Z pewnością nie idzie pani stolnikowa inflancka w prostej linii od owych pierwszych, znanych autorek naszych, od takiej Zofii Oleśnickiej z Pieskowej Skały lub Reginy Filipowskiej z reformacyjnego okresu, co to, «opiekunkami były i propagatorkami nowinek witemberskich, genewskich i innych; nie bierze ona jako pisarka żywszego udziału w zajęciu się sprawami ogółu, jak np. Druźbacka; nie widzimy, aby na równi z kilku innymi najwykształceńszymi niewiastami z ostatniej ćwierci XVIII-go wieku, pionierką była naukowych dróg, otwierających się przed kobietą; daleką jest od wszelkiej wspólności z modnemi za jej czasów łożami masonskimi, dla niewiast fundowanemi, — zaprzeczyć atoli się nie da, że była to pani po nad zwykłą miarę wykształcona, rozporządzająca rozległemi wiadomościami i niezwykle czytana. Z Druźbacką łączy ją jedno jedyne chyba pokrewieństwo — wieku, w którym obie żyły. Druźbacka powstająca przeciw ateizmowi, a karcąca przesady i ciemnotę, wychwalająca cnoty masonów, Druźbacka «artystka» w każdym wierszu, dająca nadto wszystkim niemal swym utworom podkład społeczny, często satyryczny, powiedzielibyśmy «publicystyczny», jest poniekąd antytezą Benisławskiej. Ta ostatnia, czynna, energiczna w życiu

prywatnem, promieniuje umysłową wyższością na swoje otoczenie, w stosunki wchodzi z wielu wybitnemi w kraju osobistościami, podkanclerzego Jana Borchę widuje często w swym domu jako zaufanego gościa, a zaś w pieśniach swych, zda się, jakby z wiru i gwaru świata w inne jakieś lepsze uciekała światy; w nich to dusza jej otwiera się przed Bogiem i, duchem idealnej, wysokiej a szczerzej pobożności owionięta, sam na sam z Nim rozmawia.

Drużbacka przeciwnie; o ile wnosić możemy ze skąpych relacji biograficznych, w zaciszu swem wiejskiem nigdy wybitniejszej nie odegrała roli, następnie w klasztorze się zamknęła; natomiast wszystko, co krajowi swemu do powiedzenia miała, wszystko, co z dochodzących ku niej wieści ze świata szerszego silniejszym wrażeniem obilo się o jej duszę, kładła w poetyckie swe utwory. Być może, że stolnikowa Benisławska, obdarzona niepospolitą wymową poetycką, egzaltacją i polotem szerokim myśli, gdyby zechciała być szermierką w obozie «antipostępowym», mogłaby stać się osobistością wybitną nie tylko w zakresie uzdolnienia poetyckiego i spekulatywnej niemal pobożności, lecz zajęłaby pismami swemi pewne stanowisko w rozwoju umysłowym swego pokolenia. Tak atoli jak jest — całą jej działalność w kole rodzinnem, pod strzechą wiejskiego dworu, przyćmiła dla nas mgła oddalenia, przez którą już żadna ustna tradycya wyraźnie się nie przedziera, a zaś te pozostałe oto u jej mogiły, tak dobrze nazwane «Pieśni sobie śpiewane,» które «ku niebu ją wznosiły,» mają wartość niezaprzeczoną i dużą, ale wartość jedynie — literacką.

Wartość jeszcze jedną mają one w chwili obecnej: — wartość bibliograficznej rzadkości. Książeczki niedużej, zatytułowanej dosłownie: «Pieśni sobie śpiewane od Konstancyi z Ryków Benisławskiej, stolnikowey xięstwa Inflantkiego — za naleganiem przyjaciół z cienia wiejskiego na jaśnią wydane. W Wilnie, w drukarni J. K. Mci Akademickiej. Roku 1776» — znalazłoby się kilka zaledwie egzemplarzy tu i ówdzie po większych księgozbiorach, np.

w bibliotece Krasieńskich w Warszawie, w Jagiellońskiej w Krakowie, oraz w posiadaniu dwóch, trzech osób prywatnych. O autorce «Pieśni» nawet wzmianki w pracach historyków piśmiennictwa naszego nie szukać. Pierwszy wymienił nazwisko Konstancyi z Ryków Benisławskiej, w przypisku do artykułu o aktorkach polskich XVIII-go wieku, zamieszczonego w «Bluszczu» za r. 1886-ty, p. Bronisław Grabowski; wyjątki z jej «Pieśni» podał p. W. Dawid w nrze 2-gim «Niwy» za rok 1891-szy. Notatki biograficznej lub jakiegobądź krytycznego oświetlenia «Pieśni» nie spotkalismy; niemasz pono jej — nigdzie.

W zeszłym wieku o dwóch rodach Ryków słyszemy na Inflantach. Jeden ród Ryków «drycańskich» (majątność Drycany w gub. Witebskiej, w powiecie Rzerzyckim), pieczętujący się na niebieskiej tarczy srebrną, trzykroć czerwonym przedzieloną belką, wygaśł na ostatniej przedstawicielce, matce znanego historyografa Inflant Gustawa br. Manteuffla <sup>1)</sup>. Drugi ród Ryków z linii «rogajsko-małcieńskiej» (od majątności Rogajsz i Małka) zjawia się na Inflantach dopiero w XVIII-ym wieku i dziś jeszcze ma przedstawicieli w osobach dwóch rodzonych wnuków szambelana Antoniego Ryka, pp. Urbana i Bolesława Ryków, stale dziś w gubernii Witebskiej zamieszkałych.

Tego właśnie szambelana siostrą rodzoną była autorka «Pieśni sobie śpiewanych».

Ze ścisłych dat biograficznych o niej, wiemy tylko tyle, że urodziła się dnia 6 stycznia 1747 roku, zmarła zaś 8 listopada 1806 r. Mąż jej, Piotr Benisławski, z linii «birżańskiej», rodu z dawien na Inflantach osiadłego, właściciel tamże cale obszernych posiadłości, człowiek powszechnem poważaniem otaczany, stolnik inflancki, podkomorzy dworu polskiego, konsyliarz monarszy, podkomorzy lucyński, bratem był znanego z politycznej działalności koa-

---

<sup>1)</sup> Gustaw br. Manteuffel w liście pisanym do nas z Rygi 23-go kiewtnia r. 1887-go.

dytóra arcybiskupa mohylewskiego Jana Benisławskiego. Z najbliższej rodziny stolnika wymienimy jeszcze dwóch rodzonych braci: Dominika, oraz Konstantego, kanonika inflanckiego i siostrę Benedyktę. Wchodziła przeto Konstancya Rykówna w dom, jeżeli nie wielkopańskim splendorem jaśniejący, wcale jednak nie deskami od świata zabity, dom na starej szlacheckiej tradycyi silniej, niż ród panny młodej wsparty, dzięki najbliższego rodzeństwa kolidacyom zostający w stosunkach z widownią politycznego życia, otworem stojący dla najbliższych i najdalszych sąsiadów, mogący dać obszerną i wielostronną sferę działania dla chcącej utrzymać się na wysokości swego stanowiska pani domu.

Jakoż — jak tradycya rodowa nam przekazuje, — w owym dworze wiejskim Piotra Benisławskiego, postawionym na nieprzećiętą wcale światową stopę, stała się rychło pani Konstancya nie *de nomine*, ale i *de facto* istotną panią domu. Piękna, o surowej nieco i chłodnej powierzchowności, wykształcona bardzo, stanowcza, rządna, despotyczna niemal, czemu np. niech służy za świadectwo wydanie za męża córki wbrew tejże woli; w zastępstwie mało w sprawy domowe wglądającego małżonka, umiejętnie administrująca sama dużą fortuną, podtrzymująca rozległe towarzyskie stosunki, synów swych w rygorze trzymająca — oto jaką przedstawia się nam dziś z oddali wiekowej pani stolnikowa. «Że jejmość pani Konstancya była czarującą — pisze nam we wspomnianym liście br. Manteuffel — o tem słyszałem niejednokrotnie nie tylko z ust wuja mego, Leopolda Benisławskiego (wnuka Konstancyi), ale i z ust waszego czciwego dziadka, p. Ant. Benisławskiego, którego dobrze pamiętam. Nieraz mawiali starzy w mojej młodości, że u nóg ślicznej pani stolnikowej wszystko leżało, nie wyłączając starego podkanclerzego Jana Borcha»... Z jednozgodnym zachwytem wyrażali się też nieraz przed nami o przedziwnej urodzie i męskiej energii pani stolnikowej: wnuk jej Arkadyusz Benisławski, oraz mąż jej wnuczki

Teofil Benisławski, którzy obaj bezpośrednio niemal relacyę o niej mieć mogli. Za jej to wreszcie wdaniem się i instancją, wcale nie skłonny do zaokrąglania kłopotliwej fortuny stolnik inflancki, nabył od Borchy część kłucza «lanckorońskiego», mianowicie majątności: Posiń, Sybelin, Annapol, Koniecpol i Istrę (wszystkie w gub. Witebskiej). Rozrastało się potomstwo — i gdy dokonywano tej tranzakcyi, musiała oczywiście stać na oczach zapobiegliwej i czynnej p. Konstancyi ewentualność działu między synami i córkami. A synów tych i córek — jak wieść niesie — było ogółem dwadzieścioro i dwoje, z których pozostało przy życiu — ośmioro.

To też Piotr Benisławski, wyposażywszy dwie córki, jedną Katarzynę za Weyssenhoffem, drugą Różę za Morryssonem, we dwa lata po śmierci żony czyniąc wieczysty testament, mógł sześcioro swym synom niezależny byt zapewnić. W testamencie jego, sporządzonym 11 marca 1808 r., czytamy co następuje:

«Powtóre. Oddzieliwszy już z dawna czterech moich synów starszych: Stanisława<sup>1)</sup>, Józefa<sup>2)</sup>, Konstantego<sup>3)</sup> i Onufrego Benisławskich i spłaciwszy pierwszemu gotowymi pieniędzmi, innym zaś trzem rozdzieliwszy w tejsze proporcyi majątności przeze mnie nabyte w powiecie Lucyńskim: Sybelin, Posiń i Istrę, gdy w przeciągu czasu tego z wydziału swego korzystali, a dwaj najmłodszy synowie moi Jan i Antoni Benisławscy nie mają jeszcze wydzielonej dla siebie części, przeto przeznaczam dla nich dwa folwarki moje, sytuowane w tymże powiecie Lucyńskim, w majątności Birżańskiej, zwane Stary Zamek i Zosoły, z których pierwszy wyznaczam dla syna mego Jana, drugie zaś fundum Zosoły dla najmłodszego syna mego Antoniego».

---

1) Podpułkownik wojsk rosyjskich, chorąży powiatu lucyńskiego.

2) Kapitan wojsk rosyjskich, podsędek powiatu lucyńskiego.

3) Kapitan wojsk rosyjskich.

Zaś dalej czytamy w tymże testamencie ustęp pa-  
mięci zgasłej ukochanej małżonki dotyczący:

«Po siódme: Najmocniej obowiązuję syna mojego Antoniego, aby szpital w Zosolach w najprędzszym czasie starał się dokończyć. Na utrzymanie w nim sześciu ubogich, na ich opatrzenie, utrzymywanie przytem stałego księdza przy kościółku Zosolskim, któryby nad ubogimi tamże przebywającymi co do potrzeb duchownych i odprawiania nabożeństwa miał dozór, oprócz dwóch tysięcy rubli asygnacyjnych legowanych przez ś. p. żonę moją Konstancję z Ryków Benisławską, dla dopełnienia tego funduszu zapisuję i leguję nadto 5.000 rublów w tejsze monecie asygn., a w ogóle na cały fundusz 7.000 rublów, który to kapitał ma zostawać u niego w zabezpieczeniu na majątku Zosolach, procent zaś ma przez niego być obrócony na utrzymywanie statecznego kapłana przy kościółku Zosolskim, z obowiązkiem, aby za duszę nas obojga w tydzień jedną mszę świętą odprawował, jako za fundatorów tego szpitala, a mianowicie za dusze Piotra i Konstancyi; ubogich w liczbie sześciu, podług rozporządzenia przez ś. p. też żonę moją, regularnie utrzymywał, — w czem wszystkiem pod sumieniem tegoż syna mojego Antoniego i sukcesorów jego przed Bogiem obowiązuję, waruję, iżby takowy fundusz nigdy nie ustawał».

W testamentowej tej wzmiance mamy przeto jeszcze jeden rys, charakteryzujący osobistość pani stolnikowej: dobroczynność, którą zapewne i w inny praktykować musiała sposób. W panegirykach na cześć jej pisanych, a licznych, znajdujemy zaznaczoną skrupulatnie tę wrażliwość na niedolę cudzą; zdała nam się atoli większej wagi suchą wzmianką w testamencie, niż najpatetyczniejszy ustęp z panegiryka, zwłaszcza z przed stu lat.

I oto, do tych wszystkich cnót i zalet słynących szeroko, przybywa dwudziestoosmioletniej kobiecie jeszcze urok jeden — sława poetki. Kiedy stolnikowa piórem bawić się zaczęła — wywnioskować trudno. Czy w latach najmłod-



szych już wiersze układała? czy oprócz pieśni treści pobożnej, w jakich innych jeszcze światowych, okolicznościowych sił swych próbowała? Odpowiedzieć nie umiemy. W jednej z pieśni znajdujemy tylko wzmiankę, iż przyrzeczenie, że winy nieprzyjaciółom swym odpuszcza, daje Bogu «gdy rok dwudziesty ósmy już przemija». Zważywszy, że pieśń rzeczona należy do najobszerniejszego i najbardziej wykończonego cyklu pieśni p. t. «Ojciec nasz», dochodzimy do wniosku, że raz, stanowi ów cykl punkt kulminacyjny w twórczości poetyckiej stolnikowej, powtóre, że on to musiał jej sławę jako wierszopiski w najbliższym otoczeniu ugruntować, że wreszcie na pytanie: kiedy objawił się na niwie piśmiennictwa naszego talent poetycki Konstancyi z Ryków Benisławskiej? odpowiedzieć możemy: w roku 1775, to jest w lat piętnaście po śmierci Elżbiety Drużbackiej.

W rok potem wydany zbiór jej «Pieśni sobie śpiewanych», wnosić wolno, rozślawił szybko jej imię. Wędrowały owe pieśni względnie daleko, a gorliwych czytelników i admiratorów, zwłaszcza w początkach XIX. wieku miały dosyć. <sup>¶</sup>Przypisywano też Konstancyi Benisławskiej autorstwo książki do nabożeństwa, zatytułowanej: «Nabożeństwo przez pewną damę».

Zwłoki jej spoczęły w katakombach kościółka w Posiniu (gub. Witebska, powiat Lucyński). Wizerunek autorki «Pieśni», portret olejny współczesnego pędzla, znajduje się w posiadaniu p. Aleksandra Benisławskiego, prawnuka w prostej linii stolnikowej. Malowidło <sup>¶</sup>odtwarza nam surowe, ostre nieco rysy niezapreczenie pięknej twarzy; wyniosłość, chłód i stanowczość jest w tem obliczu. U góry wpółzatarty napis opiewa:

Promyk piękna Konstancyi Benisławskiej z Ryków.  
Jeśliś mądry, o słońcu możesz wnieść z promyków.

Według tego właśnie portretu wykonany wizerunek stolnikowej inflanckiej podajemy w książce niniejszej.

Co to są «Pieśni sobie śpiewane?» Są to rozmyślania i dowodzenia i modlitwy.

W dwóch najobszerniejszych cyklach pieśniowych bierze poetka kolejno pojedyncze motywy (wersety) «Modlitwy Pańskiej» i modlitwy «Zdrowaś Maryo», rozwija je, tłumaczy, asumpt z nich bierze do wychwalania Boga, Chrystusa i Matki Przenajświętszej, do szerokich wzlotów ku niebu, wielbi łaski Opatrzności, korzy się przed Jej wyrokami, zlitowania Pańskiego wzywa. Mniejsze zakresem i późniejsze zaletami poetycznymi są pieśni zbiór cały zamykające, pieśni «poranne», «wieczorne», podczas choroby tworzone, proszące Boga o pomoc w oschłości duszy, o szczęśliwość dla blizkich i dalekich, wysławiające dobrodziejstwa Boga, zagrzewające do ufności ku Niemu i t. p.

We wszystkich tych utworach: pobożność szczerą, wiara prostaczków, teologia, scholastyka, metafizyka spekulatywna, retoryka, deklamacya, polot istotnego natchnienia, pretensjonalność (préciosité), naiwność, siła wyrażen, obrazowość — kolejno podają sobie ręce. Główne atoli piętno kładzie na «Pieśni sobie śpiewane» spekulatywna retoryczność, ustępująca tu i owdzie miejsca szczeremu wybuchowi jakiejś ascetycznej ekstazy, przypominającej głosy św. Teresy. W «Pieśniach sobie śpiewanych» Benisławska przeważnie — filozofuje; pisze nie dla prostaczków, lecz dla najwykształceńszych owego czasu czytelników; przekonywa częściej, niż wzrusza; chętniej do umysłu przemawia, niż do wyobraźni. W przeciwieństwie do Drużbackiej zdaje się pisać nie dla tego, aby dzieło poetyckie tworzyć, że na sercu jej leży chwała Boża, dla której świat już nieco zubożył, ale dlatego, że zwykła książka do nabożeństwa dla niej już nie wystarcza, dlatego, że modląc się, nauczyła się pilnie każde słowo rozważać, dlatego, że wskutek czytania i zastanawiania się, nabrała dla niej uroku, pociągają ją i niepokoi, by się tak wyrazić, filozofia modlitwy.

Gdy Drużbacka, nawet w pobożnej treści swych utworach, zdaje się mieć na oku tylko artystyczną, poetyczną

stronę przedmiotu, gdy np. w «Pokucie Magdaleny» przesypuje budującą opowieść kwiatami poezji, nie wspólnego z treścią niemającymi, gdy powiada oto:

O wielka Stwórco mojego dobroci,  
Coś Magdalenę rozpustną zbawiła!  
Któraż się owca do ciebie nie wróci,  
Co po manowcach samopas błądziła? —

a dalej obrazować zaczyna postać Magdaleny nierządniczy:

W perły bezcenne szyję, ręce stroisz,  
Pięknaś, bogata, a w cnotę uboga;  
Włosy w pierścienie zwijasz, w oknie stoisz,  
Wabisz oczyma, wolna do cię droga!  
Nie wiesz, że w piekle niejednego nurka  
Wysłałaś po śmierć dla twych pereł sznurka.

W Jerozolimie mieście głośna fama,  
Że Magdalena prym trzyma w urodzie;  
Ładna, przyjemna, grzeczna, kształtna dama,  
Żadna jej zrównać nie potrafi w modzie.  
Wdzięk w ustach, w oczach, wabik w całej twarzy.  
Nie dziw, że młodzi lgną, gorsza — że starzy...

— czujemy, że Drużbacką uniósł, hen, daleko od osnowy artystyczna poetyczność przedmiotu, że ta Magdalena rozpasana, wlokąca za sobą po ulicach jerozolimskich roje wielbicieli, przysłoniła jej obraz duszy pokutującej za grzechy, oraz miłosierdzia Pańskiego nad pokutnicą. Drużbacka jest poetką i tylko poetką, zawsze i wszędzie, Benisławska jest — filozofką, która się tylko poetycką formą chętnie posługuje.

Gdy pisze autorka «Pieśni sobie śpiewanych»:

Ojcie nasz, któryś w Niebie! Tyś i z wszech pożytkiem  
Nad wszystkim i pod wszystkim, przed wszystkim, we wszystkim,  
Zewnętrznyś przez niezmierność, wewnętrznyś przez subtelność,  
Niższy przez utrzymanie, wyższy przez swą dzielność...

— czujemy, wyluszczając mozolnie z powłoki słów sens ukryty tej zawilej strofy, że nie chodziło poetce wcale

o przelanie na papier śpiewającego jej w duszy czterowiersza, lecz chodziło o ujęcie w czterowiersz teologicznego wytlómaczenia Istoty Boskiej. Zbyttno jej chodzi o definicje subtelne, o spożytkowanie kwintesencji dzieł scholastycznych i teologicznych, w których się rozczytywała, aby przy najlepszej nawet dykcji poetyckiej nie szwankowała taka np. dalsza strofa, zawierająca również określenie istoty Boga:

Z wysoka wszystko-rządny, z spodu utrzymliwy,  
Z podwórza wszystko-krążny, wewnątrz przenikliwy,  
Wszędzie cały w istocie, wszędzie nie dzielony,  
Wszędzie we trzech jedyny, wszędzie nieskończony.

Ale za to, gdy porzuci refleksję i spekulację, jakże pięknie, potoczyscie a z jak szlachetną prostotą płyną takie oto następne strofy:

Ojcie nasz! Nasz, — boś Ojcem powszechnym jest ziemi,  
Równie nad złotogłowem, jako siermiężnemi:  
Równie Ty masz o wszystkich pieczę i staranie,  
Wielkięś i małego ty uczynił, Panie...

Ojcie nasz, Ojcie wszystkich, Ojcie, któryś w Niebie,  
I z różgi na tym świecie chęć znać Ojcem Ciebie:  
Karz moje tu swawole, zacinaj po grzbiecie,  
Zacinane przychodzi do rozumu dziecie.

Wiem, że kiedy uporną skałkę stałą otną,  
Z nieużytych wnętrzości sypie skrę błyskotną;  
Orzech słodkie da jądro, gdy lupinę stłuką:—  
Groza do szczęścia drogą, przewodniem, nauką.

Drużbacka jest bardziej — nowoczesną; w poezjach jej jest «modernizm» Krasickiego i Węgierskiego. Benislawska zdaje się być ostatnim epigonem poezji naszej «złotego wieku;» pilnie rozczytywała się w dziełach pisarzy z epoki owej i nuta Kochanowskiego w języku, stylu i zwrotach wiersza odzywa się u niej często bardzo; «Ty morza met zakładasz i hamowne ściany» — a na innym miejscu słyszymy zda się echo hymnu: «Czego chcesz od

nas, Panie, za twe hojne dary,» gdy powiada autorka «Pieśni»: «Tyś niebo rzucił gwiazdami haftowane». Wreszcie oto i «Ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swoim», dźwięczy w wierszu:

Szczęśliwy, kto na stanie swoim rad przestawa,  
W którym go osadziła Opatrzność łaskawa.

Lub czyż nie zda się z XVI-go wieku dwuwiersz:

Strzeż mię od takiej wojny, po której bez chyby,  
Nie korona, lecz jeńcze spotykają dyby.

A i wyrazów o archaizm potracających mnogość wielką w «Pieśniach» spotykamy. Mówi autorka do dzieci swoich:

. . . . a żywiej się czemu  
W obłapy nie rzucicie do mnie po staremu?

Wyrażeń też wiele nie licujących z czystością języka u autorów Stanisławowskiej epoki. Pisze Benisławska: «konieczno», «mierzło mi na was patrzeć», «leczysty kwiat», «piekłów» (piekiel), «gdyby można» (gdyby kto mógł), «truta» (trucizna), «skiba chleba» (kęs chleba), «wydzierzysz», «jeńcze» (jeńców), «bezwierńce» (niedowiarki), «iskr», «kropl», «makuła» (zmaza), «ów bawny rzemiosłem, a ów handlem» (zajmujący się rzemiosłem, handlem) i t. p.

Znajomość klasycznych rzymskich i greckich pisarzy widoczna. Tu i owdzie cytata lub myśl, wzięte z Platona, Wirgiliusza. Sporo *à la* Homer wyrazów składanych, np. «sidła chytro-łowcze», «łyskania chmuro-błędne», «piaski złoto-lewne», «potoki wdzięczno-mruczne». Że nie obcymi autorce «Pieśni» są Ojcowie Kościoła, ba! nawet świeższej daty teologowie i scholastycy, zapewnić chyba nie trzeba. Wpływ ich aż nadto na całości jej utworów widoczny.

Co do dykcji, ta płynna i potoczysta; myśl jedna z drugiej wywiązuje się łatwo, bez naciągania; tu i owdzie przeciąża pieśń zbytńia obfitość antytez i suchych po-

równań, w których kocha się poetka. Tak np. cały ustęp, rozwijający słowa modlitwy: «Błogosławiony owoc żywota Twego, Jezus», trzymany niemal od a do z w samych antytezach, pytaniach i odpowiedziach:

Chcesz kogo natrzeć? Jezus miecz w prawicy.  
Chcesz się ułożyć? On tarczą lewicy,  
On pancierz sercu, lba szyszak on zbrojny,  
Wał w oblężeniu, on wojskiem do wojny.

Jeśli chcesz kochać? Jezus ojciec miły.  
Jeśli lękać się? Olbrzym wielko-siły.  
Jeśli dziwić się? Jest dziwem nad dziwy.  
Chcesz być bogatym? Jezus skarb prawdziwy.

Toniesz? On portem. Błądzisz? On jest drogą.  
Wierzysz? On prawdą. Giniesz? On wspomogą.  
Pracujesz? Placą. Wojujesz? Koroną.  
Zawód wybierasz? Metą wyznaczoną.

Dla nadania chyżości dykcji ucieka się często do powtarzania wyrazów, tak np. zaraz na wstępie:

Precz na duszę mą zażarci,  
Precz pierchajcie, precz, precz, czarci!  
Znak, znak krzyża kładę drogi,  
Precz odemnie, precz stąd w nogi!

Ale nie braknie też niepospolitej barwności oraz dosadności w stylu i wyrażeniu. Są wśród «Pieśni» zwrotki, które w antologiach poezji XVIII-go wieku stałe miejsce zająć powinny.

Położymy nacisk na nie — po drodze, książkę całą, kartę po karcie, kolejno pieśń za pieśnią przechodząc oczyma. Najlepiej o sobie świadczy sam autor; naszą rzeczą w miejscach godniejszych uwagi tylko kartę zagiąć u góry lub delikatnie piórem kreskę na marginesie położyć.

Tak oto zaraz w pierwszym ustępie «Modlitwy Pańskiej» trafiamy na wyraz bezwzględnych przekonań autorki odnośnie do wierzących i niewierzących:

A jeśli oślepiła kogo złość tak wściekła,  
Ze wąpłi, — tam nie trzeba dowodów, lecz piekła.

I słyszymy, zda się, ton surowy «Symbolu św. Atanazego:» «*Quicumque vult salvus esse, ante omnia opus est, ut teneat catholicam fidem.....*» Zaś w ślad za tem duch szczerzej, istotnej pobożności, przenikający pieśń całą, godzi nas z autorką, albowiem przed szczerością przekonani przywykliśmy zawsze schylać głowę, powtarzając sobie święte słowa samej poetki:

Bo katu warto: gdy setne pacierze  
Kto pod nos mruży — a czart serca bierze.

Otóż jeśli autorka «Pieśni» «setne pacierze» układa, wiemy, czujemy doskonale, że wraz z myślą i — serce w strofy swoje kładzie. Wierzymy bez wahania w jej szczerość, gdy porównywa siebie dalej do strumyka, dążącego do morza:

Nie, nie tu mię nie więzi, ba! tęskno mej duszy.  
W tem być więzieniu ciała, w tej ziemskiej katuszy;  
Gdzie spojrzę, wszystko, Boże, do Ciebie mię wzywa;  
Gdzie spojrzę, wszystko od tej ziemi mię odrywa.

Widzę, a owo strumyk bieży nieodwłocznie,  
Bieży bez odpocznienia, nim w swem morzu spocznie,  
Nie wdzierzają rozkoszne łąki go w zapędzie,  
Ni piskliwe kwiateczki na spotkaniu wszędzie;

Krętym różnie się wężykiem, goniąc precz zdarzone  
Kamyki na zawadzie i gałązki w stronę;  
Chwilki nie zdrzemie: wschodzi lub zapada zorza,  
Zawsze wzdychać zdaje się do morza — do morza.

Już tu odzywa się głos ascetki egzaltowanej, św. Teresy, i pogardą dla ziemi i świata i ekstatycznym wołaniem: *Cupio dissolvi!* pójdzie rozbrzmiewać w niejednej jeszcze pieśni. Toż zaraz oto:

Stobym razy raz po raz chętnie umierała!...

a dalej nieco ·

*Prosyk piękna Konstancyi Benislawskiej z Ryków  
Jestliś mądry, o słońcu możesz wrocić z promykami*



*Jan Dobrowolski*

KONSTANCYA Z RYKÓW BENISŁAWSKA





O śmierci, słodka śmierci, ach, o śmierci droga,  
Kiedy mię z życia zbawisz, a pokażesz Boga?!

Żaliż to nie waryant znanego: «Przeto umieram, że umrzeć nie mogę?» I wrywa się ze świata tego, kto? nie zakonnica w celi klasztornej, nie wyrobница nędzą i pracą gnębiona, nie przywalona nieszczęściami nowa jakaś Niobe. Pisze to z całą gorączką namiętnej egzaltacji dama wielkoświatowa, u boku najlepszego męża, w dobrobycie opływająca, otoczona najbliższą, liczną rodziną, ta wreszcie, «u nóg której leżało wszystko», ale... wszystko, co ziemskie.

I oto rozwiązana z pęt życiowych poetka, wniebo-wzięta ekstazą, ulata w ustępie «Przyjdź królestwo Twoje» w to właśnie królestwo nie z tego świata. Opis nie-Danta i nie-autora «Zachwycenia» i «Błogosławionej» retoryczny i suchy. Spotyka tam dziatki swoje które pomarły:

Mylę się? i was widzę tu, me miłe dziatki,  
Coście mię w pierwszych leciech swej odbiegły matki?  
Tyś-li tu, mój Augustku z Xawerkiem dopiero?  
Tyś-li tu z Julką, jedna i druga Xawero?

Ale pomimo wyrażonej radości, że się już nie rozsta- nie ze swymi aniołkami, serdeczniejsze słowo pod pióro stolnikowej nie przychodzi; nie była to matka «od piesz- czenia» — i chłód jeżeli nie serca, to chłód w zachowaniu się względem dzieci, pozostał w strofach o spotkaniu tem mówiących. Doprawdy, autorka «Pieśni sobie śpiewanych» bardziej świętych Pańskich, niż rodzone dzieci zdaje się kochać — a z pewnością z tęsknoty do nich nie wypły- nęłaby zwrotka podobna do tej oto:

Przyjdź, przyjdź Królestwo Twoje! Nie tak jeleń leci,  
Raniony od postrzału do leczystych kwieci,  
Nie tak strzała do celu, do góry płomienie,  
Jak się moje unosi do Ciebie pragnienie!

I pieśń o Królestwie Bożem kończy poetka przestroga,  
jako do nieba prowadzi ciężka i ciernista ścieżka:

Nie wzleci ptak do góry, skrzydła opuściwszy;  
Nie dojdzie żeglarz portu, wiosłem nie robiwszy;  
Żołnierz próżno chce wygrać, gdy bronią nie włada;  
Wszelka chęć bez uczynków na koszu osiada.

Trudno tym strofom odmówić wcale niepospolitej wartości poetyckiej.

W następnym ustępie stawia poetka tezę, że wola w człowieku jest rzeczą — zdrożną, że im człowiek bardziej woli swojej folgę daje, tem się bardziej zbliża do piekła. Zaleca przeto poddanie absolutne woli naszej — woli Boga.

    Bądź wola Twoja, Boże! Oby woli czleka,  
    Oby woli niczyjej nie było do wieka;  
    Nie byłoby ni piekła, ni dyabłów...

I znów zdaje nam się, jakbyśmy słyszeli głos ks. Golliana, rozlegający się z kazalnicy w Maryackim kościele: «Dopóki nie będziecie paralitykami woli...» Ale wszelka uwaga zamiera nam na ustach, wobec kategorycznego oświadczenia autorki «Pieśni:»

    Nie chcę, nie chcę być moją ni z duszy ni z ciała!

Wolno nam tylko szybciej niż od strof innych zwrócić się do prześlicznej prośby o chleb, chleb powszedni i chleb łask, oraz dobrodziejstw duchowych, do prośby rzuconej pod stopy Tego:

    . . . . który w swych rękę trzymasz urodzaje,  
    Który, gdy nie przeżegnasz na roli siew wszystkie,  
    W oborze, co do sierci wypada dobytek,  
    Który kiedy rozkażesz, na piaszczystej ziemi  
    Bujniejsze zboże pójdzie niż na czarnoziemi,  
    Piaski w łąki wesołe zmienisz i od raza  
    Żywy strumień z twardego wyprowadzasz głaza.

Mówi tam poetka:

    Daj nam chleba naszego! daj Wielmożny Panie!  
    Wszak do Ciebie należy datek, do nas branie.

Owo żebracy z ręką wyciągniłą stoim  
Przed Pańskimi oknami, przed pałacem Twoim!

A jednocześnie:

. . . . spraw, ażeby, Panie,  
Ustom mym smakowało Twoje przekazanie!

i odzywa się wreszcie zapobiegliwa, rządna Pani:

. . . . Przyspórz mi w komorze,  
Błogosław mi na roli, błogosław w oborze,  
Błogosław po wsiach moich i w domu...

Aż w zamykających «Modlitwę Pańską» dwóch końcowych ustępach wraca raz jeszcze do owej św. Jakóba «wiary martwej bez uczynków,» rzucając tu i owdzie pięknych strof kilka w rodzaju:

Bez soli dogryźliwej mięso gnije żywo;  
Nie wprzód skrå błysnie skałka, aż trąci krzesiwo:  
Kłos nie pierwej chleb daje, aż cepy wytłuką.  
Mało wart ten, co nie był pod pokus nauką.

Jako utwór poetycki nie dorównywa «Modlitwie Pańskiej» drugi spory cykl pieśni, w jednakowy sposób rozwijający kolejno wszystkie okresy modlitwy «Zdrowaś Marya.» Możnaby sądzić, że utwór to wcześniejszej daty, taka w nim mnogość sentymentalno-ekliwych zwrotów, tak mniej znacznie wyrobienia stylowego, tak myśl nie siąga nigdzie głębi, dotykanej w «Ojczy nasz.» — Cała np. pieśń «Pan z tobą» niesmaczna swą ekliwą naiwnością, może w duchu owocnych pojęć i zepsutego smaku, ale na dzisiejszym czytelniku sprawiającą wcale nie dodatnie wrażenie.

Gdy mówię: Zdrowaś! serce me kołacze,  
Duch się raduje, hamują się płacze,  
A jeśli jakie wytrysną kropelki,  
To słodsze lezki, niż julepek wszelki.

. . . . .  
«Pan z tobą,» gdy się odzywał Pan świata  
Po dziecinnemu: Pápa! Mama! Tata!  
. . . . .

Stąd tyś Cypr — ale z Syońskiego sada,  
Cedr — lecz z Libanu, Palma — aleś z Kadu;  
Tyś jest oliwą, ale z najpiękniejszych,  
Jaworem jesteś, ale z najsieglejszych.  
Tyś jest balsamem, myrrą, cynamonem,  
Ale balsamem niczem nieochrzczone, —  
Lecz najwonnejszym Cynamonem: ano,  
Święta Maryo, tyś myrrą wybraną!

.....

Zamknijcie gębę, skąście język i wy,

Co ją zwlekacie z tej prerogatywy. (Mowa o niepokalanem  
poczęciu N. M. Panny).

.....

W tym rodzaju cytat mnożyć nie chcemy. Że atoli  
i te nawet pieśni nie ladajakiej wierszopiski są utworem,  
za dowód niech posłuży kilka strof, wybijających się z tła  
szarego, jak cenne i rzadkie muszle na pobrzeźnym miał-  
kim piasku.

Tyś tak nadobna, tak piękna Panienska,  
Jako błyskotna w poranku Jutrzenka;  
Jak piękny księżyc w pełnym kołowrocie,  
Jak okazałe słońce w jednym zlocie.

.....

Pan z Tobą! Pierwej, nim ziemię osadził,  
Nim wielkim kołem morza oprowadził,  
Nim rozbił nieba rozwlekłym namiotem,  
Suto wyszywszy haftem gwiazdo-złotym.

.....

Pan z tobą! kiedy jako dla Królowej  
Słońce rozciągnął na płaszcz złoto-głowy.  
Pan z tobą! kiedy księżyc srebrno-rogi  
Odlawszy, rzucił pod twe święte nogi.

.....

O Matko!.. Boże, mógłbyś, gdyby trzeba,  
Świat większy stworzyć, stworzyć większe nieba,  
Większych aniołów Tobie do usługi —  
Nie mógłbyś stworzyć Matki większej drugiej.

.....

Módl się, Maryo! Bowiem nie tak trzeba  
Dźdźu suchym piaskom, a głodnemu chleba,

A żywej wody łani postrzelonej,  
Jak nam módl Twoich i Twojej obrony.

. . . . .

To poezya i myśli i formy niepośledniej. Również i w pomniejszych pieśniach, dołączonych do zbioru, znajdziemy ustępy niemniej godne uwagi. Oto w jednej z nich, gdzie poetka «w młodości śmierć sobie rokuje i do służby Bożej siebie zagrzewa», czytamy cale charakterystyczny zwrot do lat jeszcze młodszych i tyle chwalonej urody niewieściej, co następownikom śmierci tamy jednak nie stawia:

Jeszcze nadal ode mnie starość jest garbata,  
Jeszcze się w czarne włosy siwizna nie wplata,  
Jeszcze twarz mam pogodną; nie siedzą na czele  
Mierzle marszczele.

A już śmierć kosą grozi i fuka nad głową:  
Pókiż, nędznico, latać będziesz za światową  
Próżnością? Pókiż chwytać, ach! na zwodnej ścienie  
Niknące cienie?

A gdy dokuczliwa i groźna choroba do łoża ją przykuwa, nie prosi poetka Boga o oddalenie od niej cierpienia, lecz pełna chrześcijańskiej rezygnacyi i ufna w zbawienność cierpień, tu jeszcze, na ziemskim padole zaznanych, powiada:

Nie, nie proszę ja o to, by od mego ciała  
Ta choroba precz poszła i precz gdzieś leciała,  
Lecz o to jedno proszę, przez co mogę, Panie,  
Abyś siłę i stałość dał mi na wytrwanie.

Niech tym ogniem do szczętu ciało dogorywa,  
Byle tylko myśl moja i dusza ma żywa,  
Zasilona twą łaską, miała męstwa tyle  
Oprzeć się i hymn zawsze Tobie śpiewać mile.

Nie w zamiarze naszym wynosić autorkę «Pieśni sobie śpiewanych» na niewłaściwe stanowisko w hierarchii pisarzy naszych. Puścizna literacka stolnikowej inflanc-

kiej, aczkolwiek, jak nieuprzedzony czytelnik łącno mógł odczuć z przytoczonych wyjątków, wcale niepospolita — nie pozwala jej jednak stanąć w równym rzędzie z Drużbacką, Hoffmanową, Ziemięcką, Żmichowską, Deotymą, Orzeszkową, Konopnicką. *Son verre est trop petit* — powiedziećby można, parafrazując Musseta. Ale — jeśli nawet widzieć w niej trzeciorzędą tylko gwiazdkę na niebie piśmiennictwa naszego, to gwiazdki tej znaczenie niechybnie podniesie ta okoliczność, iż wcześniej niż inne zablęśła, a w konstellacyi pomniejszych nieostatnie wcale zajmuje miejsce. Wyróżnia Konstancję Benisławską z pośród autorek naszych i to jeszcze, że samotna niemal stoi ona w obozie reakcyjno-konserwatywnym, podczas gdy wszystkie niemal kobiece talenty autorskie ulegały i ulegają wpływowi postępowych idei, radykalizmu, literackiemu i społecznemu, by się tak wyrazić, rewolucjonizmowi. Wszystkie one nadto, począwszy od Drużbackiej, a kończąc na Orzeszkowej, zdają się mieć wspólną dewizę: Słowo to czyn! podczas gdy na utworach Benisławskiej położyłby można jako *motto* słowa poety: «Sobie śpiewam, nie komu»...

Nie sposób przyglądać się portretowi autorki «Pieśni», wyjętemu z tła epoki. Tło owo malowali już najlepsi dziejopisowie nasi<sup>1)</sup>; więc też na wstępie zaznaczyliśmy je tylko kilku rysami. Dopiero na tle współczesnego jej społeczeństwa, na tle ówczesnej wsi inflanckiej, na tle umysłowego rozwoju nie w stolicy, ale na kresach już niemal Rzeczypospolitej, z całą plastyką i w należytem oświetleniu jawi się oczom naszym postać [tej wielkoświatowej] damy, rządzącej dumnie swoim otoczeniem, a sam na sam z Bogiem, korzącej się przed Majestatem, którego umysłem szerszym pojęła lepiej, niż w bezmyślnych praktykach zasklepieni prostaczkowie. Wśród ciemnoty głębo-

---

<sup>1)</sup> Korzon: «Dzieje wewnętrzne Polski za Stanisława Augusta»; Kalinka: «Sejm czteroletni»; Manteuffel: «Inflanty»; Smoleński: «Przewrót umysłowy w Polsce XVIII wieku», i inni.

kiej z jednej strony, a obyczajowego rozpasania z drugiej, wśród codziennych zajęć i trosk, wśród obowiązków pani domu pojętych i postawionych na szeroką stopę, wśród pokus gościnnie otwartego dworu, wśród zabiegów o losy licznej rodziny, wyrasta stolnikowa poetka na zjawisko niepowszednie. Słyszana z piękności i wykształcenia, hołdami otaczana, bogata, w najlepszej sferze szlacheckiej pani samowładna, używa tych darów przyrodzonych i przywilejów stanowiska na co? — na umiejętne sterowanie fortuną swych dzieci, na szerzenie dokoła siebie wyższych, podnioslejszych aspiracji, na spełnianie uczynków dobroczynnych i miłosiernych, na oddziaływanie przykładem cnoty, posuniętej aż do pozorów dumnej wyniosłości, oraz przykładem pobożności, z egzaltacją graniczącą. Okazała postawą, chłodna i dumna w zewnętrznych objawach, stanowcza i nieugięta, strzegąca pilnie czystości i obyczajów, budząca bardziej podziw niż serdeczność, bardziej zachwyty niż miłość — oto jaką zarysowuje się przed nami sylwetka stolnikowej. Otwieramy jej książkę, i ta piękna, dumna pani staje oto przed oczyma duszy naszej, jako autorka «Pieśni sobie śpiewanych». Dziwna zaiste przemiana. Znikła wyniosłość — została tylko powaga, która nie pozwala dotknąć jej pióru «powszednich» przedmiotów, ale myśl jej najwyższemi zagadnieniami zaprzęta; zniknął chłód dla najbliższych nawet — została żarliwość prawowiernej; zniknął tak jeszcze przed chwilą zaprzętający ją świat, i wobec wizji niebiańskich zdaje się poetka powtarzać za św. Bernardem: *Felix, qui poterit mundum contemnere!* Szczęśliw, kto światem pogardzić zdoła!

Nie kontrast to atoli: ów żywot codzienny stolnikowej i pieśni poetki; jej zwierzenia poetyckie wypełniają tylko obraz postaci, w której sprzeczności żadnych nie widzimy. Wątpliwości też nie ulega, że wyrażenie w tytule użyte: «pieśni za naleganiem przyjaciół wydane» z prawdą się nie rozmija. Zamknięta w sobie, dumna



i wyniosła dusza poetki znalazła w pieśniach tych ujście dla siebie i z pewnością poufnemi temi zwierzeniami musiała stolnikowa dzielić się niechętnie z najbliższem swem otoczeniem; tem mniej nęcił ją popis autorski w druku. Samotna, w narożnej komnatce wiejskiego dworu, kreśląc niejako «dla zabawy» lub jako «pobożne ćwiczenie» pieśni swoje, racyi nie miała żadnej pisać nie-szczerze. Gdy przyszło następnie oddać pieśni pod tłocznie drukarskie, spostrzega w jednej z nich zbyt od-dalenie się od przedmiotu i usprawiedliwa się w przypisku przed czytelnikiem, iż powstrzymać się nie mogła, mówiąc o Maryi, od opisu męki Chrystusowej: «Wszakże — po-wiada — nie lękam się w tem od czytelnika, a tem bar-dziej, im rozsądniejszego, żadnego zarzutu i przygany».

Nie dlatego, aby za «rozsądniejszego» uchodzić czy-telnika, chętnie wadliwą budowę tej pieśni przebaczymy poetce, jeno dlatego, że pozwoliła nam zajrzeć do utwo-rów *in crudo* niezawodowego autora, jakby w kartki ja-kiegoś „*silva rerum*“ damy polskiej XVIII wieku. Pozwo-liło nam to wypełnić jeszcze jednym, ciekawym rysem jej szkicowy wizerunek, który na tło epoki, jak jasny błysk, nie wahamy się rzucić. A że w «Pieśniach sobie śpiewanych» znalazły się cechy istotnego poetyckiego ta-lentu, przeto i do dziejów piśmienictwa naszego przybyła jeszcze jedna, dalszoplanowa wprawdzie, ale całe nie zby-teczna — sylwetka poetki.

## Z PAMIĄTEK PO A. E. ODYŃCU.

---

Pamiętki te — to garść listów.

Skupiły się one w liczbie kilkudziesięciu do rąk p. Jana Odyńca, syna Ignacego, młodszego brata poety, i uprzejmości dzisiejszego ich właściciela zawdzięczamy zapoznanie się z nimi. I leżą ot przed nami te kartki i ćwiartki bibulastego papieru, pożółkłe niektóre, szarawe, sinawe, z żółtą obwódką dokoła liter, kreślonych poblakłym już dziś atramentem, przemieszane z sobą, jak padały kolejno, z różnych stron nadlatując, w rodzinne archiwum pamiętkowe wiejskiego zacisza w Giejstunach...<sup>1)</sup>

---

<sup>1)</sup> Giejstuny, vel Kiejstut, położone między Krewem a Borunami, sprzedane zostały po śmierci A. E. Odyńca przez rodzoną córkę jego, p. Teresę Chomętowską. Dzisiejszy właściciel dawnej siedziby Odyńców uważał za stosowne rozprzedać znalezione we dworze dokumenta, księgi sięgające XV-go wieku, oraz listy — żydkom sklepikarzom z poblizkiego miasteczka Holszany. Listy, które w niniejszym artykule spożytkowujemy, trafem uratowane zostały z pod masła, gwoździ i blaszanek z naftą... Komentarz zbyteczny. (*Przyp. aut.*).

Pani Teresa Chomętowska nadesłała do redakcyi «Tygodnika *Illustr.*», który «Z pamiętek po Odyńcu» drukował, następujący list:

Szanowny panie redaktorze!

Z powodu przypisku p. Czesława Jankowskiego do rozpoczętego w ostatnim numerze «Tygodnika» artykułu p. t. «Z pamiętek po A. E. Odyńcu», zmuszona jestem prosić go o pomieszczenie w łamach pisma swego następującego objaśnienia.

Poginęło z nich wiele; być może, że poszła ich część do osób badających «źródła epoki», być może, że sam je z ukrycia dobył niektóre autor «Listów z podróży» i «Wspomnień», aby to i owo zaczerpnąć z kartek, pisanych ongi pod pierwszem wrażeniem chwili. Co pozostało — wartość ma już niemal wyłącznie pamiątkową, ale i do pamiątek tych, jak do samego weterana najświetniejszej epoki piśmiennictwa naszego, «przyłgnęły epoki tej legendy» i — ze zrozumiałym zaiste — pietyzmem, a poszanowaniem przeglądając je zaczynamy.

Są tu więc najpierw listy A. E. Odyńca, pisane do ojca Tadeusza, stale przebywającego w Giejstunach, listy pisane z Warszawy, z podwarszawskich kilku miejscowości, wreszcie z zagranicy, między październikiem r. 1826 a październikiem r. 1832. Są potem listy mniej więcej z tegoż czasu i lat późniejszych, pisane do brata Ignacego, przebywającego to na wsi, to w Wilnie na uniwersytecie, to znów w Giejstunach, gdzie ojca podeszłego w lecjach i podupadającego na zdrowiu dogląda, gdzie następnie gospodarką całą zarządza. Jest para listów z podpisem Żegoty (Ignacego Domejki) i Salomei Bécu (matka Słowackiego), jest para listów Odyńca do wuja Onufrego Gnatowskiego, miesz-

---

Ś. p. ojciec mój opuścił strony rodzinne i majątek swój Giejstuny na lat trzydzieści z górą przed śmiercią, a znajdujące się tam listy, dokumenty i książki sprowadził z sobą do Warszawy i zużytkował w licznym szeregu artykułów, pomieszczanych przeważnie w «Kronice Rodzinnej». Listy te i książki, po śmierci ojca mego pozostałe, przechowują się u mnie. Kiedy w lat pięć po śmierci ojca, mieszkając stale w Warszawie, przekonałam się o niemożliwości prowadzenia gospodarstwa wiejskiego w tak odległej stronie i sprzedałam Giejstuny włościanom miejscowym, żadnych listów ani książek nowonabywcom nie sprzedawałam, zwłaszcza ksiąg starych z XV-go wieku, o których istnieniu w Giejstunach od ojca mego ani ja, ani nikt z licznych jego przyjaciół, zajmujących się historią i literaturą, nic nigdy nie słyszał. Materiały więc, z których czerpie źródło do swej obecnej pracy p. C. Jankowski, pochodzą, jak sam to zresztą w początku artykułu zaznacza, od rodziny brata mego ojca,

kającego w Brodowczyźnie pod Oszmianą (z r. 1830-go i 1832-go); jest list Odyńca do pani Szpitznagel, matki przyjaciela Słowackiego; jest list przyszłej żony poety, Zofii Mackiewiczówny, jednej z bohaterek «Dwóch konwersacyi z przeszłości» Ignacego Chodźki, pisany do ojca A. E. Odyńca na krótko przed wyjazdem za granicę, gdzie miał się odbyć ślub zakochanej pary; jest kilka brulionów, kilka okolicznościowych Odyńca wierszyków; jest wreszcie i — prześliczny kaligrafii okaz trzynastoletniego poety: «Oda J. Wielmożnemu Imć Panu Tadeuszowi Odyńcowi Sędziemu Granicznemu P-tu Oszmiań. od Syna Antoniego Odyńca w dzień Imienin roku 1817 miesiąca Oktobra 28 dnia podana,» zakrojona wcale nie «romantycznie,» jak na przysłego romantyzmu szermierza:

Już zniknęły nocy cienie,  
Wszystko z dniem się odradzało,  
Już pierwsze słońca promienie  
Moje okna pozłacało,  
Gdy postrzegam jak zadźdżony  
Grozi Olimp przeraźliwy,  
Grzmia pioruny, — jam strwożony —  
Myszę: «Zginę!» nieszczęśliwy,  
Wśród błyskawic Wdzięczność staje  
Przedemną, z wieńcem jej głowa,

---

Ignacego, któremu były prawdopodobnie przez ojca mego udzielone, lub przeszły do niego niegdyś w drodze działów.

Racz przyjąć szanowny panie redaktorze wyrazy prawdziwego poważania.

17 lipca 1894.

*Teresa z Odyńców Chomętowska.*

W następnym numerze «Tygodnika Ilustrowanego» odpowiedziałem następującym listem:

Szanowny panie redaktorze!

W odpowiedzi na list p. Teresy Chomętowskiej w przypisku do mojego artykułu w nrze 238 «Tygodnika» mam to tylko do nadmienienia, że: 1) stwierdziłem jedynie fakt sprzedaży Giejstun, nie wchodząc wcale w przyczyny, które skłonić mogły p. Chomętowską do pozbycia się gospodarstwa wiejskiego «w tak odległej stronie». 2) Już po napisaniu drukującego się obecnie artykułu otrzymałem

Mnie to pismo w ręce daje  
I do mnie te rzeczy słowa:

«Pośpieszaj, synu szczęśliwy,  
Zanieść twe krótkie życzenia,  
Dziś dla cię Ojciec życzliwy  
Obchodzi pamięć imienia...  
i t. d.

I ze wszystkich tych listów i pamiątek, strzępów myśli i notatek luźnych, wyłania się z przedziwną wyraziistością niezapomniana, niezwykła postać poety, będącego po dzień ostatni życia uosobieniem istotnem młodzieńczego zapału, pogody ducha, niewyczerpanej łagodności i dobroci, katechizmowej kornej pobożności, wyjątkowej skromności, prostoty w czuciach i słowach, wreszcie przedziwnego daru jednania sobie ludzi. Podobnie jak przez lat sześćdziesiąt charakter pisma Odyńca nie zmienił się prawie wcale, tak i dusza jego przeszła, zda się, nietknięta przez zmian tyle i przemian okoliczności zewnętrznych. Nawet właściwy jemu sposób wyrażania myśli: jasny, prosty, wolny od wszelkiego patosu i wyszukania, urodził mu się chyba pod piórem z chwilą zapisania pierwszej kartki i wiernym mu

---

od p. J. Odyńca wyjaśnienie, jaką drogą doszły ręk jego listy, z których wolno mi było korzystać, i zaznaczyłem to najwyraźniej w przypisku do pierwszego ciągu artykułu mojego. Znalazł je pan Jan Odyńec u żyda sklepikarza w miasteczku Holszanach. «Żyd — pisze mi w liście — nabył kilkadziesiąt pudów rozmaitych papierów, złożonych głównie z aktów królewskich, ze starych ksiąg prawnej, historycznej i duchownej treści, sięgających XV i XVI wieku, z listów i t. d., — od nowego nabywcy majątku stryja naszego». Za rzetelność tego faktu ręczył mi p. Jan Odyńec «słowem szlacheckiem». Zatem tedy, te, które miałem w ręku pamiątki po A. E. Odyńcu, nie były bratu przez niego samego «udzielone», ani też przeszły do rodziny brata «w drodze działów», jak przypuszcza p. Chomętowska, jeno powędrowały z Giejstun prosto do holszańskiego sklepikarza, z którego ręk ocalił je trafem p. Jan Odyńec.

Chciej przyjąć, szanowny panie redaktorze, wyrazy niezmiennego poważania.

Polany, 24 lipca 1894 r.

*Czesław Jankowski.*

pozostał do ostatniego frazesu. To też, gdy w bracie Ignacym zachcianki autorskie postrzega, pisze mu z najgłębszego oczywiście przekonania: «Pisz jakbyś mówił — krótko, jasno i po prostu. Styl jest to suknia myśli, a suknia wtenczas tylko będzie dobrze zrobiona, kiedy należycie do ciała przypada. Zbyt opięta lub zbyt bachmata zawsze się śmiesznie wydaje.»

A na innym miejscu: «Z listu twego widzę, iż cię już także chętką do pisania nagaba. Cieszę się z niej, o ile mi dowodzi szlachetnego zwrotu twych myśli, ale na miłość boską, odpędzaj ją jak szatana od siebie, mianowicie jeśli rymami do ciebie przemawia. Wielkie jest przeznaczenie i wielka chwała prawdziwego poety. Ale wiesz-że ty czego trzeba, aby zostać poetą? Śmiej się z tych którzy ci powiedzą, że poezya na rymach zależy, że poezya jest tylko zabawką próźniaków i t. p. Zaprawdę powiadam tobie, pierwiej niedowiarek prorokiem, jak człowiek małej duszy i ciasnego umysłu będzie mógł zostać poetą. W poezyi, jak w życiu: stopień rzeczywistej wartości od stopnia moralnego udoskonalenia duszy i umysłu zależy. Jak Ewanielia jest objawieniem najczystszej, najwznioślejszej moralności, tak prawdziwa poezya powinna być objawieniem piękności zmysłowego lub umysłowego świata. Cel ich nawet jest jeden: to jest udoskonalenie duszy i wzniesienie jej do prawdziwego celu — do Boga. Kto tę piękność jaśniej od drugich widzi i silniej czuje, ten jest dopiero poetą. Dać ją ujrzeć i uczuć drugim — oto jest cel poezyi. Ale do tego trzeba jeszcze osobnego talentu. Tu poezya zaczyna być sztuką. *Ars longa, vita brevis*, mówi Horacy, a że list jeszcze krótszy, więc nie wdając się w dalsze myśli ogólne, które do ustnej z tobą rozmowy zostawiam, muszę tylko dodać, abyś mnie nie posądzał, iż dotychczasowe moje ramoty za odpowiednie tym wysokim celom poezyi uważam. W doczesnym stanie literatury naszej już też wiem, że mają niejakaś wartość: naprzód, że są lepsze od wielu innych, powtóre, że się przyczyniły nieco do obalenia za-

starzałych francuskich przesądów i do zaprowadzenia nowego rodzaju, który już ogólnie w poezyi naszej przeważa. Ale kiedy je przemierzę na skalę europejską — bardzo mało jest takich, którebym teraz za godne druku osądził — a nieraz szczerze wstydzę się za siebie i za moich pochwalców...» (z Drezna, w marcu 1831-go).

Potrzebaż tu jeszcze podpisu i nieomylnego charakteru ręki, aby odczuć, że to list Odyńca? W pół wieku potem powtórzy on tę dobroczynną radę niejednemu jeszcze i sztandar prawdziwej poezyi tak wysoko nad głową jego zawiesi, i sam z tak szczerą prostotą cofnie się w cień za tymi, którym z woli Bożej prawowite chorąstwo przy tym sztandarze w udziale przypadło. A jakież nadto złote serce przebija się w każdym do brata liście! Opuścił go wyrostkiem zaledwie; ale Ignacy wstąpił do uniwersytetu, kształci się, rozwija; Odyniec zdaleka rozwojowi temu przygląda się bacznie i powoli, powoli zawiązuje listownie między sobą i bratem nic nie już przywiązania wrodzonego, bo ta między rodzeństwem zadzierzgnięta nie słabnie nigdy, ale — przyjaźni niemal koleżeńskiej. Wpierw nie szczędził bratu — rad poczerpniętych z własnego doświadczenia, potem rozpoczyna z nim zamianę myśli, oswajając go niejako z tą nową rolą. «Od stopnia tylko ukształcenia umysłu i duszy starszeństwo między ludźmi zależy» — pisze mu w którymś liście. Ojca kocha niezmiernie; o wiadomości z domu błaga niemal w każdym liście; interesuje się najdrobniejszymi szczegółami; dopomina się o obszernie relacje: co tam słyhać w Giejstunach? co ze zdrowiem ojca? Prosi, aby ojciec dyktował wolnymi chwilami pamiętniki swoje «Ignasiowi», które nietylko dla synów pamiętkę, ale i doskonały obraz «cnotliwego żywota» stanowiąc będą; ma dla ojca uszanowanie niemal z archaizmem graniczące; oddaje mu w ręce los swój i szczęście upragnione (w związku małżeńskim z przyszłą żoną swoją); Ignasiowi cześć i bezgraniczne zaufanie dla rodzica wpaja nieustannie, a gdy ojciec zaniemógł, pilnującemu go bratu

zazdrości spełniania tego najświętszego obowiązku. Ojciec, dla podeszłego wieku potrzebujący już pewnej wygody, sprawił sobie — kocz nowy; Odyniec z Genewy gdzieś czy z Drezna, zarzuca brata w liście pytaniami: a czy ojciec rad z koczem? a jakie sukno? a w czym ojciec ubrany jeździ? a czy stopień nie za wysoki?

O stosunku syna do ojca da wyobrażenie ustęp, odnoszący się do jednego z najważniejszych momentów w życiu Odyńca, a mianowicie do sprawy zaślubienia ubóstwianej Zofii Mackiewiczówny, siostry żony Ignacego Chodźki. Jak wiadomo poznał ją Odyniec na wsi, dobrze przed wyjazdem swoim za granicę; pokochali się młodzi, Odyniec odjechał, jął włóczyć się po Europie całej, ale o pani swych myśli nie zapomniał wcale. Nareszcie w Dreźnie w roku 1832-im, sam nie mogąc wrócić do kraju, uprasza aby narzeczona przyjechać chciała za granicę, gdzie też, w Królewcu, odbył się ślub zakochanych.

List, w którym Odyniec plan swój przed ojcem rozsnuwa i o błogosławieństwo go prosi, datowany z Drezna w dzień pierwszy Wielkiejnocy (22-go kwietnia) r. 1832-go. Do pisania tego listu, wagi dla niego niemależ, przystępuje w ślad po odbyciu spowiedzi i Komunii św. przyjęciu. Zapewnia w nim ojca o stałości uczuć swoich i niewzruszoności zamiaru poślubienia Zofii, wreszcie raz jeszcze najtkliwszemi słowy przemówiwszy do ojcowskiego serca, pisze:

«Czas powrotu mego dotąd bardzo niepewny. Mam mocne przekonanie w duszy, że się jeszcze z tobą, najukochańszy mój Ojczu, na tym nawet świecie obaczę (ojciec przebywał właśnie rekonwalescencyę po ciężkiej chorobie) — ale kiedy to ma nastąpić, Bogu jednemu wiadomo. Niepewność ta i oddalenie, jeśli dla nas są smutne i bolesne, dla Zosi są prawdziwie okropne, jeśli nie powiem: zabójcze. Wielka jest różnica między losem mężczyzny a kobiety. Ja mogę mieć sto innych celów, zatrudnień i powinności życia — ale ona? Cała jej młodość z przyczyny mojej przepędzona we łzach i goryczy — zawią-



zana przyszłość... Czulem całą okropność jej położenia. A jednak siebie zawsze poświęcając dla mnie, sama mi radziła, abym ją raczej opuścił, niż gdybym się dla niej narażał. Nie uczyniłbym tego — lepiej poświęcić siebie, niż kogo. Jej przynajmniej pewniebym nie poświęcił. Lecz choć jeden mi tylko na to pozostawał sposób, nigdybym nie śmiał wymagać od niej tak wielkiej ofiary, aby dla mnie kraj i rodzinę rzuciła. Lecz własni i najlepsi przyjaciele, którzy ją w tych czasach widzieli, bez wiedzy jej, sami wprost napisali do mnie, że jeśli chcę uniknąć zbrodni najokropniejszego zabójstwa, powinienem, nie tracąc czasu, myśleć o połączeniu się za granicą; inaczej niszczące jej zdrowie niedługo oprze się smutkowi. Zaledwie myśl poczciwa szczerze w duszy mojej zabłysła, natychmiast uczulem nad sobą tajemniczy wpływ błogosławionej Opatrzności. Znalazłem skorych do pomocy przyjaciół. Jeden z nich, daleki krewny i przyjaciel familii Zosi, obywatel Ks. Poznańskiego, znakomite znaczenie i wpływ w swojej prowincyi mający, skorom mu o moich zamiarach powiedział, zajął się żywo losem naszym, i za jego pomocą mam zaręczony sobie zaszczytny bardzo w naukowym przedmiocie obowiązek w mieście Poznaniu, który mi corocznie sześć tysięcy złotych ma czynić. Rzecz ta wprawdzie nie prędzej, jak na Św.-Jańskie kontrakta ostatecznie ma się ułożyć. Tymczasem i on sam i anielska pani Potocka (Klaudyna z Działyńskich), o której w poprzednich listach pisałem, ofiarują mi nietylko uprzejmą na wsi u siebie gościnność, ale i wszelką pomoc pieniężną, na konto przyszłych moich dochodów. Dziękując im za uprzejmość, nie mam nawet potrzeby z ich ofiary korzystać. Tej zimy pracowałem dużo. Mam wiele nowo napisanych rzeczy, za które, licząc w to i nową edycję pism moich, która się właśnie drukuje teraz w Poznaniu, księgarz tameczny ofiaruje mi tysiąc talarów. Przyjmę je, skoro rękopisma jak należy do druku poprawię i przygotuję. Sama już ta suma więcej niż na rok dla nas obojga wystarczy... Zresztą

nadzieja w pracy i Opatrzności, w którą coraz mocniej wierzę i coraz widoczniej czuję. Wszystkie trudności i przeszkody w dopełnieniu zamiaru naszego, które się zrazu nieprzełamanymi zdawały, tak się jakoś niespodziewanie, a tak pomyślnie ułożyły, że chyba ślepym byłbym musiał, gdybym w tem wszystkim dobroczynnej ręki Opatrzności nie uznał i nie przeświadczył się, że to jest właśnie droga, którą iść byłem i jestem powinien.

«To mnie zareczya, że i Ty, najdroższy Ojcze mój, nie odrzucisz próśb kochającego Cię szczerze i posłusznego syna, i że ojcowskie a chętne błogosławieństwo swoje, jak ślubny wieniec przed obliczem Boga włożysz na czoło moje i Tej, która Cię sercem córki szanować i kochać potrafi.

«Racz wspomnieć, najukochańszy Ojcze, iż to jest pierwsza prośba w mojem życiu, którą z takim błaganiem, z taką miłością i zaufaniem do serca Twojego zanoszę. Biada mi, jeżelibyś ją odrzucił! Szczęście, życie, a może i zbawienie moje od łaskawego jej przyjęcia, od Ojcowskiego Twego błogosławieństwa zależy. Jeśli je, jak się spodziewam, otrzymam, pozwól prosić siebie, najdroższy Ojcze, ażeby sama Zosia była dla mnie aniołem, która mi Twoje błogosławieństwo ma przynieść. W końcu maja lub w początku czerwca z wyjeżdżającą z Wilna do wód morskich (do Krantz) znakomitą damą Zosia także do Królewca wyjeżdża, gdzie się z nią spotkać, a raczej czekać na nią powinienem. Sama naprzód pisała do mnie, iż chciałaby, ażeby przed wyjazdem mogła być w Giejstunach, aby się Tobie, najdroższy mój Ojcze, dać poznać i w stopniu narzeczonej mojej należne ci uszanowanie oświadczyć...»

Wizytę tę zaś, bądź co bądź ambarasującą nieco dla panny Zofii, reguluje z zabiegliwością wielką sam Odyniec, również — z Drezna, pisząc jednocześnie list do wujenki Gnatowskiej z Brodowszczyzny i polecając jej «Zosię» w opiekę. Brat Ignas, jako młodzieniec grzeczny, ma wybiedz w pierw sam do Dziewiętni (gdzie u Chodzków p. Zofia

przebywa), a następnie: «...Zosia z siostrą i Ignacym będzie w Borunach. Jechać wprzód do Giejstun jakoś nie wypada. Nadzieja więc w dobroci najlaskawszej Wujenczki, iż ich sama z Borun do Brodowszczyzny zaprosi i sama z nimi po obiedzie pojedzie do Giejstun, gdzie zabawiwszy przez wieczór, znów na noc do Brodowszczyzny powrócą».

Tak się też i stało. Stało się i dalej według ułożonego programu. Narzeczona poety wyjechała w przewidzianym terminie z pewną «znakomitą damą», a damą tą była nie kto inny, jeno panna Flora Laskarys, którą był sobie Mickiewicz na żonę upatrzył, i która, kto wie, jeśliby w roku 1832-im dotarła była aż do Drezna, gdzie się Mickiewicz znajdował... Los aliści widać chciał inaczej. Odyńiec, łącząc wspomnienia o niej z krótką wzmianką o królewieckim ślubie swoim, poświęca jej kilka kart we «Wspomnieniach z przeszłości», (wydanie r. 1884-go, str. 207—211), a W. Przyborowski w «Niewieścich ideałach poetów naszych» poświęca jej rozdział osobny, zatytułowany «Cezarynia» (str. 98—103).

Nie tylko atoli w ważnej przedślubnej chwili myśli Odyńca zaprzątnięta do najdrobniejszych szczegółami potocznego życia. Losy bliższej i dalszej rodziny nie przestają go nigdy usilnie zajmować. Wzorowy syn, jest zarazem, choć z daleka, najtroskliwszym opiekunem i doradcą młodszego rodzeństwa. W każdym liście znajdujemy ustęp cały, poświęcony wybadywaniom o szczegóły, dotyczące wiejskiego otoczenia ojca. Korzysta z okazji, aby z za granicy jaki taki prezencik przesłać każdemu; brata nieustannie do kształcenia się zachęca, wskazując na sobie samym, jak mu w Rzymie niedostateczna biegłość w starożymskich dziejach i obyczajach zawadza, jak on sam, przyszły autor «Felicyty», dokształcać się musi wtedy właśnie, kiedyby już wykształcenia swego mógł zbierać owoce; dla siostry zaleca wychowanie domowe, jako dla dziewcząt najodpowiedniejsze, prosi o częste wiadomości, niepokoi się, dla każdego ma serdeczne, ciepłe słowo.

Do tych zaś cech przybywa jeszcze jeden wybitny rys charakterystyczny, świadczący o istotnym talencie Odyńca zjednywania sobie ludzi. Oto w listach tych, pisanych przez dwudziestoletniego młodzieńca z Warszawy i z zagranicy, gdzie i zajęcia i otoczenie zaprzatać go przecież musiały wyjątkowo, znajduje Odyniec zawsze i zawsze ochotę, czas i miejsce dla wspomnienia o — najdalszych nawet sąsiadach rodzinnych swoich Giejstun. W liście do ojca, w liście do brata nie zapomni nigdy przesłać bodaj kilku słów przyjaznych, bodaj ukłonu — znajomym. Drobiazg — ale znamienny. Nie poza to wcale; czuć, że go istotnie ów znajomy, ów sąsiad interesuje, a takie zainteresowanie się, taka pamięć, taki ukłon, przesłany z daleka, jedną, wrażają się w pamięć, ujmują serca. Miał też Odyniec do końca życia i tak zwane «szczęście do ludzi» i mir powszechny. Od najwcześniejszej młodości — jak z listów jego widać — nie zawodzi go przyjaźń ludzka. Dobrze mu wśród nich i im z nim dobrze. Ze zwykłą skromnością przypisuje to Odyniec «jakiejś dobrej gwiazdzie,» pod którą się urodził. Tę dobrą gwiazdę, siejącą dokoła ciepłe promienie, miał on — ale w sobie samym. «Dobrym wszędzie dobrze będzie!» — powiada piosenka.

Pierwsze — w chronologicznym porządku — listy, które mamy pod ręką, są pisane do ojca i brata z Warszawy jesienią r. 1826. Odyniec na stałe osiadł w stolicy; ordynat Zamoyski dał mu niejako podstawę bytu, zatrudniając go rozmaitemi pracami, dając mu mieszkanie u siebie, powierzając mu następnie częściowe kształcenie syna swego Augusta. W Warszawie zogniskowuje się ówczesny ruch literacki, walka romantyków z klasykami kipi; Odyniec czynny w niej udział bierze, wchodzi w pierwszorzędne zebrania towarzyskie, nawiązując coraz to nowe znajomości, odbywa literacki nowicyat w dziennikarstwie, ma wokoło siebie najbardziej dogadzające mu warunki i elementa, poznaje świat, ludzi, zakosztowuje na szerszą

skale literackiego rozgłosu, uczy się i z książek i z życia, dopełniając tem uniwersyteckie ukończone studia. Dobrze mu w tej atmosferze, tęskni niekiedy do rodzinnej strzechy, ale pod tę strzechę raz po raz szle wieści, że «powodzi mu się w Warszawie doskonale». Zwłaszcza o uprzejmości, względności i laskawości pana ordynata wzmiankuje nieustannie; uprzejmość ta stopniuje się nawet pod względem zajmowanej przez Odyńca lokaty. W roku 1827 ma u Zamoyskiego małą izdebkę, chłodną srodze; w rok potem po Ordędzie, zajmuje pokój wcale już wygodny, a w roku 1829 pisze: «Mieszkam już teraz stale z p. Augustem (synem ordynata), gdzie mam dwa piękne pokoje...»

Ile że ojca prosi a bratu daje zawsze polecenie, aby mu o «znajomych wileńskich» donosili, szukaliśmy pilnie w listach wzmianki o — Słowackim. Mieszkała wówczas z synem w Wilnie pani Bécu, mieszkał przyjaciel Słowackiego Spitznagel, Odyniec korespondował z nimi, a listy do nich za pośrednictwem brata wysyłał z Warszawy. O «Julku» są wzmianki, ale wzmianki tylko. Poleca bratu oddać listy do niego pisane lub poleca mu: «Przypędź Julka, niech do mnie odpisze» (1827) — zresztą o Słowackim ani wspomnienia. Zaś w liście p. Salomei Bécu, datowanym 3-go października r. 1828-go z Krzemieńca, a pisanym do młodego przyjaciela jej syna, Ignacego Odyńca, czytamy tylko między innymi: «Przez całe prawie wakacje włóczyłam się z Julkiem po Podolu, gdzie najwięcej mam znajomych i brata starszego, bo młodszy u Hersylii mieszka w Kamieńcu; nie wiem, czy pan wie już, że Hersylia ma curke (*tak*); spodziewam się, że pan będzie tak grzeczny i powinszuje mi wnuczki... Przez lato nieźle się miałam, ale teraz trochę znowu cierpiącą jestem, jednakże mam się znacznie lepiej, jak byłam, wyjeżdżając z Wilna, to i Julek teraz lepiej wygląda, bo jak przyjechał z Wilna, to był bardzo mizerny...» I wreszcie ostatnia wzmianka w liście Odyńca do brata, z Drezna (18—30-go marca r. 1831-go): «Z największem podziwieniem spotkałem

wczoraj w kawiarni tylko co przybyłego Julka! — który tu z miesiąc ma zabawić.»

Obficie natomiast drobnych, ale nie pozbawionych interesu szczegółów, dotyczących życia i otoczenia Odyńca w Warszawie.

«Wiele bardzo — pisze do ojca 4-go października 1826-go roku — winienem przyjaźni Krasieńskiego (Waleriana); często poświęca dni całe dla obejścia ze mną okolic warszawskich, lub oddawania ze mną wizyt w domach, gdzie mnie wprzód zapoznał. Prócz tego w każdym czasie mógłbym dostać u niego, wieleby mi się podobało, do pożyczania pieniędzy. Wdzięcznym mu jestem za jego dobroć, choć nie mam potrzeby korzystać z niej... Z nim najczęściej, jak pisałem wyżej, odbywam wizyty, do których gwałtem mnie przymusza, choć to mi na dobre wychodzi. Byłem onegdaj u ministra Grabowskiego. Zawsze bardzo grzeczny i uprzejmy. Ale najbardziej byłem kontent z milej znajomości, którą tam zabrałem z xięciem Konstantym Radziwillem<sup>1)</sup>. Przedziwny, wyborny człowiek; w przeciągu pół godziny poznaliśmy się doskonale; nie wiem, czy kogo polubiłem kiedy tak prędko. Żyję w ścisłej przyjaźni z Waleryanem. Mielśmy z nim być dzisiaj, ale chyba jutro u Radziwiłła będziemy... U generała Krasieńskiego bywam zwykle dwa razy na tydzień, lecz często przysyła, prosząc umyślnie, zwłaszcza jeżeli dla kogo większy obiad wydaje; taki był onegdaj dla xięcia Maurokordato, brata naczelnika Grecyi, który opowiadał wiele o Grekach i Sułtanie, którego zna osobiście i któremu noty podawał. Piękny niezmiernie człowiek, przytem światły i uczony i miły w towarzystwie...»<sup>2)</sup>.

Zaś w innym liście:

«...W tych czasach może być, że się zajmę tłumaczeniem z angielskiego czterotomowego romansu, za co mi

<sup>1)</sup> Ożenionym z Karnicką, ojcem ks. Mikołaja, Konstantego, Macieja, Karola i Dominika.

<sup>2)</sup> z 27-go października r. 1826-go.

xięgarze ofiarują 1,200 zł. Nie obowiązałem się jeszcze dotąd. Radbym jednak, gdyby to przyszło do skutku, bo oprócz pieniędzy skorzystałbym wiele w angielszczyźnie i w samym polskim stylu. Czasu tu mam dosyć, zwłaszcza nie mając wielkiej ochoty bywania po towarzystwach...

«...Otwarło mi się też źródło niepospolitej przyjemności. Przed kilkunastu dniami, znajdując się w towarzystwie z jednym uczniem dramatycznej szkoły, oświadczyłem, iżbym rad wytlómaczył dla Teatru jaką sztukę z niemieckiego lub angielskiego, gdyby mi za to frejowy bilet dać obiecano. Nie przywiązywałem żadnej wartości do tych słów nawiasem mówionych, gdy nagle w przeszły wtorek tenże sam pan przynosi mi od komitetu teatralnego żądany bilet z bardzo grzecznym listem p. Kudlicza, w którym mię prosi o przyjęcie jego, żadnych wzajem nie naznaczając warunków. Wdzięczny za tę grzeczność i delikatność, poznałem się z p. Kudliczem i wkrótce zajmę się tlómaczeniem sam nie wiem jeszcze jakiej sztuki, prozą. Tak więc 4 wieczory na tydzień przyjemnie przepędzać mogę. Prócz tego, tytułem cudzoziemca, Waleryan Krasieński wprowadził mię na Ressurs. Jest to zabawa publiczna na wzór wileńskiego Kasyna. Członkowie, składający towarzystwo (a jest ich bardzo wielu), płacą corocznie pewną ilość (4 dukaty), za które pieniądze wybrani dyrektorowie najmują mieszkanie, muzykę i inne tym podobne zastępują expensa. Każdy członek może wprowadzać jednego gościa. Resurs każdego dnia jest otwarty dla członków i wprowadzonych gości, gdzie się bawią w billard, czytają pisma peryodyczne etc. — ale raz tylko, w sobotę, bywają damy... Zabawa jest prawdziwie przyjemną, łączy cały wdzięk prywatnej i swobodę publicznej. Towarzystwo jest wybrane i nikt do niego pierwiej wejść nie może, póki większością wotujących członków wybranym nie będzie. Ja nie mam ochoty płacić 4 dukatów, zwłaszcza, że i tak mogę bywać, kiedy mi się podoba...» (do ojca, 6-go listopada 1826-go).

«...Niczego mi tutaj nie braknie; dochód przewyższa

potrzeby, praca niezbyt uciążliwa, a czas wolny przyjemnie przechodzi... W czasie zbliżających się świąt (Wielkiejnocy) być może, że wyjadę na wieś z młodym Krasieńskim, synem Generała, który mię o to prosił... Czy odesłał Ignacy Chodźko dzienniki warszawskie? Są w nich niektóre moje roboty, chociaż bez podpisu. Bo też nic drukować nie myślę przed ukończeniem mego dramatu<sup>1)</sup>, o którym w przeszłych listach pisałem. Chciałbym, aby go już grano przed wyjazdem moim do Litwy, a jeszcze mi zostaje kilka scen do ukończenia, ale nadzieja w wiosennem natchnieniu! Nikt tu w Warszawie nie wie o tem, co piszę, i do pierwszej reprezentacyi wiedzieć nie będzie, oprócz mego przyjaciela Brodzińskiego, prof. literatury w uniwersytecie tutejszym, któremu po skończeniu pokażę. Los tej sztuki, nie wątpię, że wielki będzie miał wpływ tak na dalsze moje literackie prace, jako też i na moje powodzenie. Dotąd w podobnym rodzaju nie mamy żadnej w literaturze naszej. Chwała pierwszeństwa romantyczności dramatycznej byłaby przy mnie, jak jest przy Mickiewiczu pierwszeństwo romantyczności lirycznej, o którą, jako jego adyutant, ustawne tu wojny odbywać muszę. To tylko dobrze, że mamy większość sprzymierzeńców<sup>2)</sup>.

W październiku tegoż roku pisze do ojca, że *primo* uczy się pilnie angielskiego języka, aby móżdż nim mówić; że *secundo* «wkrótce będę się musiał zająć zrobieniem drugiej edycyi moich poezyi, bo już ostatnie egzemplarze rozkupione zostały, a we Lwowie grożą mi przedrukowaniem, czego bym sobie wcale nie życzył;» że *tertio* pracuje pilnie nad językiem niemieckim, aby móżdż nim posługiwać się w mowie potocznej.

A w kalejdoskopową tę wiązanąkę położmy i następujący urywek:

---

1) «Izora», dramatyczna praca, wcale nie najlepsza, autora «Felicyty», «Barbary» i «Jerzego Lubomirskiego;» nazbyt rozwichrzony romantyzm nadaje jej charakterystyczne piętno.

2) Wrzesień 1827.



«...Weszło tu teraz w modę ogólne na wszystkie prawie choroby lekarstwo, a tem jest biała gorczyca. Spodziewam się, że «Kuryer Litewski» musiał przedrukować z gazet warszawskich obszerną wiadomość o sposobie jej zażywania i o dobrych stąd skutkach. Bierze się 3 razy na dzień po łyżeczce kawianej, dwa razy rano i w południe na godzinę przed jedzeniem, a wieczór, kładąc się spać. Ziarna polykają się całkiem; kto nie może połknąć na sucho, ten może zapić wodą. Gorczyca powinna być wybrana sama tylko biała — lekarstwo to ma być pomocne na wszystkie z żołądka pochodzące choroby. Skutek jego wszakże nie tak prędko się okazuje, trzeba je zażywać najmniej przez trzy miesiące. Otóż i ja biorę to lekarstwo, ale że jeszcze niema trzech miesięcy, jak zacząłem, nie mogę sądzić o jego skuteczności. Najzdrowsi ludzie mogą go zażywać (tak!); radzę więc go doświadczać.

«W zatrudnieniach moich zaszyły korzystne, jak mi się zdaje, odmiany. P. Ordynat wezwał mię, abym dawał lekcyje literatury polskiej przedostatniemu jego, 17-to letniemu synowi, który w roku przeszłym skończył liceum.

«Chętnie przyjąłem wezwanie, pochlebnie mię o dobrej o mnie opinii Ordynata przekonywające. Ułożyłem krótki plan przyszłych lekcyi, który się p. Ordynatowi podobał. Odtąd mam trzy razy na tydzień dawać je — wczoraj była pierwsza. Nie wiem, jak pójdą dalsze, o czem w następnym liście nie zaniedbam donieść. Mam także raz w tydzień towarzyszyć memu elewowi na lekcyje literatury w Uniwersytecie i niekiedy na spacer, o co mię p. Ordynat bardzo pochlebnie prosił»<sup>1)</sup>.

«...Generał Krasieński obowiązał mię, abym z nim pojechał na Podole, dokąd się ma udać po wyjeździe Cesarza z Warszawy. Jeżeli więc ten projekt przyjdzie do skutku, wracając z Podola, niezawodnie zabiegłbym do domu (do Giejstun)... W ministeryum Oświecenia podobno że prędezej

---

<sup>1)</sup> Do ojca, 28-go listopada. 1827-go.

później otrzymam jakąś posadę. Minister bardzo łaskaw na mnie, chociaż go sam nie prosiłem, już mi kilka razy o tem nadmieniał. Proponował mi nawet dwa miejsca, ale tych nie mogę przyjąć, wolę poczekać na lepsze. Wreszcie mam łaskawych protektorów, którzy się za mnie u Ministra układają i targować przyrzekli. Mówię to o Pani Wojewodzinej Kickiej, kuzynce Ministra, w której domu jak przedtem tak i teraz najprzyjemniej się bawię i codzień prawie bywam... Mówił mi Komorowski, że się go Papo pytał o moim dramacie. Doniosłem już, zda się, iż go na teatr nie dają, ale przed dwoma tygodniami posłałem go Mickiewiczowi, podług którego uwag poprawiwszy, myślę go wydrukować na wiosnę, choćbym miał przez to omylić nadzieje i nie odpowiedzieć oczekiwaniu nadto pobożających sędziów pierwszych moich poezyi»<sup>1)</sup>).

Dobre stosunki z ordynatem nie ustają. W maju tegoż 1812-go roku wybiera się pieszo z Augustem Zamoyskim, elewem swoim, na wycieczkę do Puław, i cieszy się, że piękną tę miejscowość oglądać będzie. W lipcu zaś jest już u Zamojskich w Podzamczu, gdzie czas mu nader mile schodzi. Polują, jeżdżą na spacer, długie prowadzą rozmowy, zwiedzają liczne dobra i folwarki Ordynacyi, a co czas jakiś daje Odyniec niby to lekcyę. p. Augustowi. Z ordynatem jadą do innych jeszcze dóbr na dłuższy pobyt, do Klemensowa, gdzie rozłączają się, albowiem Zamoyski do Warszawy ma wrócić, Odyniec zaś na Brześć podąży, — za urlopem ordynata — na czas pewien do Giejstun. W liście, pisanym do ojca z Klemensowa, prosi, aby konie z Giejstun czekały na niego w Lidze mniej więcej około 28 sierpnia starego stylu. A Klemensowem zachwycony:

«...Klemensów — pisze — główna nasza kwatera, jest to piękny bardzo pałac w najpiękniejszym położeniu, samotny na wierzchu pagórka, otoczony z jednej strony ogrodem, z drugiej ślicznymi różnych drzew klombami.

---

<sup>1)</sup> Do ojca 15-go (27-go) marca 1828-go.

Tydzień zaraz po przyjeździe przepędziliśmy w trzecim majątku Zwierzyńcu, gdzie jest stolica Ordynacyi, tak nazwanym od ogromnego zwierzyńca, w którym znajduje się mnóstwo jeleni, sarn, etc... Przez parę dni objeżdżaliśmy z p. Ordynatem różne folwarki... Po tej niedzieli mamy znów udać się do Zwierzyńca, a stamtąd na zwiedzenie innych części Ordynacyi. Jest bo tu co zwiedzać! Sześćdziesiąt mil kwadratowych obwodu, a 90 tysięcy ludności. Oprócz tego jakie wszędzie gospodarstwo, jakie fabryki!

Oglądając je, ja, chociaż niewielki ze mnie gospodarz, nabieram gustu do gospodarki...»

Z Klemensowa, jak było na planie, podążył istotnie poeta do ukochanych Giejstun swoich i resztę wakacyi u ojca przepędził. W październiku atoli wraca znów do Warszawy, wstąpiwszy po drodze do Juliana Korsaka, mieszkającego w Strzale, a w Warszawie, nie tracąc chwili, nawiązuje w dalszym ciągu wątek przerwanych letniemi wycieczkami zajęć i prac. «Od samego przyjazdu — pisze do ojca w grudniu — bardzo czynnie zajmuję się wydaniem almanacha („*Melitele*“), o którym wiele razy mówiłem, a który już, dzięki Bogu, drukować się zaczął, bardzo pochlebnie ogłoszony w pismach publicznych... Spodziewam się, że dobrze wyjdę na tej entreprzyzie, to jest że powinienem mieć sześć tysięcy (oczywiście: złotych) dochodu — być może, że w przeciągu lat kilku».

Ale pobyt Odyńca w Warszawie, pobyt tak dla niego korzystny i przyjemny, miał się już ku końcowi. Przerywa go zaprojektowana nagle podróż do Petersburga (w maju 1829-go roku), a kres mu kładzie ostateczny wyjazd Odyńca z Warszawy za granicę 22-go lipca tegoż roku.

Poeta wchodzi w okres życia, upamiętniony przezeń tak świetnie «Listami z podróży», odtworzonymi w wiele lat później z notat i pamięci. Częstkę tych notat, bodaj że przez samego poetę nie wyzyskanych, — znajdujemy w listach leżących przed nami. Potwierdzają one nie jeden szczegół, w «Listach z podróży» zarejestrowany, że jednak

mają piętno bezpośrednio rzuconych na papier wrażeń chwili, sądzić nam wolno, iż na powtórzenie za rękopisem zasługują.

Przypomnijmy przeto, że Mickiewicz, przyszły Odyńca towarzysz w zagranicznej podróży, odpłynął był z Petersburga (właściwie mówiąc z Berdazawodu) dnia 15-go maja (w czasie pobytu Odyńca nad Newą); że przez Lubekę, Hamburg, Berlin, podążał do Drezna. Przybywszy tam około 5-go lipca, odbywa wycieczkę do Saskiej Szwajcaryi i do Czech, skąd jedzie prosto do Karlsbadu. Tam to застаje go Odyniec, stanąwszy w Karlsbadzie 10-go sierpnia 1829-go. Data to według nowego stylu, jak okazuje się z listu Odyńca, pisanego do ojca z Karlsbadu pod datą 31-go lipca (12-go sierpnia). List ma kilka dopisków, świadczących, że Mickiewicz i Odyniec niemal natychmiast po spotkaniu się w Karlsbadzie w dalszą puścili się drogę: «...z Drezna — pisze Odyniec — wyszedłem piechotą przez Szwajcaryę Saską. W trzech dniach zrobiłem mil 7 po górach, skałach, wąwozach, a jednak nie czułem się zmęczonym. Przedwczoraj wieczorem stanąłem w Karlsbadzie i znalazłem towarzysza dalszej podróży. Karlsbad, miasteczko niewielkie, w dole pomiędzy górami. Potoków dużo. Dziś wieczorem wyjeżdżam do Marienbadu o cztery mile stąd, gdzie się z panią Bécu spodziewam obaczyć... Z Marienbadu jadę do Wejmaru. W Dreźnie zrobiłem znajomość ze sławnym muzykiem Hummelem, który mieszka w Wejmarze i już mnie do siebie zaprosił... *Marienbad 14-go sierpnia*: Wczoraj przyjechałem do Marienbadu. Miasteczko składa się tylko z 49-u domów, ale bardzo piękne i wesołe, chociaż otoczone górami i lasem. Podoba mi się lepiej niż Karlsbad. Zastałem panią Bécu. *Francisbrunn 15-go sierpnia*: Jest to miasteczko bardzo ładne o pół mili za Egrą. Stanąłem tu dziś extra-pocztą i jutro raniutko do Wejmaru wyjeżdżam...» Egra (Eger), do której tylko zajrzał Odyniec, nie podobała mu się. Stare i brudne — pisze — miasto. Nie podobali mu się również Austryacy.

«Austriacy — pisze — ani się umyli do grzecznych i uprzejmych Saxów, mianowicie mieszkańców Drezna».

Dnia 17-go sierpnia stają obaj podróżnicy w Wejmarze, odwiedzają Goethe'go, bawią tam dwa tygodnie i udają się nad Ren. Z pobytem nadreńskim wiąże się epizod, zanotowany u Chmielowskiego («Ad. Mickiewicz», II, 34): «Odyniec wyjechał przez Kolonię do Akwizgranu dla widzenia się z rodziną ordynata Zamoyskiego, której wiele zawdzięczał. Mickiewicz zaś pozostał w Bonn — czekając na powrót Odyńca».

Tymczasem Odyniec sam, wspominając o tej właśnie wycieczce swojej do Akwizgranu w liście do ojca z Rzymu 28-go lutego r. 1830-go, pisze: «Będąc w Kolonii nad Renem, zrobiłem przez jedną noc 20 mil drogi od Akwizgranu, chcąc się tam obaczyć z panem Ordynatem. Wyjechał już był do Paryża, zastałem tylko samą (Ordynatową) i zabawiwszy godzin kilka, wróciłem nazad, gdzie mię czekał Mickiewicz. Z p. Augustem pisujemy do siebie niekiedy i tego lata spodziewam się z nim w Genewie obaczyć.» Owo «gdzie» pozwala przypuszczać, że Mickiewicz nie czekał na powrót Odyńca w Bonn, ale w Kolonii.

Dnia 18-go listopada przybywają do Rzymu. Czekają tam na nich — szkaradna zima. Jeden z pierwszych listów Odyńca wysłanych do Giejstun nosi datę 4-go stycznia r. 1830-go i rozpoczyna się skargą na zimę włoską<sup>1)</sup>.

«...Nic szkaradniejszego nad zimę włoską. W stancyach zimno nie do wytrzymania, na dworze deszcz nieustanny.

---

<sup>1)</sup> Mniej więcej w tym samym czasie, 2-go lutego r. 1830-go pisze Mickiewicz do Fr. Malewskiego: »Dotychczasowy pobyt w Rzymie nie tak zazdrosny, jakby się zdawało. Klimat dręczy nas okropnie... ciągła wilgoć chłodna, ciągły deszcz i ślota, przemieszane ciągłym śniegiem, wyjrzeć na świat nie pozwala. Jeśli się pokaże dzień piękny i letni prawie, w domu za to wieczna zima. Dwa miesiące siedzę zaszyty w kaftan, szlafrok i płaszcz. Wychodząc tylko, lżej się ubieram... Chłód tak mię zdemoralizował, że muza usnęła, a ręki z pod płaszcza wytknąć nie śmiem, i teraz pisząc, w palce chucham».

Prawda, że po ogrodach róże i pomarańcze kwitną i nad dwa stopnie mrozu więcej nie było. Ale ja wolę 20 stopni u nas, gdzie są kochane piece...» Dzień schodzi na czytaniu i na zwiedzaniu galeryi i muzeów, wieczorem na towarzyskie zebrania. «Od wielu lat — pisze — nie było w Rzymie tylu razem Polaków. Jest ich przeszło 30-tu. Wielu mieszka domem, jak państwo Potoccy z Krakowa, państwo hrabiowie Ankwiczowie etc. U ostatnich często przepędzamy miłe wieczory i niekiedy pyszne zjadamy obiady. W tej chwili przynoszą mi zaproszenie od xięcia Gagaryna, posła naszego, na bal, na pozajutro, to jest na pierwszy dzień świąt ruskich. Za godzinę idę na obiad do xiężnej Wołkońskiej, która mi nawet przesłanie tego listu ułatwia.»

Kilka szczegółów o kosztach pobytu w Wiecznym mieście. I tak: «Za dwie dobre stancye, z meblami, pościelą i wszelkimi sprzętami płacimy we dwóch 10 piastrów — prawie 100 złotych naszych (na jaki przeciąg czasu?). Obiad z winem kosztuje najwięcej dwa paole i pół, dwa złote nasze i coś. Najlepszy 4 paole ( $\frac{1}{2}$  rubla). Szklaneczka kawy płaci się dwa bajoki, 5 groszy naszych. Cytryna, pomarańcze, po bajoku. Ale pomarańcze szkodliwe, kwaśne jak ocet, jeść nie można, chyba jak rok poleżą...

«Szósty miesiąc wkrótce upłynie od wyjazdu mego z Warszawy; sam jeszcze nie mogę przewidzieć, jak jeszcze długo będę wałęsał się po świecie. Śmiem jednak pochlebiać sobie, iż ten czas bez korzyści mi nie upłynie. Nic nie mogłem zrobić mędrszego, nad przedsięwzięcie podróży.»

Ale minęła zima; wiosenne słońce Rzym zalało; projekt wycieczki do Neapolu jał dojrzewać.

«Przed kilku dniami — pisze do ojca 12-go (24) kwietnia — przybył tu mój dawny kolega i przyjaciel Januszkiewicz (Adolf), brat tego, z którym w roku przeszłym do Petersburga jeździłem. Ma czekać w Rzymie, póki nie

wrócę do Neapolu, i razem potem dalszą odbędziemy podróż, z której niewątpliwie spodziewam się na przyszłą wiosnę do Giejstun powrócić <sup>1)</sup>).

«Podczas Wielkiejnocy widziałem wszystkie obrządki rzymskie. O wielu z nich można powiedzieć: nie taki lew straszny, jak go malują. Nigdy jednak nie zapomnę wrażenia, jakie na mnie zrobiło błogosławieństwo Papieskie...

«Przed wyjazdem mamy prosić xięcia Gagaryna, aby nam raczył wyjednać prywatną audyencyę u Ojca św., której nikomu nie odmawia (do czego nie przyszło).

«Rzym na wiosnę jest niewypowiedzianie piękny, i przestałem się dziwić, że ci wszyscy, którzy w nim długo mieszkają, przywiązują się do niego jak do własnej swej ojczyzny. Chętnie go jednak opuszczam <sup>2)</sup>, bo wszyscy ci, z którymiśmy tu żyli, wyjeżdżają codziennie i wkrótce nikogo nie będzie.

«W czasie świąt naszych, w towarzystwie państwa Ankwiczków i kilkunastu Polaków zwiedzaliśmy piękne okolice Rzymu o kilkadziesiąt mil naszych od miasta odległe. Myśl moja jednak ciągle była w Giejstunach lub w Brodowszczyźnie...»

O podróży z Rzymu do Genewy przez Genuę, Medyolan, a w części pieszo przez Alpy, mamy pobieżną tylko bardzo relacyę w liście do ojca pisanym z Genewy w sierpniu r. 1830-go. Potwierdza w nim Odyniec znane spotkanie z Zygmuntem Krasieńskim i Augustem Zamoy-skim, z którymi rozmaite wycieczki po dalszych i bliż-

---

<sup>1)</sup> Wrócił Odyniec do kraju dopiero w r. 1837-ym.

<sup>2)</sup> O niedyspozycyi Mickiewicza w Rzymie przed samym odjazdem do Neapolu potwierdza słów kilka w liście Odyniec do brata, z 29-go kwietnia: «Kilkodniowa słabość Adama dotąd nas zatrzymała w Rzymie.» Mieli wyjechać 4-go maja. Odyniec pisze do brata dnia 3-go maja: «Jutro dopiero wyjeżdżamy do Neapolu,» a Mickiewicz dnia 4-go maja ofiarowuje Henryce Ankwicównie dwa tomy utworów swoich i pisze na okładce: «Ewie A. w dzień odjazdu z Rzymu.» Odjazd ów atoli, długo odwlekany, nastąpił dopiero 6-go maja r. 1830-go.

szych okolicach Genewy odbywa. Głównym celem rzeczowego listu było wybadanie usposobienia rodzica względem matrymonialnych planów, zaprzatających podówczas Odyńca. Prosi też ojca o rychłą do Genewy odpowiedź, od odpowiedzi tej bowiem zależeć będzie dłuższy lub krótszy pobyt jego za granicą. Wtedy jeszcze miał Odyniec nadzieję wrócić niezwłocznie do kraju, poślubić narzeczoną swoją, osiąść na wsi w Giejstunach na czas dłuższy, a — pisze — «czas pobytu na wsi chciałbym poświęcić na napisanie mojej podróży po Włoszech. Dzieło to, spodziewam się, że mi jej koszta powróci.»

Okoliczności chciały inaczej. Późną jesienią, d. 10-go października, nastaje dla Mickiewicza i Odyńca chwila rozstania po 14-tu miesiącach wspólnego podróżniczego życia. Odyniec zostawał w Genewie, Mickiewicz odjeżdżał do Rzymu. Rozstanie było smutne. «Myśl, że może już nigdy się nie zobaczą — pisze Z. Krasieński do ojca — rzucała barwę boleści na tę chwilę. Sciskali się długo; Odyniec ze łzami w oczach, Mickiewicz ze stalszą postawą, ale z twarzą, na której znać było najgłębszy smutek. Tak się rozjechali i Odyniec żałował go, jak gdyby kochanki.» W szesnaście dni po rozstaniu się z Mickiewiczem pisze Odyniec list melancholiczny do brata: «Ja jestem zdrow, ale od dwóch miesięcy siedzę, dyabeł wie po co, w Genewie...»

Opuścić ją miał niebawem. Wiosną następnego 1831-go roku już jest Odyniec w Dreźnie, gdzie dłużej ma pozostać i skąd gęste szle do ojca i brata listy. Poruszane w nich atoli sprawy czysto rodzinne nie wchodzą w zakres tej notatki, porzestajemy przeto tylko na zaznaczeniu, że wlokący się czas urozmaica sobie poeta literackimi pracami, podtrzymywaniem towarzyskich stosunków, a wreszcie krzepi mu ducha niewyczerpany optymizm i pogodny na sprawy życiowe pogląd, znamionujące jego usposobienie. Jako jednak *curiosum* pozwalamy sobie wyjąć z wrześniowego do ojca listu ustęp tak brzmiący: «Cholera i tutaj



już się przybliża... Ja się bynajmniej jej nie lękam, a nawet ani myślę o niej. Śmiech mnie tylko bierze, widząc przestrach Niemców i niektórych moich znajomych, mianowicie dam. Uzbrajają się jak mogą w pasy, plastry etc. Te ostatnie mianowicie bardzo były w modzie. Składają się poprostu z żywicy, nasmarowanej na papierze lub skórze, która się dla utrzymania ciepła na żołądek przykleja. Gwałtem chciano mię niemi opatrzyć, ale szczęściem nie przyjąłem — gdyż wszyscy ci, co ich użyli, musieli je po kilku dniach ze skórą prawie oddzierać, taką irytację sprawiały i tak mocno przyłgnęły do ciała. Ja więc, który im wciąż byłem przeciwny, tryumfuję teraz i śmieję się. Zresztą mam na stoliku nieszczupły zapas zaprawnych octów, perfum i kadzideł, któremi mię szanowna pani Dobrzycka obsyła.»

Kto była owa pani Dobrzycka? — «Znalazłem tu wielu życzliwych dla siebie, — pisze Odyniec — których przyjaźń wiele mi czyni zaszczytu i przyjemności. Między innymi jest tu niewypowiedzianie zacna, dobra i przyjemna staruszka, pani Dobrzycka, od kilkunastu lat mieszkająca w Dreźnie. Córka jej jest pierwszą damą dworu przy księżniczce Augustie, córce nieboszczyka króla. Jestem w ich domu jak syn i brat. Prawdziwie trudno opowiedzieć wszystkie dowody dobroci i przychylności, których od nich doznaję. Wszystkie wieczory zwykle u nich przepędzam, a od kilku miesięcy z obowiązku prawie codzień muszę być na obiedzie. Przyjaźń ich tem więcej mi czyni honoru, że obie te damy (córka ma już przeszło 40 lat), są tu celem powszechnego szacunku tak ze względu rozumu, jako też dobroci i szlachetności serca.»

I ta dobra, zacna pani Dobrzycka, o której tyle razy Odyniec w drezdeńskich listach swoich wspomina, umarła w rok niespełna potem, w tymże Dreźnie, w kwietniu roku 1832-go... Zwłoki jej złożono do grobu w Töplitz.

Minęło lat wiele, lat trzydzieści.

W lipcu r. 1862-go jest znowu w Dreźnie Odyniec i zaraz nazajutrz po przybyciu do miasta pełnego dlań tylu wspomnień, «obszedłszy dawne ślady i pamiątki moje,— jak pisze do brata — jeździłem wczoraj do Töplitz z marszałkiem Lubańskim (przez którego ten list piszę) dla odwiedzenia tam grobu pani Dobrzyckiej.»

Nie zawiodły poety ani pamięć, ani serce.

Aż oto nareszcie on sam, weteranów weteran, w grób się położył «jako kłós dośpiał», odprowadziwszy do mogiły tylu, tylu rówieśników i druhów najserdeczniejszych, z którymi go po drogach żywota tak ściśle, tak długo trwale węzły łączyły... Iluż on druhom przez lat dziesiątki dochował wiernie pamięci i serca! Niechże go pamięć i serce nie zawiodą tych, którzy go, ostatni niemal, poznać i pokochać jeszcze zdążyli, i oby długo jeszcze samo proste wymienienie nazwiska Odyńca budziło tyle wspomnień przeróżnych, ile ich obudziła w nas ta garść listów, garść pamiątek...



# JÓZEF KENIG.

---

Piórem spisanem do połowy, o wystrzępionem skrzydełku, zgrubiałem od warstwy atramentu i kurzu, co przez lata całe na niem osiadały, piórem, dobytem gdzieś z pod pliki pożółkłych papierów i bibulastych dzienników z zapomnianej szuflady staroświeckiego biurka — kreśliłoby dzieje życia Józefa Keniga. Stalka nowa, błyszcząca, krucha, przed chwilą osadzona, a którą w gorączkowej pracy dziennikarskiej za chwilę inna zamieni — wystarczy jedynie na konturowe zaznaczenie sylwetki tej niepowседневnej postaci, wychodzącej z tła dziennikarskiego świata Warszawy, jakby pozostała oto jeszcze z tamtego, dawniejszego obrazu, co się pod warstwą świeżego malowidła ukrywa. W postaci tej — inna gra kolorów, inny styl, inny rysunek... Sypnął dokoła niej «modernizm» plamy jaskrawe, jakieś niebywałe efekta, jakieś kolorystyczne ekstrawagancje, jakieś cudackie pomysły, jakieś sztuczne łamanie się światła i cienie sztucznie przeczernione — a sylwetka oto z tego dawniejszego obrazu pozostała nietknięta, trochę tylko jakby przyblakła, i czasem tylko zamieni się nagle refleksami od następujących na nią zblizka barw świeżością jaskrawych.

Oto szarem, jesiennem popołudniem, zatłoczonym chodnikiem najgwarniejszej ulicy, sunie się najstarszy dzien-

nikarz polski — z Nowosenatorskiej, przez Plac Teatralny, Niecała, ogrodem Saskim, na Mazowiecką do redakcyi «Słowa», gdzie właśnie prasa drukarska odbija jego artykuł wstępny polityczny, a w odcinku spokojne, trochę rozwlekłe, reminiscencyami upstrzone sprawozdanie ostatniej teatralnej «premiery». Postać wysoka, sucha nieco, odrobinę pochylona; ręce w kieszenie krótkiego palta zasunięte; na głowie miękki filcowy kapelusz, z pod którego wymykają się siwe, lekko karbujące się włosy; profil wyrazisty o regularnych rysach; broda krótka, puszysta, siwa zupełnie; oczy zawsze łagodne, często uśmiechnięte. Czasem przechylił się trochę na bok i idzie tak, jakby gonił kogo; nie goni, zamyślił się tylko i roztargniony, machinalnie przed siebie pomyka.

Na krótkiej przestrzeni spotyka więcej znajomych, niż niejednen, przeszedłszy miasto całe. Kenig, gdy mijając damę uchyla kapelusza, ma w geście dużo dawnej, dobrej dworskości; do znajomego idzie wprost, z ukłonem się nie kwapi, tylko serdecznie ściska za rękę. Wstrzyma, przystanie i, im dłużej ot, tak, na stojąco, da się pogawędzić, tem lepiej. Tytułują go «panem redaktorem» — on powiada nieodmiennie «ty», i tak jakoś umie elegancko a serdecznie ominąć «pana», że nikomu jeszcze nie przyszło na myśl uskarżać się na to.

— Uważasz, — mówi — skończyłem robotę (Kenig pisania nigdy inaczej nie nazywa) i *comme de raison* wyszedłem...

«Uważasz, *comme de raison*...» Nikt owego «uważasz, *comme de raison*» nie wplata raz po raz w rozmowę; jeden Kenig.

W «Słowie» redakcyjne zajęcia już ukończone, «numer zamknięty»; można do dłuższej z tym, owym usiąść gawędki, a rozmawiać Kenig lubi; źle mówię — rozmawiać lubi: lubi opowiadać. W szeroko, płasko rozłożonej ręce, drżącej cokolwiek, pojawia się papieros i jak dym z niego w fantastyczne esy floresy, tak wywija się z ust Keniga

rzecz rozpoczęta najświeższą wiadomością o traktacie handlowym, a zakończona, źle mówię: urwana na dalekiem wspomnieniu o pannie Żuczkowskiej, gwiazdzie scenicznej z przed czterdziestu laty, o tenorze Dobrskim, lub o pani X. X., co pod świeżem wrażeniem rozmowy z Ludwikiem Filipem... I wciąż rozmawiając, Kenig bierze ze stołu angielską gazetę, składa w kilkoro, w kieszeń kładnie, a tymczasem już dziwuje się najnowszemu kierunkowi w malarstwie francuskiem, lub o powieść świeżo przeczytaną zaważił.

Ma w sobie Kenig trochę móla księgarskiego, bez najmniejszego odcienia pedantyzmu, trochę salonowca, trochę «bohemji»; towarzystwo lubił i lubi zawsze; salon i wesołe męskie kółeczko mają w nim dotąd pożądanego zawsze gościa; sięgający stosunkami szoroko, nigdy ze stosunków tych parady nie robi; rad z pewnem odcieniem próżności nazywać siebie inwalidem starej gwardyi, ale potroszę dlatego, aby też zaraz wykazać, jak owa stara gwardya «poddawać się» nie zwykła. Bo, że niejednego z młodych stary Kenig w jakichbądź «kampanjach» towarzyskich przetrzyma — to pewna. Kto go nie widział w Zakopanem, wracającego późnym wieczorem z wycieczki, hen, gdzieś bodaj na Czerwony Wirch i dzielącego się z przewodnikiem misą potężną jajecznicy z wędliną, ten chyba tylko podejrzliwie może patrzeć na wąża, napozór postać «starego gwardzisty» i na siwiznę, co mu głowę przyprusza.

Kenig jest stałym bywalcem teatralnym, z zawodu, jako sprawozdawca «Słowa», i z upodobania. Nie darmo pisze się «o teatrze» lat kilkadziesiąt. Ale artystów dzisiejszych Kenig traktuje zgoła inaczej, niż koledzy jego w krytycznym zawodzie. On znał przecie ojców ich ojców i matki ich matek, a gdy za kulisy go pociągną, to: «uważasz», nie trzeba z nimi ostro i z góry, ale ot, łagodnie, zwrócić uwagę, to pochwalić, to zganić, dobrą dać radę, aby *comme de raison* czuli, że podobnie jak my ich, tak oni nas obchodzą». W antrakcie, na premierze, wraca Kenig do trze-

ciego rządu krzesel jakiś zafrasowany, chyli się na tę, na ową stronę.

— Chora. Przychodzę aby zwrócić jej uwagę na to wejście w pierwszej scenie, które zupełnie chybia celu, a tu ręce gorące, głowa w ogniu i *comme de raison* lzy w oczach. Myślałem: babskie grymasy; ale nie, przeziębła wczoraj, a znowu dziś ta gorączka premiery... lękam się o trzeci akt.

I następnie ta *quasi* ojcowska troskliwość przyjaciela wnuczki dawnej znajomej przejdzie do sprawozdawczego sądu, złagodzi wyrażenia, zabarwi ciepłem rady serdecznej ocenę gry aktorki, co tłumiąc dreszcze febryczne, wysiłkiem gorączkowym utrzymała się do końca w świetle kin-kietów scenicznych.

Kenig nie pozuje nigdy; umie tylko w danym wypadku utrzymać swoją powagę, a dobrze wychowanym jest zawsze. Gdy chce, wybije się nad tłum pewnością siebie, śmiałem odezwaniam się i charakterystyczną postacią; nie narzuca się, ściąga tylko uwagę. O lepszego towarzysza, dotrzymującego placu przy robocie i zabawie — trudno. Do dziś dnia zachował zdumiewającą żywotność umysłu i czynności, cechę rodzinną Kenigów.

Należy on jeszcze do pokolenia, co żyło niż my inaczej, co wyczerpywało kwestyę do dna, powolne a długie odbywało podróże, nie zamieniało, ale rozwijało myśli w rozmowie i piśmie; szeroko i długo lubi mówić Kenig, szeroko i długo lubi pisać. Nadto długoletnia omnipotencya redaktorska w «Gazecie Warszawskiej» wyrobiła w nim trochę apodyktyczności, a wiele nierachowania się z warunkami pisma. Jego pismo to był on sam. Tedy gdy lat kilka temu porzucił «Gazetę», aby do niej już nie zajrzeć, z trudnością mu przyszło nowy krój dać nowej «robocie»; nagiął się, ale — padł nań pewien cień podrażnienia i swobodny humor Keniga przygasł nieco. Otworzyły mu natychmiast szpalty swoje i «Słowo», i «Niwa», i «Tygodnik Ilustrowany», i «Biblioteka Warszawska», ale on,

który nigdy poza «Gazetą» nie dotknął piórem żadnego pisma, musiał się oto rozdrabiać, przepolawiać: tu artykuł polityczny, tam społeczny, ówdzie sprawozdanie teatralne, gdzieindziej studjum biograficzne. Pierwszy raz może czuć mu się dało — zmęczenie. Ale któż kiedy spoczął do końca życia, kto się dziennikarskiego dotknął pióra?

I pisze Kenig — dalej wciąż pisze. W gabinecie jego na Nowo-Senatorskiej, na kupy książek dawnej daty, zawałające pokój cały, piętrzą się wciąż i piętrzą coraz wyżej warstwy napływającej z dnia na dzień bibuły książkowej i gazetciarskiej. Już ten potok szaro biały, upstrzony różnobarwnymi tu i ówdzie oprawami, przelewa się do sąsiedniego salonika, grożąc powodzią kanapie, fotelom i stolom, ba, wazonom u okna.

Ściany gabinetu od dołu do góry wytapetowane grzbietami książek; biuro czterołokciowe, przysunięte do okna, zatopione w gazetach i książkach; na niem, przed fotelem, wolnego miejsca kawałek, ot, byle ćwiartkę papieru położyć. Wykwintu — omal; w saloniku kilka starych obrazków na ścianie. Całe *home* Keniga ma coś niecoś z mieszkanka Odyńca i coś niecoś z owej antykwarni Korotyńskiego w lokalu «Gazety» na Długiej. Tylko mnogość gazet, czerwieniące się tomiki gotajskiego «Almanacha» i w dosłownem znaczeniu «podręczniki» najrozmaitsze, w obfitości wielkiej, broszury, zdradzają odrazu pracownię *par excellence* — dziennikarza.

Tam to, zazwyczaj rankami, otulony w piaskową, grubą marynarkę, z papierosem w rękę, pracuje dzień w dzień Kenig.

Takim jest dziś. Jakim był dawniej? Nie moją pamięcią sięgnąć tak daleko wstecz. Łacniej mi przyszło wiązanę zebrać szczegółów życiowych, z których się samo przez się układa mozaikowy wizerunek Keniga. Wizerunek to tylko jednego człowieka? — chyba nie; to zarazem kartka dziejów piśmiennictwa naszego i kartka dziejów półwiekowych Warszawy, kartka, z której być może, sko-

rzysta kiedyś piśmiennictwa naszego i stołecznego miasta powołany dziejopis.

Kenigowie z Hanoweru rodem. Ojciec atoli byłego redaktora «Gazety Warszawskiej» na świat przyszedł w Wielawie, w kordonie pruskim, w które to strony rodzina była się przeniosła. Koleje życia przerzuciły go do byłego Księstwa warszawskiego, mianowicie do Płocka, gdzie wysoki przyszło mu urząd sprawować; tam też, w Płocku, w 1821 r. urodził się Józef Kenig. Matka, Romanowska z domu (*primo voto* Sławęcka), córka obywatela ziemskiego, z okolic krakowskich, gorliwa katoliczka, ojciec były wojskowy, lubiący życie szerokie a lekkie, tedy gościnnie i jednać sobie ludzi umiejący, dom nie na wystawną postawiony stopę, ale szanowany bardzo, ze szlachecką po gospodarzu i gospodyni tradycją, trzech braci, dwie siostry, oraz dwóch pasierbów z pierwszego małżeństwa pani Kenigowej, dom czysto polski, pod wpływem przeczacnej żony i matki zostający — oto najbliższe otoczenie żywego, nad wiek rozgarniętego i sprytnego malca.

Kiedyś w rozmowie zagadnąłem Keniga o matkę.

— Wszystko jej zawdzięczam — odrzekł mi — niepospolita była to kobieta, wielkiego serca i charakteru.

Przypuszczam przeto, że i pierwszą naukę z jej ust brać musiał, że z jej rąk otrzymał owe «wizerunki królów polskich», na objaśnieniach do których uczył się czytać, które mu tak w pamięci na zawsze utkwiły. W domu pp. Kenigów bywał podówczas nierzadkim gościem ówczesny brygadyer, a późniejszy generał Krukowiecki; i on też został jak żywy w najdalszych Keniga wspomnieniach, ów napoleonista, chłop duży, cały orderami okryty. Z pobytem też w Płocku wiąże się sylwetka niejakiego Kikiernickiego, oficera, co spotkawszy małego Józia na ulicy i wszcząwszy z nim rozmowę, tak ucieszył się z biegłości jego w historii własnego kraju, że mu pierwszy w życiu zafundował — funt cukierków.

— Co się stało z funtem cukierków, domyślam się —



rzekłem Kenigowi, gdy mi opowiadał tę anegdotę — ale co się stało z Kikiernickim?

— Z pod Ostrołęki — nie wrócił. Gdym się o tem dowiedział w Krakowie, żał mi go było serdeczny, ale już niekoniecznie dlatego, żem od niego pierwsze w życiu miał cukierki..

W r. 1830 jedzie Kenig, pod opiekę dobrego znajomego matki oddany, do Krakowa i umieszczony zostaje u ciotki swej, utrzymującej tam pensyę, a w rok potem zdaje już egzamin do trzeciej klasy gimnazjum św. Anny. Nastają czasy zaburzeń. Rozbitki pojawiają się na ulicach Krakowa, a niedługo potem Rydygier zajmuje Kraków. Spotkanie oddziału kawaleryi rosyjskiej i baterji, idących ku mostowi na Stradomiu, wojska w rynku stojące, krzyżujące się wieści, wreszcie szybki powrót do zwykłego spokoju miasta i okolicy, nie bez wpływu musiały pozostać na wyobraźnię uczniaka, chętnie kręcącego się podówczas pomiędzy ludźmi, a od czwartej klasy pomagającego ciotce w zajęciach oraz kierującego się o własnych siłach udzielanemi korepetycyami. W 1832 r. na pensyowego kolegę otrzymuje Kenig starszego znacznie od siebie studenta podówczas uniwersytetu, Gustawa Ehrenberga. Do bliższej zażyłości między nimi przychodzi dopiero wtedy, gdy i Kenig we dwa lata później (1834) kończy z odznaczeniem gimnazjum św. Anny i wstępuje na wszechnicę. Ehrenberg pierwszy zapoznaje go z «Panem Tadeuszem», Kenig zaś, po uwięzieniu przyjaciela i osadzeniu go na zamku, wywdzięcza mu się częstemi odwiedzinami. Uniwersytet krakowski w owe czasy splendorem naukowym nie jaśniał wcale. Oprócz Estreichera (ojca bibliografa), Maszkowskiego i paru innych, najwybitniejsze wśród grona profesorów zajmował miejsce Michał Wiśniewski. Przyłgął doń Kenig, a on zajął się gorliwie wiele obiecującym chłopcem; książki, przez Wiśniewskiego udzielane, pochłaniał Kenig skwapliwie, a umysł nie bystry może, ale głęboki profesora literatury i historyi powszechnej wpływ stanow-

czy wywarł, zwłaszcza na dalsze samodzielne kształcenie się młodzieńca. To też uniwersyteckie wykłady szły swoją drogą, a autodydaktyzm swoją; doszło do tego, że Kenig, chcąc prześcignąć w wiedzy profesora fizyki, Markiewicza, kiedyś z jego własnego upoważnienia, dokończył wykładu lekcyi i tak profesora wiadomościami swemi zadziwił, że ten, w bliższe z uczniem swoim wszedłszy stosunki, sam bez rodziny a zamożny wcale, chciał go adoptować. Rozumie się, mowy o tem być nie mogło; jeżeli jednak nie adoptacya, to sukurs pieniężny byłby się przydał wówczas Kenigowi, zapracowującemu się lekcyami za 9 złotych na miesiąc. Do tej epoki odnieść należy wspomnienia Keniga o Chłopickim jenerale, co po wyzdrowieniu czas pędził w Krakowie wcale urozmaicony, wraz z dobranem kółkiem, rej wodzącym w towarzystwie tamtejszem. Do kółka tego, któremu się skromny student zdala tylko mógł przypatrzeć, należeli: Maurycy Potocki, dwóch hrabiów Mollów, z Inflant rodem, oraz kilku innych zamożnych światowców. Ogniskiem tego kółka był atoli do końca Chłopicki, jak go Kenig zapamiętał, postawy rzucającej się w oczy, duży, otyły, lubiący personą swą imponować <sup>1)</sup>.

Ale oto przepracowanie, niezaszanowana choroba, podkopały Keniga młode siły, zaniemógł poważnie; lekarz kazał mu co rychlej na wieś jechać. Ojciec już nie żył (umarł w r. 1831); matka otrzymawszy emeryturę, z trudem utrzymywała liczną rodzinę, przesiadując już teraz często w Chrabkowie, niedużej majątności brata swego Teodora, w Proszowskiem. Tam też udał się Kenig. Siły

---

<sup>1)</sup> «Chlopicky war, als ich ihn zum letzten Mal sah (in Krakau), noch sehr gut konservirt. Seine stramme, hohe Gestalt, die ein ungebeugtes Haupt ziert, bedarf des Stockes nicht als Stütze, den der General führt. Schneeweises Haar umspielt die Schläfe. Das Antlitz hat einen ernst-freundlichen Ausdruck, und ein gewinnendes Lächeln gleitet darüber hin, wenn der General den Grüssenden dankt». (I. Gundling: »Federzeichnungen aus den Feldlagern von Boulogne und Krakau«. Stuttgart 1858).

wracać zaczęły, czas leciał wśród nowych wrażeń, większych zebrań towarzyskich i wśród planów na przyszłość. Michał Wiśniewski, czuwający nawet zdala nad ulubionym uczniem swoim, czyni mu listownie nader świetną propozycję, mianowicie przyjęcia posady nauczyciela w domu księcia Konstantego Czartoryskiego, zdaje mi się w Sreńniawie w Galicyi, gdzieby mu pieczę nad dwoma synami księcia oddano. Pensya jak na owe czasy bardzo wysoka nęci z początku młodego akademika, ale oto plan ów rozbija interwencya wuja Teodora. Ten inne ma projekty. Zdaje mu się właściwszem, aby siostrzeniec, ukończywszy nauki, w jakimbądź zakładzie krajowym, poszedł następnie na drogę sądową, rozpoczynając ją od aplikacyi w Warszawie. Tak też się i staje. Kenig jedzie do wuja, sprawującego urząd assessora trybunału w Kielcach i tam za zapracowane w biurze wujowskiem pieniądze, rozpoczyna nieodzowną naukę języka ruskiego. Udziela mu jej, zacności wielkiej człowiek, były profesor krzemieniecki, Aleksandrowskij, o którym dotąd z serdecznością największą zwykł Kenig wspominać. Mniej więcej w drugiej połowie r. 1838 jest już Kenig uczniem ósmej klasy kieleckiej szkoły, a kończy ją z odznaczeniem w r. 1839. Wtedy to właśnie, za staraniem prezesa komisji do spraw wewnętrznych Szypowa, rozpoczęły się w Kielcach pierwsze wykłady w urzędowym języku, Kenigowi atoli trudności żadnych to już nie sprawiało, język ruski znał już tak dobrze, iż nietylko wówczas zapoznał się po raz pierwszy z pismami Gogola, ale i szczerze w nich się rozmiłował. Wakacye spędzał u matki w Chrabkowie — i wakacye owe związane są ze wspomnieniami pierwszej Keniga miłości.

Nadeszła chwila stanowcza. Jesienią, r. 1839, jednokonnym wózkim w towarzystwie brata młodszego, puszcza się Kenig w drogę do Warszawy — po szczęście. Na bruk stołeczny rzucony, szuka zajęcia. Trafia z rekomendacyami wuja do rejenta jeneralnego na Królestwo Polskie, p. Engelke; ten ujęty bystrością, wykształceniem i zapalem mło-

dzieńca, ofiaruje mu w biurze swoim posadę z pensją 800 złp. we dwa dni potem Engelke umiera nagle i Kenig pozbawiony oparcia, znajduje się literalnie na bruku z jedynym jedynym dukatem w kieszeni. Co począć? Szczęściem dach nad głową daje mu wuj Filip Romanowski, malarz, a lekcye wystarczają na skromne utrzymanie. Lekcyi tych, udziela Kenig sporo. Między innymi i w domu p. naczelnika biura po bylej komisji wojny, Korabiewskiego, w którego domu poznaje wiele wybitnych osobistości z ówczesnego warszawskiego towarzystwa, członków bylej armii polskiej, generała Hoffmanna, Lewińskiego, pułkownika Piotra Horzewskiego, rycerza *sans peur et sans reproche*... Lekcye dawane synowi Alberta Grzymały, którym gorliwie opiekuje się ks. namiestnikowa Zajączkowa, uchylają przed nim rąbek świata arystokratycznego; z tła przeróżnych znajomości trwalszych i przelotnych wychodzi we wspomnieniach Keniga sylwetka dzisiejszego ks. arcybiskupa Popiela, podówczas w szkołach będącego. Sądowe aplikacye, jednocześnie pilnie prowadzone, zbliżają go z kolegami w palestranckim terminatorstwie, z Andrzejem Brzezińskim, Wacławem Szymanowskim. Rozszerza się sfera stosunków p. Józefa; miały się one rychło rozszerzyć jeszcze bardziej.

## II.

### Debiut literacki. Teatr.

Na Miodowej ulicy, w domu podówczas Tepera, dziś Grabowskiego, mieściła się mała, niepokazna księgareńka Steinbocka. Tam, w izbie za sklepem, zbierało się gronko młodzieży, tworzącej ówczesną, dobrze znaną z licznych o niej wspomnień, t. zw. «cyganeryę» literacką. Do gronka tego wmieszany, poznaje Kenig Fileborna, zakładającego podówczas «Nadwiślanina», i do tegoż «Nadwiślanina» daje pierwszą swą autorską pracę, powiastkę pod tytułem «Koniak zwierzyniecki». Było to lat temu pięćdziesiąt, na początku 1841 r. Budziłowicz wydaje inne małe pisemko:

«Przegląd Warszawski», i w jego domu spotyka się Kenig z najwybitniejszym przedstawicielem «cyganeryi», z wysoce uzdolnionym poetą, Cypryanem Norwidem. W świecie ówczesnym literackim zajmuje też wybitne miejsce Chojecki (Charles-Edmond). Autor «Alkadara» pozuje nieco na wielkiego pana, który się literaturą — bawi; w mieszkanku jego, w Malcza domu, zbierają się na ożywione herbatki i cyganie i niecyganie; usługuje «kozaczek» w liberyi, a w mieszkaniu chłód wścickły i w poczęstunku serdelek tak ważną często odgrywa rolę, jak na biesiadach sporządzanych za zastawione szelki lub płaszcz dziurawy. U Chojeckiego poznaje Kenig Bartelsa, Wójcickiego; przez Wójcickiego wchodzi w stosunek z «Biblioteką Warszawską», na której posiedzeniach redakcyjnych u Szabrańskiego bywa czasami. Otwierają się przed nim salony hr. Łubieńskiego i p. Niny Łuszczewskiej. Pierwszy publicystyczny artykuł, zamieszczony w «Gazecie Warszawskiej» p. tyt. «Dandyzm warszawski», dotykający aluzjami wielu osób z warszawskiego towarzystwa, godzący jednocześnie w znaną artystkę baletu, wywołuje sensację w mieście i zwraca uwagę na debiutującego pisarza. Lesznowski Antoni, stryj dzisiejszego wydawcy i redaktora «Gazety Warszawskiej», korzysta ze współpracownictwa Keniga, zamieszczając artykuły jego, przeważnie sprawozdawcze, np. o «Mięszaninach» Jarosza Bejły. Zwraca się też do niego redaktor «Kuryera Warszawskiego», Dmuszewski, ofiarowując mu za każdy krótszy lub dłuższy artykuł — rubla. Lekcyje, dorywcza dziennikarska praca, czasem obiad lub śniadanie, ofiarowane przez wydawcę jako honorarium za artykuł, wystarczają na skromne utrzymanie. Czas zabierają posiedzenia w kółku «cyganeryi», wizyty po salonach i — czytanie, czytanie, czytanie. Ci, którzy Keniga z owej epoki pamiętają, wspominają o nim, jako o młodzieńcu eleganckiej powierzchowności, ujmującego obejścia się, jednającego sobie ludzi, lgnącego łatwo do nich, dbałego zawsze o wykwintną

chustkę fularową w kieszeni — zazwyczaj rozpaczliwie puste]. Na ów czas przypada pierwszy debiut Deotymy w salonie matki. Wieczór ów pamięta Kenig doskonale. Uroczystość owego wejścia w świat cudownej panienki, przypadła jednocześnie z wystawieniem w salonie pani Łuszczewskiej... «Fausta» ks. Radziwiłła, amatorskimi siłami. Partycję Małgorzaty śpiewała Kurtzowa, Mefista — Wolski Włodzimierz, a zaś w chórach między basami znaleźli się: Kenig, Edward Leo (dzisiejszy redaktor «Gazety Polskiej») i Komorowski, «śpiewak Kaliny». O pierwszym tym występie Deotymy pisał, pod świeżym wrażeniem, sam Kenig w «Gazecie Warszawskiej». Gdy dodamy, że i świat finansowy, z domem Leopolda Kronenberga na czele, miał z Keniga stałego gościa, nie przesadzimy twierdząc, że pisać biografię tego człowieka, który wszystko znał i wszystko widział i tak wiele pamięta, znaczyłoby, pisać kronikę życia społeczno-polityczno-artystyczno-literackiego Warszawy z przed laty... Ograniczymy się tylko na szczegółach.

Szerokie miejsce w trybie życia Keniga zajmował już podówczas teatr. Artykuł «Dandyzm warszawski» otworzył mu kulisy. Był to czas właśnie, kiedy balet wszechwładnie panował na warszawskiej scenie. Pisano o nim i mówiono chyba nie mniej, niż dziś pisze się i mówi o komedii lub operze. Balet był świetny — opera licha. Chcąc tę ostatnią podnieść, sprowadzono w 1843 roku trupę włoską, która pierwsza zapoznała Warszawę z Donizettim, Bellinim, z «Lukrecją», z «Normą». Gdy atoli Włosi odjechali, trzeba było znów starać się o nową dla teatru atrakcję. Wtedy to na gościnne występy do Warszawy przybyła Lola Montes, głośna nie tyle z choreograficznych swych zdolności, ile z awantury, której świeżo była bohaterką na rewii królewskiej w Berlinie. Niezmiernie piękna, ekscentryczna, szalona, przysłała władczyni Bawaryi — tańczyć nie umiała wcale. Pisał o jej występie Kenig chłodno bardzo; jeszcze chłodniej przyjęła ją publiczność. Tedy, stanowisko Rau-

tenstraucha zajmujący pułkownik Abrahamowicz, postanowił zerwać z nią kontrakt. Lola odpowiada na to grubijaństwem, rzuconem ze sceny wprost ku łożu swego przeciwnika, wymieniając go po nazwisku. Nazajutrz wieczorem zajechała kareta przed hotel Rzymski, w którym mieszkała piękna, ale zbyt popędliwa Lola; niezmiernie grzeczny urzędnik wszedł na górę, prosząc najuprzejmiej, aby najszybszym baletowym krokiem raczyła panna Montes niezwłocznie opuścić Warszawę. Kenig był właśnie u niej i świadkiem był gwałtownej sceny między Lolą a konsulem francuskim, którego błagała o zasłonięcie jej — sztandarem Francyi. Konsul mógł, co najwięcej, ofiarować jej tylko — ramię do karety. Tak się też i stało. Paru zapalczywych adoratorów popędziło za piękną młodą damą, ale zapal ich ostygł, wcale niedobrowolnie, o mil kilka za Warszawą. Takim był krótki a burzliwy popas Loli Montes w Warszawie <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Lola Montes w «Pamiętnikach» swoich epizod ów życia swego we wcale innem stawia oświetleniu. Doznała — pisze — w Warszawie niebywałego powodzenia; raz na scenie rozwiązuje się jej podwiązka; chce rzucić ją w kulisy, podwiązka leci na parter, publiczność rozrywa ją na strzępki; panowie strzępki te przypinają do klap surdutów i powstają w ten sposób «kawalerowie orderu Loli» oplacający wpisowe setkami rubli. Ale oto niejaki hrabia Owiesky (!) kładzie u nóg pięknej tancerki nietylko serce i mienie, ale i rękę swoją. Wobec rodziny hrabiego odgrywa — podobno — Lola szlachetną rolę Maryi Gautier z «Damy kameliowej». Ofiarowują jej znaczną sumę w zamian za natychmiastowy wyjazd z Warszawy. Lola dumnie odrzuca propozycję. Rodzina hrabiego mści się i zaraz podczas następnego debiutu Loli w teatrze podnosi się w sali huragan gwizdań i sykań. Lola przemawia ze sceny do publiczności, tłumacząc przyczynę skandalu i wskazując palcem na siedzących w łoży matkę i stryja hrabiego, na «sprawców nieszlachetnej zemsty rodziny szlacheckiej». Teżże nocy otrzymuje policyjny rozkaz opuszczenia Warszawy w ciągu dwudziestu czterech godzin. Kawalerowie «orderu Loli» przyprowadzają ją mil kilka za miasto po drodze petersburskiej. (*Memoiren von Lola Montez, Gräfin v. Landsfeld*, II, str. 120—154. Przekład z francuskiego L. Forta. Lipsk 1851).

Tymczasem Kenig już stale, od 1843 roku prowadzić zaczął dział politycznych przeglądów w «Gazecie Warszawskiej». Zadanie trudnem nie było. Brało się to i owo z zagranicznych gazet, przychodzących do Warszawy regularnie — dwa razy na tydzień. Przeglądy bezbarwne były wielce. Resztę «Gazety» wypełniało się tłumaczeniami artykułów z «Revue des deux mondes», jakimś urywkiem ze świeższego dzieła Micheleta... Nad dostarczaniem tych ostatnich materyałów czuwał sam Lesznowski, nie bawiąc się, bardzo słusznie, w tworzenie samodzielne. Pensi stalej pobierał Kenig podówczas 30 rs. na miesiąc. Wraz z przybyciem na scenę warszawską słynnej Ristori, obejmuje Kenig sprawozdania teatralne w «Gazecie».

### III.

**Współzawodnictwo «Gazety» z «Dziennikiem Warszawskim». Świetny jej rozwój. Współpracownictwo Kraszewskiego i Korzeniowskiego.**

Wpływ niemaloważny na przyszłe losy «Gazety Warszawskiej», a pośrednio i na dziennikarską karierę Keniga wywarło pojawienie się na bruku warszawskim groźnego współzawodnika. Był nim «Dziennik Warszawski», redagowany przez Henryka Rzewuskiego. Pismo wojownicze, propagujące reakcję, absolutyzm i katolicyzm skrajny, pisane żywo, zasilane znanem piórem, zatrwożyło królującą podówczas niemal niepodzielnie w piśmiennictwie warszawkiem «Gazetę». Lesznowski i Kenig odbyli walną naradę wojenną i na wniosek tego ostatniego postanowiono odmłodzić «Gazetę», wzmocnić jej załogę, arsenałowe zapasy przelustrować skrupulatnie. Z lustracyi tej okazał się brak jeden wielki w poważanem, ale... nudnawem nieco piśmie, mianowicie brak feljetonu, spostrzeżono też brak oryginalnych utworów, którymi wojował właśnie «Dziennik». Rada w radę, postanowiono zdobyć dla «Gazety» popularniejszego chyba jeszcze niż sam Rzewuski współpracownika. Za pośrednictwem Gabryela Łuniewskiego, zawiązано listowne per-



traktacye z Kraszewskim. Stanął układ. Kraszewski zobowiązał się *primo*: nadsyłać do «Gazety» stałe korespondencye, obejmujące przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego, sztuki, stosunków społecznych, prowincjonalnych, spraw na dobie będących i t. p.; *secundo*: dawać rok rocznie «Gazecie» po dwie powieści oryginalne na rok. I z wejściem Kraszewskiego w stałe i ściśle z «Gazetą» stosunki, rozpoczęły się, rzecz można, świetne czasy pisma, redagowanego przez Lesznowskiego i Keniga.

«Dziennik Warszawski», będący, jak sam jego twórca, mieszaniną zasad de Maistre'a i Voltaire'a, nie «przyjął» się na warszawskim gruncie. *Natus* 1848 r., *obiit* we dwa lata później, w 1850 r.; krótkotrwały jego żywot w korzyść atoli wielką poszedł «Gazecie». Reformy w niej zaprowadzone jeły rozwijać się świetnie, zastęp współpracowników rósł; «Gazeta» stała się w krótkim czasie pierwszym u nas, na szerszą skalę zakrojonem pismem codziennem.

Dziś jeszcze z najżywszem nietylko zajęciem, ale i pożytkiem przegląda się te tomy «Gazety» z przed czterdziestu lat. Kto do niej podówczas nie pisał! I pisali — jacy! W odcinku szły stałe powieści oryginalne; szereg ich rozpoczął «Stary sługa» Kraszewskiego, po którym kolejno, aż do 1859 r., pojawiły się: «Dwa światy», «Powieść bez tytułu», «Boża czeladka», «Interesa familijne», «Pamiętniki Ochockiego», «Historya kolka w płocie», «Caprea i Roma», «Metamorfozy». W temże dziesięcioleciu dał odcinek «Gazety»: Korzeniowskiego «Drugą żonę», «Garbatego», «Tadeusza bezimiennego», «Krewnych», «Młodego męża» i t. d. Kaczkowski drukuje «Murdeliona», «Grób Nieczui»; Kondratowicz (Syrokomla) nadsyła «Gazecie» stałe korespondencye oraz poematy («Garść pszenna», «Dni doroczne», «Spowiedź pana Korsaka» i t. d.); piszą stałe w «Gazecie»: Ignacy Chodźko, Kremer, Siemieński, Ziemęcka, Deotyma, Łepkowski, Bartoszewicz, Zenon Fisz («Padalica»), A. Pług («Korespondencye z Podola»), Michał Baliński («Listy z nad brzegów Krożenty»), roztrząsające znakomicie zagadnienia



*Józef Kenig*

WEDŁUG RYSUNKU Z NATURY WL. PODKOWIAŃSKIEGO.



społeczne na dobie), Henryk Schmitt, że wymienię tylko bardziej znanych. Kronikę warszawską, mozajkę literacką i towarzyską, prowadził w głośnych artykułach «pod gwiazdką», błyskotliwie i żywo pisanych, Niewiarowski («Półkoźic»); politykę obrabiał Kenig i tenże niestrudzony, bajecznej pracowitości Kenig, niósł na swych barkach cały obszerny dział w «Gazecie» sprawozdań z całej dziedziny arcyzmu, zatem: teatr, muzykę i malarstwo, nadto zaś, od czasu do czasu, po ustąpieniu Niewiarowskiego, dawał feljetonowy przegląd ruchu towarzyskiego, artystycznego, literackiego. Gdyby nie szczupłe ramy niniejszej sylwetki, jakże chętnie dalibyśmy wyjątek bodaj ze sprawozdania Keniga o pierwszym przedstawieniu «Halki», o występach Ristori, albo fragment jaki z doskonałych, z niepowszednią werwą i dowcipem pisanych owych kronik warszawskich, które, nie dziwimy się wcale, że taką podówczas cieszyły się poczytnością. W dodatku: Lesznowski, wyborny w d a w c a, umiejący, jak mało kto, zwerbować współpracowników, niewolić «papką i solą» opornych, przywiązywać z ręcznie do «Gazety» raz do niej wciągniętych, nie był przecie w stanie podolać redakcyjnemu segregowaniu i uporządkowywaniu i układaniu napływającego materiału. Wy ręczał go, w tej czysto redakcyjnej pracy, znowu — Kenig. I pi-sarsko-redakcyjna ta praca już trwała lata całe i lata jeszcze całe trwać miała. Wciągnijmy do tego bilansu stosunek Keniga z «Dzwonem Literackim», a przelotem napomknijmy o udziale jego w tak zwanym «cechu głupców», zawiązanym pod prezydencją wieczystego figlarza — Wilkońskiego, do którego należeli: Dziekoński, Ludwik Norwid, kilkunastu samodzielnie umiejących myśleć literatów. W «Gazecie», mniej więcej od 1855 r., zaczął Kenig pobierać stałą roczną pensję. Wynosiła ona, w czasach najpiękniejszego rozwoju «Gazety», 5.000 złotych polskich (750 rs.); gdy zaś, dzięki temu, który przez lat pięć był tejże «Gazety» istotnym «duchem», prenumerata w 1859 r. dosięgła niebywalej na owe czasy cyfry 8,000 abonentów (w samym mieście 1,800),

uczul się Lesznowski w obowiązku pensyę Keniga — podwoić.

Z wejściem Kraszewskiego w stały stosunek z «Gazetą», wiąże się dość charakterystyczny epizod. W roku 1856 czy 1857 przejeżdżał Kraszewski przez Warszawę, udając się do Włoch... dla napisania swoich «Kartek z podróży»? — być może, ale głównie dla — złożenia osobiście hołdu Piusowi IX, który co tylko był wstąpił na stolicę apostolską. Cel pielgrzymki, z którym Kraszewski bynajmniej się nie tail, zaniepokoił i wydawcę i redaktora «Gazety»; wiadano doskonale o wielkiej katolickiej żarliwości Kraszewskiego, żarliwości przebierającej u niego miarę, dochodzącej do objawów niezmiernie jaskrawych, których odbicie w «Gazecie» wywołać mogło niepożądane dla niej wcale komentarze, polemiki, narazić ją wogóle na pomawianie o — krańcowość, o przesadę, których bronić nie leżało narazie wcale w zamiarach «Gazety». Kraszewski jechał do Rzymu — gorący niezmiernie; cóż z nim się stanie — za powrotem? Przejechał Kraszewski przez Warszawę, nie widząc się z nikim; w powrotnej drodze przystanął na warszawskim bruku. Pośpiesza odwiedzić go w hotelu Kenig. Rozmowa schodzi rychło na temat pobytu w Rzymie i rozjaśnia dosadnie tę kartkę z życia jubilata z 1879 r. Rzecz się tak miała. Oczywiście, że Kraszewski natychmiast po przybyciu do wiecznego miasta, o audyencyę u ojca św. prosił. Zwyczaj, wcale praktyczny, wymaga, aby papieżowi, w pierw zanim przyjmie osobiście wybitniejszą jaką osobistość, doniesiono tajnie, co zacz za gość doń przybywa, z jakim usposobieniem, z jaką przeszłością i z jakimi ewentualnie zamiarami na przyszłość. Nie uniknął tej prowizorycznej cenzury Kraszewski; raport dokładny o nim zdali papieżowi — oo. zmartwychwstańcy, raport — najfatalniejszy. Położono w nim silny nacisk na bardzo — chwiejne religijne zasady Kraszewskiego, na szerzenie nawet... antyreligijnych pism wśród społeczeństwa polskiego. Skąd urosło takie mniemanie? Wyrozumieć

trudno. Dość, że Pius IX, najgorzej do Kraszewskiego uprzedzony, przyjął go nie tylko chłodno bardzo, ale wręcz zmonitował za — brak gorliwości, za odszczepieństwo, za wpływ gorszący, który pisma jego wywierają (!). Kraszewski wysłuchał z pokorą admonicyi, ale opuścił Watykan dotknięty nią boleśnie. Nie ukrywał też zdziwienia swego wobec otaczających go w Rzymie członków kolonii polskiej. Wśród kolonii tej audyencya Kraszewskiego sprawiła wrażenie jak najniekorzystniejsze. Zaprotestowano przeciw nieuznaniu w głośnym już pisarzu właśnie tego, co podówczas — przeważało w nim przecie. Powstało *larum*; oo. zmartwychwstańcy nuż rzecz całą odrabiać, nuż Kraszewskiego w innych kolorach przed papieżem malować. Namawiano go usilnie na audyencyę — drugą. Kraszewski atoli odmówił i mocno... ochłodzony wyjechał z Rzymu. W takim to właśnie stadyum zastał go Kenig z Włoch wracającego. Pielgrzymka niespodziewany zwrot przyniosła, a «Gazecie» oszczędziła przewidywanych ambarasów z krańcowymi zapędami stałego i głównego współpracownika.

A «Gazeta» szła i szła wciąż w górę. O poczytności jej — obok «Kuryera Warszawskiego», jedyne podówczas wpływ wywierającego pisma, — trudno dziś nawet mieć wyobrażenie, dziś, gdy najświetniejsze artykuły przechodzą niepostrzeżenie, a powieść najlepsza tonie w powodzi beletrystycznej. Przyznać atoli trzeba, że do poczytności «Gazety» przed 1859 rokiem przyczynił się głównie — Korzeniowski, z powieści zaś jego najbardziej czytana była — «Tadeusz bezimienny», jak mówiono wówczas: «Tadeuszek» *tout court*. Opowiadał mi kiedyś Kenig, że gdy na sesyę trybunału przynoszono gazetę, sąd przerywał bieg najgorętszej sprawy, oddalał się do przyległej sali, tam odbywał gremialne odczytanie odcinka gazety z dalszym ciągiem «Tadeuszka» i zaspokoiwszy dopiero łatwą do zrozumienia ciekawość i niecierpliwość, wracał napowrót zasiąść za stołem trybunalskim. Tak czytano podówczas! Czem wobec tego poczytność «Ogniem i mieczem»?...

#### IV.

**Nowy współzawodnik. Polemika i pojedynek. Album uznania. Poruszenie kwestyi żydowskiej. Rozrośnięcie się tej sprawy.**

Upadek «Dziennika» dał «Gazecie» tylko chwilę wytchnienia. Powstał niebawem nowy dla niej współzawodnik. Kupują «Gazetę Codzienną» (późniejszą «Gazetę Polską») wspomniany już Niewiarowski i adwokat Wołowski, i odprzedają ją niebawem stokroć zasobniejszemu wydawcy, Kronenbergowi. «Gazeta Codzienna» zaczyna iść naprzód szybszym krokiem, przybiera współpracowników, zarzuca nawet wędkę na jednego z filarów «Gazety Warszawskiej», na — Kraszewskiego. Rzecz prosta, rychło bardzo dochodzi między dwiema gazetami do — polemik. Jedna z nich, podtrzymywana z jednej strony przez Keniga, z drugiej przez Niewiarowskiego, doprowadza do — pojedynku. Kenig, jak prawdziwy dziennikarz szablą temperujący pióro i nie mający zwyczaju wymawiać się od honorowej rozprawy poszanowaniem dla... własnych zasad, staje na placu. Przeciwnicy: Floryan Niewiarowski i Kenig, dają do siebie trzy strzały — bez rezultatu. Tedy, na odległość dziesięciu kroków, strzelają po raz czwarty. Kula trafia Keniga w kłęb i wychodzi na wylot, raniąc ciężko, szczęściem nigdzie nie obrażając kości. Dnia 11 grudnia 1858 r. grono liczne przyjaciół i kolegów fetowało wspólną ucztą dzielnego obrońcę dziennikarskiego honoru. Z okazji tej wręczono Kenigowi album pamiątkowe, z okolicznościowymi prozą i wierszem aforyzmami, oraz podpisami wszystkich, co dłoń jego uścisnąć pospieszili. Wśród kolumn podpisów znajdują tam nazwiska: J. Korzeniowskiego, Leona Łubieńskiego, Ungra, Aloizego Żółkowskiego, Wilhelma Troschla, E. Kani, F. Kostrzewskiego, J. Elsnera, H. Skimborowicza, J. Brodowskiego, Lewestama, J. Chęcińskiego, J. Bartoszewicza, K. Kaszewskiego, Leona Rogalskiego, W. Gersona... Deotyma wpisała w album wiersz, który, jako nigdzie nie drukowany, pozwałam sobie przytoczyć w całości:

Druk jest wielką kopalnią, gdzie skarby olbrzymie  
W blasku się wynurzają ze skał tajemnicy.  
Ci, co umieją nosić arystarchów imię,  
Zstępują tam jak górnicy.

Trudna przed nimi podróż, bo w głębinach ducha,  
Tyle jest niebezpieczeństw, co w głębinach ziemi,  
Tu powietrze ścieśnione wyziewami bucha,  
Tam się, za ślizkim gankiem, otwiera przed niemi  
Przepaść, gdzie echo prawdy ginie w próżnym dźwięku...  
Oni idą, a nawet rzeszę zadziwioną  
Umieją w tych bezdrożach wieść, bo w jednym ręku  
Wnoszą kaganiec sądu, który pod osłoną  
Żelaznej bezstronności tak wiernie się płoni,  
Że go wyziew śmiertelną nie zaleje rosa.  
Już biorą się do dzieła; oto w drugiej dłoni  
Topór sprawiedliwości piśmienniczej niosą,  
Sporządzeniem odgadują, w której skale słowa  
Kryje się żyła kruszcowa?

Rudę mierności w złudnej migającej chwale,  
Odróżniają od myśli jędrnej, szczerozłotej.  
Umieją w najciemniejszym dopatrzeć kryształy,  
Czy poezya w nim swoje zamknęła klejnoty?

Ciężką jest twoja droga, górniku duchowy!  
Lecz któż trudów tak chlubnych ci nie pozazdrości?  
Błogo jest w sądach sztuki, pieśni i wymowy  
Kierować szale światła i sprawiedliwości.

Nastał rok 1859. Upamiętnił go w życiu Keniga epizod, dziś jeszcze nie pozbawiony, by się tak wyrazić, aktualnego interesu. Przybył do Warszawy magik p. Epstein i dał przedstawienie wobec natłoczonej publicznością sali; w ślad za p. Epsteinem przybyły dwie wirtuozki, morawianki, panny Neruda, i pomimo, że muzyczki niepowszednie, grały wobec — pustej prawie sali. Wypadek napozór dość, niestety, powszedni. Powszedniemu atoli wypadkowi temu nadał sam Kenig, pisujący, jak się rzekło, rodzaj felietonowych «kronik» towarzysko-artystycznych, niepowszednie znaczenie. W artykule Keniga, drukowanym w «Gazecie Warszawskiej» z dnia 4 stycznia 1859 r., czytamy mianowicie co następuje: «Koncert zesłonedzielny



jednak był nieliczny, nie wiemy zaś jak wypadnie czwartkowy. Nasze przypuszczenia powinny być fałszywe, talent, imię, sztuka, mówią przeciw nam, a jednak nasza Sybilla drży. Panna Neruda, jak widać, nie posiada łask u pewnej licznej koteryi, uchodzącej i uchodzić pragnącej za muzykalną. Brak jej orlego nosa, cery śniadej, czarnych włosów i innych cech aryjskiego pochodzenia; nie wymawia r gardłowo, nazwisko jej nie kończy się na berg, blatt, krantz, stern, lub podobnie, brak jej więc tytułów do poparcia ze strony tego tajemniczego związku, który nasiadł całą Europę, a zwłaszcza nas, i trzymając się ściśle popycha każdego ze swoich, czy to on bankierem, czy tenorem, czy spekulantem, czy skrzypkiem. A związek ten popychać umie wszystkim: reklamą, oklaskiem, wrzaskiem, pieniędzmi nawet. Pomiedzy tym brodaczem, rzucającym się na paradyzie, a pomiedzy tą strojną lożą, tajemniczo przebiega ciągle myśl jedna: wyniesienia swoich, wyniesienia bezwarunkowego. Wszelki tryumf jednego z nich, czy to on się objawia w rotszyldowskiej kasie, czy w meyerbeerowskiej orkiestrze, czy w Racheli laurach, jest tryumfem całego plemienia. Ten, który przyszedł po procent, o którym sądzisz, że nic nad swe weksle nie zna, będzie ci mówił o tem z równą chępliwością jak światowy jego kolega. Tej to potęgi — w naszym mieście potęga to prawdziwa — nie umiała sobie zjednać panna Neruda; głównego tytułu jej brak».

Komentarz, przyznać, trzeba, był dosadnym i jasnym — wrażenie też sprawił niezmierne. Lesznowskiego i Keniga zasypano listami bez podpisów i z podpisami; rodzaj formalnego adresu, podpisanego przez dwudziestu członków zadraśniętego plemienia, wręczył Lesznowskiemu były medaljer mennicy, Majnert. Korespondencya ta miała i ciemną bardzo stronę, mianowicie wcale nie dwuznaczne — pogróżki. Lesznowski, nie wiedząc jak wybrnąć z imprezy, w którą go Kenig rozgłośnem wystąpieniem zawikłał, oddał całą sprawę na drogę — sądową. Miarę zajęcia się

nią da okoliczność, że Joachim Lelewel uczuł się powołanym do poświęcenia jej specjalnej broszury w formie listu do Merzbacha, drukiem w Poznaniu (1860) ogłoszonej. Tytuł jej brzmi: «Sprawa żydowska w 1859 r., w liście do Ludwika Merzbacha, przez Joachima Lelewela rozważana». Niech mi wolno będzie, zamiast własnego komentarza, zaczerpnąć stamtąd właśnie cytat kilka, rzucających światło na zapatrywanie się na sprawę, poruszoną przez Keniga tego, co dopilnowywał osobiście korekty dzieła Czackiego «O żydach w Polsce», co tak, jak mało kto, społeczeństwu naszemu się zasłużył i dobrze mu życzył.

«Choć z zacnego wzruszenia — pisze Lelewel — nieroztropnego dopuścili się sowizdrzalstwa ci, co Lesznowskiego targnęli. Powieść u nas była, że wymagają odwołania obrazy, wyzywając na pojedynek, jakby to szło o niewinność Jadwigi... Wymaganie jest z powodu obrazy zamożniejszych, pomawianych o siabrowstwo; z powodu też nieprzyzwoitego tonu drwin, a jest gwałtowne. Cale mi się to nie podoba. Powołując kogoś do przyzwoitości, wypada samemu przyzwoicie się zachować... O co szło w zażaleniu na Lesznowskiego? O poniewieranie ogółu, o przymówkę zamożniejszym, co talenty swoich cenią wyżej i protegują. Na to było odpowiedzieć: kiedy mamy stanowić w narodzie coś osobnego, to dla nas zaszczyt, że o swoich dbamy; nie byliśmy na koncercie (panien Neruda), aby ciżbą nie zepsuć muzycznej harmonii, która redaktora zachwycała. Drwiny odeprzej drwinami: złość — sarkazmem; fałsz, oszczerstwo — gromką prawdą, lub milczącą wzgardą. Stało się, niestety, inaczej; z malej chmury ulewny deszcz i nawałnica».

A po tej zdrowej nauce, danej polemikom wszystkich gatunków i czasów, przystępuje Lelewel do komentowania wyroku sądowego, nieprzychylnego dla przeciwników Keniga i Lesznowskiego.

«Zawadza to sądowi — pisze — że żydzi lat 800

plodami ziemi polskiej żyją. Żyją plodami powszechnej rodu ludzkiego żywicielki, nie ogłodziwszy innych tej ziemi mieszkańców; żyli plodami, jakie nabywali za grosz własnego zarobku. Odziewali się własnym trudem, żupany, kontusze, obuwie, fraczki, katanki szlachcie przyrządzali: stroili ich jubilerką; herby im na sygnetach wyrzynali i liczne w ich ekonomice, których nie obliczam, usługi czynili: kiedy bieda, to do żyda. Żydzi nie chodzili z dziadami kościelnymi żebrać, ani z kapturnikami kwestować. Sami sobie wystarczali. Żyli czosnkiem i cebulą, nie zbyt kowali, nie hulali, nie zalewali się, w obyczajach surowi i moralni, nie rozpustowali; odziewali się sami, wedle możliwości, lachmanami lub sajeta; nędzarz między nimi jałmużnę znalazł. Budowali sobie synagogi, szpitale; o powszechną plemienia swego instrukcję dbali. A cnotę ich wzajemnego wspierania się, wyszydzaną przez Lesznowskiego, poczytano za wykroczenie kasty sądownem zdaniem. Sąd, co sobie wymyślił jakąś teorię ekonomii politycznej, przez ekonomistów nie znaną, troszczy się o kapitały, żadnego pożytku nie czyniące, u bogaczy zalegające. Niech się nie troszczy; kapitaliści nie są, coby na kapitały jak zółw na jaja patrzyli: kapitały przynoszą im i krajowi procenta i pożytki. Nie pożądaj domu bliźniego twego, ni wołu, ni osła, ni rzeczy jakiej, które jego są».

A dalej:

«Bolesna to rzecz, panie Merzbach, rozważać co tam się dzieje, wstydną przed cudzoziemcami, którzy o tem wiedzą... Zamiast uciszać i koić wzruszenia, akt drażni i jątrzy, wytacza towarzyskie i religijne zawziętości, rozbudza w mieszkańcach jednej ziemi fanatyzm. Nieprzystępny pojęciom cywilizacji zachodu, grzęźnie w odmęcie wyobrażeń; od 800 lat zamieszkałych krajowców zwie przybyszami; gromi niewiernych, co nie cisną się do chrztu, chciałby chrztem przekształcenia dopełnić.»

Jako wreszcie pogląd własny, nie już na pojedynczy

wypadek, ale kwestyę całą, kładzie Lelewel zdanie dostatecznie dobitne:

«Porzućcie możebne środki niemilosiernego prześladowania; miłością bliźniego starajcie się przekształcić przybyszów i siebie».

Zaś wślad zatem idzie nieprzestarzała, zda się, wcale apostrofa:

«Krzywdą jest narodu twierdzić, ażeby pojęcia ludności polskiej stały temu na zawadzie. Stoją na zawadzie kierownicy sprawy publicznej, ci, co się czepiają jej steru; stoją na zawadzie złośliwe bigoty, z wyżyn swoich ludzkość obrażające; a za nimi trwożne ciemnych umysłów zwierzania; nieczne indywiduów wykrzyki, poczytujące się za reprezentantów bądź pojęć ludu, bądź obywatelskiego interesu, rzucające wobec świata plamę na polski naród».

Takie wobec sprawy, poruszonej przez artykuł Keniga, zajął stanowisko Lelewel. Snadź głos brukselskiego samotnika zaważyć musiał na opinii warszawskiej, skoro, po naradach z licznymi teźże opinii przedstawicielami, postanowiono sprawę — umorzyć. Lesznowski zaniechał z wyroków sądowych korzystać; strona przeciwna wszelkiej rzekła się apelacyi. Głośna sprawa przycichła — bodaj z korzyścią dla stron obu. Dziś, po latach, wspomina o niej Kenig niechętnie, jakby na «uniesienie się» ówczesne innemi już dziś patrzył oczami. Inaczej teź być nie może. Lat trzydzieści z okładem stępiło w publicyście wiele krańcowości i wzmogło wrodzone Kenigowi umiarkowanie, sąd trzeźwy i obiektywną tolerancję. «Stawiałem i wówczas — mówił mi kiedyś — solidarność innoplemiennych naszych obywateli za wzór do naśladowania, nic więcej...» Niezawodnie, dziś w tymby tonie artykuł swój utrzymał, jeżeliby wogóle zdecydował się na poruszenie kwestyi. Przed laty, jak widzieliśmy, «solidarność» ta w innem jakoś z pod pióra jego wyszła świetle. Pospieszmy jednak zaznaczyć, że ani w tej, ani w owej formie sprawy już

więcej Kenig nie podniósł nigdy, a jeśli i zawadzić mu o nią z konieczności przychodziło, nie wyszedł z granic znamionującej go dziś wybitnie we wszystkich wogóle kwestyach — umiarkowanej tolerancji. Słyszałem niejednokrotnie Keniga, odzywającego się z poważaniem i uznaniem dla przedstawicieli nawet tak krańcowo przeciwnego obozu, jak t. zw. «postępowy»; racyi jeżeli im nie przyzna, to zamiar oceni; jeżeli i z pożytecznością zamiaru zgodzić się nie może, to choć sprawiedliwość oddać musi — talentowi. Ale aby przeciwnika w czambuł potępił, dlatego jedynie, że to — przeciwnik, tego zarzutu nikt Kenigowi nie uczynił.

## V.

**Wojna włoska. Sprawozdania Keniga. Wziętość «Gazety» nadzwyczajna. Nagły zwrot. Ciężkie lata. Kenig wszystkim.**

Dywerysę w zajęciu się artykułem styczniowym i awanturą nim wywołaną, sprawiły też niewątpliwie, obok uspokajających głosów — wypadki na szerszej światowej widowni. Nawet najbardziej zatokowani na codziennym swym deptaczku warszawskim, podnieśli głowy i — w dal spojrzeli. Do owego spojrzenia w dal przyczynił się niewątpliwie w znacznej mierze sam Kenig. Dział polityczny w «Gazecie» rozruszał się na dobre. Sprawy włoskie coraz więcej jęły w nim miejsca zajmować; Kenig, ukryty pod domniemaną dysertacją tej lub owej gazety zagranicznej, kampanię włoską tak dobrze jak przepowiedział, a gdy w połowie maja wojska Napoleona wkroczyły do Piemontu, rzucił się ze zwykłym zapałem do rozwijania na szeroką skalę sprawozdań — z pola walki. Sprawozdania te, opracowywane samodzielnie na podstawie lakonicznych doniesień o ruchach armii, były swojego czasu dla czytelników gazet naszych istotnym «ewenementem». Kenig przy pomocy przyjaciela swego, zdolnego oficera, przechodził formalne studia strategiczne. Uczy się, tak, uczy manewrować masami wojsk, na... niedużym atlasie geograficznym

(który dotąd chowa sobie na pamiątkę). Wyprowadza coraz śmielsze i — trafniejsze wnioski o ewentualnym przebiegu wyprawy, czyni przypuszczenia strategiczne, które — sprawdzają się jota w jotę, jednym słowem bez korespondenta specjalnego w obozie sprzymierzonych, bez dzisiejszych telegramów sążnistych, bez, wreszcie, wprawy w oryentowaniu się wśród tak skomplikowanego tematu jak: wojna — daje «Gazecie Warszawskiej» przez pół roku najdokładniejszy obraz wypadków pierwszorzędnej dziejowej doniosłości. Wywdzięczają mu się za to — czytelnicy. Liczba prenumeratorów «Gazety», na przejściu z drugiego na trzeci kwartał (1859), podnosi się o 2,000 i dosięga, w chwili największego ruchu w Lombardii, niebywalej na owe czasy cyfry 8,000 (w samej Warszawie 1.800).

W końcu czerwca przychodzi Solferino, w lipcu niespodziewany pokój w Villafranca, a wyrzeka nań nietylko Cavour za Alpami, ale i... Lesznowski w Warszawie. Włosi powstrzymani w połowie sukcesu wojennego; «Gazeta» powstrzymaną zostaje nagle w pełnym powodzeniu niebywalej popularności. Do osłabnięcia sensacyjności w przeglądzie politycznym, przybywa nagle niepowodzenie — w felietonie. Przy końcu roku, kiedy wszystkie usiłowania obu kierowników «Gazety» zmierzają do utrzymania zdobytej wziętości, ubywa z jej szpalt najważniejszy współpracownik — Kraszewski. Pracowano nad nim długo, aż wreszcie udało się współzawodnicze, «Gazecie Codziennej», odciągnąć go na swoją stronę. Kraszewski, pod pozorem małoważnego nieporozumienia, zrywa z pismem, które stale przez lat kilka piórem swem zasilał; przechodzi, pełne rozpiąwszy żagle, ostentacyjnie, do organu Kronenberga. (Przerywa się, jak nożem uciał, współpracownictwo Kraszewskiego w «Gazecie Warszawskiej» i dopiero w 1872 roku pojawia się w jej odcinku znowu powieść jego «Zemsta Czokołkowa», a wślad za nią «Macocho»). Na domiar zawikłań i kłopotów, umiera Antoni Lesznowski. Kenig, nie przyjąwszy proponowanego mu materialnego udziału w «Ga-

zecie», zostaje na stanowisku naczelnego i jedyne go redaktora pisma, ze świetną wprawdzie już tradycją, ale zachwianego wskutek ubytku nagłego prenumeratorów i powolnego ubywania najdzielniejszych współpracowników. Wydawcą «Gazety» zostaje Ludwik Lesznowski. Mistrz istotny w rachunkowości i redaktor doświadczony dwudziestoletnią już praktyką dziennikarską, podają sobie ręce. Dzięki zapobiegliwości jednego i olbrzymiej pracy drugiego, «Gazeta» idzie dalej, już nie ta może co za najświetniejszych swych czasów, ale wciąż jeszcze na stanowisku pierwszorzędne go pisma codziennego polskiego.

Nastał w tak ciężkich dla pisma i redaktora warunkach rok 1860. Raz po raz w ciągu paru lat następnych ubywa ktoś z najwierniejszych. Umiera pisujący stale do «Gazety» Syrokomla, umierają Michał Baliński, Korzeniowski, Chodźko; Kaczkowski rzuca się w wir życia politycznego, zamilknął Henryk Schmitt, zapadł na cierpienie umysłowe Zenon Fisz. «Doszło było do tego — pisze Wincenty Korotyński w artykule, skreślonym z powodu jubileuszu dwudziestopięcioletniej pracy redaktorskiej Keniga («Tygodnik Powszechny», Nr. 43 z r. 1884) — że z tysięcznego batalionu, ledwo jakich dziesięciu ludzi trzymało punkt zagrożony, a właściwie jeden go trzymał, Kenig. Wstawał o 5 rano, aby na czas otwarcia drukarni o 7, przygotować jakiś luźny «ciąg dalszy»; potem szedł jego uroczysty artykuł wstępny; potem jego tłumaczenie litografowanej korespondencyi zagranicznej, której dwie trzecie były wywodami oryginalnymi tłumacza, o wiele głębszymi od pierwowzoru; nareszcie przychodziły ostatnie wiadomości, pisane przezeń przy akompaniamencie rozmowy pięciu, sześciu osób, które w braku niedozwolonych wtedy telegramów dziennikarskich, przynosiły nowiny z telegramów prywatnych i handlowych, odbieranych przez firmy bankierskie». Jednem słowem, zapełniał podówczas Kenig całą niemal «Gazetę» i przez lata następne trzymał ją, by się tak wyrazić, na ostrzu swego pióra, wraz z całym

jej wpływem, z całym dla niej poważaniem, z całym urokiem, który przez czas tak długi «Gazetę», a zwłaszcza jej dział polityczny, otaczał. To też i nie mówiono: «To a to pisze «Gazeta» — ale powiadano: «To a to napisał Kenig». Gdzie napisał? Każdy wiedział doskonale, Kenig bowiem nie nigdzie indziej nie pisał przez lata całe, jeno w «Gazecie», w swojej «Gazecie». A licząc w to politykę, sprawozdania z teatru i sztuk pięknych, artykuły wstępne i przygodne, ile też tak tomów wpisał w tę «Gazetę»? Korotyński obliczył skąpym rachunkiem, że po rok 1884 dał Kenig do «Gazety» 2,000,000 wierszy druku, czyli 200 tomów średniej wielkości.

## VI.

### Zamknięcie.

Nie rzecz moja wypełniać ostatecznymi rysami i odzieniami sylwetkę pisarza, w chwili obecnej zajmującego wciąż jeszcze w dziennikarstwie warszawskim wybitne stanowisko. Słuszną zostawić to wdzięczne zadanie przyszłemu monografście, co kiedyś, za lat, da Bóg, niemało, powołanym do tego zostanie niezależnymi od własnej chęci i woli okolicznościami. Aby sylwetka niniejsza istotną i trwałą wartość miała, ograniczam się rozmyślnie na notowaniu tych jedynie rysów, faktów i szczegółów, na które czas swoje *ne varietur* położył.

Ostatecznie jeszcze, z długoletniego redaktorstwa Keniga w «Gazecie Warszawskiej», wyłuszczyć da się jedna najwybitniejsza cecha tego, jak go słuszenie ktoś nazwał, «klasyka» między dziennikarzami. Oto mianowicie cechowało zawsze publicystyczną Keniga działalność — umiarkowanie. Od lat wielu jest on i pozostał do chwili obecnej umiarkowanie postępowym i umiarkowanie zachowawczym. Umiarkowanie to atoli nie wypływa, zdaje mi się, z temperamentu, z ostrożnej przezorności, lub z jakichbądź względów osobistych. Wypływa ono z szerokich poglądów Keniga na przeszłość i z trzeźwych w przyszłość poglądów. Krew-



ki jego temperament, żywy i wrażliwy po dziś dzień umysł, mają znakomitą przeciwwagę w dojrzałej — powiem dosadnie — mądrości tego człowieka, który wiele widział wie dużo, jasne zawsze o rzeczach ma wyobrażenie i znakomicie szybko w wypadkach i sytuacjach orientować się potrafi. Był czas, że szerokie koła naszego społeczeństwa, zwłaszcza wiejskiego, w «Przeglądy polityczne» Keniga wierzyły jak w ewangelię; polityka jego wywierała wpływ, o jakim żaden z dzisiejszych «kierowników politycznych» gazet warszawskich marzyć nawet nie może; ztąd też i znaczenie Keniga-dziennikarza, z którym liczyć się należy. I szczęśliwie istotnie się stało, że na stanowisku takiego rzeczywistego kierownika opinią publiczną w sprawach *extra muros* stał przez lat tyle nie kto inny, jeno Kenig! Wielki zwolennik instytucyj angielskich, wpajał w czytelników swoich, mimowoli nawet, znamionujące je poszanowanie dla porządku i form parlamentarnych, wszelkie zaś na bożym świecie skrajne objawy w należytem przed oczy nasze stawiał oświetleniu. Pamiętne są jego nieporozumienia z korespondentami «Gazety», z T. T. Jeżem za czasów komuny i z Kulczyckim, mające zawsze na celu uchronienie najpopularniejszego u nas czasopisma od przechylenia się na tę lub ową stronę, od przejścia do obozu bądź jakiego radykalizmu. Z tego samego wytrwałego kroczenia po drodze — pośredniej, wypłynął niezawodnie również znany epizod stanowczego wystąpienia Keniga nazajutrz po zamachu na hr. Lüdersa, dokonanym w ogrodzie Saskim 28 czerwca 1862 r. «W imię sumienia, w imię honoru narodu polskiego — pisał Kenig — w imię całej ludności Warszawy, musimy wypowiedzieć najbardziej stanowcze potępienie». W ośm lat później, okrzyki *à Berlin!* rozlegające się po bulwarach paryzkich, nie zdołały zamknąć mu oczu na fatalny stan ówczesnej administracyi francuzkiej i, wbrew powszechnym niemal przewidywaniom, Kenig latem 1870 roku wcale niedwuznacznie rozpisывał się w swej «Gazecie» o... porażce Francyi.

Zaletą wielką artykułów wszystkich wogóle Keniga jest ich — jasność. Drugą zaletą kardynalną — nawiązywanie każdego, spraw nawet najodleglejszych wątków, do interesów i kwestyj swojskich. Dziś do cech tych zasadniczych przybył jeszcze nieodstępujący już niemal nigdy Keniga — spokój. Gdy po dwudziestu kilku latach redaktorstwa jego w «Gazecie»<sup>1)</sup>, dziennikarstwo warszawskie

<sup>1)</sup> Niech na tem miejscu wolno mi będzie przypomnieć o dwóch jubileuszach, święconych przez Keniga: w 1871 roku jubileusz trzydziestoletniej pracy pisarskiej, w 1884 r. jubileusz dwudziestopięcioletniego redaktorstwa w »Gazecie Warszawskiej«. Pierwszą uroczystość upamiętnił, między innymi, prześliczny wiersz »Od drukarzy warszawskich«, ofiarowany Kenigowi, skreślony przez Winc. Korotyńskiego. Powtarzam go z autografu:

Onego czasu rzesza nieprzebrana  
Stała nad morzem, by posłyszeć Pana;  
A rzesza, morze, i niwy, i skały,  
Za przyjściem Ducha Bożego milczały;  
A Syn Człowieczy głos wywyższył z łodzi  
Na świata strony i czasów powodzi:  
»Oto na niwy, co plonu nie miały,  
Wystąpił siewca, i siał przez dzień cały.  
I siał nazajutrz do kresu wieczora,  
I siał, aż siejby zamknęła się pora.  
A ziarna padło przy drodze niemało,  
Zleciało ptactwo i siew podziobało,  
I hojnych plonów ubliżyła niwa,  
I poszła w niwecz praca starobliwa.  
A drugie ziarna opokę dostały,  
I nie przebiły nieużytej skały.  
I słońce życie wyssało im z łona,  
I skrzętna siejba zamarła spalona.

A drugie zasieć upadło na łany,  
Gdzie suchych cierniów był siew zablakany,  
I płonne ciernie nad niemi wezbrały,  
I zadławiły trud siewcy zmarniały,  
A inne zasieć wzięła żyzna rola,  
I złotem kłosem odziały się pola,  
I plon trzydziesty, sześćdziesiąty, setny  
Nagrodził siewcę za trud całoletny«.

różnym — na lepsze, czy na gorsze, mniejsza — uległo przeobrażeniom, Kenig ani na jotę nie odstąpił nic od swych zasad, bo to chlubę mu tylko przynosi, ale ustąpić nie chciał ani na jotę ze swych — przyzwyczajęń. Tedy zasklepią w szeroko traktowanych przeglądach politycznych «Gazeta», obliczona na czytelników przestarzałego już nieco pokroju, zaczęła powoli nie wystarczać dla publiczności naszej, zaprawianej systematycznie przez inne pisma do strawy może mniej zdrowej i pożywnej, ale żywotnością i świeżością ponętniejszej. Na dokonanie nowych w piśmie przeobrażeń, jak to się stało za czasów pojawienia się «Dziennika», a następnie w chwili rozwinięcia się konkurencyjnej «Gazety Codziennej», Kenig już zdobyć się nie mógł. Chciał autorytetem swoim osłonić «Gazetę» przed obojętnością i powolnem zapoznawaniem jej zalet tak wysoko dotychczas cenionych; robił swoje i robił dobrze, dziwił się, że to może — nie wystarczać. W rękę swoim dzierżył podówczas naczelny redaktor niemal wszystkie działy «Gazety», właściwie zaś opiekował się jednym tylko działem — politycznym i to jeszcze opiekując go niemal wyłącznie na własnych artykułach, uwzglę-

---

Tak Pan przez wieki przemawia do ludzi;  
Głos wielu słyszy, a rzadki się budzi,  
A jeszcze rzadszy do siejby się bierze,  
A jeszcze rzadszy, co pracuje szczerze,  
A jeszcze rzadszy, co się nie zachwieje,  
A jeszcze rzadszy, co do końca sieje,  
Toż z niwy ludów przegląda pustkowie,  
Zatywa w sercu i wysycha w głowie...

Tyś głos ten słyszał, i o rannej zorzy,  
Wyszedłeś w pole, jako siewca Boży,  
I gdy się słońce k' nadwieczeru chyli,  
Jeszcześ nie zażył wypocznienia chwili,  
Nie jedno ziarno zmarniało żałośnie,  
Ale siew bujny runieje i rośnie,  
I plon trzydziesty, sześćdziesiąty, setny  
Nagrodzi siewcę za trud wieloletny...

dniając za mało nieodzowne już, napływające z zewnątrz korespondencye. W pracy mu dzielnie dopomagał Win. Korotyński, przez czas długi najczynniejszy, stały «Gazety» współpracownik, na sposób atoli «podawania» materiału, zlewanego w pismo, wpływać nie mógł; losy «Gazety» spoczywały w ręku — redaktora. I oto, gdy losy te coraz bardziej chwiać się zaczęły, z nimi razem zachwiało się — nie poważanie dla Keniga jako pisarza i publicysty — ale zachwiało: Keniga redaktorstwo. Cztery lata temu zrezygnował Kenig ze stanowiska redaktora «Gazety»; niedość na tem, usunął się całkowicie od wszelkiego zgoła współpracownictwa w piśmie, które od 1844 roku, zatem przez lat mniej więcej 40, stale piórem swem zasilał. Nastaje ostatnia, najświeższa faza w życiu jego. Zmuszony do zamieszczania prac swoich w kilku naraz pismach, rozszerza Kenig odrazu zakres swej pisarskiej działalności. Obok artykułów wstępnych, politycznej i społecznej treści, dawanych systematycznie do «Słowa», wraca w temże piśmie do zaniedbanych w czasach ostatnich sprawozdań teatralnych; «Tygodnik Ilustrowany» artykułami poruszającymi kwestye na dobie zasila; obszerniejsze prace z zakresu bądź spraw teatralnych, bądź spraw społecznych, ekonomicznych, ulubionych wojskowych, zamieszcza w «Niwie». O rozległej tej produkcji sąd nie do współczesnych należy, wolno atoli zaznaczyć przedewszystkiem zadziwiająco istotnie żywotność i ruchliwość umysłu, oraz pracę z młodzieńczą niemal energią graniczącą, które produkcji tej podstawę stanowią. Co zaś do jej treści wewnętrznej... niech mię wyreńczy sam Kenig w określeniu zasad, któremi w całej swej pisarskiej działalności rządził się i którym wiernym pozostał przez — życie całe.

Pół wieku temu, zamykając pierwszy swój donioślejszy publicystyczny artykuł («O dandyzmie warszawskim», numer «Gazety» z dnia 18 maja 1841 r.), w którym wady całej frakcyi społecznej chłostał niemilosiernie, pobudki, które go do tego skłoniły strzeszcza dosadnie: «dlatego

pisał, bo przykro mi było widzieć tylu młodych i tak zdolnych, którzy dla głupstwa, dla marnej chęci błyszczenia nie są tem, czem być powinni, są zerem, niczem, gubią się. Jeżeli jeden z nich aby przeczyta i powie: ma rację, to będzie dla mnie nagrodą». Zaś w lat dwadzieścia potem, w jednym z rzadkich listów Keniga, nielubiącego szczerze wszelkiego wogóle listowania, pisanym do Wincentego Korotyńskiego, w chwili gdy tenże zając miał po Przybylskim Waclawie stanowisko stałego z Wilna korespondenta «Gazety Warszawskiej», czytamy co następuje:

«...Powiem ci, jak ja pojmuję dziennikarza i czego od niego chcę. Dobrze mu mieć talent pisarski, potrzebna mu bardzo wiedza przestronna, ale to na wiele się nie przyda bez temperamentu dziennikarskiego. Bez tego stanie się pedantem... Przedewszystkiem zaś i nadewszystko potrzebny mu charakter, nie jakiś tam dziennikarski, ale powszechnie ludzki... Prawdziwy dziennikarz z krwi i kości o zawodzie swym powiada zawsze, że jest najpiękniejszym i najwyższym, ale zarazem i najtrudniejszym powołaniem, gdy jest spełniane jak powinno w duchu i prawdzie. Powinniśmy umieć płakać na ruinach, ale zarazem prostować drogę Pańską... Łzy nasze nie mogą być łzami ślamazarnej czułościowości, ani łzami rozpaczy, ale rosą ożywiająca, pełną miłości, chociażby najsroźszą goryczą, zaprawnej. Już stary katechizm uczył, że rozpacz jest najtrudniejszym do odpuszczenia grzechem. Kolosalna w tem prawda życiowa... Błogosławieństwo wieczne szukającym sprawiedliwości, chociażby życie całe szukać jej mieli i nie znaleźli. Nie dla siebie pracujemy, lecz dla pokoleń. Niczem się nie zrażać, nigdy nie wątpić, nigdy nie upaść; chodzić wszelkiemi drogami, gdzie niema drogi bitej to po ścieżce, gdzie i ta zamknięta to i bokiem, po kamieniach, po głodnych piaskach, po grudzie, byle nie po — błocie. To najpierwszy obowiązek każdego z nas. Uczyć się, uczyć bez przerwy, uczyć z książki i z życia, uczyć się do śmierci, bo świat ludzki nie stoi, przerabia się ciągle,

a my o wszystkim wiedzieć powinniśmy. To obowiązek drugi... Pisząc miej to na myśli, miej w sercu, a będzie zawsze dobrze, chociażby mniej wykwintnie wyszło. Żadne słowo uczciwe bez skutku nie zaginie. W druku staje się ono ciałem, czynem maluczkim wprawdzie, napozór niczem, a jednak zawsze czemś. Chociażby ten skutek był najdrobniejszym, zawsze to słowo żyje i życie da. Ideał to, ale bez ideału niema siły...»

Przeszły lata, przemknęły wypadki, zmieniły się czasy, zmienili się ludzie, sam pięćdziesięcioletni pracownik na dziennikarskiej niwie uległ z kolei przeobrażeniom rozmaitym, świat i życie coraz to nowe tematy nasuwały pod niestrudzone pióro, zmieniała się z biegiem czasu forma zażycia tych różnorodnych tematów; wewnętrzna tylko treść, duch, tej uczciwej publicystycznej pracy Keniga — został bez zmian. To jedyny a, zda się, najchlubniejszy komentarz do własnego jego wyznania wiary, który pozwalam sobie w ostatnim wierszu tej sylwetki położyć.

1884.



# NAPOLEON I POECI.

Kartka z dziejów Napoleonizmu.

Jednym z łączników niejako między początkiem a końcem dobiegającego do kresu stulecia jest, by go tak nazwać, napoleonizm, silnie zaprzatający wyobraźnię ludzi dzisiejszych z przyczyn, narazie niemal trudnych do wytłómaczenia. Zdawałoby się: co może mieć wspólnego pokolenie obecne, wychowane wśród prądów etyki kulturalnej, postępu dochowego, hasel humanitarnych, wśród szerokich międzynarodowych stosunków i interesów, wśród powszechnego rozbudzania się dążeń narodowościowych — z epoką podbojów orężnych, despotycznego terroryzmu, słowem — cezaryzmu, gwałcącego, w imię przewagi silniejszego, prawa Boskie i ludzkie? Zdawałoby się: po to tylko chyba wywleczono raz jeszcze z zapomnienia zmierzchu postać wyobraziciela tej epoki, aby sąd na nią wydać pogrobowy, zdruzgotać bożyszcze dawnych czasów, oplwać je i, przytrzymawszy pod przęgierzem, przekazać wżgardzie i odrzacie potomnych...

Tak jednak nie jest. Znamienny zwrot ku powszechnemu niemal zainteresowaniu się wspomnieniami i pamiątkami, które napoleonizm po sobie zostawił, ma podkład psycho-

logiczny niemniej wpływowy, niż owe polityczne przy-  
czyny, co od chwili odbicia od brzegów Francyi «Belero-  
fontu» z uwięzionym Napoleonem, aż do chwili wręczenia  
szpady cesarskiej zwycięskim prusakom pod Sedanem, nie  
przestawały raz po raz budzić we Francyi do realnego życia  
pogrzebywany razy tyle, wielki miraż napoleońskiego im-  
peryalizmu. Sen ów, opromieniony takim blaskiem *gloire'y*,  
prześniony jest bezwrotnie — w życiu. Napoleońsko-bona-  
partystyczny imperyalizm, jako hasło polityczne, istnieć  
przeszedł nazajutrz po sedańskim, wstydu i upokorzenia  
pełnym pogromie. Zabiły bezpowrotnie hasła owe nie ja-  
kieś tragiczne nieszczęścia, mogące mierzyć się ze zgonem  
na Sw. Helenie; zabił je zawód, goryczy pełny i sromotny.  
Idea polityczna bonapartyzmu, jak mgła wichrem rozbita  
i poszarpana, niema nawet za co i za kogo czepiać się  
dziś jeszcze; został trójkolorowy sztandar — zabrakło  
tylko ręki dla ujęcia go; nadzieje serdeczne i otuchy  
mogły swojego czasu biedz ku księciu Reichstadtkiemu,  
nawet ku zagadkowemu prezydentowi przejściowej drugiej  
Rzeczypospolitej, ale dziś niemasz na horyzoncie Napole-  
onidów nawet takiej miary. Jak zbrakło spadkobierców  
dla Bekwarkowej lutni, tak niemasz dziś komu objąć bo-  
haterskiej roli nawet po Napoleonie III. A bez głównego  
bohatera, i to nieodzownie w tradycyjnym stylu, nie da  
się wyobrazić ruch bonapartystyczno-imperyalistyczny.  
To też i znikł z widowni dziejów na zawsze.

Ale po zwycięzcy z pod Austerlitzu i zwyciężonym  
pod Waterloo nie jedno tylko i jedyne zostało hasło poli-  
tycznego stronnictwa, nie jedno tylko jakieś dynastyczne  
przywiązanie, podobne do uczuć, ożywiających np. u nas  
w drugiej połowie zeszłego wieku jakąś partyę saską. Zo-  
stały po nim czyny wielkie, powiedziećby prawie można,  
w rozumieniu Carlyle'a lub Nietzsche'go: nadczłowiecze —  
i czynów tych niewygasający nigdy, psychologicznie uspra-  
wiedliwiony urok.

Etyczna wartość, dźwignie, skutki czynów wielkich,



dokonanych przez jednego człowieka, nie dzięki przypadkowemu zbiegowi pomyslnych dłań okoliczności, ale dzięki potędze jego własnej duchowej, mogą być najrozmaitsze i sąd też o nich od tych różnie zależy. Ale sąd krytyczny a przejmujące wrażenie «wielkości», dla której oceny mamy samodzielne kryterium — to też dwie różne rzeczy. Nie minal cesarza Napoleona sąd krytyczny i współczesnych, i potomnych, nie potrzebujemy przypominać, jak ostry; ale sąd ów, choćby go już dziś niezem nadwerezyc nie bylo sposobu, nie zdołal podkopać i osłabić wrażenia, które zjawisko to niepowszednie wywieralo i dotad wywiera. Wszelkie polityczne interesy i namietności nie juz dzisz z nim wspólnego nie maja, sąd krytyczny dzisz juz nie spotyka zgoła oponentów, a mimo to wrażenie trwa dotad, potegujac się nawet stosownie do charakteru chwili, w której postać Napoleona i czasy jego raz jeszcze zjawiają się na widnokregu pamieci ludzkiej i wspomnień. Otóż chwila obecna — ostatnie lata XIX stulecia — sprzyja, jak nie można lepiej, takiemu właśnie, jakie mamy przed oczyma, garnięciu się wyobraźni ludzkiej do postaci i czynów napoleońskiej epoki. W przeciwieństwie ducha i charakteru tych dwóch epok (początku i końca wieku) mamy rozwiązanie zagadki, na pozór tylko dziwnej i paradoksalnej.

Czasy nasze, długą drogą ewolucyi duchowych najróżnorodniejszych, doszły niemal do apoteozowania — indywidualności. Jednostce, jej osobistym zapatrywaniom i dziełom przyznano nietylko jaknajszersze prawa, ale i przywileje. Pokolenia, niemal bezpośrednio przed nami ton nadające środkowym wieku okresom, nasłuchały się dowoli, naprzemiany z upojeniem, z przesytem, to znowu z trwogą tajemną — wszelkich «głosów zbiorowych». Przeżyto różnorodne zbiorowe rewolucye i reakcye, i w owych gremialnych wysiłkach (bynajmniej nie wyłącznie w dziedzinie politycznej, ale i w dziedzinie społecznej, nauki, sztuki etc.) potopiono, starto, zaprzepaszczono, zmarnowano

moc niezliczoną najdzielniejszych indywidualności. Na madejowem łożu akcyi zbiorowych osłabła, zmarniała, wypłowiła — samodzielność. Gdy poczęto domagać się przywrócenia jej praw i znaczenia — już było zapóźno, Niwelacyjne długie lata uczyniły swoje. Wydane zostało na świat pokolenie, wdrożone pięknie bardzo do wszelkich ról biernych, ale znerwowane, do ciasnych widnokręgów przywykłe, apatyczne. Z gruntu takiego bohater nie wyrasta; gdy rozpętano nareszcie indywidualność, okazało się, że niema komu korzystać z jej praw. Zawód ów wywołał rozgoryczenie i pociski na «ducha czasu», na chwilę bieżącą. Upokorzony i nie zadowolony tłum współczesnych odwrócił się od areny świata, leżącej przed oczyma, od małostkowych, szarych na niej zabiegów, od puszających się na niej pigmejów i epigonów — i jał krzepić ducha bodaj przywoływaniem sobie na pamięć obrazów wielkich, bohaterskich czynów i czasów. Nie ideał znaleziono w epoce zwanej napoleońską, ale — skalę. Znaleziono w niej tę, o którą wołano daremnie: miarę Fidjasza dla piersi, umysłów i serc ludzkich. Zestawiono z niskim poziomem spraw i dusz współczesnych naprawdę «wielkie» rozmiary ówczesnych, godnych nazwy «bohaterów chwili». Zrozumiano, odczuto zarówno magiczny urok nadludzkiej postaci boga wojny, jak zapał i wielkość jego przeciwników; homeryczne ich zapasy nie potworzyły już obozów i stronnictw, wywołały tylko zazdrosny zachwyt wogóle dla czasów, pełnych takich ludzi i czynów. Strząsając skwapliwie kurz ze starych pamiętników, nie szukamy już dziś w nich gorączkowo usprawiedliwień i rozgrzeszeń dla «bożyszcz»; przeciwnie, bez zajęku nazywamy rzezie rzeziami, gwałt — gwałtem, najazd — najazdem. Z równym dreszczem tajemnym, jak na piramid potężne czworoboki — patrzemy dziś na plan kampanii włoskiej, most z pod Arcolo, na słońce Austerlitzkie, na przedziwne cofanie się z pod Lipska ku Paryżowi w roku 1814, jak na dymiące gruzy Moskwy, hiszpanów z roku 1808, niemców

z r. 1813, jak na pole bitwy pod Waterloo. Wszystko to jednakowo — wielkie. Wszystko to: owe potężne wstrząśnienia wielkiej rewolucji, przeobrażającej społeczeństwo całe, rozniesienie jej hasel po Europie przez legiony cezara, kolosalny plan (urzeczywistniany!) rozdziału świata między genialnym korsykaninem a zagadkowym marzycielem na północnym tronie, dźwignięcie się skowanych ludów, zapasy ich z olbrzymem, wreszcie owe ogłoszone między szafotem Ludwika XVI a tronem Napoleona Święte Przy mierze — toć to wszystko rzeczy, sprawy, porywy, zamysły, na szeroką założone skalę, poruszające do głębi społeczeństwa ludzkie, godne ofiar niepowszednich i poświęceń, wymagające ze stron obu ogromnej mocy wewnętrznej.

A dziś?...

Tak, te dwa wyrazy, wymawiane tylokrotnie przeciągłym, zniechęconym, apatycznym, zgorzkniałym głosem — oto słowo zagadki, dlaczego myśl ludzka zwróciła się w ostatnich czasach z taką, na pozór dziwną predylekcyą ku epoce napoleońskiej.

Dziś znowu, jak w latach bezpośrednio po upadku politycznej potęgi Napoleona, jak potem wślad po jego zgonie tragicznym, jak następnie wówczas, gdy zwłoki jego do Francji sprowadzano, jak wreszcie w pierwszych latach drugiego cesarstwa — odbudowujemy raz jeszcze na wszelkie sposoby, piórem i rylcem, mimiką sceniczną i kunsztem malarskim postać tę olbrzymią i jej imponujące otoczenie. Do życiorysów i studyów już istniejących, do pamiętników już wydanych, przybyła ostatnimi czasy, bez przesady mówiąc, spora biblioteka; z tek, potroszę zapomnianych, dobyto na widok publiczny ryciny, odtwarzające niezliczone etapy napoleonizmu, dające miarę powszechnego zainteresowania się i zapotrzebowania, pojawiły się wspaniałe ilustrowane wydawnictwa, Napoleonowi i czasom jego poświęcone; rysownicy i malarze, obok historyków i poetów, wzięli szeroki udział w tym istotnym «renesansie napoleońskim», — by wspomnieć tylko o obra-

zach Meissoniera i Wereszczagina, o panoramie przejścia Berezyny; odświęcono cały szereg jubileuszów napoleońskich, że przypomnimy tylko uroczystość w północno-wschodniej Aleksandryi i zjazdu tamże badaczy napoleońskiej epoki; moda zwróciła się do strojów i stylów «pierwszego cesarstwa»; antykwarskie wystawy sklepowe, jak długa i szeroka Europa, wysunęły na czoło swych zbiorów, jako przednią przynętę, zabytki z początku wieku; czasopisma, te wierne odbicia ducha chwili, zajęły się napoleonizmem, jakby najefektowniejszą aktualnością, że nie potrafimy nazwać perjodycznego wydawnictwa, któreby w ostatnich czasach nie poświęciło mniej lub więcej szerokiego miejsca Napoleonowi; po scenach świata krąży wciąż «Madame Sans Gêne», którą zluzować przybył właśnie «L'Aiglon» Rostanda. A rzecz charakterystyczna: w ruchu tym, w tem «odrodzeniu» ani bierze wyłącznie udziału, ani też nawet nie przoduje — Francya. Nie ustępują jej kroku, prześcigają ją nawet wszechświatowe: literatura, sztuka, publiczność, bez względu na sympatye i chwilowe konstelacye stosunków międzynarodowych. Epoka napoleońska, ze wszystkimi jej bez wyjątku bohaterami, przeszła do historii i stała się już dziś, by się tak wyrazić, własnością powszechną.

Myśmy też wedle owego wielkiego stawu część naszą przysłowionej grobli położyli, wydając «Historję szwoleżerów», malując najpiękniejszą z istniejących panoramę Berezynskiej przeprawy, przygotowując panoramę Somo-Sierry. Ale sprawiedliwość wyznać każe, że my, których dzieje tak swojego czasu ściśle związane były z napoleonizmem, ani dziś, ani przedtem nie zajmowaliśmy się bezpośrednio samą postacią cezara w tej mierze, jak np. Niemcy, którym on po sobie tak ciężkie zostawił wspomnienia. Dla nas był on i pozostał Napoleonem z «Pana Tadeusza», to jest wcieleniem niejako wielkiego odłamu naszych własnych aspiracyi, personifikacyą, symbolem, sztandarem naszego własnego ruchu narodowego

w okresie lat niedługich, między 1800 i 1812 rokiem. Z wyjątkiem wiersza Słowackiego («Na sprowadzenie zwłok Napoleona»), niema w literaturze naszej jednego konterfektu napoleońskiego, jednego odtworzenia tej postaci, nie zabarwionego mniej lub więcej patryotycznymi uczuciami, wykluczającymi obiektywizm i pogląd z bardzo wysoka na wszechświatowego znaczenia wypadki. Zapamiętaliśmy i chcemy widzieć Napoleona wyłącznie tylko w otoczeniu — ułanów.

Ciekawa i pouczająca monografia napoleonizmu w literaturze naszej nie została jeszcze opracowaną i wdzięczny ów temat czeka jeszcze na kompetentne i barwne pióro. Byłby to niezawodnie niemałoważny przyczynek do innej, szerszej monografii, odtwarzającej rozwój i całokształt całej t. zw. napoleońskiej literatury międzynarodowej. Temat ów, podejmowany w różnych czasach przez różnych pisarzy (Saint-Beuve, wielka encyklopedia Larousse'a etc.), przez nikogo jeszcze nie został do dna wyczerpanym. W ostatnich latach ukazały się natomiast opracowania niektórych odłamów napoleońskiej literatury, jako to: studyum F. Magnard'a w «Revue de Paris» z 1894 r. p. t. *„La résurrection d'une légende»*, szereg artykułów Holzhausena w «Allgemeine Zeitung», z roku bież., p. t. *»Die Anfänge Bonapartes im Spiegel der zeitgenössischen deutschen Dichtungen»*, dzieło Pitre'go, p. t. *»Canti popolari d'Italia sul Napoleone I»*. Do rzędu też obfitszych w szczególności i szerszej skali zarysów zaliczylibyśmy studyum (w «Preussische Jahrbücher» z r. b.) d-ra Karola Voretzsch'a poświęcone słynnemu swojego czasu cyklowi pieśni o Napoleonie, napisanych w r. 1835 przez niemieckiego poetę F. v. Gaudy'ego (mówiąc nawiasem, Gaudy przetłumaczył doskonale i wydał w r. 1833 «*Spiewy historyczne*» Niemcewicza). Voretzsch nie wyłącznie tylko pisze o Gaudy'm, lecz daje jednocześnie pogląd ogólny na poezję napoleońską wszechświatową.

Temat obszerny, obfitość materiału wielka. **Mało**

która postać historyczna, a w każdym razie ani Wallenstein, ani Gustaw-Adolf, ani Ludwik XIV, ani Fryderyk II nie oddziaływała w takim stopniu na poezję współczesną i potomną, jak Napoleon I. Bez liku prawie są utwory poetyckie, o nim mówiące, jemu lub jego pamięci poświęcone. Nie wciągamy nawet w rachubę utworów pochlebców i dworaków; nawet wówczas, gdy już niezem nikomu przysłużyć się nie mógł, a raczej właśnie, gdy spoczął pod płytą grobową na samotnej wyspie skalistej, stał się odtąd i pozostał do dziś dnia bohaterem bujnej, specjalnie jemu poświęconej twórczości poetyckiej. Nawet polityczni przeciwnicy nie wahali się go podziwiać; widziano zagorzałych legitymistów, przeobrażających się w zapalonych napoleonistów, a kult napoleoński sięgał daleko po za granice Francji i mowy francuskiej. Postać cesarza i losy jego wywarły wpływ na pisarzy narodowości najrozmaitszej, a na czele ich, rzecz charakterystyczna, stoją mności poeci narodu, który najbardziej swojego czasu od jarzma napoleońskiego ucierpiał.

Z chwilą pierwszego wystąpienia Bonapartego na widownię, zjawia się, rzecz można, poezya przy boku jego i będzie mu odtąd stale towarzyszyć — do grobu i za grobem. Dnia 6 listopada 1799 r. rozpędza Bonaparte radę pięciuset w Saint-Cloud, a już dnia 22. tegoż miesiąca publiczność w teatrze Favart'a oklaskuje entuzjastycznie wodewil okolicznościowy i — jak nie można bardziej aktualny, zatytułowany *«Les mariniers de Saint Cloud»*. Wślad za tem inny teatr paryzki wystawia sztukę p. t.: *«La girouette de St.-Cloud»*, a jednocześnie w teatrze, zwanym Trubadurów, grają i śpiewają wodewil: *«Une journée de St.-Cloud ou la pêche aux jacobins»*. Wszystkie trzy sztuki wymierzone są przeciw senatowi i wysławiają Bonapartego, jako zbawcę Francji. We Włoszech Ugo Foscolo pisze swoją odę *«Do Bonapartego, oswobodziciela Włoch»*; drukuje ją kosztem własnym rząd rzeczypospolitej Cispaadańskiej i rozrzuca po kraju w tysiącach egzemplarzy. Ale powiedzmy, że to

poezya mniej lub więcej oficjalna. Powiedzmy, że słynna «*Cansone on Napoleone el Grande*» Bucciarelli'ego z 1807 r. nie wolna od wpływu pochlebstwa i serwilizmu; że cała wogóle literatura napoleońska, powstała w czasach jego potęgi i władzy, bardziej na miano «narzędzia politycznego», niż na wszelkie inne zasługuje. Jeżeli nawet omylimy się, nie dopatrując w niej nigdzie szczerości, natomiast nie rozmiemy się z prawdą, twierdząc, że pod napoleońskimi rządami swoboda słowa drukowanego nie szczyciła się wcale sympatją i względami cesarza.

Karol Nodier, podejrzany (zresztą słusznie) o autorstwo ody «*La Napoléone*», początkowo kursującej w odpisach, a następnie wydrukowanej, — więzieniem za śmiałość swą przyplacil. Chateaubriand'owi aluzje do gwałtu i tyranii zamknęły wrota do Akademii. Liczba teatrów została ograniczoną. Wówczas to napisał Chateaubriand słynną broszurę swoją o Bonapartym i Burbonach, a Byron ode, mieszającą z błotem wszystko bez wyjątku, co dokonał tyran ambitny na tronie. W Niemczech, obok szlacheckich, zapału pełnych pieśni Arndt'a, Schenkendorfa, Körnera, rozlała się powódź istna pisemek i piśmidel, satyr i karykatur, znęcających się bezlitośnie i nieszlachetnie nad zwyciężonym. Do chóru tego wniósł się, niestety, nawet Rückert, dawszy folgę zapamiętałej nienawiści w ciężkiej, a grubiaństwami przepełnionej alegoryi: »*Politische Komödie*».

Zarówno bałwochwalczą tę i serwilistyczną, jak rozpasioną i plwającą literaturę zostawmy na stronie. Dla obu na Parnasie miejsca niema. Służalcze i zjadliwe rymy spłynęły po wypadkach chwili, nie zostawiwszy trwałego śladu po sobie; zeszyły w grób wespół z autorami, których interesom służyły. Poezye, raczej pseudo-poezye niemiecką, rzekomo patryotyczną, a w gruncie rzeczy niegodną wielkich czynów, w 1813 r. dokonanych, napiętnował Zedlitz w ustępie swoich »*Todtenkränze*», poświęconym pamięci Napoleona:

•Podła ta, licha tłuszcza mi obrzydła,  
Co na mogiłę plwa, obelgi miota!..  
Jak płazy pełzli przed Nim, gdy za życia  
Pomyślnie wróżby moc jego krzepiły;  
Sięgnąłby wówczas choć po skarb Golkondy  
Żadneby usta nie śmiały zaszemrzeć,  
Dziś nad prochami jego wyje ciźba;  
Urąga, grozi, bezczelnie pomiata  
Powalonego prochami Tytana.  
Kto? Ci, co jarzmem jego się pysznili!•

Głosy te atoli, na które oburzał się Zedlitz, rychło przycichły. Głęboki tragizm powolnego konania na wyspie więziennej byłego władcy świata wywarł pełne współczucia wrażenie na umysły i dusze najbardziej zawzięte. Burze wojenne przycichły, zgliszcza wygasły, zablizniały się rany, a szara, bezbarwna terażniejszość niewiele zyskiwała w zestawieniu z burzliwą, ale świetną przeszłością. We Francyi blask tej przeszłości oraz sławę nieśmiertelną «wielkiej armii» i jej wodza jał opiewać Béranger, a wpierv jeszcze, bezpośrednio po drugiej abdykacyi cesarza, hołd wygnańcowi złożył Delavigne w swoich «Messeniens», głoszących, iż upadek Napoleona upadkiem jest całej Francyi. Nawet w Niemczech, jeszcze zalanych utworami, ziejącymi nienawiścią i urąganiem, poczęły już wówczas odzywać się lutnie, na inny ton nastrojone. W lat kilka po upadku Napoleona (1818), pisał Platen baladę swoją: «Cień Kolumba», w której duch odkrywcy Ameryki rozmawia z więźniem cesarskim, płynącym na św. Helene, i pociesza go powołaniem się na sąd potomności. Jeżeli zaś nie zawodzi pamięć przyjaciela Heinego, J. Neunzig'a, latem to właśnie 1819 r. odczytywał mu Heine, głosem od wzruszenia drżącym, świeżo napisaną baladę o dwóch grenadyerach.

Upadek Napoleona dał Europie: upragniony pokój i nadspodziewanie wiele zawodów. Nadzieje, przywiązane do zwycięstw wojsk sprzymierzonych, w znacznej mierze nie zostały zniszczone. Odrestaurowany tron Burbonów



okazał się słabym nad wszelki wyraz: dla obalenia go wystarczyło pojawienie się na ziemi francuzkiej kilku plutonów żołnierzy pod wodzą cesarza. Po ostatecznej abdykacyi Napoleona zapanowały reakcyjne stosunki, nie różniące się niczem od jego rządów pod względem swobody jednostki i słowa. Na konstytucyę, daną przez króla Ludwika, patrzyła krzywo wracająca do kraju arystokracja francuzka, a lud nie miał żadnego powodu być z niej zadowolonym. W dodatku: wojska obcych mocarstw popasały we Francyi aż do 1818 roku, a rządowi Burbonów zbywało najkompletniej na wszelkim blasku «*gloire'y*». Rozczarowanie i niezadowolenie były powszechne — nie w jednej tylko Francyi, gdzie tacy, jak Béranger i Paweł-Ludwik Courier jawnie uczuciom tym dawali wyraz: pierwszy w śmiałych piosenkach, drugi — w wyzywających piśmach ulotnych.

Wśród takich to stosunków i nastrojów otrzymano w Europie wieść o zgonie cesarza. Czy dziwić się, że postać jego zolbrzymiała jeszcze, w zestawieniu z tymi, co jego zajęli miejsce? że poeci, nietylko francuzcy, ale włoscy i niemieccy poszli wience laurowe złożyć na jego trumnę? Znaleźli się przy niej — wprawdzie rozmaitemi uczuciami ożywieni — francuzi: Béranger, Lebrun, Lamartine, Wiktor Hugo; Włochy powierzyły przedstawicielstwo swoje Manzoni'emu; w Niemczech uczcili zgon cesarza gorącemi pieśniami Grillparzer, Immermann i wielu innych: Chamisso odtworzył w dramatycznym obrazku śmierć cesarza; sam Goethe tłómaczył na język niemiecki odę Manzoni'ego. Przed otwartą mogiłą zamilkły nienawiść narodowa i walki stronnictw. «Nigdy — wołał Lamartine — lutnia poetów nie lżyła grobów; po wsze czasy śmierć była schroniskiem dla sławy!»

Zgon Napoleona stanowi niejako przełom w jego *histoire poetique*. Pochlebstwo i obelgi znikają, i wyrasta na ich miejsce, krzewiąca się do dziś dnia — «legenda napoleońska». Początek jej dały z jednej strony

pieśni Béranger'a który stworzył a raczej uniesmiertelnił typ »małego kaprala«, oraz żołnierza «napoleonisty», — z drugiej strony niezliczona liczba pamiątek. Te ostatnie przygłuszyły niejako historię. Wpływ ich silniejszym był, niż najszczegółowsze i najbezsronniejsze badania dziejopisów; tłómaczono je — z «Pamiętnikiem św. Heleny» na czele — na wszystkie języki, czytano skwapliwie, przedrukowywano nieustannie. Podczas, gdy koturnowy Wiktor Hugo w poświęconych Napoleonowi poezjach dawał folę subiektywnym uczuciom swoim, Bérangera piosenki wiernie odbijają legendę napoleońską ludową, powszechną popularną.

Legitymista, skronnik Burbonów, rzuca jeszcze W. Hugo w odzie swojej na śmierć cesarza gromy na «bicz Boży» — jak go nazywa — ale powoli przeobraża się w zapalonego wielbiela Napoleona. W słynnej odzie na kolumnę Vendôme („*A la Colonne*“), przed jej płaskorzeźbami, odtwarzającymi nadludzkie czyny, unosi go polot, któremu trudno majestatyczności odmówić:

»... Avec sa main romaine  
Il tordit et mêla dans l'oeuvre surhumaine  
Tout un siècle fameux,  
Les Alpes se courbant sous sa marche tonnante,  
Le Nil, Le Rhin, le Tibre, Austerlitz rayonnante,  
Eylaü froid et brumeux!  
Car c'est lui qui, pareil à l'antique Escalade,  
Du trône universel essaya l'escalade,  
Qui vingt ans entassa,  
Remuant terre et cieux avec une parole,  
Wagram sur Marengo, Champaubert sur Arcole,  
Pélion sur Ossa!«

Mniej patetycznie, ale z równym zapalem wysławia Napoleona muza Bérangera. Piosenkowa forma jego utworów, z powracającym *refrain*, zapewniła im szerszą jeszcze i współcześnie, i potem popularność, niż kunszt poetycki odon Wiktora Hugo. Rzecz atoli charakterystyczna: **nie** napisał Béranger ani jednej piosenki, sławiącej bezpośrednio

którąbądź z bitew, którebądź ze zwycięstw Napoleona; żadnego nie opisał czynu lub faktu. Ogranicza się on do odtwarzania postaci Napoleona takiej, jaką pozostała w pamięci — ludu, i tem właśnie najbardziej przyczynił się do spopularyzowania legendowego cesarza. W piosnkach jego mamy niemal bez wyjątku odbicia wrażeń i wpływów poleońskich na wyobraźnię, usposobienie i serca współczesnych. Dość przypomnieć, że najpiękniejsza Bérangera piosenka napoleońska nosi tytuł: «Wspomnienia ludu». („*On parlera de sa gloire — Sous le chaume bien longtemps*“...)

On, powiadają, czynił nam szkody,  
My jednak za nim pamięcią gonim,  
Gonim w zawody,  
Mówcie, babuniu, mówcie nam o nim,  
Mówcie nam o nim.

(Przekł. W. Korotyńskiego).

A obok postaci cesarza, unieśmiertelnił Béranger napoleońskich typowych, legendowych wiarusów (*vieux grognards*). Oto sierżant, siedzący u kołowrotka córki swojej i dumający o niepowrotnych czasach, z pogardą mówiący o tych, co opuścili sztandar trójbarwny cesarski i przystąpili do rojalistów; oto inwalid, co w chwili uwięzienia cesarza, ukrył pod siennik sztandar, aby dobyć go kiedyś, w lepszych czasach; oto stary kapral, teraz, na służbie Burbonów, skazany na rozstrzelanie za to, że jakimś żółtodziobemu sierżantowi odburknął.

Naprzód wiara,  
Iść przytomnie,  
Tylko wara  
Płakać po mnie!

Oto wreszcie grenadyerowie... a wśród nich owi dwaj, w listopadową noc 1814 r. niemogący zdecydować się opuścić wartę z przed pałacu w Fontainebleau.

Wszystko to modele, których wiernie z natury malował poeta i którym życie na lat długi szereg zapewnił. Nie ma piśmiennictwa, w które mby nie figurowali w na-

stępstwie bérangerowscy napoleoniści. Mamy i my też w literaturze naszej nader blizkich ich krewnych:

Honorowy krzyż na fraku,  
Wąsy zawiesiste,  
Jedna ręka na temblaku:  
Masz napoleonistę.

(*Wł. Syrokomla.*)

A od kogóż pochodzą, jeżeli nie w prostej linii od sierżantów i; kapralów Bérangera, Syrokomli Terefera i Szarpentyna? Sam Napoleon w tej przepięknej gawędzie zaliż nie jak z piosnki Bérangera lub z obrazka Vernet'a?

Ot na białej, dzielnej szkapce  
Jakiś jeździec ku nam kroczy,  
W szarej kurtce, w niskiej czapce...

. . . . .

Do swych piersi cesarz sięga,  
Dał mi krzyżyk... o rozkosze!  
Patrzcie dzieci, to jest wstęga,  
A na piersiach sam krzyż noszę!  
A jak umrze Terefera,  
Weń ustrojcie go za mary:  
Niechaj moją pierś ubiera,  
Niech ozdabia mundur stary...

Takiego też Napoleona ukaże nam Chodźko przez oczy kwestarza swego i definitora. Jak u Bérangera, będzie to też odbicie wrażenia napoleońskiego, na współczesnych mu wywarte i — będzie też w tym obrazku specyficzne nasze zabarwienie napoleonizmu.

«Bracie Michale! — rzekł do mnie ojciec definitor, gdym opowiedział mu wszystko, com widział — bracie Michale! musisz mię tam zaprowadzić, abym go obaczył»... Po paru dniach dopiero nadarza im się upragniona sposobność. Wśród natłoczonej wileńskiej ulicy Biskupiej, są świadkami przyjazdu cesarza i odbierania przezeń petycyj. Jedną z nich podaje cesarzowi grenadyer, zatkniętą na bagnecie. «Cesarz przeczytał, poczem «skinął na jednego ze swoich jenerałów, ten się przybliżył, wziął odeń krzyż

z piersi, nachyliwszy się z konia, sam go przypiął żołnierzowi... i ruszył galopem. Kiedyż to krzyknie na całe gardło ów żołnierz: *Wiwolamperer!*... Ujrzelśmy tego węsala z kresą przez łeb i twarz, który nie przestawał wrzeszczeć, jak waryat, całował krzyż swój, a lzy przecież ocierał i śmiał się, ścisnął zgromadzonych... — No, idźmy nazad, *reverendissime* — rzekłem. — Ale on stał, jak osłupiały, aż się przeląknem. — Widziałem go więc! widziałem — szeptał — widziałem go! Ot, co jest! *Nunc dimittis Domine, nunc dimittis...*“

I po latach, długich latach doświadczeń i nauk, wciąż jeszcze temiż, co definitorem oczami na Napoleona pierwszego, patrzeć będzie na spadkobiercę, niestety, imienia jego tylko, na Napoleona trzeciego, nie już *reverendissimus* klasztorny, jeno sam naczelny ówczesny przywódca narodowy, Adam Mickiewicz. Z tegoż samego, niech mi wybaczonem będzie przykre słowo: ciasnego punktu widzenia — patrzeć będzie twórca «Pana Tadeusza» zarówno na «boga wojny» z roku 1812, jak na cesarza francuzów z 1856 r. Z tego stanowiska sąd o zwycięzcy z pod Friedlandu i twórcy księstwa Warszawskiego ferować będzie autor «Obrazów z przeszłości», Falkowski, a za nim tylu, tylu innych — u nas. Przez długie, długie lata, nie mogliśmy się wytrzeźwić z mniemania, iż Napoleona Bóg na świat zesłał i pozwolił mu dokonać to wszystko, co uczynił, i wywyższył go nad mocarze i strącił z piedestału, jedynie mając na względzie — nasze losy. Nie mogliśmy się oprzeć złudzeniu, że Napoleon istniał wprost — dla nas. Zaanektowawszy go dla naszych własnych interesów, wprzągłszy go do rydwanu własnych naszych dziejów, nie potrafiliśmy logicznym rzeczy składem odczuć i osądzić — by się tak wyrazić: z lotu ptaka — jego wszechświatowego stanowiska. My, tak bliscy jego, zdobyliśmy się jedynie albo na zaślepiony entuzjazm, albo na gorzkie wyrzekania zawiedzonych.

Nie mówiąc już o Niemczech, których uczuć patryotycznych doprawdy Napoleon nie oszczędzał, a wśród

których jednak znaleźli się na wyżynach obiektywnego i szerokiego o nim sądu tacy, jak Goethe, Heine, Grabbe, Gaudy, Zedlitz, mamy nawet w Lermontowskiej opowieści o bitwie pod Borodino akord, dostrojony do istotnego znaczenia czasów, które od Napoleona nazwę swoją historyczną wzięły. Akordem tym jest znany wykrzyknik opowiadacza:

»Da, byli ludi w nasze wremia:  
Moguczoje, lichoję plemia,  
Bogatyry, nie wy!

To jest już wówczas, przed laty siedmdziesięciu, pochwycono i dotknięto ton, na który nastrojone zostanie u schyłku wieku odrodzenie napoleonizmu. Te dwa wiersze Lermontowa można śmiało położyć, jako *motto* nad dziejami dzisiejszego zwrotu ku rozpamiętywaniom epoki napoleońskiej. Jest w nich dziś dopiero nastąpiło ogólnienie bohaterstwa i potęgi na całe napoleońskie czasów pokolenie, jest w nich zaznaczony kontrast, z którego bolesnego odczucia wyłonił się dziś ów zwrot.

Rozumie się to, o czem mówimy, jest w wierszu Lermontowa tylko przebłyskiem. Takim, nie przybłyskiem już, ale pełnem błysnięciem — jest w literaturze naszej wiersz Słowackiego na sprowadzenie zwłok Napoleona. Utwór ów poetycki, najpiękniejszy ze wszystkich, jakie z okoliczności tej powstały, i we Francyi, i poza jej granicami, powstał właśnie na tych duchowych wyżynach, na które wznieść się wobec napoleonizmu danem było u nas jedynie Słowackiemu:

Szumcie, szumcie więc, morza lazury,  
Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma!  
Piramidy! wstępujcie na góry  
I patrzajcie nań wieków oczyma!  
Ta na morzu mew girlanda szara —  
Jest to flota z popioły cezara.

A cesarz ów Słowackiego nie «polski» to Napoleon — to Napoleon taki, jakim go ludzkość dziś w Panteonie swoim postawiła. To ów »proch, który niczem już jest»,

a mimo to ma (dziś bardziej niż kiedybądź dla nas wi-  
doczną) «straszłą królewską powagę».

Czy tenże Słowacki, w zamierzonym i rozpoczętym  
poemacie na temat 1812 r. (dano fragmentowi tytuł: «Pan  
Tadeusz»), byłby się wobec Napoleona utrzymał w tonie  
takiego właśnie kryterium? Wątpić należy. Gdy w Sopli-  
cowskim dworze ukazuje się nagle strwożonej i przejętej  
Zosi cesarz u progu, twarz jego — czytamy:

...była, jak marmur niezmienna,  
Owszem, rzekłbyś, że bielsza od mrozu, promienna,  
Jak miesiąc złota...

«Promiennosc» tę znamy. To promiennosc ukazujacego  
sie jutrzeńkowego słońca — na naszym horyzoncie. Fra-  
gment urywa się na tej zapowiedzi... jeszcze jednej edycji  
polskiego Napoleona. Byłaby może ona tylko zabarwioną  
przejętą od Mickiewicza realizmem, a w każdym razie  
niezmiernie ciekawą ze względu na wyprowadzenie na  
scenę samego «boga wojny», o którym tylko słyszymy  
w Mickiewiczowskim poemacie.

Próby realistycznego, zgodnego ze ścisłą prawdą hi-  
storyczną, wolnego od fantazyi i hiperboli traktowania  
Napoleona i czasów jego, spotykamy już w 1828 r. Rodzaj  
ów, stanowiący silny kontrast ze sposobem traktowania  
napoleonizmu przez Bérangera i Wiktora Hugo, zapoczą-  
tkowali Barthélémy i Méry w poemacie opisowym: «*Na-  
poléon en Égypte*».

Poemat ów miał wielki sukces — nowalii. W Niem-  
czech spopularyzował go przekład Schwab'a. Była to  
nie Iliada, ale Odyseja napoleońska, pełna szczegółów  
etnograficznych i obrazów przyrody. W dodatku, co  
wzmogło powodzenie utworu, Barthélemy odcierpiał za  
dzieło swoje; wybrał się do Wiednia ofiarowywać poemat  
księciu Reichstadtzkiemu i nie dopuszczono go doń; zem-  
ścił się panfletem, zatytułowanym «*Le fils de l'Homme*»  
i — wybuch ów przypłacił tysiącem franków kary i trze-  
ma miesiącami więzienia. Ludwik XVIII w takich razach

nie skłonnym był do łagodności. Następca jego Karol X miał pójść dalej jeszcze w praktykowaniu wszelkich środków, ugruntowujących reakcyę. Ale wśród praktyk owych zaskoczyła go rewolucya lipcowa, i pod rządami Ludwika-Filipa napoleonizm, ostro trzymany na wodzy, z tem gwałtowniejszą wybuchnął siłą. Wpływu piosnek Bérangera i blasku wspomnień o świetnej dla Francyi epoce nic już powstrzymać nie zdołało. Napróżno przeciwko szalonnemu «kultowi Bonapartego» protestował gwałtownie i wymownie August Barbier w spiżowych, to płomiennych «Jambach» swoich. Był to głos wołającego na puszczy.

W ślad po zniknięciu Napoleona z widowni politycznej świata, mieliśmy narodziny poetyckiego napoleonizmu; reakcyja manifestacyę tę przytłumiła; rządy Ludwika-Filipa rozpełtały ją. Między 1830 a 1850 r. nastął pierwszy, legendą i polityką równomiernie podsycany renesans napoleoński. W czasach dzisiejszych jesteśmy przeto świadkami trzeciego z kolei odrodzenia, ale, jak się rzekło, wolnego już od legendowego i politycznego zabarwienia.

Za rządów Ludwika-Filipa bohaterem dnia we Francyi był niemal nieustannie — nieobecny wielki cesarz. Zwłaszcza teatry prześcigały się w dogadzaniu napoleońskim gustom publiczności, nigdy nie sytej oglądania «w żywe oczy» umiłowanej postaci. To też w Vaudevillu nie schodził z afisza przez lata całe wodewil: „*Bonaparte lieutenant d'artillerie*“; w Variété dawano z jednakiem zawsze powodzeniem: „*Napoléon à Berlin ou la Redingote grise*“; scena Porte St. Martin świetne robiła interesy dramatem historycznym w wielu obrazach: „*Napoléon, ou Schönbrunn et St. Hélène*“; aż wreszcie teatr Gaîté prześcignął współzawodników niebywale, jak na owe czasy, świetną apoteozą sceniczną, zatytułowaną... «*Napoléon au paradis*“! A „*Josephine ou le retour de Wagram*“, a przerbiona na scenę broszura Barthélemego: „*Le fils de l'Homme*“? — od wyliczenia reszty tytułów uwalnia nas nizki poziom literacki tych niezliczonych, można powiedzieć: efemeryd,



gdyby gust publiczności nie był im zapewnił tak długotrwałego swojego czasu istnienia. O tej to całej literaturze dramatycznej pisze Heine w listach swoich paryskich: «Gdy w którym z teatrów bulwarowych idzie na scenę jaka sztuka «napoleońska», może być absolutną lichotą; dusze słuchaczy grają wespół z aktorami i publiczność oklaskuje frenetycznie własne uczucia i wspomnienia. Są tam w tych sztukach kuplety i frazesy, co działają na mózg francuza, jak uderzenie kolbą, a na źródło łez jego, jak cebula. Sala cała unosi się, gore, płacze, klaszcze przy słowach: *aigle français, soleil d'Austerlitz, Jéna, les pyramides, la grande armée, l'honneur, la vieille garde, Napoléon...* albo też dopiero gdy on sam, on, *l'homme*, ukaże się oczom zgromadzonych, rozstrzygający wszystko w ostatniej scenie sztuki, jak wszechpotężny — *deus ex machina!*»

Prąd ogólny uniósł też wreszcie dramaturga *par excellence* szkoły romantycznej. Napisał też sztukę «napoleońska» Aleksander Dumas. Dramat ów, grany niezliczoną ilość razy w Odeonie, nosi, powiedzmy, dźwiga, tytuł: «*Napoléon Bonaparte ou Trente ans d'histoire de France, Drame en six actes et vingt-trois tableaux*». Bagatela!.. Niezręcznie było staremu Dumasowi pisać rzecz taką. Pensję stałą pobierał od króla. Wybrnął jednak z drażliwej sytuacji z honorem. Złożywszy rękopis swój w dyrekcji teatru, złożył też jednocześnie swój urząd. Sztuka Dumasa, to poprostu szereg obrazów, a w każdym z nich postać Napoleona zajmuje naczelne miejsce. To nie dramat, to udramatyzowana epopeja. Cesarz jest ucieleśnieniem wszystkich zalet i cnót. Wspaniałomyślność jego granic nie ma; to, krótko mówiąc, ojciec, dobroczyńca i ideał narodu. Takiego Napoleona przed oczyma duszy miał wówczas naród francuski; takim chciał go oglądać na scenie. Dumas skwapliwie, a bez uczynienia gwałtu samemu sobie, zastośował się do tego nastroju rodaków.

Na kult ów napoleoński patrzył spokojnie rząd mieszczkańsko-królewski Ludwika - Filipa. Im słabszym czuł

siebie, im skąpszymi sukcesami na zewnątrz mógł się pochłubić, tem — zdawałoby się — skwapliwiej śpieszył własną niedoleżność ukryć pod promieniami napoleońskiej sławy. Na propozycję rządu, zawotował parlament uroczyste sprowadzenie do Francji zwłok Napoleona. Oznajmił o tem światu p. de Remusat, minister spraw wewnętrznych, podczas pamiętnej sesji parlamentu z d. 12 maja 1840 r.

«Messieurs, le roi a ordonné à Son Altesse Royale Monseigneur le prince de Joinville de sa rendre avec sa fregate à l'île de St-Hélène pour y recevoir les restes mortels de l'Empereur Napoléon.. Ils seront déposés aux Invalides».

Charakterystyczną była odpowiedź Anglii. Rząd tamtejszy, czyniąc natychmiastowo żądanie prośbie o pozwole nie przeniesienia zwłok, wyraził nadzieję, iż ostatni ślad nieprzyjaznych uczuć względem siebie obu narodów zostanie wraz z prochami Napoleona złożony na wieki wieczne do grobu. Frazes, rozumie się, przebrzmiał, jak dźwięk pusty — ale odpowiedź daje miarę już ówczesnego stosunku pokolenia z r. 1840 do napoleonizmu. Już wówczas postać wielkiego cesarza należała bezpodzielnie — do historii.

Nastąpiło zawotowanie miliona franków na koszt uroczystości, wysłanie flotylii za morze, wspaniały pogrzeb paryski.

Hab' selber sein Leichenbegängnis gesehen.

Ich sah den goldenen Wagen

Und die goldenen Siegesgöttinnen darauf,

Die den goldenen Sarg getragen.

.....

Die Menschen schauten so geisterhaft

In alter Erinn'ung verloren —

Der imperiale Märchentraum

War wieder heraufbeschworen —

pisał Heine, strzeszczając, jak niemożna trafniej, nastrój ówczesny w tych dwóch ostatnich wierszach: «Ożył imperyalistyczny, wielki, czarodziejski sen...»

Mieszczańsko-królewska forma rządu zawiodła; rewolucyjne prądy jeły wzmacniać się. Imperyalisci pokładali początkowo wielkie nadzieje w księciu Reichstadzkim, ale śmierć jego w 1832 r. kres tym nadziejom położyła. Przeniosły się one na osobę synowca cesarskiego, na Ludwika-Napoleona. Na widownię wystąpił on — przedwcześnie. Próba ogłoszenia cesarstwa w Strassburgu w 1836 r. nieudala się; druga próba w sierpniu 1840 r., t. j. w sam raz w czasie sprowadzenia zwłok z wyspy św. Heleny, zakończyła się sromotnem uwięzieniem «pretendenta», wyładowującego w Boulogne. Ale już w 8 lat potem, wygwizdany więzień z Ham był prezydentem nowostworzonej Rzeczypospolitej, a we cztery lata potem zasiadł na tronie francuskim jako cesarz Napoleon III. Legenda napoleońska została urzeczywistnioną.

Podczas gdy się to dzieje we Francyi, podczas gdy tam napoleonizm przebywa swoją ostatnią ewolucyę polityczną, wzrasta i krzewi się napoleonizm literacki — w Europie. W Niemczech grunt dlań przygotowują znakomicie przeróżne „*memoire'y*“ tłómaczone i rozchwytywane, pamiętniki Ségur'a, Las Cases'a, Montholon'a, Automarchi'ego, poświęcone wspomnieniom o cesarzu i ostatnim latom życia jego. Schwab tłómaczy wielką odę Lamartine'a na śmierć Napoleona; Chamisso i Gaudy rzucają w piśmiennictwo niemieckie wyborne przekłady pieśni Bérangera. Zachwyt poetów niemieckich dla historycznej wielkości Bonapartego nie wyczerpał się bynajmniej w «Widzeniu» Immermanna, w «Odzie» Grillparzera, w «Balladzie o dwóch grenadyerach» Heinego.

Oto Hauff w noweli swojej «Wizerunek cesarza» odtworzy znakomicie sądy o Napoleonie, w obiegu będące wśród narodu niemieckiego, w czasach bezpośrednio po upadku cesarstwa francuskiego nastąpionych. Znajdziemy w utworze tym, przed laty niezmiernie popularnym, południowca-niemca, byłego jenerała w służbie cesarskiej, typowego niemieckiego napoleonistę, znajdziemy młodego

brandenburczyka, nieostyłego jeszcze z nienawiści 1813 r., znajdziemy starego «Freiherr'a», przypominającego naszą szlachtę starej daty, który w Napoleonie widzi tylko rewolucjonistę i farmazona. A jednak w końcu wszyscy trzej hold składają wielkości ducha, co ożywia postać, zaprzatającą sobą świat cały. Jest też Hauffa inna nowela, obrazek z kampanii epigskiej, odtwarzający wspaniałość myślności Napoleona względem ludności miejscowej.

Znane z historii widzenie się Goethego z Napoleonem w Erfurcie i znane dwie ich rozmowy. Zachowanie się twórcy «Fausta» wobec pogromcy Niemiec wywołało swojego czasu ostre krytyki, ale daje miarę potęgi wpływu, wywieranego przez Napoleona nawet na takie olimpijskie dusze, jak Goethego. To też gdy w poemacie swoim stawia Goethe Napoleona przed sąd Boski w dniu ostatecznym, szatan nie śmie porwać się na tyłu winami obciążonego. A Zedlitz, autor słynnej «Rewii nocnej» i «Statku Widmo»? Był oficerem w wojsku austriackim i odbył kampanię w 1809 r. i — bił się dzielnie przeciw wojskom cesarskim, ale i jego porwała następnie wizya tych wielkich czasów i tych nadludzi. Któż nie zna «Rewii», ilustrowanej dwoma niemniej słynnemi kartonami Raffet'a?

A Heine? Utrzymuje Voretzsch, że dwie rzeczy były dlań tylko święte, że dwóch tematów tylko nie dotknął nigdy sarkazmem i urągliwym dowcipem: matki swej i Napoleona. Tak jest lub owak, faktem pozostanie, że żaden poeta żadnej narodowości nie przekazał potomnym tak wspaniałej apoteozy Napoleona. Mam, naturalnie, na myśli kartek parę z „*Buch Le Grand*“, księgi owej przedziwnej i precudownej, której rzeczywistym bohaterem jest nie kto inny, tylko — wielki cesarz. Przypomnijmy sobie zajęcie Düsseldorfu przez zwycięskie wojska francuskie. Trzeba być Heinem, aby opis taki pod piórem niemca uczynić tem, czem jest: poezją czystej wody, bez cienia niesmaku od obrażonych uczuć narodowych!..

Tak jest; napoleońska literatura wydała arcydzieła poezyi i choćby już dlatego tylko należy się jej miejsce zaszczytne w dziejach piśmiennictwa. Śladu dzieł Napoleona może nie zostać na widowni świata; pozostaną po nim na zawsze, póki dusze ludzkie na poezyę wrażliwości nie zatracą: «Księga Le Grand» Heinego, »Wspomnienia ludu» Bérangera, «Na sprowadzenie zwłok» Słowackiego i «Re-wja» Zedlitz... Czy przypomnieć jeszcze, że gdy Walter Scott w życiorysie swoim Napoleona usiłował rozgrzeszyć rząd angielski z postępowania z więźniem swoim dobro-wolnym, Heine dobył najcięższe swe pióro, aby z oburzeniem napiętnować stroniczość Scotta?

Dramat napoleoński pojawił się w Niemczech współ-cześnie ze wspomnianym utworem scenicznym Dumasa. Tylko że między «Napoleonem» Dumasa a «Napoleonem» Grabbego żadnej, oprócz daty napisania oraz apoteozowania Napoleona, wspólności nie znajdziemy. Nie jest wcale doskonałym dramat Grabbego, ale ma szczegóły przepyszne, godne prawie genialnego talentu swego twórcy. Utwór ów, wysoce niesceniczny, próbowano ostatnimi czasy wystawić, ale wartości tem dramatowi Grabbego nie dodano. Co zaś do założenia i charakterystyki, stoi w nim Napoleon wciąż na gruncie legendy, której dopiero później badania historyczne miały przydać uzupełniające cechy i zabarwienie.

Postać cesarza, w lat dziesięć po zgonie Napoleona była, by się tak wyrazić, skryształowaną w wyobraźni ludzkiej, dzięki niezliczonym odtwarzaniom jej przez poetów, trzymających się pierwowzoru Bérangera i Zedlitz. Legendowa postać cesarza była już stworzoną, wykończoną zarówno pod względem duchowym, jak zewnętrznego wyglądu. Niezwyciężony (chyba przez siły przyrody, jak w 1812 r.), w szarym płaszczu i czarnym «historycznym» kapeluszu<sup>1)</sup>. Taki Napoleon, urobiony przez lirykę i dra-

<sup>1)</sup> „*Il avait petit chapeau — Avec redingote grise*“ — jak brzmi «klasyczne» wyrażenie Bérangera. Od tej kalsycznej tradycyi od-

mat, dojrzał dla — poezji opisowej, dla eposu, wolnego od panegiryzmu lub obelg. Toteż epos nie kazał długo czekać na siebie; w 1835 roku porwał się na epiczny o Napoleonie poemat niemiec Gaudy, a w rok potem francuz Edgard Quinet.

Rówieśnik Heinego, oglądał Gaudy własnymi, dziecięcymi oczyma upadek Prus i odrodzenie się Niemiec w r. 1813. Ojciec jego w kampanjach przeciw Napoleonowi czynny brał udział, jako generał armii pruskiej i w rodzinnem otoczeniu poety, który sam też następnie w wojsku pruskim służył, nie cieszył się zwycięzca z pod Jena wygórowanemi sympatjami. A jednak... jednak cykl pieśni Gaudego o Napoleonie, obrazujący żywot cały bohatera wieku, jest dziełem poetyckiem niepowszedniem, a zarazem istotnym hołdem, złożonym potędze ludzkiej, w Napoleonie ucieleśnionej. Quinet, jako dwunastoletni wyrostek, widział obce wojska, wkraczające w r. 1814 do rodzinnego jego miasteczka Charolles. Poemat jego wypłynął z uczuć najwyższego uwielbienia dla potężnego «obroncy ziemi ojczystej»; okrom tego, w myśl zasadniczego rozumienia Quineta o zadaniach poezji opisowej, jest jego Napoleon wyobrazicielem, syntezą epoki całej.

---

stąpił Wereszczagin w swoim cyklu obrazów: »Rok 1812«, malując Napoleona w ubraniu nie tradycyjnem, ale ściśle historycznem. Nawiasem mówiąc, w drukowanej przed paru laty w »Tygodniku Ilustrowanym« »gawędzie« mojej: »Napoleon w Oszmianie« bodaj czy nie po raz pierwszy w wierszu polskim występuje Napoleon również nie w tradycyjnym, a ściśle historycznym stroju.

Tak go oczy me widziały,  
Jak mnie oto tu widzicie.  
W szubie; sznury migotały  
Na zielonym aksamicie;  
Pod kolkapiem lico blade —  
Wciąż potrząsa białą dłonią  
I powtarza: »Jadę! Jadę!  
Noc i straże mię osłonią... etc.

Ale zarówno Gaudy, jak Quinet nie rzucili nawet podwalin pod przyszły napoleoński epos. Aleksandryjskie strofy Gaudy'ego, to szereg ballad, pięknych nieraz i dramatycznych, ale nie wiążących się w jedno majestatyczne opowiadanie; Quinetowi zabrakło poetyckiego talentu, a poematowi jego, również złożonemu z pojedynczych epizodów, zaszkodziły niepomierne: refleksya, filozofowanie i patetyczność, nie zostawiające miejsca dla akcji i charakterystyki. Gaudy poszedł mimowoli w ślady Bérangera; Quinet nie dorównał Wiktorowi Hugo i Manzoni'emu.

Po latach, Quinet pozbył się zachwyty dla bohatera swego poematu. W r. 1857 wygnany wespół z Wiktorem Hugo, napisał do nowego wydania swego «Napoleona» przedmowę, w której — prorokuje, iż poemat jego będzie ostatnim poetyckim utworem, o Napoleonie mówiącym! Poezya — pisze — odstąpi od tej postaci, a weźmie ją pod opiekę swoją historia. Ścisłe badania historyczne, odsłoniwszy rzetelną jej wartość, uczynią Napoleona niemożliwym dla poezji. Wygnany zostanie na zawsze z krainy legend i fantazyi; należeć będzie wyłącznie do prozy i rzeczywistości. Stary Quinet, jak wiadomo, omylił się haniebnie. Wyraz «ostatni» nie do jego utworu poetyckiego, ale do niego samego da się zastosować. On i Gaudy byli tylko ostatnimi poetami-napoleonistami, którzy jeszcze z własnych, osobistych wspomnień nieco zacerpnąć mogli do swoich utworów. I tyle tylko. Poezya napoleońska nie zesłała bynajmniej z nimi do grobu.

Przeciwnie. Wspomnieliśmy wyżej o bujnej napoleońskiej scenicznej literaturze, co przepełniała teatry paryskie, i francuskie wogóle, za rządów Ludwika-Filipa. Napoleońskie dramaty, obrazy sceniczne, wodewile wyszły powoli z mody aż dopiero około r. 1855, aby w naszych czasach wskrzesnąć w nowych, doskonalszych opracowaniach. Tymczasem zaś zagarnęło dla siebie postać Napoleona i epokę jego — powieściopisarstwo. W roku właśnie, w którym Quinet pisał przedmowę do poematu swego,

ukazał się głośny romans Dumasa: «*Les compagnons de Jéhu*», a wślad za nim innych autorów, do dziś dnia znane, «napoleońskie» powieści. Jednocześnie wystąpili na widownię malarze napoleoniści: Meissonier, Raffet, Charlet, aby najcelniejszych tylko wymienić.

Powieściopisarze niemieccy nie ustąpili kroku francuskim kolegom swoim. Dość wspomnieć cztery obszerne, trzytomowe powieści Stolle'go, poświęcone Napoleonowi, Karola Frenzla «*Lucypera*» (pięć tomów). Jeżeli zaś poezyi napoleońskiej uszczupliło się nieco źródło w ostatnich czasach, jeżeli następcy Heinego i Gaudy'ego (Wurzbach, Scherenberg i inni) nie dorównali im lub ograniczyli się do prostego naśladownictwa, natomiast w literaturze dramatycznej niemieckiej znajdziemy conajmniej kilka dzieł istotnej wartości i godnych tematu (Harnack'a «*Napoleon*» 1881, K. Bleibtreu'a «*Schicksal*» 1884, R. Voss'a «*Biada zwyciężonym*» 1889). Odrodzenie napoleonizmu w scenicznej literaturze francuskiej zapoczątkował... Caran d'Ache swoją słynną dramatyczną «*Epopieją*» w teatrze du Chat Noir. W ślad za tem teatr Porte St-Martin wystawił sztukę w 50 obrazach, zatytułowaną «*Napoléon*», — napisał ją M. Layas. Dalej jeszcze poszedł Grandmougin, wystawiając czteroaktową sztukę «*L'empereur Napoléon*», pisaną wierszem, najklasycyzniejszymi aleksandrynami! Przyszła «*Madame Sans-Gêne*», do dziś dnia nieschodząca ze scen europejskich i amerykańskich; niemal równe powodzenie miał napoleoński dramat Em. Bergerat'a «*Plus que reine*»; mamy też Pouvillon'a «*La roi de Rome*», a któż nie słyszał o «*Orlątku*» Rostand'a? Taką literaturą, tak obfitą, poszczycić się, zaprawdę, nie mogą ani *Dziewica Orleańska* ani *Wilhelm Tell*. Ów, który sto lat temu rozkołysał świat potężnymi dłońmi, stał się dziś dla świata postacią w pełnem znaczeniu słowa — historyczną. Przycichły namiętności wszelkie, przezeń niegdyś powzniecane; dziś z pełnym spokojem i bezstronnością przystępują doń artyści



i dziejopisowie wszystkich narodów, podobnie jak anglik do Dziewicy Orleańskiej a austryak do Wilhelma Tella...

A sąd dziejowy? a przywoływane przez Quinet'a na głowę Napoleona wyroki prawdy historycznej? Nie zależały bynajmniej pola. Z najsurowszych sądów, z najbardziej obciążających poszlak i faktów zbudował Taine w 1887 r. swoją głośną, drobiazgową, ciętą, gruchoczącą krytykę napoleonizmu, Napoleona i epoki napoleońskiej. Dał mu pamiętną odprawę syn Hieronima Bonapartego, księżę Napoleon, ale nie o stronie książki: «*Napoléon et ses détracteurs*» rozbił się zamach Hipolita Taine'a. Rozbił się o urok geniuszu i wielkości. Sądy i poglądy — zresztą bardzo szacowne — historyków nie przemogły tego uroku podobnie jak fale morskie rozbić się muszą o skalistą, zaporę i — opłynawszy tylko granitową podstawę napoleońskiej sławy, płyną, bryzgając pianą, własnem, oddziel-nem łózyskiem...

---

## Z DZIEJÓW WYSPY.

—♦—  
»Jest wyspa wśród wód oceanu,  
Zrąb nagich, w mgły pnących się skal...«

*Lermontow.*

Jest nieopodal wybrzeży morskich Małej Azji miasteczko niepokazane, Inokbazar zwana, leżąca na zarytych w ziemię gruzach starożytnej, wspaniałej niegdyś Magnezyi. Z nieistniejącym dziś miastem głównym pięknej «provincyi», niegdyś perskiej, związane wspomnienia historyczne utrwały w pamięci ludzkiej nie same tylko relacje pisarzy starożytnych. Raz po raz w ciągu wieków widmo owej Magnezyi nad Meandrem zjawiało się przed wyobraźnią ludzką, jak z dali wielkiej odzywające się napomnienie i urągliwy wyrzut.

Gdy Temistokles, zwycięzca z pod Salaminy, wygnany z ojczyzny swej niewdzięcznej, poszedł szukać schronienia u ognisk gościnnych największych wrogów swoich: persów, król Artakserkses przyjął bohaterskiego pogromcę wojsk ojca swego z honorami, należnymi wielkiemu męstwu, wielkiej sławie i wielkiej niedoli. Na miejsce zamieszkania wyznaczył mu wspaniałe miasto Magnezyę nad Meandrem, oddając mu je wraz z przyległą prowincją — na własność. I tam — w pełnym znaczeniu słowa

u «gościnnych ognisk perskich», — czcią otoczony powszechną, kresu dni swych dołożył grek nieśmiertelny.

Dawno to było, w czasach owych, co zaludniły dzieje ludzkości olbrzymiami postaciami zwycięzców i zwyciężonych, równych sobie wielkością ducha niemal nadczłowieczą. Poczem porozkruszały się szlachetne, wspaniałe linie greckich propylejów i nie stało bohaterów klasycznych na miarę Fidjasza. Miejsce historyografa cnoty antycznej Plutarcha, zajęli apologeci żarłocznego i nieubłaganego cezaryzmu rzymskiego, a po nich ewangelista przebiegłości i przemocy: Machiaveli. Aż oto czasy nas bliższe wydały plutarchowego współzawodnika, Macaulay'a, równego pierwowzorowi przedziwnością słowa, ale którego do jaskrawości barwne życiorysy tak mają się do plutarchowych antyków, jak ornamenty barokowe do olimpijskiej pogody i szlachetnej prostoty posągów greckich... A czasy nasze, a wiek nasz dziewiętnasty ery «Chrystusowej» na co ukaże przyszlemu Plutarchowi swemu? Zali na postacię Talleyrandów, Metternichów i Bismarków, na bratobójcze hekatombie pod Sadową, na poszczerbione armatniami kulami ostrołuki katedry strasburskiej i balkony St. Cloud, na pobojojiska afrykańskie lorda Kitschnera, na płonące statki u wybrzeży Kubańskich, na fontannę «wiecznej przyjaźni» w Konstantynopolu, obryzganą krwią armeńską, na wąwozy Transwaalu zatłoczone trupami nowoczesnych Leonidasów, na przedstawiciela państwa najwyższej chrześcijańskiej kultury, dającego w porcie Bremy wojskom swoim hasło, godne hunnów?... I smutnych tych pamiątek wieku, dobiegającego do końca pod dymem i łunami wschodnich pobojojisk, nie zdołają w cień zapomnienia usunąć świetlane postacie Scharnhorstów i Cavour'ów, Parnelów i Kossutów, Deaków i Gladstone'ów. Po czasy wieczne wzrok ludzki szukać będzie z melancholią, duszom niepowszednim właściwą, zestawień między przedświtową dobą historyczną ludzkości a skwarnym dniem jej pełnego rozwoju, między wiosną grecką ludzkości

a terażniejszym jej okresem. I doświadczony, bogaty w wiedzę, strudzony ikarowymi loty duch ludzki wiecznie okrążać będzie ziemskie miejsca, upamiętnione objawami przeminionych wzlotów i upadków, pilnie, gorączkowo wy-  
pytując dzieje o wróżby — na przyszłość. W tych nieodzownych, a pełnych nauki przeglądach *à vol d'oiseau* olbrzymiej drogi już przebytej, znajdują się niezawodnie pomniki nad spiz trwalsze, świadczące o doskonaleniu się tej ogromnej ciżby dusz, obcujaćcej ze sobą na jednej z planet, rzuconej w przestwór wszechświata wolą Tego, którego moc uwidocznioną nam została, którego doskonałość zdolną jest odczuć dusza nasza, z któregośmy wszyscy i do którego wracać mamy. Ale tuż obok znaków takich naszej wzwyż ewolucyi duchowej, ileż przepaści, w które runął był duch ludzki, zbijając się z drogi, biegaćej *ad astra!*

Nie na cmentarzach nam przywdziewać żalobę, bo z wielu, wielu grobów płynie i płynąć nie przestanie na pokolenia najdalsze światło pokrzepień i odrodzeń; ale miejsce żaloby naszej na złowrogich etapach ludzkości, gdzie dusze ludzkie, w oblędzie strasznym, samobójcze popelniły czyny. Z tych miejsc, gdzie dokonane zostały gwałty, przemoce, wyuzdania i rozbestwienia, choćby osłonięte napozór wszystkimi blichtrami usługnej sofistyki, rozchodziła się potem zaraza zła na świat szeroki, zabijając przykładem i podniętą dusze zgoła nie uczestniczące bezpośrednio w zbrodniczym czynie. Każde cofnięcie się ludzkości z dróg duchowego doskonalenia się usiało świat większą ilością cmentarzy, niż wojny najkrwawsze. Nie legło wówczas tyle ciał martwych na pobojowiskach, ile zabitych dusz zostało w żyjących ciałach po czynie takim, po takiej, gdzieś wśród świata zaszłej katastrofie duchowej..

I przeto, gdyby mi kto miał zarzut uczynić, że myślę czyją naprózno zaprzętałem jakimś tam z przed wieków postępkim «barbarzyńskiego» króla Artakserksesa, zwanego Długorękiem, nie inaczejby mi wypadło, jak zawrócić

co rychlej z nad zwalisk zapomnianej Temistoklesowej Magnezyi w stronę inną i w czasy o wiele nam bliższe. Mamy i my też, pokolenia XIX wieku, swoją Magnezyę. Ow wspaniałomyślny, łamiący dumę i zaciekłość, szlachezny czyn perskiego barbarzyńcy ma odpowiednik swój w czasach niemal najnowożytniejszych, a widownią dlań była wyspa, której nazwa szeroko słynie.

Des rochers nus, des bois affreux, l'ennui, l'espace,  
Des voiles s'enfuyant comme l'espoir qui passe,  
Toujours le bruit des flots, toujours le bruit des vents.....

Tysiąc siedmset kilometrów oddziela ją od afrykańskich wybrzeży, a trzy tysiące od amerykańskiego lądu. Przecina ją pasmo wzgórz nagich i ponurych, u stóp których rosną na niewdzięcznym gruncie rzadkie owsy, lny i jęczmiona, rośnie kawa, widać nieco drzew owocowych i jarzyn. Po wybrzeżach, dla statków niemal niedostępnych, gdzieniegdzie tworzących marne przystanie, gnieździ się nieliczna ludność próżniacza, wytworzona ze skrzyżowania różnych ras i różnych narodowości. U niedużej zatoki leży miasto, ze wszystkich siedzib najznacniejsze, dziś jeszcze liczące niewięcej nad trzy tysiące mieszkańców, na ogólną liczbę 5 tysięcy całego wyspy zaludnienia. Wzdłuż jednej miasta ulicy ciągną się nawpół puste domy, bo ludność systematycznie do Ameryki wyemigrowuje.

Jakimś przedpotopowym, wulkanicznym kataklizmem wyrzucony niegdyś nad odmęty oceanu, lądu ów kawał nieduży (17 na 11 kilometrów) otrzymał nazwę wyspy św. Heleny dlatego, że akurat w dzień św. Heleny roku 1502 odkrył ją żeglarz portugalski Juan de Nova Costella. Od portugalczyków przeszła w połowie XVII. w. na własność Anglii, której rząd oddał wyspę w posiadanie sławetnej kampanii indyjskiej, co zarzucała tu kotwice statków swoich, płynących nad Ganges po złote runa. Dopiero gdy schwytano zwyciężonego pod Waterloo Napoleona, rząd angielski, upatrzwszy tu dlań stosowne więzienie,

wyspę od kampanii odebrał i więźnia Europy na powolne konanie w Longwood osadził. Jednocześnie zajął w jedynem mieście Jamestownie rezydencję angielski gubernator.

Od tej daty poczęła nazwa złowrogiej wyspy wrzeźbiać się niezmazanie w pamięć ludzką, przeszła po wieczne czasy do historii, a granitowe zręby wyspy św. Heleny stały się odtąd niejako węgielnym kamieniem apoteozy Napoleońskiej. Powstała nowoczesna Magnezya „*he pros Maiandro*“: napiętnowana grobem zamordowanego więźnia Europy, wyspa św. Heleny.

Prologiem wypadków historycznych, które się na niej rozegrać miały, było oświadczenie lorda Castlereagh, poprzedzające abdykację Napoleona z r. 1814. Przedstawiciel rządu angielskiego pisał wówczas do Fontaineblau, podczas gdy toczono tam rokowania z mocarstwami, które bezpośrednio wzięły udział w złamaniu potęgi genialnego władcy Europy: «Czemu cesarz nie zwróci się do Anglii, zamiast pozwolić, aby go osadzono na jakiejś tam wyspie (Elbie)? Niech zerwie wszelkie rokowania, a zda się na łaskę i niełaskę Anglii. Niech okaże ów wielki dowód szacunku dla wroga, z którym walczył przez lat dziesięć. Przyjęty zostanie ze czcią należną i przekona się, że lepiej jest zawierzyć honorowi angielskiemu, niż traktatom właśnie podpisywanym».

W rok potem, po Waterloo, słowa te miał w pamięci Napoleon, pisząc do księcia regenta angielskiego historyczną deklarację swoją: „*Je viens, comme Thémistocle, m'asseoir au foyer du peuple britannique. Je me mets sous la protection de ses lois...*“ Odpowiedź nie kazała czekać na siebie. W Plymouth, na pokładzie «Belerophonta», wysłanik rządu angielskiego oświadczył cesarzowi, że — «gościnne ogniska brytańskiego narodu» znajdują się.. na wyspie św. Heleny. A gdy tam dopłynięto, u «ognisk» powitał go — sir Hudson Lowe.

Rozpoczęło się sześćioletnie dobijanie ofiary, wydanej przez mściwą Europę anglikom-siepaczom. Nieoszczędzono

obezwładnionemu lwu żadnego kopnięcia. Wyrafinowane moralne klócia i targania przyszły z dzielną pomocą zabójczym wpływom klimatu. Wytrzymałość ludzkiego organizmu okazała się słabszą od wytrzymałości okrucieństwa ludzkiego. Komisarz Ludwika XVIII, baron Monthenu, którego o stronność nikt podejrzewać nie będzie, pozostawił nam opis ówczesnej św. Heleny, przypominający opisy dantejskie. Longwood, przeznaczone na mieszkanie dla cesarza, było w tym klimatycznym klejnocie istną perłą, wybraną z wielką troskliwością o — śmierć szybką i niechybną ambarasującego świat rozdawacza tronów i koron. Płaskowzgórze, wysuszone i wyjałowione wiatrami tropikalnymi, bezwodne, bezdrzewne — otoczone strażą: oto Longwood z jednopiętrowym domkiem swoim. Żyło wówczas na wyspie wszystkiego 500 białych, borykających się z wściekłością klimatu, 300 murzynów i około 2 tysięcy chińczyków. Ludność tę powiększyły natychmiast wojska angielskie, w znacznej liczbie wysłane na wyspę.

Widmo Elby płoszyło sen z powiek straży. Sir Hudson Lowe o zmierzchu 5 marca 1821 r. długo trzymał rękę na wystygłej pierśi wielkiego zmarłego, nie dowierzając śmierci. Jeszcze nie czuły się bezpieczni: tron Burbonów, wybrzeża Anglii i «spokój» Europy.

W dzikiej, bezludnej miejscowości, zwanej Hutt's Gate, opuszczono trumnę cesarską głęboko w ziemię; przywalono płytą kamienną, zalano wapnem i cementem, jeszcze jednym przyciśnięto głazem, bez żadnego nadpisu, mogiłę otoczono kratą żelazną i postawiono straż u zasadzonych ręką współtowarzyszów wygnania wierzb kilku. I nie przewidziała Europa, a zapobiedz nie zdołała Anglia, że nadmogilnych wierzb tych szum, z łoskotem oceanu fal zmieszany, miał niebawem na świat cały roznieść wspanialszą od rzeczywistości samej — legendę Napoleońską.

Napoleonizm, jako hasło polityczne i społeczne, wije się jak wstęga trójbarwna przez cały wiek dziewiętnasty.

Początkowo nieodłączny od osoby Bonapartego, zmieciony, zda się, na wieki wieczne z widowni świata pod Waterloo, wyrósł jeszcze potężniejszy z gruntu legendy napoleońskiej, co ukształtowała się w myślach ludzkich właśnie przez owych lat dziewiętnaście, podczas których prochy cesarza spoczywały pod płytą grobową, w ziemi angielskiej, na wyspie, wichrami Atlantyku kołataną. Sprowadzenie zwłok do Paryża, na które musiał zgodzić się i zdobyć rząd Ludwika-Filipa, było jednym z objawów owej stuletniej żywotności idei napoleońskiej. Polityczny charakter napoleonizmu, pomimo reakcyjnych wysiłków oraz burz rewolucyjnych, naprzemian wstrząsających Francją, przetrwał aż do sedańskiego pogromu. Zdawałoby się, że po raz drugi uprzątnięto raz na zawsze napoleonizm ze świata; pod Waterloo powalono jego przedstawiciela, pod Sedanem rozbito doszczętnie urok polityczny idei. Na dobitkę w ciągu ostatnich lat trzydziestu stulecia, z jednej strony umocowywano podwaliny trzeciej Rzeczypospolitej, z drugiej — rozkruszano ściśle naukowymi badaniami «wielką legendę». Z tego, zda się, najzupełniejszego rozbicia wyłonił się, już w ostatnich czasach, we Francji — raz jeszcze napoleonizm w trzeciej swej postaci, w postaci imperyalizmu, ku któremu jawnie ojczyznę swą prowadzą tak zwani dzisiejsi nacjonalisci i sympatyzujące z nimi stronnictwa...

W wytwarzaniu się legendy napoleońskiej gra wyspa św. Heleny wybitną rolę. Deportacya Napoleona, jego zgon i ekshumacya zwłok — oto trzy momenty, których tragizm i groza, istotnie «w wielkim stylu», utkwiły na zawsze w wyobraźni i pamięci ludzkiej. Mało czyjemu życiu dał los takiej dekoracyi kulisy. Mało komu danem było, ważąc losy świata, stać naprzemian pod Piramidami, na czele świąty królów w Erfurcie, wśród łun Moskwy... i na samotnej skale św. Heleny! Świat nie pamięta pogrzebu takiego, jak owa eksportacya zwłok imperatora przez Atlantycką do Paryża.



„*Je désire que mes cendres reposent sur les bords de la Seine, au milieu de ce peuple français, que j'ai tant aimé*“. Tak brzmiał drugi punkt testamentu cesarza, pisanego w Longwood dnia 15 kwietnia 1821 r. Życzeniu temu miało się stać zadość dopiero w dziewiętnaście lat potem. W maju 1840 r. Izba deputowanych, wśród grzmiących oklasków, przyjmuje wniosek rządu królewskiego, uchwalając uroczyste sprowadzenie zwłok Napoleona do Paryża. Tegoż roku d. 9 października eskadra, dowodzona przez księcia de Joinville, przybija do brzegów wyspy. W kilka dni potem, w nocy z. 14 na 15 października przystąpiono do ekshumacyi zwłok. Opis szczegółowy tego przedostatniego aktu Napoleńskiej epopei, — oprócz dokumentów oficjalnych — pozostawił nam Las Cases, co był przebył z cesarzem lata wygnańcze na wyspie i po latach dziewiętnastu towarzyszył księciu de Joinville do Longwood, aby świadkiem być pogrobowej apoteozy.

Okrom Las Cases'a, udało się było na wyspę jeszcze kilku świadków zgonu i pogrzebu cesarza, jak generał Bertrand, Gourgaud i inni. Wyobraźmy sobie teraz tych ludzi, w noc październikową, wśród dzikiej okolicy, śledzących w podnieceniu, łatwem do zrozumienia, każdy ruch żołnierzy, podważających płyty, rozkruszających cement mogilny, rozwalających ziemię. Noc; wicher huczy po załomach skalnych i wierzbach, pochodnie dymią i sypią skrami, głuchy łomot młotów i drągów żelaznych przerywa uroczyste milczenie zgromadzonych, a za chwilę ma się oczom ich ukazać trumna, kryjąca w sobie zwłoki zwycięzcy z pod Austerlitz!

Rozwalanie i łamanie mogiły trwało noc całą, od północy do dziesiątej rano. Po ostrożnem a mozolnem odwaleniu drugiej z rzędu płyty, rydle zadzwoniły o wieko trumny. Wpółzbutwiałe leżały na niej jeszcze szczątki powrozów, na których ją w dół głęboki spuszczone.. Ksiądz Coquereau począł na głos mówić modlitwę i wodą poświęconą skropił sarkofag. Dwunastu żołnierzy angielskich

skich dobyło go ze sklepionej mogiły, i obnażywszy głowy, poniosło ku przygotowanemu opodal namiotowi. Tam przystąpiono do otwarcia trumny, właściwie trumien. Pierwszą, mahoniową, rozpiłowano, aby łatwiej dobyć z niej drugą, ołowianą. Trumnę tę wstawiono w przywieziony z Francji sarkofag wspaniały, z drzewa hebanowego, a gdy w chwilę potem przybył gubernator wyspy, otoczony sztabem swoim, w obecności jego podniesiono wieko trumny ołowianej. W ołowianej trumnie spoczywała jeszcze jedna trumna, mahoniowa, doskonale zachowana; z łatwością szruby, wieko trzymające, dały się rozluźnić. I oto trumna czwarta, ostatnia z blachy cynkowej.

Przed dziewiętnastu laty złożono do niej zwłoki Napoleona, przybrane w tradycyjny mundur pułkownika szaserów gwardyi. U nóg umieszczono dwie urny, zawierające serce i wnętrzności, u kolan kapelusz mundurowy. Boki trumny wyłożono, zwyczajem od indyan przejętym, grubą warstwą waty jedwabnej; takąż warstwą podbito wewnątrz wieko. Obecnie, gdy wieko podniesiono, ujrzano postać cesarza, doskonale zachowaną, ale jakby w mgle całą... Oto podszycie wieka odluźniło się i opadło na zwłoki, a wata przykryła je jakby mglistej gazy przezroczem. Tedy dr. Guillard jął ostrożnie i delikatnie zwijać ową zasłoną i wówczas, do złudzenia żywy, przez śmierć i czas prawie nietknięty, ukazał się Napoleon oczom przytomnych. Zapanowało w namiocie długie, uroczyste milczenie. Ten i ów cofnął się, jak przed widmem; inni łkając głośno, rzucili się na kolana. Od poczerniałych barw munduru i wstęg orderowych, odbijała białością niezmierną, jak z kości słoniowej rzeźbiona, spokojna twarz cesarza, tak znana im, tak dobrze znana! Blade promienie słońca kładły się cicho na to przejmujące do głębi zjawisko...

Otwarcie trumny nastąpiło tak ze względu na stwierdzenie tożsamości zwłok, jak dla zabezpieczenia ich chemicznego na podróż długą. Wobec jednak doskonałego zakonserwowania się ciała, uznano stosowanie wszelkich

środków zapobiegawczych za zbytne. Przepojono tylko wspomniane warstwy waty kreozotem i napowrót trumnę zamknięto. Była godzina pierwsza po południu. Zalutowanie trumny cynkowej wymagałoby kilku godzin czasu; zostawiono ją tylko zamkniętą, a natomiast silnie szrubami przytwierdzono wieko trumny mahoniowej i zalutowano szczelnie trumnę ołowianą. Na jej wierzchu przytwierdzono tablicę z napisem złotymi literami: *Napoléon. Empereur et Roi. Mort à Sainte-Hélène. Le V Mai. MDCCCXXI.*

Zważywszy, że cztery owe trumny spoczęły w przywiezionym z Francji podwójnym sarkofagu (ołowiany wewnątrz, a zewnątrz hebanowy), całość utworzyła ciężar niepomierny. Czterdziestu trzech tęgich drabów z trudnością dźwignęło go na wóz tryumfalny. I pochód ruszył — ku morzu, gdzie na kotwicy stała fregata «La Belle Poule», gotowa do rozwinięcia żagli, i gdzie na depozyt drogocenny czekał j. kr. w. książę de Joinville. Pod deszczem i wichrem ciężką drogę przebyto. Salwy armatnie grzmiały nieustannie po fortach; wojsko tworzyło szpaler. W chwili, gdy zbliżano się do wybrzeża, rozlały się szeroko po niebie blaski zachodzącego słońca. Łódź ogromna przyjęła sarkofag, cesarskimi gronostajami i purpurą okryty; wiosła podniosły się i uderzyły miarowo — huknęły armaty angielskich baterij i statków francuzkich, żegnając i witając zarazem odpływające zwłoki. Na fregacie, z chwilą gdy sarkofag spoczął na jej pokładzie pod wspianiałym żałobnym baldachimem, wywieszono trójkolorowy sztandar cesarski. «La Belle Poule», mająca na flankach swych «Oreste'a» i «Favorite'ę», dźwignęła się i poszybowała naprzód w pełne morze, w potoki blasków zachodnich, roztapiając się w nich powoli, jak «mew girlanda szara»...

Wśląd za tem wojska, trzymające straż na wyspie, odpłynęły do Anglii, zostawiając tylko w Jamestownie nieliczną załogę. Nie było już potrzeby czuwać trwożliwie nad pustą mogiłą, nad płytą grobową, odtąd już pamiątkową tylko. Świat utracił z oczu widownie rozegranego dra-

matu, przenosząc swą uwagę nad brzegi Sekwany, gdzie w lat dziesięć po oddaniu hołdu «prochom cezara» miała nastąpić ostatnia inkarnacja politycznego napoleonizmu: drugie cesarstwo. W 1858 r. rząd francuzki nabył od Anglii posiadłość Longwood i osadził tam strażnika, noszącego oficjalny tytuł: «kustosza rezydencyi i grobu Napoleona I». Zdawałoby się, że rola historyczna św. Heleny skończona, i że dla żądnych wrażeń turystów dano jej mieć tylko wspomnienia, związane z Napoleońską epopeą.

Stało się inaczej. Gdy między 1870 a 1880 r. zaborczość kolonialna angielska jęła zdobywać dla «cywilizacyi» i «kultury» afrykański kraj zulusów, w chwili ostatecznego złamania oporu miejscowej ludności, przybył wyspie św. Heleny nowy tytuł do rozgłosu. Rząd angielski osadził na niej jako więźniów: króla zulusów Dinizulu wraz ze stryjami jego, i dopiero w ostatnich czasach pozwolił mu wrócić na ląd afrykański po zadawalniającem «uspokojeniu» buntującej się wciąż krainy.

Obecnie przebywa na wyspie, pilnie strzeżony, waleczny dowódca boerów generał Cronje, wraz z towarzyszami swymi. Rząd angielski, w zapobiegliwej dbałości o ciągłość historycznych wspomnień wyspy swojej, składa w jej więzieniach co przedniejsze trofea swe wojenne, wzbogacając dzieje św. Heleny coraz to nową kartą. Aktualność jej raz po raz przypomina światu... starożytną Magnezyę nad Meandrem, więzienie Temistokła, niewolnika «barbarzyńskich» królów perskich.

Nie upada więc aktualność historyczna wyspy, o której przed stu laty niewiele kto wiedział. Wzrasta też jej znaczenie, jako przystani dla statków. Ludność, dotychczas emigrująca stale z wyspy, zaczyna trwalsze obierać sobie tam siedziby. Stany Zjednoczone założyły stację połowu wielorybów. Angielskie ministerstwo wojny uorganizowało na wyspie niemaloważną placówkę dla werbowania ochotników do zaciągów, Afrykę obsługujących. Dookoła Ja-

mestownu wznoszą się wciąż i wznoszą fortyfikacje, przypominające Gibraltar. Niebawem wyspa połączoną zostanie z Kaplandem linią telegraficzną. Wypadki lat ostatnich wykazały doniosłe wyspy św. Heleny znaczenie — strategiczne. Anglia panuje dziś nad kanałem Suezkim, i tą drogą wszelkie ma komunikacje swoje z dalekimi koloniami. Niech jednak przyjdzie do wojny z którym z mocarstw europejskich i niechno nastąpi blokada kanału... wówczas będzie Anglia zmuszoną obsługiwać Afrykę i Indye drogą dłuższą, prowadzącą dookoła Afryki, mimo — wyspy św. Heleny. Statki wówczas, i wojenne i przewozowe, miałyby w jej porcie punkt oparcia, wielkiej wagi stację popasową. Rzeczą jest niemal pewną, że w przyszłych wszechświatowych starciach zbrojnych wieku XX, odegra ta wyspa rolę ważną, nie tylko, jako tradycyjne miejsce deportacji przyszłych, co dostojniejszych więźniów Albionu..



## PRZYJACIÓŁKA POETÓW.

—♦♦♦—

»Pardonne donc a mes vers le tourment,  
Qu'ils t'ont donné; et, ainsi que je pense,  
Ils te feront vivre éternelle ment...  
Demandes-tu plus belle récompense?

*Ronsard.*

Nazwisko Maryi z Wołowskich Szymanowskiej pojawia się w życiorysach Adama Mickiewicza pod datą przedostatniego miesiąca 1827 r.

Do Moskwy, gdzie bawił wówczas poeta, przybyła skądś z Europy słynna, młoda jeszcze i piękna fortepianistka, poprzedzona rozgłosem, szcycąca się stosunkami i przyjaźnią najwybitniejszych przedstawicieli zachodniej nauki i sztuki. Nieobcą również była najdystyngowańszym sferom towarzystwa rosyjskiego; kilkakrotnym występem na dworze cesarskim zawdzięczała tytuł nadwornej fortepianistki cesarzowej, a Aleksander I jawne okazywał jej względy.

Jaką była jej gra? czem podbijała dusze tyłu nie byle jakich słuchaczy? — odpowiedzi dziś na to dać nie możemy. Czy, jak chcą niektórzy, do powodzenia wirtuozki przyczyniały się w znacznej mierze osobiste jej zalety i powaby? Być może; dziwnego nicby w tem nie było, jeżeli zważyć na odwieczność praw, warunkujących wszelkie wogóle tak zwane «powodzenie». Dość, że między 20

a 30 rokiem kończącego się wieku przebiegała rodaczka nasza świat w aureoli artystki *hors ligne*, wśród szmeru pochwał, holdów i westchnień, ścigana zachwyconemi spojrzeniami, witana kosztami róż, żegnana grzmiącym oklaskiem.

Przed czterema laty, bawiąc przelotem w Marienbadzie, poznała — Goethego. Wielki Olimpijczyk przechadzał się chmurny i nieprzystępny po cienistych alejach parku, a ciżba śmiertelnych rozstępowała się przed nim w milczeniu, pełnem poszanowania dla strapień duchowych twórcy «Fausta». Tak; ów wspaniałały «nad-człowiek», duma i chwała Niemiec, ba, całego świata, oto tu właśnie, schroniwszy się pod stoki cieniste wzgórz, przed oczami przejętych do głębi i strwożonych współczesnych, cierpiał.. Gdy na skręcie alei ukazywała się powagą bólu obleczona twarz, tragiczna jowiszonych brwi ściągnięciem, gwar słów zamierał na ustach, wszystkie spojrzenia opuszczały się ku ziemi, a stopy ludzkie nie śmiały zgrzytem deptanego żwiru zamącić ciszy i spokoju, przynależnych wielkiej tej duszy, przetrawiającej w sobie nadludzką melancholię.

Goethe cierpiał.. Panna Ulryka Levezow, w której był się zakochał ponad wszelką miarę i wszelkie przewidywania ludzkie — odjechała, unosząc ze sobą niedoszłe, nawet matrymonialne, projekty Goethego, jego słowa szalone i pożegnalne lzy. I poeta cierpiał.. On, który niegdyś pod rzymskimi piniami, upojony życiem, pewną ręką wymierzał stopy rytmiczne klasycznych dystychów na śnieżnym łonie kochanek swoich — teraz oto, wspinając się zwolna wzdłuż lipowych prastarych szpalerów maryenbadzkich, posepny i rozgoryczony, układał końcową strofę «Elegii», beznadziejnem rozżaleniem tchnącej. Ostatnie słowo jej, z dawną tytaniczną siłą buchało raz jeszcze ku tym, co zaprawiwszy go przez wiek długi do szczęścia i rozkoszy, teraz oto cofnęły mu nagle łaskę swoją i dary.

«Bogowie! ulubieńcem waszym byłem, a oto — zbli-

żyliście mię do ust, z których szczęśliwość wszelka płynie,  
i cofnęliście mię od nich i pograżyliście mię!»

*Sie drängten mich zum gabeln'gen Munde,  
Sie trennen mich und richten mich zu Grunde!*

I bogowie, przywołani do porządku, wspomniawszy na tyloletni sojusz z Olimpijczykiem, pośpieszyli naprawić uchybienie i zesłali mu w maryenbadzką ciężką samotnię — Maryę Szymanowską.

I powtórzyła się raz jeszcze w ciągu wieków biblijna scena Dawida harfiarza, uśmierzającego melodyjną gęźbą niepokoje i wrzenie wewnętrzne króla Saula. Analogii nie brakło nawet szczegółu, że utalentowana artystka miała lat 28 a Goethe 74.

*Da schwebt hervor Musik mit Engelschwingen  
Des Menschen Wesen durch und durch zu dringen..*

pisał w sztambuchu Szymanowskiej Olimpijczyk, rozgadając twarz, wchłaniając w siebie dobroczynny czar muzyki, poddając się z rozkoszą zapomnieniu cierpień i żalów, dzięki składając za obdarzenie go «podwójnem szczęściem: melodyi dźwięków i — miłości.

Miłości? Bez trudu dopatrzeć można w tem wyrażeniu poetyczną hyperbole. Bodaj ani z jednej, ani z drugiej strony uczucia tego nie było. Była natomiast zobopólna sympatya i przyjaźń. Goethe był zachwycony Szymanowską; ona uległa wrażeniu, wywieranemu na całe otoczenie przez tę niepowszednią, istotnie olimpijską postać człowieka, będącego jednym z najwspanialszych okazów rodu ludzkiego. Goethe zaprosił ją do Wejmaru.

Rok temu, w powtórnem wydaniu wyszły «Rozmowy z Goethem», spisywane przez przyjaciela wielkiego poety, kanclerza wejmarskiego dworu, Fryderyka Müllera. Opowiada w nich Müller, względnie dość szczegółowo, o gościnie Maryi Szymanowskiej w Wejmarze jesienią 1823 roku. Goethe na cześć jej urządził wykwentne ze-



branie towarzyskie, wprowadził ją na salony księcia Karola Augusta, zajął się jej koncertem. Zaś, gdy przyszła pożegnania chwila, pomimo nadrabiania humoru, Olimpijczyk nie zdołał powstrzymać łez. «W milczeniu — pisze Müller — przycisnął do piersi panią Szymanowską i jej siostrę, i długo wzrok jego przeprowadzał ją, znikającą w szeregu komnat.

— Tej niezrównanej kobiecie — mówił mi potem — zawdzięczam niezmiernie wiele. Znajomość z nią i jej talent wróciły mię do życia» <sup>1)</sup>).

W ślad za tem rozpoczęła się korespondencya między Szymanowską a całą rodziną Goethe'ych, oraz wspomnianym Müllerem, mówiąc nawiasem, człowiekiem nie tylko bardzo miłym, ale i znakomitym jurystą, a nawet niepoślednim mężem stanu. On to przecie wymógł na Napoleonie najdogodniejsze warunki państwowe dla Wejmaru.

Otóż w trakcie właśnie ożywionego komunikowania się z twórcą «Fausta», — głównie za pośrednictwem Müllera — nastąpił przyjazd Maryi Szymanowskiej i obu jej córek: Heleny i Celiny, do Moskwy. W pierwszym szeregu jej wielbicieli i przyjaciół najzaufańszych stanął Mickiewicz. Wyraźnie: jej — bo panna Celina była wówczas podlotkiem, a stałym satelitą starszej jej siostry był wówczas, i pozostał do ślubnego kobierca, przyjaciel Mickiewicza — Malewski. To trudno; *les beaux esprits se rencontrent*. Pisał wiersze na cześć uroczej artystki Goethe; miał je pisać niebawem Mickiewicz.

Na jakimkolwiek świata zabłyśnęłaś końcu,  
Tobie wieszczę, jak Gwebry indyjskiemu słońcu  
Chyłą czoła, wieńczone w nieśmiertelne liście  
I arf tysiącem twoje opiewają przyjście...

---

<sup>1)</sup> Istnienie serdecznego stosunku, zawiązanego między Maryą Szymanowską a Goethe'm, potwierdza niejednokrotnie Eckermann. («Gespräche mit Goethe». Wyd. 1895, str. 89 i następn.).

Miał we dwa lata potem wypłynąć z pod pióra poety wiersz inny, zaczynający się od znanych słów: «Zaczyna się werbunek», a kończący się dwuwierszem:

Opowiem towarzyszom, że na prawym flanku  
Jam w tej armii pierwszym był grenadyerem.

Wiersz ów we wzorowych wydaniach pism Mickiewicza nosi nagłówek: «W imionniku Celiny Szymanowskiej.»

Zaś jeszcze po pięciu latach «pierwszy ów grenadyer» miał awansować na męża panny Celiny — ale to do rzeczy w tej chwili nie należy.

Należy natomiast do rzeczy to, że w Moskwie, następnie w Petersburgu, Mickiewicz, wspólnie z Malewskim, należał stale do najbliższego i najzaufanego otoczenia Maryi Szymanowskiej. U niej też spędził Mickiewicz dnia 14 maja 1829 roku ostatni wieczór pobytu swego w Petersburgu, w wigilię bezpowrotnego odjazdu zagranicę. Zabierał zaś ze sobą w świat daleki wspomnienia serdecznej, tkliwej przyjaźni i — polecające listy. Listy polecające Maryi Szymanowskiej do — Goethego.

*Verba volant, scripta manent* — powiada nie na wiatr łacińskie przysłowie. Przyjacielskie rozmowy, toczone w petersburskim salonie Szymanowskiej, zniknęły bez śladu i tylko domyślać się możemy, że na uczucia najprzyjaźniejsze Mickiewicza odpowiadano tam wzajemnością. Natomiast oto po wielu, wielu latach, zabłąkane do rąk potomnych pismo o wypłowiałych literach na podżółkłym papierze przychodzi złożyć nam świadectwo, że ta, «przed którą wieszczę chylili czoła», nie ograniczała się na odwzajemnianiu się — muzyką za poezję.

Niechże i piszącemu te słowa wolno będzie raz jeden jedyny sięgnąć w wyzyskiwaną tak niemiłosiernie dziedzinę domysłów, rozsnuwanych dookoła życia i dzieł — każdego wogóle «wielkiego człowieka». Nie wiem, ale zdaje mi się (jak zwykły mawiać najdelikatniejszy z naj-

bystrzejszych krytyków), że Marya Szymanowska rozta-  
czała nad młodzieńczym autorem «Sonetów krymskich»  
jakby matczyną opiekę: «Dobrze, dobrze — zdawały się  
mówić jej uśmiechnięte oczy — ty tam sobie — «ulatu-  
j nad poziomy», serdeczny mój panie poeto a ja ymczasem  
pomyślę za ciebie o tem, co ci się praktycznie przydać  
może. Znam świat, znam życie, znam ludzi. Niech choć  
cząstka tych moich doświadczeń przyda się tobie. Wy-  
bierasz się do Niemiec — myślała, przysłuchując się roz-  
taczanym przez Mickiewicza planom i projektom — chcesz  
być u Goethego; bardzo pięknie. Jedź, bądź. A wiesz ty,  
co to Goethe, jako człowiek? Z czemże ty, serdeczny  
poeto, staniesz przed tym Olimpijczykiem, któremu, by  
spojrzeć w oczy, świat musi — podnieść głowę! Czyś ty  
pomyślał kiedy, że o tem widzeniu się Goethego z Mi-  
ckiewiczem będą potem kiedyś specyalne pisać studia,  
rozstrząsając szczegół każdy? Czyś ty pomyślał o tem,  
że ty tam, do Wejmaru, na barkach swoich poniesiesz  
dumę naszą — przed kogo, miły Boże, przed kogo!?  
O! niech ci zajrzy w duszę! niech ci zajrzy! — już do-  
syć. Ale on nie wie, że w piersiach twoich — dusza  
dusz»...

I pani Marya, nie zdradzając przed nikim tych  
konjunktur swoich, nie zwierając się nikomu z przed-  
sięwziętych kroków, napisała długi, wykwiennie uprzejmy  
list do przyjaciela swego — Fryderyka Müllera wejmar-  
skiego kanclerza.

Wiedziała, że list jej każdy będzie przedmiotem roz-  
mowy między nim a największym z żyjących i umarłych  
poetów — więc nie potrzebowała stawiać zbytecznych  
kropek nad «i». Dzieliła się zaś w liście swoim wiado-  
mością, że oto w odwiedziny do Goethego wybiera się p.  
Adam Mickiewicz, o! nie pierwszy lepszy wielbiciel... Bogom  
równy Goethe, nieznający wszelakoż żadnego słowiańskie-  
go języka, może nie czytał poematu «Konrad Wallenrod»  
i prześwietnych «Sonetów» albo «Farysa»; zapewne nie

wie, że p. Mickiewicz (Adam) to dziś parnasa polskiego gwiazda najświetniejsza, że... I tak dalej, tak dalej, niby mimochodem, a przecie najwyraźniej tłumaczyła wszystko jak należy, wejmarskiemu kanclerzowi, bo... jakże miło dzielić się wrażeniami i myślami swemi z przyjacielem!

Przyszła odpowiedź, zdradzająca wcale przyzwoitą dozę zaciekawienia. Pani Marya nie dała zmarnować się temu pożądanemu nastrojowi. Do następnego listu swego dołączyła — zawsze od niechcenia — kilka przekładów poezji ulotnych «znakomitego poety», właśnie dziwnym trafem znajdujących się u niej pod ręką, i napomknęła o zamiarze przesłania kanclerzowi niemieckiego tłumaczenia «Konrada Wallenroda», dokonanego właśnie przez Karolinę Jünisch.

Następuje pauza w wymianie listów. Używa jej korespondentka poetów dla wykonania wespół z córkami swemi jakiejś nader misternej «robótki», haftem pięknym pokrytej, i posyła ją imieniem córek swoich — Goethemu. Ten pośpiesza złożyć najżywsze podziękowanie za pamięć przyjazną, a p. Müller w liście swoim dodaje w formie komentarza:

*„Le billet de Goëthe Vous a donné la conviction la plus agréable du prix qu'il attache à Votre aimable cadeau. Maintenant je puis ajouter encore que la destination, que Vous avez donné à cette charmante broderie de Vos chères enfans, est entièrement remplie et qu'elle occupe dans l'appartement du jardin de Goëthe une place bien honorable“.*

(Bilecik Goethego musiał już dać Pani przyjemne przeświadczenie o wartości, którą przywiązuje do Jej miłego prezentu. Mogę obecnie to jeszcze dodać, że przesłiczny haft drogich dziełek Pani, nie rozmiął się z przeznaczeniem swoim i zajmuje w mieszkaniu ogrodowem Goethego bardzo honorowe miejsce).

Czegoż chcieć więcej! Pani Szymanowska — jak widać z jej listów i czemu dziwić się nie należy — nie

biegłą była w łacinie, natomiast nie obcym jej był sens łacińskiego przysłowia: *do ut des*, a w dyplomacyi to już równać się mogła z samym wejmarskim kanclerzem. Pisze tedy niezwłocznie list do przyjaciela swego, wyrażając, ot, czysto niewieścią fantazyę. Pan Mickiewicz — o którym wspomniała w listach swoich — takby pragnął posiadać pamiątkowe... pióro Goethego! Niechże będzie za haft — pióro. Najlepszy z najlepszych pan Müller postara się o dogodzenie tej zachciance, prawda? To taka satysfakcyja wyświadczyć przyjemną, niespodziankę komuś z przyjaciół, zwłaszcza, 'gdy nim jest uwielbiany przez naród cały poeta, p. Mickiewicz.

Miało się już pod jesień 1828 r., gdy list ten wysłany został. Müllera nie zastał w Wejmarze i dogonił go aż w Holandyi, zaś odpowiedział nań kanclerz dopiero w tygodni parę po powrocie do wielkksiążęcej stolicy. Polecona mu misya była delikatnej natury i stary Olimpijczyk nawet dla najbliższych przyjaciół nie był zawsze przystępnym. Ale p. Müller miał najdoskonalszy klucz do tego sezamu: nazwisko Szymanowskiej. O ile zabiegi jej pomyslny wzięły obrót, niech zaświadczy następujący wyjątek z obszernego listu kanclerza, datowanego z Wejmaru dnia 13 listopada 1828 r.:

*„Si Mr. de Göthe n'a point encore delivré la plume, que Vous avez désirée pour Mr. Mitckiewicz, il ne faut pas en conclure que des petites mais charmantes poesies, que Vous avez eu la bonté de me transmettre n'ayent point obtenu le suffrage de notre Nestor-Poëte. Au contraire, la vraie cause de ce retard ne doit être attribué qu'a l'idée, qu'il a prise de joindre a la plume quelques lignes de sa main pour l'interessant Poëte et je Vous promets bien de lui faire executer cette idée a la première occasion. Elle se presentera le plus naturellement du monde, si Vous pouvez me faire passer bien tôt la*

*traduction de „Conrad Walenrod“ comme Votre dernière lettre m'a fait esperer“.*<sup>1)</sup>

(«Jeżeli p. Goethe nie przeznaczył jeszcze pióra dla p. Mickiewicza, jak tego pani sobie życzyła, nie należy stąd wnosić, że nie znalazły uznania naszego Nestora-poety małe lecz prześliczne poezye, które mi pani była tak łaskawą nadesłać. Przeciwnie; właściwym powodem zwłoki jest wyrażona przez Goethego chęć dołączenia do pióra kilku własnoręcznych wierszy dla interesującego poety. Przynajmniej, że postaram się, aby chęć tę urzeczywistnił przy pierwszej sposobności. Następnym by ją mogła pani sama, najnaturalniej, przesyłając mi jaknaj-spieszniej przekład «Konrada Wallenroda», obiecany mi w Jej ostatnim liście»).

I oto jest może początek historii owego pióra, ofiarowanego przez Goethego Mickiewiczowi podczas pobytu poety naszego w Wejmarze, w sierpniu następnego 1829 roku. Jest w tem, być może, zarazem klucz do zrozumienia uprzejmości, powiemy: serdeczności, okazanej podówczas przez Goethego Mickiewiczowi. Wiemy, że przybywając do Wejmaru, mieli Mickiewicz i Odyniec listy polecające do Goethego i rodziny jego od Szymanowskiej, ale dopiero teraz rozkrywa się przed nami cała dyplomatyczna, zapobiegliwa i dyskretna robota pani Maryi, poprzedzająca ukazanie się Mickiewicza na «dworze Goethego...» Mickiewicz nie wiedział z pewnością nic o tych mądrych i praktycznych «przygotowywaniach gruntu»; my dowiadujemy się o nich dopiero dziś i, nie bez słuszności możemy wdzięczność odczuwać dla dobrej i rzeczywiście szczerej przyjaciółki poety.

Opowiada Müller<sup>2)</sup>, że w chwili tkliwego żegnania się Szymanowskiej z Goethem, rzekła mu ona: «O! cze-

---

<sup>1)</sup> Z nieogłoszonego drukiem oryginału, udzielonego nam uprzejmie przez p. Malewskiego.

<sup>2)</sup> »*Goethe's Unterhaltungen*«. Stuttgart 1898, str. 123.

muż nie jestem o wiele starsza, aby wnuka już mieć! Nazwałabym go imieniem wnuka pańskiego (Wolf=Wolfgang) i pierwszym słowem, które nauczyłabym go wymawiać, byłoby drogie imię pańskie: Wolfgang Goethe». Nie spełniły się te życzenia. Marya Szymanowska nie miała nawet doczekać się spełnienia innego pragnienia swego: nie sądzonem było jej ujrzeć córki swej Celiny, stającej na ślubnym kobiercu z Mickiewiczem.

Umarła na trzy lata przed upragnioną tą chwilą, a pierworodny wnuk jej otrzymał na chrzcie świętym imię — nie Wolfganga — lecz Władysława.



# KRYTYKA DZIEŁ SZTUKI.

## I.

W kilku naraz czasopismach naszych poruszano ostatnimi czasy kwestyą ciekawą, zwłaszcza ze względu na oryginalne jej sformułowanie, kwestyą mianowicie: kto ma wyrokować o wadach i zaletach dzieła sztuki?

Odpowiedź na pozór łatwa: człowiek znający się na sztuce. Tymczasem panowie polemizujący z sobą idą dalej, i stawiają drugie pytanie: czy o dziele sztuki może decydować krytyk nie fachowy, to jest nie artysta? i jaka krytyka większą ma wartość, czy człowieka który sam — lepsze lub gorsze — dzieła sztuki tworzy, czy też człowieka, który praktycznie nigdy nie zajmował się sztuką? Mówiąc dobitniej: jedni utrzymują, że np. o malarstwie głos najkompetentniejszy zabrać może tylko malarz, o muzyce muzyk, o poezji poeta, o rzeźbiarstwie rzeźbiarz i t. d.; drudzy znoważ, powołując się na dowcipny aforyzm Heinego, dowodzą, że malarze-partacze wyrastają najczęściej na zjadliwych tylko krytyków, że poeta o poecie, muzyk o muzyce nigdy bezstronnego sądu wydać nie są w stanie, że oczywiście krytykę dzieł sztuki należy zostawić «specjalistom od krytyki», teoretykom.

Ponieważ spór wszczął się na gruncie krytyki ma-



larskiej, pozwolimy sobie zostać na tymże gruncie, tem śmieiej, że to, co się powie o stosunku krytyki do malarstwa, da się wybornie zastosować do krytyki wszystkich w ogóle dzieł z zakresu sztuk pięknych.

Krytyka malarska u nas uległa w ostatnich latach widocznemu przeobrażeniu. Gdy do niedawnych jeszcze czasów ferowano u nas sąd o obrazie jedynie na podstawie tego, co ów obraz wystawiał, traktując sztukę malarską na równi z popisem ilustratorskim — zaczęto już dziś uwzględniać w obrazie stronę «techniczną», to jest nie tylko «pomysł», ale i jego «wykonanie.» Zwrot ów wywołały niezaprzeczenie wystąpienia St. Witkiewicza, apostołującego w swych rozprawach i polemikach krytycznych krańcowe wyznanie wiary: malarz nie jest ani filozofem, ani myślicielem, ani dziejopisem, ani poetą, jest jedynie takim panem, co za pomocą farb źle lub dobrze daną rzecz, w naturze ujrzaną lub istnieć mogącą, odtwarza. Jeżeli potrafił dobrze, t. j. ze ścisłym uwzględnieniem natury, wymalować, dajmy na to, głowę kapusty — jest w takim razie dobrym, znakomitym lub nawet genialnym malarzem; jeżeli zaś źle wymalował choćby nawet najświetniej pomysłany, dajmy na to, Sąd ostateczny — inna dla niego nie przystoi nazwa, tylko partacza. Zdaniem p. Witkiewicza zakres sztuki malarskiej nie sięga po za prawidłowe manipulowanie środkami technicznymi. Celem jej jest możliwie wierne odtwarzanie tymiż środkami (materyałem artystycznym i technicznym) natury. Nie potępia p. Witkiewicz t. zw. fantastycznych tematów, wymaga tylko, aby np. jak w obrazach Böcklina, którego gorącym jest zwolennikiem, centaur miał do najdrobniejszych szczegółów sprawiający wrażenie prawdy tors ludzki i również prawdziwy zad konia. Z tego wychodząc założenia, pozwala p. Witkiewicz krytykowi malarskiemu uwzględniać to tylko, co w obrazie ma związek z kunsztem malarskim, z «odtworzeniem» tego, co malarz wystawić zamierzał. Reszta t. j. temat, pomysł, wrażenie, które

obraz samym tematem wywiera, nie powinny obchodzić go wcale.

Dla przykładu dał nam p. Witkiewicz kilkanaście ocen rozmaitej wartości obrazów, ocen, które z zajęciem czytało szczupłe grono braci po penzlu, w których atoli na razie szersza publiczność nie mogła się połapać. Były to sądy o dziełach malarstwa, wydawane wyłącznie z punktu widzenia dzieł tych wartości artystycznej, malarzkiej. Z nie małym zdziwieniem, zamiast spodziewanych komentarzów do «scen» mniej lub więcej patetycznych, zamiast opisów gdzie i jak (broń Boże, nawet nie: dlaczego?) ustawił artysta tę lub ową figurę; zamiast odpowiedzi na pytanie, skąd przybywają, co mówią, o czym myślą te figury, — czytano całe, długie okresy najeżone technicznymi określeniami, dysertacje w rodzaju:

«Utrzymanie tonu oświetlenia, t. j. stosunku natężenia światła w całym obrazie, odpowiada jego wybornemu układowi i wykwintnej modelacyi. Lecz nie tylko bryła martwa jest tu prawdziwa; bryła ta tak plastyczna, jest w istocie żywą, ludzką twarzą... Przewaga szarych tonów w kolorze usprawiedliwiona jest motywem światła, utrzymanie zaś barw lokalnych we właściwym do siebie stosunku dobrze mówi o poczuciu harmonii koloru i t. d.»

Tego rodzaju krytyki, gęsto w dodatku zaprawione polemicznym pieprzykiem, pisane z niemałym stylowym talentem i werwą, sprawiły głębokie wrażenie i znalazły gorących zwolenników. Tym, którzy na istotnej kompetencji p. Witkiewicza poznali się bez łamania sobie głowy, zaimponowało to przemówienie do nich ich własnym językiem; tym, którzy nic a nic nie rozumieli na razie, zaimponowała ta właśnie pityjska mowa wyroczeni. Wiadomo przecie, jak silne wywiera wrażenie na przeciętną publiczność... sąd śmiały i bezwzględny oraz tajemnicza niezrozumiałość.

Dzięki tedy tym wystąpieniom p. Witkiewicza, urosło rychło przekonanie, że krytyki o obrazach pisać powinien

tylko malarz. Przypuszczano, że każdy malarz tak kubek w kubek pisać potrafi, jak p. Witkiewicz. Redaktorowie i wydawcy pism naszych, skwapliwie liczący się z bieżącą opinią publiczności, a potrzebujący *coûte que coûte* sprawozdawców o tak silnie rozwiniętej dziś u nas gałęzi sztuki, jeśli zachęcać malarzy do zamieniania, w chwilach wolnych od zajęć fachowych, penzla artysty na pióra krytyka.

Do piszących już dawniej malarskie krytyki artystów przybyło nam świeżo dwóch nowych krytyków fachowych: pp. Piątkowski Henryk i Dowgird Tadeusz obaj zawodowi malarze. I zdawałoby się mogło, że już niczego teraz do szczęścia, nie braknie i sądzonym, i sądzającym, i czytającym te «fachowe» sądy.

Tymczasem w ferworze zapobiegliwości o odrodzenie krytyki malarskiej za pomocą metody p. Witkiewicza, w tem wyłącznem zapatrzeniu się na nią, wśród teroryzmu wywartego stanowczym i silnym głosem polemisty *par excellence*, przeoczono najważniejsze szczegóły. Oto mianowicie nie zwrócono uwagi na to, że nie każdy malarz zapisuje się ciałem i duszą do wyznawców krytycznego *credo*, głoszonego przez p. Witkiewicza, że np. prof. Gerson, sam przecie fachowy artysta, jak uwzględniał, tak i uwzględnia dotąd, w swych sprawozdaniach krytycznych nie tylko to, na co w obrazie zwraca główną uwagę artysta, ale i to, co w niem uderza każdego przeciętnego śmiertelnika, laika; że p. Miłosz Kotarbiński pisujący przed trzema laty w «Gazecie polskiej» stałe przeglądy artystyczne, innej używał metody krytycznej, niż p. Witkiewicz pisujący jednocześnie krytyki malarskie w «Życiu», że p. Łaszczyński, obecnie sprawozdawca artystyczny w «Niwie», uznaje w obrazie obok strony artystyczno-technicznej, jeszcze stronę pomysłu, fabuły, a nawet tendencyi. Wyznawcami przeto poglądu na sztukę malarską, mającego niezaprzeczenie gruntowną podstawę, ale silnie jednostronnego, pozostali: malarz, A. Gierymski, który

w obrazach go swoich wyznaje, p. St. Witkiewicz, który go piórem krytyka popularyzuje, i p. A. Sygietyński, który wytrwale i z głębokim przekonaniem ręka w rękę z nimi idzie.

Wynik stąd jasny.

Gdyby nawet wszystkie bez wyjątku posterunki na niwie krytyki malarskiej obsadzone u nas krytykami-malarzami, podniosłby się poziom owej krytyki o tyle tylko, o ile ci krytycy-malarze byłiby nie tylko biegłymi w swoim fachu ludźmi, nie tylko znającymi wybornie wszystkie arkana malarskiego kunsztu, ale — gruntownie i wazechstronnie wykształconymi ludźmi, ludźmi w dodatku obdarzonymi zmysłem krytycznym, którego w żadnej akademii sztuk pięknych lub szkole rysunkowej nikt nigdy nie nabył.

Jeżeliby istotnie rozbiór specjalny «wykonania» obrazu stanowił alfa i omegę krytyki malarskiej, najlepszymi, a raczej zupełnie wystarczającymi krytykami dzieł sztuki plastycznej byłiby w takim razie profesorowie rysunku i malowania. Sam krytyk zamieniłby się w profesora, wykładającego nie ustnie, ale w druku o zboczeniach w rysunku, o wadliwym użyciu tej a tej farby, o nieumiejętnem zastosowaniu światło-cienia i t. p. Ponieważ stałi żadna gazeta nie jest specjalną szkołą malarstwa, a czytelnicy jej nie mają ochoty być takiej szkoły uczniami, ponieważ krytyki, nawet w najściślejszym sztuki pięknej poświęconych organach, nie są pisane i nie powinny być pisane wyłącznie dla malarzy fachowych, ale dla szerokiej publiczności, ponieważ, co najważniejsza, zakres sztuki pięknej zwanej malarstwem, nie ogranicza się jedynie na takim lub owakim wywoływaniu wrażenia za pomocą środków technicznych, nie ogranicza się jedynie na możliwie doskonałym odtworzeniu natury — przeto i wszelka krytyka malarska (jeżeli nie ma być podręcznikiem dla specjalistów) nie może uwzględniać jednej tylko strony

malarskiej twórczości, nie może traktować sztuki malarskiej tylko ze stanowiska «sztuki dla sztuki».

## II.

W malarstwie, tak jak w poezji i muzyce, ma prawo, jeżeli nie powinna, przebijać się indywidualność artysty i dążność, jednym słowem myśl przewodnia obrazu. Jeżeli Rafael zabierając się do malowania Sykstyńskiej Madonny, powinien był sobie powiedzieć: «Namaluję z całą prawdą stojącą na obłokach kobietę», to miał też z pewnością prawo powiedzieć sobie: «Namaluję... Madonnę!» I krytyk wprost powinien odpowiedzieć na pytanie: jak wywiązał się Rafael z tych dwóch postawionych sobie zadań? Zwolennicy przeciwnego poglądu, powiadają, że «treści» w obrazie krytyk uwzględniać nie powinien, jako nie należącej do zakresu sztuki malarskiej. Pytam tylko, któż w takim razie za ową «treść» ma być odpowiedzialny? Może ramiarz, może fabrykant płótna? A może unosi się ona gdzieś nad obrazem, jak «coś» nie mające z nim żadnego związku?

Powiadają: sztuka malarska jest sama dla siebie celem. Istotnie, w wielu obrazach w takiej ona występuje roli, i trzeba być zaciekłym doktrynerem, aby mieć coś bądź przeciwko temu. Nie daleko szukając, czemuż jest słynny «Patrol nocny» Rembrandta (La ronde de nuit), jeżeli nie popisowem dziełem dla wykazania całego mistrzostwa światło-cienia? Czemuż jest niemniej głośny «Byk» Potera, jeżeli nie pro prostu wielkiem studyum z natury, wykazującym całą biegłość techniczną malarza? Wynajdowanie jakiejś «myśli przewodniej» w arcydziele Rembrandta, dociekanie skąd, dokąd i w jakim celu wychodzą ci żołnierze pod przewodem kapitana Cocka, jest tak dobrze wręcz absurdem, jak wynajdowanie tego lub owego wyrazu w głowie «Byka» z Mauritshuis w Hadze.

Że nie na wszystkie atoli obrazy należy z tego zapatrywać się stanowiska, nie ja będę w tej chwili dowodził. Niech mnie wyręczą największe dziś uznane potęgi krytyczne — za granicą.

I tak oto otwieram jeden z zeszłorocznych zeszytów znanego miesięcznika p. t. «Gazette des Beaux-Arts,» pisma bezwarunkowo najpoważniejsze zajmującego stanowisko w krytyce artystycznej francuzkiej. Maurycy Hamel, w zastępstwie Pawła Manza, piszącego przegląd wystawy stuletniej malarstwa, zdaje tam sprawę z zeszłorocznego «Salonu».

«...Roll — pisze on — sformułował jasno w obrazie «Lato» zapatrywania swoje na *plein air*. Zapatrywania to poważne, nieco nieśmiałe. W parku, w ciepłe letnie popołudnie, wśród wysokich traw usiadła kobieta; stojąca opodal dziewczeczka trzyma w ręku pęk kwiatów; na dalszym planie bawi się dziecko. Dokoła figur roztacza się przejrzyste powietrze; światło rozkłada się równomiernie, dobywając tony świeże, prawdziwe, nie pozbawione smaku, z białych i różowych materyj, z młodych twarzyczek, z blond włosów. Światło niezbyt silne, nie przechodzące w zbyt ciepło, utrzymuje dalsze plany w tonach niewyraźnych nieco, wywołuje wrażenie miłe, łagodne, umiarkowane. Jednym słowem jest to lato, którego spokoju nie mać żaden ton głośniejszy; w harmonii z niem pozostają figury obrazu, starannie modelowane, lecz bez tych dotknięć penszla śmiałych i dosadnych, które nadają życie. Dzieło to zajmujące, z wielką malowane wprawą, ale nie skończone, gdyż mało w niem życia; dzieło to nie budzące wielkiego wrażenia. Podoba się, albowiem widać w niem, zda się, olbrzyma lekliwie obracającego w rękach kručze nader przedmioty.»

Nie potrzebuję chyba wskazywać, jak szerokie miejsce zajmuje w tym ustępie krytyki «wrażenie», które obraz na widzu wywiera. Z wrażeniem tem w ogóle liczy

się Hamel tak skrupulatnie, jak np. Lemaitre przy sądze-  
niu utworów literackich.

Przypatrzmy się teraz, jak poczyną sobie inny roz-  
głośny znawca przedmiotu, najlepszy dziś wogóle malarzki  
krytyk wiedeński, E. Ranzoni. A dla przykładu weźmy  
nie zdawkową wcale monetę, ale sprawozdanie z obrazu  
Munkacsy'ego «Ukrzyżowanie.» Dwie szpalty poświęca mu  
krytyk w numerze «Neue freie Presse» z dnia 22-go listo-  
pada r. 1884-go, — i nad czem się oto najpierw zastana-  
wia? Nad sposobem, w jaki pojął Munkacsy... Chrystusa,  
i po długiej dysertacyi dochodzi do wniosku, że «Mun-  
kacsy oczywiście trzymał się pod tym względem ściśle  
wywodów Renana». I pisze dalej w kształcie komentarza:

«Przekonania religijne malarza nie mają wprawdzie  
w tym wypadku żadnego znaczenia, gdy atoli za przed-  
miot do obrazu bierze postać lub fakt ściśle z wierzeniami  
religijnymi związany, powinien postać tę lub fakt trakto-  
wać zgodnie z duchem tejsze powszechnie przyjętej wiary.  
Gdy nie chce lub nie może tego uczynić, niech lepiej  
inny jaki sobie obierze temat; na brak postaci i wypad-  
ków mających pierwszorzędne znaczenie w dziejach  
świata żaden artysta, wykształcony według dzisiejszych  
wymagań, uskarżać się chyba nie może». «...Tłum stano-  
wiający niejako żywy komentarz do głównej akcji, bardzo  
dobrze w ogóle pomyślany i wykonany, główna atoli  
akceya wypadła pod tymi dwoma względami znacznie słabiej,  
i przeto niema w obrazie dostatecznej równowagi  
między przyczyną a skutkiem. Artysta to, co jest pod-  
rzednem, wyniósł na naczelne stanowisko...» «Zamiarem  
oczywiście artysty było wymalować nie obraz religijny,  
ale obraz rodzajowy w wielkim stylu (*ein Genrebild grosses  
Styles*)...»

Właściwie rozbiorowi «wykonania» obrazu poświęca  
Ranzoni zaledwie kilkanaście wierszy, raz krytykując  
rozkład barw, tu i owdzie zbyt krzyczących, a powtóre  
rysunek wadliwy kilku postaci. Krytyce atoli «pomysłu»,

widzimy już z małego przytoczonego wyjątku, jak szerokie daje miejsce autor najlepszych dziś w Wiedniu przeglądów artystycznych. Zwracam też uwagę, jak nie waha się Ranzowi użyć utartego wyrażenia «obraz rodzajowy» lub «styl wyższy», których jak ognia zaleca wystrzegać się nasza t. zw. «fachowa» krytyka malarska.

Niech mi wreszcie wolno będzie przytoczyć jeszcze jeden wyjątek pióra F. Pechta, wyborczego krytyka sztuki, redaktora wychodzącej w Monachium «Kunst für Alle.» Biorę, jak i dla poprzednich przykładów, pierwszy lepszy z brzegu, z obszernego sprawozdania F. Pechta o wystawie monachijskiej zeszłorocznej.

«Do najlepszych scen z życia ludowego — pisze krytyk — należy Defreggera «Odpoczynek w południe», który zebrany w szalecie kilku góralom przerywa niespodzianie wejście trzech mieszcuchów. Są to: jakiś pan profesor, mający minę jakby posiadał mądrość całego świata, i idący przodem, jak forpoczta, syn jego gimnazysta i córka, młode dziewczę — podłotek. Wybornie te tegie, rosłe chłopcy lustrują krytycznie nowoprzybyłych; wyborną jest charakterystyka każdej postaci. Naturalnie, jak słynna niemiecka galanterya każe, nikomu przez myśl nie przechodzi usunąć się dla zrobienia miejsca lornetującej towarzystwo panience, lub wyjąć chociażby z ust fajkę. Niemniej przeto owo upodobanie i ciekawość, z jaką ci górale przyglądają się «damie», wyraził artysta z tak pociesznym humorem, iż pod tym względem obraz ów do najlepszych należy dzieł Defreggera.»

Gdzie tu pytam napuszoną «eksperta» popisującego się swą specjalnością przed tłumem laików? Nie jest z pewnością powyższy ustęp perłą krytycznej oceny, daje tylko miarę, jak nie waha się bardzo niedyletancka krytyka zagraniczna przemawiać innym wcale tonem, niż najmodniejsza dziś u nas. A liczą się z nią przecie i artyści, i publiczność.

Przekonywamy się zatem, że do dzieł malarstwa



stosować można i oczywiście należy krytykę wszechstronną, to jest uwzględniającą nie tylko techniczną, ale, żeby się tak wyrazić, i duchową stronę obrazu. Wypływa stąd, że krytyk powinien: *primo* znać możliwie dobrze technikę malarską, aby mógł wyrokować o rysunku, kolorycie, słowem o sposobie «wykonania» danego obrazu: *secundo* zaś powinien być wszechstronnie wykształconym człowiekiem, znawcą nadto dzieł sztuki malarskiej i jej dziejów, aby mógł skalę porównawczą uwzględnić i wyrokować o wrażeniu, jakie dany obraz, jako dzieło sztuki pięknej, wywiera. Gdy te dwa niezbędne warunki posiada, gdy powie nam na podstawie wytrawnego i wymotywowanego sądu: to obraz, jako dzieło technika i artysty, wadliwy, a to obraz dobry, — wtedy słuchać będziemy z całą uwagą wywodów jego oraz indywidualnych zapatrywań na cel sztuki, na jej zakres, na wpływ i t. p. W tych wywodach ujawia się jego krytycyzm, ów dar boży, z którym te a te jednostki na świat przychodzą.

Czy takim krytykiem może być malarz fachowy? Dlaczegożby nie? i owszem! Zdarza się atoli często — na co u nas i gdzieindziej przykładów nie brak, — że można być wybornym malarzem-technikiem, świetnym rysownikiem, zadziwiającym kolorystą, a jednak człowiekiem nie tylko średnio, ale nawet bardzo mało wykształconym. Gdy taki malarz weźmie się do krytycznego pióra, można być pewnym, że uwzględni tylko to, o czem ma jedynie pojęcie, to jest «wykonanie», a nader często i o tem wykonaniu, które intuicyjnie mu przychodzi, nie będzie w stanie wydać żadnego sądu. Z drugiej znów strony, można być bardzo wykształconym człowiekiem, a jednak albo nie mieć żadnego poczucia i smaku dla malarstwa, albo nie mieć wyobrażenia o tem, jak powstaje obraz, co technicznymi środkami da się, a co nie da się wręcz odtworzyć. Sąd takiego «krytyka» będzie z konieczności zawsze tylko jednostronnym, sądem nie wpływającym z kompetentnego

wpatrzenia się w obraz, lecz z wczytania się w katalogowe objaśnienie.

Weźmy analogiczny przykład: poezją. Czem w obrazie jest barwa, światło i rysunek, zasadnicze pierwiastki i podstawa dzieła malarskiego, tem w utworze poetyckim jest pieśń, jest śpiew; czem w obrazie temat, tem jest w poezyi myśl i tendencya. Można wybornie krytykować przewodnią myśl w utworze poetyckim, wyznaczać mu miejsce w dziejach rozwoju umysłowego ojczyzny poety i t. p., a jednak nie mając wrażliwości na drugą stronę poezyi, na śpiew, i nie odczuwając rytmiki — być tylko jednostronnym sędzią.

Spór przeto: kto ma prawo wyrokować o dziełach sztuki, specyalnie zaś o dziełach sztuki malarskiej, jest sporem *de lana caprinae*. Spór może istnieć jedynie o to: jak należy pisać krytyki malarskie, aby korzyść odpowiedzialną przynieść mogły i artystom, i szerokiemu ogółowi?

Rad będę, jeżeli kilka słów powyższych przyczyni się nieco do rozjaśnienia tej kwestyi.



## ZE STARYCH SZPARGAŁÓW.

Cośmy się myślą wstecz o lat sto kilkanaście.

Życie w Europie wrzało przyspieszonym tętnem; nie tak może gorączkowo i błyskotliwie jak dzisiaj, czuć jednak było, że jakaś przełomowa chwila blisko, że dobiegający kresu wiek XVIII-ty następcy swemu jakieś niespodziewane, niebywałe spadkobierstwo gotuje. Anglia, finansowo zrujnowana pod rządami Jerzego III, flotę za flotą ślala hen za Atlantyk uśmierzać groźny bunt rwących się do swobody i niepodległości amerykańców; z innej znów strony z trwogą i niepokojem przyglądała się krwawemu dramatowi, rozgrywającemu się w podbijanych przez nią Indyach. Dwór francuzki, pełen jeszcze tradycyj zgasłego co tylko *Louis le bien-aimé*, restaurujący za pomocą Neckera mocno za poprzednich rządów zaszargane finanse, coraz to silniej, choć tajemnie, popierał zarówno amerykańców jak indyjskich maharadzów czyniąc tem wstręt niemalże interesom odwiecznego swego przeciwnika, John-Bulla. Austria i Hiszpania współubiegają się o wpływ na zawsze pełnym rozterek włoskim półwyspie. W Rosyi Katarzyna II zwraca na siebie zdumione oczy świata; co tylko używając naprzemian to siły, to zręcznej dyplomacyi, «Semiramida północy» zmiażdżyła ottomańskie zastępy. Turcyja, dotknięta do żywego upokorującym pokojem

w Kuczuk-Kajnardże, burzy się przeciw pogromcy; groźnie pogrzmiewa stamtąd echo blizkiej nowej wojny. Fryderyk pruski, prawie już Wielkim zwany, gotuje się do bawarskiej sukcesyjnej wojny i za chwilę wkroczy do Czech. A tam na dalekim Zachodzie rozgłośny dokonywa się przewrót, oligarchia silnie trzymana w karchach żelazną dłońią Pombala bierze znów górę w Portugalii.

Ówczesnemu tedy mieszkańcowi stolic świata, ba, każdego większego ogniska, nie brakło sensacyjnych nowinek i — kto ciekaw — miał czem sobie głowę zaprzętać. Gazeta była jeszcze wtedy dość rzadką rzeczą, ale też gdy dostała się do rąk, nie czytano jej jak dziś niedbałym rzutem oczu; gazeta ówczesna zawierała kwintesencję wszelkich wiadomości, zwłaszcza zagranicznych, i jeżeli nie najwiarogodniejsze, to najświeższe z nich podawała. Czytano ją tedy od deski do deski, numery chowano skrzętnie, a następnie w grubą, mocną oprawiano skórę. *Cui bono?* Widocznie w celu zachowania sobie na potem ponownej, zajmującej zawsze lektury — a zresztą... jeżeli dla wnuków przechowywano starą kamizelę lub buty mocno podnoszone, to czemużby i nie zachować dla nich kompletu starej gazety? Zawsze, a nuż się kiedy przyda.

Dzięki oto owej skrzętności staroświeckich ludzi, mam dziś przed sobą starą bibulastą książkę, starannie w skórę oprawną. Zbiór to całkowity wszystkich numerów tygodnika politycznego, wychodzącego w Wilnie w 1777 roku pod tytułem: «Gazety Wileńskie».

O gdybyż to bibulaste małe *in quarto* mówić mogło! Gdybyż mi mogło powiedzieć, przez jakie każdy numer przechodził ręce, jakie następnie tom ów koleje przebył, nim się gdzieś w kącie oparł antykwarni zaułkowej! Pedantyczna ręka pierwszego posiadacza na wewnętrznej stronie okładki nakreśliła tylko: «NB. Przez omyłkę introligatora patrz *numerum 1-mum* po karcie 14-tej».

Porządny był, ani słowa, ów przed stu laty prenumerator. Późniejsi właściciele «Gazet» snąć też nie po

macoszemu obchodzili się z książką, bo oprawa pięknie się zachowała — tylko tu i ówdzie od częstego przewracania kart, palce ślady swe zostawiły. Czego szukano tak pilnie w komplecie starego czasopisma? Czyżby dowodu, żali dziennikarskie przepowiednie się sprawdzają? A może barszczanin jaki, kurując się z ran po wojence i relegowany na rekonwalescencyę do jakiego wiejskiego dworku, książkę sobie od sąsiada wyprosił i z nudy zabawił się jej odczytywaniem? Ach, żebyż ta książka mówić mogła!

Każdy numer owych «Gazet» (notujemy, że nie mówiono ani też pisano: ta gazeta lecz: te gazety), składa się z czterech kartek dwuszpaltowych oraz z *suplementu*, zawierającego dwie także kartki. Razem tedy otrzymywał każdy prenumerator za swoich 17 tyńfów (tyńf równa się 18 groszom) mniej więcej czternaście szpaltek druku bardzo szerokiego, odbitego wcale nie wykwinie na grubej bibule.

Przyjrzyjmy się kolejno zawartości pisma. Na brak nowin politycznych czytelnik «Gazet» uskarżać się nie mógł. Podawano mu je najobficiej w formie bądź korespondencyj (po większej części fabrykowanych na miejscu oczywiście, bądź z innych pism, bądź z pogłosek przywożonych z Warszawy, z Prus, z Austrii), w formie urywków z listów prywatnych, zawierających doniesienie o jakimś wybitniejszym zagranicznym wypadku, bądź wreszcie w formie lakonicznych doniesień bez cytowania źródła. Dodać należy, że wiadomości owe nieraz długą i wcale nie najprostszą drogę przebywały, zanim je w Wilnie otrzymano. I tak np. czytamy w rubryce «Z Włoch» a specjalnie z Liworny dnia 22 marca: «Wiadomości carogrodzkie nieuchronną wojnę między Rosyą i Portą obiecują». Jakie wiadomości? Przez kogo kolportowane? — o tem naturalnie ani śladu. A do tego po co aż z Liworny zasięgać wiadomości, które się ma tuż o miedzę? Na też stronnicy: z Leydy dnia 14 marca:

»Ze dwóch statków świeżo do Nantes przybyłych z Ameryki, jeden tę miał przywieść nowinę, że generał Washington już N.-York opanował» etc. Gdy weźmiemy nadto w uwagę, że powyższe wiadomości wydrukowane zostały w numerze «Gazet» z d. 3 maja — wyobrażenie mieć będziemy o różnicy, jaka między informacjami ówczesnych a dzisiejszych dzienników zachodzi. Wyobraźmy sobie tegożczesnego redaktora, otrzymującego d. 3 maja wiadomość o takim np. zwycięstwie Washingtona pod Prince-Town odniesionem d. 3 stycznia! Ale, jeżeli pośpiech i wiarygodność nie dopisywały, natomiast rozmaitość w owym ówczesnym «dziale politycznym» widzimy wielką. Obok sensacyjnego doniesienia «Portugalia nadzwyczaj lądem i wodą uzbraja się» (zbrojąca się Portugalia, zagrażająca europejskiemu pokojowi! Gdyby to tak w naszych czasach czemś podobnem można było świat zaalarmować! —, spotykamy np. plotkę z paryskiego dworu. Tych parę pozwolę sobie przytoczyć. «Odprawił się u nas (w Paryżu) niedawno pojedynek — piszą gazety z d. 22 lutego — dla obydwóch fatalny, jeszcze z takowej przyczyny. Pewny młody kawaler, znajdujący się na operze, usiadł z jedną damą, tak wysoki czub z wyniosłych piór na głowie mającą, że kawaler siedział jak za gęstym lasem, nic zgoła widzieć nie mogąc tego, co się działo na *teatrum*. Prosił więc grzecznie, aby ta dama z nim się na miejsca pomieniała, przez co oboje mogliby widzieć aktorów wygodnie. Dama nie tylko na to nie przyzwoliła, ale mu jeszcze grubo odpowiedziała; ten też dwojaką niecierpliwością, tak grubej zasłony jako i odpowiedzi zdjęty, dobył z kieszeni nożyczków i tyle z owych piór na głowie damy uszczył, wiele mu do widzenia potrzeba było; nie widząc, że tuż przy nim siedzący drugi młody kawaler był ścisłym nader tej damy przyjacielem i owej wspaniałej na głowie wieży był fundatorem. Z tym więc przyszło naprzód do zatargu, a potem i do nieszczęśliwego z obu stron pojedynku». Przyznajmy, że i dziś nożyczki przydałoby się mogły, zwła-

szcza przed wprowadzeniem w życie zakazu, zabraniającego damom pojawiania się na parterze w teatrze w wysockich, modnych kapeluszach. Ale czy się znajdzie dziś tak ryzykowny kawaler! A oto znów inna anegdota o słynnym z rozrzutności dostojniku francuskim Boureć'cie, zmarłym właśnie podówczas. «Między innymi płochymi wydatkami — piszą «Gazety» — miał też on pewną damę, swym kosztem co do wszelakich wygod od wielu lat utrzymywaną, która, że samem tylko mlekiem żyła, trzymał dla niej krowę żadnym innym pokarmem nie karmioną, jak tylko młodym zielonym grochem, którego mały korczyk pod zimową porę aż do 15 czerwonych złotych kosztował. Przez długie lata ta krowa w Paryżu całym była sławną... Nie trzeba zda się dodać, że działo się we Francyi i w końcu XVIII w. — Cesarz austriacki bawi w Paryżu. «Całą dworu i miasta uwagę — pisze korespondent «Gazet» — obrócił teraz na siebie cesarz Imość, którego łagodna przystępność tak powszechnie miłą światu czyni jego osobę»; w jednym zaś z następnych listów opowiada charakterystyczną przygodę, dowodzącą istotnie owej «łagodnej przystępności» Józefa II, a charakteryzującą zarazem ówczesne życie miejskie w Paryżu. «Cesarz pewnego dnia, bardzo rano, przyszedł *incognito* do jednego tutejszego najbogatszego *Kafe-Hausu*, prosząc o filiżankę czekolaty (tak). Pan owego miejsca po wczorajszych szpacerach, kartach, teatrach i innych za północ dobrze przeprowadzonych rozrywkach, jeszcze spał. Jego posługacz (jak posługacze pospolicie dziś czynią), nie dbając bardzo na zarobek pana, obiecał wprawdzie słowy, iż zaraz będzie czekolata, ale gdzieś się po swojemu zabałamucił. Cesarz, nie doczekawszy się czekolaty, z owego domu wyszedł i udał się do drugiego *Kafe-Hausu*, bardzo ubogiego. Tam zastał już gospodarza na przychodzących gości od samego świtu czekającego, który ledwie usłyszał, że gość (choć go nie znał) żąda czekolaty, zaraz się sam koło tego zakrzętnął, a tymczasem wysłał swą dorodną już córkę, aby przybyłego samego jednego

gościa zabawiała, nim czekolata będzie gotowa. Rozmawiał z nią cesarz...» i dowiedziawszy się, że dla wyjścia zamążyć potrzebuje 300 dukatów, dał jej czek dla swego bankiera na dwa razy tak dużą sumę i wypiwszy «czekolatę» niepoznany odszedł. Kim był hojny ofiarodawca, wyjaśniło się rychło, anegdota rozeszła się po całym Paryżu i obila się aż... o Wilno. Czyż nie świetny obrazek z ówczesnych kawiarni paryskich, gdzie sam gospodarz pędzi gotować filiżankę czekolady, a córkę swą tymczasem bawić gościa wysyła?

Wiele miejsca w politycznym dziale «Gazet» zajmują sprawy portugalskie. Choroba i śmierć króla Józefa I, usunięcie Pombala, wstąpienie na tron Maryi, dostarczają bodaj że najobfitszego materiału. Od doniesienia, że «król Luzytański zaniemógł i łóżkiem się bawi», aż do wiadomości o przywdzianiu żałoby po jego śmierci przez dwór warszawski na 4 tygodnie, czytamy nieustanne szczegóły o gotującym się przewrocie za Pirenejami. Pombal, sprawca zniesienia jezuitów i nieubłagany przeciwnik rozzuchwalonej szlachty i panów, po usunięciu go od rządu i wydaleniu do dóbr wiejskich, staje się kozłem ofiarnym naszych «Gazet». Ujmując się za osadzoną w więzieniach, a obecnie wypuszczoną na wolność, szlachtą, nie znajduje dosyć słów oburzenia dla pombalowskich rządów. Z niemniejszym zapalem starają się też «Gazety» rehabilitować zniesionych jezuitów, wykazując, jak fałszywe są wiadomości o rzekomych ich skarbach, nadużyciach, intrygach.

Małymi względami pisma wileńskiego cieszą się amerykańanie. «Gazety» nazywają ich wprost »buntownikami«, oddając atoli wszelką sprawiedliwość dzielności i zaletom Washingtona. «Trudno pomyśleć o pilniejszym i czulszym wodzu, jak pan Washington — cytują «Gazety» opowieść naocznego świadka. Codzień rano wstaje i ni jadłszy ni piwszy obóz konno objeżdża. Tegoż dnia, któregom tam bawił, oglądałem go, musztrowaniem pewnej kwoty młodych rekrutów, świeżo do wojska przybyłych, osobiście trudzącego się». Pysznie brzmi wiadomość o przybyciu do



Paryża Franklina i o pobycie tegoż nad Sekwaną. «Z Paryża dnia 6 stycznia. Doktor Franklin, niedawno z Ameryki do Francji przybyły, tylko się tu z ludźmi mądrymi i akademikami bawi, nawet do towarzystwa ich jest przyjęty». A na innym miejscu: «Z Niższego Renu, dnia 22 listopada. Najświeższe z Paryża listy oznajmują, że doktor Franklin wiadomościom o porażce generała Washingtona wbrew przeciwi się i wszystkiemu przeczy. Począł on teraz na publicznych znajdować się kompaniach; był niedawno na operze i sesji akademickiej, gdzie jako towarzysz jej zasiadł raz pierwszy. Nie ustaje on w pilności zawierania nowych z kupcami naszymi kontraktów» etc. Wogóle po sprawach portugalskich wojna anglo-amerykańska najwięcej miejsca w «Gazetach» zajmuje.

Notujemy dalej korespondencję z Petersburga, donoszącą o nagrodach pieniężnych, wyznaczonych hr. Aleksemu Orłowowi za zwycięstwo odniesione podczas tureckiej kampanii. I tak: «Za zwycięstwo pod Chesme d. 24 czerwca r. 1770 rublów 3,600. Za rozproszenie i zepsowanie floty otomańskiej przy Patrazzo we dwa dni potem rs. 15,593 kop. 66. Za otrzymane zwycięstwo nad flotą dulecynotów 28 października 1772 rublów 3,563 kop. 33 i pół. Wszakże — dodaje gazeta — ten sławny terażniejszego wieku bohater, jak dawniej, żadnej nie chciał przyjąć nagrody...» i oddał przeznaczone dlań sumy do rozdziału między wojsko, którem dowodząc odniósł powyższe zwycięstwa. Innym znów razem donosi korespondent ze stolicy rosyjskiej: «Od lat wielu znacznie zagęszczonych pamiątek liczba, teraz pomnożona została przez kolumnę, wyrobioną na to, aby świeżym orężem imperatorskim Krymu zdobycz ku wiekopomnej zachowała pamięci. Niezmierny ten kolos marmurowy przywieziony z Syberji, a pod przewodnictwem generała grafa de Bruce wyrobiony, d. 27 marca do Carskohe-Sela stąd był przeprowadzony na saniach, do których 120 koni zaprzężono. Kolumna cała 1,950 ważyła pudów. Po ósmej rannej w kwadrans

ruszono z nią stąd, a o 4 z południa już na miejscu swoim stała. Imperatorowa Jejmość z w. księstwem Ichmościami przypatrywała się całemu ciągowi, gdy pałac Imperatorski mijano. Tłum ludzi, którzy się woiąż tej drogi wysypali, powrócił z tego widowiska, zdjęty podziwem nad wspaniałą świetnością panowania, którego im Bóg świadkami być tak szczęśliwie pozwolił».

Tak tedy czytającemu od deski do deski tę starą, pożółkłą gazetę, przeciąga przed oczami cały rok 1777. Kolejno rozwija się orszak głośnych i mniej głośnych postaci. Począwszy od Fryderyka II, cesarzowej Katarzyny, Washingtona, Pombala, Józefa II, Franklina — a kończąc na zapomnianych już dziś całkowicie małych pionkach na tej wielkiej politycznej szachownicy świata. Kalejdoskopów zamyka korespondencya «Z turecko-węgierskiej granicy» na ostatniej stronnicy ostatniego suplementu, donosząca, że: «Po niektórych gazetach ogłoszona nowina, że Rosya wypowiedziała już wojnę Porcie, dotąd nie ma dostatecznego dowodu». I oczywiście alarmy te nie miały żadnej podstawy, wojna albowiem rzezona wybuchnęła co prawda, ale... we dwanaście lat później.

Takim mniej więcej był dział polityczny «Gazet Wileńskich» z przed stu kilkanastu laty. Szczupłe pozostał on w piśmie miejsce dla spraw krajowych i tak zwanych wiadomości bieżących, miejscowych.

Na wstępie tego lub owego numeru spotykamy okolicznościowy oficjalny opis jakiej dworskiej uroczystości, święconej właśnie w Wilnie. Oto np. jak opiewa numer «Gazet» z d. 29 listopada obchód rocznicy koronacyi króla: «Dzień dwudziesty piąty tego miesiąca, jako roczny szczęśliwej koronacyi Najjaśniejszego Stanisława Augusta P. N. Mił. z wielką tu wspaniałością, był obchodzony w następujący sposób. Z rana o godzinie 5 z zalecenia Jmci Pana Marszałka głównego Trybunału W. X. Lit. ogłoszono tę pożądaną uroczystość stokrotnym z armat wystrzeleniem; po 9 zaś rejmenta w tej stolicy konsystu-

jące w przyzwoitej paradzie zgromadziły się przed kościół katedralny, w którym za przybyciem o godzinie 10 Jmci P. Marszałka gł. Tryb. W. X. Litew. z kolegami swymi i licznie tu przytomnem państwem, Jmc. X. Zienkowicz sufragan wileński przy licznej asystencji duchowieństwa biskupim obrządkiem miał mszę śpiewaną, podczas której JX. Kasprowicz proboszcz graużyski w wybornej a wrodzonej sobie wymowie miał kazanie». Następuje *Te Deum* przy biciu z armat, zatoczonych na górę zamkową i strzelaniu z ręcznej broni na katedralnym placu przez wojsko tam uszykowane. Tegoż czasu odprawia się w kościele akademickim (św. Jana) uroczyste nabożeństwo przy asystencji całego senatu akademickiego. Podskarbi w. lit. Brzostowski daje wielki obiad, pan marszałek trybunału zaprasza na bal maskowy do pałacu Pacowej pisarzowej litewskiej, z domu Radziwiłłówny, a zaś w kościele akademickim w przytomności senatu ma ksiądz Ławrynowicz, « nauk wyzwolonych i filozofii doktor, krasomóstwa i sztuki rymotworskiej profesor », poobiedną konferencyę, w której rządu Stanisława Augusta wysławia. Po owej « paradzie akademickiej » i niesporach zapalono iluminacyę. Jaśniały cyfry i herby na wieży świętojańskiej, na ratuszu, na pałacu Paców i innych przedniejszych domach. « O godzinie 7 zaczął się bal maskowy, po nim zaś nastąpiła kolacya, podczas której przy wdzięcznej muzyce i hucznem biciu z armat i ręcznej strzelby, spełniano zdrowia z oświadczeniem najżywszych sentymentów ku Najjaśniejszemu Monarsze; po kolacyi zaś nastąpiły tańce, trwające przez noc całą przy zupełnej wesołości aż do godziny 6 ranej ».

W ten sposób z małemi odmianami obchodzi Wilno dzień urodzin i imienin króla Stanisława, a opisowi tych lokalnych uroczystości poświęca dziennik naczelne miejsce.

Na temże miejscu spotykamy też opis niemniej ważnego w kronice miejscowej wypadku. « W przeszły czwartek (26 czerwca) — piszą « Gazety » — Imé Pan Wybicki

Podwojewodzy (tak) poznański, od prześwietnej Komissii Edukacyi Narodowej delegowany wizytator szkół w departamencie księcia Jmci będących, rozpoczął wizytę tutejszej Akademii». Następných dni zwiedza inne wileńskie szkoły, wszędzie przemawia do młodzieży i profesorów a «Gazety» oddają wielkie jego krasomówstwu i pięknym wywodom pochwały. Na froncie też dziennika spotykamy w kilku numerach drukowane *in extenso* rozporządzenia wspomnianej już Komisji Edukacyjnej lub ustawy ostatniego sejmku, a od czasu do czasu pojawia się na szpaltach «Gazet» jaki uniwersał ważniejszy królewski. Z wielką też prawdopodobnie ciekawością czytała ówczesna publiczność następującą wiadomość: «Z Hagi d. 28 Grudnia. Xiąże Jmć Radziwiłł wojewoda wileński od kilku dni w Amsterdamie bawiący się, do tutejszego miasta pojutrze ma przybyć». Nie mniejszą też sensacyę wyrzucić musiała nowina, zredagowana jak następuje: «Z Warszawy d. 19 Kwietnia. Goniec francuski z miasta Marsylii d. 3 tego miesiąca o godzinie 10 rano stamtąd wysłany, przybiegłszy w czternastu dniach to jest w przeszły czwartek około godziny 8 ranej do tutejszej stolicy, smutną dla Rzeczypospolitej naszej oznajmił nowinę: iż Xiąże Jmć Prymas Korony Polskiej i W. X. Lit. Gabryel Podoski Arcybiskup gnieźnieński, opat Tyniecki i Paradyzki, proboszcz Miechowski etc. dla poratowania zdrowia za granicą bawiący się, zapadłszy nadzwyczaj na zdrowiu w sam dzień Wielkiego Czwartku, po tygodniowej chorobie dnia 3 terażniejszego miesiąca rano o godzinie 9 i z swą ojczyzną i z całym światem tamże zagranicą nazawsze pożegnał się. Żył ten xiąże na świecie lat 56 i dni 16, a na wysokim Prymasa urzędzie lat prawie 10. Duszę zmarłego swego Prymasa dzwony tutejszych kościołów dnia zaraz następującego to jest wczorajszego zaczęły modlitwom wszystkich wiernych zalecać». Następuje doniesienie o zamianowaniu na prymasostwo wakujące biskupa kujawsko-pomorskiego księdza Ostrowskiego. Przyznać trzeba,

że wcale lakoniczny i chłodny nekrolog głowy kościoła w Polsce. Uderza też pośpiech, z jaką wiadomość powyższa doszła do Wilna. Podoski umiera w Marsylii d. 3 kwietnia 1777 r., wiadomość o tem przybywa do Warszawy 17 kwietnia, zaś «Gazety Wileńskie» zamieszczają ją już w numerze z dnia 26 kwietnia. Jak na ówczesne stosunki, pośpiech to niezwykły.

Mamy też i warszawskie nowiny, jakoto: o popisach publicznych szkół, o rozpoczęciu sesyi Rady nieustającej i t. p. «Wyjazdy i przyjazdy» też znajdują dla siebie miejsce. Oto w jednym numerze np. czytamy: «Z Warszawy 23 Lipca. Do państwa tu przytomnego przybyli w przeszłą niedzielę Jmość Pani Ogińska Hetmanowa W. Lit., tudzież Jegomość Pan Branicki Hetman W. Kor.; w poniedziałek zaś Xże Jmć Massalski Biskup wileński». Gdy zaś wreszcie o «wiadomość brukową» chodzi, to i ta się znajdzie. «Po długich i nader obfitych deszczach — czytamy w numerze z 2 sierpnia — z przeszłej niedzieli na poniedziałek o północy doznaliśmy tu przy straszliwych grzmotach niezwyčajnej burzy, która o godzinie 8 gwałtownością wiatru od zachodu-południowego obaliwszy mur wyniosły na dach i sufit kamienicy w rynku przy kościele św. Kazimierza będącej, czworo ludzi w ruinach zagrzebała».

Specyalnością «Gazet» są doniesienia o ślubach, uroczynach i pogrzebach. Byle zaciejszy obywatel województwa, ba, Wielkiego Księstwa, święcił jaką uroczystość rodzinną, a osobiwiedał jej wyraz w samem mieście — natychmiast dziennik z jej opisem mniej lub więcej obszernym występuje. Śmiało rzec można, że całą kronikę miejscową wypełniają te artykuły. Oto para specymenów: «Dzwony tutejszych kościołów (utarta arynga) ogłaszają śmierć Jejmość Pani Jelskiej starościnej Pińskiej i Jmci Pana Koziełła strażnika oszmiańskiego, który mając lat 99 dnia 28 przeszłego miesiąca (lipca) w dobrach swoich świat ten pożegnał». Z innej okazji: «Jmć X. Brzostowski referen-

darz Lit. zwiedziwszy kraje niemieckie i francuskie, z Paryża do dóbr swoich Pawłowa d. 6 tego miesiąca (sierpnia) szczęśliwie powrócił, gdzie od włości swojej osadników, odbierał uprzejme szczęśliwego powrotu powinszowania». Następują szczegóły. Czy Pani Sollohubowa starościna eyszyska powiła córkę, czy umiera kasztelan żmudzki Jmć Pan Michał Górski, czy Jmć Pan Burzyński, wojewódzic miński wyprawia egzekwie za duszę matki — o tem wszystkim wielce pompatycznie wnet donosi dziennik. A gdy pięknego kwietniowego poranku w kościele św. Jana odbywa się obrzęd zaślubin Imó Pana Sulistrowskiego Tadeusza, sędziego sejmowego i podkomorzego królewskiego z Jejmość Panną Brygidą Łopacińską pisarzówną W. Lit. — zaraz nazajutrz *ex re* tak solennej i ważnej uroczystości wydają «Gazety Wileńskie»... «nadzwyczajny dodatek», zwany *addytamentem*. W ciągu 1777 roku dwa tylko takie addytamenty widziało Wilno; raz z okazji rzeczzonego ślubu, a drugi z opisem pobytu króla Stanisława w Grodnie d. 15 września.

Ow drugi addytament stanowi istotnie jedną z najciekawszych kartek starej księgi. Powtarzać go w całości dla jego rozmiarów nie możemy, zresztą nie zawiera rzeczy nieznanych. Król przybył umyślnie do Grodna z Warszawy w celu osobistego obejrzenia «obszernych budowli na manufaktury przenieść się tam mające, tudzież dla widzenia młynów, tartaków, hamerni i innych machin na rzece Łotośni nowo postawionych» (o pół mili od miasta). Wizytuje też król kolejno fabryki sukienne, jedwabne, płócienne, przyjmuje na audyencyi cały skład trybunału podówczas właśnie zgromadzonego w Grodnie, egzaminuje w szkole kadetów, daje posłuchanie radzie miejskiej. Widać jasno, że najbardziej obchodziły króla i całą niemal jego uwagę zajęły wszelakie zakłady przemysłowe i rękodzielnie, o których rozwój dbał pilnie i usilnie się starał. Nie wspominamy nic o przyjęciu — jednego tylko rysu charakterystycznego pominać nie sposób. Stanisław August

natychmiast po przybyciu do miasta, udaje się wprost do... botanicznego ogrodu i tam nawet z każdym ogrodnikiem zamienia słów kilka.

O króla Stanisława odwiedzinach w Puławach mamy też, ale krótką relację. Obfitsze zato szczegóły podaje opis spotkania się specjalnego posła Porty z kasztelanem kijowskim, delegowanym królewskim w Żwańcu, oraz opis wjazdu tegoż ottomańskiego posła do Warszawy.

Jedno z drugim — a nie sposób wyczerpać nawet pobieżnie całego materiału — obfita treść jak na prowincjonalną zwłaszcza gazetę. Skrzętnie szperając, dałoby się w niektórych szczegółach przeprowadzić paralelę z dzisiejszym dziennikiem. Oto np., czyż nie zalatuje reporter-ską kaczką *à la...* (*nomina sunt odiosa*) tego rodzaju *entre-filet*: «W okolicy mantuańskiej pogrzebiono niedawno jednego oracza nazwiskiem Rouare wespół ze swą małżonką. Jednego roku i dnia urodzili się oboje, jednego dnia w tymże kościele byli ochrzczeni, oboje równych sto lat przeżyli, jednego roku i dnia umarli, w jednej mogile są pogrzebani». Oh!... A może braknie «węża morskiego»? Bynajmniej. Słuchajmy tylko: Gdzieś «w kraju de Bresce, na nizinie de Camonika zwanej w okolicy Brescii» staje do ślubu panna z młodzieńcem, którego nie kocha i na zapytania księdza nie chce dać żadnej odpowiedzi. Pan młody oburzony «dobył puginała i na miejscu ją zabija. Patrząc na to brat zabitej panny, porywa się do pistoletu i w leń strzelivszy zabójcy, trupem go kładzie. Przytomny przyjaciel zabitego kawalera, rzuciwszy się na zabójcę tego ostatniego, życie mu także sztyletem odbiera!» Następują komentarze: «o punkcie honoru w niedopiętej imprezie» i t. p. Jeżeli zatem niema «węża», to jest zato «trzykrotne zabójstwo u ołtarza». Rekomendujemy temat komu należy. Czy może kto wątpi, że zbraknie *pendant*'u do głośnej doktoryzacyi przed kilku miesiącami w Paryżu panny Szultzówny? Bynajmniej. «Niemniej urodą jak dowcipem i umiejętnością sławna Pellegrina Amoretti — piszą do «Gazet

z Pawii d. 2 lipca — lat 20 jeszcze nie mająca panna, w tutejszej Akademii przypuszczoną jest do doktorskiego stopnia z obojgu tak świeckiego jak duchownego prawa». Korespondent nie waha się nawet zapewnić, «iż bardzo pięknie z ukontentowaniem wszystkich egzaminatorów na obu egzaminach popisała się». Nie jest to wprawdzie coś tak wykwintnego jak wiersz w «Figaro», ale zawsze i to komplement. Wiadomość wreszcie np. o upale 23 stopni dnia 27 maja, oraz o spadnięciu tegoż dnia w Oszmiańskim gradu wielkości orzecha włoskiego, jest tak «po dziennikarsku» napisana, że dosłownie przenieśćby ją można do tegoczesnej gazety. Wspomnieliśmy wyżej o — ogłoszeniach. Nie pomińmy i tego zakątka «Gazet» bez uszczknięcia zeń bodaj jednego «gończego listu». Brzmi on dosłownie: «Doniesienie z Wilna. Z parafii Kietowiskiej uciekł tu chłopiec lat 10 mający imieniem Maciej Marcinkiewicz, gęby szerokiej, nóg krzywych, warkocz ma rudy, w żupanie granatowym starym, umiejący grać na pozytywwie. Ktoby o nim wiedział, albo go przytrzymał, niech da znać do Pana Fleiszmana, w pałacu Pociejowskim mieszkającego, a odbierze przyzwoitą rekompensę». Nieprawdaż, że owo «umiejący grać na pozytywwie» jest arcydziełem?

Na tem zamykamy tę przelotną wędrówkę naszą po starych szpargałach.

Kto wie, może za lat sto kilkanaście z równie po-błażliwym uśmiechem i ciekawością szperacza odczytywać kto będzie i ten niniejszy artykuł. Niechby jednak przetrząsał te kartki z równie serdeczną tkliwością, z równem rozrzewnieniem prawie.....

O czem zaduma się, ów prawnuk nieznaný nad szpalną tegorocznej gazety? Czy zaduma się nad nią jak ja w tej chwili nad tym kompletem starych «Gazet Wileńskich» z 1777 roku?



## FELJETONISTA.

—•••—  
...Vous tous, les prodiges de votre esprit, de votre observation, de votre bonne humeur! de tous vos efforts, de tout votre long travail, que le journal emporte dans les franges de sa tuni-que flottante, que restera-t-il, je vous prie ?...

J. Janin.

Tu i owdzie po wiedeńskich korespondencyach pism naszych przemknęła się tymi dniami lakoniczna wzmianka: umarł Daniel Spitzer...

Daniel Spitzer? Jaki Daniel Spitzer? Doprawdy, dziś tyle nazwisk mamy do spamiętania poczynawszy od byłych i przyszłych ministrów francuskich, a kończąc na stałych i niestałych «gwiazdach» teatralnych, że wolno o jakimś tam Szpitzerze nic zgoła nie wiedzieć.

Bo też i nie był Daniel Spitzer nigdy w życiu ministrem francuskim, nie odezwał się również nigdy koloraturowym sopranem, ani też heroicznym tenorem. Daniel Spitzer był ot, sobie, — tylko feljetonistą.

Należał on do tych ludzi piszących, dla których przyszli dziejopisowie literatury utworzyć będą musieli specjalną rubrykę obok «poezyi», «nauk ścisłych», «historyi» i t. p. W rozdziale obszernym, zatytułowanym «Dzien-

nikarstwo» znajdzie dla siebie Spitzer kącik niepodzielny tuż przy stałej lokacie w dziejach piśmiennictwa kolegów swoich: Börnego i Janin'a, Lama i Prusa i tyłu, tyłu innych.

Feljetonistą był. Powiedzieć łatwo, ściśle określić trudno czem jest właściwie tak zwany «feljeton», kto mianowicie i na jakiej zasadzie ma prawo do tytułu: «feljetonisty»?

Myliliby się, ktoby sądził, że istotę feljetonu stanowi «lekkość» warunkowana samą jego nazwą (*feuilleton* — od *feuille*, liść); ulotnym listkiem nie zawsze jest i być powinien feljeton. Myliliby się również, ktoby mniemał, że pod nazwą: feljeton rozumieć należy wyłącznie tylko to, co drukuje się poniżej grubej, czarnej linii przecinającej pierwszą stronicę dziennika; feljeton niema ściśle określonego miejsca w gazecie, feljeton jak ów duch biblijny *flat ubi fult*, to jest, przenika dziś właściwościami swemi niemal wszystkie działy i rubryki czasopism. Odwrotnie, nie każda «pogawędka» rozpierająca się pod linią na pierwszej gazety kolumnie ma prawo zwać się feljetonem. Nie miejsce zdoła człowieka — nie miejsce podnosi lada jaką pisaninę do godności feljetonu.

Czemże on przeto jest właściwie? Co to jest feljeton?

Nie jest to żadna ściśle określona forma literacka, jak np. sonet lub triolet. Feljeton to pewien «rodzaj» twórczości piśmienniczej, coś zupełnie tak niepochwytnego a dającego się doskonale odczuć jak — liryzm. Znamy przecie wszyscy wiersze liryczne bez krzty liryzmu; tak samo z feljetonem: są feljetony bez krzty feljetonistycznego sposobu i daru przedstawienia rzeczy.

I otóż to właśnie i definicya feljetonu. Istotę jego stanowi ów niepochwytny, subtelny, kunsztowny, ze specjalnego płynący uzdolnienia: feljetonistyczny sposób podania czytelnikowi danego tematu.

Przeto też ściśle wskazanych dla feljetonu niema

zgoła tematów. Każdy wręcz temat da się feljetonistycznie potraktować, może w sposób feljetonistyczny być przedstawionym.

Licząc się skrupulatnie z wewnętrznymi cechami feljetonu, moglibyśmy bez zbytej śmiałości nazwać Platona — filozoficznym fejletonistą, tak u niego sposób wyłuszczenia najzawilszych, najgłębszych zagadnień i kwestyj zbliża się do typowego wykładu istotnych nowoczesnych feljetonistów. Feljetonami w najlepszym rozumieniu słowa były słynne „*Lettres à un provincial*“ Pascala. Jakże słusznie nazwano Jana Scherra historykiem-feljetonistą!

Feljeton wypływać nie tylko musi ale i powinien z doskonałego opanowania i przetrawienia przedmiotu. Sama już jego zwięzłość, niemal obowiązująca, wymaga zaznaczenia najwybitniejszych rysów, syntetycznych spostrzeżeń. To też tyle w feljetonach, takich co na tę nazwę istotnie zasługują — paradoksów albo, jak się to mówi, aforystycznych trafiań w sedno. Feljeton musi streszczać owoce najsubtelniejszych, długoletnich spostrzeżeń, może streszczać owoce uciążliwych badań, byle tylko czytelnik nigdy nie spostrzegł tych trudów, zabiegów i obmyślań piszącego.

Nic łatwiejszego jak pisać tak, aby nikt tego nie zrozumiał; nic trudniejszego jak pisać o rzeczach nie łatwych do rozgryzienia i objęcia w ten sposób, aby każdy pojął odrazu o co chodzi. «Są ludzie — powiada Schopenhauer — którzy nigdy nie mogą zdecydować się pisać tak jak myślą, bowiem wydaje się im zawsze, że myśli ich w takim razie wyglądać będą za głupio i za pospolicie». Wtedy gmatwają i kręcą rzecz całą jak fryzyer damską fryzurę, aby ludziom się zdawało, że Bóg wie co tam siedzi pod temi nastroszeniami tapirowań i trefień; to znów uważają za stosowne w ton uderzać nadzwyczajnej powagi, albo tak frazes siłą się wydłużyć, aby myśl

ludzka, jak w dziele samego stworzenia, z jednego końca okresu w drugi sięgnąć nie była w stanie.

Tem sposób przedstawiania rzeczy można by nazwać antytezą feljetonistycznego wykładu.

Bez subiektywnego poglądu na rzeczy opisywane niema rzeczywistego feljetonu. Feljetonista nie zdaje sprawy z tego, czego się nauczył, nie kompiluje zdań cudzych; opowiada wprost to, co przeżył lub odczuł. Posiukuje się cytata, ale dopasowuje ją do własnego sposobu widzenia lub dla kontrastu stawia ją obok czysto subiektywnego często wręcz przeciwnego poglądu. Subiektywizm gra zupełnie taką rolę w feljetonie, jak w liryce.

Stąd tak rzadko w istotnie feljetonistycznych utworach pojawia się ulubiony przez powagi i akademików uroczysty *pluralis majestaticus*, znane dostatecznie «my» autorów dbałych o przedmiotowość oględną lub wygodną. Feljetonista powiada wszędzie i zawsze: «ja» i rzeczą już jest jego pisać tak, aby przygody tego «ja» lub przekonania uczynić dla czytelnika wiarogodnymi, miarodajnymi lub zajmującymi.

Rzadko bardzo przemawia feljetonista z rostry na forum. On gawędzi zwykle sam na sam z czytelnikiem bierze tego czytelnika za guzik marynarki, damy rączkę przytrzymuje, gest czyni odpowiedni, porozumiewa się z czytelnikiem poufałym półsłówkiem, pewny, że doskonale zrozumiany będzie. Wciąga niejako czytelnika w grę własną, podsuwa mu w chwili stosownej pełne zaufania potakiwanie, wywołuje w nim wrażenie, że to, co mówi, odbiciem jest tylko jego, czytelnika, własnych zdań i przekonań. Stąd powab i urok feljetonistycznego sposobu traktowania rzeczy.

Przypominam sobie pewną współczesną krytykę powieści «Malwina, czyli domyślność serca» ujętą w formę rozmowy stryja z siostrzenicą. Pisał Jędrzej Śniadecki i napisał — kazanie wielkopostne. Wypadki chodzą po ludziach...

Sam znalazłem tam wiele niezmiernie budujących spostrzeżeń i wywodów; wyobrażam sobie jednak, że dziś, w tym tonie utrzymanego sprawozdania nikt nie byłby w stanie doczytać do końca. Dlaczego? Dla tej prostej przyczyny, dla której zasnęlibyśmy na miejscu, słuchając jakiegoś «powitania», przetkanego łaciną i okraszonego retoryką pierwszej połowy XVIII-go wieku. Ongi oracye takie zapisywano skrzątnie do raptularza, dziś — porwalibyśmy się po pięciu minutach do gremialnego ściskania mówcy... aby tylko w najgrzeczniejszy sposób przerwać mu potok wymowy.

To też «feljetonizm», wystrzegający się, jak grzechu, znużenia czytelnika, obowiązujący do podtrzymywania do linii ostatniej tegoż czytelnika zajęcia, obowiązujący — zrozumiemy się dobrze — nie do «śmieszenia» czytelnika nieustającą salwą conceptów, ale do nieustannego podtrzymywania zajęcia czytelnika, do przykuwania jego myśli lub wrażeń do najbardziej nieraz suchego, ciężkiego, niepopularnego tematu — «feljetonizm» ów położył dziś mniej lub więcej wyraźne piętno swoje na całą wielką gałąź piśmiennictwa, co się dziennikarstwem zowie.

Trzeba na świecie bożym poruszyć najsubtelniejsze nici wielkiego dyplomatycznego przedziwa: nowo powstały tygodnik *Zukunft* obiera ku temu nie formę sążnistego artykułu, ale daje nawskróś feljetonistyczną rozmowę z Bismarkiem. Rzekłbyś, wprowadza czytelnika, zupełnie w duchu feljetonu, niejako do pokoju, w którym piszący gawędzi z byłym mężem stanu. Od feljetonistycznych «wykładów» i «ankiet» roi się dziś w prasie...

Weźmy paryski jaki dziennik — jeden z tych wielkich — do ręki. Artykuł wstępny: o wodzie, którą pije Paryż. Wbrew tytułowi, nie zapowiadającemu nic «ciekawego», zaczynamy czytać. Temat suchy, cały na cyfrach i analizach, ale sposób wzięcia się do niego, sposób przedstawienia rzeczy tak... tak — feljetonistyczny, że artykuł do ostatniej pochłaniamy litery. Byliśmy szczerze z zajęci

rzeczą, do której nic nas nie pociągało; odnieśliśmy korzyść i — przyjemność. Przewracamy arkusz i z równym smakiem czytamy «Wieczór teatralny», upstrzony nazwiskami nic nam nie mówiącymi, — ale znakomicie feljetonistycznie napisany.

I oto dlaczego istota feljetonu przenika dziś mniej więcej wszystkie działy gazet.

Powiedzą mi: styl tu wszystko stanowi. Są to po prostu pięknie stylowo pisane rzeczy i dlatego czyta się je z zajęciem i przyjemnością! Pozwolę sobie być przeciwnego zdania. Cóżby zarzucić stylowi np. Starowolskiego lub Śniadeckiego? Czyż może być piękniejszy język pisarski, że lubować się nim istotnie! A jednak... A — powiedzą mi znowu — to są pisarze poważni i dlatego tłum nie rozrywa sobie ich dzieł. Pozwolę sobie zwrócić uwagę, że Taine jest też bardzo poważnym pisarzem, a jednak jego «Podróż do Włoch» niemal jest szeregiem typowych fejletonów.

Utarło się u nas jeszcze mniemanie, że feljeton jest pogawędką o najprzeróżniejszych rzeczach, z ręcznie związanych ze sobą umiejętnością kręcenia piórem bicza z piasku.

Prawda. Można utkać feljeton *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, można osnuć cały feljeton nie na faktach jeno na samych igraszkach stylowych, można długo mówić i nic nie powiedzieć, można powiązać w jedną całość, w rodzaj «przeglądu», najsprzeczniejsze temata. Będzie to atoli nie typ absolutny i jedyny feljetonu, typ — obowiązujący. Będzie to tylko jeden z tysiącznych rodzajów feljetonu.

Juliusz Janin, którego dosyć słusznie za twórcę feljetonu francuskiego poczytują, stworzył ów feljeton, ów feljetonistyczny sposób pisania, na jakim gruncie? Czyż na gruncie tak zwanych u nas «kronik tygodniowych»? Nie; stworzył go na gruncie — krytyk teatralnych. Felje-

tony najznakomitsze Janin'a to jego — sprawozdania z przedstawień dramatów i komedyj.

Henryk Heine, powszechnie za twórcę feljetonu niemieckiego uważany, dał piśmiennictwu niemieckiemu to, co nazwaliśmy feljetonem, na gruncie jakim? Na gruncie — opisu podróży swojej, w góry Harzu odbytej. „Reisebilder“ Heine'go to najtypowsze z typowych feljetony, nie mające jednak pod względem tematu nic wspólnego z naszymi «Kronikami tygodniowymi», «Pogawędkami» itp.

Nasze wyobrażenie o tem, co to jest feljeton, zasklepiające go uparcie w ciasnym obrębie jakichś tylko «przeглядów» wydarzeń, dostarczonych przez pewien ściśle określony przeciąg czasu — mają uzasadnienie swoje w pewnym składzie okoliczności najzupełniej miejscowym.

Na gruncie czasopiśmiennictwa naszego przyjęła się oddawna i rozkrzewiła się znakomicie rubryka «przeглядów» takich. Po pierwszych próbach traktowania feljetonistycznego wszelkich «bieżących» spraw i wypadków przez A. Niewiarowskiego w głośnych swojego czasu artykułach «Pod gwiazdką», (zamieszczanych nie pod linią pierwszej strony, ale w samym tekście G. z. W. a. r. s. z.), tygodniki, zwłaszcza nasze, za święty uznały obowiązek dawać u siebie stale miejsce tygodniowym przeglądom, w formie i barwnie i stylowo i «lekką» pisanej kroniki dni sześciu ubiegłych.

Za dalekoby mię zawiodło szczegółowe przyjrzenie się dziejom tej rubryki. Dość przypomnieć, jakiej poczytności używał przed laty jeden z pierwszych wybitnych »kronikarzy» Tygodnika ilustrowanego, Wacław Szymanowski, następnie w Niwie Wł. Olendzki (Jan Soplica). Kłosa dawały co tydzień «Pokłosie», Tygodnik powszechny kroniki tygodniowe pióra St. Grudzińskiego (Grzymały), Biesiada literacka ma dotąd stałą rubrykę taką, pod tytułem «Z Warszawy», prowadzoną od lat wielu przez redaktora Wł. Maleszew-

skiego, w Prawdzie piszę z tygodnia na tydzień znane „*Liberum veto*“ Aleks. Świętochowski (Poseł prawdy), Tygodnik ilustrowany powierzył rubrykę, o której mowa, tytułowawszy ją «Z tygodnia», M. Gawalewiczowi i W. Gomulickiemu, Bluszczo daje co drugi tydzień «Pogawędkę», pisaną do niedawna przez M. Gawalewicza (*Quis*), Echo muzyczne i teatralne ma dwutygodniowe «Odgłosy» itd.

Już z samego tego wyliczenia widać, jak łatwo było czytelnikom przywiązać nazwę «feljetonisty» jedynie do tych, co takie przeglądy, kroniki lub pogawędki pisali. Taka kronika stała się dla czytającego ogółu naszego — synonimem feljetonu.

Cóż dopiero, gdy na horyzoncie ukazał się z jednej strony Jan Lam, z drugiej taki «kronikarz», jak Bolesław Prus! Stanowczo twierdzić można, że Prusa «Kroniki tygodniowe» w Kurjerze Warszawskim ustaliły pojęcie nasze o tem, co i jak pisać powinien zasługujący na tę nazwę feljetonista. Powoływano się zresztą na Lamę, który też czerpał tematy do feljetonów swoich z wypadków t. zw. «bieżących», powoływano się na popularnego, ciętego kronikarza Kazimierza Bartoszewicza.

Nie był ten feljetonista w rozumieniu naszym, kto w życiu swoim nie napisał lub nie pisywał stale jakiegoś tygodniowego *mixtum compositum*. Jak pisał, mniejsza; pasowano go na feljetonistę nie pytając, czy w całej jego pisaninie znalazł się choć jeden artykuł, noszący na sobie istotne feljetonistyczne piętno. Przyszedł wreszcie czas, że, widząc poczytność feljetonów takiego Prusa, Lama i kilku innych, każda gazeta zapragnęła mieć stale «coś w tym rodzaju». Na takie zapotrzebowanie niestarczyło nawet takiej liczby piór istotnie feljetonistycznych, jakimi poszczycić się może dziennikarstwo nasze. Polała się woda. Publiczność znudzona zaczęła wyrzekać na swoich feljetonistów, co nigdy feljetonistami z Bożej łaski nie byli,



co, wzięwszy się za nie swoje, krzywdę wyrządzili tym, których tak słusznie nazwaćby można naszymi *maréchaux de la chronique*.

Mówiąc nawiasem, stała rubryka tak zwanych kronik tygodniowych lub tygodniowych pogawędek jednolitych, z pod jednego pióra, przeżyła się, spowszedniała. Należałoby znaleźć dla niej inną, nową formę, jak to już zresztą uczyniło pism naszych kilka.

Za granicą już znikła z widowni. Feljeton nie stracił ani jednej z zasadniczych cech swoich, ale przyjął już tam inną «formę». Jedyłą pozostałością pokażniejszą z dawnych lat, bodaj czy nie pozostała «Kronika tygodniowa» w paryskiej *Illustration*, prowadzona do dziś dnia przez J. Claretie. Gdzieindziej rozbito tę zbyt ogólnikową rubrykę na działy: na przegląd sztuk pięknych, na przegląd wypadków społecznych, kwestyj ekonomicznych, na przegląd z dziedziny życia towarzyskiego itd. Rzadko który feljetonista plecie wieniec z kwiatów rozmaitych; bierze jeden wypadek lub objaw i w subiektywnem oświetleniu podaje go czytelnikowi (np. Sarcey w tygodniowych swoich pogawędkach w *Annales politiques et littéraires*).

Czyż zresztą i u nas chodziło lub chodzi najlepszym, z powołania «kronikarzom» o takie właśnie najumiejętniejsze li tylko splatanie wieńca lub układanie bukietu z różnorodnych wydarzeń i objawów? Pozornie tak, w gruncie zaś rzeczy: nie.

Ileż to razy pod ogólnikowym tytułem «Kronika tygodniowa», „*Liberum veto*“ lub «Z tygodnia» czytaliśmy o jednej jedynie sprawie, o jednym jedynym fakcie, wypełniającym cały feljeton? Dość przypomnieć całą jedną «kronikę» Prusa, wypełnioną po brzegi same wyłącznie sprawą — afrykańskiej pierwszej wyprawy Rogozińskiego. Cóż to za świetny był — feljeton! A tak — feljeton, chociaż nie na żadnym «przeglądzie», nie na żadnej «mozaice» osnuty.

Powiem więcej; wszystko co się rzekło o istocie fel-

jetonu, o jego znamienych cechach, przypada jak ulał np. do mało znanych, a ślicznych nieraz korespondencyj Zenona Fisza (Padalicy) do *Gazety warszawskiej*, przed wielu, wielu laty pisanych; da się najdoskonalej zastosować do listów Syrokomli, nadsyłanych do tejże gazety za najświetniejszych jej czasów. Czemże wreszcie są «Listy z Ameryki» Sienkiewicza, jeżeli nie szeregiem feljetonów, często klasycznych, czemże tegoż Sienkiewicza «Miscelanea» ongi w *Niwie* stale zamieszczane?..

Feljetony to wszystko, feljetony; tyłkośmy się uparli szukać feljetonu tam jedynie, gdzie mu dowolnie miejsce przeznaczono: w jednej jedynej rubryce czasopisma.

Być może, że gdy pozbedziemy się błędnego rozumienia istoty feljetonu, a poszukamy go gdzieindziej niż tam, gdzieśmy go dotąd szukać przywykli, to i pewne lekceważenie feljetonistycznych piór odpadnie od nas. Przeciwnie, zdawaćby się mogło, że skoro tak wysoko cenimy np. feljetonistów francuskich, skoro kruszyć gotowiliśmy kopie w obronie zupełnie uzasadnionej popularności takiego Wolfa, Scholla, Fouquier'a, Bérgerat'a i jak się tam oni wszyscy nazywają, to i z zadowoleniem pewnym przyjmujemy przypomnienie, że przecież nie brak i nam pisarzy, co dany temat potraktować umieli lub potrafili z temperamentem, talentem, życiem, smakiem, artyzmem, nieraz humorem, dosadnością słowa, z przejrzystością stylu, swobodą, potocznością, z udzielającym się uczuciem szczerem lub trafną spostrzegawczością, bez akademickiej namiętności, z ciętą werwą, a gdy wypadnie, ze śmiałym sarkazmem.

Wszystkie te bowiem zalety, lub niektóre z nich w niezwykłej mierze, posiadać powinien feljeton. Niedosć mu posiadać myśl przewodnią, temat, tendencję, subiektywne poglądy. Powinien on sam w sobie stanowić istotne dzieło sztuki pisarskiej, powinien być dziełem artystycznym. Nikt się nie nauczył pisać feljetonistycznie, pisać

godne nazwy swej feljetony. Do tego potrzeba mieć specjalny dar, talent wrodzony.

Na talentach w tym właśnie kierunku ma podobno zbywać — Niemcom. Utańczyło się przynajmniej wyobrażenie, że werwa, elegancya, jasność, elastyczność stylowe i wykładowe niedostępne są niemieckim piórom. Jest to złudzenie, wynikające z niedostatecznej znajomości piśmiennictwa niemieckiego.

Licząc się skrupulatnie z wewnętrznymi cechami feljetonu, wypadnie nam szukać źródeł najpierwszych feljetonistycznego sposobu pisania aż — w pismach Jean Paul'a. Posiada on przynajmniej kilka wybitnych cech, znamionujących istotnego feljetonistę: sztukę łatwego przechodzenia z przedmiotu na przedmiot, żywy koloryt i obfitość obrazów, talent wreszcie wyprowadzania z najsprzeczniejszych nieraz tematów jednej myśli przewodniej.

Wiele! wody upłynęło od czasu książkowej działalności literackiej Richtera. Przyszędł dziennik; podziały wreszcie wpływy francuskich żurnalistów. Prasa niemiecka zajęła trzecie wszechświatowe miejsce w dziennikarstwie, zaraz po francuskiej i angielskiej, a pod wielu względami prześcignęła je obie. Aczkolwiek inne cechy posiada wszystko wyrosłe na piaskach brandenburskich lub na oldenburskich «polderach», a inne to, co wyrasta nad «pięknym modrym Dunajem», objęło już dziś dziennikarstwo niemieckie wszystkie możliwe formy i rodzaje. Jakżeby feljetonistów, i to w najwyższukanym rozumieniu słowa, mieć nie miało! Powyżej linii Menu — Adolf Glasbrenner, Paweł Lindau, Juliusz Stettenheim na czele berlińczyków podnieśli północno-niemiecki feljeton do znaczenia dzieła sztuki piśmienniczej. Wiedeński feljeton stworzył szkołę, tak zupełnie, jak w malarstwie stworzył szkołę «rodzaj» (*genre*) monachijski, jak na literaturę podziały londyński «romans guwernantek».

Za dalekoby zawiodło rozpatrywanie różnic i podobieństw, zestawianie północno-niemieckich feljetonów z po-

ludniowo-niemieckimi. Nie sposób mi dziś nawet wyczerpać analizy wszystkich właściwości wiedeńskich feljetonistów. Dość zaznaczyć, że dziś Wiedeń pod względem feljetonistycznych pierwszorzędnych talentów ślad w ślad idzie za Paryżem, a nadaje temu odłamowi swego dziennikarstwa jedną, specyficzną cechę, której francuscy feljetonisci nie posiadają, zgoła. Wiedeński feljeton ma ostry sarkazm, gryzącą ironię, w spadku po Heinem wziętą, mającą się tak do dowcipu paryskiego, jak sól przyjemnie zaprawiająca potrawę do kajenny, po której dawce silniejszej odpada ochota do wszelkiego jada.

Feljetonistyczne *pur sang* pióra pracują w Wiedniu na najrozmaitszych niwach. Ludwik Speidel, zawsze wyszukanie grzeczny, mówiący skończone impertynencye pod osłoną wykwintnego komplimentu, lakoniczny, pewny siebie, spokojny, uprawia krytykę teatralną. Schlesiger jest również znakomitym znawcą teatru, a jego styl żywy, ostry w dowcipie, jego temperament dziennikarski, stawia go w rzędzie najlepszych feljetonistów wiedeńskich. Schlögl to świetny kronikarz miasta, zna je doskonale, maluje pysznie, nieraz z humorem prawdziwym, ciemne i jasne Wiednia strony (*«Kleine Kulturbilder aus der Kaiserstadt an der Donau»*); takim był Glessbrenner dla Berlina, Roqueplan dla Paryża, Box dla Londynu. Ferdynand Gross: elegancki, na paryskich wzorach kształcony gawędziarz; pokrewny mu upodobaniami salonowiec Wittmann; Ziegler: zapalony turysta, którego feljetyony, nadsyłane z różnych stron świata do „*Wiener Allg. Zeitung*“, są w tym rodzaju klasycznymi... Pierwsze lepsze wybitniejsze nazwiska zaznaczam z pamięci; całej listy nie wyczerpać.

Z grona tego ubył właśnie Daniel Spitzer, nietylko jeden z najwybitniejszych wiedeńskich feljetonistów, ale i jeden z najświetniejszych przedstawicieli feljetonu w piśmiennictwie europejskiem.

Co pisał Spitzer? Pisał krótkie, treściwe komentarze

do dziejów chwili bieżącej, do wydarzeń i objawów jej najrozmaitszych.

Raz po raz, bez ściśle określonych terminów, pojawiały się one w *Neue Freie Presse* pod jednym zawsze tytułem: *Wiener Spaziergänge*, podznaczone kryptonimem *Sp-r.* Zazwyczaj tych 100—200-tu wierszy druku Spitzera podawała poczytna gazeta w niedzielnym swoim numerze. «Wiedeńczyk — pisze najostrzejszy krytyk Spitzera, Mels („*Wiener Schriftsteller und Journalisten*“, 1874) — któryby do południa w niedzielę nie czytał jeszcze feljetonu Spitzera i nie zachwycił się nim bez miary wszelkiej, nie poważałby się pokazać w szanującym się towarzystwie.»

«Przechadzki wiedeńskie» wychodziły kolejno w książkowej następnie odbitce i zebrało się już :tomów ich kilka („*Wiener Spaziergänge*“ von D. Spitzer, Wien 1873, potem cztery tomy «Wiedeń i Lipsk» u J. Klinghardt'a 1879, 1880, 1881). Przez lat dwadzieścia przeszło werwa Spitzera nie osłabła nigdy, talent jego nie wyczerpał się do chwili ostatniej.

Co to były te «Przechadzki wiedeńskie»? Specjalnością Spitzera był krótki feljeton, w słowa nieobfity, zato w dowcip bogaty; zawierał on silnie zaprawione satyrą lub ironią omówienie wypadku dnia. Spitzer zazwyczaj samego faktu nie dotykał; brał za cel pocisków swoich osobistość, która z wypadkiem tym w najściślejszym znalazła się związku i dopiero na niej ostrzył niemiłosierny swój dowcip. «Osobista satyra» — jak wyraża się Lindau — była najulubieńszym Spitzera polem do popisu.

O Wolfie wyraził się kiedyś Villemessant: „*Ce petit allemand fait rire les hommes et pleurer les femmes*“. Spitzera feljetony wywierały wręcz przeciwny skutek: płakali od nich mężczyźni a śmiały się kobiety. Przeciwnik wagneryanizmu, obrał sobie za kozła ofiarnego Wagnera. Co z nim dokazywał! Przeciwnik jakiejś uchwały parlamentu, gnębił tę uchwałę w osobie jej rzeczownika w izbie.

Innym razem rozstrząsał przed czytelnikiem, w subiektywnem czysto oświeceniu, jaką sprawę na dobie: np. obowiązującą wszystkich służbę wojskową i doprowadzał ją *ad absurdum*: «Służba obowiązkowa — pisał — to piękny bardzo pomysł; za podatki, które każdy płaci, powinien odtąd każdy i krew własną przelać; każdy austriak zaprawiany będzie odtąd na placu musztrowym do umierania za ojczyznę». Idzie na scenę «Tristan i Izolda» Wagnera. Spitzer opowiada tylko przebieg opery, ale opowiada w ten sposób, że utwór Wagnera wyrasta do rozmiarów jakiejś bestyi apokaliptycznej, pożerającej widzów i słuchaczy niebywałą w dziejach świata — nudą. W podróży spotyka młode małżeństwo; poświęca natychmiast feljeton cały... szczęściu małżeńskiemu, ale «persyflując» je tak, że ochota odpada spróbować tych rozkoszy — samemu.

Dowcip Spitzera tryska głównie w *pointe*'ach. Z najzwyklejszych przesłanek wyciągnąć potrafi wnioski najbardziej niespodziewane, niemożliwie komiczne. *Pointe*'ami przeładowane jego feljetony. Rozcieńczony wodą stylową feljeton jego każdy, jeszczeby mógł dowcipnych artykułów szereg cały stanowić. Opowiadają o nim, że przez tydzień cały notował sobie skrupulatnie i pilnie wszelki pomysł do *pointe*'y lub dowcipnego zwrotu i spożytkowywał je następnie w niedzielnym swoim feljetonie, naciągając temat, sprawę poruszoną i treść do tych gotowych dowcipów.

Znać to istotnie w miejscu niejednym jego pism. Czasem feljeton wygląda jak mozaika z samych zwrotów niespodziewanych i komicznych; czasem znowuż, jak np. w opisie wycieczki do Zagrzebia, znać, że Spitzer wydrwiwając niemilosiernie Chorwatów, poświęca prawdę i przekonanie dla konceptu.

Nie dotknął bo też Spitzer żadnego tematu, żadnej osobistości inaczej, niż drwiąco. A, że nieustannie sprawy «krajowe» poruszał, urosła przeto opinia o jego braku

wszelkiego patryotyzmu. Prawda, drwił Spitzer, smagał sarkazmem, ironią, satyrą, persyflażem, wszystko i wszystkich; z dochodzącą do granic ostatnich śmiałością ciał w szerz i wzdłuż po najrozmaitszych stronach życia społecznego, rządowego i ekonomicznego — Austrii. Austrii tej swojej rodzonej nie oszczędzał nigdy. Gdy w 1866-tym roku wraca do Wiednia z długiej wycieczki: «Doprawdy — woła — omal żem nie poznał swojej ojczyzny pod tym nowym pseudonimem, pod którym na widownię publiczną dziś występuje. Opuściłem ją jako «Austryę», odnajduję jako «Austro-Węgierską monarchię»!

W tem i rzecz właśnie. Gadać tam o jakimś austriackim patryotyzmie, kiedy ta ojczyzna nawet nazwę zmienia co czas pewien! Szerokie zaprawdę serce miećby musiał, ktoby zamknąć w niem potrafił od końca do końca całą Austro-węgiersko-czesko-galicyjsko-chorwacko-bukowińsko-słowacko-bośniacko-hercegowińską monarchię!

Spitzer był dobrym — Niemcem. Uwolśmy go od obowiązującego wiedeńskich radzców przydwornych austriackiego patryotyzmu. Jakże można wymagać od myślącego i czującego człowieka, aby kładł głowę za coś, co — sensu absolutnie nie ma? Austriacki patryotyzm ma jeden tylko na świecie bożym odpowiednik — język szwajcarski. Gdy mi kto językiem szwajcarskim przemówi, wtedy uwierzę, że i austriacki patryotyzm jest możliwym, nie to, do praktykowania, ale do serdecznego przejęcia się nim bez blagi żadnej.

O przekonania zresztą Spitzera nie chodzi w tej chwili. O feljetoniście mowa, nie o rzeczniku i apostołe tych lub owych przekonań lub idei. Zbyt łatwo zresztą z pism jego wyprowadzićby się dało, niestety, słuszny wniosek, że był to *ein Talent aber kein Charakter*. Alfred Meissner nazwał gdzieś kiedyś Spitzera «nowoczesnym Hein'em.» Pochwała dla talentu wiedeńskiego feljetonisty stanowczo przesadzona; jeżeli jednak o analogię cha-

rakterów obojga chodziło, spierać się z Meissnerem nie będziemy.

Braknie nam szczegółów biograficznych; a nazwisko Spitzera nic nam nie mówi. Jest jednak faktem charakterystycznym, że kropla krwi semickiej, w żyłach piszącego płynącej, zaprawia kroplę atramentu na piórze jego *son generis* sarkazmem, auto-ironią, dowcipem ostrym, ciętym, a nieubłaganym. Mają tę wspólną cechę Heine, Nordau, Docsy, że innych nazwisk nie wymienię... Gdy się czyta feljeton Spitzera, ma się najzupelniejsze złudzenie, że to «gra echo» pism Heinego, że się z Nordauem, lub z Doc-sym rozmawia.

Siła też niepoślednia komizmu Spitzera polega na zestawianiu najpospolitszych przymiotników, najpospolitszych określeń z najpodnioslejszemi rzeczownikami, wyobrażeniami. W tych zwrotach i zestawieniach jest Spitzer wirtuozem. Jego sposób traktowania najpoważniejszych ludzi i rzeczy bez najmniejszej łęny, z rozkosznem *sans façons* przypomina Prusa.

Umiera jedyny zwycięzki marynarz austriacki Tegethoff. «Teraz już — pisze Spitzer — kiedy Tegethoff umarł, nie nie staje nam na przeszkodzie dostawać porządne lanie i na pełnem morzu.»

Na innem miejscu, o którymś z teatrów. «Patrząc na tę małą salkę niktby nie mógł przypuścić, jak kolosalnie pustą czasem być może.»

Drażni go nieustanne trzymanie na repertuarze wiedeńskiego «Burgu» zabijająco mdłych i nudnych sztuk Mosenthala i Weilena. «Dwaj ci autorowie — pisze — parują dziś nad repertuarem Burgu i zawdzięczamy im tyle wieczorów, spędzonych poza teatrem. Są to dwaj autorowie, których się nigdy nie czyta, a których się wciąż — słyszy.»

Spitzer kreśli feljeton z podróży. «W Meranie — powiada — kogut domowy przerwał mi nawet moją drzemkę poobiedną. Nie zapiał, broń Boże, tylko, że mi



śpiewaczego starca podano na obiad jako kurczę tego-  
roczne.»

Pewnego razu zagalopował się hrabia Taaffe w par-  
lamencie aż do twierdzenia, że ideałem jest wszystko to,  
czego doścignąć nie możemy. Spitzer natychmiast wy-  
ciąga stąd wnioszek, że w takim razie: «bezwonne oczysz-  
czenie rękawiczek, oraz wywabienie plamy tłustej z ja-  
snych spodni należy też do ideałów ludzkości.»

Innym razem *à propos* zeszłego ze świata jakiegoś  
tytułarnego dostojnika, czy jakiejś lokalnej znakomitości:  
«Są znakomitości — pisze feljetonista — o których mówi  
się nieustannie, o których pisze się zawsze, które jednak nie  
doczekały nigdy obszerniejszej wzmianki w gazecie nad  
trzywierszową notatkę. Są osobistości, o których wciąż  
i wciąż, raz po raz, ale i tylko to jedynie się czyta, że  
z Linzu przyjechały, albo udały się do Preszburga. Nic  
o nich zgoła nie wiadomo, przybywają one atoli najregu-  
larniej co tydzień z Pragi i odjeżdżają równie systematy-  
cznie rannym sznelcugiem do Salzburga. Nieustanne wy-  
jazdy i przyjazdy; ostatecznie człek się tak do tych wy-  
jazdów i przyjazdów przyzwyczai, że aż niepokój jakiś  
ogarnia, gdy pan, którego się nie zna bliżej, nie przybył  
wyjątkowo wieczornym wczorajszym pociągiem z Teme-  
szwaru. Dopiero, gdy która z osobistości takich zejdzie ze  
świata, dowiadujemy się, że ów pan, co nieustannie wyjeź-  
dzał i przybywał, posiadał wysoki order neapolitański  
i dlatego dzienniki tak skrupulatny prowadziły dziennik  
jego podróży.»

W feljetonach Spitzera roi się od nazwisk. Po latach  
już nie wiemy, co zaszli ci ludzie. Roi się w tych fe-  
ljetonach od wypadków, dziś drobnych napozór, które je-  
dnak grały zapewne rolę pewną w życiu Wiednia. Po la-  
tach nie sposób już dokładnie zdać sobie sprawy: słusznie  
czy niesłusznie dopiekał Spitzer tej lub owej osobistości,  
słusznie czy niesłusznie na fakt dany zapatrywał się na  
swój sposób? Pomimo to jednak feljetony Spitzera nie

zblakły wcale, nie straciły wcale zajęcia, nie straciły wartości.

Ostatnią cytate wyjąłem z tomu feljetonów za rok 1879-ty. Nie stracił ten ustęp nic z subtelnej spostrzegawczości, na gruncie której powstał. Co nas obchodzą ludzie i wypadki! Spitzera forma pisarska, sposób prowadzenia i przedstawienia rzeczy, niewyczerpany źródło humoru taką dziś jeszcze sprawiają nam uciechę, jaką sprawiały swojego czasu czytelnikom co tylko puszczonego z pod prasy numeru wiedeńskiej gazety.

Spitzer ranił piórem jak niemożna lepiej. Pod tym względem nie jest on odosobnionym zjawiskiem na dziennikarskiej niwie, należy jednak do specjalnej grupy feljetonistów i stoi bodaj na jej czele. Podobnie jak Bérgerat jest mistrzem parodii i persyflażu, jak Gross celuje w pogawędce eleganckiej, salonowej, przeplecionej pół słówkami i flirtem, podobnie jak Świętochowski najznakomitszym jest w polemice, a Scholl w *bon mots*'ach, trącających paryską gamineryą, tak Spitzer niedościgniony pozostał w zwrotach, zbijających z tropu, w sarkazmie i ironii.

«Wobec gracyi oprawcy — powiada Lindau — zapomina się o męczarniach ofiary». Zapomnijmy na chwilę o ranach, które pióro Spitzera zadało. Posługiwał się piórem swoim, jak szpadą; czy nie zdarzyło mu się dobyć tej szpady w obronie sprawy, niekoniecznie wartej obrony? — rozstrzygną bardziej spraw miejscowych świadomi.

Chodziło tu o danie w najkrótszych słowach przybliżonego wyobrażenia, jak feljetonista wiedeński władał piórem, jakimi fechtmistrzowskimi posługiwał się sposobami.

Gdyby był pisał powieści, dałoby się może odgrzebać w dodatkach do tygodników naszych przekładów kilka, i z niedawno zmarłym Delpitem dzieliłby zaszczyt «portretu» w dbałych o «chwilę bieżącą» czasopismach naszych ilustrowanych. Gdyby był pisał utwory sceniczne, nieomieszkanoby zapewne przytoczyć, z encyklopedii wzięte, tytuły

sztuk, które mało kto na scenie oglądał, a których nikt już dziś nie pamięta.

Ale Spitzer pisał tylko — feljetyony. Feljeton, choćby napisany tak, jak nie pisze powieści swoich niejedyn autor, europejskiego zażywający rozgłosu, napisany z werwą, stylem, humorem, jasnością, bogactwem trafnych spostrzeżeń, o których nawet... Ohnetowi się nie śniło, feljeton taki nie należy przecie do literatury! Należy do olbrzymiej piramidy bibuły dziennikarskiej i z nią razem w proch się bez śladu rozsypuje.

I przeto na tej oto dziennikarskiej bibule, co kolebką była i cmentarzem tylu talentów, że nimi wypełnićby najszacowniejsze biblioteki całe, kładę te oto wspomnienie o pisarzu, o którym dość zaiste, gdy się powie, że pisać umiał tak, jak mało kto potrafi.

Dla tych, co ocenić i uczcić zdolni niepospolity, wyższy nad zwykłą miarę talent pisarski, bez względu na to, jakiemu rodzajowi w piśmiennictwie służy — skromny na pozór, ale jakże trudny do zasłużonego zdobycia tytuł «feljetonisty» nie wyda się może — nie-literackim tytułem...

Zaliż tylko książka w półskórek oprawna, gdyby билет jaki wejścia, do literatury dziejów wstęp daje?...

Styczeń, 1893.

## DON KISZOT.

---

»O odwadze wielmożnego pana, o czynach, uprzejmości i zamysłach, jego, to ludzie różnie gadają, jak którzy... — mówił Sanszo. — Jedni powiadają, a! to głupiec, ale zabawny! — drudzy: mężne ma serce, ale nie ma szczęścia; inni znów: grzeczny jest i uprzejmy, ale waryat; inni znów... ale kto by ich tam spamiętał, na wołowej skórze tego nie spisać!«

„Don Kiszot“, Cz. II, rozdz. 2,  
Przekł. W. Zakrzewskiego.

Ma rację Sanszo Pansa: na wołowej skórze nie spisać komentarzów piśmiennych i ustnych do arcydzieła Cervantes'a, zwłaszcza do czynów i ducha nieśmiertelnego rycerza z Manszy<sup>1)</sup>.

Oto trzysta już równo lat piszą o nim ludzie i mówią i piszą arcygłęboko i szeroko w studyach i rozprawach, poświęconych jednemu z najświetniejszych typów wszechświatowej literatury; posługują się nim w potocz-

---

<sup>1)</sup> Należy, wiemy, czytać, a zatem pisać: Don Kiszot z Manczy, ale donkiszotyzmem byłoby przełamywać utarty od niepamiętnych czasów sposób wymawiania i pisania tych dwóch wyrazów.

nej mowie wszystkich cywilizowanych narodów, jak dobitnem określeniem, podarowanem światu przez genialnego hiszpana, zmarłego w nędzy i zapomnieniu, kiedyś tam na początku XVII wieku... I — do ostatniego szczegółu nie porozumiano się jeszcze: co stanowi istotę «donkiszotyizmu»? Śmieszność to, czy też szczytność? Aberacja umysłowa, czy też wysokiej próby szlachetność?

A kim jest druga postać nieśmiertelnej pary: Sanszo Pansa? Wyobraziciel zdrowego rozsądku, t. zw. «chłopskiego» rozumu, ograniczonego, ale instynktywnie trafnego; wyobrażenie w równej mierze utylitaryzmu i oportunisty, jak — szerokiego, szarego ogółu zjadaczy chleba, snobów, filistrów, oraz wszelkich innych porządných, rozsądnych, wytrawnych, zapobiegliwych i rozważnych ludzi.

Poezya i proza? Być może.

Gdy trzysta lat temu, w powódź «romansów rycerskich», przebajecznych i przeawanturnicznych, cisnął Cervantes powieść swoją — pokładano się od śmiechu. W świetle przepysznej satyry, zbledli najautentyczniejsi poprzednicy rycerza Pospęnego Oblicza, sławetny ekstrawagant Don Suero de Quinanes i Don Gonzalo de Guzman, i Don Pero Vasquez de Sayavedra i jak tam zwać innych kronikarzy i piosenkarzy średniowieczni. Śmieszność zabija: nawet książki.

I śmiano się do rozpuku nad «Don Kiszotem» aż do chwili całkowitego wywietrzenia z pamięci ludzkiej ośmieszonych z kretesem «ksiąg rycerskich». Wówczas, nie przestając odczuwać wysokiego komizmu donkiszotowych przygód, poczęto odnajdywać w dziwnie niestarzejącej się opowieści całe skarby... może dokumentów obyczajowych? może zalet stylowych? może piękności językowych? Znalezione i to — a i wiele innych rzeczy jeszcze.

Aż wreszcie któryś z pisarzy-krytyków francuskich ośmnastego wieku zawołał, sam zdumiony odkryciem: «Ależ ów pogromca wiatraków i baranów, *c'est un homme de bien que revolte l'injustice et qu'exalte la vertu!* Instynkto-

wnie trafił na subtelne określenie: *un homme de bien* (człowiek, któremu leży na sercu czynić dobro, człowiek nie tylko do gruntu dobry, ale i dobro miłujący). O wielu ludziach da się to z czystym sumieniem powiedzieć?

Najnowsza krytyka niemiecka upatruje w Cervantesie autora, co «płaszac upiory średniowieczne i przeciwstawiając fikcję rzeczywistości, przygotował znakomicie grunt dla idei i ideałów nowoczesnych».

Część pierwsza dzieła Cervantesa ukazała się w druku w mieście Valladolid, którego sama nazwa brzmi jak wiersz piosenki, rozlegający się echemi po kastylskich górach; w roku 1605, we dwa lata po ukazaniu się na świat w książkowym pierwszym wydaniu «Hamleta», w lat dwadzieścia po ogłoszeniu drukiem całkowitego zbioru pism Jana Kochanowskiego. Tytuł brzmiał: „*El ingenioso hidalgo Don Quixote de la Mancha*“.

Przed wyobraźnią ilu pokoleń, ilu setek tysięcy ludzi powstawał od tego czasu obraz owego hidalga, wysokiego wzrostu, kościstej budowy, bladej twarzy, nastroszonej czarnym zarostem, rozżarzonej głęboko osadzonemi oczami, wspiętego na grzbiet Rosynanta, chrześzczącego okrutnie zbroją, chwiejącego kopią potężną, a przemawiającego uroczystym, nieco archaicznym językiem palladynów! Któż go z nas nie widział «jak żywego» przed sobą? Któż z nas, dzieckiem, nie śmiał się z niego, a w późniejszym wieku nie zadumał się kiedy nad nim?

Komu zaś przyszło na myśl, że ów rycerz hiszpański jest rówieśnikiem królewicza duńskiego... że te dwa typy krańcowe powstały współcześnie: jeden na wyspie północnej, mglistej, przepajającej duszę, skłonną do dumań i analiz, ciężką, głęboką, beznadziejną a gorzką melancholią; że drugi zrodził się w duszy południowca, otwartej na blaski, jasność, pogodę, wrażliwej do naiwności, wciąż z głębin śmigającej ku powierzchni życia?...

Ha! Zdaje mi się, że ów ktoś nicby nie ujął i nic nie dodał jednej z najpiękniejszych paraleli Don Kiszota,

i Hamleta, jaką literatura posiada, skreślonej przed laty w formie odczytu przez Turgenjewa. Przybyło światu od tej daty lat bez mała pięćdziesiąt, a zarówno rycerz, zwany na niewaryackim punkcie, jak królewicz obowiązany do spełnienia czynu, do którego nie jest zdolny — pozostali niedoścignionymi typami, krańcowymi wyobrazicielami dwóch różnych całkiem kierunków, do dziś dnia mających szerokie obywatelstwo wśród postarzałego o pół wieku, świata.

Nie zapominajmy tylko, że *pur sang* Don Kiszotów i akurat takich ludzi, jak Hamlet — niema. To tylko — jak wyraża się Turgenjew — dwa przeciwległe bieguny, dwa krańcowe słupy, wbite przez obu poetów na rozbiegających się drogach, dwie mety, ku którym życie nas unosi, a do których nigdy nie dosięga. Nie lubi Turgenjew Hamleta. Powiada mu mnóstwo przykrych rzeczy. Powiada mu: nie, ty nie będziesz walczył z wiatrakami, bo nie wierzysz w olbrzymów, ale gdyby olbrzymi istotni zabiegli ci drogę, nie stanąłbyś też do walki. Analiza i sceptycyzm Hamleta wydają owoce, piękne a pożyteczne owoce dopiero przeszczepione na grunt takiej natury, jak np. Horacio. Podobnie rzecz się ma z entuzjazmem, i wiarą głęboką, niezachwianą, i odwagą ślepą Don Kiszota. Dopiero, jako rozczyn, jako zaprawa — zdolne są wyjść na pożytek człowiekowi i bliźnim jego. Tego wszelako Turgenjew już nie mówi. Czy mam zacytować jego słowa? Wiem, że *cum grano salis* brać je trzeba, a szczyptą tej przysłowionej soli jest wzgląd na wielką sympatyę Turgenjewa dla rycerza-hidalga:

«Sami, własnymi oczami — powiada — widzieliśmy ludzi, kładących życie za nieistniejącą zgoła Dulcyneję lub za coś nieopisanie marnego, często plugawego, co zdawało się im, że jest urzeczywistnieniem ideału, a zostało przeobrażone przez jakieś złe moce, dzięki nieprzyjaznym okolicznościom, ludziom wrogim. Wiedzieliśmy takich —

a gdy ludzie tacy istnieć przestaną, niech zamknie się na zawsze księga dziejów; nie będzie w niej co czytać!»

Goethe widział w Hamlecie głównie — reformatora, chybionego reformatora, świadomego, że nie podola zadaniu. Sam przecie Hamlet mówi z gorzką ironią:

Czas wyszedł z stawów; losów kłątwa zdarza,  
Że się zrodziłem na jego lekarza!

Reformować świat i czas zrywa się Don Kiszot. Ferwor bezkrytyczny, a w omamieniach cały Don-Kiszota przyprawia jego samego (a i wiernego giermka!) jedynie o srogie portubowania i zawody; Hamleta bezczynność, sceptycyzmem nurtowana, zamierzonego dzieła nie posuwa o krok naprzód. Świat idzie dalej swoim torem, a tacy, jak rycerz z Manszy i królewicz duński, rozbici w starciu z rzeczywistością — giną.

Spasowicz poczytuje za wielką zasługę Szekspirowi, że skończony typ m a r z y c i e l a, jakim jest Hamlet, nie podał jednostronnie, bądź apoteozując «nieszczęśliwą eteryczną poezję, zduszoną w żelaznych objęciach rzeczywistości», bądź w «karykaturze, jako temat, pełen wysokiego komizmu, który się zawsze wywiązywać musi, gdzie z nierozsądnych zamiarów poetycznych wynikają nedorzeczne skutki».

Nie będzie może zbyt śmiałością przypuścić, że pisząc te słowa, miał Spasowicz na myśli Don Kiszota. Wysoki komizm — oto co przedewszystkiem ujrzał w hiszpańskim rycerzu znakomity komentator «Hamleta». Jak innemi oczami patrzyłby wogóle na «Don Kiszota» — niż Turgenjew, rzecz zbyteczna podkreślać. Przewidział te kontrasty sam Cervantes, kładąc w usta rycerzowego giermka słowa przytoczone na wstępie niniejszego szkicu.

Natomiast być chyba nie może dwóch zdań, że twierdzenie Fortynbrasa o Hamlecie: «Byłby się wzorem królów okazał, dożywszy berła» — jest jaknajbardziej hazardownem. «Hamlet — powiada Spasowicz — nie sprostałby żadnemu większemu zadaniu praktycznemu». Cóż dopiero



mówić o Don Kiszocie, nie to już z berłem w dłoni, ale chociażby tylko na stanowisku gubernatora owej wyspy przyobiecanej Sanszo Pansiel Lunatykom-marzycielom nie powierza się steru nawet ich własnych spraw. Najszlachetniejsze ich porywy mogą nazbyt łatwo stać się cięciem szpadą... w firankę, lub gruchnięciem kopią w skrzydło... wiatraka.

Za schodzącymi jednak z widowni tragicznych żywotów swoich typami tymi, nie przystoi rzucać identycznych pożegnań. Słowa, które wymawia Horacio nad umarłym Hamletem, kto wie, czy nie należałoby przenieść na ostatnią stronicę opowieści Cervantesa, a na płycie mogilnej zacnego szaleńca z Manszy, kto wie, czy nie wystarczałoby wyryć epitetu Parsifala: *der reine Thor*.

1904.



## TAK ZWANY STYL POLSKI.



«W Niemczech — pisał Witkiewicz w r. 1891 — pod naciskiem silnego rozbudzenia w ostatnim dwudziestoleciu poczucia narodowej odrębności, rozwinęła się gwałtowna dążność do nadania wszystkim formom życia cech szczególnych, niemieckich. Za punkt wyjścia w sztuce stosowanej wzięto styl, zwany staroniemieckim, i z wielką energią wprowadzono go w życie. Miasta zaroily się domami w tym stylu, wnętrza mieszkań ozdabiają się sprzętami i tkaninami tego samego charakteru. Potworzyło się mnóstwo przemysłowo-artystycznych stowarzyszeń, które nieustannie pracują nad nadaniem staroniemieckiego stylu każdej rzeczy zbytkowej lub przedmiotom codziennego użytku».

I o parę wierszy dalej: «Równie silnie i stale, jak dążność do wyodrębnienia się jednostek narodowych, działa inna zasada, mianowicie: dążność do udzielania innym swoich cech...»

Czyli, innemi słowy: energiczne wprowadzenie w życie stylu t. zw. «staroniemieckiego» stoi w ścisłym związku z rozbudzoną po roku 1871 pychą, dumą i butą zjednoczonego pod jednym berłem narodu niemieckiego; jest tak akurat dobrym objawem szowinizmu, jak *menu* cesar-

skiego stołu, z winietą obowiązkowo w staroniemieckim stylu oraz również dziś obowiązkowymi niemieckimi nazwami dla potraw kuchni jaknajszczerzej francuskiej.

«Francuzi — pisze Witkiewicz — w ciągu jakichś pięciu lat roznieśli na ostrzu bagnatów styl cesarstwa po całej Europie». Niemcy, dziś bismarkowskie, na fluktach swej materyjalnej potęgi wynoszą swój styl staroniemiecki, werniksując nim nietylko «wszystkie formy własnego życia», ale rozlewając go też szeroko po za własne etnograficzne granice. Nie ulega bowiem wątpliwości, że ideałem przykładowego narodowca niemieckiego jest zarojenie się domami staroniemieckimi i sprzętami nietylko HanoWERU i Insbrucku, ale i Pragi i Poznania...

*Fas est et ab hoste doceri* — twierdził już przed laty Owidiusz: słuszną jest rzeczą nawet od wroga czegoś się nauczyć. Sięgnęli Niemcy po stylowość niemiecką; żał się nam zrobiło, że nie mamy własnej stylowości, po którą byśmy sięgnąć mogli. Jakto! Niemcy mają własny narodowy styl, a mybyśmy go mieć nie mogli? Szukali i znaleźli styl staroniemiecki w swojej Norymberdze, ogłosili go za «wszechniemiecki», no, i — mają własny styl, no, i nad Bałtykiem czy nad Dunajem w swoich „*alt-deutsche Stabchen*“ «przesiadują parę godzin dziennie w mrocznym oświetleniu okrągłych, oprawnych w olów szybek». Stołki niewygodne, roztruhany niepraktyczne, ciemno, choć oko wykol, pułap tuż nad głową — ale któżby tam na takie zważał drobiazgi! — skoro owa staroniemiecka stylowość wysokiego dodaje splendoru narodowi niemieckiemu, skoro każdy styl narodowy «odpowiada — jak zapewnia p. Ant. Jabłoński — potrzebie po swojemu pojmowanego życia danego społeczeństwa, kaprysom narodowego temperamentu, względem obyczajowości, komfortu i upodobań swojskich».

Znaleźli Niemcy norymberszczyznę; znaleźliśmy, po mozołnych szukaniach — zakopiańszczyznę. To, ogłosiliśmy *urbi et orbi*, będzie nasz styl! Na podstawie ornamentacyjnych pomysłów górali zakopiańskich, na podstawie

skrzętnie pokopiwanych ich gadzików, dachów łamanych, parzenic, pazdurów, zdobnych czerpaków, sosrębów, recic, ząbców, pilek, karbowañ, oblęków, kuszyków, warkoczyków, dołków, oczek etc. etc., stworzymy naszą zdobniczość artystyczną, «która odpowiadać będzie potrzebie po swemu pojmowanemu życia danego społeczeństwa, kaprysom narodowego temperamentu, względem obyczajowości, komfortu i upodobań swojskich».

*Habemus papam!* Mamy nareszcie chwalić Boga, n a s z własny styl! Podobnie jak wielcy romantycy nasi zwrócili się po motywy dla pieśni swojej do skarbnicy ludu, do «arki przymierza» pieśni gminnej, podobnie jak wielki Chopin sięgnął po proste melodie pieśni ludowej, tak też oto zdobniczy artyzm nasz odrodzi się, mało powiedzieć: odrodzi się — urodzi się w tej kąpieli prostych motywów ornamentacyjnych zapoznanych górali podtatrzańskich. Zakopiańskie niepokaźne pazdury, ząbce i recice, na które nikt spojrzeć nie raczył, praszczurami staną się przyszłych czysto-polskich, a podziw budzących świata, wieżyc, portyków, kandelabrow, szaf i komód! Czołem przed prymitywną, motywy flory lokalnej obrabiającą (napozór nieudolnie) zakopiańszczyzną! Liść podtatrzańskiej paproci, tatrzański dziewięciornik, złotogłów, jaskier, gałązka tatrzańskiej limby staną się tem, czem lotos był dla budowniczych indyjskich, czem ostrokrzew (*akantus*) dla kolumny korynckiej, czem muszla dla stylu *roccoco!* «Dziś — wołał przed dziesięciu laty Witkiewicz — nie mamy nic takiego, coby, nosząc cechę arcyzmu, wyrażało zarazem nasze plemienne upodobania i coby jednocześnie mogło być z bogaceniem ogólnego dobra ludzkości; nic, ani łyżki, ani miski!» I oto jesteśmy na dobrej drodze do z bogacenia ogólnego dobra ludzkości. Świat, przesycony renesansami, gotykami, barokami, empire'ami, otrzyma z rąk naszych nowy, świetny styl, styl zakopiański *vel* polski. Nowy jaki Ludwik Bawarski będzie gdzieś nad podalpejskimi jeziorami wznosił pałace w stylu zakopiańskim; gmachy i cha-

lupy, hen, po tamtej stronie oceanu zaroją się sprzętami «w polskim stylu». Ludzkość, znająca dotychczas jedynie rytm muzyczny polski, *alla polacca*, tańczyć będzie poloneza pod pułapami w polskim stylu, na parkietach, mozaikowanych misternie w zakopiańskie limby i paprocie...

\* \* \*

Wszystko, co tatrzańskie, co zakopiańskie, w modzie jest dziś u nas. Dlaczego w modzie jest? Eug. Veron w «Estetyce» swojej poświęca cały rozdział smakowi oraz modzie i konstatuje tylko fakt «rozmaitości i zmienności gustu». Każda z przemian mody — powiada — początkowo wydaje się dziwną, a gdyśmy się już do pewnej formy przyzwyczaili, wówczas śmiesznym wydaje się nam kostium przeszłoroczny, aż do chwili, gdy przez rodzaj ewolucyi, prawie peryodycznej, powtórnie staje się modnym. «Kobiety — pisze dalej — w większości wypadków zmieniają mody nie dlatego, by zmienić na lepsze, piękniejsze, lecz poprostu: by zmienić...» Oto szarotka, wdzięczny kwiat alpejski, wydaje się nam dziś na broszkach, przyciskach, nożykach drewnianych, szkatułkach, niemilosiernie obmierzłą i nudną; natomiast paproć zakopiańska, użyta do ornamentacyi tychże przedmiotów, niezmiernie nam się podoba. Szarotka jest niemodną, a paproć modną.

Zakopiańszczyznę od lat dobrych dwudziestu «wprowadzają u nas w modę» jaknajusilniej nietylko ludzie tak wpływowi umysłem, wykształceniem, rozgłosem i talentem, jak np. Chałubiński, Matlakowski <sup>1)</sup>, Witkiewicz, ale co ważniejsze — tłumy jeszcze wpływowszych zelatorów i zelatorek. Zakopane stało się modnym miejscem letnich

---

<sup>1)</sup> Uwadze czytelnika, pragnącego zapoznać się ze stylowością góralską, polecamy przedewszystkim bogate i gruntowne dzieło ś. p. Wł. Matlakowskiego: »Zdobienie i sprzęt ludu polskiego na Podhalu« (Warszawa, 1901).

wypoczynków, leczeń się lub zabaw; przepływające rokrocznie tłumy u stóp Gubałówki i Giewontu, zachwycone bądź pięknosciami przyrody zakopiańskiej, bądź towarzyskimi powabami przyjemnej wilegiatury, roznoszą po kraju całym entuzjazm dla wszystkiego, z czem zżywa się w Zakopanem przybysz, rozkoszujący się wypoczynkiem, klimatem, naturą lub towarzystwem. Podniecając siebie wzajemnie, pod wpływem przeważnie zbiorowej sugestyi, rozkochano się nietylko w góralach, ich gwarze, ich dykteryjkach, ale nawet w ich ciupagach i serdaczkach. Jedna panna, gorliwa «taterniczka», włożyła na siebie serdaczek — natychmiast w serdaczkach pojawia się sto innych panien, a dwie setki panien rozwożą z Zakopanego niepraktyczne, ale «modne» serdaczki; pojawił się jeden z «siekierką zakopiańską» w ręku — tegoż sezonu nie było modniejszej laski, a dziś już każdy z panów wywozi sobie z Zakopanego pamiątkową i modną «siekierkę».

Na grunt tak pięknie przygotowany jeły spływać, systematycznie a wytrwale, najpierw przeróżne artykuły i monografie czasopism, «popierających» (słusznie bardzo!) miejscowość kuracyjno-wypoczynkową swojską. Poczytywano za *crimen laesae patriae* najdelikatniejszą wzmiankę o najniewinniejszych mankamentach Zakopanego, a o Tatrach nie wolno do dziś dnia wyrażać się inaczej, jak stylem Tetmajera. Potem Stanisław Witkiewicz napisał rzecz bardzo piękną, porywającą, bardzo czytaną: «Na przełęczy»; potem rozpoczął głośną polemikę o «styl zakopiański»; potem Sienkiewicz rzucił między nas swoją «Sabałową bajkę». Potem Walery Eliaz rozpoczął piórem i ołówkiem propagandę zakopiańszczyzny; potem Gerson wymalował i wystawił panoramę Tatr; potem poeci, i najlepsi poeci nasi współcześni, z pod Tatr rodem lub niedaleko Tatr zamieszkali, poczęli jaknajpiękniej Tatry, góralów, wszelką tatrzańszczyznę opiewać w gorliwie czytanych sonetach, «wrażeniach z Tatr», «odgłosach z gór»

i t. p.; potem jał pasyonować publiczność naszą polsko-węgierski «Spór o Morskie Oko»; potem...

Dość — że użyjemy raz jeszcze słów Witkiewicza — «myśl stworzenia góralskiego budownictwa i ornamentyki, naszego oryginalnego stylu ozdobnego nie zmarniała i nie zginęła».

Pierwszem wprowadzeniem jej w życie były dywany, wyszyte mniej więcej około 1885 r. według wzorów góralskich, dostarczonych przez panią Maryę Dembowską, a ostatnim co do daty objawem propagandy «zakopiańskiego stylu» była urządzona w lipcu r. b. w Warszawie wystawa prac konkursowych z zakresu architektury i sztuki stosowanej, prac obowiązkowo trzymanyh w stylu swojskim, czytaj: zakopiańskim — ile że kompilacye architektoniczne rozpowszechnionego u nas renesansu lub baroka do tytułu swojskiego stylu praw nie mają.

Jesteśmy przeto świadkami stwarzania na podstawie góralskiej podtatrzańskiej ornamentyki specyjalnego stylu, przeznaczonego do noszenia popularnej nazwy: stylu polskiego, oraz usilnego narzucania nam tegoż stylu drogą zachwalań, reklam, nieustannych okazywań. Jesteśmy świadkami wytrwałego wszczepiania w nas upodobania do zakopiańszczyzny, oraz powolnego przyjmowania się tego gustu i mody drogą wypróbowanej, nie w tym jednym wypadku, suggestyi.

Prowadzą tę kampanię ludzie najlepszej woli i najszlachetniejszych dążeń, utalentowani zarówno, jak wytrwali, w równej mierze entuzjaści, jak doktrynerzy. Zachwycają się jaknajszczerzej owym stylem zakopiańsko-góralsko-swojsko-polskim, wierzą w jego tryumf, mają złudzenie rzeczywiste, że już, już styl ów staje się «potrzebą społeczeństwa».

Sprawozdanie swoje ze wspomnianej wystawy konkursowej warszawskiej rozpoczyna p. Ant. Jabłoński («Kur. Warszawski») od słów: «Potrzeba sztuki swojskiej coraz wyraźniej zaznacza się w społeczeństwie naszym».

P. Feliks Jasieński dał na początku r. b. w «Ilustracji Polskiej» wzory sukni polskiej (rozumie się ułożonej z materyałów i motywów góralskich), wzywając panie nasze do wypracowania szczegółowego i ostatecznego typu sukni polskiej i apostrofując panie nasze w ten sens: «Moje panie! Jestem przekonany, że wy z kołtuństwem <sup>1)</sup> nie macie nic wspólnego. Idźcie po rozum do główek, popracujcie własnymi paluszkami, ruszajcie się, żyjcie, chciejcie, a — jak Bóg w niebie! — suknia polska będzie».

Wiara przenosi góry — mówi Pismo Święte. Czy zdoła jednak stworzyć styl nowy, a styl ów narzucić światu, uczynić go wziętym i umiłowanym — na to nigdzie odpowiedzi nie znajdziemy. Wolno nam przeto wątpić zarówno we wszechpolski, jak we wszechświatowy sukces zakopiańskiego stylu.

Żadnego stylu nie narzucono światu. Początek stylów, dziś po Bożym świecie rozpowszechnionych, nie da się zaczepić o żadną jednostkę bodaj najgenialniejszą, ani też o zbiorową jaką propagandę.

«Kaźda forma jest wynikiem przeznaczenia przedmiotu» — powiada Viollet-le-Duc. To też gdy nastąpiła potrzeba rozszerzenia świątyń Pańskich i uczynienia ich naw świetlejszemi, poczęto, zamiast romańskich, budować kościoły w stylu gotyckim, o wysokich, szerokich oknach, z bocznemi nawami. Była to jedna z przyczyn, dla których gotyk jał panować wszechwładnie w Europie i — podobać się. Kształty ani chałup, ani sprzętów zakopiańsko-góralskich nie są jakimś nadzwyczajnem, w celowości swej jakimś doskonałem przystosowaniem formy do przeznaczenia przedmiotu. Mówiąc zaś nawiasem, suknia polska p. Jasieńskiego jest np. nieładną odmianą praktycznego i wdzięcznego »fasonu« angielskiego, t. zw.: *taylor dress*'u.

---

<sup>1)</sup> Ulubione określenie ludzi, hołdujących dziś starej maksymie: *Nul n'aura de l'esprit, hors nous et nos amis.*



Świątynie gotyckie są architektonicznym symbolem słów św. Pawła: «Kościół jest ciałem Chrystusowem». Budowniczo wie średniowieczni usiłowali domom Bożym nadać kształty, przypominające figurę Chrystusa Pana rozpiętego na krzyżu. Nawa główna, długa, to samo drzewo krzyża; dwie poprzeczne, krótkie nawy, to krzyża ramiona; występ dla wielkiego ołtarza, nieco w jedną stronę skierowany, to głowa Zbawiciela zwieszona na ramię; w środku kościoła na lewo ambona, to serce Boga, z którego płyną na świat przykazania i pociechy; dwie wieże na zewnątrz świątyni, po przeciwległej stronie wielkiego ołtarza, to symbol nóg Ukrzyżowanego; dzwony przypominają głos Boży, wzywający do modlitw i pokuty... Symbolizm ów też uutorował gotykowi drogę do wszystkich krajów i ludów katolickich. Symboliczności żadnej nie szukajmy ani w kształcie chałup góralskich, ani w esach floresach, wyciętych kozikiem na góralskich miskach i kubkach.

W czasach rozkwitu humanizmu powstał renesans, nawiązujący pomysły architektoniczne i zdobnicze nowoczesne do kanonu architektonicznego greków i rzymian. Renesans wyłonił się z ducha czasu. Czyżby w duchu naszych czasów leżało nawiązywanie pomysłów artystycznych nowoczesnych do «estetycznych pomysłów» pierwszego lepszego górala? Czyżby fantazja i smak artystów nowoczesnych tak już wyjałowiały, że anteuszowem dotknięciem się do ludowej prymitywności ratować się muszą? Ba! artyści renesansu szukali podniety, wzorów, «natchnienia» u greków i rzymian, którzy tworzyli w stylu nieśmiertelnie pięknym; a — niech mi wybaczą entuzyaści zakopiańszczyzny — owe wszystkie ornamentacyjne zygzaki łyżników, drzewnych statków, serów, mis, skrzyń i serdaków góralskich, łącznie z pazdurami nad dachem chałup, są z krete sem brzydkie. Potrzeba wielkiego nakładu dobrej woli, ukochania lub sugestyi, aby rzecz brzydką podawać i brać za rzecz piękną.

Melodye ludowe!... O, melodye ludowe, pieśni gminne —

to bynajmniej nie koszlawe dłubania kozikiem lub pendzłowania na lewo i na prawo, to nie gliniane koguciki i nie plecionki różnobarwnych sznurków, przypominające «ozdoby» tualetowe papuasów. Pieśń ludowa ma w sobie melodyę prostą, ale często piękną pięknnością przedziwną, i wybierając się po łyżniki zakopiańskie, nie należy brać poufale pod ramię Chopina — bo to Chopinowi ubliża. Nie należy nawet chwytać się płaszczka żadnego z romantyków literackich, bo muzyka gminna, poezya gminna i gminne zdobnictwo do jednej kategorii nie należą. Ludowi wiele zawdzięczamy — ale nie wszystko. Nie wszystko, co ludowe i gminne, jest piękne. To też i styl zdobniczy zakopiański zaiste nie pięknnością świat podbije. Chyba że góralskie «kształty estetyczne» prymitywne przeobrazi i zatrze do tego stopnia artyzm budowniczych, rzeźbiarzy, malarzy, że owych kształtów wcale znać nie będzie.

Ów, co go roznieśli francuzi po Europie, styl cesarstwa, czyli t. zw. «empire», bynajmniej nie był narzuconym Europie przez ówczesnych nad Europą zwycięzców, nie był żadnym rozkazem podany na urzędowy styl w państwie Napoleona — jeno wytworzyła go reakcya prostoty przeciwko wybujałemu do ostatecznych granic barokowi. Styl zakopiański nie ma oparcia na żadnej reakcyi. Reakcya tatrzańskiego dziewięciornika lub paproci tatrzańskiej przeciwko alpejskiej szarotce? Ejże! — to «wojna dwóch róż», nie zaś reakcyjny objaw.

Bajeczne powikłania ornamentyki arabskiej, jej szalone arabeski, wywijające się jedne z drugich, odpowiadają wybujałej wyobraźni wschodniej, wyobraźni tej są wytworem, są niejako pomnikiem fenomenalnej fantazyi, unikatem, rzeczą w bajeczności swej, w szalonej werwie swej, piękną. Styl, wniesiony do Europy przez arabów, dlatego może nie rozpowszechnił się wśród ludów północnych, że nazbyt ściśle związany z duszą południowca, że snuć dalej wątku architektonicznych i zdobniczych tysiąca i jednej nocy nie zdolny nikt oprócz współplemieńców tych, co

wzniesli Alhambrę i meczet w Kordubie. Być może, że ornamentyka góralska jest wiernem odbiciem wyobraźni i temperamentu podtatrzańskich góraków. Napewno nie jest ona takim fenomenem, coby światu mógł zaimponować, porwać świat, rozmiłować świat w sobie.

\* \* \*

Styl zakopiański przeto nie ma, by tak rzec, naturalnych warunków do przyjęcia się i rozpowszechnienia. Nie prowadzą go na świecznik ani reakcja, ani piękno, ani nadzwyczajność, ani duch czasu, ani utajona w nim symbolika, ani zwrot ku porzuconym pierwowzorom; nie niesie go jednym słowem to, co rozniosło ongi po świecie całym style rozmaite z Grecyi, z Włoch, z Francyi. Wyszrubowuje się go na widownię sposobami sztucznymi.

To, co pisze Witkiewicz: «Nadanie formom życia pewnych szczególnych, własnych pierwiastków estetycznych, oprócz pożytku, jaki ma dla nas bezpośrednio, byłoby jeszcze wzbogaceniem ogólnoludzkich, cywilizacyjnych nabytków» («Na przełęcz», [22]) — jest bardzo słuszne. Szkoda tylko, że zastosował Witkiewicz ów aksyomat do ornamentyki zdobniczo-architektonicznej góralskiej, która nie jest pierwiastkiem «estetycznym», która nie ma w sobie kształtów estetycznych, którą «bogactwem artystycznym» ludu tatrzańskiego nazwać nie sposób. Styl, zdaniem Witkiewicza, wypływa z potrzeby zadowolenia potrzeb estetycznych i upodobań danego narodu. Nie będziemy mieli racyi szczycić się, jeżeli potrzeby nasze i upodobania estetyczne zadowolili — styl zakopiański! Jeżeli zaś pragniemy obdarzyć nim ludzkość, jako jednym z ogólnocywilizacyjnych nabytków, zaprawdę liczymy chyba na szeroką wśród narodów wziętość przysłowia o «darowanym koniu».

Chwilowe «powodzenie» zakopiańszczyzny przypomina,

co o t. zw. «style burlesque», grasującym w pierwszej połowie XVII wieku, pisał swego czasu Boileau:

•Au mépris du bon sens, le burlesque effronté  
Trompa les yeux d'abord, plut par sa nouveauté...

Więc może styl zakopiański «odpowiada — wedle określenia p. Jabłońskiego — potrzebie po swojemu poj-  
mowanego życia danego społeczeństwa i kaprysom narodo-  
wego temperamentu?» Może tkwi w zakopiańszczyźnie  
owej indywidualność typu, odrębność życia, swojskość  
ducha? — może jest ona najdokładniejszym wyrazem naszej  
kultury? Może, innemi słowy, w ornamentyce i architekto-  
nICE góralskiej odkryto najklasycyjnieszĄ manifestację form  
zdobniczych i architektonicznych rdzennie polskich?  
Może akurat góral tatrzański przystosował najdoskonalej  
kształty budownicze i ornamentykę do potrzeb i upodobań  
rdzennie polskich?

Chałupa góralska jest pełna charakteru — zgoda.  
Ale czyż charakteru rdzennie polskiego? Czyż góral  
tatrzański stworzył typ budowli, przystosowanej najdosko-  
nalej do warunków bytowania, do warunków klimatycznych,  
do obyczajów i nawyknień całego narodu polskiego? Mnie-  
mam, że góral tatrzański zbudował — przypuśćmy: naj-  
doskonalszą chałupę góralską. Ale aby miał lud, gdzieś  
w zakątku tatrzańskim za górami i lasami ukryty, [stwo-  
rzyć pra-typ mieszkalnego domu dla wszystkich warstw  
i grup ludności naszej, rozproszonej po szerokiej skali  
geograficznej — tego nawet na wiarę najpoważniejszego  
autorytetu przyjąć nie mogę. W zakopiańszczyźnie tkwi  
bardzo wybitny prowincjonalizm. Nie zarzut to; przeciwnie,  
świadczy to o rozsądku, pomysłowości i uzdolnieniu górala  
tatrzańskiego, że stworzył typ budowli najodpowiedniejszej —  
dla siebie.

Oto u szczytu chałupy góralskiej znajduje się t. zw.  
pazdur i oto, trzymając się rozumowania apologetów za-  
kopiańszczyzny, przyjść musimy do wniosku, że ów pazdur  
jest jednym «z kaprysov narodowego temperamentu!»

Takich kaprysów mnóstwo u nas pod rozmaitemi szerokościami i długościami geograficznymi, ale nie każdemu przypadł w udziale tytuł kaprysu narodowego. Jedna oczywiście tylko okolica ma urząd, przywilej czy posłanictwo tworzenia nawet słupka nad dachem w stylu narodowym. Piękny to monopol, ale wiele wody upłynie, zanim go wszyscy u nas podpiszą. Chyba, że *placido consensu* zgodzimy się wszyscy na jeszcze jedną *fable convenue*.

\* \* \*

Czemże więc jest ta, której jesteście świadkami, gorliwa agitacya, mająca na celu stworzenie stylu «narodowego» z motywów zakopiańskich, rozpowszechnianie go i zachwalanie? Jest próbą narzucenia ogółowi naszemu upodobania i smaku dla ornamentyki brzydkiej, dla prowincjonalnych zdobniczych i architektonicznych «osobliwości». Agitacya to nie wywołana żadną potrzebą, ani też nie wylaniająca się z ducha czasu. Agitacya to, zapominająca, że «o gustach sprzeczki niema». Agitacya to wreszcie, mająca główne źródło swoje w pragnieniu wywyższenia czegoś własnego «narodowego» po nad wytwórczość narodową innych ludów. Na tej strunie wygrywa właśnie propaganda zakopiańszczyzny najskuteczniejsze fanfary swoje. Precz ze wszystkim, co niemieckie, francuskie, włoskie, greckie!... My nawet własny styl zdobniczo-architektoniczny mieć możemy, mieć powinniśmy! Te właśnie ponętne miraże torują u nas ścieżki zakopiańszczyźnie.

Niestety, są to miraże tylko.

Stokroć więcej ma szans powodzenia wielka, niemal już dziś wszech-narodowa akcyja, propagująca t. zw. styl nowoczesny, modernistyczny (*modern style*). Styl zakopiański, przy najpomyślniejszym dlań obrocie mody i przy najumiejętniejszem uszlachetnieniu, zająć może wśród stylów stanowisko, np. stylu szwajcarskiego. Ktoś gdzieś

postawi szalec w zakopiańskim stylu... lub zakopiańskim mebelkiem urozmaici sobie umeblowanie domu. I owszem. Dlaczegożby sztuka zdobnicza lub architektoniczna nie miała mieć odcienia zakopiańskiego? Byleby tylko nie bałamucono swoich i obcych szumnym tytułem «styl polski», takim bowiem tytułem fantazyjny styl góralsko-tatrzański chęć się nie powinien.

---

Jedną z obszerniejszych odpowiedzi polemicznych na poglądy powyższe zamieściło »Ateneum« w zeszytach IV roku 1908 (str. 97—109).

Autor, p. M. Brensztejn, dowodzi, że: Górale nie są bynajmniej twórcami stylu zakopiańskiego. Styl zwany dziś »zakopiańskim« rozlany był niegdyś szeroką falą po całej Polsce — w czasach przed Kazimierzem Wielkim. Budownictwo drewniane, wyparte przez mury, zmuszone było ukryć się w podhalskiej dolinie. Obecnie odnaleziono szczątki i odcienia najrodzajniejsze stylu zakopiańskiego w pow. olkuskim, w pow. będzińskim, w Opatowie, w Lublinie etc. ba, aż na Żmudzi. Styl przeto t. zw. zakopiański był niegdyś wspólną własnością wszystkich mieszkańców ziemi polskiej. Wolno go zatem nazwać stylem »polskim«. Ziemia podhalska odegrała tylko rolę doskonałego zabezpieczonego spichrza a górale wybornych i troskliwych depozytarjuszów.

»Że zaś — konkluduje autor — tkwi nie od dziś w społeczeństwie polskim idea wyodrębnienia się narodowego na polu całej sztuki, przeto — styl »zakopiański« ma wszystkie dane aby po latach, może po wielu latach, stać się narodowym stylem polskim zarówno w budownictwie jak w zdobnictwie«.

Optymistyczny ten wywód, oparty na archaicznym podglebiu, a nieliczący się z anachronizmem »wskrzeszań« tego rodzaju, chętnie, w imię bezstronności, na miejscu tem kładę.

---

## „CAR FIODOR JOANNOWICZ.“

Zmrok wieczorny pośepnego, wilgotnego, jesiennego dnia. Srodkiem ciemnej, mglistej ulicy płynie wysoko cembrowana Fontanka, jakby kanał jakiś wenecki, odarty niemiłosiernie z barw i blasków. Gdzieniedzie latarnia lub szyba niskiego, suterenowego sklepiku rzucają w ulicę matowe światło, migocące tu i owdzie po rozbłoconym, zalanym kałużami bruku. Cicho pomykają chodnikami przechodnie, otuleni w szczelnie zapiętą odzież, przebijając, zda się, z trudem, szybko dyszącą pierśią, ciężką, przepojoną wilgocią i wyziewami atmosferę przygnębiającej pluchy jesiennej. Dudni ulicą monotony, nerwujący turkot do-  
rożek i powozów, szybujących we mgle i zmroku, jakby po omacku, na los szczęścia, byle naprzód, zwalnających biegu przy rozmijaniu się, bryzgających błotem z pod kół..

Nad Fontanką, na wązkim jej wybrzeżu stoi petersburski t. zw. «Mały teatr», inaczej teatr «Literacko-artystycznego kółka», własność w przeważnej mierze niepowszednio dziś zamożnego pana, który, będąc jednocześnie wydawcą najpoczytniejszej rosyjskiej gazety, może sobie pozwolić na zbytek posiadania własnego teatru i zabawiania się w teatromana *hors ligne*. Jeśli stać tego lub owego na własne konie wyścigowe, na własne jachty lub własne

wille nad morzem, stać p. Suworina na teatr własny, dający nawet publiczne codzienne spektakle. To już rzecz wyłączna gustu i kleszeni, a Petersburg nie myśli wcale brać za złe p. Suworinowi hołdowania tak przyjemnej dla wszystkich fantazyi.

Bo w dodatku kierownik «Małego» teatru miewa pomysły i aspiracye w stylu berlińskiego «Deutsches Theater» lub paryskiego teatru Antoine'a. Tam sięgaj, po co nikt nie odważył się sięgnąć! — bywa jego dewizą; dać poznać, czego nikt nie spodziewał się ujrzeć w świetle kinkietów. No, i pięknego wieczoru wystawił p. Suworin tragedję Aleksego hr. Tolstoja, świetnego rosyjskiego poety, zatytułowaną: «Car Fiodor Joannowicz».

I oto, podczas gdy ciężkie mgły jesienne zalegają tonące w zmroku, chłodnymi wiatrami przewiewane ulice stołeczne, co wieczór sala Małego teatru zapełnia się szczelnie strojnym tłumem, orkiestra przegrywa szybko byle jaką uwerturę, ściemniają się światła, ucisza się wszystko, podnosi się kurtyna i na oniemiałą w skupieniu salę rozlewa się z otwartej sceny potok światła i kolorów.

Oto jakby ożył nagle i zaruszał się przed nami jaki wielki historyczny obraz Riepina lub Makowskiego. Pod sklepieniem średniowiecznej ogromnej izby tłoczą się za stoły biesiadnicze bojarowie w ciężkich, pstrych a bogatych deliach i żupanach, bojarowie dumni a czolobitni zarazem, dumni z przewagi klanowej w państwie, a czolobitni przed tym oto starcem wysokim, z rozwianą siwą brodą, przed tym z «królewiał» moskiewskich najznaczniejszym, którego ród rozrósł się potężnie i wydał mężów nieugiętych tyłu, zasłużonych w radzie i w boju. On ci to książ Iwan Piotrowicz Szujski, głowa rodu i bożyszcze ludu, bohater z okopów Pskowa, druh spoczywającego w grobie cara Iwana Groźnego, przydany przezeń do boku panującego młodego cara, odsunięty od tronu przez chytrego współzawodnika, carskiego szwagra Godunowa, czas długi w odosobnieniu rdzewiejący, jak miecz zawieszony



na ścianie... On ci to teraz, niespożyty, ocknął się znowu i wystąpił na widownię i bojarów swoich na naradę przyzwał, bo ojczyzna-matka w niebezpieczeństwie srogiem, bo lud, lud Szujskim wierny jak Szujscy ludowi, przyczołgał się do nóg kniazia Iwana żebrząc, błagając o wstawiennictwo i obronę. Ożył kniaź 'Szujski i ponad głowy ludu, poniewieranego przez Godunowa, wyciągnął raz jeszcze potężną swą prawicę, i biada temu, ktoby poważył się odtrącić dłoń tę opiekuńczą, biada temu, ktoby zadrzeć z głową rodu Szujskich miał odwagę!

Przyszli bojarowie, pokłonili się w pas kniaziewi, otoczyli go kołem i mówią:

— Powiedz, co czynić mamy; my z tobą. Każesz w ogień, pójdziem w ogień; rozkazuj i przewódź. Pokłon tobie, kniaziewi-hosudarze, i sława!...

Naradzają się bojarowie i rozstrząsają najtajniejsze sprawy w państwie. Wszechwładny a przebiegły Godunow zawładnął całkowicie młodym, słabym, dobrym, lecz chwiejnym carem Fiodorem. O, odrodził się od rodzica swego car Fiodor, dobrotliwy i łagodny, bogobojny a serdeczny syn Groźnego! U carskiego tronu stoi na straży złowrogi duch i państwem wstrząsa, jak wichher osika, i kupiectwo i lud uciska, a car Fiodor w ducha tego patrzy, jak w tęczę. Trzeba przeto urok Godunowa przełamać, kniazia Szujskiego znów na dawne wrócić stanowisko, a Godunową siostrę, carową Irenę... tak, carową Irenę rozłączyć trzeba z carem Fiodorem.

I piszą bojarowie hramotę do cara i błagają go: Borysowi Godunowowi nie wierz, na zgubę prowadzi on ciebie, carze, i państwo, oddal go, a do boku swego przywołaj napowrót kniazia Szujskiego Iwana Piotrowicza! Zaś ty, carze, i z małżonką swoją rozłącz się, bo nie zapewniła nam ona spadkobiercy dla władzy monarszej i na władzę tę czyha — Boże odwróć! — ciemiężyciel narodu, brat jej Godunów. My, bojarowie, upatrzyliśmy godniejszą dla ciebie, wielki carze, towarzyszkę i imię jej tu podajemy,

abyś wiedział na kim spoczęły oczy wiernych tobie bojarów i wiernego tobie ludu,

Z tą hramotą pójdą do cara... Nie, wpierw pójdzie książę Szujski sam, nie podnosząc jeszcze jawnego buntu przeciwko panu swemu; pójdzie on sam, i zmierzy się z powiernikiem i doradcą cara przed obliczem monarchy, i własną jeno powagą poprze zażalenia narodu, i rzuci Godunowi w twarz oskarżenia, i sąd nad nim odda carowi.

I oto przed carskim tronem widzimy ich stojących naprzeciw siebie tych dwóch możnowładców średniowiecznych, walczących o wpływ nad tym, którego jedno słowo może ich samych w proch zetrzeć. Czy o pochlebiający ich dumie wpływ tylko im chodzi? Nie, zaiste. Ponad przeciętną wyrosli miarę i jeden i drugi; jeżeli walczą o co, to nie o samolubne cele; drogi ich rozeszły się, ale cel jednakowy: świetność państwa, szczęście narodu, potęga caratu. Z jednej strony Szujski zapalony idealista, gorąco biorący do serca najszlachetniejsze mrzonki, oligarcha podszyty demagogiem, człowiek wielkiego serca i zacnej duszy, wróg wszelkiej krętej «polityki», natura bujna, szeroka i prawa, ale pozbawiona elementarnych właściwości, niezbędnych dla męża stanu; z drugiej strony, pewny siebie, hamujący się, mądry Godunow, przedstawiciel idei racji stanu usprawiedliwiającej wszystko, niosącej wszystko w ofierze upatrzonym hen, gdzieś w dali wielkiej, w mgłach przyszłości, ideałom potęgi państwowej...

Mówią — Szujski gorejący zapalem, Godunow łowiący zręcznie w matnię rycerza-krótkowidza. A na tronie siedzi z czołem wspartem na rękę car Fiodor i słucha.

Poco mówią, mu oni to wszystko, poco? Poco te właśnie i zatargi, te wielkie słowa, przelatujące z ust do ust, poco żalność ta z jednej, a zawziętość z drugiej strony? Poco ten zacny i w zasługach osiwiwały Szujski boczy się na Godunowa? Poco Godunow, taki przecie mądry, ściąga na siebie klątwy i wyrzekania narodu? Czyż stworzeni ludzie po to, by

wrogami być sobie i przetrawiać duszę żółcią i goryczą, i dybać jeden na drugiego, jako zwierzęta krwiożercze?...

— Dosyć — mówi car — dosyć! Daj pokój Szujski, i ty Godunow daj pokój. No, o co chodzi? No, dobrze — pogódźcie się, podajcie sobie ręce. Czegoś ty się Szujski usunął od dworu? Tyś mi potrzebny, ty, coś ojczyznę piersią własną zasłonił. Zostań przy mnie, zostań! Rządźcie wspólnie z Godunowem. A ty, Godunow, przyrzeknij, ty, Godunow, poprzysięgnij przedemną, że narodowi memu włos z głowy nie spadnie z twej przyczyny, że tych, którzy przyszli tu do mnie skarżyć się na ciebie, puścisz wolno i mścić się nie będziesz. Wy mnie obaj potrzebni — rządźcie razem!

I nastaje cisza. Patrzą na siebie dwaj przeciwnicy, a potem wzrok podnoszą na cara swego i przez długą chwilę słów znaleźć nie mogą. To car? To syn Groźnego? Tu oto wąż się przed nim niemal losy państwa i narodu, a on, jakby zmoreł jaką natrętną usuwa je sobie z przed oczu i mówi o — Chrystusie, o miłości bliźniego, o nadziejskiej jakiejś pogodzie dusz oderwanych od marności tego świata! To car? To syn Groźnego?!

A jednak dziwny jakiś urok nieprzeparty idzie od tej chwiejnej, łagodnej postaci młodzieńczej, obleczonej w szaty monarsze, a tak, otrząsającej, zda się ze siebie tradycyjną, groźną monarszą władzę. To on, ów car wszechpotężny idzie sam ku bojarom, otwiera ramiona, jakby właśnie wszystkie i żalości państwa swego chciał na własnej utulić piersi i, rozbrajając wrogów serdecznym słowem, łagodnie pociąga ich ku sobie.

I niezłomny książę Szujski, rycerz, co przez pożogi i krwi morza brodził pewną stopą, co, równy carom, uśmierzał i burzył jednym słowem tysiącglowy lud rozjuszony, zgina się przed tym serdecznym dzieciakiem na tronie, przed tą czystą, wzniosłą duszą, z takim zaufaniem odwołującą się do jego duszy. Czegoby żaden obuch nie-dokazał, uczyniło jedyne dotknięcie miękkiej, drżącej od

szczerego wzruszenia dłoni. Przed sobą widzi on tylko potrzebujące jego opieki i wsparcia bezzaradne, bezbronne, odwołujące się do jego serca dziecko tego wielkiego cara Iwana, co z nim, Szujskim, w druźbie żył, i z nim wespół możnego państwa podwaliny zakładał. No i on nie targnie się na to dziecko, on nie da nikomu krzywdy mu uczynić, on tylko Godunowa zwiąże przysięgą, aby nieszkodliwym i bezwładnym carskiego zauszniaka uczynić, i już wtedy do końca życia, do ostatniego tchu syna — Iwanowego nie opuści.

A w Godunowa oczach błysk — stalowy. Nie brać go na lep słów pięknych, ale nie należących do rzeczy. Słabość... słabość... słabość... Zostawić-że ster państwa tym niewprawnym, od wzruszeń drżącym dłoniom? Co z państwem stanie się? I — pewny siebie, spokojny, górujący nad sytuacją — przysięga. Przysięga, iż «buntowników» przewodzonych przez Szujskiego nie tknie, zapomni, a z samym Szujskim podzieli się władzą.

Wrogowie podają sobie dłonie. I dłoń Godunowa, jeszcze ciepła od uścisku Szujskiego ręki, spada jak piorun na głowy tych, którzy śmieli przez usta kniazia podnieść skargę przeciwko carskiemu szwagrowi, — na głowy tych, co powstali przeciwko istniejącemu porządkowi rzeczy, którzy dotarli do stóp tronu, na głowy tych, którzy zawierzili Godunowa — przysiędze. Przysięga złamana, ale — stało się zadość racji stanu.

Wtedy, jak lew zraniony, porwał się Szujski i jawny bunt podniósł przeciwko samemu monarsze — nie wiedząc wcale, że w carskim dworcu zaszła właśnie przemiana. Borys Godunow w nielasce. Przeciągnął strunę; car Fiodor natrętnego mentora jednym skinieniem wszechwładnej dłoni — pozbył się. Car [Fiodor sam będzie rządził. Car Fiodor niema już nikogo, na kimby się mógł oprzeć. Opuścił go już Szujski, odegnan precz Godunow. Została mu tylko wierna, kochająca i kochana, dobra jak anioł, carowa Irena.

— Boże, ty widzisz głąb duszy mojej — mówi car. Za wielki ciężar na barki moje rządzenie państwem... Tyle spraw... tyle powikłanych spraw!... Nie mnie być carem. Ale jeśliś nieudolny i słaby, Boże mój, ja rządzić będę — miłością i sumieniem!

I w chwili tej — jednej z najbardziej wzruszających w tragedyi — kiedy car Fiodor, ująwszy w ręce ster rządów, wypuszcza ów ster, pełen zniechęcenia, przeświadczenia o bezsilności własnej i przesytu, a garnie się do jedynej istoty, co nie dręczy go i nie zatruwa mu życia, do carowej «Ariny», — zjawiają się przed nim dwaj nieubłagani współzawodnicy.

— Szujski! — zbawco mój! — woła car i staremu wodzowi otwiera ramiona.

A stary Szujski cofa się. Nie po to on tu przybył, aby czołem bić przed carem, aby dać mu oparcie na żelaznem swem ramieniu. Tam za oknami dworca huczy morze ludu, co na falach swych przyniosło go tu, przed tron, aby tron ów wstrząsnął i — obalił.

A Godunow już podniósł rękę, wskazał na Szujskiego i rzekł:

— Oto zdrajca!

— On?!

— Carze hosudarze! — on.

I tu następuje scena, godna współzawodniczyć z pomysłami mistrzów. Carowi Fiodorowi kładą przed oczy adres bojarów, podpisany... przez kniazia Iwana Piotrowicza; kładą mu przed oczy jawne dowody zdrady stanu. — Szujski?... On? I wielka, serdeczna dusza cara Fiodora kruszy się od żalości; stoi car, jak skamieniały, i wpatruje się w Szujskiego, co niżej, coraz niżej chyli ku ziemi siwą głowę. Zdrajca! — on? Godunow rzuca się ku niemu z okrzykiem tryumfu. Car powstrzymuje go jednym słowem: «Wszystkiego, czego domaga się Szujski, ja sam chciałem i chcę! Niema zdrady. Ja sam złożyłem dobrowolnie koronę, — jakem zamierzał...»

Jak grom na Szujskiego spada ta szczytna obrona; runął na kolana i kaja się przed tym, na którego przyszedł podnieść rękę.

— Nie! — woła. Na tego się nie targnę! On święty! Wielka prostota tej duszy od Boga jest. Nie! jam bezsilny wobec niego.

Ale car Fiodor czyta dalej hardy manifest bojarów... Co? — chcą rozłączyć go z carową! Śmiać chce oddalić od niego najdroższą mu istotę! Wszystko przebaczy, wszystko przeboli, ale tego — nie! I — drugi Zygmunt-August — wybuchą car Fiodor. Niema już teraz dlań Szujskiego, niema starca, niema wawrzynami okrytego wodza, znikł mu z przed oczu świat cały. On pan, on władca, on potrafi zgąć karki pod stopy carowej Ireny. I zraniony w samo serce car, tłumiąc łzy w łamiącym się, wezbranym gniewem głose, oddaje Szujskiego na łaskę i niełaskę Godunowa...

Na tem właściwie kończy się tragedia. W dwóch aktach następnych rozwija się tylko historyczny obraz, zawsze piękny barwnością, a w ostatnich scenach sztuki nastrojem, ale osłabiający poniekąd wrażenie. Szujski, wtrącony do więzienia, uduszony tam z rozkazu Godunowa, a bez wiedzy cara Fiodora, który, przygnębiony tą tragiczną śmiercią, czyni zadość dawnemu zamiarowi i usuwa się zupełnie od rządów, powierzając sprawy państwa Godunowowi.

Cały «Car Fiodor Joannowicz» Tołstoja, ściśle mówiąc, tragedją nie jest. Tragicznego bohatera w sztuce niema. Tak... ale z całej tej sztuki, pysznie napisanej, wylania się wielka, tragiczności pełna, przejmująca do głębi — melancholia. Ten, nie dla świata stworzony syn Groźnego, stoi jak odurzony wśród tego odmetu, nie mogąc pojąć dla czego... tak niepojęty wszystko obrót bierze? Dlaczego wszystko, co prawe, dobre i szlachetne na tym padole ostać się nie może? dlaczego idee najszlachetniejsze prześlizgać się muszą do celu krętymi ścieżynami, a ideały podstępem

zdobywać potrzeba? dlaczego marnieją szczytne porywy a słowo serdeczne, prosto z duszy idące, nie zażęgnywa burz, jeno je wywołuje? — Dlaczego?

O, carze Fiodorze, ty, szlachetny marzycielu, nie pytaj... Z pytaniem tam na ustach odeszło już z tej ziemi tylu zawiedzionych i smutnych. Szczęśliwi ci, co odeszli. Przeniknęli już, być może, tajemnice bytu, tajemnice, którym my napróżno rzucamy z kolei, z wieku w wiek, pełne beznadziejnej melancholii pytanie: dlaczego?

O, carze Fiodorze, szlachetny ty marzycielu, pociąg wrócił z orszakami strojnych swych bojarów, z Godunowym w złocistym saraфанie, z Szujskim zakutym w kajdany, z cichą, dobrą carową Ireną, taki bezradny i taki skolatany, rzucić nam, jak skargę bolesną, to przejmujące tajemniczą trwogą uporczywe pytanie: dlaczego?..

Noc już zupełna. Fontanka głucho pluszcze o cembrowane, wysokie wybrzeże; na wodzie drżą długie smugi latarniowych świateł, przytłumione ciężkimi jesiennymi mgłami. Na ulicy cisza. Szereg nieruchomych, sennych «jednokonek» wydłuża się gdzieś w zmrok po obu stronach teatralnego podjazdu. Rychło, przefiltrowana przez kilka kontramarkarni publiczność, wysypie się przed teatr i rozplynie się w ciemność i mgłę. Spektakl skończony.

A po drodze do domu, w ciemne tło długich, prostych, rozpaczliwie monottonnych ulic, popstrzonych migającą przed oczami mozaiką szyldów i napisów, wsiąka powoli i rozplywa się, tracąc stopniowo blaski i kolory, szlachetne, w szerokim stylu widzenie poety, co pod urokiem swoim trzymało nas w teatralnej sali. Tak szara, bezbarwna, nieublagana rzeczywistość zacierając wskrzeszone w chwili natchnienia obrazy niepowszednich zdarzeń, uczuć i myśli. Tak toną one w powszedniości codziennej, jak gaśnie w zmierzchach jesiennych przelotny jasny rozbłysk pochmurnego nieba...

Petersburg, listopad, 1898.

# **WSPOMNIENIA.**





»Nous chérissons les lieux ou nous  
avons vécu comme des souvenirs de  
notre existence.«

M-me de Sévigné.

Znacie państwo kompozycję na skrzypce lub wiolonczelę starego Henryka Vieuxtemps, zatytułowaną «Souvenir de Spa»? Są tacy, którzy ją znają, a nawet tacy, którzy ją rozumieją. Ci ostatni rozumieją, że w zarysowanych zaledwie motywach i w arabeskach waryacyj na zasadniczy temat, że w nagłych scherzach, przeplatających ciągłość elegijnej melodyi, że we fragmentarnej formie kalejdoskopowej tej elegii — wypowiedzieć pragnął stary Vieuxtemps całkiem coś innego, niż okolicznościową muzyczną interpretację mniej lub więcej przyjemnych wrażeń, doznanych w Spa podczas któregoś tam, bardziej ożywionego, sezonu.

Muzyka, ta najpiękniejsza ze sztuk pięknych, ma to do siebie, iż daje najszersze pole wszelkim jej — «dośpiwywaniom». Innemi słowy: możemy oto w takiej np. kompozycji muzycznej, zatytułowanej lakonicznie «Souvenir de Spa», znaleźć literalnie wszystko, co podsuną nam: własna nasza wyobraźnia, wrażliwość, własny nasz nastrój, własna zdolność odczucia duszy artysty, Belga, co świat

przewędrował wszerek i wzdłuż, i oto znów Spa po latach odzobaczył. Odzobaczył i plac Królewski rojny, gwarny, od hazardów ruletkowych w Redutowych salach, i ciche, zawsze sielskie, piękne okolice podmiejskie, tak urocze po promenadach! swoich, wijących się hen! po nadkotlinowych wzgórzach, ginących jak przed laty... przed laty... w okolicznych, wiecznym cieniem podesłanych, gajach...

Być może, że z blaskami zachodzącego słońca, rozścielającymi się na miasto, leżące tam w dole, spłynęła na Spa owa wspomnieniami grająca melodia, którą zwolna wezbrała dusza artysty, kroczącego zwolna promenadą des Sept-Heures, tą samą szeroką, cienistą od kasztanów, aleją, co ją razy tyle przebiegał przed laty... ach! przed laty... Być może, że, spoczawszy na którejś z ławek, znalazł się Vieuxtemps niespodzianie nawprost uliczki staroświeckiej, zbiegającej ku miastu, zakrętem tak dziwnie znanym mu, swojskim — niezapomnianym. I domek nagle odzobaczył, tak zda się żywcem z dalekich, dalekich wspomnień wskrzeszony... Co przyniosło tu ów domek? jakie zakłęcie?... Nie! domek stał zawsze tu, u wylotu staroświeckiej uliczki, stał, przestał lat tyle i stoi wciąż; nie wskrzesiła go żadna moc czarodziejska, jeno ożyły roje wspomnień na widok domku tego.

I siedzi stary Vieuxtemps; zapatrzył się, zamarł i odżył wstecz o lat wiele i — niepostrzeżenie dla tych oto przechodniów — przeżywa po raz drugi w jednej godzinie wspomnień: życia swego, dawno ubiegły, kto wie? może okres cały. I cicho gra mu w duszy, gra i z kalejdoskopowych motywów rozwija się pasmo, ta dziwna pieśń bez słów, co ją odczuć a nie przetłumaczyć, a nazwana potem przezeń krótko: «Souvenir de Spa»...

Dajmy pokój tłumaczeniom. Nie przetłumaczyć muzyki na słowa. A i duszy na słowa nie przetłumaczyć. Dlatego tylko nie bankrutuje człowiek tu na ziemi, że duszę ma. Gdyby mógł, zgodnie z naturą ludzką, byłby już dawno duszę swoją do ostatniego grosza roztrwonil —

w słowach lub uczynkach. A tak, wzięty w karby przez najmiłociwszą Opatrzność, chodzi wciąż po świecie z niewyczerpanym kapitałem duszy, rozrzutny niesłuchanie, a wciąż jeszcze bogacz nielada. Zdarza się od czasu do czasu, że Opatrzność spojrzy przez palce i urodzi się taki pan, co szaloną moc duszy własnej — a i bliźnich swoich — w koncepcjach muzycznych roztrwoni, w przedziwną muzykę przeleje, przetopi, rzuci... Ale nawet najwięksi z tych, którym dar taki przypadł w udziale, duszy swojej i naszej wyczerpać do dna nie zdołali, a nawet niektórzy z nich, dlatego iż w muzykę swoją duszy ludzkiej do dna przelać nie mogli, z rozżalenia wielkiego i niemocą własną zatruć — smutni i zrozpaczeni pomarli.

Tak nieskończenie trudno duszy tej naszej dać wyraz; tak wielkie, wrodzone, niepohamowane u niektórych ludzi pożądanie: duszę własną — dać oraz pokazać wyraźnie i do najsubtelniejszych odcieni odbicie w niej duszy ogólnoludzkiej. Boć przecie nie chodzą dusze ludzkie po świecie samopas, jeno stanowią jakby rozprysnięcie się po rzuconym w przestwór wszechświata globie mizernym naszym jakiejś potężnej a wspaniałej pra-duszy, której najdrobniejszy nawet okruch, walający się gdzieś w niedołężnym, ba! plugawem cielsku, jeszcze tak bez miary nad-człowieczy i nadziemski, iż odczuć go tylko jesteśmy w stanie, kusząc się nadaremnie o wyczerpującą jego definicyę lub odwzorowanie...

Zdaje mi się, żem rozegrał się, i zmienił ton, przeskoczywszy niebacznie ze struny na strunę? Choćbym urwał w tej chwili i pauzę uczynił, sądzę, że słów tych wstępnych kilka pozostanie w związku ze wszystkimi motywami retrospektywnych szkiców niniejszych.

## Souvenir de Mitau.

Obchód jubileuszowy. — Powstanie gimnazjum mitawskiego. — *Akademia Petrina*. — Nauczyciele nasi. — Koledzy-Polacy. — »Anty-gona« po grecku. — Doroczne majówki. — Śpiewy. — Powrót z *turnfestu*.

Był czerwiec 1875 roku. Gimnazjum mitawskie, przekształcone z dawnej *Akademia Petrina*, noszące kolejno nazwę *Gymnasium academicum* i *Gymnasium illustre*, święciło uroczyście, trzydniowym obchodem, stuletni jubileusz istnienia.

Miasto całe przybrało odświętny wygląd. Powiewały na domach chorągwie; girlandy zieleni i kwiatów, zdobiły nie tylko sam wspaniały gmach gimnazjalny, wznoszący się majestatycznie przy Palais-strasse, cofnięty efektownie w głąb, za krąg gazonu, oddzielający go od ulicy. Czas to był właśnie mitawskich świętojańskich «kontraktów». więc zjazdu obywatelstwa, kupców, przekupniów, wszelkiego autoramentu jarmarkowiczów, począwszy od *pleno titulo* baronów, a kończąc na taborze cyganów, nie mniejszych amatorów koni, obozujących tradycyjnie po tamtej stronie rzeki Aa, w pobliżu mostu, u wielkiej karczmy. Dodajmy deputacje, specjalnie na jubileusz przybyłe z kurlandzkich i inflanckich (liflandzkich) miast gimnazjalnych, z Dorpatu, z Rygi; dodajmy sporo gimnazjalnych «filistrów», t. j. byłych uczniów *Almae matris Mitaviensis*, przybyłych dla wzięcia udziału w iście pontyfikalnie zorganizowanej *Säcularfeier*... a iluż z nich posiadało w dobrach swych nadbałtyckich, lub żmudzkich, lub litewskich! Ba!... a nie zapomnieć, iż wcale okazałą wystawę rolniczą krajową (*Landesausstellung*) otwarto wspólnie, na starym placu, nie zabudowanym jeszcze wówczas, leżącym między dworcem kolei a miastem. Po brzegi przepelniła się Mitawa, że i nie kusić się o wyrozumienie, jak ów cały napływ ekstraordynaryjny mógł wsiąknąć w miasto nieduże, ciche, od czasów chyba rządów książęcych nie goszczące takich «tłumów».

Dziś jeszcze, po latach — po trzydziestu prawie latach! — żywo mam przed oczami ów «niebywały» ruch, gwar, owe oszłomienie ogólne, no, i wystawność organizowanego przez wszystkie stany *con amore* — obchodu. W tem rzecz właśnie, że gimnazyum stanowiło niby arkę przymierza nietylko Mitawy, mającej wszystkie cechy uniwersyteckiego miasta, ale i kraju, t. j. Kurlandyi, szczytającej się owym, nie «wyższym» wprawdzie, ale wzorowym zakładem naukowym — swoim. Hojnie też osypano miasto trójbarwnymi chorągwiami o barwach: niebieskiej, zielonej i białej; tymiż kolorami zagrały rozetki na surdutowych klapach niezliczonych komitetowych t. zw. *Fest-ordner'ów*, a nam, dumnym z należenia do *Gymnasium illustre* w tak uroczystej dobie, rozdano medale pamiątkowe na trójbarwnych niebiesko-zielono-białych kokardach, i chyba zbytęcznie dodawać, żeśmy od rana do nocy medal ów mieli na piersiach.

Mowy... Miły Boże! ile mów popłynęło! Ile kantat i kwartetowych, i chóralnych całkiem amatorskich, zgola bez żadnej batuty! Kapele rznęły siarczyste marsze lub melodye, przeprowadzając raz po raz ulicami to *Verein'y*, to jakieś *Liederkrans'y*, to korporacye przybyłe, to miejscowe *Ausschuss'y*... albo to spamiętać, ile «grup» stało do dyspozycyi organizatorów festynu! Teatr ryski dawał szereg gościnnych widowisk w starym gmachu teatralnym, przez rok cały pustką stojącym. Na placu przed ratuszem tłoczyło się pospólstwo do niezliczonych płóciennych bud jarmarcznych, oblegało menażerye, cyrki wędrowne i karuzele. Wszędzie wrzało i kipiało; piwo, zacne piwo lało się potokami. Koncerty orkiestralne dla wyborowszej publiczności odbywały się w ogrodach Schirkenhöffera i w t. zw. «Willa Medem» przy ogromnym udziale publiczności, spragnionej tego rodzaju szlachetnych rozrywek towarzysko-artystycznych, tem bardziej iż koncerty wogóle rzadkością w Mitawie bywały. Z pietyzmem przeto i skupieniem — które dziś dopiero ocenić potrafię — słuchano uwertury

z «Wilhelma Tella» lub «Zampy», jeżeli nie z «Kumoszek Windsorskich», a — jak dziś pamiętam — «Pożegnanie Trębacza z Säkkingen», wykonywane na waltorni przez jednego z członków orkiestry, ukrytego hen, daleko, w którymś z klombów ogrodowych, podchwywane przez orkiestrę — wywoływało niechybiającą nigdy sensację i bisowane było przez najwykwintniejsze sfery publiczności. Zabawa przeciągała się do «niebysłanej» wprost godziny, do jedenastej; raz bodaj trwała czy nie do kwadransa na samą dwunastą. Takich terminów nie znał wręcz, spokojny i regularny żywot wiodący, gród Mitawski. Ale — w jubileuszowy czas! Ha! któż się nie wykolei, nie «pozwoli sobie», któż oprze się ogólnemu zapamiętaniu się! *Ein Mal ist kein Mal*. W ogrodzie Pałacowym (*Schlossgarten*) palono ognie sztuczne, i salwy rakiet i «buraków» rozlegały się po całym mieście.

Jak pięknie przemawiał w auli gimnazjalnej, podczas uroczystego posiedzenia publicznego jubileuszowego, jeden z profesorów naszych, przywołując na pamięć stu-letnie gimnazjum dzieje! Zналиśmy je na pamięć, ale zwłaszcza wobec przytomnych na sali doradców i ry-skich politechników, cośmy ich impozycję tak często znosić musieli, referat ten, w krasomówczą formę obleczony, przedziwnie głaskał nasz mitawski «patryotyzm» i niejako składał przed światem całym świadectwo, że my przecie, mówiąc krótko a dobitnie, nie pod sroki tu siedzimy ogonem, ale «tego w »ten... bez mała — akademicy! No bo jakże? Tytuł jeżeli nie: jest — to: był. Tradycja, historia, sam ten gmach... Ależ słuchajcie, bądźcie tak łaskawi, słuchajcie! i — korporacyjnych waszych wstęg, co idą wam przez piersi, nie wydymajcie tak buńczucznie. Czołem przed waszemi barwami, a i owszem! ale nie pozierajcie z góry na czarne czapki uczniów byleż *Academiae Petrinae!*

Jakie imponujące zgromadzenie! Jaka cisza na sali poważna i dostojna! Jak wspaniale rozlega się głos Dan-nenberga, a wzrok jak mu błyska za okularami!

Oto odczytuje akt fundacyi: „*Von Gottes Gnaden, wir Peter, in Liefland, zu Kurland und Semgallen Herzog etc. etc. Thun kund und fügen hiemit zu wissen.....*“ Z roku 1775 dokument. Ostatni książę kurlandzki, Piotr Biron, pragnąc dać możność Kurlandczykom kształcenia się we własnym kraju, założył dla nich uniwersytet, wzniosłszy gmach do dziś dnia istniejący w niezmiennym stanie, na gruzach zburzonego rezydencyjalnego pałacu księzęcego, w którym mieszkał czas jakiś po powrocie z wygnania książę Ernest Jan. Sprowadzeni zostali z Niemiec profesorowie; rozpoczęły się wykłady i *Academia Petrina* przetrwała do roku 1806. Wówczas zamieniono ją na zwykłe prowincjonalne gimnazjum, posiadające jednak niektóre przywileje oraz tytuł *Gymnasium Illustre*. Trzeci okres rozpoczął się w roku 1837; gimnazjum mitawskie postawiono zostało na stopę gimnazyów gubernialnych państwa, z zachowaniem dla wszystkich bez wyjątku przedmiotów języka wykładowego niemieckiego. Z wieży gmachu usunięto resztki dawnego obserwatorium i rozlokowane wygodnie niepowszednią bibliotekę gimnazyalną, liczącą 45 tysięcy tomów. Największy to w państwie księgozbiór gimnazyalny. Nad głównymi drzwiami, pod orłem państwowym i szyldem «Gubernskaja Gimnazija» pozostała tablica z położonym przez księcia Piotra napisem: *Sapientiae. et. Musis. Petrus. Curl. et. Semgal. Dux. Posuit. MDCCLXXV*. W archiwum gimnazyalnem przechowuje się również stuletnie *Diploma approbationis*, wydane instytucyi, fundowanej przez ówczesnego wasala korony polskiej, z kancelaryi królewskiej w Warszawie pod datą 20 czerwca 1775 roku. Podpisał dokument łaciński król Stanisław August. (...«*Authoritate Nostra Regia pro Nobis omnibusque Successoribus Nostris et pro toto Regno Poloniae et Magno ducatu Lithuaniae ad perpetua tempora confirmamus, rata ac grata habemus...*»)

A potem — pełne czci wspomnienie o profesorach i nauczycielach, co w ciągu lat stu światło nauki szlachetnej krzewili w tym gmachu. Jeśli mię pamięć



nie zawodzi, w pierwszych rzędach foteli siedział na sali były dyrektor gimnazjalny, bez mała siedmdziesięcioletni, hrabia Wilhelm Nałęcz Raczyński, były rotmistrz huzarów grodzieńskich gwardyi, ozdobiony orderami za odznaczenie się pod Grochowem i przy szturmie Pragi, syn owego hrabiego Raczyńskiego, co to cesarzowi Pawłowi, nowemu wielkiemu mistrzowi kawalerów Mitańskich, doręczył krzyż wielko-mistrzowski, noszony przez wielkiego mistrza La Valette. Czy z linii Raczyńskich poznańskiej pochodził? — powiedzieć nie umiem. Urodził się w Kurlandyi, zniemczony był całkowicie, zachowanie podobno miał w Petersburgu, ale fortunę bardzo mizerną, ile że dla chleba prywatne lekcye dawać musiał, wystąpiwszy z wojska i zanim mu w roku 1850 spadło inspektorstwo gimnazjalne mitawskie. Dyrektorem był potem z lat dziesięć; pamiętam go jak przez sen na tem stanowisku, gdyż podał się do dymisyi na wiosnę 1870 roku i odtąd mieszkał stale w Erfurcie. Zastąpił go na stanowisku dyrektora S. K. Sabinin, syn dość znanego archeologa i teologa, co życie niemal całe spędził na stanowisku kapelana cerkwi poseskiej w Kopenhadze, wielbicielem był wielkim literatury niemieckiej, a w bliskich stosunkach pozostawał z Kolarzem, Hanką, Szafarzikiem. Nowy dyrektor mitawski kształcił się w gimnazyum w Wejmarze, a etapy pedagogicznego zawodu, jako nauczyciela historii i łaciny wiodły go do Mitawy przez Poniewież, Kowno, Szawle, Mohilew. S. K. Sabinin znał, mówiąc nawiasem, nie tylko gruntownie język niemiecki, ale i polski, a za jego dyrektoryatu właśnie odbyła się, o której mowa, uroczystość jubileuszowa. Kuratorem zaś okręgu Dorpackiego, obejmującego i Mitawę, był w roku 1875 A. A. Saburow, który w pięć lat potem od kwietnia 1880 do marca 1881 roku ministra oświaty sprawował urząd.

W roku jubileuszowym z liczby 122 nauczycieli i profesorów, którzy w ciągu lat stu gimnazyum mitawskiemu służyli, zaledwie 47 żyło jeszcze. Byli tacy, co po

lat przeszło czterdzieści stanowisko to zajmowali; wielu przeszło na katedry uniwersyteckie zagraniczne; inni na emeryturach osiedli. Do kolegium nauczycielskiego w 1875 należało 20 profesorów, wśród których seniorem był nauczyciel języka niemieckiego F. Cruse, od lat trzydziestu wykładający w gimnazjum.

Typowa to była postać, do którejśmy wszyscy lgnęli serdecznie. Pogodny zawsze, pobłażliwy, stary *Oberlehrer* nie grał już wybitniejszej roli, ale wpływ wywierał na młodzież niezaprzeczoną. Urodzony w Mitawie, bursz niegdys dorpaccki, gorąco przywiązany do wszystkiego, co rodzinne kurlandzkie, należał duchem do epoki idealizmu i romantyzmu, ateńskiego romantyzmu Götthego i Schillera. Od dawna już nie szedł naprzód lecz stał w progu Panteonu «klasycznego» niemieckiego, przekonany głęboko, iż poza owym Panteonem niemogło wprost istnieć coś godnego uwagi a tembardziej apostołowania. Za to trzeba było widzieć i słyszeć starego Cruse'go, z młodzieńczym zapalem komentującego «Don Carlosa» lub «Ifigenię»! Wykład jego, nawet specjalnie gramatyce lub stylistyce poświęcony, nigdy suchym niebył i pedantycznym. Pobłażliwy dla językowych herezyi polskich uczniów swoich, nie był w stanie ukryć uciechy, gdy z nas który prześcignął rodowitych Niemców w znajomości prozodii niemieckiej lub w zrozumieniu myśli przewodniej danego utworu lub pochopności do uczenia się na pamięć poezyj.

Lekcje Cruse'go, ile że mniej nużące niż np. greka lub matematyka, wypadały nam jakoś zawsze na godziny popołudniowe. Często godzina cała schodziła na zbiorowem czytaniu np. «Piccolominich» lub «Götza». Innym razem słuchaliśmy wykładu wręcz uniwersyteckiego, gdy bywało weźmie się *Herr Oberlehrer* snuć przez ciąg kilku lekcyj drobiazgowy komentarz np. do ulubionej elegii Vossa «Der siebzigste Geburtstag». Osnowa elegii tej taka, iż stary pastor Tamm, rezydując na emeryturze w małej mieścinie, oczekuje w dniu 75 urodzin swoich na przybycie

syna i synowej. Skrzętna żona solenizanta przygotowuje mieszkancko całe na przyjęcie drogich gości — a tymczasem stary, zdrzemnął się nad «wybozem kazań». Zimowy zapada zmierzch. Dzwonek zaczyna gdzieś tętnić w dali; zajeżdżają sanki. Syn i synowa wpadają do saloniku i uściskami budzą śpiącego. Łatwo wyobrazić sobie, ile holenderszczyzny w opisach mieszkania staroświeckiego, jak czysto niemieckie piętno ma ta miniatura «Hermana i Doroty», pisana doskonałymi heksametrami. Stary Cruse, któremu wszystko a wszystko w utworze tym przypominało własne jego lata młode, rozsnuwał na kanwie tej moc całą obrazków obyczajowych, przeplatał wykład anegdotami, a takim ciepłem, takim pietyzmem opromieniał, ot, mebelek każdy wspomniany, każdy zwrot przytoczonej w wierszu rozmowy... tak wpajał w nas nietylko znajomość obyczajowości niemieckiej, nietylko atencję dla kulturalności i humanizmu przepajających nawet to drobne środowisko odtworzone przez poetę... tak, by wyrazić się dosadnie, zarażał nas własnym niewygasłym, nieosłabłym ukochaniem swojskości we wszystkich jej objawach, tak jednocześnie wdrażał nas do wysnuwania z drobnych napozór szczegółów wniosków szerszych, daleko i głęboko sięgających! I przeto, nietylko na pamięć potrafiłbym dziś jeszcze zacytować całe ustępy z «Siebzigste Geburtstag», ale bardziej niż wówczas zrozumiała mi dziś *metoda* starego Cruse'go, pociągająca tak łagodnie, tak ponętnie a zarazem tak silnie młode umysły w okrąg umiłowań i poglądów nauczyciela. Czyż dziwić się, że wielu, wielu z nas nauczył stary Cruse po kres życia czcić to, co sam czcił i wielbił i że na życie całe zaszczerpił w wielu z nas bodaj wspomnienie tej pierwszej, przez niego wznieconej «miłości umysłowej» dla — a no, tak! — dla ideałów «klasycznej» poezji niemieckiej? Czyż dziwić się, że wielu, wielu z nas, do dziś dnia po przez hakatyzm i «czasu dziwną przemianę» zachowało łączność duchową z narodem, co wydał Herdera i Schillera... całą potężną kulturę, w którą ini-

cyowali nas za młodu najszlachetniejsi kultury tej przedstawiciele? A jednym z nich był niezaprzeczenie stary *Oberlehrer* Cruse.

Z pod nawpół spuszczonej storów zalewa klasę naszą światło ciepłego, wiosennego popołudnia. Po ławkach wszędzie białe «kitle», lekkie marynarki (mundurów nie nosiliśmy); pozy mocno swobodne; wśród zupełnej ciszy jeden z uczniów z miejsca swego czyta, dobitnie skandując daktyle heksametru. Stary Cruse przechadza się wzdłuż pierwszego rzędu ławek; ręce, trzymające książkę, w tył założył, przez co tusza zaokrągliła mu się jeszcze bardziej; mundur ma rozpięty i widać krawatu mocno wyszarganego najfantastyczniejsze związanie; okrągła jego, okolona rzadką siwizną twarz, czerwienśza niż zwykle, lśni się od potu a nie traci na chwilę dobrego, pogodnego wyrazu; okulary oddawna już na czole — a kraciasta chustka, którą pan *Oberlehrer* okulary raz po raz zwykł przecierać, leży beczynnie na katedrze, zdobiąc ją barwną, niezwykłą plamą.

— Jeszcze raz! jeszcze raz! — podchwytuje nagle Cruse, przystając u przejścia między ławkami i w roz-targnieniu, zamiast o ławkę, opierając się o ramię *primusa*<sup>1)</sup>. — Jeszcze raz od samego początku zważając pilnie na *caesure*!

I głos czytającego, zawieszony na chwilę, poczyną znów rozlegać się miarowo:

«Auf der Postille gebückt, zur Seite des wärmenden  
Saß der redliche Tamm...» [Ofens,

Całkiem innego pokroju osobistością był nasz nauczyciel historii, dla klas wyższych, (*Oberlehrer der historischen Wissenschaften*), H. Diederichs. Młody, zaledwie trzydzieści pięć lat wówczas liczący, energiczny i czynny arbitralny, często fantastyk, gorący do dna, wszechstronnie

---

<sup>1)</sup> Pierwszy uczeń w klasie, siedzący na pierwszym miejscu.

i niepowszednio wykształcony, siejący postrach ale i wpływ zarazem niemały, z pozorów szorstki ale sprawie swojej nauczycielskiej i kulturalnej oddany całą duszą, impetyczny, fukający, pozorami srogości nieubłaganej maskujący nieraz serdeczną życzliwość dla faworyta-ucznia lub szczere zadowolenie z ucznia «temperamentu» i zdolności — nietylko kurlandczyk zagorzały (urodził się w Mitawie) ale i panniemiec, był Diederichs wspólny z przyjacielem swoim nauczycielem religii, o parę lat starszym Seesemannem, istotną duszą gimnazjum mitawskiego w czasach, o których mowa. A były to czasy niemal bezpośrednio po wojnie 1870 i 71 nastąpione... Tryumf, zjednoczenie się i zpszynienie Niemiec oddziaływały, wyobrazić sobie nie trudno, jak bardzo na Diederichsa, ba, na cały nastrój nauczycielskiego mitawskiego kollegium. To jednak najwyraźniej winienem podkreślić, że duch Bismarka nie przeniknął ani szparą najmniejszą do naszej *Alma Mater*. Rzecz prosta, wielbicieli wielkości Bismarka nie brakło: intonowano «Die Wacht am Rhein» z wyższego niż kiedy tonu, czuć było podniesienie się głów i krzepnięcie na duchu — ale stosunek nauczycieli Niemców i pan-niemców do nas uczniów-polaków na włos jeden się nie zmienił. Powiem nawet: przeciwnie. Pewniejsi siebie, dumni z należenia do spotęźniałej politycznie nacyi, posuwali się niejako do obowiązku brania nas — pod skrzydła swoje, nas: słabszych. Nigdy, przynigdy żaden nauczyciel nasz mitawski — a Bóg i ludzie wiedzą, co za zagorzali Niemcy byli wśród nich! — jednym słowem nie drasnął naszych uczuć, nie postąpił wobec nas *à la* Bismark. Przykładów natomiast szczerego współczucia a nawet rzetelnych usług oddanych nam, posiadającym własną bibliotekę polską i coś w rodzaju «Stowarzyszenia» — mógłbym wiele przytoczyć. Że ten i ów z nas odcierpiał «za Kopernika» — nie zmienia postaci rzeczy. Z samym Diederichsem miałem osobiście przeprawę z racyi 400-lecia święconego w Poznaniu. Zaprzeczyłem wobec całej klasy, że nie Polacy przyłączyli

się tam do obchodu organizowanego na cześć Kopernika przez Niemców, ale odwrotnie, no i że Kopernik — był Polakiem! Po odsiedzeniu dwugodzinnej kary, pomykam do domu mimo mieszkania Diederichsa. Stuka w okno, woła mię do siebie. I powiada: miałeś rację, ale nie wolno w ten sposób zaprzeczać nauczycielowi, i za to właśnie zostałeś ukarany. Mówił to tonem jaby mię chciał pożreć żywcem, ale w oczach palił mu się dobry, udzielający się ogień, w którym krzty nie było nieżyczliwości. Przeciwnie. Wróciłem do domu głodny jak pies, ukarany ale nie upokorzony, okielznany ale nie przybity, głęboko przeświadczony o słuszności kary, na którą-m zasłużył, ale i o słuszności sprawy, którą-m bronił.

Miał Diederichs nieprzyjaciół; bano się go i zrażano się jego szorstkością. Okoliczności złożyły się tak, żem zbliżył się z nim w gimnazyum jeszcze i że do dziś dnia przetrwał niepowszedni, śmiem twierdzić, stosunek między nim a mną. Sześćdziesięciokilkoletni dziś mój były nauczyciel pozostał takim, jakim był przed laty, zachowawszy w dodatku niespożytą rzeźwość, niemal młodzieńczość ducha, pomimo przejść najcięższych. Wydalony z gimnazyum z chwilą nastania reform, odrzucił propozycje uniwersytetów zagranicznych i pozostał w Mitawie. Lekcje prywatne dawał, odczyty miewał, a przedewszystkiem poświęcił się rozwojowi «Kurlandzkiego Towarzystwa Literacko-Historycznego», oraz sprawie Muzeum Kurlandzkiego — o czem na innem miejscu znajdzie się obszerniejsza wzmianka.

Inspektor Vogel też do seniorów należał gimnazyalnych. Łacinnik znakomity, jak żaden z nauczycieli naszych tak płynnie mówiący językiem Cycerona, zachowujący skrupulatnie t. tw. *color latinus*; mniej wylany w stosunku do młodzieży, ale niezmiernie dbały o powagę i autonomiczność instytucyi, prestancję miał okazałą, głos piękny i pewną patryarchalność oddziaływującą na nas oraz na gremium nauczycielskie wcale dodatnio. Uważano

go powszechnie za przedstawiciela gimnazjum, ile że dyrektor tylko w wyjątkowych razach występował i to bardziej *extra muros*. Inspektor Vogel, mający również tytuł wyższego nauczyciela języka łacińskiego, lubił i umiał reprezentować, a surowy w przestrzeganiu wzorowego porządku w murach gimnazjalnych oraz wśród młodzieży, wszelką interwencję zewnętrzną umiał zawsze taktownie zaszachować i uchylić. Był to pedagogiczny dygnitarz całkiem uniwersyteckiego pokroju, wychowawiec Dorpatu. W chwili gdy to piszę, żyje jeszcze, jako emeryt w Mitawie, dźwigając z trudem brzemień lat osmdziesięciu z okładem.

O wiele mniej okazałym, zwłaszcza w płaszczu swoim ongi niebieskim, a pamiętającym bodaj czasy Ludwika Filipa i kampanii węgierskiej, był starszy od Vogela o lat parę, nauczyciel języka rosyjskiego, Gołotuzow. Z mohilewskich stron rodem, powołany został z Rewla do Mitawy — w r. 1846. Kamień zżył by się z kamieniem w ciągu lat trzydziestu. Poczciwy Gołotuzow zżył się z gimnazjum mitawskim, jak rodzony z rodzonymi. Zachował tylko tą i ową właściwość wrodzonej obyczajowości i pochodzenia — oryginał był potroszę, pedant, ale pewnej wyjątkowości swego stanowiska nigdy nie nadużył. Nas, Polaków, wręcz — lubił dla tej prostej przyczyny, iż łatwiejszą z nami w nauczaniu miał sprawę. Gołotuzow był wyższym nauczycielem języka rosyjskiego (pięć godzin tygodniowo poświęcano we wszystkich klasach językowi rosyjskiemu); mieliśmy współcześnie drugiego jeszcze nauczyciela dla rosyjskiego języka, wykładającego w klasach niższych. Za moich czasów kolejno zajmowali to stanowisko: Łyzłow, Szulakiewicz i Kryłow, a do pomocy Gołotuzowowi przydany został Sokolow, jako *Oberlehrer*. Wszyscy jaknajsympatyczniejszą pamięć zostawili po sobie. Tem godniejszą wydaje mi się ona dziś do podkreślenia, ile że dziś dopiero pojmuję, jak zadanie tych zacnych z gruntu ludzi niełatwym było, skomplikowanym a niejednokrotnie

drażliwym. Co prawda, aspiracye nieco dalej sięgające poza program lekcyi języka rosyjskiego, miał jeden jedyny Sokołow i usiłował w granicach programu obudzić w nas zajęcie się i przejęcie się rosyjską — literaturą. Kandydatem był języków słowiańskich uniwersytetu dorpackiego, gruntownie wykształconym i wszechstronnie. Jeżeli się nie mylę, około roku 1879 czy 1880 dyrektorem został któregoś z gimnazyów w Warszawie lub Królestwie.

Jakbym w tej chwili miał ich wszystkich przed sobą, całe gremium profesorów naszych zgromadzonych w sali gimnazyalnej w owym dniu czerwcowym r. 1875. Suchy, wysoki nauczyciel matematyki, Napierski, typowy pedagog-niemiec, roztargniony, pedantyczny, powalany kredą ocieraną wiecznie z palców o poły granatowego munduru przy wygłaszaniu aforystycznej konkluzyi: *Quod erat demonstrandum*. I chórem, nieodmiennie: *Quod erat demonstrandum!* powtarzała cała klasa... Niebyło wypadku, aby jaka pałka lub dwójka Napierskiego stanęła komu w promocyi na zawadzie. Uczniowi, którego nigdy w klasie nie widywał (nic łatwiejszego nie było jak wymknąć się i całą lekcję przesiedzieć — w ogrodzie lub — przespacerować chyłkiem po mieście) stawiał po głębszym namyśle i przestrzegając «złotego środka» — trójkę. Trójka z matematyki — wystarczała. Co się działo podczas egzaminów — najtepsza wyobraźnia z łatwością sobie odtworzy. Oto Czernay *Oberlehrer* grecki, co go bano się jak ognia, i Sponholz również «od» greckiego nauczyciel dla klas niższych, niemniej wymagający i nieubłagany. Oto łagodny, ojcowski zawsze Kymmel, wykładający bezbarwnie nauki przyrodnicze. Oto Seesemann, pastor, historyk, teolog a przede wszystkim z głębi duszy «druh młodzieży», energiczny, szczery, dziarski, entuzyasta i «działacz», co się zowie, zawsze *frisch, fromm, fröhlich und frei!* upostaciowanie świeżości umysłu, młodzieńczości wrażeń, zapału, ruchliwości i niewyczerpanego zdrowia fizycznego i duchowego. Kontrast pyszny z kapelanem naszym a zarazem proboszczem



miejscowym ks. Rymkiewiczem, ascetą surowym, kazuiście, nietowarzystkim, na wiadomość o grożącej mu wizycie zbiorowej dam, piszącym na drzwiach swoich kredą: «Niema mnie w domu!» Pastora w Seesemannie mało było. Tyle tylko, że granatowego munduru ze świecącymi się guzikami nie nosił, jeno długi czarny, wiecznie rozpięty, z rozskrzydlonemi połami surduta i biały krawat. Seesemann, zawsze z wielką atencją dla kapelanów katolickiego i prawosławnego, nigdy, przenigdy nie pozwalający sam na najłżejszą wycieczkę polemiczną przy traktowaniu najdrażliwszych nawet tematów historycznych (Seesemann w niższych klasach wykładał historję), sam, nas katolików, ileż to razy do praktyk religijnych i zbożnej obserwacyi zapędzał! Był zaś duszą przedewszystkiem niezapomnianej pamięci, *turnfestów*, t. j. majówek gimnazyalnych, wszelkich obchodów, wystąpień zbiorowych... Wśród młodzieży mir wielki miał, nie popuszczając nigdy jednak cugli rygorowi. Czuliśmy w nim — serce, gorące, męskie serce, bystry umysł, a udzielającemu się jego zapałowi, kipiącemu wciąż rwaniu się do czynu, do pracy, do wyrobienia w sobie dzielności i hartu ducha — któżby się oparł? Mam prawo przypuścić, że w samem gronie nauczycielskiem Seesemann, sekundowany dzielnie przez Diederichsa, stanowił ferment silnie wpływowy, ożywiający niepomniernie powagę, pedantyzm lub spokój innych członków kolegium. Do tych dwóch najdzielniejszych przymykał w pewnej mierze nauczyciel geografii i historii (*wissenschaftlicher Lehrer*) Dannenberg, aczkolwiek z kruszczu był odmiennego niż Diederichs i Seesemann i takim się też w następstwie okazał. Do grupy szarych całkowicie postaci należał flegmatyczny Urban, nauczyciel łaciny w klasach niższych. Dopełniali kolegium: nauczyciel języka francuskiego oraz arytmetyki w klasach niższych, Borel, rodem z nad Lemanu, bardzo lubiony dla miękkiej i delikatnej dobroci swojej; Döring, nauczyciel rysunku, Meissner śpiewu, oraz Wachsmuth, stary, siedmdziesięcioletni

(tak!) szwed z pochodzenia, ex-tancmistrz, nauczyciel — gymnastyki. A jak był jeszcze sprężysty oraz dzielny w komendzie! Adjunkta miał niepomiernej barczystości i siły i obaj trzymali gimnastykę (obowiązkową) na wysokiej stopie. Do wyżyn kunsztu sięgała za czasów moich gimnastyka w Mitawie.

W auli gimnazjalnej, na piętrze, po jednej i drugiej stronie potężnej katedry, z podwyższenia której czyta Dannenberg swój jubileuszowy referat, siedzą nauczyciele, przybrawszy na ten raz do grona swego byłych kolegów swoich. Najwyborowsze towarzystwo — publicznością trudno je nazwać — zapełnia salę po brzegi. Byłych uczniów, filistrów mitawskich mnóstwo. My — stłoczeni wzdłuż ścian, poza rzędami krzeseł i foteli.

Polaków w gimnazjum mitawskim kształciło się zawsze wielu. Najwięcej dostarczało ich ziemiaństwo żmudzkie, oraz z gubernii litewskich i białoruskich. Zwłaszcza po roku 1831 wzmógł się napływ młodzieży polskiej do Mitawy, a między 1870 a 1880 chyba był największy. Obecnie niema prawie Polaków w gimnazjum mitawskim.

Uczniowie Polacy, doszedłszy do *sekundy* (VI) lub *primy* (VII), przechodzili zazwyczaj bądź do którego z gimnazyów z językiem wykładowym rosyjskim, aby w uniwersytecie nie mieć ambarasów lingwistycznych, albo do którego z gimnazyów rygskich, by bliżej być politechniki tamtejszej, albo wreszcie, kierując się na inżynierów lub techników, do którego z gimnazyów realnych, zwłaszcza petersburskich. Spisy przeto Polaków *abituryentów* nie dają miary frekwencji Polaków, aczkolwiek spis ten wcale pokaźny i sędzę, niejedno wspomnienie obudzi.

Tak oto — począwszy od roku 1836 a kończąc na reku 1875 jubileuszowym — gimnazjum mitawskie, między innymi, ukończyli: Tyszkiewicz hr. Jan, Jan Lubański (z Lubania gub. wileńskiej, późniejszy założyciel Banku Ziemskiego w Wilnie), Michał hr. Krasicki (z Hłuszy (na Wołyniu), Witold hr. Krasicki (z Lubelskiego), Wład.

hr. Sołtan, Wacław hr. Krasicki (następnie właściciel Samojłowa w Grodzieńskim), obaj Fiorentiniowie tak dobrze znani w sferach towarzyskich i kupieckich wileńskich, Skirmunttowie: Kazimierz (późniejszy marszałek piński), Konstanty, Mikołaj, Henryk, Szymon, Zygmunt (zmarły w Paryżu w 1864 r.), Ant. Brochocki (późniejszy marszałek oszmiański, właśc. Morynia), Konst. Gorski, Hip. Billewicz, Jul. Mikszewicz (późniejszy profesor w Dorpacie i Kazaniu), Karol Baniewicz, Cezary ks. Giedroyć (następnie marszałek wileński), Michał hrabia Plater, Leon Gutowski (z Wołynia), Smogorzewski, Bol. Bortkiewicz (z kowieńskich stron), Zygm. Siwicki, Ed. Radecki-Mikulicz (z Kozaczyzny na Żmudzi), Zajączkowski (z okolic Słonima), Jan Chludziński (z gub. witebskiej), Leon Radecki-Mikulicz, Lud. Chodakowski, Wik. Plisowski, Piotr Rzańnicki, M. Zaranek, Józef Twardowski (z mińskiego), Józef Dymśa (ze Zdaniszek na Żmudzi), Henryk Medeksza, Rest. Sumorok (obecnie adw. przys. w Wilnie), Maryan Narbutt, Justus Dymśa...

Głów siwizną przypruszonych było sporo na sali... Wzruszenia było sporo na obcych nam, nieznajomych twarzach, któremi oto nagle zarojła się aula, n a s z a aula, dla nas zazwyczaj tylko dostępna. Nam samym uroczyście i rzewnie było na duszy. Poglądaliśmy na siebie i — na nich. Ktoś półgłosem rzekł:

*Ubi sunt, qui ante nos hoc loco fuere?*

Tak... Gdzie są ci, co przed nami tu byli? Gdzie my sami rozproszyliśmy się dziś po świecie, my gimnazyści mitawscy z 1870 po 1880? Gdzie? Sam nie wyliczyłbym już do ostatniego wszystkich Polaków-kolegów, którzy w dniu onym na sali się znajdowali, ale bez wyężania pamięci wyliczę sporo, sporo nas, cośmy przez dłuższy lub krótszy czas na gimnazyalnych ławkach współcześnie, jedni w tej, drudzy w owej klasie, lub w jednej, siadywali: Kordzikowski Józef (dziś w Radach swoich na Żmudzi gospodarzy), Czapscy hr. Stanisław i Henryk (z Berżan

na Żmudzi), Hołyńscy dwaj (z Wołynia), Dymaszowie: Eugeniusz (inżynier, w Petersburgu), Lubomir (docent uniw. petersburskiego, ożeniony z Kierbedziówną), i Henryk (w Ruszonie na Witebszczyźnie gospodarzy zawiesiwszy praktykę lekarską), Mar. Medeksza, Waclaw Oskierka, Chądzyński Bronisław (inżynier) i Władysław (w Bierwieńciskach, w Oszmiańskim gospodarzy), Korewowie, Bol. Ugiański, Wład. Zieliński (syn autora Kirgiza, gospodarzy w Skępem, w Poznańskim), St. Underowicz, F. Malewski, Römerowie (z Ciskad witebskich), Włodz. hr. Grocholski (bodaj gospodarzy na Wołyniu), Ant. Downarowicz, Jan Lubański, Fel. Gużewski, Benisławscy: Michał (konsul generalny duński w Petersburgu) i Mieczysław (gospodarzy w gub. witebskiej), Jan Giedroyć, Wacl. Dokalski, Minkiewicz (obecnie lekarz w Wilnie), Zbierzchowski, J. Urbanowicz, Syrewicz (znany adwokat dźwiński), J. Giedgowd, Węclawowicz, Zygm. (obecnie adwokatem jest w Mińsku), Grodziccy Kościałkowsy: Rudolf i Karol (obaj na roli osiedli w Nowo-Aleksandrowskiem), Monkiewicz, Wieliczko, St. Taraszkiewicz, Jankiewicz, Packiewicz, Witortowie, J. Siemiaszko, Zakrzewski, B. Hlasko (dziś wzięty w Wilnie okulista), Czesław ks. Światopełk-Mirski etc. etc.

Po latach trzydziestu — zejdźmy się choć na kartce tej, przygodnie. Może komu z nas nawinie się ona przed oczy hen! gdzieś na świecie Bożym i czasy mu mitawskie, dalekie, muzealne czasy przypomni... Obcy, wybaczą mi może tych martwych dla nich i nie mówiących nazwisk szereg. Niewyjąć ich jednak z restrospektywno-obyczajowego szkicu niniejszego. One to właśnie stanowić będą łącznik między Mitawą z przed trzydziestu lat, a każdym z nas, któremu *nil alienum*, co bądź kiedy i z bądź jaką grupą rodaków ścisły miało związek...

Więc tedy — nazajutrz po uroczystym «akcie», jeszcze w bardziej niepowszedni sposób upamiętniono jubileuszową rocznicę. Dano publiczne widowisko, godne zaiste ultra-klasycznej uczelni, gdzie na 3—4 godziny ma-

tematyki, na 2 godziny nauk przyrodniczych przypadało tygodniowo 7 do 9 godzin łaciny i 5 do 6 greki.

W ogrodzie przylegającym do gimnazjalnego gmachu, pod rozłożystymi kasztanami wzniesiono w najczystszej stylu teatr grecki, t. j. proscenium z dwoma po bokach skrzydłami, nadającymi scenie całej wygląd tryptyku, na przodzie z «orchestrą» i ołtarzem Dyjonizosa, jedynie bez właściwego półkolistego «teatron» dla widzów, zastąpiwszy go półkolem kilkunastu rzędów krzeseł i foteli. I odegrano przy wyłącznym udziale uczniów klas wyższych «Antygonę» Sofoklesa — w oryginale!

Że zaproszona publiczność była jaknajbardziej wyborowa, że pomimo to ten i ów, a zwłaszcza ta lub owa siedzieli jak na najautentyczniejszym... greckim kazaniu, że spektakl wywarł wielkie wrażenie i że całość tej wspaniałej deklamacji pod otwartym niebem, przy pysznej pogodzie, przy wielkiej stylowości kostyumów i *mise-en-scène*, niezwykle i piękny dawała obraz — chyba nie rzecz zapewniać. Słuchano z wytężoną uwagą; patrzano jak na troje dziwów, a niejednemu wprost zdawało się, iż słowo do słowa rozumie zawodzenia nieszczęsnej Antygony:

Wyteżajcie wzrok obywatele,  
Patrzcie na mnie oto, stającą  
Raz ostatni drogą tą! Ostatni  
Raz mię Helios blaskiem swym ozłaca...

A chór, pod przewodem zacnego Maryana Medekszy, przepysznie sędziwego pod lnianą, pełną pudru brodą — nuż pocieszać nie ją, ale rozpaczającego Kreona, tebańskiego króla:

Próżne biadanie, królu, nic śmiertelnych  
Zbawić nie może od doli,  
Którą przeznaczy im los!...

A jednak to pięknie brzmiało po grecku! Niczem muzyka samego Mendelssohna, którą widowisko przeplatała

orkiestra. A co za klasyczna powaga i spokój wobec katastrofy, którejby się najromantyczniejszy dramaturg nie powstydzil! Umiera Antyгона, śmierć sobie zadają Hemon szczytny młodzieniec i matka jego, Kreon od zmysłów odchodzi, a Maryan Medeksza jak gdyby nic, tylko laską znak daje i korowód chóru raz jeszcze obwodzi dookoła ołtarzowej «timele» i my za nim uroczycie a z nadzwyczajną precyzją skandujemy raz jeszcze, jak najrodowitsi atenczyicy:

»Próżne biadanie, królu...«

Dreszcz przebiegał po audytoryum — ale dreszcz szczytny!

Trzeciego dnia odbył się, bardziej niż kiedy tłumny, huczny, ożywiony, *turnfest*.

Doroczny to był nasz, oczekiwany, umiłowany festyn. Majówka za miastem; pochód na szczerą wieś do miejscowości nad rzeką Aa, zwanej Bergleding; rozłożenie się tam na cały dzień obozem; zjechanie się do obozu naszego *tout Mitau*; publiczne popisy gimnastyczne; gry, zabawy (przy udziale wszystkich nauczycieli); uczta pod otwartym niebem u nieskończenie długich stołów, z desek pozbijanych; ognie sztuczne; uroczyste rozdawanie nagród za wybitne odznaczenie się w gimnastyce (żeton wpięty w wieniec z dębowych liści!); wreszcie o zapadającym zmroku powrót do miasta przy rozwiniętych sztandarach (gimnazjum miało swój «własny» sztandar, a każdemu wolno było też chorągiew o jakich chciał barwach sobie sporządzić; zazwyczaj grupowano się pod chorągiewami); — wreszcie pochód z początku z latarniami kolorowymi, a następnie przy świetle płonących pochodni (*Fakelzug*).

Wczesnym rankiem ściągano na gimnazyalny dziedziniec, skąd wyruszały już wozy z majówkowymi przyborami i prowiantami. Ruch, gwar, rozlegające się komendy szykujących pochód; nastrój... no, któż opisze nastrój «majówkowy» czterystu chłopaków i młodzianów zelektryzo-

wanych taką chwilą! A tu maj, wiosna, słońce, swoboda  
zupelna, *mise-en-scène* zdolna najlimfatyczniejszą naturę  
podbudzić! Chorągwie rozwinięte, zieleń u czapek, muzyka  
gra... Marsz, marsz! Seesemann machnął chorągwią i wrę-  
czył ją chorążemu, *ordnery* rzucili się na flanki potężnej  
kolumny; na oścież otwarto (zazwyczaj zamkniętą) wielką  
bramę w parkanie dziedzińca i — z setek młodych, go-  
rących piersi gruchnął śpiew, buchający, wzwyż lecący  
śpiew, niezapomniana, złota pieśń majowa Geibla:

Der Mai ist gekommen,  
Die Bäume schlagen aus,  
Da bleibe wer Lust hat,  
Mit Sorgen zu Haus!..

My zaś pójdziemy sobie hen! hen! pod szerokie, jasne  
niebo w pola, po łąkach, drogą wielką, sadzoną, winącą  
się w świat! Pójdziemy sobie śpiewający, upojeni prze-  
stworzem, wiosną, własną młodością naszą, zapalem rwią-  
cym się ot, Boże ty nasz, Boże! rwiącym się w górę,  
w górę do wszystkiego, co niedościgłe a podgwiezdne,  
do czegoś, co musi być, powinno być, co jest!.. tam, tam  
dokąd my dotrzemy, dokąd — polecim!

O Wandern, o Wandern,  
Du freie Burschenlust,  
Da wehet Gottes Odem  
So frisch in die Brust!..  
Da singet und jauchzet  
Das Herz im Himmelszelt:  
Wie bist du schön, o du weite,  
Du weit', weite Welt!

Z pamięci cytuję. I melodyę bym jeszcze co do nuty  
podchwycił — gdyby — gdyby śpiewać dziś było z kim,  
gdyby maj był przedemną i przedemną leżał jak przed  
laty słoneczny, nieznanany, bezgraniczny Boży świat...

Die weite, weite Welt...

Bodaj że wszystkie pieśni nasze pamiętam. Śpiewało się chóralnie kilka ich jedynie, należących, by tak rzec, do oficjalnego repertuaru. Kto ich uczył? Tradycja gimnazjalna. Śpiewali je *atecessores* nasi! na turnfestach jeszcze Akademii *Petrinae*. Śpiewali je z nami chórem profesorowie nasi.

I Schenkendorfa »Freiheit, die ich meine«:

Hinter dunklen Wallen,  
Hinter ehr'nem Thor  
Kann das Herz noch schwellen  
Zu dem Licht empor!

i Göthego «Śpiewaka»: «Was hör' ich draussen vor dem Thor?» i uciészną prastarą pieśń: «Die Binsgauer wollten wallfahrten gehen — Sie täten gerne singen und kunnten's nit gar schön», do której nieskończone warianty i «dalsze ciągi» dorabiano; i Uhlanda «Es zogen drei Burschen wohl über den Rhein»; i tegoż Uhlanda «Ich hatt' einen Kameraden», no i rozumie się — «Gaudeamus». Zostałem już w repertuarze «Die Wacht am Rhein», a raczej przy mnie właśnie rozległa się ona po raz pierwszy na dziedzińcu gimnazjum mitawskiego na wiosnę roku 1871. Śpiewaliśmy ją i my Polacy, a tak! — śpiewaliśmy, nie dłużej jednak jak przez parę lat, bynajmniej nie przez «anse» do Francuzów, których stronę trzymaliśmy i przed i po Sedanie, po Sedanie tem bardziej! ale *par complaisance* koleżeńską. Poczeliśmy jednak zwolna cichnąć i — nie śpiewaliśmy już potem nigdy «Die Wacht am Rhein»... I — nie brano nam tego za złe. Jedyne też to był moment koleżeńskiego separatyzmu.

Śpiew wogóle gorliwie był uprawiany, a Meissner, jak się rzekło, nauczyciel nasz śpiewu, bynajmniej synekury nie piastował. Kwartety zwłaszcza były bardzo w modzie. «O Tannenbaum, o Tannenbaum!», «Wer hat dich, du schöner Wald...» Albo to wszystko wyliczyć! — Wł. Grocholski, kolega nasz najsympatyczniejszej pamięci



uczył się z gorliwością godną najszczytniejszej sprawy — grać na... waltorni (Naturhorn). Gdy raz na koncercie publicznym wystąpił *solo* — i tony jał wypuszczać do niemożliwości dwuznaczne, osiągnął efekt, o którym się z pewnością żadnemu wirtuozowi nie śniło: od uciechy niezmiernej a całkiem nadprogramowej trzęsła się cała sala. Sam jednak wybór instrumentu dowodzi, jak wszechstronnie kwitła ongi muzykalność i muzyka w gimnazjum mitawskim.

Pomimo dnia spędzonego w ciągłym ruchu, powrót z turnfestu był, kto wie, czy nie najgwarniejszym i najożywieńszym epizodem majówki. Odznaczeni gimnastycy szli, wieńce swoje przenizawszy przez rękę na ramię; wszyscy liście dębowe mieli u czapek i u piersi; liście dębowe zdobiły u góry chorągwie; kapela grzmiała, rozlegały się śpiewy. Miało się w sobie ogromny zapas rzeźwości, rozbudzonej energii, zaczerpniętego z powietrza zdrowia, nieco upojenia, a animuszu i fantazyi co niemiara. Szło się, zwróciwszy na szosę podmiejską, już przy świetle płonących pochodni. Miasto całe wylegało na spotkanie wracającej młodzieży «swojej» — a widok był istotnie malowniczy, ów pochód czterystu nas, maszerujących wolnym gimnastycznym krokiem, przy rozwiniętych sztandarach, ordynkiem już przykładowym, pod blaskiem i dymem pochodni, waląc w ciche ulice rozgłosnemi pieśniami... Zmieszani z młodzieżą, lub po bokach ognistego węża, maszerowali dziwnie jakoś dziarskim krokiem, zakurzeni, głośno rozmawiający z nami i między sobą, profesorowie nasi, sami odświeżeni, odmłodzeni... Zbliżaliśmy się ku gmachowi gimnazjum. Gruchnęły fanfary kapeli; ogień bengalskie zapłonęły na wieży, na powitanie nasze, zalewając cały plac przy Palais-Strasse, usiany spotykającą nas publicznością. Pochód stanął; rozległy się komendy *ordner'ów*, zachwiało się morze pochodni: akt finalny turnfestu nastąpił. Na sam środek trawnika przed gimnazjalnym gmachem rzucono na stos gorejącej niedopalone po-

chodnie; coraz większy płomień wzbijał się w górę, mieszając żółte blaski smoły i dymu z potokami czerwonego światła bengalskich ogni. A kwartet, ćwiczony od dawna dla tej chwili, stanąwszy przed podwojami gmachu, pod batutą samego Meissnera, z towarzyszeniem chóru, intonował rozlegającą się szeroko w ciszy nocnej, ulatującą z blaskami pochodni hen, pod niebo same, poważną, dziwnie przejmujące sprawiającą wrażenie, majestatyczną i rzewną, przechodzącą w coraz wolniejsze *adagia*, cichnącą powoli w echach chóru — pieśń pożegnania.

Stos pochodni dogasał; — zapełgał jeszcze płomyk jeden, drugi; skier garść pomknęła w górę — dym po raz ostatni buchnął i opadł. Ruszył się tłum cały, przed chwilą w śpiew zasłuchany, w widowisko zapatrzony; gwarno i rojno uczyniło się wkrąg. Żegnano się, wznoszono *hoch!* dziękczynne profesorom, ściskano się... «Do przyszłego turnfestu!» Turnfest był skończony. Rozchodzono się.

Letniej, cichej, cieplej nocy srebrzysty księżyc wypłynął z za przelotnych chmur i objął w posiadanie widownię przed chwilą jeszcze tak kipiącą i grzmiącą, teraz cichą znów i bezludną. W głębi placyku swego, za gazonu półkregiem, stoi milczący, górujący nad otoczeniem, osypany księżycowym blaskiem, wspaniały gmach stuletni *Akademii Petrinae*...

---

### In illo et hoc tempore.

Dwieście lat stosunków polsko-kurlandzkich. Wierny wasal *usque ad finem*. — Kościół katolicki w Kurlandyi. — Dzisiejsza *Jelgawa*. — Wędrówka po mieście. — Życie towarzyskie polskie w Mitawie przed trzydziestu laty. — Arystokracja kurlandzka. — *Ritterhaus*. — Na zamku mitawskim. — W krypcie grobowej książąt kurlandzkich. — Burboni w Mitawie. — Kontrakty św. jańskie. — Teatr. — Muzeum Prowincjonalne i Kurlandzkie Towarzystwo *für Litteratur u. Kunst*. — H. Diederichs. — Kolumnady. — Maurycy Saski w Mitawie. — Rok 1812. → »Dysputa« na zamku. — Delegacya książęca w Warszawie w 1688. — Dalsza wędrówka po mieście. — »Obcy« przechodzień.

Dwieście lat wasalem była Kurlandya korony polskiej. Dzieliła z Polską dolę i niedolę; między Szwecyą, Rosyą i Prusami stała nieraz bezradna, tak jak Polska między trzema sąsiednimi mocarstwami; nie uległa losowi państwa polskiego, przeszedłszy w całości pod berło rosyjskie, ale wspólnie z państwem polskim samodzielność swoją (bardzo luźnie pod ostatek lenniczą) utraciła.

Nie rzecz powtarzać na tem miejscu *curriculum* powszechnie znanych dziejów Kurlandyi. Pod Kawalerów Mieczowych władzą — a bywało ich przeciętnie po 200 zaledwie w Zakonie t. zw. inflanckim — po klęsce zadanej kawalerom przez Litwę pod Saule (w pobliżu dzisiejszego Bauska), przechodzi Kurlandya w roku 1237 pod władzę Krzyżaków, którzy resztki kawalerów Mieczowych przygarniają, a ze 400 własnych braci-rycerzy w Liflandyi i Kurlandyi osadzają. Rzecz prosta, owych 400 rycerzy, rodem z Niemiec północnych, z Saksonii, z Westfalii, z Fryzyi<sup>1)</sup> stanowiło jedynie jądro siły krzyżackiej, panującej w Kurlandyi, oraz wojsk krzyżackich, strzegących jej granic. Pod inflancko-krzyżackim sztandarem stało mrowie mieszczan, zacieężni żołdacy, służba, wasalowie, wreszcie chłopstwo lotewskie i estońskie. Nie mniej

---

<sup>1)</sup> L. Arbusow: „Die im D. Orden in Livland vertretenen Geschlechter“ — w „Jahrbuch für Genealogie und Heraldik“ na rok 1899.

jednak odłam krzyżactwa, gospodarującego w Kurlandyi, wespół z również niemieckimi Kawalerami Mieczowymi, pierwszy krzewił kulturę na kurlandzkiej ziemi, a już półsiódma stulecia temu.

Wówczas to mistrz (Herrmeister lub Landmeister) krzyżacki dla Inflant Konrad von Mandern wznosił w roku 1265 twierdzę, czyli, jak wówczas mówiono, «dom»: Mitawę nad rzeką Aa. Twierdza była palisadami otoczona i ostrokołami, tworząc t. zw. «Hakelwerk», spalony niemal do szczętnie w roku 1345 przez Olgierda podczas jednej z licznych jego wypraw w granice posiadłości Zakonu. Ale Olgierd nie zdołał zrównać z ziemią samych ścian twierdzy, z ciosanego kamienia wzniesionych; znowu tedy palisadami i ostrokołami obwiedziono odrestaurowany «dom» Mitawski, i znowu mieli co palić Litwini w 1361 oraz w 1376 roku, owdładnąwszy Mitawę pod wodzą Kiejstuta. Litwa została ochrzczoną; nastały czasy Jagiellonów, czasy dla Mitawy spokojne i powoli poczęła dookoła twierdzy zabudowywać się osada stanowiąca rezydencję krzyżackiego komtura, sprawującego rządu nietylko nad Mitawą, ale i nad całą okoliczną dzielnicą, z ramienia i w imieniu malborskich wielkich mistrzów Zakonu, a ściślej inflanckiego mistrza prowincjonalnego<sup>1)</sup>.

Historycy powiadają, że miasto Mitawa powstawać zaczęło dopiero za rządów inflancko-krzyżackiego hermistra, później *hersoga* Gottharda Kettlera, owego Kettlera, w dłoniach którego rozpadło się ostatecznie panowanie Krzyżaków na Inflantach, i który pierwszym kurlandzkim wasalem był Polski. Jak wiadomo, rozpoczęły się w roku 1561 układy między Kettlerem a w. kanclerzem dla Litwy Mikołajem Radziwillem; 28 listopada tegoż roku podpisany został akt «poddania się» (*pacta subjectionis*) Inflant — Polsce. Kurlandya stała się lennem księstwem Polski (Lehnsherzogtum), a Gotthard Kettler uznany został za księcia kurlandzkiego z zapewnieniem dziedzictwa dla jego

---

<sup>1)</sup> H. Diederichs: „*Wanderungen durch baltische Städte*“.

linii męskiej. Na północ położone od Dźwiny dzielnice, właściwą Liflandyę stanowiące, poddały się bezpośrednio królowi polskiemu, jedna tylko Ryga zachowała — na czas niedługi — samodzielność swoją. Szlachta inflancka otrzymała zagwarantowane przez króla polskiego przywileje (*Privilegium Sigismundi Augusti*). Dnia 5 marca 1562 roku w Rydze złożył książę Kettler uroczystą przysięgę na wierność suzerenowi swemu i, zdjąwszy z siebie krzyż Zakonu oraz płaszcz hermistrza, przyjął hold szlachty kurlandzkiej.

Od tej daty aż do chwili zniknięcia Polski samej z widowni Europy, zwierzchnictwo polskie nie ustawało nad Kurlandya, zwierzchnictwo atoli, by tak rzec, czysto formalne. Poza obrębem nacisku od czasu do czasu z Warszawy w sprawach kościelnych, poza dyplomatycznymi stosunkami, poza obowiązkowem oddawaniem spraw kurlandzkich do aprobaty królewskiej — związek Kurlandyi z Polską był nader luźny. Zwierzchnictwo polskie wierzało na Kurlandya wpływ czysto i jedynie politycznej natury. Kraj był i pozostał niemieckim, niemiecką dalej rozwijał w granicach swych kulturę i niemiecką obyczajowość. Od Polski nie przejął nic, pomimo «braterstwa» broni pod Kirchholmem, kiedy to książę kurlandzki Fryderyk *nolens volens* jako wasal Polski walczyć musiał pod sztandarem Chodkiewicza, pomimo licznych stosunków Mitawy z Warszawą, pomimo iż królewicz polski, syn Augusta III, był księciem kurlandzkim, co prawda, tylko nominalnie, i przez lat coś ogółem cztery na zamku mitawskim przerezydował.

Lenna zawisłość od Polski (tak potężnej w XVI wieku) nie przyniosła Kurlandyi żadnej korzyści okrom jednej: państwo polskie, względnie rząd polski pozwolił zachować Kurlandyi jej niemieckość oraz prowincjonalną odrębność. Silniejszy suzeren byłby niechybnie nadwreżył jedno lub drugie, albo obie właściwości tak drogie Kurlandczykom. A ochotników do zaanektowania Kurlandyi,

bynajmniej nie na podstawie zależności lenniczej, nie brakło w ciągu dwóch stuleci. Kolejno: Rosya, Szwecya i Prusy sięgały po Kurlandyę. Od niej samej zależało nieraz: oderwać się od Polski i przyjąć inne wasalstwo. Nie uczyniła tego; lojalnym była wasalem Polski — *usque ad finem*, lawirując między kolatającymi nią prądami pod mądrą bardzo flagą — ścisłej neutralności. Nie bez racyi zowie historia kurlandzka politykę najznakomitszego z hercogów Jakóba — mądrą; a Bóg i ludzie wiedzą, w jak ciężkich bywał opalach, naciskany zbrojnie przez Rosyę, wobec Polski blizkiej ostatecznej zguby, wabiony przez potężniejące Prusy, więziony przez zwycięskiego króla szwedzkiego.

Nie wyliczyć i wypowiedzieć, co przecierpiała Kurlandya w ciągu półtora wieku, mniej więcej od 1600 do 1720 roku, a i później jeszcze wskutek znajdowania się między trzema młotami a kowadłem. zdolnem tak słabe dać oparcie, jak Polska ówczesna. Krajby niejeden stracił cierpliwość i rzuciłby się w czyje bądź ramiona, byle — najbarczystsze, najpotężniejsze, zdolne według przypuszczalnego obliczenia, dać najtęższą opiekę i osłonę...

Gustaw Adolf zdobywa w 1621 r. Mitawę i opanowuje rezydencyjonalny zamek księcia Fryderyka, który w polskich szeregach walczył przeciwko Szwedom. Krzysztof Radziwiłł odzobywa Mitawę w 1622 r. i zwraca stolicę kurlandzkiemu księciu. W październiku 1625 roku znowu Mitawa w ręku Szwedów, i Szwedzi buszują po niej, jak rodowici wandale; palą, grabią, mordują. Gustav Adolf ma nawet zamiar przesiedlić wszystkich mieszczan mitawskich do Szwecyi. Na szczęście pokój z Polską stanął w Altmarku, Gustav Adolf pociągnął wojować do Niemiec, Kurlandya odetchnęła i Mitawa poczęła dźwigać się z ruiny. Rządy księcia Jakóba dały krajowi rozkwit i rozwój ekonomiczny niebywały. Wybucho nowa szwedzko-polska wojna. Książę Jakób, jak się rzekło, broni się energicznie przeciwko wszelkiemu w niej udziałowi. Na nic się nie

zdało. Karol Gustaw opanowuje w październiku 1658 roku Mitawę, z zamiarem przyłączenia całej prowincyi do Szwecyi, więzi księcia i osadza go w Rydze, część Kurlandczyków zmusza do złożenia homagialnej przysięgi, czyniącej z nich szwedzkich poddanych, a jednocześnie w utarczkach z wojskiem polskim dewastuje Kurlandyę. Dwa lata bez mała trwa w Kurlandyi gospodarka szwedzka, podczas gdy Jan Kazimierz całe niemal państwo swoje traci i odzyskuje na nowo. Ustępuje nareszcie z Rzeczypospolitej «potop» szwedzki, wojska polskie zdobywają Mitawę; pokój Oliwski kładzie kres temu straszliwemu szwedzkiemu *intermezzo*, książe Jakób odzyskuje swobodę oraz wyniszczony do cna swój kraj. I znowu podźwiga się Kurlandya, odzyskuje zamobność, rozwija przemysł, ba! upiększa się dzięki zamiłowaniu do budownictwa i gustom *à la* Ludwik XIV księcia Fryderyka-Kazimierza, jaknajwierniejszego wasala Polski *quand même*.

Przechowuje się w mitawskim archiwum szlacheckiem charakterystyczna i ciekawa «instrukcyja» francuska, dana przez księcia Jakóba nauczycielowi czternastoletniego syna swego, późniejszego księcia Fryderyka Kazimierza. Nauczycielem tym był domniemanie Adam Fleming, a instrukcyja nosi datę 10 maja 1664 roku, czyli skreślona była w sześć lat po onej strasznej inwazyi szwedzkiej, wywołanej wiernem i statecznem trzymaniem Kurlandyi z Polską. »Monsieur le Gouverneur aura soin — pisze ks. Jakób, eks-więzień szwedzki — que le Prince aisé, nostre cher et bien aimé Fils, soit eslevé dans la fidelité et affection au Roy et à la Reine de Pologne... qu'en jouant il soit aussi instruit par le precepteur Langner en la langue polonoise...» <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Jako dokument obyczajowy instrukcyja ta ma wartość nie-malą. Daje ona miarę jak, nawet towarzysko, stał wysoko dwór mitawski w czasach, gdy w samym Wersalu panowały zwyczaje i obyczaje — zdumiewające (Porów. A. Franklina: „*La vie privée*”).

Po czasach silnej a nawet zbrojnej ingerencji szwedzkiej w sprawy kurlandzkie nastają czasy jeszcze uporczywszej, potężniejszej i mądrzejszej ingerencji rosyjskiej. Piotr Wielki wypędza Szwedów z Mitawy w 1705 r., odzyskuje ją Löwenhaupt w 1707 r., po bitwie Połtawskiej w listopadzie 1709 r. wojska rosyjskie opanowują Mitawę a car Piotr, dokonawszy uroczystego wjazdu do miasta, osadza na tronie książęcym młodego Kettlera Fryderyka Wilhelma — w dalszym ciągu wasala.... Polskil «W roku 1699 (właściwie w 1697) podróżował Piotr Wielki po Kurlandyi — pisze Bilbasow — i zachwycony był Kurlandją. Zapraǳnął posiadać piękną tę, zamożną prowincyę, na morze otwartą takimi portami, jak Libawa i Windawa. Spróbował osiągnąć cel zamierzony, wydając synowicę swoją za księcia kurlandzkiego, biorąc w zastaw książęce obszerne posiadłości. W przeddzień zgonu mówił jeszcze o wielkiem znaczeniu, któreby mogło mieć dla Rosyi posiadanie Kurlandyi. Zamiar Piotra Wielkiego przyswoiła sobie Katarzyna II i urzeczywistniła go w sto lat po odbytej przez cara Piotra kurlandzkiej podróży.»

Krokiem stanowczym do ugruntowania wpływów rosyjskich w Kurlandyi było wrócenie do łaski księcia Ernesta Birona, odwołanie go z głębi Rosyi, gdzie wygnaćczy pędził żywot i osadzenie go powrotne na zamku w Mitawie. Z zamku mitawskiego usunięto bez wielkich

---

*d'autrefois*“, [Paryż, 1886). Nacisk, który kładzie książę na przystojne zachowywanie się syna u stołu, wobec służby, podczas ubierania się, na sposób chodzenia i wyrażania się etc. — zasługuje na nie mniejszą uwagę, niż przepis dotyczący gruntownego zapoznania go z językami: łacińskim, francuskim i polskim, ponieważ »aby dobrze rządzić krajem, należy poznać dokładnie dzieła o sztuce panowania traktujące«. Wnosićby stąd wolno, że sam książę Jakób język polski znał i wcale nie lekcewał autorów polskich „*qui ont appris de gouverner les Monarchies*“. (Rzeczona *Information* podana *in extenso* w »Sprawozdaniu Kurlandz. Towarzystwa Liter. Historycznego« za rok 1897).



ambarasów królewicza polskiego. Nie podtrzymała praw jego Saksonia, zabiegająca o względy cesarzowej Katarzyny z racji dokonywanego właśnie rozrachunku wojny, t. zw. siedmioletniej; nie podtrzymały księcia Karola Prusy, bo Fryderyk II wogóle Sasów nienawidził; nie ujęła się za księciem Polska, gdzie syn Augusta III nie miał nie tylko sympatyj, ale nawet przyzwoitego stronnictwa, gdzie niedawno jeszcze kanclerz Czartoryski wzdragał się na dyplomie książęcym królewicza pieczęć W. Ks. Litewskiego położyć. Nie troszczyła się wreszcie zgola Europa, kto na tronie książęcym w Kurlandyi zasiada, nie przypuszczając, aby cesarzowa Katarzyna popierała w osobie Birona *własną* sprawę, aby powrót Birona do Mitawy mógł być zwiastunem nastąpnego we dwadzieścia parę lat potem przeobrażenia lennej polskiej prowincyi na gubernię rosyjską.

Zaiste nie do zbytku *polską* była Kurlandya w ciągu owych lat dwudziestu. Ernest Biron rządził w niej bez ograniczenia żadnego, czując za sobą bagnety rosyjskie Daszkowa, stojącego załogą w Mitawie, mając w każdej chwili oparcie na 44 tysiącach wojsk rosyjskich, rozciągniętych wzdłuż granic kurlandzkich, a przeznaczonych przez cesarzowę dla «strzeżenia praw prawowitego księcia». Nie zmieniła się postać rzeczy za rządów księcia Piotra, ostatniego księcia kurlandzkiego.

Polska słabła. Król Stanisław August wciąż wykonywał funkcje kurlandzkiego suzerena z właściwą sobie ostentacją i majestatycznością, ale po pierwszym i drugim rozbiorze (które odcięły terytoryalnie wasala od suzerena), aczkolwiek granice Rosyi nie sięgały jeszcze po Połagę, czuć było, iż to posunięcie granic jest już tylko kwestyą czasu.

W niespełna miesiąc po upadku Kościuszkowskiej insurekcji, po zdobyciu Warszawy, po ostatecznym upadku państwa polskiego, szlachta kurlandzka z Howenem na czele podała księciu Piotrowi petycję, domagając się: poddania się Kurlandyi Rosyi i złożenia jej losów w ręce

wspaniałomyślnej cesarzowej rosyjskiej. Dosłownie: *sich der russischen Kaiserin vollständig zu unterwerfen und Kurlands Geschick ihrer Grossmuth anheimzugeben*. Nie o żaden protektorat, nie o żadną lenniczą zawisłość chodziło szlachcie kurlandzkiej; domagała się zupełnej aneksyi Kurlandyi przez Rosyę. Z analogicznym projektem i propozycyą zwróciła się już była w 1791 r. do Polski. Szlachcie kurlandzkiej, rozrodzonej obficie na posiadłościach swoich, ciasno poczynało być w Kurlandyi. Szukała też wygodniejszych dla siebie na obszarach starostw i nadań polskich. Ale Polska sama upadła — tedy szlachta kurlandzka rzuciła się w objęcia Rosyi, oraz na nawpół-dziewicze obszary rosyjskiego imperyum.

Książę Piotr petycyę z oburzeniem odrzuca. Ale szlachta kurlandzka udawała się już dwa lata temu pod protekcyę cesarzowej Katarzyny, która wzięła gorliwie stronę szlachty przeciwko księciu i «potwierdziła» znany *układ*, zawarty między księciem i szlachtą (Compositions Akte z 1793), mocą którego władza książęca zeszła do zera. Pędzi tedy książę Piotr do Petersburga w nadziei zażegnania całej sprawy. Wicekanclerz hrabia Ostermann i hrabia Zubow zabawiają go bardzo interesującymi konferencyami — a tymczasem zbiera się w Mitawie sejm kurlandzki, ostatni sejm kurlandzki.

I sejm postanawia: uznać wszelką zależność Kurlandyi od Polski za istnieć przestałą, wymóżyć na księciu abdykacyę i poddać się bez żadnych zastrzeżeń Imperatorowej. W manifeście, podpisanym przez sejmującą szlachtę kurlandzką dnia 17 marca 1795 roku, czytamy: «Poddajemy się (*wir unterwerfen uns*) J. Ces. Mości Władczyni Wszechrosyi, oraz berłu Jej — bezpośrednio. Pozostawiamy Jej rozrządzeniu losy przyszłe nasze, pełni submissyi i zaufania, ile że J. Ces. Mość była nieustannie wspaniałomyślnym obrońcą i poręczycielką naszych dotychczasowych praw, przywilejów, zwyczajów i posiadzań, oraz ponieważ tuszymy, iż J. Ces. Mość, we wspaniałomyślności Swej

i dobroćliwości, niechybnie zechce mieć pieczę matczyną o przyszłość pomyślną kraju, który z pełną i granic nie mającą ufnością poddaje się Jej.»

Wydelegowano natychmiast do Petersburga deputacyę. Deputacya miała oświadczyć księciu Piotrowi, że z powodu zaszłych zmian na horyzoncie politycznym, szlachta kurlandzka czuje się uwolnioną od przysięgi, złożonej na wierność księciu, i że wskutek upadku Polski, on sam z natury rzeczy przestał być księciem kurlandzkim i wasalem nie istniejącej Polski. Deputacya miała następnie manifest szlachty zakomunikować rządowi rosyjskiemu i wierнопoddańczą przysięgę złożyć cesarzowej Wszechrosyi.

W przeddzień przybycia do Petersburga von der Howen'a na czele deputacyi, ks. Piotr uprzedzony o wydelegowaniu deputacyi i o jej zamiarach, unikając upokarzającego poddania się decyzji własnych poddanych, złożył najformalniejszą abdykacyę w ręce hrabiego Ostermanna.

Deputacya otrzymała bezzwłocznie audyencyę u cesarzowej i wypełniła skrupulatnie resztę swego programu. W pierwszych dniach kwietnia pisała Katarzyna II do Grimma: «Panowie Kurlandczycy nie przybyli tu (t. j. do Petersburga), aby stawiać jakie bądź warunki; proszą jedynie o zrównanie ich kraju z innemi dzielnicami państwa, to jest o przekształcenie Kurlandyi na gubernię. Odpowiedziałam im, że się to samo przez się rozumie i że natychmiast zarządzenia wydane zostaną przygotowawcze, wykreślone zostaną granice powiatów, utworzone zostaną cztery wydziały administracyjne, wzniesione zostaną budowle dla rządowych instytucyi i wewnętrzny zarząd kraju zostanie z centralną władzą państwową złączony. Na to wszystko potrzeba zazwyczaj roku, ale ponieważ robiono to już razy ze czterdzieści i mnóstwo już wyrobiło się ludzi biegłych w załatwianiu spraw takich, pójdzie wszystko jak z nut; wszyscy są zadowoleni i ja też.»

Dnia 20 kwietnia siedmnastu obecnych w Petersburgu

Kurlandczyków -deputowanych złożyło wobec zebranego *in pleno* senatu przysięgę wiernopoddańczą, której rotę odczytał pastor Wolff. We cztery dni potem wykonały wiernopoddańczą przysięgę wszystkie stany w Mitawie, a do dnia 1 maja zaprzysiężoną została Kurlandya cała. Dnia 1 maja pojawił się ukaz Najwyższy, mianujący barona von der Pahlen generał-gubernatorem kurlandzkim, pod koniec miesiąca inny ukaz polecił wprowadzić na obszarze całej Kurlandyi administrację gubernialną. W styczniu 1796 roku dokonana została ostatecznie reorganizacja. Kurlandya stała się gubernią kurlandzką<sup>1)</sup>.

Po dwóchsetleciu stosunków polsko-kurlandzkich nie zostało śladu w Mitawie. Nic tam o nich nie mówi; nic ich nie przypomina. Cała staroświecczyzna mitawska — nie polska, niemiecka, książecka. Nawet w roku zeszłym zburzono doszczętnie stary kościół katolicki, wzniesiony między 1642 a 1645 rokiem przez księcia Jakóba na rozkaz króla polskiego. Obok kościoła istniał przez czas krótki klasztor jezuitów, a właściwie kolegium, bardzo uczęszczane nawet przez uboższą młodzież protestancką. Po zniesieniu zakonu, kolegium zamknął książę Piotr Biron w 1782 r., a na jego miejscu istnieje obecnie przytułek dla ubogich mieszczanek mitawskich, przytułek wciąż nazywany uporczywie «klasztorem».

Wogóle w obrębie dawnej Kurlandyi istniały tylko trzy katolickie kościoły, uznane przez rząd książeący. Książę Jakób, składając w 1639 r. lenniczą przysięgę, musiał przyrzec, że dwa kościoły wzniesie i wznosił kościół w Mitawie, oraz zamierzył postawić kościół w Goldingen... poza obrębem miasta. Zaprotestowali energicznie komisarze biskupa, i kościół stanął na samym

---

<sup>1)</sup> Prof. Bilbasow w styczniowym zeszycie 1895 «Ruskiej Stariny» i w swojej historii panowania Katarzyny II. — «Bus. Archiw» 1878, III. Dzieje przyłączenia Kurlandyi do Rosyi oświetla kompetentnie H. Diederichs w obszernym komentarzu, dodanym do niemieckiego przekładu dzieła Bilbasowa. (*Die Vereinigung Kurlands mit Russland*. Riga, 1895).

rynku w 1642 r. Później książę Ernest Biron stosownie do punktu konwencji gdańskiej zniewolony był wznieść kościół w Libawie, w 1737 r. Patronami i kolatorami trzech tych kościołów byli książęta kurlandzcy. Istniały ponad to kościoły po majątnościach wiejskich prywatnych, przeobrażone z «kirch» ewangelickich *ad propagandam fidem Romano Catholicam* przez dóbr tych nowych właścicieli wyznania rzymsko-katolickiego; więc kościoły w Allschwangen (1634 r.), w Illukszcie (1636 r.), w Subbath (1676 r.), w Schönbergu (1658 r.)<sup>1)</sup>.

Wiadomość szczegółową o kościołach w Kurlandyi podaje «Terra Mariana», wspaniałe wydawnictwo artystyczno-historyczne Gustawa barona Manteuffla, ofiarowane papieżowi Leonowi XIII w jubileuszowym roku 1881 przez katolików, zamieszkałych w obrębie tak zwanej «Ziemi Maryi». Mamy tam na kartach 30 do 33 wyliczenie tych kościołów, oraz daty fundacyi — odmienne nieco od przytoczonych. Oto według Manteuffla spis kościołów parafialnych «in gubernio Curonensi», powstałych w XVII i XVIII wieku:

Schönberg (wzn. przez wojew. inflanckiego Fran. Wład. de Carmel Berga w 1692 r.), Mitawa (1634 r.), Allschwang (przez Ulryka Szweryńskiego 1623 r.), Goldynga (1640 r.), Liven-Bersen, Połoga (przez Annę Jagiellonkę w 1594 r. Byłby to najstarszy kościół kurlandzki), Libawa (1746 r.), Altenburg (1726 r.), Lenen (przez biskupa Puzynę w 1730 r.), Illukszta (przez woj. Józefa Zyberka w 1760 r.), Ellern, Lauktesa (przez Zyberka — von Syberg — w 1797 r.), Bebra (w tymże roku przez tegoż) — nie licząc kościołów filialnych oraz kaplic, powstałych w XVIII i XIX stuleciu, sumptem głównie Zyberków.

Jako charakterystyczny odpowiednik do znanej relacyi biskupa Szembeka z 1714 r. o stanie Kościoła w Inflantach, oraz jako przyczynek do stanu tego dziejów, jest przecho-

---

<sup>1)</sup> *Sitzungsberichte der Kur. Gesellschaft f. Lit. u. Kunst.* za rok 1897, str. 11, 141, 148 i nast.

wywana w kurlandzkim archiwum szlacheckiem (Kurländ. Ritterschaftsarchiv) «Wiadomość» z 1767 r. o gorliwości religijnej niektórych ziemian kurlandzkich, o których wspomniało się wyżej, oraz o propagandzie rzymsko-katolickiej w protestanckim kraju. W owej «Anzeige», zawierającej wiele drobiazgów, ale skreślonej oczywiście przez sprzyjającego katolikom protestanta, a nawet obrońcę jezuitów (gdyż rękopis zawiera *pagina fracta*, zbijanie przytoczonych faktów i zarzutów), czytamy między innymi, co następuje: Oto w roku 1364 imćpan Rittmeister Johann Ulrich von Schwerin, przyjąwszy katolicyzm, zawładnął samowolnie świątynią protestancką i klucze jej oddał biskupowi żmudzkiemu. Autor «Wiadomości» powołuje się na prawo Schwerina uczynienia «restytucyi» świątyni rzymskim katolikom w dobrach swoich nabytych od księcia Fryderyka, oraz na zatwierdzenie tej «restytucyi» przez króla Jana i sejm w 1678 r. Czytamy jako Jan Jerzy Sieberg (Zyberk) stojącą na gruncie dóbr swoich Illuksztańskich «kirchę» ewangelicką, rzymskim katolikom oddał w posiadanie i jako król Władysław IV uznał postąpienie to za zgodne z prawem, a sejm 1678 r. decyzję Sieberga oraz króla potwierdził. Jako książe kurlandzki sprzeciwiał się wznoszeniu kolegium jezuickiego w Mitawie (rok 1684) i jako nic nie wskórał, oraz że zainstalowanie się jezuitów żadnemu miastu uszczerbku nie przyczynia, odwrotnie zasila miasto pieniędzmi, wydawanymi przez jezuitów, oraz ich klientelę.

Tak... nie da się zaprzeczyć: rządy zwierzchnicze polskie dały Kurlandyi — kilka kościołów. Jak na całych lat dwieście — nie dużo.

A Mitawa jako «punkt» leżący u wielkiego traktu, prowadzącego z zagranicy przez Rygę do Petersburga, nadawała się do łatwego podniesienia jej rozwoju i znaczenia. Do pełnego rozwoju i możliwego znaczenia nie doszła nigdy. Ani w XVIII wieku, ani później, gdy cesarzowie, królowie i księżęta *via* Mitawa peregrynowali nieraz, jak Piotr Wielki, Józef II, Aleksander I, Fryderyk Wil-

helm III z królową Ludwiką, gdy nieodmiennie podążali na Mitawę ku «Palmirze Północy» rozgłośni mężowie stanu, uczeni, wodzowie i artyści.

Dziś, po rzuceniu linii kolejowej z Petersburga ku zagranicy, na Wierzbołów i Warszawę, Mitawa nie leży już u żadnego traktu. Leży na uboczu od wielkich, bardziej uczęszczanych dróg; przycichła zupełnie, zastygła, zmartwiała, zesza, zwłaszcza wobec Rygi, do rzędu najskromniejszych miast, zaledwie gubernialnych. Trzymała się jeszcze Mitawa aż do ostatnich czasów znakomitem gimnazjum swoim, oraz jako rezydencya uprzywilejowana arystokracji kurlandzkiej. Na ów blask Mitawy, jeszcze z przed laty trzydziestu, z przed ćwierć wieku, patrzyłem sam — ale też i jeden z ostatnich.

Dziś... Dajmy pokój rozwodzeniu się na ten temat. Ot, zmartwiała całkiem Mitawa, zmartwiała... Ruch w niej, nawet podczas tradycyjnych kontraktów świętojańskich, ustał zupełnie. Zachowała tylko Mitawa wygląd swój z przed laty, wpiąwszy w garść staroświeckich, z t. zw. pruskiego muru, domów swoich zaledwie trzy, cztery okazalsze, nowe budowle. Po co jej te okazalsze budowle?

Po dwudziestu ośmiu latach — zastałem nad wszelkie spodziewanie mało zmian w wyglądzie miasta. Rzuciło mi się tylko w oczy, przy pierwszym kroku, nadzwyczajne, wielkie — złotwienie Mitawy. To nie Mitawa już, to *Jelgawa*, jak brzmi nazwa miasta lotewska! Począwszy od trójjęzycznych napisów na większości szyldów, w językach: rosyjskim, niemieckim i jakby obowiązkowo: lotewskim, a kończąc na wspaniałym lotewskim *Verein'ie*, czysto lotewskim, cieszącym się względami, a niemal protekcją władz, któremu na rezydencyę oddano największy park mitawski «Villa Medem» — na każdym kroku natknąć się na ogromne postępy lotewskiego zalewu. Czytał kto przed dwudziestu jeszcze laty kartę w oknie z drukowanym napisem jednym, jedynym: *Sche ir dsihwooklis isihrejams?* Znaczyć ma: *Hier ist eine Wohnung su vermieten.* A jak niedawne to jeszcze

czasy, kiedy szalenie modnem było wśród całej inteligencji niemieckiej kurlandzkiej zakładanie bibliotek — dla lotyszów, kólek — dla lotyszów, teatrów ludowych — dla lotyszów, kas pożyczkowych, pism etc. etc. Niedaleki może czas, że poczną lotysze kurlandzcy odwzajemniać się Niemcom, zakładając filantropijnie jaki teatrzyk lub jaką czytelnię bezpłatną — niemiecką... Ale tymczasem gęsto jeszcze w oknach jednojęzycznych kart: *Pensionäre finden freundliche Aufnahme.*

Wciąż jeszcze niemieckie: ład, czystość, porządek stanowią wybitną cechę Mitawy. Nieco holenderskiego charakteru mają domy, zazwyczaj nie duże, niskie, olejno malowane, mocno staroświeckie, z błyskającymi, w odrapanych nawet ścianach, czyściutkiemi «jak szkło» szybami. Za szybami — kwiaty. Pocziwe, zacne chodniki z tafel kamiennych, gęsto powykruszane i dość luźno pospajane! Zda się każde ich poszczerbienie — znajome. Tylem razy biegł tymi starymi chodnikami szarymi, ot, tą n. p. Katharinenstrasse, łączącą Kirchenstrasse, (na której rogu stoi wciąż dom Salzmann'a, gdzie mieszkał równo lat temu trzydzieści cztery) i Palaisstrasse gimnazyalną. Tą oto właśnie Katharinenstrasse szedłem do gimnazyum — raz pierwszy, z paczką książek, ściągniętą obyczajem mitawskim rzemykiem, z *butterbrod'em* w kieszeni, z wylęknieniem w duszy i bajecznie małym zapasem słówek niemieckich w głowie. Ale deklinacye łacińskie umiałem gładziutko wytrzepać... i o to głównie chodziło.

Na rogu Katharinenstrasse i ulicy Pałacowej stoi okrutnie stary, mało co okazalszy od sąsiednich, dom. Cyfrę na nim dotąd roku 1699 czyta przechodzeń. W domu tym mieści się instytucya, żywo przypominająca warszawskie refugium Kanoniczek, t. zw. «Katharinen-Stift». Przytułek to arcy-honorowy dla panien i wdów ze szlacheckich, najautentyczniej szlacheckich rodzin, panien i wdów, mających tyle to a tyle *quartiers de noblesse* i wiosen życia za sobą. Założycielką «Stiftu», po dziś dzień kwitnącego



wysokimi cnotami, tradycyjnie świetnemi «Kafeekränzchen», oraz czynną bez wytchnienia produkcją plotek — była jenerałowa von Bismarck, druga małżonka szwagra księcia Ernesta Birona. «Stift» począł atoli funkcjonować dopiero po jej śmierci, po uroczystem zatwierdzeniu go w roku 1788 przez króla Stanisława Augusta.

Ulica Pałacowa najokazalsza. Pomimo jednak aż dwóch nowoczesnych «gmachów», stojącego na wprost gimnazjum Banku (Kurländischer Creditverein) i nowo wzniesionego *Gewerbeverein'u*, w którego sali, przy kinkietach naftowych, daje obecnie gościnne widowiska trupa ryskiego teatru — nie straciła ulica charakteru. Cerkiew znacznie rozszerzono, obok niej stanęła spora kamienica dla jurysdykcji sądowej, ale dom plebanii ani na włos się nie zmienił, gmach gimnazyalny też; nawet oparkanienie boczne, stary z desek, «nasz» parkan trwa dotąd. Natomiast na dziedzińcu gimnazyalnym zmiany nie małe. Istnieje wciąż w dawnym kształcie domek w głębi dziedzińca, gdzie służba mieszkała gimnazyalna, gdzie okazała małżonka Schäffera, jednego z «pedelów», sprzedawała owe ogromne butersznity z serem, wędliną, a w wiosennym sezonie z krajaną na plasterki rzodkiewką, pięciokopiejkowe, rozchwytywane w czasie wielkiej pauzy południowej. Na prawym flanku dziedzińca stanął z czerwonej cegły duży dom dochodowy i zamknął dostęp do gimnazyalnego ongi ogrodu, do obrębu tak nam pamiętnego, pod rozłożystymi kasztanami, gdzie wysypywały się wszystkie klasy w paузach między lekcyami, gdzie grano jubileuszową «Antygonę».

Do wnętrza gimnazjum — nie poszedłem.

Ciężkich drzwi frontowych nie uchyliłby mi już stary «Andruszka», pełniący urząd szwajcara eks-żołnierz emeryt, Bóg wie od kiedy do gimnazjum przyrosły, co to bywało i po rozpoczęciu się już lekcyj spóźniającego się malca wpuści i, fukając okrutnie a cicho, książki do pierwszej pauzy przechowa; stary «Andruszka», co to z taką

powagą dzwonił co godzina zwiastując koniec i rozpoczęcie lekcji... Stary Adruszka nie żyje.

Sięgnąłem ręką ku ciężkim, wytartym szeroko u staroświeckiej klamki, drzwiom gimnazjalnym — i cofnąłem rękę. Nie, niech tam sobie — dla mnie, w pamięci mojej — zostanie wszystko — jak było. Nie trzeba wchodzić do wnętrza, nie trzeba. I on też nie przestąpił progu gimnazjalnego... *potem*, mój stary, dymisyonowany nauczyciel Diederichs.

Rozpocząwszy z nim wędrowkę po mieście, rozumie się od gimnazjum, słowa nie zamieniliśmy skrećiwszy z ulicy wokół gazonu, pod gmach. Zwolna szliśmy, nie czując między sobą nawet przedziału lat, dziwnie blizcy — jak nigdy. A on nagle, nie podnosząc oczu na mnie:

— Ilem razy szedł tędy! Ile razy!...

Obeszliśmy zwolna krąg, przystając, pod wrażeniem, że kto wie, czy na tem miejscu zejdziemy się kiedy znów aby miejscom tym i sobie samym, bez słów, mówić to, co czujemy obaj. Staliśmy, wróciwszy na ulicę, patrząc na gmach.

— Chcesz tam wejść? — odezwał się. — Bo ja... nie mogę!...

Teraz dopiero spostrzegłem dziwną zmianę na jego twarzy. Gdyby mi kto powiedział przed trzydziestu laty, że go takim widzieć będę!

— Nie! — rzekłem. — Nie pójdę.

Na rogu Annenstrasse i ulicy Kościelnej, za parkanem w murowane słupy — *nec locus ubi kościół fuit*. Przed tygodniem dopełnił biskup Cyrtowt poświęcenia kamienia węgielnego pod kościół — nowy.

W starym mitawskim kościele — bywało — przyrzysz się na sumie całej kolonii polskiej, lub na majowym nabożeństwie, lub na wielkotygodniowych «Pasyach», pilnie i gremialnie uczęszczanych. Kościół pełny był po brzegi. W ławkach, rozumie się, t. zw. «towarzystwo», bo za miejsca, obyczajem niemieckim, płacono, by się tak wyrazić, roczny

abonament. My, młodzież gimnazjalna, po prawej stronie nawy tuż pod amboną, z której ks. Rymkiewicz sokolim wzrokiem skrupulatnie lustrował obecnych, a notował biegle — nieprzytomnych,

Przeważały w «towarzystwie» polskiem sfery ziemiańskie. Całemi zazwyczaj rodzinami przyjeżdżano do Mitawy na szereg lat — dla «edukacyi» dzieci. Kupowano nawet domy, bo korzystniejsze to było «urządzenie się», niż płacenie przez ciąg lat komornego. Własne domy w Mitawie mieli przez cały czas kolejnego odbywania gimnazjum przez chłopców a kształcenia panienek lekcyami prywatnemi — Römerowie, Kościałkowscy, Dymiszowie, Medekszowie, Narbutowie, Chałdzyńscy, bar. Stempełowa, Komorowska z domu. Zdaje mi się, iż obecnie żadna z tych rodzin domu w Mitawie nie posiada.

Wybitną grupę w towarzystwie polskiem stanowił kler, z ks. biskupem Bereśniewiczem na czele, relegowanym na rezydencję do Mitawy. Niepowszednie zalety umysłu i serca, dar jednania sobie ludzi przy wielkiej w obejściu się z nimi prostocie, wysoka prawość charakteru i szlachetność uczuć, dar wreszcie krasomówczy, powaga bez śladu poży, gorące serce i takt wrodzony ks. biskupa, po dziś dzień, śmiało powiem, przytomne wszystkim, którzy w Mitawie tworzyli otoczenie towarzyskie Pasterza. Na całe swe otoczenie ówczesne wywierał wpływ spokojny, nikomu nie ciężący, nawet nam, wdrażonym do kornego respektu dla dostojnika Kościoła, wpływ w najlepszym rozumieniu słowa ewangeliczny. Czczono ks. biskupa bez cienia afektacyi; kochano go szczerze; szczycono się nim wobec obcych i narodowościowo i wyznaniowo, ujętych w równej mierze dostojenstwem duchowem dygnitarza kościelnego, jak zachowywaniem się jego wśród warunków i okoliczności, w różne szkopyły obfitych. Pierwszą po biskupie personą był ks. kanonik Augustyn Lipnicki, dzielący z nim w Mitawie sytuację — przejściową. Teolog zawołany, pełen nauki i świętobliwości, strykcista

i kazuista, autor kilku dzieł treści religijnej, miewał nie-  
powszednie kazania, subtelną dyalektyką zaprawione, uspra-  
wiedliwiające rozgłos kaznodziejski dzisiejszego sędziwego  
prałata katedry wileńskiej, i — chętnie udzielał się towa-  
rzystwu, które podobnie jak ks. biskup Bereśniewicz, lubił  
i któremu splendoru dodawał. Ks. Montwid, również na  
wyjątkowem stanowisku w Mitawie, udzielający lekcyi  
dziewczętom i pannom niemal w każdym domu, oraz ks.  
Stulgiński zacności wielkiej, rubaszny, bajecznej wytrzy-  
małości fizycznej (kąpieli rzecznych nie przerywał zimą),  
zaprzyjaźniony blisko z biskupem, wreszcie ks. proboszcz-  
kapelan, Rymkiewicz, nie bywający nigdzie, oraz wikary  
dopełniali gremium kapłańskie. Że przy takim skupieniu  
się kleru dookoła mitawskiego kościółka nabożeństwa by-  
wały często-gęsto wielce wystawne i solenne — nie zdziwi  
nikogo.

Najżywotniejszymi sprawami w domach polskich były  
oczywiście gimnazyalne sprawy. Pozwalano sobie na roz-  
rywki towarzyskie nader nieskomplikowane: panowie gry-  
wali, raz tu, drugi raz tam w wista; panie zabawiały się  
preferansem lub rozmową dookoła stołu przed kanapą. Od  
czasu do czasu, zazwyczaj podczas świąt Bożego Narodze-  
nia, na Zapusty lub na Wielkanoc, występowano kolejno  
z «balem», to znaczy z wieczorem dla młodzieży, tańczą-  
cej na zabój aż do samej trzeciej po północy przy dźwię-  
kach fortepianu, oddanego wspaniałomyślnie na łaskę i nie-  
łaskę «tapera». Ach! jakeśmy się bawili! jak bawili..

Teatru stałego, jak się rzekło, w Mitawie nie było.  
Do Rygi jeżdżono rzadko, pomimo, iż tam wówczas bardzo  
liczna przebywała kolonia polska towarzyska. Za mojej  
pamięci, dwakroć, na cele dobroczynne, wystąpiliśmy z pu-  
blicznem polskiem widowiskiem teatralnem amatorskiem.  
Graliśmy — z powodzeniem najpiękniejszem — «Pana Jo-  
wialskiego», «Consilium facultatis», «Łobzowian» i.. nie  
pamiętam już jaką jeszcze sztukę. Dość, że nawet publi-  
czności niemieckiej mieliśmy nie mało na sali. Bo ewene-

mentem był rzetelnym dla miasta występ taki. Pod względem rozrywek, zblazowania i przesyty w Mitawie nieznano; nie przyszło na myśl nikomu ani wymyślać ani szukać czegoś — niebywałego. Ostatniego dnia roku odbywała się tradycyjnie w cukierni Torciani'ego, rozporządzającej dwoma dużymi salami, loteryjka — na cukierki. Tłoczono się; okrutnie ubawieni byli młodzi i starzy. Pamiętam, zjechała kiedyś do Mitawy opera włoska. Toż dopiero była uroczystość! W sali teatralnej najwyborowska publiczność. Kinkiety naftowe dymią w łożę, aż mgła snuje się po suficie — a jaki nastrój! Występowała, znana potem potrosze wszędzie, pełna wdzięku i powabu Caroselli, *une opulante beauté*. Obie wyższe klasy zakochały się co do nogi, a ojcowie i wujowie coś czy nie przez tydzień cały nie siedli do wista. Chodzili do teatru. Powiadano nawet, iż dwóch naszych profesorów omal nie pojedynkowało się... O! poszło im o wyższość włoskiej, czy też niemieckiej muzyki: Gluck czy Rossini?

W spokojnym, cichym żywocie Mitawy odgrywała ważną rolę t. zw. «majówka polska», piknik zbiorowy i składkowy, urządzany przez młodzież gimnazjalną w końcu maja lub w początkach czerwca za miastem, we wspomnianym już Bergleding'u, między stokiem nie dużego wzgórza dębami porośłego a brzegiem rzeki Aa. Brała udział w majówce cała zazwyczaj kolonia polska mitawska, nieco niemieckiego towarzystwa, z którym ten i ów dom polski podtrzymywał stosunki (naogół, polskie towarzystwo z niemieckiem nie łączyło się wcale), sporo panów i pań ryskiej kolonii polskiej, zapraszanych, wreszcie dwóch, trzech młodszych nauczycieli naszych, chętnych nie tylko do po-flirtowania z «uroczemi» damami-Polkami, ale nawet nie wzdragających się służyć do kontredansa. Do Bergledingu i z powrotem, późnym wieczorem, płynęło całe majówkowe towarzystwo na dużych łodziach, poprzedzane muzyką. Na miejscu grano w gry, spożywano podwieczorek, kolację, przechadzano się, wreszcie tańczono albo na murawie,

albo w wielkiej hali, wzniesionej *ad hoc* dla tego rodzaju reżuisansów przez oberżystę Bergledingu. Palono czasem ognie sztuczne. My — komitet zabawy — spełnialiśmy z zapamiętałem oddaniem się funkcyę gospodarzów majówki. Okrutnie ochocza to była zabawa, niezmierną ciesząca się wziętością, nawet wśród ryżan, zostawiająca po sobie mnóstwo najmilszych, często tkliwych, wspomnień — na rok cały.

Ochoczością swoją i wesołym wdziękiem odbijała powabnie «majówka polska» (*die polnische majówka*) od rzadkich niezmiernie i sztywnych nieco zabaw towarzyskich po domach arystokracji niemieckiej, stale przebywającej w Mitawie. Przedewszystkiem do domów tych wstępu nie miał literalnie nikt, nie posiadający — herbu. Posiadanie, nieulegającego zakwestyonowaniu, szlachectwa, stanowiło nieodzowny warunek dla towarzyskiego poufalenia się z zasklepiionymi szczelnie w kółku «własnem» domami tymi. Do tego stopnia, iż gdy raz na majówce polskiej jeden z naszych nauczycieli, jak dziś pamiętam, Kurtz, wykładający język grecki, bardzo miły, doskonale wychowany, trzydziesto paroletni kawaler, były dorpatczanin, ośmielił się tańczyć tak długiego i «ważnego» tańca jak kotylion, z którąś baronówną najczystszej krwi — wzięli mu to za złe Medemowie i Osten-Sackeny, Foelckersahm'owie i von der Recke, von der Ropp i Bistramowie, Behrowie i Fircks'owie, nie wspominając o Kayserlingach, Grotthussach, Heyckingach, Hahn'ach, Rahdenach, von Rönne, Engelhardach i Vietinghoffach.

Kilku z nas, starszych, bywało od czasu do czasu na wieczorach tańczących w domach tych niemieckich, u kolegów naszych. Jak amen w pacierzu, przypadał nam w udziale zaszczyt dyrygowania mazurem, do którego rwano się w niemieckich domach nadzwyczajnie a zawsze z powodzeniem jaknajfatalniejszem. Najdostojniejsza matrona baronierii mitawskiej, sędziwa pani Medemowa, dawała raz co lat kilka wspaniały wielki bal, stanowiący

epokę w życiu towarzyskiem Liv-Est- i Kurlandyi. Otwierano wszystkie apartamenty; oświetlano je *a giorno* setkami świec woskowych (tak, woskowych!); w pośrodku ogromnego stołu w sali t. zw. herbatniej, paradowała zastawa przekąskowa nie sprzątana przez noc całą — szczerozłota. Sama pani domu spędzała z towarzystwem tylko godzin parę, w fotelu, przyjmując gości swych atencye i submisye.. W życiu już potem nie zdarzyło mi się oglądać tak klasycznej, charakterystycznej, wielkopańskiej staroświecczyny, a żywej jeszcze — jak na onym recepcyjnym balu.

W *Rittershaus*'ie mitawskim, przy Bach-strasse, ściany głównej sali oraz jednej z bocznych usłane — tarczami herbowymi szlachty kurlandzkiej. O wiele łatwiej zostać członkiem londyńskiego Jockey-Clubu, niż tarczę *swoją* mieć w sali mitawskiego Ritterhausu. Mają tam tarczę swoją herbową, podobno, Przeździeccy; mozolnie, i bardzo skrupulatnie musieli dowodzić i dowieść, że do szlachty kurlandzkiej z dziada pradziada należą.

Przy tejże Bach-strasse jest dom, w którym mieszkał w 1779 Cagliostro, produkując najwyszukańsze kuglarstwa swoje. Wielu takich, na schyłku XVIII wieku gościło w Mitawie, intrygując na dworze książęcym lub rozgłos swój krzewiąc wśród najdystyngowańszych sfer society mitawskiej, nader wówczas świetnej.

Bach-strasse ciągnie się wzdłuż rzeczki Drixy; przez rzeczkę rzucony most; wiedzie on do ogrodu zamkowego, otwartego dla publiczności, gdzie muzyka grywa czasem wieczorami. Ogród nie duży, ale jakże rozrósł się w ciągu lat ostatnich!

Oto i zamek — *das Schloss*. Ogromna, kwadrat tworząca dookoła obszernego dziedzińca, mało stylowa, ale okazała budowla. Na miejscu dawnego zamku obronnego mistrza Konrada von Mandern i rezydencyi Kettlerów, wznosił ten gmach, nie książęcy, ale rzetelnie królewski, książę Ernest Jan Biron w 1739, według planu znakomitego Rastrelli'ego, co to budował Pałac Zimowy petersburski.

Dopiero jednak po powrocie swoim do Mitawy w 1763 urządził i przystrajał swą rezydencję książe Ernest aż przez całych lat dziesięć. Zamieszkał na zamku dopiero w 1772, tak iż rezydowali w nim książęta Kurlandzcy tylko lat dwadzieścia kilka.

Dziś niemal wszystek ogromny zamek zajmują: biura różnych dykasteryj administracyjnych, rządowych, mieszkanie p. gubernatora kurlandzkiego, cerkiew gubernatora domowa, utworzona z trzech dawnych sal książęcych, oraz apartamenta t. zw. Cesarskie, składające się z jakich sześciu komnat, oczekujące pustką na ewentualną przelotną gościnę bądź samego Monarchy, bądź którego z członków panującego Domu. Te tylko komnaty wolno — zwiedzać.

W komnatach tych rezydowali książęta dwaj ostatni kurlandzcy. Uderzają przedewszystkiem: wymiar ich doskonały oraz uplanowanie, wykluczające sztywną enfiladę sal, do której się w rezydencyonalnych siedzibach przywykło. Czuć, że komnaty te przeznaczone były nie tylko na pokaz, ale i dla wygodnego a przyjemnego w nich — mieszkania. W stylu i ozdobach przypominają mocno apartamenty Fryderyka II w Sanssouci. Barwne a pełne smaku sztukaterye wiją się po ścianach, uścielają piece, pokrywają sufity. Ściany dwóch, trzech pokojów powleczone wyszywaniami od ręki tkaninami; jedno z tych obić, pokryte wyszywaniem, wystawiającem sceny z życia podbiegunowego, dziełem jest ręki księżnej Ernestowej, Benigny, matki ostatniego księcia kurlandzkiego. Tu i ówdzie: sprzęt staroświecki, cenny a ozdobny, zegar na kominie wysokiej wartości, stół, garnitur foteli *Louis Quinze*.

W apartamentach tych mieszkał podczas dwukrotnego pobytu swego w Mitawie, wygnany przez rewolucję, późniejszy Ludwik XVIII z rodziną i dworem <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Pobyt Burbonów w Mitawie ma całą własną literaturę. Przycacza ją A. Kraushar w studyum swoim «Burboni na wygnaniu w Mitawie i Warszawie» (Warszawa, 1899). Ku książce tej, streszcza-



W prawem skrzydle zamku, w parterowym sklepie spoczywają trumny ze zwłokami książęcami oraz ze zwłokami dzieci i najbliższych krewnych Kettlerów i Bironów. Sklep bez żadnej ozdoby; trumny, jedna przy drugiej, ustawione zwartym szeregiem, bokami do siebie szczelnie przytulone. Nie sposób przyrzed się dokładnie bardzo ozdobnym niektórym sarkofagom. Płaskorzeźby n. p. na trumnach cynkowych księcia Fryderyka i żony jego Elżbiety, lub na trumnie księcia Jakóba mają wysoką wartość artystyczną. W sklepie ciemno; kurz, grubą warstwą sarkofagi pokrywa. Jest ich ogółem trzydzieści. Przed laty dwudziestu można jeszcze było oglądać zwłoki, doskonale zakonserwowane księcia Ernesta Birona. Mam je żywo w pamięci. Twarz jak z kości rzeźbiona, rysy nieco zartarte, nos odrobinę odkruszony; peruka, długi surdut jasnobronzowy aksamitny, podbity materyą jedwabną niebieską; pończochy, trzewiki z klamrami. W roku 1884 dokonano szczegółowych oględzin wszystkich trumien. W trumnach książęcych najstarszych znaleziono tylko czaszki i piszczele, natomiast zwłoki księcia Fryderyka-Kazimierza i żony ks. Ernesta były znakomicie zakonserwowane. Tegoż roku trumny wszystkie *salutowano*, i od tej daty nikt już nie zajrzał do ich wnętrza.

Tradycya miejscowa opowiada, że kilka topoli, rosnących tuż w pobliżu gmachu, dziś już w obrębie ogrodu, sadził własną ręką Burbon-wygnaniec. Sam zaś ogród

---

jącej dzieje tej gościny, pozwalamy sobie zwrócić czytelnika. Na pracę naszego dziejopisa zwróciło swego czasu uwagę Kurlandzkie Towarz. historyczno-literackie. Odczyt o niej miał dr. Otto na posiedzeniu w dn. 6 września 1900 r. odbytem; duży z niej ustęp w dosłownym przekładzie znajdujemy w «Sprawozdaniu» Towarzystwa za rok 1900. Przekład pracy Kraushara drukował też miesięcznik «Ruskaja Starina» w 1900 r. Na cmentarzu mitawskim pod kapliczką wymurowaną przez króla Karola X spoczywa książd Edgeworth, co towarzyszył na szafot Ludwikowi XVI-mu i pożegnał go historycznemi słowami: «Synu św. Ludwika, idź do nieba!» Ks. Edgeworth umarł w Mitawie w 1807.

Zamkowy założony został przez jednego z gubernatorów kurlandzkich, hr. Wałujewa, późniejszego ministra.

Leżą ogród zamkowy i zamek między dwoma rzekami: Drixą i Aa. Od strony tej ostatniej rzeki, wzdłuż jej wybrzeża, ciągnie się piękna spacerowa aleja kasztanów, niemal przylegająca jedną stroną do okazałych murów *Schloss'u*, a drugą otwarta na szeroki widokrąg płaszczyny łąkowej, rozciągającej się, jak sięgnąć okiem, po tamtej stronie Aa. Ożywiają krajobraz: most pontonowy na rzece, a dalej most przez Aa kolejowy. Jest to jedyny w obrębie miasta «punkt» krajobrazowy istotnie ładny, owa aleja górująca nad szcerą już wsią; nie dziw też, że była i jest celem ulubionego spaceru mitawian.

Wracamy przez okrutnie szpetny most na Drixie, przecinamy wysadzoną drzewami Bach-strasse (nieopodal miejsca, gdzie zbiegały ku rzece schodki prowadzące na ślizgawkę naszą gimnazjalną) i krótką *Schloss-strasse* i dostajemy się na rynek. W prawo niepokąźny acz staroświecki ratusz, patrzący na plac, gdzie od roku 1645 odbywają się jarmarki świętojańskie (do tej daty mieszała Mitawa kontrakty swoje na Wielkanoc), gdzie od roku 1784 kaźniono przestępców.

Dalej za ratuszem, cały róg rynku zajmowały ongi stajnie książęce. Potem prywatne wzniosły się na tem miejscu posesye, a obszerny dziedziniec w pośrodku nich zwano wciąż *Stallplatz*. Na owym *Stallplatz'u* stała w początkach XVIII wieku duża hala (reitszula), maneż książęcy, w której gościnne dawały widowiska trupy aktorskie, odwiedzające z Niemiec Mitawę. Między rokiem 1760 a 1770 zjeżdżała do Mitawy z Petersburga trupa niemieckich artystów-dramatycznych — *von Ihro Russisch-Kayserlichen Majestät allergnädigst privilegirte Comödianten*. Od r. 1779 poczęła stale przybywać do Mitawy w czasie kontraktów znakomita trupa teatralna Schuch'a z Królewca, i dawała widowiska w domu imó pana Schäfera, przy dzisiejszej ulicy Dobleńskiej, zwanej wówczas nie pięknie *Petersilienstrasse*.

Zdecydowano się nareszcie wznieść gmach teatralny — na miejscu wspomnianej reitschuli — i dokonano dzieła w 1802 r.

Był to ów właśnie staroświecki, mocno zdezelowany teatr mitawski, w którym trzydzieści lat temu grali aktorowie rycy podczas świętojańskich kontraktów i gdzie występowała wspomniana wyżej trupa operowa włoska.

Stary ów gmach teatralny własnością był ostatnimi czasy kurlandzkiego Banku Ziemskiego. Bank Ziemiński darował tę rudere Towarzystwu *für Litteratur und Kunst*. Towarzystwo zrównało z ziemią stare mury i na miejscu ich wzniosło w 1895 r. okazały gmach Muzeum Prowincjonalnego.

Muzeum stanowi dziś przednią ozdobę miasta, jest w pełnym znaczeniu słowa instytucją godną tyłowiecznej kultury kurlandzkiej, a zarazem pomnikiem kultury tej oraz pietyzmu dla niej inteligencji kurlandzkiej. Słusznie i sprawiedliwie szczyli się Kurlandya swoim mitawskim Muzeum.

Kurlandzkie Towarzystwo, zajmujące się literaturą i sztuką, zawiązane zostało w 1815 staraniem kilku ludzi dbałych o podtrzymanie rozwoju umysłowego w prowincyi. Byli nimi: Offenberg, Schlippenbach, Plater-Sieberg, Medem, Wettberg, Recke, Fölckersahm, Cruse. Towarzystwo otrzymało zatwierdzenie ówczesnego generał-gubernatora margrabiego Paulucci'ego i odbywało posiedzenia swoje bądź w jednym z audytoryów, bądź w auli mitawskiego gimnazjum, albo też w Ritterhaus'ie. We trzy lata potem zainicjowano w łonie Towarzystwa gromadzenie przedmiotów, mających z czasem utworzyć Muzeum. Muzeum — czytamy w ustawie — «ma na celu uwidocznienie okazowe wszystkiego, co Kurlandya wydała na polu sztuki i nauki, oraz co przyrodzone bogactwo kraju stanowi, ma na celu okazowe zobrazowanie życia historycznego i aktualnego kraju pod względem społecznym, obywatelskim, politycznym, umysłowym, oraz zobrazowanie wyglądu i właściwości kraju».



**GIMNAZYUM W MITAWIE**



Zatwierdzone przez władzę przedsięwzięcie oparto od razu na akcyach i poczęto zbierać fundusze celem wzniesienia kiedyś muzealnego gmachu. Tymczasem zaś gromadzone powoli i napływające okazy przechowywano w lokalu prywatnym.

I oto w 1898 urzeczywistniło Towarzystwo zamiar, powzięty przed ośmdziesięciu laty. Stał gmach Muzeum; przeniesiono doń zbiory i uroczystie otwarto Muzeum tegoż roku jesienią. W pięknej środkowej sali na piętrze odbywa Towarzystwo posiedzenia swoje.

Zgodnie z przytoczonym zarysem celu, jaki zakreśliło sobie Towarzystwo, zbiory muzealne obejmują nie tylko zabytki historyczne i kulturalne, nie tylko dzieła sztuki, ale i okazy etnograficzne, gabinet zoologiczny, zbiory botaniczne, kolekcye mineralów. Bardzo a bardzo bogate i niepowszednie posiada Muzeum okazy wykopaliskowe i archeologiczne. A nie tylko Kurlandyi dotyczące.

Zbyt daleko zawiódłby przegląd bodaj najpobieżniejszy wszystkiego, co widzenia warte. Niechże choć przelotem wspomnę o tem i owem, aby dać jedynie *wyobrażenie* o muzealnym wnętrzu.

Portretów mnóstwo i, rzecz podkreślenia warta, niemal wszystkie doskonałego pędzla. To wybitną cechę stanowi kolekcji mitawskiej. W sali posiedzeń: wyłącznie portrety ludzi, w sposób szczególniejszy zasłużonych około kultury w Kurlandyi. Piękna galerya. Ostatnie jej ogniwo stanowi wizerunek b. gubernatora kurlandzkiego, senatora Pawła von Lilienfeld-Toal. W tejże sali zdobią stół środkowy trzy przepyszne świeczniki srebrne z emblematami w wypukłorzeźbie — wolnomularskimi. Łoża wolnomularska powstała w Mitawie w 1784, nosiła nazwę «Zu den drei gekrönten Schwestern», siedlisko swoje miała przy Seestrasse w domu, co niedawno jeszcze nosił symboliczny trójkąt nad drzwiami, a należeli do łóży owej najwybitniejsi przedstawiciele kurlandzkiej inteligencji ów-

czesnej. Istniała do r. 1795; potem wskrzeszoną została w 1802, aby istnieć przestać na zawsze w 1820 r.

Okazy bibliograficzne, druki rzadkie, arcyciekawe stambuchy, oraz *silva rerum* z przed dwóch, trzech stuleci i starsze, godne pierwszorzędnej ksiąźnicy; niemniej godne uwagi zbiory pergaminowych dokumentów, odnoszących się do dziejów Kurlandi. Wśród nich wyróżnia się wielkich rozmiarów traktat, zawarty między księciem Jakóbem i Kromwellem. Pieczęć u dokumentu stanowi pierwszorzędną osobliwość, jak niemniej piórkiem wykonany wizerunek Kromwella, ozdabiający inicjał. Oglądali ten dokument Anglicy i ofiarowywali zań wysokie sumy. Numizmaty, pieczęcie, nieco egzotycznych okazów etnograficznych, wreszcie pamiątek nieco, przedstawiających ogólnohistoryczny interes oraz «osobliwości», jak n. p. laska gruba, cała rżnięciem bardzo biegłym i misternym pokryta, z wyobrażeniami niemal całej fauny kurlandzkiej, dzieło wieśniaka-leśnika z pod Mitawy. W dziale pamiątek historycznych kurlandzkich, oto n. p. wachlarz papierowy Elizy von der Recke, z autografami najwybitniejszych przedstawicieli literatury i sztuki w Niemczech w 1785 i 1786. Nie braknie Götthego i Klopstocka. Herder skreślił następujący czterowiersz:

Will ein Ungemach die Auge trüben,  
Schleicht ein Kummer sich zu deiner Ruh,  
Fächle dir die Namen, die dich lieben,  
Süsse Kühlung zu!

*Sehr gallant!* — jak na czterdziesto paroletniego filozofa i pastora. Wachlarz ten pamiątkowy ofiarowała do zbiorów muzealnych hr. Medem, księżniczka Lieven z domu. Wogóle arystokracja kurlandzka hojnie wsparła muzeum. Sztychy, mapy, rysunki, numizmaty wymagałyby bodaj treściwego przeglądu. Katalogu jeszcze Muzeum nie posiada. Pamięci obawiam się do zbytku ufać. Więc niech wspomnę tylko o najniepowszedniejszym *curiosum*.

Dorpatczanin, dr. Panck, poświęcił lata całe sporządzeniu, bodaj czy nie jedynej w swoim rodzaju, kolekcji. Odtworzenia to przeznakomite, z wosku, w wielkości ściśle naturalnej, malowane z artystyczną biegłością a cierpliwością iście benedyktyńską — jablek i gruszek, rozpowszechnionych w Kurlandyi, klimat krajowy wytrzymujących. Każdy okaz, rozumie się, etykietowany. Drugą kolekcję, może jeszcze ciekawszą i bardziej imponującą, stanowi w takimże odtworzeniu zbiór — kartofli, uprawianych w Kurlandyi. Nie wiedzieć, co bardziej podziwiać: biegłość rzeźbiarsko-malarską, spostrzegawczość, czy pracę. Do dwiestu, jeżeli nie więcej, okazów odtworzył dr. Panck. Zajmują one w Muzeum cały niejako przedział, sprawiający pod oszkleniem szaf i gablotek wrażenie na razie — wystawy pomologiczno-ogrodniczej.

Prawe dolne skrzydło Muzeum zajmuje bardzo piękny księgozbiór, w którym, rzecz prosta, przeważają dzieła dotyczące Kurlandyi. Nie brak jednak i bibliograficznych rzadkości, elzewirów i t. p. Napoleońską «Description de l'Egipste» reprezentuje n. p. bardzo piękny egzemplarz, z jakim nie łatwo się spotkać.

Towarzystwo *für Litteratur und Kunst* kurlandzkie liczy obecnie do dziesięciu członków honorowych, do 15 członków zamiejscowych zwyczajnych, do 300 członków płacących, 20 kilku członków korespondentów (wśród nich znany artysta-malarz i etnograf, Tadeusz Dowgird, w Plembergu w gub. kowieńskiej zamieszkały, oraz Gustaw bar. Manteuffel w Rydze). Na czele Towarzystwa stoi komitet, prezydowany przez marszałka powiatowego R. v. Hörner'a.

Wśród członków zwyczajnych kilka nazwisk inflanckich bliżej nas obchodzących: Józefat hr. Plater-Zyberg z Bewernu, Włodzimierz hr. Plater (*von der Broële genannt Plater*, jak brzmi dokładnie nazwisko Platerów krasławskich i szwekszniańskich), Feliks hr. Broël-Plater z Belmontu, Henryk hr. Broël-Plater z Pustyni, J. Eks. baron Edward von der Ropp, biskup wileński, były proboszcz libawski.



Towarzystwo utrzymuje stałe stosunki z licznymi (sto kilka) stowarzyszeniami naukowymi i instytucjami, z którymi wydawnictwa zamienia, między innymi z krakowską Akademią Umiejętności i krakowskim Towarzystwem Historycznym, otrzymując akademicki «Bulletin International» i lwowski «Kwartalnik Historyczny». Na czele dyrekcji Muzeum stoi wspomniany marszałek von Hörner, a członków-akcyonaryuszów liczy Muzeum do 150.

Duszą Towarzystwa i Muzeum, oddany całkowicie tyłu instytucjom, wygłaszający odczyty i referaty na zgromadzeniach, prowadzący protokoły, dający inicjatywę, zagrzewający do czynności, dozorujący wydawnictwa, redagujący sprawozdania, wciąż zapracowany w bibliotece, porządkujący i kompletujący zbiory, jest sekretarz Towarzystwa i bibliotekarz, a jednocześnie konserwator i bibliotekarz muzealny Henryk Diederichs, historyk, były nauczyciel gimnazjalny, autor mnogich prac i studyów, dotyczących przeszłości prowincji nadbałtyckich.

Urodzony w 1840 w Mitawie, syn kurlandzkiego radcy stanu Jana Wilhelma, ukończywszy gimnazjum w Mitawie, studyował filozofię w Dorpacie, na koszt tegoż uniwersytetu odbył naukową wycieczkę za granicę, a po złożeniu odpowiedniego egzaminu, oraz otrzymaniu stopnia kandydata, powołany został na wyższego nauczyciela (*Oberlehrer*) do gimnazjum mitawskiego, gdzie przez dwa lata wykładał język grecki, a od stycznia 1869 r. aż do nastąpienia reform językowych, w wyższych czterech klasach, historię powszechną.

Działalność Towarzystwa kurlandzkiego mało nam znana. A — najniesłuszniej. Prace, referaty i odczyty Towarzystwa mają bardzo często za przedmiot ten lub ów epizod historycznych stosunków polsko-kurlandzkich. Wystarczy bodaj przejrzeć ogłaszane corocznie «Sprawozdania» (*Berichte*) Towarzystwa.

Opuszczałem gmach muzealny — z uczuciem głębokiego szacunku nie tylko dla przeszłości, ale i dla tera-

źniejszości, kulturalnej tradycyjnje, prowincyi. Opuszczałem gmach Muzeum i Towarzystwa kurlandzkiego z uczuciem — zazdrości, której wstydzić się nie potrafię.

Wróciwszy do domu z nazbyt, niestety, krótkiej mojej mitawsko-ryskiej wycieczki, zajrzeć mi wypadło do «Przechadzek po Wilnie» A. Kirkora, w wydaniu wileńskiem M. Orgelbranda z 1859 r. I trafił zdarzył, że wzrok padł mi na przypadkowe roztworzenie się książki i pobiegł po następujących wierszach: «Dziś w murach pouniwersyteckich mieści się Muzeum starożytności krajowych wraz z Archeologiczną Komisją, Najwyżej zatwierdzone 29 kwietnia 1855. Znany i znakomity nasz archeolog Eustachy hr. Tyszkiewicz poświęciwszy się...» Nie czytałem dalej. Rzuciłem książkę z 1859 między leżące na biurku *Sitzungsberichte* z ostatnich lat dziesięciu *der Kurländischen Gesellschaft für Litteratur und Kunst...*

Otom znowu na rynku mitawskim. Przedemną okazała, staroświecka budowla, mieszcząca od Bóg wie ilu lat Zehr'a «Hôtel de Courlande». Skręcam ku ulicy Wielkiej. Szukam — starych, odwiecznych «Kolumnad» (*die Colonnaden*), stanowiących mitawskie jakby Sukiennice, mitawski «gostinnyj dwor», słowem długie dwa szeregi drewnianych jednopiętrowych domów, tworzących przedłużenie ulicy Wielkiej w stronę *Schlosstrasse*. Siedlisko to było sklepów i sklepików, gnieźdzących się pod rodzajem arkad, biegnących wzdłuż owych domów, obiema stronami ulicy, a wspartych na szpalerze drewnianych okrągłych słupów. Najzupełniej — jak w Bolonii. W Bolonii arkady sklepione a słupy murowane i — trwają do dziś dnia, nadając miastu charakterystyczne piętno. Mitawskie drewniane *Colonnaden* — znikły bez śladu. Uznano je za rudere, nazbyt z daleka przypominającą *die Lauben* staroniemieckich miast, oraz bolońską *via dell Archiginnasio*. Zrównano je z ziemią i na ich miejscu wystawiono dwa rzędy dwupiętrowych i trzypiętrowych, przyzwoicie nowoczesnych, kamienic. Między niemi tuła się jeszcze tu i owdzie, czekając na

uprzątnięcie, szczątek jakiś dawnych «Kolonad», wsparty omszałym gontowym daszkiem o ostatnią parę poczerniałych, podmurszałych, na bok podanych kolumniek. *Sic transit...*

Ostał się na szczęście tuż opodal dom wcale okazały, murowany, mało staroświecki a odwieczny, na rogu ulic Wielkiej i Kościelnej. W domu tym, obrany na księcia kurlandzkiego Maurycy Sasaki, wytrzymał najformalniejsze oblężenie w 1726 wojsk rosyjskich, usiłujących zmusić go do opuszczenia Mitawy. Szturm odpierany zapamiętałe trwał dobrych dwie godziny, aż hałas straszliwy usłyszała na zamku księżna-wdowa (z którą miał Maurycy wstąpić w związku małżeńskie), posłała odsiecz i do zamku gorącego a pięknego panicza wprowadziła. Mówiąc nawiasem, byłaby księżna odwróciła od narzeczonego swego nielaskę dworu rosyjskiego i byłaby go niezawodnie osadziła na tronie książęcym, gdyby krewki syn Augusta Mocnego nie pokpił sprawy w stosunku z nią samą. Małżeństwo nie przyszło do skutku i przyszły marszałek Francyi oraz zwycięzca z pod Fontenoy musiał wycofać się z Kurlandyi, wydawszy na popieranie książęcych praw nawet owe historyczne 40 tysięcy franków, nadesłanych mu przez Adriannę Lecouvreur, ze sprzedaży własnych brylantów i sreber. A gdyby nie naraził się księżnej Annie... ha! a ktoś mógł przewidzieć, że księżna Anna kurlandzka, wdowa po księciu Fryderyku Kettlerze i synowica Piotra Wielkiego, zasiądzie w kilka lat potem na tronie rosyjskim? *Si j'en-nesse savait...*

Z czasów pobytu Piotra Wielkiego w Mitawie w 1697 przechowała się opowieść, że przechodząc raz ulicą, zwaną dotąd Grünhöffsche Strasse, przystanął u budującego się tam domu — obecnie koszary — i własnoręcznie ociosał siekierą jedną z belek, którą też na ściany zaciągnięto. Belka przez czas długi miała napis odpowiedni. Oglądano ją jeszcze w końcu XVIII wieku. Poczem napis znikł podczas którejs z przebudówek domu, i nie wiedzieć, czy istnieje dotąd pamiątkowa belka.

Gościńcę Aleksandra I-go w Mitawie upamiętnia bardzo skromna tablica pamiątkowa. Jest na rogu rynku i *Schlossstrasse* dom nieduży, w którym dziś mieści się niepokazny, ale schludny zajazd hotelowy. Na drzwiach jednego z numerowanych pokoiów znajduje się do drzwi przybita tablica z blachy. Na niej orzeł państwowy i napis w rosyjskim języku: «Tu mieszkał J. C. M. Cesarz Aleksander I d. 18 marca 1807». Charakter malowania i napisu wskazują, iż tablica położoną została w pierwszej ćwierci minionego stulecia. Cesarz Aleksander, we dwa miesiące po bitwie pod Eylau, jechał do Memla pocieszyć po stracie państwa przyjaciela swego i aljanta, króla pruskiego, a jechał nie tylko z kondolencją. Przodem i szerokim pasem okolicy ciągnęły wojska rosyjskie, zmierzyć się z Napoleonem, raczej, jak go wówczas w Memlu zwano, z «awanturnikiem Bonapartem» i krew przelać — *pour le roi de Prusse*. Starcie nastąpiło pierwszych dni czerwca pod Friedlandem. W ślad potem odbył się zjazd monarchów w Tylży. Otóż cesarz Aleksander gościł przelotem w Mitawie — między Eylau a Friedlandem. Nie stanął kwaterą na zamku, tylko odwiedził rezydującego tam Ludwika Burbona, raczej hr. de Lille i miał mu powiedzieć, że za najszczęśliwszy w życiu poczytywać będzie dzień, kiedy zdoła wrócić tron francuski Ludwikowi XVIII. Według innych relacji, Burbon miał wywrzeć na cesarzu Aleksandrze najniekorzystniejsze wrażenie; wydał się cesarzowi — czemu dziwić się trudno — marną osobistością, nie zdolną bądź kiedy panować <sup>1)</sup>. Po zjeździe w Tylży i całkiem nowem ustosunkowaniu się spraw na politycznym widnokregu, Ludwik Burbon, aby nie przyczyniać ambarasów cesarzowi Aleksandrowi, zaprzyjaźnionemu z cesarzem Napoleonem — jak Bonapartego w Tylży nazywano — opuścił Mitawę w październiku tegoż roku 1807 i pożeglował do Anglii.

---

<sup>1)</sup> M. Szilder. *Imperator Aleksander Perwyj*. Petersb. 1897, II, 165. A. Kraushar o wizycie tej cesarza na zamku mitawskim nie wspomina.

Na wielkiej szachownicy wielkich ówczesnych akcji politycznych zmiany następowały szybko po sobie. Dnia 8 lipca 1812 gubernator Sievers, władze administracyjne, oraz załoga opuściły Mitawę, którą zajęły regimenty pruskie, należące do dziesiątego korpusu armii Napoleona. Ustanowiony został rząd krajowy (Landesregierung), któremu przewodniczył, wydając rozporządzenia w imieniu cesarza francuzów — Karol hr. Medem. W pierwszej połowie września odebraną atoli została Mitawa — na całych dwa dni, gdyż 19 września wkroczyły do niej powtórnie wojska napoleońskie, a sam marszałek Macdonald stanął kwaterą w Ritterhaus'ie. Gościł też chwilowo w Mitawie wiarołomnej pamięci generał York, naczelny dowódca Prusaków, walczących pod sztandarami Napoleona. Dnia 8 grudnia 1812 opuściły Mitawę wojska francuskie i regimenty pruskie, oraz władze administracyjne, funkcjonujące w imieniu i z rozkazu Napoleona i tegoż dnia zajęły miasto wojska rosyjskie, wypierające z Kurlandyi rozbitków «wielkiej armii».

Nie była Mitawa, jak sąsiednia Ryga, widownią odbierania katolikom kościołów przez protestantów i z kolei przemieniania protestanckich «kirch» na kościoły. Najokazalszą nie tylko w Mitawie, ale i w Kurlandyi świątynię protestancką *St. Trinitatiskirche* poczęła wznosić wdowa po księciu Gotthardzie Kettlerze w 1594; budowlę jej ukończono we dwadzieścia lat po śmierci fundatorki, w 1614; wieżę wzniesiono dopiero w 1688. Niegdyś pełno było we wnętrzu świątyni nadgrobków i pamiątek. Dziś, czemu dziwić się wolno, zważywszy na pietyzm Kurlandczyków dla wszystkiego, co z dziejami i sztuką ma związek, wewnątrz *Trinitatiskirche* niemiłe sprawia wrażenie pustki, оголоcenia i kwakerskiej jakiejś prostoty, na którą uskarżają się miłośnicy *pięknej* staroświecczyzny <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> «Die farbigen Glasfenster können den Eindruck der *Näherheit*, welche jetzt die Kirche kennzeichnet, nicht beseitigen» (H. Diederichs).

Druga, mniejsza, w tymże stylu, ale bardziej staroświecki mająca wygląd, t. z. *St. Annenkirche*, zbudowana między 1638 a 1641 rokiem, oddaną jest obecnie na wyłączny użytek lotewskiej ludności Mitawy. Nabożeństwo tam, kazania, śpiewy — wszystko w języku lotewskim.

Ks. Albert Radziwiłł... Już to, z którejbądź strony ku Mitawie się zwrócić, zawsze natkniemy się bodaj na okrucz polsko-kurlandzkich stosunków. Otóż, ks. Albert Radziwiłł, pierwszy ordynat na Klecku, ów, co to w zawieraniu pokoju z Moskwą w 1582 tak ważną odegrał rolę, co to później w imieniu Zygmunta III arcyksiężniczkę rakuską zaślubił, i czyniąc zadość obyczajowi ówczesnemu, ściśle w Niemczech przestrzeganemu, w pełnem uzbrojeniu, w obecności krewnych, kładł się przy oblubienicy, dzierżąc miecz dobyty między nią a sobą, Albert Radziwiłł, wrócony na łono wiary katolickiej za sprawą Skargi — ożeniony był z córką hermistrza inflancko-krzyżackiego i księcia kurlandzkiego Gottharda Kettlera. Anna Kettlerówna przyjęła wiarę katolicką, a po śmierci męża (pochowanego u św. Jana w Wilnie) zamieszkawszy w Rydze, gorliwie tam wszystkich praktyk religijnych dopełniała. Z niemałym zmartwieniem przyglądało się tej gorliwości duchowieństwo ryskie protestanckie i nuż w prośby i instancje do matki Radziwiłłowej, księżnej kurlandzkiej, z domu księżniczki Meklemburskiej, protestantki, siedzącej na wdowim stolcu w zamku mitawskim. Niech dołoży starań, aby dostojną córkę protestanckiemu wyznaniu — odzyskać!

Rada w radę, postanowiono urządzić na zamku mitawskim, w obecności księżnej Anny — wielką *dysputę*. Spierać się będą ze sobą «o wyższość wiary» predykant nadworny księżnej, superintendent Oderborn i ojciec Becano *Societatis Jesu*, rektor collegium jezuickiego w Rydze. W sierpniu 1599 odbyła się ta dysputa w wielkiej sali zamku mitawskiego w przytomności księżnej-wdowy kurlandzkiej i księżnej Radziwiłłowej, pastorów, jezuitów, dworu, szlachty i nawet licznych mieszczan, zaproszonych na zamek. Sam

tylko panujący książę Fryderyk nie asystował dyalektycznemu turniejowi; wyjechał umyślnie na łowy do Eckau. Dysputa trwała — trzy dni. I byłaby nie wiedzieć jak długo trwała, gdyby naród, zgromadzony dookoła zamku, nie był się okrutnie zapasami temi rozgorączkował. Księżna, obawiając się zamieszek *extra muros*, rozkazała dysputę — przerwać. Rezultat był taki, że księżna Albertowa — pozostała gorliwą katoliczką do końca życia, t. j. do roku 1619, o czem pp. historycy kurlandzcy zdają się nie wiedzieć, jak również o tem, że Kettlerówniej zwłoki leżą pożrebane w Tykocinie w kościele OO. Bernardynów <sup>1)</sup>.

Albo inny epizod z kurlandzko-polskich stosunków. Spór: księcia, piltyńskiej szlachty, oraz biskupa wendeńskiego o starostwo Piltyńskie, i dobra przyznane przez komisarzów królewskich za własność biskupią.

Niezadowolony z wyroku książę wysłał całą delegację do Warszawy, mającą odwołać się bezpośrednio do króla, względnie do sądu królewskiego. Wyjeżdżają tedy 28 maja 1688 z Mitawy: *freiherr* von Puttkamer, von der Sacken komendant Grobina, Jan Gerhard von Manteuffel-Szoego, późniejszy plackomendant w Goldingen i marszałek <sup>2)</sup>, b. rezydent książęcy w Warszawie Mikołaj Chwałkowa-de-Chwałkowski, jak go w Kurlandyi pisano — ogółem ośmiu delegatów i pełnomocników.

Jadą na Królewiec, skąd zabierają potrzebne dokumenty, stwierdzające prawa do Piltyna księcia; 13 czerwca stają na Pradze. Wisła rozlana; dwa dni czekają na możliwość przeprawienia się na przeciwległy brzeg. Dostają

---

<sup>1)</sup> Drukowaną w 1605, arcy-rzadką relację o tej dyspacie odgrzebał członek Towarzystwa Naukowego... estońskiego, T. Christiani i zdał o niej obszerną sprawę na posiedzeniu tegoż Towarzystwa w Dorpacie w r. 1898. Wspominają o tej dyspacie «*Litterae annuae*» jezuickie z r. 1599.

<sup>2)</sup> Pisali się Manteufflowie: *genannt Szoego* lub *Soego*, albo *Seego*. Stąd często gęsto polskich dziś naszych inflanckich Manteuffłów zwać *Sejami*.

się wreszcie szczęśliwie do stolicy i najmują cały dom ze stajniami i stodołami przy ulicy Nowej, za 15 złotych tygodniowo.

Rozpoczynają się zabiegi i szukanie adwokatów, oraz wizyty. Podkanclerzy Radziejowski i wojewoda czernihowski von Foelkersahm torują delegacyi drogę do króla Jana, który audyencyę na dzień 25 tegoż miesiąca naznacza. Sprawa bierze doskonały obrót, dzięki poparciu królowej «Marysienki», do której łaski udało się trafić ichmościom delegatom. Król przyrzeka nie sprzeciwiać się dochodzeniu praw swoich przez księcia. Następuje rozprawa sądowa i trwa dni kilka. Nareszcie... *Rex deliberat!* to znaczy król formułuje wyrok. Oczekiwanie trwa trzy dni. Wyrok zapada. Król uznaje jedynie za prawną czynność, dokonaną przez komisarzy królewskich, ale nie wyrok przez nich wydany! Jak tu ująć na piśmie, w jasne określenie wyrok taki! Szturmują tedy bezpośrednio do króla pełnomocnicy książęcy oraz biskup wendeński Popławski o ściślejsze sformułowanie decyzji. Króla Jana opuszcza cierpliwość, fuka, unosi się i powiada: «*Sic me Deus adjuvat*, tom miał na myśli, com powiedział i innego wyrozumienia i explikowania być nie może i nie potrzebuje być!»

O to i chodziło. Delegaci książęcy wygrali sprawę. Król w dobroci swojej, odjeżdżając do Jaworowa, przykazał osobiście pisarzowi dekretów trzymać się ściśle tenoru słów królewskich. W nieobecności już króla, w ręce Lubomirskiego, marszałka koronnego i Radziejowskiego złożyli odpowiednią przysięgę: przedstawiciel elektora brandenburskiego <sup>1)</sup> hr. Dohna, a w imieniu szlachty polskiej *resp.*

---

<sup>1)</sup> Losy i dzieje ziemi Piltyńskiej, jej, raz pośrednia to znowu bezpośrednia, zależność od korony polskiej, stosunek do niej elektorów brandenburskich, połączenie jej z Kurlandją w 1661 r. na mocy t. zw. piltyńskiej transakcyi — znane i wyjaśnione, czynią komentarze do niniejszego epizodu zbytecznymi.



sejmu wojewoda Foelkersahm <sup>1)</sup> i referendarz koronny (świecki) Krasieński. Imć pan pisarz dekretowy pewnym człowiekiem nie był; na żołdzie stałym pozostawał biskupa Popławskiego. Tedy delegaci książęcy dla ugruntowania siebie w pewności, że p. pisarz tak akurat dekret królewski zredaguje, jako król przykazał — wyliczają mu sto talarów tytułem wynagrodzenia... za fatygę. I — opuszczają Warszawę 13 sierpnia zadowoleni i spokojni. Pomyślnie zakończona misya trwała trzy miesiące <sup>2)</sup>).

Urywam na tem jeszcze jednym, ale ostatniem zboczeniu — w dzieje dalekie. Nie z obawy zaiste wyczerpania materyału — jeno że, sądzę, wystarczy dotychczasowych tych zboczeń, na którem sobie *exempli gratia* pozwolił, dla uwidocznienia całej sieci łączników między historyczną przeszłością naszą a kurlandzką. Sieć tę otrząsają stale z zapomnienia kurzów, dozywając ją starannie i uczciwie na jaw, prace kurlandzkich, by tak rzec, konserwatorów *temporis acti*. Mało jeno łączników jest między bacznością naszą a pracą tą wytrwałą i godną tradycyi kulturalnej dzielnicy, z tyłu względów nam nie obojętnej...

\* \* \*

A i przydługiej wędrówki mojej już tylko kroków kilka przedemną.

Tylko jeszcze rzucić okiem w tak staroświecko charakterystyczne Grünhöffschestrassę, Schwedhöffschestrassę, Poststrassę. Pójść sobie powoli mimo domów tych cichych, spokojnych, zdezelowanych przez czas, nie «odnawianych»

---

<sup>1)</sup> Felkerzamb pisano w dokumentach polskich. Porów. I. Wolffa «Senatorowie i dygnitarze», str. 16 i 105.

<sup>2)</sup> Jeden z członków delegacyi Fromhold v. Sacken spisał dokładny dyaryusz oraz dziennik wyprawy warszawskiej i pobytu w Warszawie. Rękopis znajduje się w archiwum szlacheckiem mi-tawskiem, a tekst dosłowny podany w «Sprawozdaniu» Kur. Tow. lit. artyst. za rok 1900.

na modny sposób, a jednak schludnych; mimo drzwi wchodowych, co zda się każde z nich tak dobrze znane. A jakże!... oto u drzwi: dzwonek dwie rączki; pod jedną tabliczka z napisem *Oben*, pod drugą napis *Unten* — aby nieporozumienia nie było. Czytam szyldzik na którychś drzwiach: Dr. Bidder. A jakże!... musi być w Mitawie dr. med. Bidder. W wydanej parę lat temu biograficznej encyklopedyi p. t. «Die Aerzte Kurlands» już pod datą roku 1810 figuruje w Mitawie dr. Bidder, praszczur wszystkich późniejszych Bidderów mitawskich. Ten dr. Bidder, na którego się natknął, to wszelako nie stary Bidder, u któregośmy się nieomal wszyscy leczyli; to syn starego Biddera. Niechybnie żonaty, i jest niemal pewność, że dr. Bidder, junior, zostawi po sobie Mitawie doktora med. Biddera, jeszcze bardziej juniora. Ale mimo drzwi jego już przechodzić ja nie będę...

Do ogrodu Schirkenhöffera zająrzałem. Tam z nastaniem ciepłej pory muzyka wojskowa dawała wieczorami nie wytworne, ale bardzo uczęszczane koncerty. Zbierało się całe «towarzystwo» nasze mitawskie. Okrutnie przyjemnie upływał wieczór — zwłaszcza przy asystowaniu damom, rówieśniczkom naszym, w które obfitowało, ba! któremi kwitło nasze kółko rodzin polskich. Konwersacye... o!... literatura, poezya, sztuki piękne, zagadnienia, nawet na bardzo wzniosłe tematy. Nie dla parady mieliśmy przecie bibliotekę własną i sobotnie nasze t. zw. posiedzenia. Dziś dopiero zdać mogę sobie sprawę, jak dalece filarecki nastrój panował trzydzieści lat temu wśród mitawskiej naszej młodzieży. Nie czuliśmy tego z pewnością wówczas sami; zdawało się każdemu z nas, iż być inaczej nie może... Zająrzałem do byłego ogrodu Schirkenhöffera. Mało się zmienił; usunięto tylko podium dla muzyki. Ogród dziś oddany klubowi («krużok») rosyjskiemu.

Natomiast poczta konna jak istniała, tak istnieje, typowa budowla, żywo przypominająca *Bidermajerzeit*, czasy przedkolejowe, nawet przedtelegrafowe. Nie ma co nosić

gęby wyżej nosa. Wszak to ja sam odjeżdżałem z przed owej «poczty» pontyfikalnym, staroświeckim dyliżansem — do Szawel, szosą *via* Janiszki, ile że połączenia kolejowego linii Libawskiej z Mitawą nie było w roku... hm! w roku 1873. Najkrótsza droga przez Kowno za granicę prowadziła na Szawle. Na własne oczy widziałem dyliżansowe żegnania się — odjazdy — podróżowałem dyliżansem! Gdy zbankrutuję ostatecznie w literackim i dziennikarskim zawodzie, pozwolę pokazywać siebie za biletami.

Tymczasem...

So wandl' ich wieder den alten Weg,  
Die wohlbekanntten Gassen...

Wszystko dookoła mnie jakoś *mniejsze*; nie bardzo, ale miniaturowsze. Ulice ciaśniejsze, domy pomalały. Jakbym patrzył przez binokle — na odwrót. A tak *mało* wszystko się zmieniło! tak przerażająco mało. Jakto? Więc te oto martwe rzeczy tak wybornie znoszą żyjących istot przemianę, a my, my tak nie wytrzymali jesteśmy, tak dajemy pobić siebie na głowę temu, co własne nasze ręce nieraz powznosiły! Patrzysz na tę trwałość rzeczy martwych — i na siebie. Natkniesz się na coś tak zdumiewająco niezmienionego, na coś, co tak krzepko oparło się czasowi i aż przebiegnie ci przez duszę uczucie lęku. *Ein unheimliches Gefühl...* Straszno zbliżyć się, straszno stapać. Więc to tylko *my*, *my* — przemijamy?

A zacni przechodnie, spostrzegłszy jakiegoś obcego pana, idącego zwolna ulicą, przystającego tu i owdzie, sami jeżeli nie przystaną, to przynajmniej wzrokiem go mierzą tak rozczulająco, naiwnie zdziwionym i zainteresowanym. Wszyscy przecie tak wybornie i dokładnie znają — siebie. Tak rzadko ktoś *obcy* przemknie ulicą. Tak go wnet spostrzegą, wypatrzą, poddadzą go powszechnemu zainteresowaniu się.

Miły Boże! ja te spojrzenia tak przecie doskonale

znam. Sam ja kiedyś przecie *tak*, akurat tak, przyglądałem się każdej «obcej figurze». I dziś obcą figurą jestem sam — tulającą się, ku zdziwieniu zacnych przechodniów, po kątach pełnych wspomnień, dla nikogo już niezrozumiałych. Obcej figurze ludzie ustępują z drogi, przechyliwszy lekko na bok głowę i poglądając ku niej, jakby z niedowierzaniem, że przyszła też komu ochota wałęsać się, gdzie nikt nawet o zdrowie nie spyta! I obca figura skula się, ręce wciska w kieszenie i przyśpiesza kroku, zażenowana natręctwem własnem, jakby przemycając siebie wzdłuż szarych ścian. I obca figura znika gdzieś na rogu ulicy...

Du alte, einsame Thräne,  
Zerfliesse jetzunder auch!

*Czerwiec, 1904 r.*





# Z WRAŻEŃ KRYTYCZNYCH.



## DWIE KSIĄŻKI.

---

Der Mensch hungert und dürstet nach Illusionen. Wenn es denkbar sein könnte, dass die Menschheit, ich meine, die sogenannte zivilisierte, heute atheistisch wäre, morgen schon würde sie sich wieder Götter und Göttinnen machen.

*J. Scherr.*

---

Nil admirari prope res est una,  
Numici,  
Solaque, quae possit jacere et  
servare beatum.

*Horatius.*

Wer Wissenschaft und Kunst besitzt, hat auch Religion,  
Wer diese beiden nicht besitzt —  
der habe Religion.

*Gothe.*

«Człowiek ów będzie miał zawsze tłum za sobą. On tak pewny siebie, jak wszechświata. To właśnie podoba się tłumowi; tłum potrzebuje twierdzeń, nie zaś dowodzeń. Dowodzenia zbijają go z tropu i niepokoją. Nie trzeba mu



nigdy mówić: dlaczego? po co? jak? — trzeba mu jedynie mówić: tak lub nie»...

I właśnie kiedyś słów tych doczytywał, jakby w odpowiedzi na wzmiankę przygodną o bezimiennym tym człowieku, przyniesiono mi z pocztą, świeżo wyszłą z druku, książkę księdza W. M. Dębickiego. Trafem zbiegły mi się do rąk jednocześnie dwa charakterystyczne dzieła pisarskie, o jednym mniej więcej czasie puszczone w świat, stojące na dwóch przeciwnych sobie krańcach — nie wiedzy, jeno przekonania. *Si sacra profanis componere licet*, wymienię obok siebie oba tytuły. Studium ks. Dębickiego poważne naukowymi wywodami, gorące wyraźną tendencją, całe nastroszone cytatami z niezmierną sumiennością nagromadzonemi, traktuje o «wielkiem bankructwie umysłowem tegoczesnem»; książka Anatola France'a błyszcząca najwytworniejszą stylistyką ironiczno-sceptycznego krytyka-feljetonisty nosi krótki, w najnowocześniejszym stylu, tytuł: „*Le jardin d'Epicure*“.

I zdaje mi się oto, jak gdyby pod strzechą jednego z setek tysięcy dziecięcia wieku stanęli twarz w twarz przed sobą — oskarżyciel i winowajca, jak gdybym głosy ich własne słyszał, i rozstrzygać miał tu, pod tym kruchym czaszki ludzkiej czerepem, olbrzymie zagadnienia wszechbytu...

— Zbankrutowała tedy — mówił pierwszy — i zwaryowała niezależna, harda, liberalna, a raczej jak bicz dzia-dowski rozpuszczona myśl ludzka! Rozpoczęła filozofia wolnomyślna od zwątpienia o wszystkim, a skończyła również na zwątpieniu. Oto pesymiści poznania, skrajni sceptycy, wszelką wiedzę, zrozumienie jakiegokolwiek rzeczywistości i wogóle pewność poczytują za wrażenie, a cały dorobek naukowo-filozoficzny ludzkości za »uczone nieuctwo« i za bezwiedne albo świadome «okłamywanie siebie samego». Na słynne pytanie Montaigne'a: „*Que sais-je ?*“ odpowiadają oni, albo że nic nie widzą, albo że mają tylko świadomość swych osobistych wrażeń, wyobrażeń

i pojęć, poza które przekroczyć nie jest w mocy człowieka.

Filozofia nowoczesna, zapoczątkowana przez Kartezjusza, wyzbywszy się wszelkiego na dogmacie oparcia, wiedzę bożyszczem swoim uczyniwszy, sama na bożyszcze swoje plwać jęła, aż wreszcie, bezsilna, pokruszywszy cyrkle swoje i szkiełka o granit niezbadanych tajemnic, wywiódłszy w pole tysiące adherentów i zelatorów, woła oto wielkim, rozpaczonym głosem przez usta berlińskiego fizjologa Du Bois Reymonda: *ignoramus et ignorabimus!* — nie wiemy i wiedzieć nie będziemy!

Zaprawdę, rezultat świetny. Wartoż było ludzkość, spragnioną prawdy, światła i rozwiązania życiowej zagadki, włóczyć przez wieki całe po manowcach transcendentalnych i eksperymentalnych systematów, aby, jak w zamieć grudniową, wrócić zdrożonym i z sił wybitym na to miejsce, skąd się puściło w drogę? *Honneur au courage malheureux!*

Ale gdybyż to tylko. Gdybyż w tej bezowocnej wyprawie nadkreśliło karku pyszałków kilkunastu, zmarnowało się umysłów kilka, zbankrutowało kilka jedynie «firm» filozoficznych! Ale nie! Sceptycyzm przewódców zaraził obóz cały, obóz, dziś, niestety, jak świat szeroki, zdemoralizował połowę ludzkości, pogasił przed nią światła, a nie zaostrzył jej wzroku do tego stopnia, aby w ciemnościach widzieć mogła. Biedna ludzkość filozofująca! Czegóż nie przebyła, w jakich nie była opalach. *Omnia fuit et nihil expedit!* I oto w nagrodę za gorliwą służbę u racjonalizmu — pesymizm i mizantropia pożerają ją dziś, plagi gorsze, niż egipskie, spadły na nią i szaty rozdarć na widok stanu rzeczy, którego dziś jesteśmy świadkami.

Na szczycie naukowego Olimpu — sceptycy, iluzjoniści, halucynanci; w literaturze i sztuce — bezwstyd i dziwactwa potworne; w dziennikach — kłamstwo i reklama; kult mamony, przewrotność, szalbierstwo i frymark bezprzykładnych dosięgają rozmiarów; z pustką w umy-

ślach i sercach, bez zasad, bez celów moralnych, i bez hamulca stąpają miliony istot ludzkich, wyziębłe, jakby zmartwiałe; przepełnione szpitale dla obłąkanych, więzienia przepełnione, domy gry i szynkownie; liczba samobójstw wzrasta z każdym rokiem — a po nad tem wszystkim, raczej pod tem wszystkim, na zezwierzęconych nizinach społecznych, zieje zniszczeniem i mordem stugłowa hydra anarchii.

Oto co sprawiło wielkie naszych czasów bankructwo umysłowe, oto co sprawiła w sceptycyzmie poczęta i leżąca w agonii krańcowego sceptycyzmu, osławiona, pyszna filozofia nowoczesna!

To, co ongi zasiał w dusze greckie współczesny Aristotelesowi sceptyk Pyrron, to weszło dziś bujnym chwa-  
stem na niwie społeczeństw i przytłumia nawet wszelką  
chęć do wybicia się z tej przygnębiającej apatyi, do  
otrząśnięcia się z rozpacznych krakań tych, co nas na  
pasku kłamstw wodzili tak długo. Nawet nie macie siły  
przekląć owej wiedzy, na glinianych nogach negacyi sto-  
jącej, wy — bankrucii!

Tak mówił, — trącając raz po raz dłonią w zmurszałą,  
nagromadzoną przedemną kupę doprowadzonych *ad absurdum*  
wywodów sceptyków, solipsystów i iluzjonistów.

A no tak, zbankrutowaliśmy. Nie doczekaliśmy zapo-  
wiedzianej jutrzemki dnia wiecznej światłości, owoc, z drzewa  
wiadomości uszczknięty, usta nam cierpkością i goryczą  
napęłnił; zamiast zapowiedzianego pęknięcia ryglów, za-  
walających przed nami tajemniczą wieczności krainę, wy-  
rzało stamtąd ku nam widmo beznadziejnej nirwany.

i jadem lez soli

Karmieni co dnia od żywota świtu,  
Gdy śmierć nas wiedzie ku nieznaney doli,  
Przed okropnością stajemy niebytu  
I wylewamy lzy krwawe, znekani  
Płacząc — jak płakał Chrystus w Getsemani!..

A no tak, zbankrutowaliśmy. We wspaniałych gmachach świątyn naszych nietylko niema Boga, niema już nawet ołtarza dla alegorycznej, rewolucyjnej, z przed stu laty Bogini Rozumu; ogarnął nas nietylko zmierzch bogów, ale i zmierzch po nich nastających wszelkich «fałszywych proroków»...

Jest, jak jest — i wymowny oskarżyciel znikąd zaprzeczenia nie usłyszy. Pyszałkowatość to, szatańska duma lub szubieniczny humor? — nie moja rzecz rozstrzygać, dość że «bankruci» dzisiejsi z pewną chępliwością przyznają się do tego, iż zaszli w matnię, z której wyjścia niema, chyba w jawny i pełny absurd.

«Czuję — pisze Anatol France, pisze akurat jakby dla potwierdzenia wywodów księdza Dębickiego — że stoimy wpośród olbrzymiej fantasmagoryi i że wszechświat przed nami, to wytwór koszmaru tego niedobrego snu, co życiem się zowie. I to jest właśnie najgorsze. Albowiem jasnym jest, iż wiedzieć nic nie możemy, iż wszystko nas oszukuje i że przyroda naigrawa się okrutnie z naszej niewiedomości i głupoty naszej. ...Wysyłać rozum na szukanie prawdy to bardzo niemądry użytek robić z rozumu. Gdy wzięliśmy rozbrat z teologią, nie mamy już żadnego sposobu dowiedzenia się, dlaczego jesteśmy na tym świecie i jakie zadanie spełnić na nim mamy».

Prawie to samo wyznanie wiary ma na ustach doktor Pascal Zoli. Niechce on nic przesądzać, ale twierdzi, że dzisiejszy stan wiedzy nie pozwala na wyprowadzenie dalszych wniosków nad te, które na mocy obserwacji faktów znanych wyprowadzić się dadzą; więc też tych należy się trzymać, reszty zaniechać.

Niema dwóch zdań, że stanęliśmy u herkulesowych słupów naszej wiedzy i poznania, że poza temi granicznymi słupami jest coś, czego metodą naukową do dziś dnia stosowaną (raczej: metodami naukowemi) przeniknąć nie zdołamy, albo też, że poza nimi nic zgoła niema. Pozytywną odpowiedź na ten dylemat przecięło hasło *ignorabimus*,

jedyne, nie dające się obalić naukowo twierdzenie, którem po dwóch wiekach pracy, zabiegów, doświadczeń i spekulacji obdarzyła nas nowoczesna filozofia.

Inna rzecz z tem, jak się wobec tego, bądź co bądź nie nazbyt pocieszającego faktu — zachować. Rozpaczać? Byli i są tacy. Zostawmy atoli wybuchy bezowocnego liryzmu — poetom.

«Co do mnie — pisze A. France — jestem zupełnie zrezygnowany nie poznać nigdy przyczyny przyczyn i początku oraz końca wszech rzeczy». I pisząc tak, rzecznikiem jest co najmniej większej części ludzi, mających odwagę śmiało w twarz spojrzeć bodaj najopłakańszej rzeczywistości. Rezygnacya — oto czem dziś podtrzymuje się jeszcze jako tako szare życie z dnia na dzień.

Zaś rezygnacyi owej nieodłączną domieszką jest tak nazwany przez cytowanego pisarza «smutek filozoficzny» (*tristesse philosophique*), powiedzielibyśmy inaczej — melancholia, którą wychwała on niezmiernie, twierdząc, iż mędrzec, przekonany, że dokoła siebie ma same złudzenia i omamienia, pograża się rad w owej filozoficznej melancholii, zapomina się w niej i używa rozkoszy «cichej, spokojnej rozpaczki». Złe to określenie, ale można odczuć i zrozumieć ów nastrój duszy i odmalował go nam Cynceron w *De senectute*, a niejednen z nas zapewne sam doświadczył uroku godziny myśli, o jesieni życia, pełnej wspomnień, refleksyi i cichej zadumy. Tak filozof dzisiejszy. Na ewolucyę wyobrażeń i przekonań, dokonaną przez szereg mnogich lat, patrzy on teraz niejako, jakby na przebieg własnego, upłynionego życia, i choć znikomość tych zabiegów przeznał, lechce mu miłość własną przeświadczenie, że wszystko, co do poznania było — poznał.

Przeświadczenie o wielkiem, powszechnem złudzeniu (*la doctrine de l'illusion universelle*) ma pewną imponującą wielkość w sobie i — jak utrzymuje A. France — godzić się z nią i żyć z nią potrafili tacy, jak Demokryt, Epikur lub Gassendi. Nikogo to nie zdziwi. Schopenhauer zasypiał

najspokojniej z własnymi dziełami przy łóżku, a Hartmanowi, sędzę, nie zakłóciło snu i jada kilka nawet wydań jego „*Philosophie des Unbewussten*“. Jeżeli tedy owa melancholia filozoficzna zdrową i strawną jest dla filozofów, to natomiast dla przeciętnego ogółu śmiertelników jest, jeżeli nie wręcz zgubna, to w każdym razie nie pożądana. Atoli ks. Dębicki zbyt wielkie przypisuje znaczenie i wpływ zbyt przemożny — teoryom filozoficznym. W życiu kierują nami przeważnie odruchy, instynkty, przywyknienia, praktyczne, na blizką metę obliczone cele i zamiary. Niemniej przeto — jak się rzekło — teorye filozoficzne wsiąkają, przedewszystkiem w dzieła stokroć popularniejsze, niż filozoficzne czystej krwi księgi, w wykłady szkolne etc. i temi drogami pośredniemi wpływ na masy niezaprzeczenie wywierają.

Studjum przeto o «bankructwie umysłowem» ma na celu nie tylko dyagnozę jednej z kardynalnych chorób naszego wieku, ale i zarazem odemknięcie furtki, przez którą zrozpaczona — zdaniem autora — ludzkość wyjście znaleźć może z gehenny, w którą wtrąciła ją nowoczesna filozofia. Ludzkość — zawsze zdaniem ks. Dębickiego — jest jak owa Klotylda z „*Docteur Pascal*“. Uczuwa ona potrzebę rozwiązania wielu niedających się rozwiązać pytań. «Ja dławię się — woła ona — ja muszę coś wiedzieć, ja muszę być czegoś pewną, a jeśli nauka nie może tej mojej potrzeby zaspokoić, tedy pójdę tam, gdzie mnie uspokoją, wszystko wytłómaczą i uczynią mię szczęśliwą!»

Przy tak dobrem usposobieniu — a usposobienie to reakcyjne jest i daje się uczuwać powszechnie — potrzeba tylko stanowczego impulsu, aby ludzkość na właściwą pokierować drogę. Impuls ów daje ks. Dębicki niedwuznacznie w zamknięciu swej pracy.

«Tylko głęboka wiara w Boga — powiada on — i w powagę Jego kościoła, tylko katolicki obiektywizm zaprowadzają równowagę w umysłach, krzepią charaktery»

uszlachetniają duszę, wskazują cel życia, nadają wartość jego zabiegom i walkom».

Po co było szukać za morzami tego, co od wieków pod ręką leżało? Po co było po rozlicznych manowcach szukać rozwiązania zagadki wszechbytu, skoro leżała ona, leży i leżeć będzie w objawionych przed wiekami — dogmatkach religii katolickiej?

Dajmy pokój i rozpaczy niemeńskiej i rezygnacy gnuśnej, niebezpiecznej dla słabszych umysłów i wróćmy do wiary prostaczków, dającej nam nie dowodzenia, ale twierdzenia, dającej nam spokój i niczem niezamąconą ducha pogodę.

I gdyby tak w istocie zaaplikować było można z poniedziałku na wtorek duszom ludzkim ów wypróbowany, uniwersalny środek — działałoby się wszystko najlepiej na najlepszym ze światów. Sceptykami nazywamy tych, którzy nie dzielą naszych własnych złudzeń; ale jakże nazwać tych, którzy, uniesieni własnymi złudzeniami, czynią to — acz w przeciwnym kierunku — co czynił Renan, to jest: wpajają ludziom iluzye, oszukując jednostki dla dobra ogólnego? Być może, sam autor «wielkiego bankructwa» wierzy w to, że słynne *ignorabimus* zastąpione być może — dogmatem, że na miejsce ścisłych dowodzeń da się położyć bezkrytyczne twierdzenie, i że wracający na widownię dogmat znajdzie dziś jeszcze, po tylu przewrotach i przeobrażeniach grunt dla przyjęcia się podatny. Jeżeli wierzy — to iluzjonistą jest, jak wielu innych; jeżeli zaś popelnia jedynie *piam fraudem*, to niechże cel szlachetny uświęci i ten, aczkolwiek zawodny, środek.

Pod wrażeniem chwili, pod wrażeniem wreszcie tego wielkiego bankructwa nowoczesnej filozofii, w momencie najsilniejszej reakcyi, może — na czas pewien — stać się dla ludzkości portem i opoką głoślowny dogmat. Ale budować na nim wielkiego gmachu wyobrażeń i przekonań, gmachu filozofii praktycznej, gmachu poglądów stałych na koniec i początek wszechrzeczy, oraz rozcinać tym

mieczem węzła gordyjskiego zagadki wszechbytu — ludzkość nie będzie. Do tego potrzeba dziecięcej, prostej, szczerzej, kornej wiary — a filozofujące warstwy społeczeństw dzisiejszych zdobyć się na nią chyba nie potrafią. Ci, do których doszło hasło *ignorabimus* i którzy racjonalność tego hasła uznali, nie odrobnią już w duszy swej i umyśle tego, co poczyniła tam nowoczesna filozofia. Mogą, w chwili słabości, uchwycić się jako deski zbawienia nawet magii i budyzmu — ale reakcyjnego tego odruchu trudno brać w rachubę.

Nietylko Wundt, ale i każdy człowiek nieco szerszego na rzeczy poglądu, byle nie doktryner nieprzejednany, z bezstronnością wszelką wyrażać się będzie o religii, z należnym dla niej uszanowaniem i podziwem. „*C'est la force et la bonté des religions d'enseigner à l'homme sa raison d'être et ses fins dernières* — powiada A. France. Ale trzeba wierzenia religijne, dogmatyczne, strzedz bacznie od zetknięcia się z wszelkimi wogóle rozstrząsaniem mniej lub więcej filozoficznej natury. Niewłaściwym jest nawet wogóle wciąganie tych kwestyj, wciąganie dogmatu w wir sporów i badań. Dogmatowi przez to ujma się nie stanie, stanie się natomiast ujma zawsze tym, którym z wiarą w dogmat dotychczas dobrze było. Tylko na dziewiczym gruncie ziarna wiary dogmatycznej wzrósć mogą i plon wydać odpowiedni, tylko na niwie strzeżonej bacznie od wszelkiego naruszenia rozplenić się może wiara dogmatyczna. I przeto, pomimo całej pozornej «wzniosłości» i «użyteczności» i dobrej woli a zacnej myśli, cechujących zakończenie pracy ks. Dębickiego, końcowa ta refleksja zbyteczną jest. Studium, trzymane na ściśle naukowym, realnym, by się tak wyrazić, gruncie, rozplywa się nagle w *pia desideria*, będące wytworem nie ścisłego prawdopodobieństwa, jeno dowolnej, osobistej iluzji autora.

Myśl ludzka przeżywa ciężki kryzys. Po długim boju wraca oto zmęczona, z połamaniami o tajemnic mury skrzydłami — i ukojenia w wypoczynku potrzebuje



Chwilowy kwietyzm na opoce dogmatu będzie dla niej stanowił wytchnienie — do czasu. Ale do tej opoki nikt jej nie przykuje — nazawsze. Nawet absolutna pewność dogmatyczna nie da jej szczęścia. Duch ludzki, myśl ludzka, znów zerwie się do lotu, znów pójdzie pytać poza krańcami widomego widnokregu: po co? na co? dlaczego? skąd? dokąd? Znajdzie, czy nie znajdzie odpowiedzi na te wieczne pytania? Prawdopodobnie nie znajdzie, ale też i prawdopodobnie pytać nigdy nie przestanie. Losem tych setek pytających nie pokierują nawoływania żadnych, bodaj najszlachetniejszych — doktrynerów. To rwanie się, szamotanie, te porywy i upadki ikarowe, stanowiły, stanowią i stanowiąc będą samą istotę życia myśli ludzkiej. Nie odmienić jej.

Zaś dla szarej rzeszy, przewalającej się po stygnącej planecie naszej, pod promieniami pobitego w plamy słońca, dała Opatrzność podwaliny idealnego *modus vivendi*, których zachowanie i baczne strzeżenie leży nietylko w posłannictwie wybranych, ale w interesie ogólnoludzkim. Podwalinami temi jest nieprześcigniona żadną nauką, ewangeliczna nauka Chrystusa, która, nawet niezależnie od wiary dogmatycznej, wywieść jest zdolną społeczeństwa «ze stanu rzeczy, którego jesteśmy świadkami».

W niej, w przykazaniach ewangelicznych, w duchu Chrystusowej nauki (który oby przepoił kiedyś wszystkie objawy życia ludzkiego!), najskuteczniejsze palladium przeciw rozbastwieniu się ludzkiemu, przeciw rozpacz, zniechęceniu i upadkowi słabszych duchów. To jest najsilniejsza opoka, na której oprzeć się może śmiało wszelka praktyczna filozofia życiowa, daleka od rozwiązywania nierozwiązalnych zagadek, u których progu — przynajmniej w chwili obecnej — leżą, wyrte niedającymi zatrzcć się siłą ludzką zgłoskami, podobne dantejskiej przestrodze, słowa „*Ignoramus et ignorabimus!*“

# AUTOR „KRÓLA SALOMONA“.

1834—1902.

Jest w Biblii, w tem olbrzymiem *silva rerum* ducha ludzkiego i natury człowieczej, utwór, bardziej znany pod grecką, niż hebrajską nazwą, a przewyższający bezwzględnością i ponurym nastrojem wszystko, co wydała do dziś dnia literatura pesymizmu wszystkich czasów i narodów. Księga, zwana „*Ecclesiastes*“, jest niejako prazródłem wszystkich pesymistycznych twierdzeń i dowodzeń, któremi w następstwie kołatano znużonego ducha ludzkiego. Wszystko jest w niej, co rzekomo «wymyślili» filozofowie i poeci aż do Leopardi'ego i do Schopenhauera; setki stron licząca „*Philosophie des Unbewussten*“ Hartmanna jest tylko szeroką parafrazą dydaktycznego traktatu, skreślonego w drugiej połowie IV w. przed Chrystusem przez judejczyka, którego imienia nikt nigdy nazwać nie potrafi. Cały, nieśmiertelny pesymizm duszy ludzkiej, zawarty w księdze owej, gęsto chaldeizmami upstrzonej, wcielono nie bez opozycyi, jak zaznacza św. Hieronim, do kanonu biblijnego. Braknie w niej tylko: miotań się, wybuchów, przekleństw i narzekań. I dlatego właśnie hymn dydaktyczny «tego, który przemawia wśród zgromadzenia» (to bowiem oznaczają wyrazy *kohemoth* i *ecclesiastes*), tak pełny niewysłowionego majestatu i tak głębokie wywiera wrażenie.

Potęguje to wrażenie szczegół, iż autor najbardziej gorzkie i najbardziej beznadziejne słowa mowy ludzkiej kładzie w usta człowieka pozornie najszcześliwszego ze szczęśliwych, człowieka, któremu napozór dało życie wszystko, co najcenniejszego dać jest w stanie. W księdze „*Ecclesiastes*“, przemawia król Salomon. Król Salomon, podniósłszy się ze złotogłowia, wyścielającego tron w onyksie rzeźbiony, odsuwa z przed siebie wodzów i nałożnice, i po przez wonne dymy trybularzów, depcząc stopą obojętną kwiaty najrzadsze, przemieszane z bezcennymi perłami, zstępuje po porfirowych schodach — na padół lez i rozczarowań, i woła, jakby wyrzucając z siebie dławiące go gorycz i melancholię: «Marność nad marnościami... marność nad marnościami i wszystko marność!»

I powiada król Salomon: «Cóż za pożytek człowiekowi ze wszystkiej pracy jego i udręczenia ducha, którem się męczył pod słońcem? Iżali nie lepiej jest jeść i pić i okazać duszy swej dobra z pracy swojej? Któż tak używać i rozkoszy zażywać będzie, jak ja?...»

I powiada król Salomon: «Wszystko idzie na jedno miejsce; z ziemi są uczynione i w ziemię się jednako obracają. Któż wie, jeśli duch synów Adamowych wstępuje w górę; a jeśli duch bydłęcy stępuje na dół?»

I powiada król Salomon: «Niemasz żadnego, któryby zawsze żył, i któryby o tem nadzieję miał; lepszy jest pies żywy, aniżeli lew zdechły... Gdym się obrócił ku wszystkim dziełom, których naczyniły ręce moje, i ku robotom, w których-em się próżno pocił, obaczyłem we wszystkich marność i udręczenie myśli, a iż nic nie trwa pod słońcem...»

Oto kanwa, na której przed dwudziestu mniej więcej laty rozsnuwać począł poemat liryczny jeden z poetów naszych tak zwanej «po-mickiewiczowskiej» epoki. Czy pragnął tylko sparafrazować piękny bez względu na temat, utwór biblijny? Czy miał to być «przekład» wierszowany, na podobieństwo już tylokrotnie wierszowanych Psal-

mów? Czy zamierzał napisać rapsod biblijny, wzorując się na «Melodyach biblijnych» Ujejskiego? Nie zdaje mi się, aby tylko czysto artystyczne cele miał Włodzimierz Zagórski na oku, rozpoczynając pisanie «Króla Salomona». Musiały mu już oddawna we własnej duszy grać owe kontrasty epikureizmu i przesytu, pragnień i rozczarowania, rozkoszy nadczłowieczej i nadludzkiej niesytości, a tylko Ecclesiastes, może wypadkowo, poddał mu ton dla pieśni. Nie należy zbyt skrupulatnie liczyć się ze zwierzeniami poetów, wogóle autorów; są oni zazwyczaj najniekompetentniejszymi sędziami własnych dusz i pism. Ale wyjątkowo wierzyć możemy własnym słowom Zagórskiego z przedmowy do «Króla Salomona». Pisze tam, że poemat ów «maluje stan mego własnego umysłu w pewnej danej chwili mojego życia». Nietylko «w pewnej, danej chwili». Ów król Salomon od pierwszego odezwania się w poemacie, że:

Próżno się kusi wzlecieć duchem  
Z pyłu, gdzie trawi go tęsknota,

aż do tryumfalnego okrzyku z «Psalmu tęsknoty»:

Przez te wszechdobra i Bóstwa pojęcia,  
Przez to, że myślą w nieskończoność płynę —  
Jam duch — nad ziemską wywyższony glinę!

to Zagórki sam, to obraz własnej duszy jego, w spowiedzi chwili, z obsłon wszelkich rozpowity. To, powiedziećby wolno, epopeja wogóle natury współczesnej, natury łaknącej, gorączkowej, wrażliwej, krańcowej w upadku i wzlocie, wiedzącej wiele, rozumiejącej niemal wszystko, przeciążonej wiedzą i wrażliwością, słabej a zdającej sobie dokładnie sprawę z niemocy własnej, porywczej i — szlachetnej. Dzieje te Salomonowe — to dzieje każdej duszy arystokratycznej, w duchowem rozumieniu. Nie dla każdej tylko z nich dopisany ów epilog do «Króla Salomona», wspomniany «Psalmy tęsknoty». Są dusze, które szczybla tego nie dosięgły.

Poemat o królu Salomonie łącznie z epilogiem nie jest przeto dziełem li tylko artystycznym, znakomitem stopieniem ze sobą kolorytu wschodniego, biblijnego stylu, nastrojów efektownych, oraz podźwiewków oktaw Słowackiego. Dla rozwinięcia tego wszystkiego wystarczałyby motywy wyłącznie księgi Ecclesiasty. Zagórski uczynił z niej tylko kamień węgielny dla poematu; dobrał do niej jeszcze całą «Pieśń nad pieśniami». Król Salomon Ecclesiasty wygłasza w końcu, że «i młodość i rozkosz są rzeczy marne». Zagórski rozstanie się z biblijnym królem u p r o g u tego frazesu. W usta swego króla Salomona słów tych nie kładzie. Nie może być «dalszego ciągu» dla kogoś, co przekonał się, że marnością jest i mądrość, i młodość, i rozkosz, i wszystko, zgoła wszystko. A król Salomon z poematu wierzy jeszcze, że istnieje na świecie, w życiu — coś, co nie jest marnością.

«I biegłem szukać ukojenia»...

Na tem miejscu w poemacie, w chwili, gdy bohater oddał się na pustynię, *obiit Ecclesiastes* i *natus est* Oblubieniec z «Pieśni nad pieśniami».

Usłyszał głos dziewicy, wołającej nań: «Wszystkąś mi duszą ukochany».

— Jam tu! jam tu! — krzyknąłem drżący —  
O znijdź tu do mnie, słońce złote,  
I rozjaśń duszy mej tęsknotę,  
I zdejmij ze mnie mrok ciężący!

Znękany życiem mędrzec spotyka Sulamit, której miłość «sroga jest, jak śmierć, a jako grób twarda i zawistna», i znajduje na łonie jej niepamięć i ukojenie, ową szczęśliwość, o której powiedział Ecclesiastes, że nie może być nigdy syna Adamowego udziałem.

Więc miłość kobiety... więc dzielenie z duszą niewieścią bólów najstraszniejszych i radości najzawrotniej-

szych... więc rozkosz, brana i dawana... więc rozwiązana zagadka bytu... więc oto osiągnięte to, na czego cześć buchnie król Salomon «bezmiarem szczęścia wniebowzięty», płomienną inwokacją:

Więc bądź mi wiecznie pozdrowiona,  
Mistrzyni słodka prawdy wiecznej —  
Bo mędrszym uśmiech twój słoneczny  
Nad wszystką mądrość Salomona!

Niech śmierci chwałą cię pieczęcie,  
Bośmy rozkoszą wosk ich starli,  
I zapomnienie im wydarli,  
I gwałtem wzięli wniebowzięcie!

Dość!... Niech spadnie zasłona. Pieśń, wszczęta z wstrętów i frasunków, «słodkiem rozlała się westchnieniem». Co mogło rzucić w mowę ludzką tchnienie człowiecze, wypowiedziały słowa. Teraz już wypowiedziane wszystko i ukazany jest człowiek od życia wybawiony. Teraz już tylko nad przybytkiem Salomona i Sulamit niech unosi się, jak harf coraz cichsze, milknące dobrzmiewanie, pieszczotliwa kołysanka z «Sir Hasirim»: «Wstań wietrze północny, a przyjdź wietrze z południa; przewiej ogród mój, a niech płyną wonności jego»...

\*

I długo, przez lata, opuszczoną była zasłona przybytku eks-Ecclesiasty i Sulamit. Mówiono sobie: Toż-ci jest, co miał nam do powiedzenia poeta? Zaparł się mądrości — czyniło to przed nim wielu; ale chybaż on zaparł się samego Boga, skoro ominął niejako pogardliwie ostatni rozdział «Ecclesiasty» i w «Pieśni nad pieśniami» utonął?

Powolywanie się na ostatni rozdział «Ecclesiasty» zostawmy na stronie. To, co mówi tam autor hebrajski, nie stoi w żadnym związku z poprzednimi rozdziałami i — jeśli wierzyć krytyce biblijnej — przydanem zostało do pesymistycznego, prawie bluźnierczego dzieła, aby mu

wstęp do kanonu umożliwić. Nie zawrócił też Zagórski po latach do «Ecclesiasty», jeno w nim samym, w twórcy «Króla Salomona» stała się przemiana, co powtórnie pióro mu w rękę podała i zniewoliła przydać do poematu *epilog*: «Psalm tęsknoty».

W pięknym, bardzo pięknym tym wylewie lirycznym zobrazowany został stan duszy, co szukała Boga, wyparła się Go, zaprzeczyła Jego istnieniu i — odzyskała wiarę. A odzyskawszy ów skarb, który ze wszystkiego, co duch ludzki osiąść może tu na ziemi, jedyną jest niemarnością, dufa człowiek ów, doświadczony srodze, skruszony i szlachetny, że Pan nie poczyna mu odstępstwa chwilowego za winę nie do okupienia, i że Ten, co najskrytsze myśli ludzkie przenika, osądzi i obłąd, i nawet bluźnierstwa według najmiłosierniejszej mądrości Swojej.

Lecz Ty, o Panie, co znasz ludzkie serce,  
Jako jest wątłe, gdy w bólach usycha,  
Ty we mnie gonić nie będziesz bluźniercę,  
Bo Ty wiesz, że mną nie miotła pycha,  
I Ty widziałeś, iżem, bluźniąc, szlochał,  
Bom tęsknił, Panie! — bom cierpiał — bom kochał!

Ty mnie nie będziesz ścigał zagniewany,  
Żem nie miał kornej ufności węglarza,  
Lecz szedł ku Tobie, jak krnąbrne Tytany,  
Z tą żarliwością, co niebo podważa,  
A jest jak ogień, kiedy czyści złoto,  
Bo Ty chcesz, by Cię zdobywać tęsknotą!...

Powiedziało się wyżej, że «Psalm tęsknoty», to szczebel wysoki — rozumieć komu wolno: najwyższy ku któremu wznieść się nie danem jest każdej organizacji duchowej. Jest wielu, którzy padli na pustyni przed ujrzeniem Sulamity, są inni, którzy pozostali do końca za zasłoną przybytku Salomonowego wniebowzięcia... Zagórskiego «Psalm tęsknoty» pisany dla tych i w duchu tych, co doszli *ad astra*, co «wyszli na gwiazdy», mówiąc językiem

Danta, co wydostali się z czeluści życia, z gościny wśród mar znikomych.

I — podobnie, jak mało w poezji naszej mamy go-rętszych niż w «Salomonie» obrazów ziemskiej, choć prze-duchowionej miłości, tak też w «Psalmie» posiadliśmy obraz Wiary, być może najszlachetniejszej jaka istnieje, naj-głębszej, najbardziej kojącej męki życiowe, najgodniejszej istoty, stworzonej na obraz i podobieństwo Boga. Wiara «Psalmu» Zagórskiego — to istotne *credo* mędrca, na które nie wolno spojrzeć ani obojętnie, ani z wysoka. To manifest niepowszednej, powiedzmy wręcz: wielkiej duszy. To-ci jest owa przewidziana w Ewangelii i wywyższona w niebie wiara jednego nawróconego, przeważająca niezmaconą nigdy wiarę dziewięćdziesięciu dziewięciu wiernych, którzy nigdy wzroku od stóp Bożych nie oderwali. Nie do stóp Jehowy pada twórca «Króla Salomona» i «Psalmu»; nie życia burza ciska nim pod próg świątyni; przychodzi sam z dobrej woli i mówi: «Jesteś — boś duszy człowieka potrzebą»; przychodzi kochać To, co uznał za jedynie godne ukochania na całym obszarze świata ziemskiego i duchowego, po którym odbył długą, prób i doświadczeń pełną wędrówkę. Wiara «Psalmu» — to Miłość. Najdoskonalsza Wiara jest Miłością. Im wyższy, doskonalszy kocha duch — tem doskonalszą jego Miłość.

\*

Gdy Zagórski napisał «Króla Salomona», a zwłaszcza, gdy zamknął go «Psalmem», ogarnęło wielu — zdziwienie. Niechciano wręcz oczom i uszom wierzyć, aby poeta «od» satyrycznych, politycznych wierszyków, aby birbancki piosenkarz, aby autor «Historii patryarchy Noego», aby jednym słowem *Chochlik* mógł dać nagle poemat głęboko pesymistyczny i zamknąć go quasi dantejskim rapsodem mąk duchowych, rozplywającym się w ultra-bogobojną hozoannę.

Przeważało mniemanie, że to «kaprys estetyczny»



artysty, pragnącego popisać się wszechstronnością. Dla specjalnego pokroju krytyków literackich otwierało się pole do wdzięcznej roboty. Należało wytłumaczyć, dla czego mógł powstać «Król Salomon» pod piórem autora «Noego». Na tego rodzaju biograficzno-plotkarskich rozstrząsaniach oparta lwią część «powagi» wielu znawców... rzeczy, nie przeznaczonych do poznawania. Nas, pytam, co może obchodzić, jakimi drogami przywędrowało do nas dzieło sztuki? Nas obchodzi, jakim ono jest. Kto je nam dał? — cóż może mieć za znaczenie? Wątpię, aby komu sen płoszyła z powiek niepewność, żali Homer istotnie zwał się Homerem i w którym roku życia otrzymał od ojca w prezencie pierwsze sandaliki. Verlaine, pijak, włóczęga, zwyrodniały etycznie, napisał cały tom poezyj („*Sagesse*“), którychby autorstwo dało się przypisać Katarzynie ze Sienny lub św. Teresie. Napisał. Cóż na to poradzić? Radzić niema co. Żadne biograficzno-psychologiczne eksplikacje nic nie dodadzą ani ujmą jego:

Maintenant j'aime Dieu dont l'amour et la foudre  
M'ont fait une âme neuve!...

A... tłumaczmy natomiast, tłumaczmy gorliwie, jakim jest do siebie stosunek wzajemny danych, analogicznych utworów, dzieł tego i owego autora. Ale zagłębianiu się w stosunek twórcy do dzieła dajmy pokój. Zaspakaja to lub podnieca ciekawość tłumu, ale służba takiej sprawie, przynosząc rozgłos, nie przynosi zaszczytu.

Również co do Zagórskiego. Instynktownie czuć tylko możemy, że dzieło, w które włożył ducha swego, to nie piosenki ulotne, satyryczne lub swawolne, jeno ów «Król Salomon». A że w naturze ludzkiej humor i pesymizm w zgodnej chodzą parze, przekonało o tem dosyć przykładów. Bohater, ponury od stóp do głów, lub «wesoły» od czuba do pięty, to postać z melodramatu lub panińskiej powieści, nie z życia. Nawet pustota nie wyklucza głębi duszy bardzo mrocznej, burzliwej lub znękaney.

Alboż to nie słyszeliśmy nigdy objającego się o uszy nasze frazesu: «Patrzcie, taki wesóły był, a zastrzelił się!» Nie dlatego zastrzelił się, że był wesóły, ale zastrzelił się pomimo, iż bywał wesółym. Zresztą — nie rzecz-że obojętna, czy w «Salomonie» i «Psalmie» mamy przed sobą dzieje własnej duszy Włodzimierza Zagórskiego, czyli też obraz wielu, wielu dusz, co ewolucye takie przeszły, przechodzą, lub przechodzić będą? Czy są, czy były między nami dusze takie? I były i są. Jest przeto w poemacie prawda; a że jest piękno, każdy, czytając, odczuje.

\*

Nie znam satyry politycznej Zagórskiego; nie znajdowałem się w środowisku, w które padały jego, cięte jakoby i trafiające w sedno, wiersze ze «Szczutka» i «Chochlika». Te zaś z nich, które do książkowych weszły wydawnictw («Z teki Chochlika», piosnki i żarty z okresu 1865—1881 r., oraz «Poezye» warszawskiego wydania z 1894 r., wreszcie «Wybór poezyj» z przedmową Gomulickiego, Warszawa, 1899 r.), przeciętnej miary nie przerastają i nie mogą rościć pretensyi do trwałości politycznych satyr Heinego, a nawet Berangera. Lwowska sława Zagórskiego, jako Chochlika, pozostanie dla mnie niewytłómaczoną zagadką.

Natomiast zupełnie zrozumiałą jest wziętość jego naśladowań Scheffla, naśladowań, transkrypcyj, polonizowań burzowskiego *Lied'u* niemieckiego. Nietylko my nie mamy tego specyficznego rodzaju poezyi, której najdoskonalszy wyraz dał heidelbergczyk Scheffel. Wszystkie nasze: «Teraz, bracia, w górę szklanki!» lub «Pijmy zdrowie Mickiewicza!» dalekie i w tonie, i w nastroju i w motywach od pieśni studenckiej niemieckiej. Francuska literatura jej nie posiada. W *Quartier Latin* inne niż na wędrówkach pbrzeżami Renu rodzą się piosenki. Powtarzamy: *Burschenlied* niemiecki, w skali swojej, sięgającej od tkliwej idylli do wojennego hymnu, od burleskowej parodii

do najartystyczniejszej balady, tworzy rodzaj całej literatury, nie tylko wielu nieznaną, ale i dla wielu nie należycie zrozumiałą. Trzeba i dokładnie znać tło i środowisko, na którym i wśród którego powstają pieśni takie, i mieć we własnej duszy wrażliwość, odczucie, zrozumienie, ba! i gustowanie w poezji starych ruin i gospod pod lipami, balad uciesznych i win jak złota woda źródłana, włączę po przez cuda przyrody i niefrasobliwych przygód młodzieńczych. Poezje to owiane przedziwną poezją. Poezja to — młodości i uciechy życia. *Gaudeamus igitur.*

\*

Zagórski wprowadził nas niejako w ten świat, w świat tego rodzaju poezji. Wprowadził nie za pomocą ciężkich i zawilich studyów nad «istotą» tego *genre'u*, stworzonego przez setki piór, poczynawszy od Goethego a kończąc na Baumbachu, ale za pomocą owych właśnie tłumaczeń, a raczej naśladowań i transkrypcyj. Główną rolę gra w nich nie ścisłość przekładu, ale ton. Ton ów możliwie wiernie oddany. Przejął się nim poeta do tego stopnia, tak mu przy pisaniu chodziły po głowie i dźwięczały w duszy *Lied'y* nadreńskie i podalpejskie, że nawet w poczytywanej za całkiem oryginalną «Historii patryarchy Noego» znalazła się strofa, żywcem wzięta z «Historii Noego» Aug. Kopischa:

Das Wasser schmeckt mir gar nicht sehr,  
Dieweil darin ersäufet sind  
All' sündhaft Vieh und Menschenkind.

U Zagórskiego:

Jak ognia, tak się wody bał,  
I była mu przeklęta  
Za to, że nią poraził Pan  
Lud grzeszny i zwierzęta.

Nie będziemy o to wytaczali procesu poecie. Dał nam nie wszystko, co do poezji polskiej przenieśćby można i należało z tej świeżej, ożywczej i, podkreślamy tu powtórnie, wysoce artystycznej poezji t. zw. «burszowskiej» niemieckiej. Dał nam, w przystępnej dla naszego ogółu transpozycyi, jeno próbki. Ale w literaturę poetycką polską rzucił nutę nową, świeżą. Przez to wybite na zachód okienko spojrzęło wielu w świat nieznany.

Nie należy tylko mniemać, że na «Kopalnem romanzero» («*Naturwissenschaftlich*» Scheffla), na fatalnej przygodzie proroka w gospodzie pod Wielorybem, na «Ojcu Rufie» z jego *Complete pocula — sit vino gloria!* kończy się choćby tylko zbiór pieśni Scheffla p. t.: «*Gaudeamus*», z którego czerpał Zagórski. Brał, co mu w danej chwili do ujęcia w wiersz polski przypadło, nie troszcząc się, że ktoś tam skrzywić się może pogardliwie na «ubóstwo tematów». Rodzaj poezji niemieckiej, którego jednym tylko ogniwem są nawet pisma Scheffla, stoi jeszcze otworem dla studyów, przekładów, zapoznawań z nim metodą i taką, i inną, i teoretyczną i pogładową. Tematów skala duża, a w pełnem przyswojeniu jej kiedyś literaturze naszej transkrypcye Zagórskiego zajmą miejsce niepoślednie, chociażby już tylko «z wieku», bo pierwszy to był rzeczywisty talent poetycki, nasz, który z tak nieswojskim Schefflem zmierzył się zwycięzko.

\*

Poezye liryczne Zagórskiego bledną pod względem treści i formy wobec «Króla Salomona». Zalety ich — a są zalety w niektórych niepowszednie — nie zdołają utrzymać ich dłużej w literaturze obok poematu. Mniejszych rozmiarów liryki Zagórskiego, bądź tkliwe, bądź żartobliwe, bądź refleksyjne, to znowuż tylko obrazujące — odpadną. Niema w pomniejszych utworach Zagórskiego takich pereł liryki, któreby dzielić mogły los wielu lirycznych poezji innych autorów dzieł większej skali.

«Hymn o zachodzie słońca» Słowackiego trwać będzie tak długo, jak «W Szwajcaryi», jak «Anhelli»; «Nad wodą jasną i czystą» Mickiewicza będzie wiecznym satelitem «Pana Tadeusza»; mnóstwo dwustrofowych urywków Heinego z jednakiego, czasem z przedniejszego kruszczu, niż «Atta Troll» lub «Deutschland». Ani słowa, niektóre liryki Zagórskiego mają przednią wytworność formy, boć przecie autor «Króla Salomona» władał wierszem znakomicie, ale — zabił je doskonałością swoją poemat.

Prawa do nieśmiertelności rościć też nie mogą Zagórskiego powieści prozą. Najwyżej w bibliografii polskiej zostaną ich tytuły. Natomiast zapamiętać należy jego przekład trzech aktów «Cyrana de Bergerac». Jest to okaz wzorowego polskiego przekładu.

Jaką tedy wysłużył sobie Zagórski «rangę u potomności?» Są, którzy rangi te rozdają z trójnoga powagi krytycznej. Ja wiem tylko, że są utwory, nie dające się ze sobą porównywać, ale mające równe prawa do miejsca w skarbcu literatury naszej. Otóż tam, gdzie spoczęły i «Mohort», i Dębóróg», i «Raclawice», i «Marya», ma prawo spocząć «Król Salomon». Inny on, ale równy im jako dzieło poetyckiego kunsztu. Niepodobny ani do gawędy Pola lub Syrokomli, ani do filigranów «Ducha od stepu», ani do obrazów «Zamku Kaniowskiego», ale z arystokracji ducha i z rasowej wytrwomości należący do ich sfery. To też prawe dziecko Parnasu, naprawdę wysoko urodzone.

\*

W ostatnich latach życia pracował usilnie poeta nad dziełem, zatytułowanem: «Teorya rytmicznych dominant, jako prawo rządzące akcentacją wielozgłoskowych wyrazów i budową polskiego wiersza». Część rozprawy owej ogłosił drukiem w czasopiśmie, i to dało asumpt niektórym do twierdzenia, że Zagórski w «pomnikowej» pracy swojej «stworzył w teorii poezji kontrpunkt», i to jeszcze

«podwójny». Nie pragnę mieć zdania o tej przerażającej teorii; zmusiłoby mię to do odczytania rozprawy. Nie wyobrażam również sobie *cui bono* zbudowaną została owa teoria, «przerzucająca dominantę nawet po za średniówkę». Strzeż mię Boże, abym pisząc lub odczytując wiersz, miał myśleć — o średniówce lub dominancie! Mniemam, że skwituje chętnie z tego ambarasu każdy pisarz i każdy czytelnik, na poezję wrażliwy.

Choćby kiedy urosnąć miało z tej spuścizny poety najszacowniejsze jakie wydawnictwo Akademii, ono mu podwoi do nieśmiertelności nie otworzy. Otworzył mu je «Król Salomon», mogący domniemanie wylegitymować się najprawidłowszemi średniówkami i dominantami.

Zostaną po Zagórskim i trwać będą: młodzieńczych piosnek jego świeżość i werwa, oraz świetna symfonia goryczy i szalu zmysłowego, zakończona szczytnym hymnem.



## „LISTY, KTÓRE GO NIE DOSZŁY“.

—•••—

Nie z feljetonu krakowskiego *Czasu* dowiedziałem się, że «Listy, które go nie doszły» pisała kobieta; powiedziała mi to książka sama. Nie potrzebowałem również dowiadywać się postronnie, że pisała je kobieta wysoce, niepospolicie wykształcona, czytana i w bystry umysł bogata; że zna wybornie języki angielski i francuski, aż do przejęcia się fakturą literacką angielską, a stylem najwytworniejszych pisarzy francuskich; że podróżowała nieskończenie wiele po obu półkulach; że spędziła dużo dużo czasu w najwykwintniejszych i t. zw. «najwyższych» kołach towarzyskich, stykając się często ze sferami dyplomatycznymi; że wreszcie z ludźmi i sprawami, które w książce swojej odtwarza z niezmierną prawdą i plastyką, stykała się bezpośrednio, obserwując wszystko pilnie, umiejętnie i tak właśnie, jak kobieta w lot potrafi chwycić rysy i odcienia: bystro, szybko, zawsze szybciej, a często bystrzej, niż mężczyzna. Obserwacja dziecka i kobiety ma wiele cech wspólnych.

Z niedyskrecyi p. Stadnickiego w *Czasie* dowiedziałem się jedynie, że autorka «Listów» jest pół, czy ćwierć rodaczką naszą, spokrewnioną z «najwybitniejszą polską wielką damą ze schyłku XVIII i zarania XIX

wieku» (zarówno historycznie, jak heraldycznie mało ściśle określenie); i że nawet podarowała p. Stadnickiemu fotografię swoją z napisem: *Souvenir d'une demi compatriote*.

Mojej osobistej ciekawości, wywołanej bezimiennością książki, stało się aż nadto zadość. Nie krwi polskiej lub innej jakiej szukam w książce, jeno myśli, uczucia i talentu. Od myśli, uczuć i talentu aż się przelewa w „*Briefe die ihn nicht erreichten*“. Głęboko odczuta i świetnie w słowa ujęta, bezdenna, beznadziejna melancholia życia płynie tam wielkim, spokojnym, majestatycznym potokiem po rzeźbionym w granicie łożysku rzeczywistości. Nie nastrojowe to miraże Lottiego, nie bryzganie rozsolonym octem Stendhala. Trudno oprzeć się wrażeniu, że ma się oto przed sobą jakieś przedziwne połączenie tych dwóch mocno sugestywnych talentów, dusz; ponad realizmem i obserwacją Stendhala zdaje się unosić rozmarzenie Lottiego, tylko jakieś wolne od rozmyślnego, artystycznego zamglenia, jakieś przebóstwione, czyste, górne. Rzekłbyś o wszechpotężnych Mocach, którym, jak las wiatrowi, ulega ludzkie dumne mrowisko, opowiada feakom Odys, Laertydów, co to mnogich ludów oglądał siedziby i poznał zwyczaje, opowiada im o rzeczach ścinających krew w żyłach, straszliwych, nieodmiennych, koniecznych — z przedziwnie szlachetną powagą oraz dusz bezgranicznie smutnych świetlaną, ponadziemską jakąś pogodą.

Listy... Zdawałoby się, że nic bardziej subiektywnego być nie może, jak list kobiety pisany do mężczyzny-przyjaciela, zwłaszcza jeżeli ów przyjaciel jest dla niej — więcej, niż przyjacielem. Nie zmienia postaci rzeczy okoliczność, że listy te są właściwie dziennikiem, pamiętnikiem. Tymczasem owe listy, które go nie doszły, nie są odbiciem duszy niewieściej, ale odbiciem dużego odłamu życia ogólnoludzkiego i spraw wszechludzkich na ziemskim padole — w zwierciadle duszy niewieściej, niepowszedniej, głębokiej i przestronnej jak morze.



Dusza ta odrzuca nam obraz spraw ziemskich i doli człowieczej, czasem nie komentując go wcale, czasem oświetlając go tylko z wyżyn filozoficznych, czasem znowu krótko a dosadnie komentując go spokojnie, bez rozżalenia, bez skargi, a tylko z wielką melancholią beznadziejnej rezygnacyi.

Własne, osobiste dzieje zaledwie dotknięte. Wychochowała się ona (pisząca listy, nie wymieniona nigdzie ani z imienia ani z nazwiska) w wielkopańskiej majętności pod-berlińskiej u krewnych magnatów. Wydano ją za mąż młodo za najzacniejszego człowieka, który atoli rychło zaniemógł i — zmysły postradał: nieuleczalnie-chorego umysłowo osadzono w odpowiednim domu zdrowia. Odtąd rozpoczął się dla niej — nie-rozwiązanej, a jednak zupełnie swobodnej — szereg nieustannych wędrówek po lądach i morzach. Wypełniając próżnię życia, nie posiadając ojczyzny, a tylko odczuwając jej brak, odmiennym nieco trybem, niż arystokratyczno-kosmopolityczny klan, do którego należeć ma wszelkie prawa, przenosi się ona — w towarzystwie brata, biorącego udział w jakimś wielkiem, przemysłowo-handlowem przedsiębiorstwie — z miejsca na miejsce: byle dalej, byle w otoczenie i warunki niepowszednie. W Pekinie — domniemanie w blizkiej łączności pozostając z którą ambasadą — poznaje... go. Imienia i nazwiska nie spotykamy nigdzie w książce; wiemy tylko, że człowiek to niezwykłego umysłu, doświadczenia i energii. Poświęcił życie badaniu społeczno-geograficznemu Chin. Entuzyastą jest Chin; tej dziwnej, niezbadanej krainie pragnie, wedle sił, nieść — pomyślność; zapuszcza się, z narażeniem życia, w nietknięte nogą europejczyka krainy nie dla zabijania tam słupów granicznych tego lub owego «cywilizowanego» państwa, nie dla upatrzenia i zdobycia jakiej świetnej koncesyi na pomysłowe przedsiębiorstwo, ale jako misyonarz ogólnoludzkich ideałów.

On i ona — w dziwnem owem mieście, do którego przywyka się jak do najrodzeńszego zakątka i za którym,

podobno, tęskni się potem przez życie całe — spędzają rok, może dwa. Łączą ich blizkie stosunki towarzyskie, równość poziomu umysłowego, pokrewieństwo dusz. Ona ulega jego altruistycznym poglądom, poddaje się wpływowi tej dzielnej, szlachetnej natury; on, domniemanie, odczuwa silniej, niż okazuje, powab, wdzięk i urok tej rzeczywiście *hors ligne* niewieściej istoty. Przyjaźń zacieśnia się — nie czują oboje, ale niebawem czuć będą, że ów pekiński epizod ich koczowniczego życia to dzień w ich życiu najjaśniejszy, taki, co to nie powtarza się już nigdy, dla którego nazwy nie będzie, bo banalną wydawać się będzie nazwa wszelka.

I ona porzuca Pekin. Dlaczego? Nie wiemy. Może dlatego, że on puszcza się ponownie w daleką podróż, hen, gdzieś w tybetańskie wertepy, ku zachodniej Chin granicy. Dość, że rozstają się. Umowa staje, że ona pisząc do niego będzie *poste-restante* do Szanghaju, dokąd on z wędrówki swej wróci, lub skąd każe sobie tam a tam listy nadchodzące wysyłać.

List jej pierwszy, datowany z Vancouver (wyspa u zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych) — sierpień 1899. I pisze często, bardzo często. Przywykła do wymieniania z nim myśli, wrażeń i spostrzeżeń. A tych nasuwa się mnóstwo. Niebawem, gdy przejedzie do klimatycznej stacji górskiej w Banff, a stamtąd do Nowego Jorku, wrażeń tych i spostrzeżeń jeszcze przybędzie. Otoczają ją stosunki i typy ciekawe, niepowседневne, wywołujące domysły i uwagi. W listach jej roztaczały się dotąd krajobrazy i opisy, teraz zakipi w nich od ludzi i odbłasku ich sądów i poglądów. A jacy ludzie, a jakie typy w tej *haute volée* amerykańskiej! Arcymilionerzy, aferzyści mniej lub więcej uczciwi, emigranci z Europy, przepyszne typy kobiet, misjonarze azjatyccy w przejeździe do Włoch lub Francji albo do Niemiec, znający t. zw. Wschód lepiej, niż najbieglejsi dyplomaci-ambasadorowie... I jeszcze, i jeszcze... A każda sylwetka jak żywa, a sceny zbiorowe godne naj-

lepszego pióra powieściopisarskiego, a czuć, głowę dać, że wszystko a wszystko wiernie odbito w liście, jak na najczulszej kliszy. Mozajka zaś ta cała wtopiona, winkrustowana w tło indywidualności piszącej, w najszlachetniejszy kruszec, zwarty, mieniący się, przylegający doskonale ze wszech stron do najróżnorodniejszych objawów życiowych. Zda się, że niesie na sobie całą tę sarabandę ludzkiego mrowiska, opływając kontur każdy; a tylko co czas jakiś rozfalowuje się łagodnie tło samo, wyrzucając z własnego łona to deseń misterny, to arabeskę aforyzmową, co cypel myśli wystrzelający nad poziom tej kontrastowej mozaiki całej. To dusza piszącej, wrażliwa, smutna, refleksyjna, samotna jej dusza płynie tam, przez przestrzeń ku dalekiemu, dalekiemu przyjacielowi swojemu... I wszystko, wszystko, co odbiło się w niej, co poruszyło nią, co jakby odruchowo wywołało najpoufniejsze zwierzenia — posyła mu ona hen, tam, przez ocean, nie świadoma, nie pewna, kiedy, ach! kiedyż dojdą go te ćwiartki, po których, łamiąc się w słowach, przepłynęła jej dusza.

Niech tam, w Szanghaju, czekają na niego.

Tymczasem wiadomość o zgonie męża i konieczność załatwienia niektórych formalności w sprawach rodzinnych zmuszają ją do przejechania do Berlina. Swobodna!... Ow, który ją mimowoli trzymał przez lata całe na uwieży, odszedł — dokąd? — tak akurat nie zdając sobie z tego sprawy, jak nie danem mu było od lat już całych na chwilę zdawać sobie sprawy z życia, które przeżywał. Swobodna!... Co począć ma z tą, już teraz i *de jure*, swobodą swoją? Po co jej ona teraz — t e r a z ? Jak wszystko, co dobre i szczęśliwe w życiu, i to przyszło — za późno.

Ach, tak! Teraz osiadzie na stałe w Berlinie; zazna raz przecie, co to ojczyzna; dach własny rozepnie nad głową zamiast koczowniczego namiotu. Ach, tak!... Wpierw tylko ów dwór, ów pałac podberliński odwiedzi, gdzie tyle, tyle wspomnień...

Odbyte wszystko. Zwiedzone wszystko. Spróbowano

nowego życia. Odwiedzeni wszyscy ludzie, pozostali jeszcze z «owych czasów», kiedy się naprawdę miało tu — ojczyznę. Nie — nie — i raz jeszcze: nie! Takie to wszystko w przemijaniu, w zczezaniu swem bezgranicznie smutne, tak przerażająco na obce zmienione, takie inne, niż oglądane oczyma duszy przez pryzmat wspomnień... Nie!

I znowu na statku, na olbrzymim transatlantyku, szybującym po majestatycznym, przespokojnym oceanie ku Nowemu-Jorkowi. I znowu ona w Nowym Jorku, w dawnym, niezwinieć jeszcze mieszkaniu swoim, pełnem pekińskich pamiątek, pamiątek z zaczarowanej tej krainy, do której, podobno, tęskni się potem przez życie całe. Listy płyną dalej do Szanghaju, skąd — wiadomości żadnej. Nie wrócił jeszcze — on — z tybetańskiej wyprawy swojej.

Początek roku 1900. Do Ameryki, przeróżnemi drogami, zaczynają nadpływać z państwa niebieskiego, z początku dziwne, potem trwożne, wreszcie przerażające wieści.

Przewidywania i alarmy misjonarzy okazały się najzupełniej podstawnemi. Chiny w ogniu; Chiny zrzucają z siebie jarzmo najeźdców i zbyt gorliwych (o własne dobro) opiekunów; Chiny wymordowują osady chrześcijańskie. Bunt bokserów wybuchnął; poselstwa w Pekinie osaczone, sprzymierzone wojska europejskie nie mogą przedostać się do nich i dać ratunku... Oczy całego świata zwrócone ku Pekinowi; wyobraźnie podniecone; najobojętniejsi drgnęli i z zapartym oddechem wyczekują wieści z dalekiego, tak dalekiego! — Wschodu.

Gdzie on? Czy w głębi gdzieś chińskich prowincyi zabezpieczony przez liczne stosunki swoje i zadziernięte przyjaźnie? Czy udał się do Szanghaju? Czy może — w Pekinie!

Listy nowojorskie powleka coraz gęstsza mgła niepokoju; stają się nerwowe, jaskrawe, powiedzmy: ludzkie bardziej, bo dotąd prym w nich trzymało niemal nadludzkie — panowanie nad sobą. Wreszcie — nareszcie — pod wpły-

wem zaostarzającej się wciąż trwogi, jakby zasłona rozdziera się przed oczyma samej piszącej. Teraz ona nie tylko czuje, nie tylko przeczuwa, ona teraz wie, że go kocha. Rzuca mu wciąż list po liście do Szanghaju — a telegrafuje do Pekinu. Depesze giną — wreszcie jedna z nich przedostaje się cudem i odpowiedź jej przynosi od jednego z uwięzionych w Pekinie misjonarzy. On tam — w jednym z osaczonych poselstw, a wojska... wojska europejskie dotarły do stolicy! Uratowany!

Nie — nie uratowany. W przeddzień przybycia odzieczy zginął z bronią w ręku na wyłomie. Zaczęty list do niego, list szalony radością... kończy ona pierwszą w życiu skargą: dlaczego tak? dlaczego tak się stało? Po co tak wszystko dzieje się na świecie? Jaki cel?... Czekać... czekać... a potem co? Nic. Jeszcze dwie, trzy kartki, nie już listu, ale pamiętnika. Potem długie, bezprzytomne pasowanie się z podcięтым organizmem. Jeszcze jedna kartka — jakby list jeden jeszcze do niego — ostatni. I — śmierć.

Listy go nie doszły. Dotarliszy z głębi Chin do Pekinu, posłał do Szanghaju umyślnego «po listy». Posłańca przechwycili po drodze bokserowie. Listy zostały na poczcie w Szanghaju. Wydostała je z tamtąd siostra zmarłej — i ogłosiła je w tej oto dziwnej, głębokiej jak ton morska, bezgranicznie smutnej książce, zatytułowanej: «Listy, które do niego nie doszły». «Może — pisze — listy te wpadną w ręce tak samotnym ludziom, jak oni oboje, ludziom samotnym, którzy u wielkiej drogi życia radzi przystają na chwilę, aby przysłuchać się głosom tych, którzy szli tą drogą przed nimi, odeszli w przeszłość i z wielkiej jakiejś oddali zdają się ku nam odzywać».

Gorycz i oburzenie przetapiać na melancholię i miłosierdzie — oto zadanie życia. Musimy zadanie to spełnić, pod groźbą zatonięcia w beznadziejnym zrozwaczeniu... Jak ciężar ogromny, przygniata nas, ludzi współczesnych, świadomość o nikłości i marności naszej. Dolega nam własna znikomość, dolegają nam ciasne granice życia

i wiedzy, odkiedy poznaliśmy bezgraniczność czasu i przestrzeni. Ludzie czasów ubiegłych nie znali tego przeciwniśwa ogromów wszechświata i człowieczej maleńkości; zadowoleni byli, mniemając, iż miara ich odpowiada rozmiarom tego, co ich otacza... Kto jednak tułał się po niezliczonych wybrzeżach i widział, jak miliony i znowu miliony istot ludzkich rodzą się i giną, nie przymierzając, jak te chmary komarów, których nagłe błyśnięcie w promieniach słonecznych żadnego nie ma znaczenia — ten traci wiarę w wagę wielu napozór wspaniałych objawów, traci wiarę w konieczność istnienia i odradzania się całych mirjad tych zupełnie obojętnych mrowiskowych istot, powstających i ginących bez końca...

Nie przysłuchujmy się dalej. Otrząśnijmy się, i ruszajmy naprzód! Po co zastanawiać się, po co wogóle — myśleć? Szczęśliwi i zadowoleni ci tylko, którzy ani na chwilę na drodze życia nie przystają i głosowi tych, którzy przed nimi tor drogi tej wyźłobili, ucha nie dają, ci, którzy żadnem «filozofowaniem» nie dają się zbić z tropu... Co im — do Hekuby? Wzrokiem przywarci do mirażów własnych, toczą się ku nim, jak lunatycy. Mało-ż im, że szczęśliwi, zadowoleni, a nawet dziarscy i bajecznie pewni siebie?

Po co im wogóle książki takie, jak „*Briefe die ihn nicht erreichten*”? I do nich listy te nie dojdą; machną ręką po natrętnej zmorze, jak po chmarze komarów, jakimi są oni sami na bezgranicznym widnokregu wszechświata. Widmo zniknie — i znowu pójdzie wszystko jaknajlepszym trybem na najlepszym ze światów.

Nie prawdaż?

## KOCHANKOWIE WENECCY.

*Ch. Maurras: „Les amants de Venise“. Paris, 1902; Paul Mariéton: „Une histoire d'amour.“ Paris, 1902; P. Bourget: „Etudes et portraits III. Un problème sentimental.“ Paris, 1903.*

»Il y a tant de choses entre deux amants, dont eux seuls au monde peuvent être juges!...«

*G. Sand* w liście do Boucoiran'a z r. 1834.

»La postérité répétera nos noms comme ceux de ces amants immortels, qui n'en ont plus qu'un à eux deux, comme Roméo et Juliette, comme Héloïse et Abélard.«

*A. de Musset* w liście do G. Sand 2 sierpnia 1834.

Zdawałoby się, że o pobycie w Wenecyi Musseta i pani Sand powiedziano już i napisano — wszystko. Opisy, komentarze, zbiory materyałów i przyczynków biograficznych wypełniają już bez mała sporą biblioteczkę. Zwłaszcza od czasu pojawienia się między 1877 a 1887 r. sensacyjnych rewelacyj trzeciego bohatera tragicznej sielanki weneckiej, nauczono nas niemal na pamięć najdrobniejszych jej szczegółów. Któż bo nie zabierał głosu! Któż «na pod-

stawie najwiarogodniejszych dokumentów» nie odtwarzał owego epizodu, nie rzucał nań światła «nagiej prawdy», nie rozwijał «psychologicznych podkładów», suto zaprawiając nimi zarówno erudycję własną biograficzną, jak krytyczne oświetlenia dzieł powstałych pod piórem Jerzego Sand i A. Musseta — przed i po Wenecyi!

Paweł Musset («Lui et Elle»), de Spoelberch («Histoire des oeuvres de George Sand»), Paweł Lindau i Arvède Barine (być może najlepsi biografowie Musseta), de Pontmartin, Maxime du Camp, Niecks (w życiorysie Chopina), Ludwika Coler (w sławetnym pamflecie «Lui»), Brandes, Mirecourt, A. Doinet («Eux»), sam Musset w «Confessions d'un enfant du siècle,» sama George Sand w «Elle et lui,» w «Lettres d'un voyageur,» w pierwszej części «Consuelo,» Wł. Karenin w czterotomowej mocno apologetycznej monografii «George Sand sa vie et ses oeuvres» i t. d., i t. d., a autorów licznych jak gwiazdy na niebie artykułów i studyów, rozsianych po czasopismach, nie zliczyć. Wystarczy chyba dla przypomnienia zasobności tej całej literatury, powstałej dokoła jednego krótkiego epizodu życia dwojga ludzi. Co prawda, dwojgiem tych ludzi byli: autorka «Lelii» i twórca «Nocy»...

Więc jakże to było z ową ich Wenecją? A no, fabuła napozór wcale nie powikłana i nie nadzwyczajna.

Musset i Sand poznają się w maju 1833 r. w Paryżu, na obiedzie, wydawanym w jednej z najprzedniejszych restauracyj stołecznych przez Buloza, redaktora nowonabytej przez niego «Revue des deux mondes». Mnóstwo zaproszonych; przypadkowym zrzędzeniem losu Musset jest sąsiadem pani Sand przy stole. On ma lat 23, ona 29; on delikatny, wysmukły blondyn o oczach rozmarzonych to znowu do bezczelności śmiałych, o manierach dandysa; ona mała, szczupła, mocno śniada brunetka, czarująca rozmową i wielkimi, aksamitnymi oczyma, głębokimi a bez blasku, jak u Indyanki; ona dopiero zapowiadająca autorkę «Lelii», drukującej się właśnie; on używający już pełnej



sławy i rozgłosu, jako twórca, komentowanych namiętnie «Contes d'Espagne et d'Italie» i «Namouny». W kilka dni po rzeczonem obiedzie Musset bywa już u pani Sand, koresponduje z nią, posyła jej wiersz «Po przeczytaniu «Indyany,» a w sierpniu otrzymuje od pani Sand egzemplarz świeżo puszczonej w świat «Lelii» z dedykacją: «*A Monsieur mon gamin d'Alfred! — George.*» Z listów ich znikają «pan» i «pani», a 25-go sierpnia George Sand upoważnia Sainte-Beuve'a do nieczynienia żadnej tajemnicy, że jest kochanką Musseta.

Wrzesień — w idylicznem odosobnieniu przebywają w Fontainebleau, a w początkach grudnia puszczają się samowtór w podróż po Włoszech. Pan Dudevant z córką, małą Solange'ą zostaje na wsi w Nohant; syna swego, Maurycego, zostawia pani Sand pod opieką dwóch babek, pani Dupin i baronowej Dudevant. Podróż idzie przez Marsylię, Genuę, Livorno, Pizę, Florencję, gdzie zabawiwszy krótko, puszczają się Musset i Sand w drogę przez Bolonię do Wenecyi. Stają tam i zamieszkują w hotelu Danieli w drugiej połowie grudnia 1833 r.

W lutym 1834 r. na horyzoncie ich weneckiego życia, gęsto już przeplatane burzami i nieporozumieniami, pojawia się dr. Pietro Pagello. George Sand czuje się niezdrową, miewa newralgiczne bole głowy i wzywa pierwszego lepszego lekarza dla puszczania sobie krwi. Traf zdarza, że lekarz jest młody, przystojny, wcale inteligentny, zdrowiem i pogodą umysłu stanowiący absolutny kontrast z Mussetem, rozdrażnionym niemiłosiernie i poddającym się już ciężkiej chorobie, co go ma niebawem z nóg zwalić. Jakoż w kilka tygodni potem Musset rozchorowuje się, a pani Sand, rzecz prosta, wzywa jedyne go znajomego w Wenecyi lekarza, dr-a Pagello. Każdy na jej miejscu postąpiłby tak, nie zaś inaczej. Znowu jednak traf zdarza, że oczy pani Sand, *gli occhi stupendi*, jak wyrażać się będzie w pół wieku jeszcze potem lekarz wenecki, wywarły na doktorze Pagello piorunujące wrażenie.

W trakcie wizyt i konsyliów zawiązuje się między nim a panią Sand przyjazny nader stosunek. Oboje pielęgnują jaknajtroskliwiej śmiertelnie chorego poetę; Musset przebywa dni siedmnaście między życiem a śmiercią, wreszcie podźwiga się i w połowie marca zaczyna powracać do zdrowia. Musi jednak koniecznie opuścić Wenecję i wracać niezwłocznie do Paryża, aby tam przebyć rekonwalescencyę — w jak największym spokoju. To też, zaledwie podróż stała się dla niego możliwą, dnia 29-go marca opuszcza Wenecję w towarzystwie wiernego i czujnego lokaja i jedzie powolnymi etapami do Paryża.

Pani Sand zostaje w Wenecyi. Przeprowadza się do małego mieszkanka w San Fantino, pisze w dalszym ciągu swoje «Lettres d'un voyageur» i powieść «Jacques», a prace literackie przeplata długimi wycieczkami w Alpy weneckie, aż pod Tyrol — z d-rem Pagello. Dr Pagello (umarł jako starzec prawie stuletni na wiosnę 1898 r.) dopiero po r. 1877 rozpoczął ogłaszanie nader obfitych w szczególności pamiętnikowe listów i zwierzeń, pisanych z wielką prostotą, a harmonizujących w zupełności ze wskazówkami i ogólnikami, rozsiyanymi po utworach literackich pani Sand i Musseta; ogłoszoną też została korespondencya ówczesna niemal całkowita Musseta, pani Sand i d-ra Pagello. Bo korespondowali ze sobą pilnie i serdecznie. Musset, przekonany, że tylko już przyjaźń «ponadziemska» łączy go z panią Sand, chętnie przyjął, sam nawet pomagał budować subtelną teorię «trójprzyjaźni» wzajemnie dopełniających się «duchów»; pani Sand między jednym rozdziałem powieści a drugim, między jedną wycieczką a drugą znajdowała zawsze czas na akuratne korespondowanie z Mussetem, a dr Pagello, mieszkając pod jednym dachem z panią Sand, jakżeby nie miał być wtajemniczonym w owe korespondowanie? Zresztą sam osobiście żywił dla Musseta najprzyjaźniejsze uczucia. Wszyscy troje żadnych dla siebie nie mieli tajemnic.

W nadzwyczajności tych sentymentów nie posunięto

się jednak aż do pożądania — wiecznej rozłąki. Przeciwnie. Przy końcu lata skłoną już była George Sand do powrócenia do Paryża, dokąd wzywał ją coraz mniej dwuznacznie Musset. Z panią Sand wybrał się też «na stałe» nad brzegi Sekwany dr Pagello, wyprzedawszy się z całej weneckiej nieruchomości swojej. Śpieszono się — ale jakoś nie najkrótszą drogą. Zwiedzono jeziora lombardzkie i południowo-szwajcarskie, zawadzono o Chamounix, a z Chamounix, oczywiście, jakże tu choćby małej nie uczynić wycieczki na Mont-Blanc? Wstąpiono na dostępnejsze cyple, a wypoczywano następnie w Genewie. Słowem, dopiero w połowie sierpnia przybyli Pagello i pani Sand pomyslnie do Paryża.

Przez długie lata potem nie mógł zacząć wenecki eskulap odżalować, że dał się skusić nadsekwańskiej syrenie. Sytuacja jego w osobliwym trójprzymierzu stała się rychło nad wszelki wyraz dwuznaczną, a raczej najnie-dwuznaczniej — śmieszłą. Nie zadowolili też paryska rzeczywistość weneckich tęsknych marzeń pani Sand. Rezultatem spotkania się z Mussetem były jeno sceny burzliwe, szarpiące nerwy i przeświadczające tylko o niepowrotnej szczęścia utracie.

Gdy miną chwile marzeń, szalu  
I miłość znika z serc pomalu,  
Z ostatnim błyskiem jej płomienia  
Czas sobie rzec: Do zobaczenia...  
Do zobaczenia...

Ale nie marzyć nigdy o tem,  
By gdzieś się kiedyś zejść przelotem,  
Lecz prosić nieba najlaskawsze,  
By rozdzieliły nas — na zawsze...  
Ach, tak — na zawsze!

Przerażeni nawiązująca się «męka», uciekają Sand i Musset — od siebie: ona do Nohant, na wieś, on do Baden-Baden. A «trójprzyjaciół», dr Pagello? Dr Pagello

wśród gwałtownego rozbicia się nietylko wszelkich teoryj, ale i wszelkich stosunków rzeczywistych, szukał i znalazł ukojenie w wielkiej pocieszycielce wielu dusz zawiedzionych i zbolących — w nauce. Skorzystał z pobytu swego w Paryżu, aby pilnie przestudyować gorąco umiłowaną chirurgię i zgłębiwszy w ognisku wiedzy wszechświatowej jej tajniki, wrócił samotny w strony rodzinne, aby zasłynąć rychło potem we Włoszech jako jedna z naczelných powag medyczno-chirurgicznych. Udawały mu się zwłaszcza znakomicie wszelkie operacye lithotrytyczne, nazwę swą biorące, jak wiadomo, od skombinowania wyrazów: greckiego «lithos» — kamień i łacińskiego «tero» — kruszę. Dożył, jak się rzekło, bez mała lat stu, głuchy na wszelkie, głośne po całym świecie, komentowania wenecko-paryskiej przygody, w której tak wybitną za młodu odegrał rolę. Usilne dopiero nalegania przyjaciół zniewoliły go do ogłoszenia w r. 1881 «epokowych» dla biografów Musseta i pani Sand listów w «Corriere della Sera...»

Musset i pani Sand tymczasem wrócili do Paryża, aby przecierpieć nowy kryzys «powrotu fali» w ciągu stycznia 1835 r. W grudniu tegoż roku poczęły goić się blizny obu serc, mgła wspomnień poczęła powlekać wszystko, co je ongi łączyło tak ściśle. Przyjaźń trwała jeszcze lat kilka. Wreszcie w r. 1848 wszelkie stosunki osobiste ustały między Mussetem a panią Sand; w roku tym widzieli się po raz ostatni w życiu.

To i wszystko?... A cóż ma być więcej? Oto kanwa, którą ścieg przy ściegu pokryto najmisterniejszem cieniowaniem szczegółów, najsubtelniejszymi analizami, najjaskrawszymi pelami i jedwabiami stylu oraz wyobraźni. Co umarło w życiu, ożyło w pieśni — potomnych. Uczyniono z weneckiej przygody dwojga kochanków głębokowysoki problemat psychologiczny i zdołano «passyonować» nim nawet najoporniejszych na tego rodzaju *quasi* literackie studia.

Ów rok z życia pani Sand i Musseta przypomina

w znacznej mierze losy napoleońskiej epopei i legendy. Raz po raz wracają oba te tematy na widownię, zda się wyczerpane już do dna, a wciąż jeszcze dostarczające wątku piórom i rozmyślaniom. Nie słabnące «interesowanie się» towarzyszy obu tematom z pokolenia w pokolenie. My, współcześni, mamy przywilej asystowania zarówno bajczonemu renesansowi napoleońskich studyów jak odrodzonemu wertowaniu aktów weneckich Musseta i George Sand. Mniej jeno dziś w tym ostatnim renesansie biografii, dat i cyfr, niż psychologii. Trzy na raz dzieła pisarskie, trzy książki, przynoszą już nam tylko — syntezy i wnioski.

Jakież to są syntezy i wnioski trzech najświeższej daty komentatorów nieśmiertelnego epizodu?

P. Karol Maurras, nie uważając za stosowne powoływać się na jakie bądź dokumenty lub zestawiać faktów, potępia panią Sand najkategoryczniej, potępia zwłaszcza całą «romantyczność» weneckiej przygody. Cała zresztą działalność literacka p. Maurras'a jest jedną wielką krucyatą przeciwko wszelkiemu wogóle romantyzmowi. Gnębił go w swoich studyach nad polityką Micheleta i Chateaubrianda, w swoim dyaryuszu podróży do Grecyi, znęca się nad nim niemiłosiernie w «Kochankach weneckich». Nie sędzia to; to prokurator. Z wysoka patrzy na Musseta i panią Sand; rozgascza się w ich duszach bez najmniejszej ceremonii i z taką pewnością siebie rozprawia o «tajemnych sprężynach wypadków» jakby prosto z za kulis onych ku nam przychodził. Nie mieści mu się wprost w głowie aby z listu George Sand do dr-a Pagello, aby z odjazdu Musseta z Wenecyi można było coś bądź jeszcze innego wyczytać i wywnioskować okrom «potwornej obłudy» i «ohydnej zdrady» kobiety, co wobec śmiertelnie chorego Musseta, zdolną była... etc...

Bo p. Maurras wie doskonale, nieomylnie, nie tylko: jak się rzeczy miały, ale dlaczego taki nie zaś inny obrót wzięły. P. Maurras przypomina sobie, że George Sand ko-

chała kolejno, najszczerzej, z zupełnem oddaniem się i Juliusza Sandea'u i Mérimée'go i Musseta i dra Pagello i Chopin'a i de Bourges'a i — kogóż jeszcze? Mniejsza! Ile miłości — tyle zdrad; ile zdrad — tyle kłamstw i obłudy. Osądzona; Boże, bądź litościw grzesznej jej duszy!

A z książki — co bynajmniej nie było zamiarem i założeniem autora — wyłania się tymczasem fakt najwyborniej oświetlony, ten mianowicie, że George Sand — podobnie jak nieraz w życiu — tak też i w owym duecie weneckim odegrała rolę męską wobec swego partnera. Ona nawet pracuje za niego i za siebie, spłacając rękopisami wziętą w «Revue des deux mondes» zaliczkę na kosztą podróży; ona opiekuje się nim jak najtroskliwiej; ona, czując, wiedząc, że między nią a Mussetem «wszystko skończone», zrywa pierwsza, dając mu jeno złudzenie, że on, gdyby chciał, mógłby w Wenecyi pozostać. Pani Sand nie ma gustu do «nieśmiertelnych absolutów» — zgoda. Ale ma zarazem odwagę nietylko domagania się ale i używania równych praw. Mężczyzna i kobieta, zostający względem siebie w stosunku... weneckim, nie mieliżby mieć równych praw lub przywilejów? Przestała kochać Musseta; podobał się jej Pagello (dla czegożby nie miał podobać się jej?); oszczędzała, ile i jak mogła miłość własną Musseta; nie wytworzyła bynajmniej stosunku jego do dr-a Pagello, stosunek ów wytworzył Musset sam, woląc świadczyć niejako łaskę, niż poddawać się faktom dokonany.

Możnaby zauważyć, że Sand i dr Pagello nie doczekali błogosławieństwa Musseta... Ale, ale, raz jeszcze: w chwili pojawienia się pięknego i okazałego doktora, między panią Sand a Mussetem — wszystko już było skończone. Nie przecięła «potworna i wiarołomna» kobieta żadnego gordyjskiego węzła, dla tej prostej przyczyny, że gordyjskiego węzła już nie było. Była pustka, którą szczerzej a lubiącej idealizować rzeczywistość, bujnej naturze niewieściej spodobało się wypełnić osobą dra Pagello, osobistością „*d'une bouffonnerie parfaite*“, wyprowadzonej pon-

tyfikalnie na widownię... literatury przez plotkarzów, pozujących na archeologów, historyków, piastunów i znawców literatury.

Czemuż-bo epizodu weneckiego nie wzięli pod skrzydła swoje — powieściopisarze! To dla nich wdzięczny temat; to pole do wysnuwania najwyszukańszych rozwiązań, do cieniowania, wypuklania, charakteryzowania. Prawie — prawie stworzył istny romans z powieści swojej «Une historie d'amour» p. Paweł Mariéton. Braknie tylko fantazywania; natomiast jest polot, wielkie przejęcie się tem wszystkim, co w powieści... przepraszam... w studyum tem dzieje się, jest gorąca apologia miłości wogóle, jest werniks artyzmu, rozlany na umiejętnie zgrupowane sceny i epizody, jest jednym słowem: mówienie o różach, nie w ten sposób, jak się zwykło mówić o — sałacie.

I tak się cieszy, tak serdecznie cieszy się p. Mariéton, że się to wszystko tam w Wenecyi tak działo i tak stało, że kochali się tak gorąco Musset i pani Sand, a następnie pani Sand i dr Pagello, i że zbudowali sobie taką teorię uprawniającą wszelkie kombinacye i że zwłaszcza przygoda owa wenecka wydała dla literatury, której p. Mariéton jest wprost czcicielem, tyle pięknych kart prozy i tyle prześlicznych poezyj! Mówić tu jeszcze o skierowywaniu miłości na te lub inne tory, skoro nawet na manowcach wydaje ona kwiaty rozkoszujące wonią swą, długie w następstwie, szeregi pokoleń. O! p. Mariéton nie wyklina bynajmniej romantyzmu. Nie potrzeba go nawet zbyt przyciskać do muru aby podpis swój położył pod słowami Musseta:

Qu'importe le flacon, pourvu qu'on ait l'ivresse!

Jedno z drugim, jakież wnioski? cóż do rozmyślań podaje nam słynna historia banalnej przygody? Cóż pan sądzi, panie Mariéton, o tem wszystkim? *As you like it?* Ale p. Mariéton niebędzie się bawił w takie — nauczanie. P. Mariéton powiedział w książce swojej aż nadto wy-

rażnie: kochajcie się, przestajcie kochać się, zaczynajcie na nowo, w Wenecyi, na szczycie Alp, na księżycu, bylebyście nam zostawiali po sobie arcydzieła prozy i poezyi, malarstwa i muzyki, artyzmu, sztuki! Miłość, bez względu na wszystkie jej dramaty, toć jednak przecie owa schodząca na wybranych *joie de vivre*, do której wzdychamy wszyscy, której pożądamy wszyscy, co wyłania się z owej starej historii dwojga weneckich kochanków, a której nie zamąci, której nie wypłoszy ze świata żadne prokuratorskie piorunowanie, żadne kwaśne zrządzenie jegomościów z gatunku pana Maurras'a, istnych a przysięgłych *enpecheurs de danser en rond!*

Oto jak na jednej i tej samej kanwie wyszyć są w stanie dwaj ludzie dwa najniepodobniejsze do siebie desenie. Kanwa cierpliwa; gusty i przekonania rozmaitsze, niż kamyki w morzu. Na te dwa kontrasty, ostre, bezwzględne, jakrawe spływa, jak balsam na pełną rozterek duszę czytelnika psychologiczno-filozoficzna patoka Pawła Bourgeta.

On wytłómaczy, on powie, on odstawi wszystko na właściwe miejsce, on wszystkie włosy wzdłuż poprzekrawa i przedewszystkiem wyjaśni nam, dlaczego pani Sand i Musset, praktykując w Wenecyi zasady pana Mariéton, wszelakoż, między nami mówiąc, szczęśliwymi nie byli. P. Bourget przestudował tyle serc niewieścich, a jeżeli nie przestudował, to tyle ich opisał; p. Bourget tyle rozmaitych historyj miłosnych wysnuł z własnej wyobraźni, nic dla niego przeto łatwiejszego, jak rozanalizować co się zowie, doskonale już ze wszech stron odokumentowany ustęp z autentycznej biografii.

I — bodaj że wezwano tym razem najbieglejszego eksperta. Bodaj, że autor «Ucznia», «Kłamstw» i «Okrutnej zagadki» dał nam w świeżo ogłoszonym trzecim tomie swoich «Studyów i wizerunków» rzeczywiście, a przynajmniej najprawdopodobniejsze rozwiązanie tego, jak go nazywa, „*problème sentimental*“. Z rzadką u Bourgeta trafnością rzecz cała postawiona na właściwym gruncie i zwią-



zana nie z rezultatami drobiazgowych szperań, nie z wykrawkami listów, nie z podglądaniem przez szpary okiennic, jeno z całokształtem duchowej istoty bohatera i bohaterki tej typowej *liaison dangereuse*.

Przedewszystkiem nie przywiązuje Bourget wielkiej wagi do listów Musseta i George Sand. Na nich oparto cały balast faktyczny i psychologiczny sprawy, zapominając, że listy to przecie pisane przez — zawodowych pisarzy. Listy to zawsze — podejrzone. Podejrzone pod tym względem, że żaden autor z piórem w ręku nie jest w stanie pohamować w sobie — artysty. Szczerym być może, niezawodnie; ale na swój sposób, zbijający mimowoli z tropu — łatwowiernych. Wszak i my mamy w literaturze naszej typowe pod tym względem listy Słowackiego! A czegoż nie nabudowano na tej chwiejnej podstawie!

Musset i Sand byli przedewszystkiem pisarzami-artystami. Mniejsza, że on i ona nawet w okresie najburzliwszym weneckim nie przestawali pisać — tworzyć. Wszystko, co szło przez ich życie, wszystko, co od nich samych pochodziło, w ścisłym jest związku z ich naturą, z ich indywidualnością, z ich typem artystyczno-pisarskim. Wszystko u nich jest emanacją artystyczno-pisarskiej indywidualności. Wszystko, co ich spotyka, wszystko, co gra rolę w ich życiu, da się wytłómaczyć jedynie na podstawie analizy ich duchowej natury, ich typu jako artystów, przygluszającego wszelkie inne cechy charakteru, usposobienia, skłonności.

George Sand pochodziła z rasy Göthego; Musset z rasy Byrona. Ona bierze spokojnie i bez wahania wszystko to z życia, co twórczość jej może wzmocnić, rozwinąć, udoskonalić; w tworzeniu znajduje ona ukojenie, zdrowie moralne i wytchnienie; jako natura autorska zrównoważoną jest, produkującą systematycznie, obficie, bez miotań się i szarpań, niemal bez znużenia i wyczerpania. Dla Musseta tworzenie jest męką; tworząc rozstraja sobie nerwy, wie o tem, a jednak potrzebne mu, ko-

nieczne to «boskie szaleństwo»; pracy systematycznej nie zna i nie znosi; aby tworzył, niezbędną jest dla niego atmosfera egzaltacji, podniecenia; praca twórcza wyczerpuje go do dna, wytrąca z równowagi, rozstraja, przyprawia o stan, graniczący niemal z niepoczytalnością.

«Wyobraźmy teraz sobie — pisze Bourget — tę blizką kuzynkę Göthego i tego krewniaka Byrona, zamkniętych sam na sam, jak na wygnaniu, w martwych murach Wenecyi; bez trudu zrozumiemy jak po kilku tygodniach takiego pożycia każde słowo, każda myśl, każdy gest musiały ich wzajemnie rozdrażniać, irytować, wytrącać z równowagi. Piękna noc nad lagunami; poeta chce pójść przejść się; powieściopisarka ma jeszcze tyle a tyle kartek do zaczernienia i chce zostać w domu. Poeta znużony monotonią tego laboratorium rękopisów ulega pokusie pierwszej lepszej rozrywki; idzie na kolację, idzie pić, idzie barszkować w pierwszej lepszej kompanii, byle wywołać w sobie stan, niezbędny mu dla tworzenia. Wraca, aby z kolei zasiąść przy biurku, a gorączkowość jego pracy wydaje się jego towarzyszcze takim akurat wierutnem szaleństwem, jak jej potężna i spokojna pracowitość wydawała mu się przed chwilą jakimś ohydny zfilistrzeniem się Muzy. Wrogie to ich wzajemne usposobienie duchowe trwa w dalszym ciągu w czasie rozmów o sztuce, o ideałach dościgłych i niedościgłych, o obrazach oglądanych dnia tego, o książce nadesłanej świeżo z Paryża, a ponieważ oboje mają znakomity dar analizy, i on i ona rzucają słowa, trafiające przedziwnie w najczulsze struny miłości własnej bliźniego.»

Ale poeta jest zakochany, ale poeta potrzebuje, tak, wprost potrzebuje — cierpieć, więc ponieważ chwila bieżąca nie daje mu żadnych co do kochanki udręczeń, sięga w przeszłość i poczyna szaleć z zazdrości o tę — przeszłość pani Sand («Spowiedź dziecięcia wieku»). Dla niej atmosfera ta staje się dopiero duszną nie do zniesienia. Zaczyna widzieć w towarzyszu swoim jedynie dziecko

chciwe, rozkapryśzone — gdy traf zbliża do niej człowieka powszedniego, ale zdrowego. Sama reakcja czyni z niej bohaterkę na poły komedyi, na połu dramatu rozwijającego się dokoła osoby d-ra Pagello.

Czemże był zatem ów stosunek Musseta i pani Sand łącznie ze wszystkimi epizodami? Zmaganiem się, walką, pasowaniem się, powiedzmy: pojedynkiem między dwoma talentami literackimi, zakłętymi w dwoje ludzi, wyposażonych w jednakowy sposób, pięknnością, sławą i młodością. O «winie» mowy być nie może; winnym-że był on, że pozostał sobą, winną-że była ona, że sobą być nie przestała? Kto zwyciężył? O tem też mowy być nie może.

Tylko chwilami kolejno brała jedna indywidualność przewagę nad drugą. Musset, odjeżdżający z Wenecyi, sam łączący dłonie pani Sand i doktora, swego następcy, i proszący oboje o przyjaźń — czyliż to nie wchodzący w życie najwyraźniejszy temat z «Jacques'a» pani Sand? Po kilku miesiącach w Paryżu znowu geniusz Musseta opanuje panią Sand i zmusi ją do wzięcia udziału w jeszcze jednym akcie ich stosunku, zakończonym najzupełniej *à la Rolla* — właściwie: *à la Musset*.

A ten ostatni akt był szalonym powrotem uczucia, z istną orgią obelg najkrwawszych, przeplatających wybuchy zmysłowego szału, piekielna sarabanda, zdolna potargać najhartowniejsze dusze, zdolna poruszyć z dna ich wszystkie gorycze i męty, zdolna doprowadzić do ostatecznego wy-czerpania się nawet samą zdolność odczuwania.

Doszedłszy do tego kresu, Sand i Musset mieli już tylko dwie drogi przed sobą: albo umrzeć razem, albo rozstać się. Uczynili sobie wzajemnie tyle zła, ile go uczynić sobie mogą dwie istoty, o całkiem odmiennych naturach, które nie mogą spotkać się ze sobą, aby nie walczyć. Indywidualności duchowe, bezwiednie uległy uniwersalnemu prawu «walki o byt», rządzącej zarówno światem ducha, jak światem materyi, «walki o byt», która mało kiedy ujawniła większą zaciekłość i dzikość nieubła-

gana, jak właśnie w tym *duel d'amour*, w tym pojedynku miłosnym, w tem szalonym kochaniu, zatrutem bez woli i winy niczyjej piółunami wszystkich goryczy, straszliwą niedolą dusz pragnących, a niezdolnych dać sobie nawzajem szczęścia, które samo wybiegło ku nim...

Takie tłumaczenie daje Bourget, zamykając bodaj na czas długi dyskusję w tej materii. Trudno coś bardziej logicznego i uzasadnionego powiedzieć na temat nietylko miłosnego stosunku Musseta i George Sand, ale i wogóle dziejów miłosnych tego pokroju dusz i natur. Podobnie, jak pod względem fizyologicznym małżeństwa blizkich krewnych, nie biorąc w rachunek wyjątków, nie pożądane są i niepomysłne, tak też związki zawierane w obrębie nawet tak wielkiej rodziny jak ta, której członkami byli Goethe i Byron, Musset i George Sand, dać nie są w stanie szczęścia i zadowolenia sercom i umysłom, tym rozumie się, którzy związki takie nieopatrznie zawierają. Nam, przyglądającym się z parteru, dają one ciekawe i pobudzające — jak widzieliśmy — do rozmyślań i dyskusyj widowiska — ale nie miejmy okrucieństwa spektaklów takich pożądać. Przeciwnie: życzy...

Czyliż są między nami wierzący w skuteczność życzeń zarówno noworocznych, imieninowych, jak zgoła wszelkich innych? Sokrates, Heine, Szekspirowska Tytania, nie zaznali «tragicznych» przygód weneckich, a spytajmy, czy, uniknąwszy ich, zaznali szczęścia? A jeśli życząc bliźniemu, jak sobie samemu, zalecać komu, jaknajgorzej będziemy do naśladowania tkliwą, a pełną prostoty idyllę ze «Snu nocy letniej» — czyliż zdadzą się na co życzenia nasze i zalecania? Może... Ale prawdopodobnie Mussetowskiej «Wenecyi» nie zaryglujemy ani księgami pp. Maurras'a i Bourgeta, ani nawet przerażającym i świeżej daty »Ogniem« d'Annunzia.

---



# Z WRAŻEŃ LETNIEJ WYCIECZKI.



## NAŁĘCZÓW.

...A wśród przyrody cudów i powabów tylu  
W cieniu lip stoją gmachy w rozmaitym stylu  
I winą się nad wodą ścieżki i aleje.  
Wiatr świeży a łagodny od wzgórz zewsząd wieje;  
Łagodnie prują wiosłem stawu owal gładki  
Łagodni psychopaci oraz psychopatki...

I łagodność ta, o której wspomina tylokrotnie poeta,  
rozlana istotnie wszędzie, po całym Nałęczowie.

Łagodnym biegiem pociąg dowozi nas do stacyi kolei  
nadwiślańskiej, łagodnie, nie śpiesząc się, rosną drzewa  
po obu stronach drogi szerokiej, prowadzącej do samej  
osady kąpielowej, łagodnie wzgórzami i dolinkami faluje  
okolica, a i ludzie sami, co tutaj przybyli, znerwowani,  
rozdrażnieni, przedziwnie jakoś w krótkim bardzo czasie  
łagodnieją pod dobroczynnym wpływem ćwiczeń hydro-  
patycznych.

Break otwarty, czterokonny, lub omnibus kryty,  
*à longues guides* w cztery konie zaprzężony, stosownie do  
pogody dnia lub niepogody, ostro wiezie nas po drodze,  
niestety, jeszcze nie szosowej dla braku kamienia w po-  
bliżu i braku wcale pokaźnej sumy potrzebnej dla spro-  
wadzenia tychże kamieni zdaleka. Dojeżdżamy do Bo-  
chotnicy. Wioska; kościół na wyniosłości malowniczej, tuż  
przy drodze; a zaledwieśmy czapki zdołali przed nim



uchylić — przeciągle «ach!» czatyrdahskiego wędrowca wyrwa nam się z piersi.

Wjeżdżamy w pyszną aleję lip starych, rozłożystych, przez Małachowskich sadzoną. Po obu stronach alei — wille.

...tuż, najbliższej wioski

Zabielił się wśród klombów drzew renesans włoski,

Dalej na tle zielonych pagórków i dolin

Pyszna strukturą rzymską stoi »willa Tolin«,

Tu i tam, jakby orzech w swej kapsli zielonej,

Siedzi szwajcarski szalet z tej i tamtej strony...

Zapachniało — Europą. Jest w tej alei, lipami i willekami garniowanej, jakiś charakterek Ischlu lub Pymontu, doskonale uprzedzający i usposabiający przybysza.

Break przystaje przed jedną, drugą willą. Z ganku, porośniętego dzikiem winem, po przez trawnik leżący owalem przed domem, zrywa się stado dzieci, biegnie jakaś biała sukienka, sunie się jakiś wzorzysty szlafroczek, i cały ten rój motyli wysypuje się przed bramę.

— Tatko! stryjcio! wujenczka! mamusia!

I tatko, stryjcio, wujenczka lub mamusia dobywają się mozolnie z wysokiego wehikułu i wpadają w objęcia otaczającej «break» rodziny. Powitania, zapytania, odpowiedzi. Zabierają się wreszcie wszyscy, pontyfikalnie wiodą gościa ku willi. Tłomoki zostały w kupie przy bramie. Break rusza dalej.

Przy willi następnej powtarza się ta sama scena, bo ruch w Nałęczowie nieustanny: ten odjeżdża, ten przyjeżdża, dziś goście przyjeżdżają z Warszawy, z Lublina, odwiedzić stałych letników, jutro ktoś ze «stałych» jedzie w mieście interes załatwić. A przecie godzi się i należy każdego odjeżdżającego gremialnie pożegnać, a wracającego lub przybywającego powitać!

Tedy na przedmieściu Nałęczowa, w t. zw. «alei lipowej» straciliśmy sporą część towarzyszy krótkiej, od

stacyi kolejowej, podróży. Powóz lżejszy, rażno zatoczył się przez wielką bramę wjazdową, zamykającą z tej strony sanktuarium zakładowe. Na nowej bramie stare dwa barokowe amorki przypominają czasy, kiedy tu jeszcze zamiast wód rozmaitych pito wino i to w jednym przeważnie gatunku, mianowicie — węgierskie. Wtedy to stanął pałac, co w nim dziś t. zw. kursal się mieści; wtedy to zasadzono najpiękniejsze nałęczowskie aleje lipowe, wtedy to jedynej zażywano tu hydropatyi, mianowicie — wody deszczowej, tryskającej nie z żadnych rur i szprycek, jeno prosto z nieba.

Biały czworobok «kursalu» imponujące sprawia wrażenie. Ma też na flanku piękne schody, zbiegające na taras kwiatowy, z których widok na długą aleję parku schodzącą w dół, to wspinającą się pod górę, a zamkniętą willą białą i okazałą, pod nazwą «Ukraina». Po innej stronie «Kursalu» leży wśród klombów spory szmat dziewiczego gazonu, zeszepony tylko krzywą (dlaczego krzywą?) linią nowozasadzonych kasztanów. Jest też tam rodzaj małej scenki na wolnem powietrzu, gdzie się od czasu do czasu spektakle sceniczne odbywają przy oświetleniu rzesystem w wieczory lipcowe i sierpniowe.

Kursal i dependencya jego, oficyna, leżą na jednej stronie płaskowzgórza. W dole ciągną się przeszliczne aleje lipowe, krzyżujące dolinę w ścieżki rozmaite, cicho szmerze woda w stawie i kanale, rzępoli orkiestra, przesuwa się tam i napowrót tłum gości. Na przeciwległym krańcu doliny, duży zakład hydropatyczny, tak zwana «Hydropatya», oślepiająco biała w słońcu, tuż obok łazienki z odświeżonem źródłem żelazistem i krytą dla pijących wodę galeryą. W «Hydropatyi» hotel. Potem jeszcze budynków parę; ów z chorągwią na dachu, ów bez chorągwi, a wszystkie silnie odrzynające się białymi konturami na tle zielonych stoków płaskowzgórza, zatopione w drzew zieleni. Na wprost kursalu dominują nad doliną trzy

wille, z których «Ukraina» w stylu, raczej w guście «odrodzenia» — najokazalsza.

Aleje starych, pięknych lip przecinają młode zadrzewienia. Sadzonek tych mnóstwo gdziebądź okiem rzucić, ale rozrastanie się ich idzie jakoś bardzo... łagodnie. Nie-wyczerpana wyobraźnia pp. administratorów zakładowych coraz to na inne puszcza się kombinacje klombów i drożynek wysadzanych; drzewka, zaledwie silniej w grunt torfiasty, gliniasty lub piaszczysty zakorzenione, przerzuca się z miejsca na miejsce, wstrzymując wzrost słabych jeszcze latorośli... Gdyby nie te wybryki wyobraźni, byłoby w Nałęczowie jeszcze więcej, znacznie więcej, niż jest obecnie, zieleni.

Natomiast aleje i ścieżki i staw i budowle utrzymane bardzo dobrze. Aleje twardo ubite, błotem nie pokrywają się nigdy; zaś woda deszczowa spływa po nich, nie pozwalając nigdzie rozmięknąć gruntowi. Czystość i porządek w zakładowym obrębie zasługują ze wszech miar na zaznaczenie.

Miejscowość ładna. Początek to doliny rzeczki Trypy, ciągnącej się na zachód aż ku Wiśle, do której Trypa wpada. Po dolinie rozsiane ciekawe staroświecczyzną osady i miejscowości godne zwiedzenia. Ostatnim etapem wy-cieczek z Nałęczowa jest piękny Kazimierz nad Wisłą.

Zaś dla kuracyi uczyniono istotnie wszystko, co w naszych warunkach dało się zrobić. Zakład hydropatyczny urządzony z całym «komfortem» wodotrysków wszelkiego gatunku i rodzaju, wzorowy; łaźienki niewykwintne, ale czysto bardzo utrzymane, ze specjalnym oddziałem dla niechlujstwa; nader starannie prowadzone kąpiele borowinowe (torfowe) — słowem zatopią cię w wodzie według najściślej obserwowanych przepisów hidropatyi i z całą wyszukaną elegancją mnóstwa aparatów.

Co atoli na szczególne zasługuje zaznaczenie, to ład i porządek, zaprowadzony w całym życiu kuracyjnem pacjentów przez dyrektora, dr-a Chmielewskiego. Marsz

tryumfalny orkiestry wojskowej, odzywającej się punkt o 7-ej z pawilonu na wprost «Hidropatyi», podnosi gości teje «Hidropatyi» z łózek. Kuracyjna manipulacya i zabawienne lecznicze manewry trwają do obiadu. Obiad — *table d'hôte* — higieniczny mają pacyenci w samym gmachu «Hidropatyi». Spirytualij — ani kropli.

— Wódeczki możebym dostał? — zagadujesz nieśmiało garsona, przybyszu obcy, a nieświadomy zwyczajów miejscowych.

Stary «Kazio» rzuca na cię okrutne wejrzenie.

— Mlekiem słodkiem lub kwaśnem możemy służyć wielmożnemu panu — powiada, hamując się, słodko, ale stanowczo.

Mleczko słodkie przed obiadem! Och! Pić, na szczęście, niema obowiązku.

Dyrektor, jak Jowisz na Olimp, wstępuje do sali restauracyjnej punkt o 1-ej. Bacznem okiem lustruje salę — chwilkę, znużony całorannem doglądaniem kąpeli, poświęca na witanie się z każdym z osobna, a wszystkimi po kolei, następnie daje znak rozpoczęcia — obiadu. Grupują się u dużego stołu i bocznych wszyscy według z góry przez dyrektora ułożonego planu niezmiernie subtelnego. Więc między pannami — doktor, ale koniecznie... młody. Ożywi obiad ale w miarę, w porę, higienicznie. Damy nieco swarliwszej natury, a osobliwie do ploteczek skłonne, broń Boże, nie obok siebie... ot, tak, jakby z przypadku, a zawsze na odległość... ostrzejszego słowa. Hipokondryków, łagodnych a melancholicznych psychopatów rzuca dyrektor w najbardziej ożywione i wesołe zakątki sali; pięknym damom, pochylonym pod brzemieniem histeryi jak lilie podcięte, daje za sąsiadów herkulesów farnezyjskich — chciałem powiedzieć: nałęczowskich — oraz najdalej zaszłych w rekonfortującej kuracyi pacyentów; nie było wypadku, aby literata przy literacie umieścił, jak również nie było wypadku, aby komu nie smakował za tym stołem hygie-

niecznym kompot podsunęty rączką sąsiadki, otrzymanej z wyboru dyrektora.

Zaraz od pierwszego podania zaczynają płynąć potokami... humor i woda. Sam dyrektor natomiast flaszę z najczystsza «alembikową» dobywa z jemu tylko wiadomego ukrycia i w drodze łaski zdrowszych lub zdrowych zupełnie raczy kieliszeczkiem — jednym, nie więcej. Zaś bystre jego oko i czujność nieustanna są wszędzie.

Ku niemu idą wejrzenia dam, mających pewną wątpliwość co do skutków spożycia drugiego kawałka pieczeni: ku niemu mama odsyła synalka, domagającego się malin lub galarety; ów pan, co się spóźnił nieco, nie zajmie miejsca bez porozumienia się oczami z gestem w tę lub ową stronę dyrektora; a już co do kucharza... biada mu, jeżeli w czym przeszkrobi! Dyrektor czerpie ze wspólnego półmiska i żaden mankament higieniczny nie ujdzie jego baczności.

Obiad się skończył. Zapalono papierosy, podano... herbatę. Kawa... tam, w «kursalu» dla tych, którzy higienę istotną lekce sobie ważą i orgie wyprawiać pragną.

— Dyrektorze, szanowny dyrektorze, kochany dyrektorze! a co będziemy robili po obiedzie?!

Hm, dyrektor się namyśla. Konsultacyi w tym względzie nie odbył jeszcze z dr-em Dolińskim, któremu konceptu nigdy jeszcze nie zbrakło.

Cóż zresztą! — Dziś niedziela: reunion. Odpoczynek zatem, krótka siesta po obiedzie, następnie promenada po alejach przy dźwiękach kapeli, przejażdżka łódką po kanale, a potem — do sali balowej!

A sala balowa w «Pałacu» bardzo ładna. Niby trochę *empire* pod względem umeblowania, cała w sztukateriach, z dwoma żyrandolami zwieszającymi się od sufitu, ubranymi wieńcami zieleni. Część orkiestry, zamieniwszy dęte instrumenty na rznięte, zajmuje przyległy gabinecik t. zw. fortepianowy. Zaroiła się sala. Mężczyźni — we fraku, w tużurku, w jasnej marynarce; damy jak Bóg

dał — byle ładnie i do twarzy. Ożywiają się łagodni psychopaci, lilie podcięte podnoszą raźnie główki, na czele trzydziestu do czterdziestu par staje... kto? — Roman Szwoynick. Ha, skoro Szwoynicki dyryguje mazurem, jest-że tu sposób nie tańczyć? Więc dalej w płasy łagodni psychopaci i łagodniejsze stokroć psychopatki; zdenerwowani hipokondrycy jedwabne przędą słówka, konkurując zajadle z wiejską młodzieżą z okolic przybyłą. «Piękności» na sali mało, ale przystojnych twarzy dużo. Oto wysmukła jak topola hoża dziewczoja w białej, skromnej, a gustownej sukience, oto filigranowy profil ożywiony czarnymi, pięknymi oczami, oto dwa oryginalne, jasnowłose, ładne *minois chiffonés*, a tam dalej, w pierwszej parze, wdzięczna, zgrabna, pełna życia tancerka w niebieskiej sukni... Któż zliczy, ile razy wzrok się dłużej zatrzymał na pięknych oczach, zgrabnej kibici, wdzięcznej główce!..

W sąsiedniej sali, gdzie czytelnia, w sali bardzo gustownej, wychodzącej na balkon, dominujący nad promenadą parkową, wypoczywają tancerze i tancerki, a i niejedna z mam lub cioc tam się przysiadzie. Za salą zaś czytelnia, w obszernym pokoju, przycupnęli w zacisznym ustroniu — winciarze, przy trzech stolikach.

Dyrektor, zawsze niestrudzony dyrektor, przechadza się po całej tej arenie reunionowej, młodzież do tańca zachęca, tancerzy prezentuje, tancerki przed zradnymi przeciągami przestrzega, mamy opuszczone i ciocie emabluje, kapelmistrza do wytrwałości zagrzewa.

I trom, tam, tam, tra, la, la, la... huczy mazur ochoczy po sali, powiewają wachlarze, idą szepty rozmów wokół. Zaś hen, z oddali przebija się czasem w pauzie tańców, po przez gwar reunionu oderwany jakiś wykrzyknik: pięć karol! pięć kier!..

Dra Dolińskiego też pełno wszędzie. Niewyczerpana jego werwa wybornie spaja towarzystwo, skupia i gromadzi je w jedno, wielkie koło. Dr Doliński zna wszyst-

kich, z każdym jakby beczkę soli zjadł, a uprzejmość jego gospodarcza dla przyjezdnych granic nie ma.

Punkt o 11-tej... jak nożem odciął przerywa się bodaj najzawziętsza zabawa. Muzyka urywa w pół taktu, tańczący stają z wzniesioną do mazura nogą, łomot ustaje jak uderzenie młota w kowadło, światła gasną... nie, światła nie gasną, ale gdyby nawet zgasły, to efektu niewieleby już przez to przybyło. To dyrektor dał znak, to dyrektor, Jowisz-duch opiekuńczy, taki oto niespodziany, na godzinę przed północą, zrobił nam — popielec.

I słusznie. W miejscowości kuracyjnej nie wolno snuć tym, którzy w zabawie udziału nie biorą, a i samym hasającym czuwanie wśród tanecznych emocyj zdrowia nie przysparza.

Kółka i kółeczka towarzyskie schodzą na dół do restauracji kursalowej — na kolację. Komu zaś do domu pilno, pięknym wieczorem księżycowym ciągnie ku swej willi.

O, te nałęczowskie aleje! o, te skręty i zakręty po przez drzew klomby! o, te fale woni kwiatu lipowego, ważące się dokoła po parnem powietrzu! Tu już dyrektorska drakońska władza nie sięga, a zresztą i dyrektor już zmrużył oko na to, co się w tej chwili dzieje poza obrębem sali balowej...

Ale i czysto sielskich rozkoszy nałęczanom nie braknie. Wychylić się tylko poza obręb zadrzewień zakładowych i zabudowań, a na płaskowzgórzu jest się już natychmiast w czystym polu, na wsi, nie zmaconej żadnem przypomnieniem miasta. Wózkiem lub pieszo w dolinę malowniczą Trypy, spacerem do poblizkiego lasu, mimo zakładowej «mleczarni», lub dokąd oczy poniosą po przez łąny pszeniczne i owsiane, po murawie łąk torfiastych, po drożkach i drożynkach okolicznych!

Równie sielsko-anielską jest wędrowka niedzielna, przed samem południem, do kościoła w Bochojnicy. Kwadrans ślicznej drogi aleją lipową, wspomnianą wyżej. Bly-

skając w słońcu różnobarwnymi sukienkami, mieniając się kolorowych parasolek jedwabiami, ciągną »kompanie» dam aleją lipową; idą przodem panny i panieneczki, kroczą za nimi poważne mamy i ciocie, panowie towarzyszą na flanku. Przed kościółkiem, na placyku, u stóp pięknego wzgórza — obrazek sielski — rodzajowy. Krótka wioskowa ulica; karczma; żyd w ganku, przebierający palcami po brodzie; ludu wiejskiego mrowie; przed bramą kościelną stoją przybyłe z sąsiedztwa ekwipaże dworskie; a tam, na górze, przeciąga wokół kościołka procesya właśnie; huczy śpiew, powiewają w słońcu chorągwie. Kościółek nieduży a ludem po brzegi nabity. W ławkach — państwo z Nałęczowa; w przejściach i wokół ścian wieśniacy okoliczni, więc ciemno-brunatne sukmany mężczyzn, ponsowe i zielone chustki kobiet tworzą mozaikę jaskrawą, że obrazy ludowe Chełmońskiego lub Pruszkowskiego stają żywo w pamięci.

W dniu powszednie całe towarzystwo nałęczowskie rozprasza się w obrębie alejowym zakładu. Po kawie, podanej w kursalu na sposób zagraniczny (kawa w oddzielnej, jednoporcycowej kamionce, śmietanka osobno, parzona w garnuszczyku, bułeczki i maselko), zejdźmy w dół schodami na dywan kwiatowy, w aleje.

— Uszanowanie pani!

— Witam pana!

— Jakże dziś zdrowie?

Powitania w prawo, w lewo. Z tym, z owym kroków kilkanaście spaceru po głównej alei.

W altanie świerkowej skupiła się grupa osób. To rozbił tam swe namioty... chciałem powiedzieć: sztalugi — Szwoynicki i piękny zakątek Nałęczowa pięknie utrwała z natury na płótnie. W głębi widok na «Hidropatyę», kawał lśniącej się w słońcu wody kanału, na pierwszym planie spacerujące aleją parku dwie damy, co się na zaczytanego na ławce jakiegoś jegomościa natknęły. Jedna z pań, bawiących właśnie w Nałęczowie, pozuje uprzejmie



artyście; galerya spektatorów komentuje postępującą szybko robotę, a wianeczek ciekawych dam raz po raz zmienia się w tej improwizowanej pracowni.

W innej stronie parku: zieleni i żółci kawał płótna — Okniński. Ze sztalugami swemi przenośnemi zapadł on, hen, tam w wysoką trawę przed malowniczym, starym, murowanym mostkiem, rzuconym na kanał u rozłożystej wierzby. Poważne studyum, surowe w swej malowniczej prostocie, budzi zwłaszcza zajęcie panów. Raz po raz ktoś się ku artyście przedostaje, przez kułak patrzy, oddala się, przybliża, wreszcie przygrzany spiekotą pełnego słońca, zmyka napowrót w cień alei.

Ku «Pałacowi» podąża kilka panów i pań. To towarzystwo teatru amatorskiego, śpieszące na próbę «Zaproszenia do walca». Przyszły spektakl srodze zajmuje gości, zaś dzięki już ujawniającej się wybornej grze, zwłaszcza pań, ma zapewnione z góry powodzenie.

Na placyku w parku dziatwa odbywa ćwiczenia gimnastyczne pod wodzą doświadczonego metra. Mamy i tatusiowie rozsiedli się na ławkach okolicznych; przechodnie przystają w pobliżu, zwabieni wesołymi okrzykami.

Od strony poczty zbliża się grupa osób. Dama, krocząca w pośrodku, list otrzymany czyta na głos. Usłużny jakiś galant trzyma nad nią rozpięty parasol, chroniąc czytelnickę od rażących promieni słońca.

Na rozbujanej huśtawce migają niebieskie mundurki gimnazystów. Opodal, w najciemniejszym cieniu lip, z książką w ręku usiadła dama samotna; czy jej dawno oderwały się od kart książki i gonią może w tej chwili za stokroć bardziej zajmującym romansem... własnego utworu.

Przeważnie, jak obecnie, do Nałęczowa nadciągali dotąd — lublinianie. Wogóle zaś mniej tu osób, niż innemi laty o tej porze bywało. Deszcze przeciągają gęsto i odstraszaają przybyszów. Ale, rzecz dziwna, nie zlekli się zmian atmosferycznych, nieuniknionych, tylko goście ze stron dalszych. Sporo tu osób i ze stron dalszych.

Chcielibyśmy oczywiście, aby przez lato całe, dzień w dzień, było niebo bez chmurki i 20 stopni ciepła na termometrze; sądzimy oczywiście, że gdzieśbądź indziej zupełnie inne, niż obecnie, czeka na nas lato. Złudzenie! Lato wszędzie jednakowe mniej więcej, a w pięknym Nałęczowowie z pewnością znośniejsze, niż gdzieindziej. Jeżeli czego mu braknie jeszcze, to właśnie — ludzi. Dać Nałęczowowi pięć do sześciu tysięcy gości co rok, a będzie w stanie rozwinać się jak należy. Zrobiono tu istotnie wszystko, co zrobić się dało środkami, którymi Nałęczów rozporządza. O drobiazgach nie wspominam; nie wspominam, że kręgielnia opuszczona, że strzelnica zaniedbana, że porządnego niema fryzyera, że sklep «ze wszystkim» jeden jedyny na miejscu, że... ale mniejsza. Znalazłoby się to i owo, gdyby... gdyby, powtarzam raz jeszcze, miał Nałęczów 5—6,000 gości rok w rok.

Życie, względnie do wygód, które daje, tanie. Mieszkania np. w «Hidropatyi» i »Kursalu» bardzo porządne, czyste, dobrze opatrzone u okien i drzwi, wcale nie przecenione. Jedzenie, zwłaszcza w «Hidropatyi», bardzo zdrowe i dobre, niewykwintne ale smaczne, ucziwie podane. Służba wszędzie, jak na nasze stosunki, dobrze ułożona i chętna. Przyjeżdża teatr; od czasu do czasu zdarza się koncert. Swoboda, zwłaszcza w willach, zupełna. Przy każdej willi werenda dla obiadów i herbat na świeżem powietrzu. Działwa ma swoją gimnastykę i miejsca do zabawy aż nadto. Strojów zbytkownych nie widziałem. Że się wszyscy po trosze znają, czasem aż do zbytku, że ploteczki s z u, s z u, s z u, jak pszczoły brzęczą wokół — to już na to jedyna rada: niech się więcej osób zbierze, a z natury rzeczy ustać to musi.

Zakład, jako przedsiębiorstwo nie ma z nikąd inąd poparcia, jak tylko od gości samych. Przy zagranicznych tego rodzaju zakładach kąpielowych leczniczych, klimatycznych istnieje zawsze miasto lub miasteczko, albo też aglomerat posesyj prywatnych, które nie tylko zakładowi

nie szkodzą, ale dzielnie mu pomagają. Tam od istnienia zakładu zależnym jest byt tyłu to a tyłu prywatnych hoteli, prywatnych sklepów, prywatnych miejsc zabawie przeznaczonych i ci wszyscy przedsiębiorcy prywatni, otaczający zakład strzegą go, jak oka w głowie i splendor jego oraz wziętość starają się podnieść wszelkimi siłami. Tu przeciwnie. Obsiadł Nałęczów rój prywatnych mieszkaniów, jadalniów, mleczarniów, zakamarków konkurujących na zabój z samym zakładem, odciągających odeń gości, jak owe faktorczyki w miastach powiatowych, łąpiący do swych zajazdów i sklepików naiwnych przyjezdnych. Zakład nałęczowski, rzucony dalej nieco od miasta, powinien koniecznie mieć obszerniejsze terytoryum, a na terytoryum owem własną gospodarkę wiejską, gdzieby krowy własne zakładu wypaść się mogły, drób chować itp., a gdzieby pośrednicy i dostawcy nie mieli po co zaglądać. Zakład nałęczowski powinien być panem u siebie w domu, powinien nie liczyć li tylko na t. zw. wpisowe gości swoich; zakład nałęczowski powinien być gospodarstwem wiejskiem, przygotowanem zawsze na przyjęcie gości, Gościom tym wtedy będzie mógł za najniższą cenę dać miejscowe «własne» produkty wiejskie zawsze świeże, zawsze zdrowe, zawsze czyste. Wpisowe niech służy tylko na opędzenie kosztów urządzeń leczniczych, utrzymanie w porządku budowli i parku, orkiestry itp. Gość nałęczowski powinien koniecznie od pierwszego kęsa bułki aż do ostatniej «duszy» być wyłącznie i jedynie gościem zakładu nałęczowskiego; wtedy ten zakład, godny istotnie najlepszego losu i powodzenia, krzepko trzymać się będzie o własnych siłach...

Żal odjeżdżać nawet tak skoremu do włóczęgi, jak ja, turyście... taka tu cisza i spokój, tak łagodnie płynie życie!

Oto w tej chwili «dusz» fantastyczne wodotryski śmigają w łazienkach hidropatyi, pijący wody poważnie i miarowo przechadzają się wzdłuż i wszcz po alejach

parku, muzyka grzmi potężne jakieś «potpourri» z «Fausta», cicho brzęczy etiudami Clementi'ego kursalowy fortepian, wiosła pluszczą cicho po stawie parku... Widzę wysoką, szarą sylwetkę dyrektora, pomykającą kędyś szybko; na zakręcie alei znika mi z oczu jakaś jasna marynarka obok niebieskiej sukienki..

Wielki omnibus hotelowy zajechał. Dzwonek konduktora ozwał się raz, raz drugi, raz trzeci. Słyszę za sobą potężny uścisk: to mój sąsiad żegna się z żoną; pań kilka wysypuje się przed werendę; woźnica rozwinął bat; zatrzasnęły się drzwiczki; omnibus ciężko dźwignął się naprzód.

A za nami, jakby żegnając nas serdecznie, rozplakało się niebo gęstym, ulewnym deszczem..



## PACANÓW.

W słoneczne popołudnie zajechał przed hotel w Solcu mój wózek drabiniasty. Woźnica, gospodarz wioskowy, noszący pięknie brzmiące nazwisko Fortuna, nad kasztanami swymi śmignął batem i pytająco spojrział ku mnie:

— Tak, panie Fortuno — rzekłem — nie inaczej; pojedziemy niezwykłą, nieco drogą. Przez Pacanów!

Raz ostatni ogarnąłem wzrokiem Solec, gdzieś chwilę spędził tak sielskie. Pławiły się w słońcu gasnącem białe chaty wieśniacze, kremowo-ceglasty hotel, klomby ciemne parku, na końcu alei bieląca plamka łazienek wśród zieleni zadrzewień pobliskich, falowały lekko pyszne pola okoliczne, aż hen pod sam skraj parnego fioletowego horyzontu.

Zapobiegliwy doktor ostatnią dawał wskazówkę Fortunie, kędy mianowicie ma skręcić i zakręcić po drodze, abym szwanku nie zaznał (jak gdybym to nie kołem Fortuny miał toczyć się po świecie!), w oknach mignęła główek para, ciekawych oglądać niezwykłego pasażera, co przybył tu z daleka, z bardzo daleka i jedzie oto, nie wiedzieć po co i naco, tam, dokąd zajrzeć najbliższym się nie śniło...

Z Solca do Pacanowa liczą drogi wiorst dziesięć, a jedzie się wiorst — szesnaście t. zw. «polską drogą», najkrótszą.

Ze stopnickiej szosy rychło zwracamy w stronę, na wschód i podnosimy się wolno na piaszczyste wzgórze, mimo pól burakowych i marchewnych. To wzgórze magierowskie, z lasem wcale dużym na flanku, ulubione miejsce najbliższych z Solca wycieczek. Na szczycie wzgórza folwark do Zborowa należący — Magierów. Widok prześliczny w stronę południa, na żyzną równinę kielecką, na skraju której błyska Wisła, a za nią majaczeja, hen, w oddali chyba już wybiegi — Tatrów. Granicę obu państw widzi się jak na dłoni z magierowskiego wzgórza. A potem wije się droga, nie należąca wcale do najlepszych, i wzdolami i górami, a zwłaszcza — parowami. Parowy te w lekkim gruncie wyźłobiła powoli woda; sączyła się po małej drożynce, rozmulala piaski, rozmyła, werznięła się w grunt i oto — jedziemy głębią jednej wielkiej jakiejś wyrwy w płasko-wzgórzu, a wyrwy tej brzegi na wzrost człowieka i wyżej piętrzą się po obu stronach drogi.

Ale skoro droga wybije się na płaskowzgórze samo, jest na co patrzeć obytemu z gospodarką amatorowi! Wyborna gleba, dobrze uprawiana ścięła się dokoła. Oto minawszy Wujeczkę, malowniczą wioskę, której aleję główną stanowi... strumień źródłany, wydostajemy się z parowu na grunty dworskie majątności p. Popiela. W dali bieleją wśród czubów drzew dworskie zabudowania Wujczy. Piękna majątność, widać odrazu, że zagospodarowana bardzo starannie. I dziwi się przybysz obcy, wyobrażający sobie, że ów Pacanów nie inaczej chyba, jak wśród głuszy jakiejś dzikiej leżeć musi, a tu tymczasem konopie i fasole w szczyerem polu, jakby na ogrodzie jakim prosperują, a tuż o wiorstę jaką od samego miasta, suną się polem przydróżnem piękne czterokonne pługi z Chrzanowa.

Pacanów, widziany zdala, od zachodnio-południowej strony, sprawia wrażenie pokaźnego wcale miasteczka. Gęsto domków, drzew sporo i wieże kościelne bielejące zdala. Okolica pospolita.

Miasteczko dosyć czyste o białych domkach i słomia-

nych, oraz gontowych strzechach liczy 2,000 mieszkańców, z których podobno jest tysiąc chrześcian. Nie zdarzyło mi się atoli widzieć tych ostatnich. Natomiast rodzin wiele odbywało właśnie, w pełnym słońcu, przed domami szabasową siestę. Jadę jedną, drugą ulicą, przez rynek główny, ze staroświecką figurą św. Floryana w pośrodku i z namiotem wędrownego karuzelu, a pilnie oglądam się i rozglądam dokoła, żali gdzie bądź nie ujrzę — kuźni. Ucha też nadstawiam, żali jaki odgłos młotka nie zaleci ku mnie. Cisza, głęboka cisza zalega wszędzie; na całym Pacanowie leży ołowiana, ciężka senność skwarne go popołudnia.

Trafiłem nieszczęśliwie! Dnia tego właśnie — a był to szósty dzień tygodnia — nie kuto wcale kóz w Pacanowie dla tych samych przyczyn, dla których w Solcu nie grała muzyka!

Na miejscu atoli objaśniono mię dokładnie, jak rzecz się miała z tem słynnem pacanowskiem podkuwaniem kóz. A oto. Był ongi w Pacanowie pewien kowal bogaty i ogród owocowy nader piękny posiadał. Posiadał również kóz kilka. Tedy jedna z kóz owych, najśmielsza z natury, włąziła mu na najpiękniejsze grusze i jabłonie, dotkliwie szercząc na nich spustoszenie. Rozgniewany kowal kożę tę okuł «na gładko», aby już odtąd czepiać się kopytkami drzewa nie mogła. I miał zacny kowal z Pacanowa od chwili owej święty spokój, aliści o pomysłowości jego wieść rychło rozeszła się daleko i szeroko po świecie. Historia o podkutej kozie przeszła «w usta ludu». Jak świat długi i szeroki powtarzano sobie: «W Pacanowie kuja kozy», no, i kowale pacanowscy słynni są od tej daty narówni z «akademikami» ze Smorgoń, oraz mieszczanami z Pont-à-Mousson.

Zaś, ile że chmury sino-czarne stanęły na horyzoncie i pogrzmiewać zaczynało, zakolałem do drzmi plebanii, prosząc o popas chwilowy. Serdecznie a uprzejmie przyjął mię ks. proboszcz-kanonik.

Pod piękny, okazały, od lat dziesięciu restaurujący

się kościół mię powiódł. Pomodliwszy się przed cudownym, staroświeckim wizerunkiem Chrystusa w kaplicy bocznej, oglądaliśmy następnie ołtarz fundacji Zebrzydowskiego, do którego Pacanów ongi należał, obrazy ciekawe niektóre, a trudno było nie skąpić słów szczerego uznania robotom restauracyjnym w skromnej ale gustownej świątyni prowadzonym. Styl romański kościoła dobrze zachowany przez architekta prof. Matasińskiego, a kosztów widać nie szczędził główny fundator wszystkich odnowień, hr. Artur Potocki. Ocieniają przybytek Pański piękne, bardzo stare wiązki rozłożyste, na cmentarzu rosnące.

— Aleś pan dzwonów naszych nie słyszał? — zaga-dnął mię ks. proboszcz, *pro forma* tylko nadając słowom swoim intonację zapytania.

— W rzeczy samej — odparłem — przyznać się muszę, żem nie słyszał. Świat, księżę proboszczu, obiegłem potrosze i tu i tam a, ot, dźwięku dzwonów pacanowskich nie zna moje ucho.

Tedy uprzejmy gospodarz zakrzętnął się, aby mię tem, co najprzedniejsze, uraczyć. Akurat właśnie wypadła godzina sobotniego zwykłego dzwonienia. Infrakcyi zatem w obyczaju nie czyniąc, kazał tylko ks. proboszcz na cześć gościa uderzyć wyjątkowo w dzwon największy.

Ruszył się dzwonnik, zakrystyan, nawet organista podskoczył ku dzwonnicy i zaledwieśmy zdążyli stanąć na ganku plebanii, już padł w przestrzeń powietrzną pierwszy sygnałowy odgłos metaliczny.

Ks. proboszcz urwał zaczęłą rozmowę, przystanął, skłonił na bok głowę i rzekł krótko, rękę podnosząc do góry:

— O! słuchaj pan!

I słuchaliśmy w ciszy i skupieniu fantastycznej gamy dzwonów, tu i owdzie wstrząśniętej głosem najdonioślejszym seniora pacanowskiej dzwonnicy.

Uderzenia dzwonów to goniły za sobą, to rozbiegały się, to w jeden łączyły się potężny akord, to drobiły obok



siebie jak roztańczone wesele, to pogrzmiewały miarowo, poważnie, jak akompaniament pogrzebowego konduktu. Echa ważyły się dokoła, podplywając aż tuż, tuż, pod ganek plebanii.

Zaś mnie w tej chwili jęły dziwnie jakoś chodzić przed oczami te wszystkie krajobrazy najświeższe, którem w ciągu paru miesięcy ostatnich oglądał, tak niedawno jeszcze, począwszy od lodowców szwajcarskich i winnic nadreńskich, a kończąc na północnych mrocznych borach... że kiedy przebrzmiało ostatnie przeciągłe uderzenie, tom się zbudził jak ze snu i spojrzałem zdziwiony na stojącego obok mnie, wciąż jeszcze zasłuchanego rozkosznie proboszcza.

Gdzie jestem? Prawda!... to pogranicze kieleckie, to nowy etap wędrownej włóczęgi... to Pacanów i pacanowskich dzwonów słuchałem koncertu!

— A co? Jakie to piękne! — odezwał się proboszcz, ocierając kraciatą chustką uznojone czoło.

— Prześliczny głos! ani słowa. Srebro musi być w metalu — rzekłem, aby coś powiedzieć.

A gdy nadbiegłej burzy piorun strzelił ostatni, pożegnałem z serdecznością szczerą ks. proboszcza, zapewniając go raz jeszcze, że pacanowskich dzwonów nigdy nie zapomnę. Po chwili, w opiekę oddawszy się Fortunie, jechałem dalej drogą złą a monotonną ku Stopnicy.

....

## NOWE-MIASTO.

Co to jest Nowe-Miasto?

Trudno jednym słowem dać odpowiedź. Jedni powiadają bez zajęku: «To zakład hydropatyczny dra Bielińskiego!» drudzy: «To taka miejscowość, gdzie się lato spędza i wody pije!» inni: «To taka sobie osada z miasteczkiem, kościołem i zakładem leczniczym!» Są wreszcie i tacy, co bardzo stanowczym tonem, wzruszając ramionami i kładąc obie ręce do kieszei, palą prosto z mostu: «Nowe-Miasto?... ależ wiadomo... to nad Pilicą!» — i uważają, że odpowiedź ta powinna nam, wam i im wystarczyć zupełnie... na skromne potrzeby.

Rację mają wszyscy. Tak, niezawodnie, Nowe-Miasto leży nad Pilicą, i miasteczko ma, i kościół, i zakład hydropatyczny dra Bielińskiego, i lato się tam spędza i wody pije, ale... ale ja tak szybko z żadną odpowiedzią załatwić się nie umiem.

Kiedy powiem: Pilica, to staje mi przed oczami ta długa, piękna, bystra rzeka, rodem z kieleckiego, jak wypłynąwszy z pod rogatek miasta tejże nazwy, wije się ku północy, ku Wiśle, odgraniczając po drodze naturalną wodną miedzą gubernię kielecką od radomskiej, radomską od piotrkowskiej, a w części radomską od warszawskiej. Zaś kiedy powiem: Nowe-Miasto, to widzę przedewszystkiem obszerne płaskowzgórze, ciągnące się tak mniej więcej od plantu

kolei wiedeńskiej na południo-wschód i schodzące piaszczystymi stokami nagłymi nad Pilicę samą. Dalej, na stoku owego płaskowzgórza, w tem miejscu, gdzie stykają się ze sobą trzy gubernie: warszawska, piotrkowska i radomska, widzę na piaszczystej wyniosłości dominującej koryto Pilicy — miasteczko; widzę, przypatrzawszy się bliżej, że nad miasteczkiem, na zielonem wzgórzu osiadł, widny zdaleka, biały kościół, że jakiś wielki drzew zielonych aglomerat leży tuż obok kościoła z jednej strony, z drugiej zaś rozsypały się domy i domki większej osady, zajrzawszy zaś w dół, na stok wzgórza, spostrzegam jakieś wcale nie miasteczkowe zabudowania, w wybrednym stylu, jakieś aleje gdyby parku, jakieś klomby i partery... Tedy, gdy się wzrok przesłizgnie tylko po niem przelotnie, Nowe-Miasto sprawia wrażenie jakiejś siedziby, której jednym wyrazem lub wierszem nie określić. Zbliźmy się więc i przypatrzmy dokładniej, a może nazwa się znajdzie.

Prowadzą do Nowego Miasta trzy główne drogi. Jedna szosą prosto z Warszawy na Grójec (mil 10), druga z południa od stacyi kolei dąbrowskiej Opoczno przez Drzewicę, też szosą (wiorst 38), trzecia od zachodu, ze Skierniewic przez Rawę, po części szosą, po części drogą polską (wiorst 55). Mnie do Nowego Miasta wypadła droga z Opoczna na Drzewicę, tj. że pomykając na północ radomskimi równinami, oparłem się u Nowego Miasta o Pilicę i mostem ją przebywszy, stanąłem pod stokiem wyż wspomnianego wzgórza. I droga to, przyznać trzeba, najdogodniejsza, najwygodniejsza i najkrótsza. Z Opoczna do Nowego Miasta szosa doskonała, równa, jak po stole, poczta ze zmianą w Drzewicy dostarcza koni w każdym czasie, nawet powozy ma wygodne wcale; powóz resorowy czterookobowy, w dwa pocztowe zaprzężony konie, robi przeciętnie po szosie bez wielkiego naglenia woźnicy piętnaście wiorst na godzinę.

Ale za to okolica, którą się przejeżdża, monotonna srodze. Bezleśna równina, jak okiem sięgnąć. Piasek,

gdzieniegdzie kamienie. Grunta marne, wszędzie forsownie łubinami zasilane. Za łubinem i białym i niebieskim i żółtym wcale zbóż nie widać, a te, które widać, oglądania nie warte. Strona małowudna, bo i wioski nawet niewiele i lud wygląda jakos ubogo; gospodarka wszędzie bardzo skromna; świeci się przy drodze jakiś dworski pałacyk, ale na zabudowaniach gospodarskich słoma, a w polu żyto, jak starokawalerska czupryna: kłos od kłosa o pół wiorsty. Od gorąco żółtych pól łubinowych delikatnym zapaszkiem miodku niesie. Drzewica ładna ze zwaliskami, ze staroświeckim, oryginalnej struktury kościołkiem — ale cała to i okrasa drogi. Za Drzewicą znów płaska pustynia, przechodząca cała w najpaskudniejszą, jaką wymarzyć można, okolicę pod Odrzywołem, potem w bagienka i torfowiska skąpo zadrzewione. Szczęściem już oto zdaleka zabielał na górze kościół nowomiejski. Dojeżdżając do mostu na Pilicy, ma się przed sobą całą panoramę Nowego Miasta.

Tedy na wzgórzu kościół a dokoła osada miasteczkowa; na lewo park duży, spuszcający się silnem zadrzewieniem po stokach aż na równinę Pilicy, park, w głębi którego stoi pałac dworski majątności hr. Jana Tyszkiewicza, z podwileńskiej Waki; na prawo folwark «Przytułek», dziś dependencya zakładu leczniczego, niegdyś własność Żmichowskich, rodziców Narcyzy (Gabrieli). W połowie stoków płaskowzgórza zakład hydropatyczny dra Bielińskiego, cały klombami drzew okryty, szeroko rozgałęziony alejami, zabudowaniami itp., zaś od zakładu idą po równinie aż do samej Pilicy wybiegi dróg i drózek, drzewami wysadzonych. Panorama piękna, pełna, rozmaita, efektowna, a tem miłsza, że wyrastająca nagle z równiny, jakby fata morgana jaka. To wszystko nazywa się, razem wzięte — Nowem-Miastem. I majątek Tyszkiewicza, po Małachowskich, nazywa się Nowe-Miasto i osada zwie się Nowe-Miasto i zakład dra Bielińskiego też nazwę nosi Nowe-Miasto. I wszystko razem też — Nowe-Miasto.

Nie dojeżdżając do szczytu wzgórza, mając miasteczko, kościół i park nad sobą, zwracamy w prawo, aby po pochyłości stoku biegnącą aleją zajechać przed sam zakład hydropatyczny. Wszędzie po drodze, na zapytanie: dokąd zajechać w Nowem-Mieście? dawano mi jedną, jedyną odpowiedź: «Do dra Bielińskiego!» Na napomknienie o hotelu o zajeździe bądź jakim, potrząsano tylko litośnie głową. W Nowem-Mieście jest tylko jeden jedyny dr Bieliński, co gościem każdym rozperządzać ma prawo. A no, skoro tak — jak w dym, jak w jasną świecę, do dra Bielińskiego zatem!

Powóz, toczący się po piaszczystej alei, zwalnia biegu i ukazuje się oczom moim na lewo, na wyniosłości półwzgórza duży długi budynek. Dwa skrzydła dwupiętrowe pół drewniane, pół murowane, połączone ze sobą, dużą, długą, krytą werendą; okien kilkadziesiąt błyska w słońcu powiewając firanek i zasłon sztandarkami; grubymi sploty ocienia werendę ażurową dzikie wino; przed budynkiem, stokiem półwzgórza, schodzą aż pod aleję wjazdową trawniki i grzędy kwiatów, nawet basen fontannowy leży jak duży talerz na środku tarasu; spore towarzystwo panów i pań rozsypane przed gmachem, po tarasach, po drózkach, pod klombami drzew cisnącemi się wokół budynku. Po drugiej stronie alei, nawprost werendy opisanej — coś w rodzaju parku, sądząc po gęstem zadrzewieniu, oraz pawilon oczywiście dla muzyki. Przedemną dalej bieleje jeden dom murowany, bieleje drugi niższy nieco, oba mnogimi drzewami osłonięte; a i dokoła, gdzie okiem rzucić, budowle jakies wcale nie wioskowe, nie miasteczkowe, i szpalery drzew, i klomby, i ścieżki, i jakies szare dachy tu, owdzie. Tak, wątpliwości być nie może: to z pewnością zakład dra Bielińskiego, t. zw. «internat» i znajduję się w samym ognisku kuracyjnej instytucji.

Przed lekką, sztachetową bramą boczną wysiadam tedy z pocztowego wehikułu i pnąc się po żwirowej drodze pod górę, idę zapukać do drzwi gościnnych «internatu».

Onieśmiela mię zupełnie brak kwalifikacyi na pacyenta. Dr Bieliński zdrowych niechętnie widzi pod swym dachem — wesołego pasażera, co przybył tydzień, dwa tygodnie letnie «spędzić» w towarzystwie kuracuszów, bywało nieraz, z kwitkiem od progu swego odprawi, zalecając mu szukać przelotnej gościny tam, wyżej, w miasteczku, gdziebądź, byle nieco dalej od spokojnego, budzącego się o 6-tej rano, a zamykanego o 10-ej przed północą «internatu». To też pan w szarem ubraniu i miękkim na głowie kapeluszu, co z pewnością siebie wice-gospodarza wyszedł na moje spotkanie, nie omieszkał zmierzyć mię zaraz na wstępie podejrzliwym wzrokiem. Podejrzana wielce wydała mu się moja twarz pokaźnie słońcem opalona, brak fulara na szyi, nieobecność poduszki podróżnej w rękę, głos nie zdradzający ani zachrypnięcia, ani kataru, wreszcie pewność nóg, wykluczająca wszelką potrzebę duszowych na kończyny natrysków.

Nieśmiało zapytałem o mieszkanie, tłumacząc się, iż nieświadom miejscowych warunków nawet nie wiem, gdzie szukać mam hotelu, zajazdu, wogóle jakiegokolwiek noclegowego schroniska.

— Pan dobrodziej życzy sobie mieć pokój na sezon cały? — odezwał się zawsze podejrzliwie na mnie spoglądający pan w szarym garniturze.

— Niestety — rzekłem — sezon mój tutejszy nie może liczyć więcej nad dni sześć.

— A... w takim razie służyć nie możemy. Mamy jeden jedyny tylko pokój dziś opróżniony i rezerwować go muszę dla kuracuszów, którzy kareta zakładową dziś późnym wieczorem z Warszawy przybędą. Rozumie pan dobrodziej, pierwszeństwo dawać musimy — chorym... istotnie chorym — dodał z naciskiem, pragnąc oczywiście dać mi dokładnie do zrozumienia całą przepaść dzielącą mnie, zdrowego, od prawowitych gości zakładowych, ostrych i łagodnych psychopatów.

— Istotnie — odezwałem się pokorniej jeszcze —

czuję całą niedostateczność moich kwalifikacyj dla zajęcia miejsca wśród szanownego towarzystwa tutejszego, ale... zechce szanowny pan zwrócić uwagę na to, że jeśli puszcze się oto, prosto od zamkniętych przedemną drzwi zakładu, w powrotną drogę, znowu wiorst czterdzieści do Opoczna, mogę łatwo, dzięki umęczeniu i zdrożeniu stać się już na dziesiątej wiorście kandydatem do leczniczego schroniska. Tedy uprzedzając tę smutną dla mnie ostateczność, może, szukając pilnie, znajdzie szanowny pan tu dla mnie, bodaj na jedną dobę, nocleg jaki..

Trafność tego rozumowania wywołała zamierzony skutek. Nie ręczę też wcale, czy interlokutorowi mojemu nie przemknęła przez głowę myśl, że ma przed sobą już kandydata na psychopatę łagodnego. Tedy zafrasował się i rzekł z uprzejmością widoczną:

— Hm... to jużbym chyba pana umieścił na tę noc w... bibliotece! Oto tu.

Spojrzałem w kierunku wyciągniętej ręki przez otwarte okno do parterowego pokoiku, sąsiadującego z restauracją. Para stolików nakrytych obrusami, kanapka i fortepian z ogonem stanowiło całe umeblowanie — biblioteczne.

— Pyszna biblioteką panowie macie! — zawołałem — Genialne połączenie bibliomanii z gastronomią!

W bibliotece jednak takiej  
Zasnę chyba — aż nad ranem....  
Biały sos, czerwone raki  
W gabinecie z fortepianem!

Ale klasyczna moja cytata dwóch wierszy ostatnich sprawiła fatalny skutek. Szary pan zmierzył mnie surowym wzrokiem.

— Za pozwoleniem — rzekł. — Panu dobrodziejowi wygodniej będzie w gimnastyce.

— To już w takim razie pozwolę sobie prosić o miejsce na bilardzie, jeżeli nie zajęte.

— Bilardu nie mamy.

— Może w której z wanien?...

Nie przyszło jednak do tego, abym noc tę pierwszą w Nowem-Mieście spędził w bibliotece, w gimnastyce, ani na bilardzie, ani w wannie. Znalazł się pokój w lewym skrzydle zakładowego gmachu, w tak zwanym «Marylinie», pokój wygodny, zaciszny, z widokiem na drzewa i krzewy, pnące się wzgórzem aż pod białą «plebanię», nie słoneczny rano, dobrze obsłużony, słowem miły dla najbardziej nawet chorego, a coś dopiero dla zdrowego. Zaś p. Junger, jeden z najczynniejszych administratorów zakładowej gospodarki — gdyż był nim ów szary pan, z którym wstępny dyalog zamieniać mi wypadło — wyjaśnił mi tegoż jeszcze wieczora zagadkę owej bojaźliwości oraz ostrożności w przyjmowaniu na terytorium zakładu nowych a nieznanych przybyszów. Na 600 osób, przybywających co lata do Nowego-Miasta, jest 300 rzeczywiście chorych i leczących się seryo i zakład istotnie może sumiennie taką tylko liczbę kuracuszów obsłużyć. Nietrzeba zatem, aby trzystu zdrowych bruzdziło w czembądz trzystu chorym, aby zajmowało przeznaczone dla nich mieszkania, aby siełankowem i niesiełankowem weseleniem się we dnie, a często w nocy mąciło chorym spokój i prawidłowość kuracyi. Dr Bieliński, stwarzając r. 1873-im zakład nowomiejski, nie miał wcale na myśli urządzenia dla mieszczuchów wesołej letniej wilegiatury, a zapragnął pierwszy u nas w kraju stworzyć wzorowy zakład leczniczy hydropatyczny. Najmilszym dlań gościem — pacjent. Kto w innym celu, niż dla kuracyi do Nowego-Miasta przybywa, niech osiedla się w miasteczku, gdzie mieszkań rozmaitych kilkadziesiąt, poszukawszy pilnie. W ostateczności jest jeszcze sposób dostania się do Marylina: należy przenikliwość doktorską podejść, otrzymać na piśmie regulamin życia i kuracyi i... poddać się bez szemrania i wybiegów wszelkim dietetycznym, higienicznym i kuracyjnym przepisom.

W obrębie zakładu sprawuje dr Bieliński rządy iście



despotyczne, a niezaprzeczenie, bodaj z urzędu tylko, zaszczyt mu ten należy.

Najpierw zatem, jak się rzekło, wszystko, co okrom miasteczka, kościołów i majątności Tyszkiewiczów jest dziś w Nowem-Mieście, on — stworzył. W czasach, kiedy się nikomu u nas nie śniły jeszcze stacye hydropatyczne wiejskie, rzucił na stokach piaszczystych nowomiejskiego płaskowzgórza skromny początkowo, nieduży zakład wodolecznicy. Impreza powiodła się świetnie. Setki osób ze stron blizkich, dalszych i najdalszych zjeżdżały się do Nowego-Miasta, a już w 1877-ym roku liczne grono kuracyuszów z Elizą Orzeszkową na czele dziękowało dr Bielińskiemu zbiorowym pamiątkowym adresem za pomyślnie odbytą w Nowem-Mieście kuracyę. Zakład jął rozrastać się szybko. Stał obszerne »Marylin«, dający kilkuset osobom wygodne pomieszczenie; lazienki lepsze, dogodniejsze otrzymały urządzenie; piaski zdrzewiły się dokoła: zazieleniał do koła zakładu cienisty już dziś park; znalazły się dependencye. Powoli jął dr Bieliński skupywać grunta okoliczne, więc gospodarczy folwark poblizki, więc całe terytoryum «Przytułku», gdzie ma swą gospodarczą fermę, ogród owocowy i warzywny, oraz trochę mieszkań dla swych pacjentów, więc wreszcie spory kawał łąk, ciągnących się od zakładu, doliną, aż do Pilicy. Łąki te przeciął szeroką, wysadzoną drzewami, aleją; w połowie tej wiorstowej niemal promenady postawił mleczarnię, gdzie własnych krów mlekiem raczy swych kuracyjnych gości, na Pilicy zaś urządził rzeczne, bardzo uczęszczane kąpiele. A każdego domku i budynku, rzec śmiało można, własną ręką każdą kładł belkę i cegielkę, a w klombach i alejach, w parku i dokoła zakładu sam własną ręką każde sadził drzewko i krzaczek. Lat dwadzieścia życia, trudów, kłopotów i zabiegów włożył w ukochane dzieło swoje. I jest w tym energicznym, czynnym, pracowitym człowieku, jakby trzech, czterech ludzi w jednej osobie: jest lekarz, jest gospodarz, jest obywatel... Jak-że teraz

wygląda dom, okolica, jakie zwyczaje i obyczaje u gospodarza tego panujące?

Nie przewodnik piszę żaden ani rozprawę dla jakiejś Gazety lekarskiej, jeno feljetonowe wrażenia, których wartość jedyną stanowi — fotograficzną ścisłość i szczerłość. Że zas aparaty migawkowe posiadają dziś nawet gabinetowego formatu klisze, przeto kliszę tę większą na ten raz do aparatu mego wkładam... i... paf! — nie moja wina, że obrazek Nowego-Miasta wypadł mi nieco większym, niż inne.

Stanąwszy w samym sercu hydropatycznego Nowego-Miasta, pod krytą, winem porośniętą, ożywioną przez dzień cały werendą «Marylina», mamy na lewo skrzydło zakładowego gmachu, gdzie mieści się restauracya, hala dla teatralnych i koncertowych występów przygodnych, kuchnia, rezydencya jeneralnego nowomiejskiego restauratora, p. Lindauera, wielka sala jadalna, wspomniana «biblioteka», wreszcie nieco mieszkań gościnnych na piętrze. Na prawo całe drugie skrzydło zajmują wyłącznie mieszkania, porządkowymi numerami opatrzone. Pod werendą, ławkami okoloną, stanowiącą istotny salon wspólny nowomiejskich gości, coś w rodzaju angielskich hotelowych *commercial-room*, jest sklep ze wszystkim, począwszy od wód mineralnych, naturalnych i sztucznych, a kończąc na szwedzkich zapalkach, oryginalnych i krajowych; to t. zw. «bazar»; obok «bazaru» fryzyernia p. Kuczyńskiego, a po drugiej stronie bazaru kancelarya zakładowej administracyi. «Marylin» znajduje się właśnie w fazie gruntownych przebudowywań i rozszerzań, bowiem już, już za szczyłym będzie lada chwila dla zwiększającego się wciąż napływu gości sezonowych.

Front gmachu i werendy wychodzi na tarasowy stok wzgórza; u stóp tarasu, po którym biegną drogi żwirowane po przez kwiatów rabatki — aleja wjazdowa. Przekroczwszy ją, znajdziemy się w parku, założonym przez dra Bielińskiego; tam aleje i alejki rozmaite: «grabowe»,

«chmielowe», tam krokiet, tam kregielnia, tam pawilon dla muzyki, a tu i owdzie kwiatów nieco. Przy parku tuż dom mieszkalny, murowany dra Bielińskiego, wychodzący na aleję frontem, a tyłami na kwiatowy ogródek; nawprost rezydencyi gospodarza — Iazienki (hidropatya i wanny) jednopiętrowe z mieszkaniami w długich facyatkach. W pobliżu, u wspomnianej alei dependencya zakładowa, zwana, dla niewiadomych mi przyczyn, «Szparagarnią», gdzie przeważnie i tradycyjnie lokują się księża, na kuracyę przybyli.

W miasteczku, na górze, nad zakładem, kościół parafialny, na mil kilka widzialny dokoła, oraz w rynku t. tw. «kapucyńskim» klasztor kapucynów, po którego korytarzach snuje się czterech zakonników sędziwych. Pomimo to kościół i klasztor utrzymane we wzorowym porządku, dzięki troskliwej opiece ojca gwardyana. W refektarzu czystość bez zarzutu, ogród starannie utrzymany, a świeże restauracye kościelne prowadzone wybornie. W piwnicy klasztornej spoczywają znakomicie sycone miody, specyał, niestety, dla najbliższego nawet eksportu nie przeznaczony. Ten i ów kuracusz nowomiejski goścień znajduje w klasztornych celach, a na ciszy i spokoju nie zbrakło tam nigdy nikomu. Wywdzięczy się datkiem «na biednych», lub nawet szczerem «Bóg zapłać»... W tymże «kapucyńskim» rynku srodze brudnym, raz tumanami piasku zaniesionym, to znowu po deszczu pełnym wody, jak jezioro, kilka domków do «wynajęcia». Komu ciąży rygor w «Marylinie», tu się lokuje — zazdrościć mu atoli nie należy. Nieustanna rewia pod oknami całej miasteczkowej menażeryi, pełna swobody kąpiel żydziaków w jeziorze na rynku, niewykwintne aromaty miasteczkowych zakamarków, napływające z ulic wychodzących na rynek — nie powiem, aby uroku tym miasteczkowym mieszkaniom dawały.

Szczęściem tuż w pobliżu, o dziesięć minut pieszej drogi — pyszny park hr. Tyszkiewicza, uprzejmie zawsze

dla publiczności otwarty. Drzew moc wielka, aleje wspaniałe, skręty i zakręty po przez parowy malownicze, widoki na całą dolinę Pilicy bardzo piękne. W pośrodku parku pałac, niegdyś rezydencya Małachowskich. Zaczęto go już za rządów hr. Tyszkiewicza restaurować; stanął nowy dach w stylu «odrodzenia», odrodzenie to atoli na dachu się skończyło. Dziw jeszcze, że park dobrze utrzymany w niektórych częściach. Miejscowość to ściśle związana ze wspomnieniami o J. C. W. Wielkim Księciu Konstantym, który tu nieraz gościł i chwile spędził najmiłsze. Pokazują nawet przybyszowi małe wzgórze w parku, wśród pięknej, zacisznej dolinki, gdzie na pamiątkę jednego z pobytów Wielkiego Księcia niegdyś kasztanów kilka zasadzono, a gdzie obecnie wznosi się figura Matki Boskiej. Dziś cisza wielka park zalega, pustkami stoi pałac niegdyś gwarny i ludny — od czasu tylko do czasu jakaś banalna majówka nowomiejskich gości ożywi to piękne, łącie wielkopañskie ustronie.

Zawróćmy napowrót do miasteczka, przetnijmy go wzdłuż, mimo kościoła parafialnego przez inny rynek, gdzie poczta i telegraf się mieszczą, a nie opuszczając płaskowzgorza, znajdziemy się na przeciwległej miasteczka stronie, w t. zw. «Przytułku».

Na końcu miasteczkowej ulicy, już na samem przedmieściu, stoi dworek biały z gankiem kolumnowym, tyłami o ogród cienisty oparty. Na podwórku przed dworkiem gospodarskie wozy i narzędzia; stoi też duża karetka, którą zakład do Warszawy po gości posyła. W drewnianym domku opodal trochę mieszkań dla kuracjuszków. Po tamtej stronie ulicy miasteczkowej, nawprost dworka, ogród owocowo-warzywny ciągnie się aż na sam stok płaskowzgorza. Przystanmy na tym spadzie i rozglądnijmy się po okolicy; a najlepiej wstąpmy na t. z. «Panieńską górkę», bo widok z niej tak piękny! powiedziec szczerze: najpiękniejszy w całym Nowem-Mieście. Krzywdę swym gościom zrobi dr Bieliński, jeśli tu dla nich willi «do wy-

najęcia» nie wystawi. Trudno o «punkt» dogodniejszy i przyjemniejszy dla letniego mieszkania. Rój zakładowych domów i domków, rozrzuconych wśród zieleni drzew na pierwszym planie, dalej łąki nad Pilicą, dalej Pilicy samej szeroka, błyszcząca w słońcu (lub pod światłem księżycowym) wstęga, wijąca się hen w dal na obie strony, dalej za Pilicą lasy — jedno z drugim krajobraz obszerny, malowniczy, przedziwnie swojski w swej piękności.

Ale nietylko dla napawania się rozkosznymi widokami wstąpić radzę na «Panieńską górkę». Przywiązana jest do niej tradycja, nie bez uroku dla wielu, o której następujący rapsod wyśpiewują dodziśdnia wędrowni lirnicy okoliczni. Z «ust ludu» wyjęta ta dziwna opowieść brzmi dosłownie w ten sens:

Spędzała lato w willi, hen,  
Raz mama pięciu córek.  
Dzień w dzień spacerem panny szły  
Na piękny owy wzgórek.

Szły piękne panny codziennie tam  
To z książką, to z robótką,  
Zaś młodzian, piękny gdyby sen,  
Po rzece płynął łódka.

I dziwił się młodzieniec ów,  
W piaszczyste wpatrzon wzgórze,  
Że rośnie na niem kwiatów pięć:  
Dwie lilie i trzy róże!

Pilicą, chyżo pędzi łódź  
A prosto w ona stronę,  
Gdzie miga wciąż sukienek pięć:  
Dwie białe, trzy czerwone...

A że statecznym młodzian był  
I zamiar żywił szczery,  
Na przyszły rok na wzgórek znów  
Szły panny, lecz już — cztery.

I gdy przykładnie siedzą tam  
Z robótką, z książką w dłoni,  
U atóp ich szosa, jedzie... ktoś!  
Pannom się grzecznie skłoni.

I na rok przyszyły oto, ach!  
Na wzgórk w Nowem-Mieście,  
Siedzą już tylko panny — trzy...  
Siostrzyczki, gdzież jesteście?

Siostrzyczki w gniazdkach siedzą już  
Wygodnie, słodko, błogo...  
Patrzą ze wzgóрка panny trzy:  
Słup kurzu wali drogą.

Warszawska mknie karetą tam  
W miasteczko wprost zaulkiem;  
Podróżnych pięknych, młodych trzech  
Wysiada przed — Przytulkiem.

Do wzgóрка zaś od dwórka bram  
Drożynka wiedzie krótka...  
W majowy wieczór poszły w ką  
I książka i robótka.

Na niebie gwiazdek kilka drży,  
Wkrąg ściele się zmrok szary,  
Po wzgórk chodzą wszere i wzdłuż  
Trzy zakochane pary.

\* \* \*

Z historyi tej powstały wnet  
Powieści i legendy.  
Bezkarne żadna panna już  
Spacerem nie szła tędy.

Na wzgórk niech no stanie tym  
Czy z książką, czy z robótką,  
Wnet pędzi ku niej przyszyły mąż  
Bądź wózkim, bądź też łódką.

Szczęśliwych małżeństw ze sto par  
W świat sławę wzgóрка niesie,  
Zaś nowomiejski wzgórek sam  
»Panieńską górką« zwie się.

Myliłby się atoli ktoby sądził, że jedyne zajęcie nowomiejskiego towarzystwa stanowi chodzenie na «Panieńską górkę», pomimo wszelkich jej powabów.

Już o szóstej rano zaczynają uwijać się po korytarzach Marylina kąpielowi i kąpielowe. Szczęśliw kogo zimne ich prześcieradło nie zbudziło, kto nie syknął pod mokrym okładem, spadającym na rozkosznie łóżkiem rozgrzanego! Ruch w zakładzie. Do damskich pokoiów kołata niestrudzona Kędzierska, najzasłużeńsza i najdawniejsza kąpielowa nowomiejska.

— Ach! biedactwo, jak się to zżyma! — mówi tkliwie każdej pacjentce, ale jednej minuty okładu nie daje. — Co? za długo męczę? A jakże tam stoi napisane w pasporciku?

I Kędzierska poważnie «pasporcik» rewiduje. Pasporcik? Co to? A to książeczka, w którą każdego pacyenta i pacjentkę zaopatruje zaraz na wstępie kuracyi dr Bieliński. W książeczce tej stoi wyraźnie zapisane: jakie cierpienie, jaką ma być godzina w godzinę kuracya, czego używać, a czego się wystrzegać, co jeść, jak długo spać, nawet... ręczyć nie będę, ale zdaje mi się — wymienia też pasporcik liczbę robaków winta, turów walca. Też ręczyć nie będę, ale zdaje mi się, że w pasporciku pewnego młodzieńca wyczytałem wyraźnie: «30-go sierpnia wziąć ostatnią duszę i «przepaskę»; w połowie września ożenić się!» Panieniczki strzegą bacznie pasporcików swoich przed niedyskretnym okiem, a jednak domyślam się tam nie jednego «punktu» opiewającego: «tego to a tego miesiąca wyjść za mąż». Szkoda, że nie dodano: «wziąć ślub w obrębie zakładu», coby i pacjentce i współtowarzyszom kuracyjnym przedziwnie urozmaiciło pobyt w Nowem-Mieście. Pasporcik rzeczony każdy pacjent obowiązany jest nosić przy sobie, a zresztą i wciąż doń zaziera, mając każdą niemal dnia godzinę specjalnemu leczniczemu «zabiegowi» poświęconą.

Pod werendą już osób sporo. W «bazarze» stoi bateria cała przenajrozmaitszych butelek, kipi aparacik do ogrzewania wód mineralnych. Prym trzyma «Rakoczy». Rozpoczęło się jeneralne picie wód. Raz po raz pod we-

rendę przybywa ktoś z kąpeli wracający, lub ten, co za-  
spiał nieco, lub ów, co się na wczesną mszę do kapucynów  
wybrał, lub z elegantów który, co się na *forum* nie golony  
nie śmiał pokazać. Pijącym wody, przechadzającym się,  
gawędzącym dotrzymuje towarzystwa dwóch doktorów;  
konsultacya na miejscu. Ten, ów zaziera do fryzyerni.  
By się golić, ostrzydz? Bynajmniej. Aby się przeważyć.  
Wczoraj 158 funtów — dziś 161! Rozkosz!

— A pani ile wczoraj ważyła?

Dama spuszcza skromnie oczęta i przyznaje się do...  
213 funtów. Wysmukły, w wiszącym jak na kolku garniturze  
jegomość... zielenieje z zazdrości. Kilku panów już za-  
siadło w rogu werendy i wypoczywa po «picciu» nad —  
Kuryerem. Pojawiają się coraz gęściej damy. Niby to  
jedna drugiej nie zna wcale, a wszystkie znają się dosko-  
nale. Wczorajsze ploteczki raz jeszcze wychodzą na stół.  
Po szklance «Kissingen» zakąsuje się ploteczką, jak pier-  
niczkiem — doktor pozwała.

A oto i sam doktor. Wszystko ciśnie się do niego, on  
zaś poważnie zasiada na której z ławek. W jednej chwili  
ławka zamienia się w konfesyonał. Pacjent po prawicy,  
pacjentka po lewicy i z nocy przebytej rozpoczyna się  
szczegółowa spowiedź. Pacjent dwa razy się przebudził;  
pacjentka czuła jakieś dziwne ugniatanie w prawym boku  
i t. d. i t. d.; doktor słucha, to na tę to na ową stronę się  
przechyla, zmieniają się konsultanci, a on trwa i trwa  
jeden dla wszystkich. Czasem przerwie konsultacyę, szyb-  
kim ruchem wychyli się na werendę:

— Panie Adolfie! pan znowu na czczo pali!

I p. Adolf rumieni się po sam siwiejący czub i jak  
żak na uczynku złapany, papieros w trawę rzuca.

W tej przedśniadaniowej dobie, pod werendą, podczas  
rannej muzyki układają się też wśród towarzystwa wszystkie  
projekty zabaw wspólnych, majówek i wycieczek. Więc  
ktoś proponuje jazdę do św. Rocha po szosie rawskiej, kto  
inny głosuje za wycieczką «z muzyką» na t. zw. »dębową



górkę» na tamtą stronę Pilicy, przeważa atoli projekt urządzenia wielkiej majówki na — Kowalówce. Chodzi już teraz o to, aby: 1) każdą damę po kolei, a zarazem jednocześnie, broń Boże nie jedną wcześniej, drugą później, zaprosić; 2) odnaleźć p. Jungra, bo bez niego «żadnego nie będzie porządku»; 3) poddać projekt sankcyi najwyższej, t. j. doktorowi Bielińskiemu do zatwierdzenia.

Chwalić Boga, wszystko poszło jak z płatka. Dr Bieliński sam gorąco za projektem się oświadczył; p. Junger się znalazł i wziął na siebie urządzenie imprezy; zaś na dam pięćdziesiąt tylko dwadzieścia obraziło się za to, że je o pięć minut później zaproszono, niż trzydzieści poprzednich. Będzie tedy majówka! Nawet pan pułkownik zapowiedział trzem swoim partnerom wintowym, że wint dzisiejszy poobiedni będzie miał, jak obszył, robrów tylko trzy, bo... «Panowie wiecie, dziś majówka!»

Podczas gdy część towarzystwa śniadaniuje w sali jadalnej, przy szeregiem ustawionych stołach, podczas gdy kilkunastu panów odbywa w sąsiedniej hali ćwiczenia gimnastyczne pod przewodem p. Kuczyńskiego, podczas gdy panie szu, szu, szu kładą sobie w uszka najświeższe wiadomości i spostrzeżenia — my, zajrzyjmy do łazienek.

Urządzenie nie tak może wykwintne, jak np. w Nałęczowie, ale — o ile wolno mi sądzić — bardzo staranne, a przede wszystkim czystość wszędzie wzorowa. W środkowej sali — basen. Właśnie czarnooki młodzieniec stoi tam pod fontannami natrysków; opodal na kanapce przewała się w potężnym «kocu» pan radzca; w innej stronie syka ks. proboszcz pod piekielnie zimną duszą spadającą mu na nogi, a po przez gwar rozmów i nawoływań i śmiechów kilkunastu i rozbierających się i rozebranych i ubierających się, przebija się miarowe liczenie kąpielników: osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia raz!.. To liczenie minut, jak długo ta lub owa manifestacya hydropatyczna trwać powinna. Na prawo i na lewo korytarze, na które wychodzą wannowe gabinety. Brał kto

z państwa wannę z «bałwanami morskimi»? Nie? To radzę spróbować jej w Nowem-Mieście. Po wannie szklanka zimnej wody prosto ze źródła i marsz na higieniczny spacer aleją nad Pilicę. Tam w alei raz jeszcze nie spotyka się, ale wymija całe towarzystwo. Jeneralne chodzenie trwa do obiadu.

Obiad od 12-ej mniej więcej do 2-ej. Popisowa to chwila w dniu — p. Lindauera. Gwar w sali, ruch, czasem tłok — a on od stołu do stołu pomyka, tu się przysiądzie, tu ściśnie kogo za ręce obie, tu zagada, tu przed piękną młodą damą tylko oczy w górę wzniesie.

— Paniusiu, droga paniusiu! Co? kurczątko bez jarzynki? Czy być może?

I namawia i zachęca, a tak przykonywająco a tak subtelnie, jakby spożycie tej jarzynki przez pacjentkę było dla niego samego kwestyą życia i śmierci.

Dla łagodnych i ostrych psychopatów ma p. Lindauer wyrozumiałość i słodycz bez granic. Niewolno któremu pacjentowi (pasporciki wszystkie zna p. Lindauer doskonale) dwóch mięs spożywać przy obiedzie? P. Lindauer rozdzieli mu porcyę na dwie części i «paniusiowi» wytłumaczy dokumentalnie, że «dwa» mięsa mu podał. Niewolno piwa?

— Jeszcze w żadnym roku tak złego piwa nie miałem. Pić nie warto!

P. Lindauer jest między młotem a kowadłem: między doktorem pilnującym ścisłej higieniczności obiadów, a pacjentami sarkającymi właśnie na tę higieniczność. I daje sobie jednak radę. Osoba każda, bez różnicy płci, płaci p. Lindauerowi jednego rubla dziennie za całe utrzymanie, t. j. za śniadanie (herbata, kawa lub kakao z mlekiem, śmietanką, bułkami i masłem), za obiad z trzech lub czterech dań stosownie do przepisu lekarza, za podwieczorek i wieczerzę. W tę samą opłatę wchodzi codziennie zmienianie dowolne *menu* obiadowego, porządku godzin, itp., wchodzą zamiany kompotów na jarzynki, kotletów na pie-

czeń, pieczeni na kotlety... Paniusiu! P. Lindauer rozmiążdża chustki na uznojonem czole, przekłada, błaga, tłumaczy, wreszcie ulega i... i gdy sala się opróżni, umęczony, rozbity, zalany potem... przysiadła się w sąsiednim gabinecie do fortepianu i na wypoczynek, ku rozweseleniu i uciesze dręczących go psychopatek łagodnych nuci niebywałym barytonem najtkliwsze piosenki:

Od Tykicza, od Tykicza  
Kukuleczka przyleciała...

A jeżeli p. Lindauerowi głos czasami nie dopisze, natomiast dopisuje mu zawsze kuchnia. Restauracja jego jest istotną «restauracją»... słabych lub osłabionych żołądków. Sprawdziłem to sam na sobie, więc z czystym sumieniem to piszę.

Po obiedzie... a! oto dwóch «węgrów» przywędrowało pod werendę. Więc rzucono domina, rzucono wszelkie w poufnych kółkach «cenzurowania» i skupiło się wszystko dokoła rozłożonych skrzyń. Tam w parku grają w krokieta; kule huczą w kregielni; ktoś organizuje jakąś loteryę na rzecz któregoś z niezamożnych pacjentów. Kilka osób wybrało się łódką, w górę Pilicy, oglądać ładne wybrzeża; część towarzystwa poszła do parku; kilku panów tnie wincika «kuracyjnego» po groszu punkt pisany — ot, byle nie zasnąć po obiedzie, bo niewolno.

Godzina 5-ta; panowie stanowiący komitet zabaw dają z pod werendy sygnał do wymarszu. Już niektóre partye towarzystwa puściły się ku Kowalówce przodem; wiele osób czeka na powozy i wózki, bo aczkolwiek arena majówkowa niedaleko, jednak szosa srodze piaszczysta, a osłabionych na nogi i nóżki nigdy nie brak w Marylinie. Muzyka wojskowa dmie przeraźliwie w tromby, tarasem z pod werendy spuszcza się grupami towarzystwo i — pojechali, poszli wszyscy. Kilku księży maruderów nadciąga w aryergardzie, gwarząc głośno, podnosząc na błotkach garścią sutanny.

Kowalówka to wzgórze sosną porosnięte, opodal parku, podnoszące się wcale stromo — od zakładu półtorej wiorsty drogi mniej więcej. Na wzgórzu pałac piękny, ocieniony; w głębi jeszcze nieduża wyniosłość, na szczycie której rozsypuje się muzyka, tworząc malowniczą wśród zieleni grupę białych mundurów. Towarzystwo zasiada na ławach, stołkach, krzeselkach, na dywanach rzuconych na ziemię; tam duży stół nakryty przyborami herbatniami i kolacyjnymi, tam bucha ognisko osłonięte dużym... parawanem: to warsztat kuchenny, obozowy, p. Lindauera, który sam, z jeneralnym sztabem swej restauracyi przeniósł się na cały wieczór na Kowalówkę. Tam kilku panów zajętych ustawianiem lunety na najdalsze punkty szerokiego horyzontu, przeświecającego się przez drzewa; tam pną się pod górę panieneczki, eskortowane przez kawaleryę nowomiejską; tam starszych pań kilka roztacza jedna przed drugą frendzlowane peleryny i sukien obfite kontrafałdy; tam miga brunatny habit ks. gwardyana i rozlega się szeroki śmiech proboszcza. Muzyka zagrzmiała pobudką kontredansa. Szykują się na gładkim od igieł sosnowych placu pary taneczne. Widok malowniczy te sukienki niebieskie, białe, kremowe, malinowe, fruwające obok szarych marynarek i czarnych tużurków na tle sielskiego pejzażu! Cukry i lody nie należą do programu majówek na Kowalówce. Panie natomiast mają zawsze w zapasie, w miniaturowych torebkach, — karmelki i pastylki... miętowe.

— Panie rejencie, służę panu pastylką!

— Stokrotnie dziękuję, panno Zenobio, ale czy nie będzie za dużo?

— Gdzieżby tam! Nie zaszkodzi.

I białe papierki od karmelków, jak splotki śnieżne, lecą wkoło. Delikatna — zdrowa! — woń mięty unosi się nad tanecznem kołem. W XVIII-ym wieku częstowano siebie wzajemnie — tabaką; w Nowem-Mieście, gdzie karlsbadzka i maryenbadzka woda płyną strumieniem, tabakę

zastąpiły karmelki i pastylki... miętowe. Wiernym tabace pozostał tylko ks. gwardyan.

— Tsz! tsz! tsz! — rozlega się raz po raz trzykrotne kichnięcie.

— Na zdrowie!

— Dziękuję.

A teraz mazur. To pod górę, to na dół, to po piaseczku, to przez wądolki, a najczęściej pod górę. Kura-cyjny, iście maryenbadzki mazur! Transpiracya pyszna, apetyt piramidalny.

To też, o zachodzącym słońcu ciśnie się wszystko do kolacyjnego stołu. Wybryków żadnych. Prym trzyma kwaśne mleko, a z mięs — *beefsteak*. Chmara wioskowych dzieciaków okrąża ognisko p. Lindauera, wrywając sobie rzucane w tłum bułeczki... Gadu, gadu, wdychając w siebie pyszne powietrze — oto i zmierzch. Czas myśleć o odwrocie.

Znowu grupami, na kółka i kółeczka rozbite wraca to wszystko przy dźwiękach muzyki. Czas jakiś po korytarzach Marylina szeleszcza suknie, dolatują ciche na palcach stąpanięcia... skrzypnęły zamykane drzwi jedne, drugie, dziesiąte — i w nocną, głuchą ciszę zapadł zakład cały. Powoli, miarowo, głośno wśród absolutnej ciszy wydzwonił gdzieś zegar godzinę... 10-tą.

Nazajutrz do samego południa, czasem i później sypią się i sypią pod werendą komentarze do wczorajszej majówki. Szczęściem wieść o reunionie niedzielnym prze-rwała potok wymowy panny Zenobii, Hortensyi, Ernestyny i Kunegundy... Reunion odbywa się w sali jadalnej po usunięciu z niej stołów, zapelniających całą salę. Bierze w reunionie udział nieobfity kwiat młodzieży, wśród której nie brak nawet wonnych, ale melancholiczne sprawiających wrażenie — heliotropów. Zresztą, ktoby tam zbliżka bardzo się przyglądał! Dość, że tancerz — i basta. Zabawa kończy się nieodmiennie i najpóźniej o 11-tej. Wymaga tego spokój sąsiadujących z sobą lokatorów; zresztą taniec

do kuracyjnego programu w Nowem-Mieście nie należy wcale: zastępuje go — szwedzka gimnastyka.

Po reunione: trzy jaja na mięko i szklanka herbaty z bułeczką, naturalnie higienicznie czerstwą. A potem — do łóżka, broń Boże, nie bawiąc się w marzenia o niebieskich zamglonych oczach sentymentalno-alabastrowej panny Stanisławy, lub o miętowych pastylkach panny Zenobii.

Nie zapomnieć butów przed drzwiami na korytarz wystawić!

1891.





**FELJETONY.**





## U PROGU „SEZONU“.

Wracamy my najpierwsi do miasta, my, jaskółki zimowego sezonu, kronikarze towarzyskiego życia, fejetoniści o lekkim piórze...

Jak owe dojrzałe kasztany na wilgotny piasek alei Saskiego ogrodu, tak spadamy w budzący się z letniego uspienia ruch miejski, przecieramy szkiełka binokli, rozglądamy się wokoło i — o brzasku chmurnego, dżdżystego wrześniowego dnia pojawiajemy się na peronie dworca kolejowego, aby was powitać, o turystki, letniczki, kuracyszki nasze najmilsze!

Z trzaskiem i hałasem otwierają się drzwiczki wagonowych przedziałów, setki nożek migając po stopniach, błyskają setki jaskrawych pledów, w które przezornie otuliłyście się, panie; piętrzą się przed wami, wkoło was, za wami pakunki, pakuneczki, pudełka, pudełeczka; tłum, gwar, nawoływania, wykrzykniki...

I przetarłszy oczęta, snem nagle przerwany zamglone jeszcze, podałyście nam rączkę, pytając:

— Panie, a cóż tam u nas słytać w Warszawie?

A my, wdzięcznie i radośnie uśmiechnięci, odbierając wam z rąk tłumoczki podrózne, odpowiadamy mniej więcej w ten sens:

My właśnie, o panie, w syrenim dziś grodzie  
Zerwane przynosim wam kwiaty!

I sypiem jak z rogu obfitości: astry ostatnich letnich ploteczek, skromne fijołki zwykłych wiadomostek, nieśmiertelniki o kanalizacyi, pęk kosztownych storczyków o przebudowie teatru, herbaciane róże o owym prawdziwym chińczyku, co go *gratis* pokazują na Krakowskiem-Przedmieściu, smętne nenufary o ostatnich popisach wiosłarskiego Towarzystwa, pomarańczowe kwiaty o projektowanych zaręczynach w *high life*'ie, kilka pięknych, nowych odmian azalii o wesołych «premierach» w Małym teatrze, zakopańskich nieco szarotek, wlejskich nieco bławatków...

Co słyhać w Warszawie? — O pani, ja też byłem Farysem! I ja też przez miesiący parę byłem na przemiany turystą, letnikiem, kuracyuszem! I kiedym wrócił oto, zastałem tu mniej zmian, niż.. w sercu kobiety po zabiciu motyla.

Nawet «Płoszowskiego» i «Anielkę» zastałem akurat w tej samej, co przed dwoma miesiącami fазie miłosnej tragedyi, Płoszowskiego zawsze bez dogmatu i bez nadziei pozyskania jej serca, Anielkę zaś zawsze z dogmatyczną wiarą w konieczność jaknajdłuższego chadzania drogą cnoty i obowiązku.

Natomiast u stóp Gubałówki w Zakopanem, grając w winta z radcą sąsiadem moim warszawskim z pierwszego piętra kamienicy, w której stale mieszkam, z moim stałym lekarzem warszawskim i z redaktorem jednej z gazet warszawskich — miałem przez dwa tygodnie złudzenie, że się wciąż jeszcze pod werendą Lourse'a znajduję. W całym «góralskim» domku, w którym się ulokowałem, nie było ani jednej twarzy, którejbym setki razy nie oglądał w warszawskich teatrach, na warszawskich balach, w Saskim ogrodzie, na warszawskich ulicach; damy zjadały warszawskie cukierki, panowie czytali warszawskie Kuryery, w którąś zaś niedzielę urządzono na poczekaniu małą loteryjkę fantową na korzyść warszawskiego

Towarzystwa dobroczynności, na którą specjalnie przybyło z Warszawy na rowerach od Bruna dwóch członków warszawskiego Towarzystwa cyklistów.

Tego było mi już zawiele i — pojechałem do Maryenbadu. W parę godzin po przyjeździe spotkałem się u fryzjera z dobrym moim warszawskim znajomym, który namówił mnie, aby pojechać z nim razem do Francensbadu dla odwiedzenia naszych wspólnych znajomych państwa X, co tylko tam z Warszawy przybyłych.

— Stęskniłeś się pan pewno — powiada — do wiadomości z Warszawy. No, to będziesz ich miał teraz kupe odrazu i to najświeższych!

Pojechaliśmy. Przyjęto nas z prawdziwą gościnnością i w formie delikatnej niespodzianki podano nam na obiad barszcz wyborny, zrazy z kaszą i jeszcze jakichś parę potraw, znanych mi doskonale w Warszawie z widzenia, ale których tam nigdy nie dotykam.

Za powrotem do Maryenbadu przyjaciel mój zwierzył się z zamiarem pogodzenia mię z jedną z najantypatyczniejszych dla mnie osobistości warszawskich, bawiącą właśnie tamże na kuracyi.

— Nie odstąpię cię na krok — zagroził — nim się nie pogodzicie. Wygadacie się, no, a potem zgoda! co?

Nazajutrz już mnie nie było w Maryenbadzie. Nie zatrzymując się nigdzie, przybyłem do Ostendy mniej więcej tak coś o trzeciej po północy. Jadę do jednego hotelu — pełny po brzegi, jadę do drugiego — to samo; objechałem ich z pół tuzina — wszędzie ta sama odpowiedź: *Pas de chambre!* Nareszcie zły i zmęczony, zajęchawszy przed «Lion d'or», postanowiłem nie ruszyć się z przed drzwi, dopóki mi gdzie bądź wyspać się nie dadzą.

Nacieram na starszego garsona — zaklina się, że ani kąta swobodnego niema. Pojawia się sam właściciel hotelu.

— Więc pan istotnie nie masz żadnego wolnego pokoju?

— Niestety! Ale jeżeli pan chce zamówić pokój dla siebie na przyszły sezon, radziłbym teraz to uczynić.

— Na rok przyszły?!

— Właśnie. O! to akurat pora; zimą może już być zapóźno.

— Widzę, to widzę! Ale tymczasem co mi pan dać możesz?

— Wszystkie schody zajęte; mogę panu służyć jedynym rogiem bilardu.

— Wolałbym cały bilard.

— Resztę bilardu zajęły właśnie dwie rodziny angielskie.

— Masz pan może jakie krzesło?

— Mam... ostatnie. Uprzedzić jednak muszę, że cięży na nim mały serwitut... wielmożnego pana budzonoby często.

— Idź pan do dyabła! A bufet w restauracji?

— Odstąpiliśmy go przed chwilą jakiemuś młodemu małżeństwu. Ale... zaczekaj pan... zdaje mi się, że da się wszystko urządzić. W pokoiku na trzecim piętrze mieszka jakiś pan, co ma u siebie sofę. To jedyny u nas, który nie ma jeszcze sublokatora. Rzecz z góry wymówiona; nie żenuj się pan!

Wdrapuję się na trzeci piętro; garson otwiera drzwi, zapala świecę, wchodzi. Jegomość, śpiący na łóżku, budzi się. Rzucamy się w objęcia!

Przez dwa dni byłem mimowolnym sublokatorem — kogo? nie powiem, dość że jednej z najpopularniejszych znakomitości warszawskich.

Na trzeci dzień, musiałem być na wielkim obiedzie, który «mistrzowi» wyprawili bawiący w Ostendzie znajomi. Powiedziałem mówkę.

Wróciliśmy z uczty razem do hotelu prawie już o świcie. Tegoż dnia o południu wyjechałem z Ostendy z zapasem łaskawie mi użyczonych «na drogę» kilku ostatnich numerów Gazety warszawskiej i dwiema paczkami papierosów warszawskich Polakiewicza.

Wróciwszy do Warszawy, poszedłem prosto na — operetkę francuską.

Andriolli, wybierający się konno w nadniemeńskie okolice, namawiał mię, abym mu towarzyszył.

— Nie uwierzysz pan — wołał — co to za rozkosz jechać sobie truchcikiem od dworu do dworu, od gaju do gaju, od rzeczki do rzeczki, to o wschodzie, to o zachodzie słońca! Raz wraz zmienia się przed oczyma krajobraz, witają cię znajomi, popasasz *à la belle étoile* gdzieś na leśnej polance... Hej, niema to jak tygodni parę spędzić na kulbace *antiquo modo!*

Wy tłumaczyłem mu, iż inklinacyi nie mam żadnej do tak fatygującego sportu. Najsympatyczniejszy z ilustratorów pokiwał litośnie głową nademną, na klacz swoją «nadmierzalną» skoczył i — pojechał. Za nim pognął na lichszym, lecz równie wytrzymałym rumaku chłopak do posługi. Wesolo pod końskimi kopytami zadudnił most na Wiśle; — tuman kurzu, wirujący na Zjeździe, skrył śmiałego jeźdźca przed memi oczyma... *A rivederci, caro amico!*

«Do dyabła! — pisał Fałat z głębi nieświezkich lasów — obiecałeś mi pan odwiedzić w mojej puszczy; poleszucy moi cały miód już zebrali leśny, niedźwiedzie na zimowe już ciągną leże, łosie wszystkie spłoszone w okolicy, a pana niema i niema!» — «Kochany panie Julianie, — odpisałem mu odwrotną pocztą — nie mogę złożyć panu wizyty w poleskiej puszczy, albowiem na mojej opiece zostawiła tu pani Zofia, najpiękniejsza z pięknych, wyjeżdżając do Francensbadu, trzynaście doniczek kwiatowych w pustem mieszkaniu. Co rano podlewam je starannie, a co wieczór dymem tytuniowym okurzam, aby meszka nie zakradła się do świeżych pędów. Pomyśl pan tylko, coby się stało z pięcioma fikusami, dwoma heliotropami, kaktusem, pelargonią, dwoma okazami fiołków alpejskich i anemiczną latanią, gdybym ja teraz z panem czyhał w miesięczną noc na łosie, przemykające się z puszczy do puszczy, lub przy ogniu leśnych obozowisk

studyował rozmaitość poleskich typów!... Polecając kochanego pana pamięci ogród nasz zoologiczny, pozostaje i t. d.

Ale gdy panna Julia, wracająca z ciotką i kuzynką z zagranicy przez Warszawę, zaproponowała mi wy-cieczkę do nich na wieś — nie wytrzymałem i... poje-chaliśmy.

Znasz li ów cień,  
Lipowej cień altany?  
Hamak ów znasz  
Łagodnie rozbujany?  
Szum cichy wierzb,  
Co w nurtach rzeki mokną?  
Skoszonych traw  
Płynącą woń w twe okno?

Znasz li ów czar  
W miłośnej, srogiej męce?  
*Prière d'une Vierge*  
Na cztery grana ręce?  
Spacery te  
O zmierzchu w las nad rzeką?  
Słowiczy śpiew  
I chłodne, kwaśne mleko?

Gdy ranny brzask  
W okienko twe uderzy,  
Ja rzucam w nie  
Pęk polnych kwiatów świeży,  
Ty w kwiaty te  
Przystrajasz się w południe...  
Ach, powiedz mi,  
Nie było to przecudnie!

A jednak oto, patrz pani, porzuciłem ten sielski Eden, tklive rozmowy z panną Julią sam na sam w ganku, owiniętym szczelnie winogradem, spacery i «majówki», *dolce far niente* w lipowej altanie i wyprawy na raki, wspólne czytanie w skwarne poobiedzie ostatniej powieści Maupassant'a i samotne dumanie rankiem u okna, wychodzącego na sady... Porzuciłem to wszystko, aby znalazł się ktoś przecie w mieście kompetentny dla po-

dziwiania twej najświeższej sukni, przywiezionej z Trouville lub Ischlu, dla powiedzenia ci, pani, że świetnie po kuracyi wyglądasz, dla towarzyszenia ci do pełnych jesiennej melancholii Łazienek, dla uprzyjemnienia ci chwilą rozmowy co sobotniej wlokących się jeszcze ociężałe nieco pierwszych dni sezonu.

Przyjdą potem rauty adwentowe i będziemy wspólnie lustrowali tualety dam i manewra flirtujących panów, będziemy słuchali piosenek Tostiego lub Dentza, będziemy narzekać na «wint» nieznośny i wzdychać do powrotu wersalskiej galanteryi, będziemy dzielili się wrażeniami ostatniej chwili: pani wygodnie w miękki fotel zasunięta, ja tuż przy niej na nieznośnie niewygodnym taborecie, z klakiem w jednej ręce, a filiżanką herbaty w drugiej... Na koncercie też się spotkamy, w sali reduutowej lub ratuszu; nie opuścimy ani jednej premiery (pani za każdym razem pozwoli mi złożyć jej w łoży antraktową wizytę?); na *five o'clock thee* przegryzać będziemy *petitfour'y* i popijać czekoladę, nie zapominając nigdy o przygryzieniu delikatnem naszych wspólnych znajomych; chodzić będziemy przykładownie na odczyty osad rolnych; na «wencie» lub «bazarze» dobroczynnym pani mię we «własnym sklepie» częstować będzie cukierkami; na balach, podczas gdy wir walca unosić panią będzie po sali lub flirt kadrylowy całą jej uwagę zaprzątnie, ja na karnecie ze słoniowej kości (imieninowy tkliwy upominek pani) lekko rylcem kronikarza wszystko to sobie zaznaczę, o czym będziemy nazajutrz z panią rozmawiali; potem przyjdą wyścigi, podczas których ujrysz mię pani u drzwiczek swego «lando», w waterproofie, z lornetką przewieszoną przez ramię, zakładającego się z tobą na zabój, rzucającego ostatnie okruchy iluzji na wspaniały grzbiet «Rob-Roy'a» lub «Pentezilei»; a potem — potem nastąpią *fêtes champêtres à Jabłonna*, pikniki za miastem, wycieczki i — i znowu nowy martwy sezon, nowa paromiesięczna rozłąka...

A tymczasem, gdy już dziś spóźniona pora na dłuż-



szą pogawędkę, opowiem pani tylko najświeższy rys charakterystyczny obyczajów... angielskich dla otuchy matek pańien na wydaniu, i ojców, czuwających nad losem swych córek. U źródła czerpię tę wiadomość, powołując się na kompetencyę... powiedzmy... *Pearsons Weekly*.

Otóż tedy, lat parę temu, pewien zamożny obywatel londyński radzi się przyjaciela swego w kwestyi nader delikatnej. Ma on córkę, piękną, wykształconą, dobrą, jak anioł, która postanowiła, wbrew woli całej rodziny, wyjść za mąż za pewnego pana, utracjusza, nic dobrego, pędziwiatra, polującego niemal jawnie na pokąźny jej posąg. Przyjaciel, wysłuchawszy słusznych lamentacyj stroskanego ojca, i pomyślawszy dobrą chwilę, rzecze mu:

— Mam, czego ci potrzeba! Córka twoja zbawiona. Jutro przyprowadzam do was mego dobrego znajomego pana X., to bardzo ładny chłopiec, z najlepszego świata, silnie podrójnowany majątkowo, prawie bez środków do życia. On się będzie do córki twej zalecał.

Stroskany ojciec omal nie spadł z krzesła z oburzenia i podziwu.

— Będzie się on zalecał do twej córki — ciągnął dalej spokojnie przyjaciel — i doprowadzi do tego, że ona go pokocha. Wtedy córkę swoją wywieziesz gdziebądź na ład stały, do Szwajcaryi, do Nizzy... Gdy wróci z podróży, nie będzie już pamiętała o pierwszym, ani o drugim aspirancie, ale pokocha — trzeciego, który zostanie jej mężem. Naturalnie waszą jest rzeczą postarać się, aby ów trzeci zjawił się w porę.

— Bardzo pięknie — rzecze ojciec, silnie zaniepokojony — ale któż mi zaręczy, że ów przyjaciel twój nie zechce pracować dla... własnego interesu?

— Ja ci zaręczam. Znam go; to chłopak bardzo trzeźwy, chłodny i silnie interesowany. Hojnym tylko trzeba być dla niego.

Ojciec pomyślał chwilę.

— Zgoda — rzecze. — Przyprowadź go jutro i po-

wiedz mu, że w dniu, kiedy córka moja siądzie na statek odpływający do Calais, dostanie 100 funtów sterlingów.

Piękna miss z początku chłodno bardzo przyjmowała zabiegi nowego konkurenta, ale był to młodzieniec bez zarzutu, przystojny, zręczny, tkliwy... słowem, rychło, czas w jego towarzystwie zaczął jej niezmiernie szybko upływać. Rzecz prosta, dom cały i rodzina sekundowały panu X. tak zapobiegliwie, jak przeszkadzały dotąd usilnie jego poprzednikowi. Słowem, w miesiąc potem, panna w towarzystwie ojca odpływała z Dovru po najczulszej scenie ze swym ukochanym, obiecując mu pisać co wtorek i co piątek.

Ale w podróży niezawsze listy piszą się regularnie.. potem wcale się nie piszą...

Po powrocie do Anglii, w rok potem, piękna mis poznała trzeciego młodzieńca i przekonała się, że jakby stworzony właśnie na jej męża. Ze ślubem nie zwlekano. Wszyscy byli zadowoleni, a najbardziej zadowolonym był ów «podstawiony» aspirant, delectujący się sumiennie zarobionemi stu funtami.

Widząc, iż niezły to interes, owo zwracanie panien z błędnej drogi, jał raz jeszcze próbować szczęścia w tymże zawodzie i — wybawił od fatalnego mezaliansu bogatą dziedziczkę. Zachęciło go to jeszcze bardziej do dalszych prób. Powoli doszedł do poważnej fortuny, zawsze w psychologicznym momencie usuwając się na stronę dyskretnie i zostawiając swobodne miejsce «rzeczywistemu» pretendentowi. Obecnie właśnie pracuje nad odsadzeniem od znanej w stolicy milionerki jej... własnego ogrodnika, w którym ta płocho panna upodobała sobie. Zadanie niezmiernie ciężkie, to też pan X. obliczając ściśle, ma już nadzieję po tym ostatnim tryumfie odpocząć na laurach i żyć już tylko z poważnej renty, którą mu ostatnia kampania należyście zaokrągli.

Ale jest-że gdziebądź zakątek świata bez walki o byt? Jest-że gdziebądź zawód — bez konkurencyi?

Przykład pana X. zelektryzował wielu posiadających odpowiednie kwalifikacje młodzieńców. Dziś takich «konkurentów z zawodu» istnieje już w Anglii setka, może dwie — a każdy z nich ma zajęcia wyżej głowy.

Tacy nawet panowie mają już specjalną nazwę. Taki konkurent, czyli też kochanek zawodowy zwie się po angielsku — *professional lover*, a że cytuję ten techniczny wyraz w oryginale, dowód to jeszcze jeden, że tej historii sam nie wymyślił, jeno świętą opowiadam prawdę...

A teraz, pani, skończmy na dziś pogawędkę i — zapalmy ogień na kominku, bo deszcz pryska już w okna z pochmurnego nieba i wiatr chłodny przez szpary do pokoju się wślizga.

Tak, tak — siedzieć już teraz będziemy w domu i aż do przyszłej wiosny nie ruszymy się już nigdzie z Warszawy, ani nad włoskie jeziora, ani w szwajcarskie góry, ani nad francuski Atlantyk, ani w sielskie nadwiślańskie ustronia.

Nous n'irons plus aux bois,  
Les lauriers sont coupés...

jak powiada staroświecka, melancholiczna piosenka francuska, która mi zawsze staje w pamięci, ilekroć spojrzę na wędniejące astry na grzędach i zamierającą w sercach miłość.

1885.

## JWIELMOŻNA FILANTROPIA.

---

Pamiętam, jak dziś to dyskretne pukanie we drzwi mego studenckiego mieszkanka, dwakroć na tydzień, zawsze tegoż samego dnia, zawsze o jednej porze...

— Proszę wejść!

— Niech będzie pochwalony...

W ramie drzwi — o szarym zmroku zazwyczaj to było — zarysowywały się dwie postacie, zamajaczały dwa duże, o szerokich skrzydłach, białe kornety, dwie białe linie sznurków zakonnych na tle brunatno ciemnem habitów, i od progu wysuwała się ku mnie, brzęcząc cicho miedziakami, duża, zielona, wytarta skarbonka.

Tak stały, milcząc, w progu siostry obie, podczas gdy ja rewidowałam kieszenie i szufladki, szukając zabłąkanych gdzieś może centów. W wiszącej na kołku kamizelce, lub pudełku od krawatów zawsze znalazł się, czasem mniej, czasem bardziej okazały zabytek studenckiej zamożności... Nie licząc, gdyby magnat jaki, rzucałem monetę w skarbonkę, białe kornety schylały się lekko, ręka ku mnie wyciągnięta cofała się, i szept cichy «Bóg zapłać» odpowiadał na moje pozdrowienie. I drzwi zamykały się cicho; szmer oddalających się kroków szedł czas jakiś korytarzem i ginał w dali.

Nigdy nie dojrzał wyraźnie twarzy mych gości, nigdy nie spytał skąd zacz i kto ich ku mnie prowadził. Znałem tylko odgłos zbliżających się ich kroków i charakterystyczne pukanie. «To znów idzie moja filantropia» — mówiłem sobie, gdy je usłyszałem. «Poszła sobie moja filantropia» przechodziło mi przez głowę, gdy, drzwi zamknięwszy, siadał napowrót przy biurku.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia...

Zaopatrzone w najwiarygodniejszą, trzykroć poprawioną, sprostowaną i uzupełnioną w kilku po kolei numerach Kuryera «Listę dam», w świeżym jak pączek majowy cylindrze na głowie, z rublem w lewej kieszonce kamizelki, z rublem w prawej kieszonce, z rublem w osobnej przedziałce portmonetki i jeszcze z rublem w wypchanym... biletami wizytowymi i notatkami pugilaresie — zjawiam się na sali ratuszowej.

Wózny odbiera mój zielony dwudziestokopiejkowy bilecik wejścia! setki oczu zwracających się na nowego przybysza odbierają mi resztę pewności siebie. Szczęściem, zanim dwie moje znajome z najbliższego «sklepu» zdążyły podnieść do oczu lornetki, już zdołałem pomknąć w przeciwną stronę. Chwała Bogu! Ten «sklep» już odbył!

Chodzi tylko teraz o to, aby, bez narażenia się obojętnością pięciu z kolei «sklepom», dotrzeć do szóstego, dla którego się właśnie przygotowało wspomnianego już rubla z lewej kieszeni kamizelki. Odwagi! Środkiem sali, przyglądając się kolejno to końcowi butów, to rondowi cylindra, to guzikom rękawiczek, sunę powoli, a ostrożnie przez salę.

Wzzzzz! wzzz!... Pędzi mi prosto pod nogi puszczone gdzieś ze sklepu lokomotywka na spirytusie, sycząc nie-miłosiernie po ślizkich parkietach! Potykam się, podchwytyjąc spadający cylinder, rzucam się w bok, lokomotywka się przewraca — wołają: gore! Przepraszam, sam nie wiem kogo, para dzieciaków wyje z uciechy, dokoła mnie tworzy

się grupa śmiejących się, rejteruję... prosto na stoliczek jakiś sklepowy udekorowany figurynkami terrakotowemi. Dwie figurynki, naturalnie! nie mają nic pilniejszego do roboty, jak upaść na ziemię i u nóg moich rozprysnąć się w drobne kawałki!

— Najmocniej przepraszam... ale, przepraszam istotnie panią stokrotnie!...

Pani (z wåtpliwym uśmiechem). O! niech pan nie zważa! Nic nie szkodzi... To istotnie takie kruche...

Pan (tryumfująco). A mówiłem, że ta konkurencya z lokomotywką do niczego dobrego nie doprowadził!

Dobrywam z prawej kieszeni rubla, i z lewej — składam jako zadoścuczynienie za moją niezgrabność... (za tę lokomotywkę nieszczęsną), oglądam się za — jakim współtowarzyszem «gwiazdkowej» zabawy (!).

Po sali przechadza się kilkanaście osób. Jakiś młodzieniec pędzi od sklepu do sklepu, składa wszędzie podobne jak dwie krople wody ukłony i podobne jak rubel do rubla uśmiechy. Ponieważ atoli ja stoję na środku sali, a on uwija się wzdłuż ścian, tedy nawet dostrzedz nie mam satysfakcyi, znajomy to mój, czy też niezajomy? Jakiś jegomość w potężnem futrze chodzi z rękami w tył założonemi i namyśla się: czy też rozpiąć wypada futro, czy też to inny zwyczaj na warszawskiej «gwiazdce»? Inny jegomość uważał za stosowne pojawić się we fraku i — zimno mu, aż patrzeć przykro. Spostrzegam przy jednym ze sklepów — tłok! Porywam się w tą stronę i — cofam się spieszenie. To «dla ożywienia» zabawy kilka pań i panów ze sklepów sąsiednich zabawia się dla odmiany... w «kupujących»!

Dostrzeżono mię.

— *Oh! que vous êtes aimable d'être venu! Venez donc voir le sachet que j'ai réservé pour vous! Ah! le voilà...*

Pasyami lubię saszetki — mam ich nawet ze trzy u siebie. Jaka szkoda, że tę czwartą, kupioną na «gwiazdce» będę musiał komubądź darować!

A! otóż i t. zw. «kosz szczęścia». Bilet 25 kop. — każdy wygrywa. Więc tedy ja solo, z namaszczeniem, zapuszczam rękę w koło z biletami. Robi się w sklepie uroczysta cisza, wszyscy, czuję, wzrok mają na mnie skupiony. Piękna chwila! zwłaszcza, gdy się jest jedynym jej bohaterem. Chwilę tę upamiętniły nazajutrz dzienniki wspaniałym opisem, zaczynającym się od słów: «Kosz szczęścia były w obłęzeniu...» W obłęzeniu!... To ja, ja na własną rękę oblegałem kosz szczęścia. Wytnę stanowczo ten ustęp z gazety i wnukom swoim pokazywać go będę.

W chwili właśnie, gdy wygrywał termometrzyk i jakąś zabawę towarzyską dla drobnej dziatwy, z pobliskiego sklepu, w celu zakasowania wspomnianej lokomotywki, wypuszczono na salę — dwóch chińczyków. Tak, dwóch prawdziwych chińczyków, daleko nawet autentyczniejszych, niż własna ich herbata. Można śmiało twierdzić, że owe *divisertissement* nadprogramowe stanowiło kulminacyjny punkt zabawy.

Bawiono się natomiast jeszcze i po zniknięciu obywateli niebieskiego państwa, wcale niezłe... w sklepach. Tam przychodzili znajomi, siadali na krzesłach zapasowych, emablowali panie, komentowali snujących się po sali zwykłych śmiertelników, przegryzali cukierki, układali karnawałowe zabawy. Nakręcano szkatułki grające, czytano najświeższe dzienniki.

Zaczynałem sam, przyglądając się tej nowego rodzaju zabawie towarzyskiej, żałować, że nie wystąpił na «gwiazdkę» z własnym sklepem. Ale jakem obliczył, ileby to trzeba było do tej imprezy z własnej kieszeni dołożyć — to mi się odechciało. Nie, stanowczo ze wszystkich kombinacji «gwiazdkowych» najlepszą jest mieć własny — sklep, ale gdzieś na Nowym-Świecie, Marszałkowskiej lub Miodowej; towar z tego sklepu ofiarować wspaniałomyślnie na rozprzedaż gwiazdkową, ocenić dajmy na to lalkę półrublową na rubla, «ofiarować» z owego otrzymanego

w gwiazdkowym sklepie rubla dwadzieścia kopiejek na ubogich, zostających pod opieką W. T. D. i... na przyszły rok uczynić to samo.

Lub robi się tak. Bierze się pierwszych lepszych kilka kolorowanych rycin z francuskiego żurnala, i oprawia się je w ramki pod szkło. Następnie kupuje się... suknię u Hersego. Ryciny zawiesza się w «gwiazdkowym» sklepie, zaś suknię wdziewa się na siebie. Przychodą znajomi do ratuszowej sali. Oglądają suknię, a kupują ryciny. Następnie, wychodząc z ratusza, darują woźnym ryciny kupione, a wspomnienia o prześlicznej sukni unoszą ze sobą.

Albo robi się jeszcze inaczej. Między wazoniki ze sztucznymi kwiatami, neseserami, flakonikami, saszetami, bronzowymi lichtarzami i. t. p. stawia się na kontuarze sklepu gwiazdkowego, na widnem miejscu — tackę. Za kontuarem stawia się lokaja w pięknej liberyi, pocącego się niemiłosiernie w futrzanym kołnierzu. Ten nie «karotuje» oczywiście nikogo i nie potrzebuje mieć nawet argusowych oczu, strzegących, aby «tłum» z wystawy sklepowej nie sprzątnął czego... przypadkiem, gdyż «tłum» na «gwiazdkę nie uczęszcza. W dowolnej godzinie przybywa się do sklepu; lokaj rejteruje w głąb lub idzie zdrzemnąć się w kontramarkarni. Wtedy na tackę kładzie się na spód tęczówkę storublową (mogą być dwie), na nią w malowniczym bezładzie kilkanaście banknotów ostatnich, a wszystko przysypuje się drobną monetą.

Znajomi wpadają w ekstazę.

— Co za wspaniały targ!

— *Mais vous faites des miracles!*

— Golkonda prawdziwa!

Ten i ów ośmieli się złożyć na tackę swój «skromny datek», naturalnie zastosowany do normy przyjętej przez... domniemanych swych poprzedników. I — dobroczynności publicznej stało się zadość.

W jednym ze sklepów spostrzegam — obrazy, praw-



dziwe olejne obrazy. Najmniejszy z nich oceniono sto rubli. Zdaje mi się, że podciągnęto je pod rubrykę przedmiotów codziennego użytku, któremi zaopatrzyć się «gwiazdka» miała dać podobno najlepszą sposobność. A może ja się mylę, że z istotnych przedmiotów codziennego użytku mieliśmy na tegorocznej gwiazdce tylko — herbatę?

A — były też i cukierki. Tylko jak tu kupić funt za cztery złote, kiedy się ma przed sobą gwiazdy sceny warszawskiej! Proszę tedy o — wodę selcerską; wsuwam w rękę podajacemu mi ją garsonowi rubelka (tego, z przedziałki w portmonecie), on pontyfikalnie niesie go gwiazdom sceny warszawskiej, gwiazdy uśmiechają się do mnie *fnad* wszelki wyraz wdzięcznie, ja dławię się z konfuzyi wielkiej gazem wody selcerskiej, nie wiem czy wypić do dna syfon, czy też wypada tylko nadpić szlanke i zostawić, pociskam zbyt silnie kranik, strumień wody zalewa stolik, ratuję z powodzi paczkę moich pierników i mój termometrzyk i czmyhając na potęgę przez nos gazem, oddalam się najzupełniej nieszczęśliwy. Niema co mówić — ubawiłem się!

W kontramarkarni, gdym opuszczał arenę zabawy — zamieniono mi kalosze. I to nawet stary, jak świat, figiel! Że też nie mogli zdobyć się na nowy pomysł!

Jaka różnica — myślałem sobie, schodząc ze schodów — istnieje między «bazarem», »wentą», «kiermaszem», a «gwiazdką»? Ta chyba, że raz pierwszy, raz drugi, raz trzeci były owe «gwiazdki» istotnemi publicznyemi zabawami, że wabiły nowością, że były wreszcie urozmaicone coraz to nowemi pomysłami. Dziś to już — szablon, bardzo nudny, bardzo niepopularny i po za obrębem prywatnych ofiar, które miejsca i czasu nie znają, nader skąpo oplacający się Towarzystwu dobroczynności. Na publiczność, na miasto «gwiazdka» taka, już dziś, po latach, liczyć nie może. Naraża tylko na wydatek, wcale nie na rzecz ubogich, bo czysto osobisty, pewną grupę towarzystwa tutejszego, które w sklepach zasiada — nic więcej. Należałoby albo dać pokój całemu nieoplacającemu

się w gruncie rzeczy zachodowi albo zreformować gruntownie ów bazar gwiazdkowy.

Dziś już tylko w tej formie ma jedynie rację bytu — bazar spożywczy...

Za mną schodziło właśnie kilka pań i panów para; damy we wspaniałych jedwabiach i futrach, panowie rozpływający się we francuskich komplementach.

Chłopak jakiś, urwis uliczny, rzucił się ku mnie sądząc, że do «towarzystwa» należy.

— Czyją karetę zawołać dla jasnych państwa?

— Wołaj: karetą dla JWielmożnej Filantropii!

Chłopak ruszył z kopyta i słyszałem istotnie, jak wrzasnął w bramie:

— Ka-a-reta dla jaśnie wielmożnej filan-tro...

Musiał mu ktoś tam natrzeć uszu; moja złotówka go pocieszy.

Jam zaś sobie piechotą, dźwigając sprawunki gwiazdkowe, powędrował do domu, a przed oczami mi stały uparcie dwie ciche, milczące kwestarki, uchylające drzwi mego studenckiego mieszkania.

1889.



## MOMENT MUSICAL.

»... Zda się, że nad niemi  
Krażyli aniołowie lotami cichemi.  
*Ujejski.*

Zmierzchał sierpniowy, słotny dzień.

Nad zwojami drzew ogrodowych i wałem alei lipowej stała jeszcze na niebie jasność bladawa zgasłego gdzieś słońca — ale odblask jej, nawet przez wielkie weneckie okna, nie dosięgał i do połowy salonu. Zupełny niemal zmrok ukrywał przed nami grającą, że zaledwie dostrzedz było można białą smugę jej sukni, wtopioną zda się w ciemną głąb sali. Migotliwe połyski tlały jeszcze gdzieniegdzie po kandelabrach, lampach i ramach obrazów.

Słuchano oczywiście z wielką uwagą, bo rozmowy przycichły, a sylwety osób pozamierały po fotelach i kanapach. Ktoś ruchem ręki powstrzymał zbliżającego się cicho ku lampie lokaja, który cofnął się natychmiast i znikł. Za lokajem wybiegł jedyny dystrakt w towarzystwie: biały pudełek pani domu, poślizgnąwszy się na parkiecie i brzęknąwszy dzwoneczkiem u szyi.

Fortepian, ujarzmiany biegłą i mocną ręką, wyrzucał z siebie snopy dźwięków, grzmiał, przycichał, znów

rozgrzmiewał i uspokajał się. Zmrok wywoływał złudzenie fantastycznego jakiegoś samogrania instrumentu — niewidzialnego. Wywoływał też i nastrój odpowiedni. Byliśmy, doprawdy, pod wrażeniem. Pod wrażeniem... czego? Gry. Zapewne. Może i tego zmierzchowego *chiaroscuro*; może myśli porozbudzanych w nas?

Pani Julii ześlizgnął się z kolan wachlarz; któryś z panów, siedzących opodal, zerwał się... Pani Julia szybko schyliła się sama, skinęła głową w stronę usłużnego sąsiada — i znów oboje znieruchomieli na miejscach swoich.

Fortepian występował melancholijne *largo*. Urwał, rozwichrzać począł motywy, rozwichrzać, przechodząc w *allegro con Crio*. Pan Kalikst podniósł się z wolna z siedzenia, stąpając cicho po dywanach, wynurzył się z cienia i zbliżył się ku oknu. Z założonemi w tył rękoma stał, patrząc w ogród i kołysząc się lekko. Ściemniała się coraz bardziej postać p. Kaliksta, na tle jasnej plamy traciła z wolna wyrazistość konturów... W ściemnianie się to i w ciszę zupełną płynęła teraz perłami nut melodya przedziwnej czystości, jakby unoszona tylko na misternej siatce akompaniamentu... Nagle podszycie to poczęło jakby rwać się... rwać się... przerywać. W perlistych frazesach melodyi poczęły nagle milknąć nuty jedna po drugiej, jakby zapadały gdzie w przestwór bez echa. Szła już melodia coraz wolniej od pauzy do pauzy. Aż wreszcie, jakby rzutem ostatnim tchu, zawisła na jakimś mocnym, krótkim dźwięku — i zcichła, skończyła. Długa pauza — i przez ciszę przeleciał głuchy, daleki pomruk milknącego również, arpedżowego akompaniamentu.

Siedzieliśmy milczący i nieruchomi dobrą chwilę.

Pierwsza pani Julia dała hasło dziękowań i zachwycił się.

— *Chère mademoiselle!* — rzekła — Sprawiała nam pani rozkosz prawdziwą! Trudno wyobrazić sobie piękniej-

szą interpretację... A jakie to wspaniałe i trudne nieszłuchanie!

Wnoszono światła.

— Co to grała panna Délucet? — spytał p. Kotlarski, odruchowo sięgając do kieszeni z papierosnicą. — Rzecz zupełnie koncertowa!

— O! niezawodnie. To były Brahmsa «Waryacje na temat Schumanna». Tylko tak skończona wirtuozka, jak panna Délucet...

— Właśnie chciałem powiedzieć. Tylko, że nigdy nie podejrzewałbym w niej tyle... odczucia i zrozumienia, tyle... duszy. Fenomenalny talent!

I p. Kotlarski uważał za stosowne osobiście powiedzieć nauczycielce, «tej pannie 'Délucet», *quelques paroles bien senties*, rozumiejąc, że przyjemność tem sprawi samej pani domu. Aktu tego dokonało wspólnie z nim kilka jeszcze osób, poczem panna Délucet ulotniła się natychmiast z salonu, zostawiając po sobie uspokajające się powoli wrażenia oraz zawiązany temat ogólnej rozmowy. Poczęto też natychmiast rozprawiać — o muzyce.

Zdania były do tego stopnia podzielone kontrastowo, że gdy pani Alina uważała muzykę za «najpiękniejszą ze sztuk pięknych, najwyższą i najdoskonalszą», p. Zygmunt nie chciał w niej nawet widzieć sztuki pięknej wogóle.

— Muzyka, — mówił, zapalając się — to nie żadna sztuka piękna; to zabawa, gra. Taka akurat zabawa, jak szachy lub wint. To gra zasadzająca się na dobieraniu i układaniu — tonów. Wolę nawet winciarzy, bo ci nie przeszkadzają nikomu, zaś fortepian np. za ścianą...

Nie dano dokończyć p. Zygmuntowi.

— Herezye! herezye! — wołał hr. August, machając krótkimi rączkami.

— Wstydz się pan! — zdołała jedynie wyrzucić z siebie panna Lili, ciskając piorunowe spojrzenia ku nieszczęsnemu antymelomanowi — po przez bukiety lewkonii i rezedy.

— A co Szekspir powiedział, pan nie pamięta?

— Co?

— Nie ufaj takiemu, którego współdźwięk tonów nie porusza:

•Umysł u niego ciężki, jak mgła nocna,  
A serce czarne, jak Erebus.

— Dziękuję. Ale zamilowanie w muzyce, chociażby Szekspira, niczego nie dowodzi. Wszak są namiętni szachiści i karciarze. Odurzenie, które muzyka sprawia, jest stokroć szkodliwsze, niż odurzenie się alkoholem. Muzyka to pijaństwo — *dam. Excusez*, ale tak jest. Sama przez się nie daje nam nic, bo nic nie wyraża; zgoła sensu nie ma. Pobudza tylko to, co w nas jest — potęguje — ale czyni to i alkohol. Podniecenie! Ba! Mickiewicza podniecało do improwizowania granie na flecie lub szpincie pieśni o Filonie; Schillera natchnienie podniecał — zapach jabłek. Czy mam na jednej linii postawić pachnące jabłka i muzykę np. instrumentalną?

— Ale, proszę pana, muzyka nietylko podnieca. Ona też i wiele, bardzo wiele — wyraża... na swój sposób.

— Droga pani! Pozwolę sobie przytoczyć, co powiedział zmarły niedawno Hanslick, — w swoim «*Vom Musikalisch-Schönen*». Znana arya z «*Orfeusza*» Glucka do słów: «*Utraciłem swoją Eurydykę, i nic nieszczęściu memu nie dorówna*» — wyciskała lzy z oczu tysiącom ludzi, między innymi takim, jak Rousseau. Otóż tę samą melodyę można by śmiało podłożyć pod słowa: «*Odnalazłem swoją Eurydykę, nic radości mojej nie dorówna*». Całe pokolenia widziały w melodii tej wyraz okropnego smutku, a było to złudzenie, wywołane przez tekst aryi. Zdarzyło się może pani czytać bardzo fachowe tłumaczenia: co wyrażają oddzielne części «*Dziewiętej symfonii*» Beethovena? Wyższej humorystyki nie znam. A dopieroż sławetne «*kawałki na fortepian*», zatytułowywane «*Cloches du monastère*» lub «*Karawana na pustyni*» lub... lub na-

wet «Kołowrotek Omfalii» Saint-Saënsa. Błogosławieni, którzy widzą w muzyce to, co opiewa — tytuł!

— Pan Zygmunt jest podniecony — odezwał się p. Kalikst — i widocznie musiał świeżo czytać któryś z ciągów «Syna marnotrawnego» Weyssenhoffa, co go drukuje Tygodnik.

— A tak! a tak! — zawołała panna Lili — czytałam. Tam też wymyśla ktoś bez miłosierdzia na muzykę.

— Wymyśla? Broń Boże! Dowodzi tylko, czarno na białem, że wstrząśnienie nerwów, choćby najrozkoszniejsze, nie jest jeszcze wrażeniem artystycznym, że w muzyce nic nie leży oprócz kombinacji dźwięków, a jeżeli wyraża ona coś myślowo określonego, to tylko najogólniejsze pojęcia, jak smutek, ochotę, gniew, prośbę...

— I tego za wiele. Nie wyraża zgoła nic, a tylko usposabia, nastraja: wesoło lub smutnie.

— Pan Kalikst przechodzi do mojego obozu? A nie powiedziałem jeszcze: że muzyka pochłonęła całą niemal naszą wrażliwość artystyczną, a powinna by zajmować podrzędne miejsce; że działaniu [muzyki równa się np. śpiew słowika w noc księżycową, gdy siano pachnie po łąkach; że muzyka daje nam same poczucia zmysłowe, których mieszać nie należy z uczuciami; że do odczuwania, nawet do tworzenia dobrej muzyki nie potrzeba wcale wielkiej duszy, jak tego dowodzą dzieci cudowne, oraz wielu wirtuozów, a nawet kompozytorów; że muzyka nie wyraża bynajmniej najsztubtelniejszych stanów duszy, tylko wyraża stany — nerwów...

— Nie wyraża, lecz wznieca, czasem tylko zaostrza.

— Słowem: raz przecie w rozmuzykalnione społeczeństwo nasze padło rozsądne i trzeźwe zdanie, które pozwoliłem sobie streścić. Muzyka najniezasłużeniej stała się sztuką samoistną i ulubienicą publiczności. W tej fazie — nie ja to mówię, lecz przytaczam — obniża poziom naszych pojęć estetycznych!

Dopiero zawrzało. Prześcigano się w zaprzeczaniu

i wyrażaniu p. Zygmuntowi nieklamanego oburzenia. Dziwiono się, że człowiek do tego stopnia «nie rozumiejący», «nie odczuwający» muzyki, poważa się mówić o niej w sposób tak stanowczy i lekceważący.

— A Wagner, panie, a Wagner! — wołał p. Kotlarski-Kotlarski, wytaczając najcięższe działo.

— *Leitmotiv* Wagnera ma cośbądź wyrażać? Ejże! To czystej wody symbole, język umówiony, za pomocą którego Wagner porozumiewa się ze słuchaczem — wtajemniczonym. Są to kabalistyczne znaki, coś w rodzaju muzycznych hieroglifów. *Leitmotivy* to figury dźwiękowe, zastępujące ogólnie zrozumiałe wyrazy: olbrzym, karzeł, rycerz i t. d. Więcej mają wyrażać? Zgoda. Są przecie *Leitmotivy* zatytułowane np. „*Motiv des matten Siegmund*» lub „*Rachewahnmotiv*«! Znajdzie się ich ze sto ogółem w dziełach Wagnera. Język doprawdy, nie do zbytku bogaty. Właśnie Wagner daje nam piękny okaz absurdu, polegającego na wypaczaniu samej istoty muzyki. Pragnie, aby wyrażała myśl, gdy muzyka zdolna jest tylko wywoływać wrażenia.

— Więc jakąż nam pan da definicję muzyki?

— Okrutnie starą i zdaje mi się ogólnie przyjętą. Muzyka jest to kunszt...

— Sztuka!

— Niech będzie sztuka. Mniejsza o nazwę. ...Sztuka, mająca na celu budzenie wzruszeń za pomocą kombinacji dźwięków. Jeśli się nie mylę, sam Berlioz tak określił muzykę, mówiąc wyraźnie i tylko o *emotions*, t. j. o wzruszeniach, które muzyka zdolna jest nam dać.

— Bodaj, że istnieje jeszcze jedna klasyczna definicja, z lekkim wariantem, który, sądzę, nie po myśli będzie panu Zygmuntowi. Muzyka jest to sztuka wzruszania za pomocą dźwięków... ludzi, posiadających pewną specjalną organizację.

— Czem myśl w poezji, tem w muzyce melodia — wtrąciła pani Alina.

— A ba! gdyby to muzyka np. nowoczesna dawała



nam melodye, nie zaś kunsztowne asocjacje dźwięków. bardzo misterne, podziw budzące fachowców, ale nam nie mówiące nic zgoła — rzekł milczący dotychczas pan radca.

— Pan radca *ne jure que par les italiens!* — odparła panna Lili. — Bo pan radca jedynie w muzyce włoskiej potrafi melodye pochwyć. Naturalnie, muzyka bez melodyi to żadna muzyka, ale wierzyć proszę, melodyi pełno i u Bacha, i u Beethovena, i u modernistów. Nie są one tylko tak łatwo pochwytnie, tak przystępne, jak u Donizetti'ego lub Verdi'ego, i nie tak szybko przesycają, jak melodye włoskie.

— Mówcie państwo co chcecie, — odezwał się p. Kalikst — ja sam zresztą do pewnego stopnia trzymam z p. Zygmuntem, a jednak... a jednak kto wie, czy muzyka nie jest jakąś wyższą, subtelniejszą mową! Są pewne stany duszy, pewne odcienia jej wzlotów i upożeń, dla których wyrazu nie szukajmy gdzieindziej, tylko w muzyce. Dla tak skomplikowanego uczucia, jak np. miłość, jest-że wyraz, mogący dorównać muzyce?

— Spojrzenie! — rzekł półgłosem p. Alfred, przechylając się lekko w stronę panny Maryi i szukając jej oczu wzrokiem pełnym wyrazu.

Ale «specjalna organizacja» p. Maryi widocznie niewrażliwą była na sztukę, uprawianą przez p. Alfreda. P. Marya nie oderwała oczu od przeglądanego obojętnie albumu, i p. Alfred wyprostował się znów w fotelu swoim. usiłując połapać się w wątku toczącej się dookoła rozmowy.

— Czy panna Délucet grywała na koncertach? — zainteresował się, najzupełniej zbytecznie.

Panna Délucet wchodziła właśnie do salonu, obraz jak zwykle, martwego, nieco sonambulicznego spokoju. Z panią domu zamieniła półgłosem słowa kilka i miała odchodzić. Zatrzymano ją i poczęto prosić, aby grała.

— Jeszcze niech nam pani co zagra, droga panno Délucet! — nalegała pani Alina. — Mówiliśmy tylko co

o muzyce i nie byliśmy w zgodzie. Możeby nas pani pogodziła... czemś... czemś łagodnem, lirycznym...

— *Du David charmant Saül!* — zaśmiał się p. Kalikst, gestem obu rąk wskazując p. Zygmunta.

— Zupełna jesień, brrr! wicher i deszcz — odezwał się od okna p. radca. — Błagamy o słoneczność i pogodę!

— Zdajemy się na pani łaskę i niełaskę.

Z pod szerokiego, czerwonego abażura zadźwięczał głosik pana Szyrmy:

— Dla mnie proszę o marny obłoczek, abym mógł na nim «lecieć, płynąć gdzieś!...»

Uciszone się. Ten i ów przemknął się na dogodniejsze i wygodniejsze miejsce. Salon przybrał takiż co o zmierzchu wygląd — tylko za spuszczone roletami słyhać było głuchy szum sadu i plusk ulewy. Odruchowo zwracał się ktoś raz po raz ku oknom, jakby zagabnięty natrętnie przez szarugę na dworze. Ktoś półgłosem rzekł coś i urwał; ktoś inny posunął krzesłem — i zapanowała cisza zupełna. Odezwały się pierwsze dźwięki fortepianu: akord jeden, drugi, w ślad za nimi kilka nut przejściowych i *fuga*.

— Mendelssohn... — zabrzmiał krótko przyciszony głos panny Lili.

Słuchano.

## PIOSENKI.

---

Jest na wystawie Krywulta obraz, któremu się zawsze z niezwykłą przyglądam lubością.

Malował go Leon Wyczółkowski, przed laty kilku, jeszcze — jak powiadają specjaliści — «pierwszym swoim sposobem», to jest bez tej znakomitej siły światła, cechującej ostatnie jego obrazy. Ale mnie nie o datę chodzi, ani też o sposób malowania: ja widzę tylko ową niezmiernie prawdziwą pannę z wiejskiego dworku, przygrywającą na staroświeckim fortepianie i owego młodzieńca, śpiewającego tuż przy niej na głos cały, z serdecznym patosem, starą, ulubioną niegdyś piosenkę, zaczynającą się od słów: «Ujrzałem raz i kocham już!»

Gdy znuży mnie oglądanie impresyonistycznych dzieł, porcelanowych główek, dramatów w hotelu i w buduarach wietrznic paryskich, scen karczemnych i haremych — tedy idę sobie przed obraz Wyczółkowskiego wśród innych wypocząć wrażeń. I śpiewa mi ta młoda zakochanych para z tak szczerą prostotą i takim młodzieńczym, zdrowym zapałem ten swój duet miłośny, że zda się: sam oddycham tą sielską, krzepiącą atmosferą ich otoczenia; zda się, sam tam siedzę gdzieś w kącie słonecznego tego saloniku, u okna, muślinowemi przysło-

niętego firankami, czuję zapach rozkwitających oleandrów, płynące przez otwarte okno skoszonych traw aromaty i wkradającą się niedyskretnie z sąsiedniego pokoju delikatną woń — świeżo palonej kawy. Dokoła po ścianach, tapetami «w bukieciki» ociągniętych, ciągnie się szereg litografii, ilustrujących Paska, przerwany w rogu wielkim piecem o błyszczących pięknie kaflach; na stolikach leżą albumy i sztambuchy na serwetkach, misternie szydełkową robotą wyrabianych, a na kanapie dużej, staroświeckiej, o wysokich poręczach, leżą wspaniale poduszki, wzorzystymi włóczkami wyszywane... Uśmiecha się figlar nie panna Lucia i ukrywając pomieszenie, przechyla się bardziej ku nutom, jakby znany doskonale akompaniament straciła nagle z pamięci; pan Seweryn, mimowolnym odruchem, aż za serce się chwycił i w świeżości poranka letniego, wśród tej ciszy wiejskiego dworku, głośząc świergotanie ptasząt pod oknami, głos jego silny, szczerem wzruszeniem drżący, rozbrzmiewa raz po raz ulubioną zwrotką: «Ujrzałem raz i kocham już!»

O niech się pani nie uśmiecha i nie przerywa mi łaskawą propozycją zaśpiewania mi wielkiej aryi z «Semiramidy» lub równie kunsztownej aryi z „*Reine de Saba*“.

Delicje te zamawiam sobie na pierwszy u pani raut w tym sezonie. Girlandy pięknych dam obsiadą w półkole wszystkie te misterne kozetki, berżery, puffy, balzaki, sofki, taboreciki, równie ozdobne, jak niewygodne; panowie sztywni, w obcisłych frakach i krochmalonych wysokich kołnierzykach, jak flety hebanowe, staną za nimi zwartymi szeregami. Oddychać będziemy szczątkami powietrza, strawionego gorącym świec i lamp, oraz wyziewami setek perfum; dzielić się będziemy szczątkami dowcipu i ożywienia, szczątkami dobrych form towarzyskich pokrywać będziemy śmiertelne nudy. Ale za to — wysłuchamy do ostatniej nuty wielkiej aryi z «Semiramidy» i wcale najmniejszej aryi z „*Reine de Saba*“.

Rzeczywiście — nie ma to, jak nasze dzisiejsze tak zw. wokalnie-instrumentalne salonowe popisy!

Gdzie się podziały dawne, dobre, bezpretensjonalne piosenki, które śpiewać było tak łatwo, a których słuchać tak było miło! Gdzie piosenki, których melodia i słowa szły prosto do duszy, bez filtrowania ich przez ciężką pracę umysłu i wyjątkowe znanstwo! Zimno się robi, gdy o upalnych rautach się pomyśli, gdzie nasze «szanujące się» panny męczyć nas raczą rzekomą «koloraturą», włoską fałszywą wymową i rozpaczliwymi «fermatami». Spokoju żadna z nich mieć nie będzie, dopóki raz choć przecie nie dorwie się do *Una voce poco fa!*...

Prawda, dawno to było, bo w r. 1838, ale jak tam naprawdę bawić się musiano na owych zebraniach towarzyskich, np. z takiej «Kolokacyi»:

«..... Pan Jakób usiadł na swoim miejscu i założywszy nogę na nogę, puścił biegnącą rękę po strunach gitary. Gdy po kilku akordach zaczął tremolando i z uczuciem, nie zważając na ruiny swego czuba, zapalał się, posuwał lewą rękę z góry na dół i z dołu do góry, wydobywając z instrumentu dziwne jęki; publiczność dawała znaki ukontentowania ruszaniem głów i milczeniem. Zachęcony tem, pan Jakób przestał nagle, spojrzął po wszystkich i zapytał: A co? — I nie czekając aplauzu, po krótkim preludyum zaśpiewał:

Te brzóz kilka, ten bieg wody,  
Jak mi wiele przypomina!  
Tu przeskakałem wiek młody,  
Tu żyła niegdyś Lucyna!

«Ostatnie dwa wiersze powtórzył po raz drugi, a ostatnie słowo wymawiając, przesłał ku solenizantce wejrzenie długie i mordercze. Tak było po każdej strofie i po każdej z nich szerokie łono pani Lucyny z gazowym szalikiem podnosiło się, a głowa jej z beretem i piórem schylała się na dół».

Zachęcony tem powodzeniem, p. Jakób zaczyna piosenkę o «pszczołe i kupidyńku», której sensu towarzystwo na razie pojąć nie może.

«...gdy jednak przyszło do słów ostatniej strofy:

Matka rzecze, jeśli synku  
Tak dolega żądło pszczołe,  
Cóż dopiero, Kupidyńku,  
Kogo strzała twa zakole?

i gdy pan Jakób zawołał: a co? — cała kompania umilkła; pan Remigiusz, zwyciężony, spojrział na pannę Zenobię, pan Paweł na pannę Krystynę, a panowie Zarzącki i Cepowski młodzi, czując prawdę ostatnich słów piosenki, westchnęli, ale bali się okazać, co czują. Czem znowu zachęcony pan Jakób już miał zacząć weselszą piosenkę i, zadzwoniwszy kilka razy po wszystkich strunach, zaśpiewał z silną przygrywką po każdym wierszu:

Nie wiem z jakiego powodu,  
Drum, drum, drum...  
Poszła Filis do ogrodu,  
Drum, drum, drum...

Ale pirogi i prosięta ukazały się na stole i przerwały jego muzyczny zapal»...

Tak bawiono się piosenkami po wiejskich dworach i dworkach, nie zawsze może z takim podkładem humoru, jak to opisuje Korzeniowski, często bowiem ówczesne piosenki potraçały żywo o strunę sentymentu i rozrzewnienia, zawsze atoli rzadziej znacznie, niż dzisiaj, używano ich za pole do popisu i głosowych łamańców, ciekawych może dla subtelnych znawców, dla przeciętnego atoli słuchacza, drżącego wciąż... o całość gardła śpiewającej osoby, ciężkich jak zmora.

Na szczęście, gdy już Moniuszko zaczynał być w niektórych sferach *passé de mode*, pojawiły się tak zwane

salonowe piosenki Tosti'ego, Denza, no, i «Dziewczę z buzią, jak malina» Galla.

Pamiętam, cztery, pięć lat temu, jak musiałem raz sam przekładać na poczekaniu «Piosnkę Fortunia» pod muzykę, mozolnie szukając rymu, nieustannie zbijając się z rytmiki w roztargnieniu owych niebieskich oczu, śledzących każdy ruch mego ołówka, przykrawającego na kolanie polską sukienkę dla zwrotek Musseta. Pamiętam potem, jak, wciąż zaklinając się przy fortepianie, iż «za królestwo nie powiem imienia tej, którą kocham», zdradzałem całemu towarzystwu tę moją tajemnicę brzmieniem głosu, kierunkiem spojrzenia... A sędzę, że Tosti na współkę z Mussetem niejednemu już wyplatali tego złośliwego figla.

A „*Si tu m'aimais...*“ Denza! Alboż to znajomy mój, zarozumialec wielki, nie wygrał zakładu, utrzymując, że w każdej kamienicy warszawskiej ktoś do niego w ten sposób się odzywa? Poszliśmy. Istotnie na całej niemal przestrzeni jednej z pryncypalnych ulic, cośmy weszli na które podwórze lub schody, natychmiast z któregoś piętka, czasem z dwóch mieszkań naraz wypływała najdzwięczniejszym sopranem tęskna skarga: „*Si tu m'aimais...*“ Znajomy mój wygrał zakład i musiałem go prowadzić do Krzemińskiego na butelkę przedniego Château-Yquem.

«Dziewczę z buzią, jak malina» cieszy się dotąd trwałą popularnością. Podobno w Rypinie, Zgierz, Koźmicach i niektórych innych miastach prowincjonalnych śpiewają: «Dziewczę z buzią, jak z maliną», stanowczo atoli naśladować tego nie należy.

Oprócz wymienionych, cieszy się dziś właśnie większem powodzeniem Żeleńskiego «Na fujarce» i «Z nocy letnich» oraz Mikulskiego «Mazurki» i «Krakowiak» i może jeszcze kilka piosnek niepretensjonalnych, melodyjnych i nie wystawiających wirtuozostwa dyletantów i dyletantek na zbyt niebezpieczne próby. Zaś tam, głębiej, na wsi, gdzie «zaśpiewać przy fortepianie» nie znaczy wystąpić z kon-

certem, wciąż jeszcze najczęściej «Spiewniki» Moniuszki z rąk do rąk przechodzą, lub Bartels poufne kółka rozśmiesza.

Ale nie są to jeszcze piosnki, co bez przygotowań, zachodu i proszenia, na usta przychodzą, jak te, które tam za granicą, np. we Francyi i Niemczech, śpiewają chórem w dzień świąteczny, po weselszej uczcie, na przechadzce, na wycieczkach, płynąc rzekami, idąc łądem, lasem. Czyśmy mieli nawet kiedy piosnki takie? W każdym razie tradycya nawet o nich zaginęła. Tu i owdzie jeszcze po dworach wiejskich, gdy się służba zbierze do wspólnej roboty, lub na zabawę, słyhać czasem:

»Pije Kuba do Jakóba,  
»Jakób do Michała...«

lub Józia albo Frania zaciągnie nagle niewyszukanym dyszkantem starą piosnkę Jasińskiego:

»Chciało się Zosi jagódek,  
»Kupić ich za co nie miała,  
»Jaś ich miał pełny ogródek,  
»Ale go prosić nie chciała...«

Zresztą u nas — rzec można — całkiem zamilkła piosenka. Panny nasze, nawet podlotki, uważałyby sobie za ubliżenie śpiewać sobie — ot, tak, jak wiekowi ich przystało; młodzież męska śpiewa... kuplety operetkowe; panny starsze lub mężatki rade zawsze przy fortepianie — celebrować i nie gardzą tylko «wielkim repertuarem»; mężczyźni (o ile nie są «lutnistami») uważają śpiew za uwłaczający ich powadze (wint! — a, to co innego).

Mam ja przeto dziwną jakąś sympatyę do starej, zapomnianej gitary, bo przy jej dźwiękach śpiewano dawniej tyle a tyle piosnek, które z nią razem zamilkły, a których nowemi już nie zastąpiono. Fortepian-orkiestra wywołał inne, bardziej skomplikowane śpiewy, arye, ka-



watiny, Bóg wie nie co — a zresztą ciężki, nieruchomy, nie może stanowić dla piosenki dogodnego akompaniamentu.

Słyszałem niejednokrotnie wśród styryjskich i tyrolskich krajobrazów akompaniującą do śpiewu — cytrę. Słyszałem ją dźwięczącą w przytłumiających głos wszelki buduarach, zawieszonych ciężkimi portyerami, usłanych dywanami. Słyszałem jej rzewne dźwięki, rozplywające się wśród wieczornej ciszy wiejskich sadów i — nie znam zgoła instrumentu, tak znakomicie wtórującego piosence, jak owa kilka-strunowa, mała, niepokazna cytra.

Zda się, że słyszę jeszcze, tam w głębi parkowej alei, ciemnej od zachodniego zmierrchu, akordy jej pełne a łagodne, przeplatane oderwanemi nutami melodyi przewodniej niosące hen, z dali, ku otwartemu na park oknu, piosnkę melancholijną. W oknie widzę zasłuchaną postać niewieścią i w altanie ukryty, słucham z nią razem. Płynie ku nam męski, pełny głos barytonowy na akordach strun rozdźwięczonych:

Ach, powiedz mi,  
Gdzie promień gwiazd tych zgasł,  
Co w marzeń kraj  
Unosił niegdyś nas?  
Ach, wróć mi, daj  
Czar nocy tych i dni...

Ach, powiedz mi,  
Gdzie nasz prześniony maj!

Cytra wybornie zaznacza każdy akcent, każdą intonację słowa, dźwiękami doskonale myśl tłómaczy i schodzi do najcudniejszego *pianissima* oddalających się gdzieś w mgły wieczorne dźwięków.

Ach, powiedz mi,  
Gdzie zachwył ów i szął,  
Gdzie dzień jest ów,  
Co chwilę dla nas trwał?

Ach wróć mi znów  
Złudzenie choć tych dni...

Ach, powtórz mi  
Choć jedno z dawnych słów!

Wieczór ów wspominam dziś jeszcze najmilej, a ile-  
kroć o nim wspomnę, zawsze ciśnie mi się na usta pytanie:  
dlaczego cytra tak u nas mało rozpowszechniona?

Wprawdzie nie zda się ona może do akompaniowania  
aryi z «Semiramidy»...

## O SZAREJ GODZINIE ROKU.

---

Z dymkiem pogaszonych świeczek choinkowych uleciał rok stary.

Na załagodzenie rozczarowań wielu, figlów i niespodzianek obdarzył nas na odchodnym gwiazdkowemi kolędami — podobnemi zresztą kubek w kubek do zeszłoi zaprzyszlorocznych — i w dymku pogaszonych świeczek choinkowych się rozplynał.

— Do zobaczenia, stary, na... kartach historii!

— Do zobaczenia, stare dzieci i młodzi starcy! Wracamy, my, dawne lata, częściej i rychlej, niż wam się zdaje. Powiadacie wtedy, patrząc w dziecięcą twarz nowego roku, jak kropla do kropli podobną do rysów dziadka lub pradziadka: Nic nowego pod słońcem! Prawda. Wtedy ów rok młodziutki, nowy, uśmiecha się ironicznie i zdaje się mówić: «Patrzcie, przypatrzcie się, to odmłodzony, stary, prastary, zapomniany rok powraca!» Do zobaczenia! Poszedł.

Oglądajmy gwiazdkowe nasze kolędy, któreśmy dostali. Młodziutka pensyonareczka, marżąca o bródce *à la* Mierzwiński dostała — trzy teczki do nut; my, mężczyźni, mniej lub więcej dbający o elegancję, dostaliśmy, dzie-więćdziesięciu na stu, po — krawacie. Do sześciu moich

pugilaresików na bilety wizytowe przybył mi, chwalić Boga, siódmy. Ciocia ofiarowała jednej siostrzenicy pół tuzina rękawiczek zaciasnych o pół numeru, drugiej zaś kapelusik desperacko nie do twarzy, bo z zielonemi piórami.

— A wy dziatki, ucieszne dziatki, czyście też dużo zabawek na gwiazdkę dostały?

— Dostaliśmy już wszystko, proszę pana... nawet jużemy wszystko połamali!

Choinkę, odartą z ostatniego złotego orzecha i malowanego piernika, kucharka zawlekła do kuchni. Oto przerażana ostatnia jej gałązka sterczy jeszcze z fajerki angielskiej nad rondlem z codziennym rosolem.

Jutro będę miał przyjemność pomylić się parę razy, pisząc nową datę 1891-go roku. Wiem, parę razy zamiast jedynki napiszę — zero. Jutro na czele winszujących zjawi się stróż mój zacny, życząc mi, abym (na psa urok!) codzień późno z miasta do domu powracał. Rubla otrzyma, może dwa, za to, że mię systematycznie przez rok cały trzymał po kwadransie przed bramą. Listonosz dostanie też rubla za wszystkie niedoręczone listy i spóźnione gazety. Chłopaków kilku z redakcyj i tyluż drukarń oczekuję też wizyty; na pięciu trzech przyjdzie dwa razy mi winszować w zaufaniu, że Janka od Tomka odróżnić nie potrafię.

— Zdaje mi się, łobuzie, żeś ty mi już winszował przed godziną!

— Nie, proszę pana, to był Tomek.

— A ty jak się nazywasz?

— Ja, Janek... Życzę wielmożnemu redaktorowi (naturalnie!) nowego roku...

— Dobrze, dobrze. Masz to dla siebie...

Od wizyt noworocznych będę wolny; zamiast powinszowań noworocznych złożyłem rubla w Kuryerze «na nędzę wyjątkową» (zadziwiające! wszyscy mówią o nędzy «powszechnej», a datki płyną tylko dla nędzy «wyjątkowej»). Jutro rano wszyscy wspólni znajomi przy-

glądać się będą jedni drugim na... szpalcie Kuryerów. Pan Dobrosiński? — jest! — Pan Rzempielewicz? obecny! Państwo Streifzug? — są! Bracia Euzebiusz i Eugeniusz Fikalscy? — obecni! Chwała Bogu! — oszczędzą sobie kosztu na doróżki, a nam straty czasu na przyjmowanie powinszowań.

Pozostaje zatem tylko wysłać na wieś kilka biletów wizytowych z tradycyjnym *s p. N. R.* i datą 1891-go roku — naturalnie z przekreśloną omyłką w ostatniej cyfrze.

A teraz zasiądźmy wygodnie w fotelu i świątecznemu oddając się *dol ce far niente*, «puśćmy wodze myślom», jak powiadają poeci; «kłębami dymu niechaj się otoczę», jak rymował z nich jeden, i pomarzymy nieco o tym nowym roku, co stoi za progiem.

Co też to nam przyniesie?

Same niespodzianki.

Najpierw tedy w dziedzinie kwestyj społecznych, przyniesie nam obszerny list Dygasińskiego z Brazylii. Smiały podróżnik zwiedził właśnie wszcz i wzdłuż ziemię obiecaną emigracyi, i Palmeiras, i Catalao, i Taguaralzinho, i Tabatingę, i stoki Sierra Parimy, i deltę Amazonki i — unosi się nad wspaniałym dobrobytem naszych wychodźców! Każdy z nich opasuje się kielbasą, a pelerynką się okrywa z najprzedniejszego liścia cygarowego (*Flor de Pernambuco*, 60 rb. setka). Dygasiński sam osiada na stałe pod brazylijskimi palmami i całą redakcyę Kuryer a tam zaprasza, gwarantując na początek za 100,000 prenumeratorów rocznych.

Wbrew oczekiwaniu, doniesienie Dygasińskiego żadnego u nas nie wywiera wrażenia, albowiem tak wzrósł dobrobyt miejscowy naszego ludu, że brazylijskie rozkosze wydają się im hetką pętłką, za którą nie warto gonić przez morze. G a z e t a ś w i a t e c z n a wychodzi na satynowanym watmańskim papierze z ilustracyami *à la Figaro Illustré* i gmach własny buduje na pryncypalnej ulicy. W końcu lipca, świetny naczelny jej artykuł, pióra redaktora, uderza

gwałtownie na... wintomanję, szerzącą się między włościanami z okolic Grójca. W tymże numerze korespondent z pod Kozienic odradza włościanom okolicznym używania do prac polowych koni czystej krwi angielskiej...

Towarzystwo Kredytowe drogą ogłoszeń w gazetach poszukuje lokaty dla swych kapitałów. Wszyscy dłużnicy Towarzystwa zwrócili pożyczki z taką szybkością, iż powódź pieniężna podmywa groźnie podwaliny instytucji.

Pani Modrzejewska przyjechała. Mieszka na Dziekance. Teatr na występach jej przepełniony, ale wieńce, kto chce i może, posyła znakomitej artystce wprost do mieszkania. Nie wyprężono ani razu koni u jej doróżki, ani jeden muzyk nie napisał polki na jej cześć p. t. «Nasza chwała»; sprawozdawcy teatralni piszą o niej nie różnym olejkiem, ale zwykłym atramentem.

Jako hołd, złożony impresyonizmowi swojskiemu, zakupiono z publicznych składek w darze dla pp. Pankiewicza i Podkowińskiego 22 morgi kubiczne — powietrza. Wzniesiono na tej przestrzeni lasy papierowe, domy z niebieskiego drylichu, góry ze skórek pomarańczowych i rozpalono na czterech rogach tej posesyi ognie bengalskie. Słowem zrobiono wszystko, aby obaj artyści otrzymali w darze pamiątkowym taką właśnie naturę, jaką nam malują. Ofiarowano im — ich ideał.

Zrywamy z repertuarem francuskim. Pp. Bałucki, Bliziński, Fredro, Gałasiewicz, Gawalewicz, Lubowski, Maciejowski, Przybylski, Zalewski obowiązani zostają pisać rocznie po dwa oryginalne utwory sceniczne, z miejscowym koniecznie kolorytem. Również monologi, choćby przez samego Cocquelin'a rozślawione, zostają za rogatkami. P. Szymanowski inauguruje nową erę czysto lokalnym monologiem, zaczynającym się w ten sens:

Opowiem rzecz — niebywałą!  
(Zamilczeć nie mam powodu).  
Gdym do Saskiego ogrodu  
Szedł dziś ulicą Niecałą...

(Pauza).

Bo państwo może nie wiecie,  
Że chodzę zawsze tamtędy?  
Dam mnóstwo: kwiatek przy kwiecie  
Pomyka tędy, owędy.  
Ja na nie śmiało, nieśmiało  
Zerkam, to z boku, to z przodu,  
Gdy do Saskiego ogrodu  
Idę ulicą Niecałą.

Spektakl przedziwny i rzadki!  
Procesya tak się nie tłoczy:  
Głośno chichoczą meżatki,  
Panienki spuszczaają oczy.  
Spotkam znajomych niemało  
Bez najmniejszego zachodu,  
Nim do Saskiego ogrodu  
Dojdę ulicą Niecałą.

I t. d.

Świetny, oryginalny utwór, nieprawdaż! Ten Saski ogród! Ta ulica Niecała! Zaraz znać pióro swojskiego autora! Gdyby strofa kończyła się dwuwierszem:

Gdym bulwarem Montmorency,  
Szedł dziś do Bois du Boulogne,

monolog byłby — horror! — czysto paryskim, a tak z owym Saskim ogrodem i ulicą Niecałą jest czysto naszym. I niczego nam więcej nie potrzeba.

W kronice wreszcie życia towarzyskiego rok 1891-szy zapisze wielkimi literami datę pierwszego od niepamiętnych czasów rautu, na którym nikt nie gra, nie śpiewa i nie deklamuje...

...Z dymem gasnącego papierosa uleciały moje marzenia przyszloroczne...

Myśl cofnęła się wstecz od progu ostatniego dziesięciolecia wieku.

Zdawało mi się, że idę przez szereg świątecznie oświetlonych i udekorowanych sal. Nad drzwiami każdej

z nich widniały marmurowe tablice, oraz złote, duże rzymskie cyfry: 1800, dalej 1810, nad trzecią 1820, potem 1830 itd.

Nieznane mi jakieś, dziwnie wyglądające towarzysztwa, jakby ze starych landszaftów zgarnięte, zapępiały każdą salę, podnosząc wrzawę wielką i wiwatując. Nie pamiętam, abym kiedy widział pod jednym dachem zgromadzonych tylu wesołych panów i tyle dam w tak świętych humorach.

Wszędzie, jak na komendę, biły północ zegary i hucznym okrzykiem «spotykano» rok nowy.

Najgłośniej hukano w pierwszej sali, jako może dlatego, że wojskowych mnóstwo w niej spostrzegł.

— Nie nowy rok pozdrawiamy — krzyknął jakiś barczysty grenadyer — ale wiek nowy!

Ten «wiek nowy» elektryzująco podziałał oczywiście na obecnych. Wrzawa powstała nie do opisania.

W następnej sali też kipiało jak w kotle, w trzeciej także wznoszono wiwaty, że aż szyby, bręcząc cicho, drgały. To samo w czwartej, w piątej... W szóstej ciszej już zachowywano się nieco, w siódmej już tylko ktoś wrzeszczał solo; w następnej tylko już brzęk kieliszków słychać było, ale ani z wiwatem ani z mówką nikt się nie wrywał; w ostatniej wreszcie sali...

W ostatniej sali siedziało nieliczne towarzystwo rozbite na kółeczka po kątach. Mówiono przyciszonym głosem; wiele osób nie odzywało się wcale: ten i ów zdawał się być w głębokiej zadumie pogrążony.

Chłopak jakiś, z kilku książeczkami pod pachą, podobny z miny i powierzchowności do ulicznego przekupnia, biegł po sali wykrzykując nieśmiało:

— Kalendarz na rok 1891-szy! Kalendarz z przepowiedniami!

Ale nikt nie kwapił się z kupowaniem. Zdaje mi się nawet, że ktoś zniecierpliwiony chłopaka za drzwi wyrzucił.

W progu ukazał się lokaj, niosąc na tacy kilka kieliszków i butelkę sześćdziesięciokopiejkowego wina z hy-



gienicznej winotłoczni Morozowicza. Towarzystwo ruszyło się z kątów leniwie.

Zegar zaczął bić północ...

Rdzawych jego sprężyn mozolne kołatanie — przywołało mię... do rzeczywistości.

Sięgnąłem do nowego, prosto z igły «Kalendarza terminowego», stojącego już na pogotowiu w rogu biurka i zdarłem uroczyście przysłaniającą daty okładkę.

I zabieliła się przed memi oczami wielka, biała karta z gotowymi rubrykami na zapisywanie dalszego ciągu etapów syzyfowej pracy.....

Nie znam nic bardziej melancholicznie nastrojającego jak dziewicza, pierwsza karta świeżego kalendarza.

Warszawa, 1900.



# A KONIK GRZEBIE MOGIŁĘ DLA NIEGO...

.....

. . . . .  
Stoi ulan na widecie,  
A dziewczyna, jak malina,  
Niesie koszyk róż.  
*F. Kowalski.*

Rację ma Robert de la Sizeranne. Prawdę szczerą malował Van der Meulen i bataliści po nim najslawniejsi aż do Vernetów włącznie, aż do samego Raffeta. Nie była wojna ani tak okropna, ani tak ponuro tragiczna — za dawnych, dobrych czasów...

Szło się na «wojenkę», jak na kawalerską wyprawę po «wawrzynu niewiedzący liść». Jak huragan przelatywało się przez «grody i wioski», przepływało się wplaw rzeki, brało się szturmem szanice, strzelało oczyma płomiennymi po balkonach osypanych kwiatami; obóz, pobudka, pochód... grają trąbki, biją werble, grzmi chór potężnych, młodych głosów... furczą przodem rozwinięte sztandary... Pod lśniącym pancierzem, z jakimże azardem niosło się w zamęt bitwy szarfę kochanki!

I konano na «polu chwały» z uśmiechem na bledną-

cych ustach, z okrzykiem zapamiętałym: *Vive le roi!* lub: *Vive l'empereur!*

Potem poczeli malować wojnę Neuville i Wereszczagin... Ale nie ich pytajcie, czem była wojna ongi. Nie pytajcie nawet Goyi i Callota, którzy, malując wojnę, przeczuli nasz dziś pogląd na nią. Pójdźcie przed obraz, dajmy na to, Lenfanta i przypatrzcie się mu dobrze, przypatrzcie się, jak inaczej działo się pod Fontenoy, niż pod Mars-la-Tour!

Książę Richelieu, na wzgórzu pod Fontenoy, składa raport królowi.

— Jakie wieści? — pyta król.

— Bitwa może być wygrana, jeśli taka będzie wola waszej królewskiej mości.

Król skinął.

Olbrzymia ława piechoty angielskiej, zmasowana w plutony, posuwała się zwolna ku linii bojowej francuskiej. Na spotkanie jej dźwignęła się piechota francuska, i obie ławice zwolna, pod ogniem armat grzmiących z dwóch krańców pola, posuwały się ku sobie. Zbliżono się na pięćdziesiąt kroków. Wówczas oficerowie angielscy, czyniąc zadość regulaminowi z poprzedniego jeszcze stulecia, złożyli ukłon głęboki jeneraliccy francuskiej. Wystąpił naprzód kapitan angielskich «gardów», lord Hay, i krzyknął na głos cały: «Panowie francuzi, raczcie strzelać pierwsi!» Tedy hrabia d'Auteroche, lejtenant grenadyerów, unosząc dworsko kapelusza, odpowiada: «Panowie anglicy, my nie strzelamy nigdy pierwsi; raczcie zaczynać sami». I pierwsza salwa angielska zmiata cały pierwszy szereg grenadyerów: sześciuset żołnierzy i pięćdziesięciu dwóch oficerów...

Nazajutrz pod namiotem Ludwika XV śpiewano przy deserze uczyty co się zowie wersalskiej, wdzięczny romans o *charmante Gabrielle*, skomponowany przez dostojnego przodka j. kr. mości, nieśmiertelnej pamięci króla Francyi i Navarry, Henryka IV:

Niech złożę na twe skronie  
Korony blask i czar,  
Zawdzięczam ją Bellonie —  
Serdeczny przyjmij dar!

I chórem podchwytywali: niezdolny od ran utrzymać się na nogach marszałek Maurycy Saski, i marszałek de Noailles, i księżę de Gramont, i cięty dwakroć przez ramię margrabia de Croissy, i stół królewski cały:

Przech mi jeszcze żyć,  
Przech mi jeszcze żyć,  
Zbywszy kochania!

Potem przyszła *gloire'a* napoleońska i jeszcze innego splendoru nabrała wojna, bardziej mordercza i brutalna niż kiedy... Orły leciały przodem i raz po raz po olbrzymiem, chrzęszczącym cielsku «wielkiej armii» przebiegało tchnienie roku 1789. Wielkość była w eposie owej przebóstwiająca niejako dokonywane gwałty i bezprawia. Aż na wąwozy Samosierry promieniowała *gloire'a* owa; koroną blasków opasała Elbę, luną biła od więziennych skał św. Heleny i migotała długo, długo jeszcze po rozsianych od Madrytu do Moskwy kurhanach...

I dziś jeszcze my odczuć jesteśmy zdolni prawdę słów Bérangera:

»Szczęśliw, kto życie wśród uczt tych postradał!«

Bo: tak! Bo fety to były rzetelne, uroczyste, upajające, owe Marengo i Austerlitz, i Jena i Wagram, i Friedland, nawet Eylau...

Przypomnijmy sobie jedną z najwspanialszych kompozycji batalistycznych — nie! — malarskich wogóle: Raffeta „*Retraite du bataillon sacré à Waterloo*“. Zmierzch zapada. Ciężkie szwadrony dragonii angielskiej opasały czworobok starej gwardyi, co osiadł, jak forteca, w pośrodku pobojo-wiska, spiętrzonego trupami ludzi i koni. Czworobok stoi

cały w kłębach dymu, jasnego od ognia wystrzałów. W pośrodku czworoboku — on... jak posąg na białym koniu, a przed nim pęk sztandarów. I dymy te jasne rozkładają się wokrag tego ostatniego zastępu — jak aureola...

Blasku, blasku trzeba pobojuwiskom! Blasku nietylko męstwa i waleczności, których potoki spłynęły z potokami krwi żołnierskiej na wszystkie bez wyjątku pobojuwiska. Blasku...

Blask aureolowy, zadość czyniący, ekspiacyjny, uświęcający, unosił się bodaj po raz ostatni przed naszemi niemal oczyma: nad Magentą i Solferinem.

Wystrzeżwieliśmy, wydarliśmy się z pod uroku. Nie zdołaliśmy niczego przeinaczyć, uprzętnąć, odmienić i nietylko przestaliśmy z kawalerską fantazyą podśpiewywać:

Malbrough s'en va-t-en guerre!

aleśmy nawet zatracili zdolność odczuwania dziwnej a tęsknej, rzewnej jakiejś, rozbrajającej i uświęcającej melancholii, przepajającej finał tej starej, okrutnie starej, na pozór krotochwilnej piosenki.

Rozpowity z *mironton-mirontaine'ów*, ma on w sobie całą smugę poezyi — tak: poezyi — wojennej. My już dziś tylko jak bajki z za siódmej góry i dziesiątej rzeki słuchamy o wyruszającym buńczucznie na wyprawę, walecznym panu Malbruku, o niepewności kiedy i czy z niej powróci, o nadchodzącej o nim wieści żalobnej i uroczystem pogrzebaniu «bohatera».

Rozumiemy dziś doskonalej, niż kiedy, że to wszystko tak być musi, że inaczej być nie może. Ale powoli zatracą się w nas rozumienie, odczuwanie bezwzględnej, bezkrytycznej, na poły smutnej, na poły radosnej — apoteozy bohatera.

Zasadzon wkrag mogiły  
Rozmaryn. W lat niewiele  
Wysoko na gałęzi  
Wywodził słowik trele.

Słowik śpiewać będzie nad mogiłą rycerzyka; śpiewać będzie o dokonanych przez niego czynach, prochom jego na chwałę wiekuiłą, a ludziom na wieczne ich podziwianie.

Duch zaś sławnej pamięci pana Malbruca, z kolczug i szamerowań rozpowity, strząsnąwszy z siebie kurze krwi bratniej, uleci ku przybytkom nie ziemskiej już, lecz niebieskiej chwały — poprzez wawrzyny...

On vit voler son âme,  
On vit voler son âme  
A travers les lauriers.

I gdy usta powtarzają machinalnie słowa starej, staroświeckiej piosenki, zdaje się nam, że widzimy, jak ulatuje hen! tam, w nieśmiertelność dziejów, duch całej, olbrzymiej wojen epoki — porzucając za sobą po przepysznych sarkofagach: rozkruszające się zwolna pod rdzą, poszczerbione koncerze i krwią zbryzgane dziiryty...

# WCZASY PETERSBURSKIE.

## PRZEDPOŚCIE.

Ostatni dzień zapust..

Dziś o północy zamilkną wszystkie mniej lub więcej rumuńskie orkiestry po pierwszorzędnym restauracjach stolicy, najzupełniej nie rumuńskie po średnich, a szafowe orkiestryony po traktyerach. I milczeć będą jak zakłętę przez tydzień cały, potem znowu przez dni ośm w środku postu i raz jeszcze przez cały Wielki tydzień. Tak obyczaj każę. Dziś o północy ostatni «wstawiony» przecho-dzień wysadzi po raz ostatni parterową szybę, skwaszony jak ogórek «gorodowoj» ostatnie bajecznie przykre słowo powie podchmielonemu dorożkarzowi.. I zapadnie długi, czterdziestodniowy post.

Tymczasem zaś, po szaro-brunatnym od odwilży śniegu ulicznym, jak po najrzetelniejszym piasku, śmigają sanki, miękko pomykają karety, huśtają się na materacowych gumach śwędzące automobile, a...

A obok mnie, na kanapce, obitej safianem *garance* — barwa ineksprimablów armii francuskiej — w załamaniu węglowem dwóch lustrzanych ścian, z *menu* w rękę o herbie miasta Paryża (statek ów, co to od wieków *fluctuat nec mergitur!*), nie mającemu pojęcia o języku francuskim

garsonowi wymyśla po francusku akcentem hiszpańskim J. Eks. pan ambasador brazylijski.

Pan ambasador jest stałym *habitué* Cubat'a — i jeśli mówię *sans façons*: Cubat'a, dowód to, iż przypuszczam, że nieporozumień nie wywołam. Jeżeliby jednak ktoś... ale nie, nie przypuszczam. Na śniadaniach u Cubat'a bije od lat tyłu tętno tego, co zwie się we wszystkich językach świata «tout Pétersbourg» (nie zapomnieć ostrego akcentu nad *é!*), że pióro wzdraga się przepisywać szyld Cubat'a. Cubat — to Cubat. I gdyby złożyły się na trzy takie salki bialo-garance-lustrzane cztery pozostałe pierwszej klasy jadłodajnie Petersburga: Donon, Ernest, Constant i «Miedwied», który, mówiąc nawiasem, też jest rodowitym francuzem, jeszczeby nie był to Cubat, ów skromny na zewnątrz *Café de Paris* przy Wielkiej Morskiej, gdzie między 12 a 3-cią *rendez vous* sobie daje, jak się rzekło — *tout Pétersbourg*.

— *Faites venir le maître d'hôtel!*

Maitre d'hôtel? Międzynarodowe słowo — jak «tramwaj». Garson tatar, honorowany tu powszechnie wcale zaszczytnym, mojem skromnem zdaniem, tytułem «człowieka» — (Że też Diogones w tych stronach nie bywał!) — dał wdzięcznego pirueta na pięcie, znikł i za chwilę, mijając mię szybko, dopadł do sierdzistego gościa *monsieur Victor*. A trzech garsonów z liczby kilkunastu, uwijających się dokoła, przystanęło na boczku — który z soją, który z porcyą melona w rękę — i zerkąło od niechcenia.

— *Goriaczyj gospodin!* — szepnął półgłosem ów z melonem; dwaj drudzy uśmiechnęli się — i prysnęli w tłum.

*Monsieur Victor* z cechującą go powagą, godnością i wyrozumiałością wysłuchał najprzykładniej trzaskającej piorunami iście południowemi, historii o niedogrzanym o ćwierć stopnia burgundzie, przechylił piękną swą głowę podzwrotnikowego plantatora *en retraite*, i ze znajomością rzeczy człowieka, pobierającego 300 rb. miesięcznej gaży, a otrzymującego po «dobrych» kolacyach w gąbiniecie po



kilkanaście rubli na... nie, pan Wiktor piwa nie pija! —  
jął oglądać uważnie butelkę.

Nie, wszystko wolno powiedzieć o tym Romanée,  
tylko nie to, że zbyt mało ogrzane! Były przykłady —  
miły Boże! co się to nie przytrafia w stolicy olbrzymiego  
państwa! — były przykłady, że żądano niektórych marek  
bordeaux, przelanych kolejno w dwie ogrzane karafeczki...  
ale Romanée Conti lub Pommard!

Oliwą na wzburzone flukta płynęły pełne namaszcze-  
nia wywody *monsieur Victor'a*. Nieoceniony człowiek! Od-  
wołano go. Szkoda...

Ba, obowiązek. Tam w salce w głębi, co to niby  
sanktuarium stanowi tego przybytku, tam, gdzie sadowi  
się *la fine fleur* towarzyskiej śmietanki... pomyśleć tylko:  
kwiat śmietanki!... w salce owej, co jest, nieprzymierzając,  
wysokiem C apartamentów Cubata, mocno zarumieniony  
jakiś pan, należący do sześciuosobowego, *au champagne*, sto-  
lika raczył miłościwie zapotrzebować na dziś wieczór ko-  
lacji gabinetowej. Punkt o 10; potrwa tylko do północy,  
rozumie się; cztery osoby; przekąski, ostrygi, *truites de  
Gatchina*... hm!... może bekasy, co? są?

Pan Wiktor dobył podłużnego notatnika. Notuje —  
radzi...

— Mumm extra dry?

Dwie *dry* a dwie *demi-sec*... Damy...

— *Sufit! Monsieur n'aura pas à se pleindre!*

\* \* \*

Głowa przy głowie. Szamerowania mundurów aż  
iskrzą się dokoła. Pod oknem bije jaskrawą plamą fiolet  
czerkieskiej mundurowej czamary księcia W., co to w Ce-  
sarskiej był eskorcie (wymawiaj: «konwoju»), a teraz do  
któregoś z kaukazkich wstąpił pułków, zaś dwa dni temu  
przyjechał z Nizzy, a za dwa dni wyjedzie podobno do  
Mandżuryi.

— A wy, Mikołaju Piotrowiczu, kiedy?

— Jutro.

— Wasze zdrowie!... Pułk już ruszył?

— Dogonię go w Czelabińsku.

Za oknem, przysłoniętem na całą szerokość firanką w herby Paryża, jął wykrzykiwać roznosiciel uliczny: «Ostatnie depesze! najświeższe telegramy!»

O kilka kroków odemnie dwie kompanie, siedzące u przeciwnych stolików, rozmawiały głośno ze sobą przez całą szerokość nie dużej salki. Prezydował w jednej kompanii Łazarew, pyszny typ bruneta-rosyanina; twarz matowa, oczy w ogniu pod mgłą, miękka, delikatna, gęsta broda, z pod której miga przelotem ciemno-czerwony kra-wat... Wyszedł już był, wrócił i stał w paltocie futrzanym, rzucając ostatnią cyfrę jakiemuś, jak widać, również wła-ścicielowi stajni wyścigowej, ale podmoskiewskiej. Szło o sześć koni, które właściciel Irish-Lad'a kupi oto w dwóch słowach na niewidziane.

— Szwajcar!

Nadbiegł któryś liberyjny odźwierny.

— Połączyć telefon z Moskwą!

Kupił. Nalał sobie Vichy, wypił, ścisnął ręce naj-bliższym i przez pierwszą salkę, skinąwszy po drodze głową na prawo i na lewo, wyszedł.

Pamiętam go dobrze w dniu wzięcia przeszłorocznego derby na tutejszym torze. Urządzono mu huczną owacę; no, bo jakże! — rosyjska stajnia! «Nasz» Łazarew! Kłaniał się z łoży, ścisnął ręce znajomym i nieznanym. Jaki przystojny, interesujący i — żaden Grabowski, ani Lubo-mirski, ani nawet Bloch!

\* \* \*

Tam na lewo, w głębi, gdzie palą się sine dwa płomyki spirytusowe dwóch kaw *extra* — co za wspaniały «rembrandt» popielato-perłowy, a w misternym półcieniu

bajecznego kapelusza... a no tak! naturalnie: turkusowe oczy Liny de Whisky. Znowu w Petersburgu? Palmyro północy! Gwiazdo polarna! jakież magnesy w tobie, że...

Gdzie u licha ja go widziałem tego jegomościa z prawego flanku Liny? Nie, to tylko pokazywał mi go któryś ze znajomych, przed rokiem. Mam już. Akcyjne olbrzymie przedsiębiorstwo na Uralu... koncesya... miliony. Układał się wówczas z tym samym oto drugim współbiedniakiem Liny. Tu dobili targu i nazajutrz tu również poili jakiegoś belga czy anglika winem czerwonym 60 rubli butelka.

Jest 60-rublowe czerwone wino? A jest. Kiedym raz w naiwności mojej jał przekładać młodemu Cubatowi, że istnieć nie ma prawa cena taka na wino, psujące się po dziesięciu już latach, wiary nikt nie da, co mi odrzekł p. Cubat junior.

— *Que voulez vous, monsieur!* — rzekł — *Si on ne le trouve pas chez nous... on ira le chercher — ailleurs!*

Gada, jak stary ten młody geszeftsman.

\* \* \*

Inny stół.

— Powiadam wam, no i napiszę lada dzień: niech wedrą się za Jalu, to wymrą w Mandżuryi z głodu i strategię od siedmiu boleści dyabli wezmą, bo uważacie...

— Nie «Asahi» ale Retwizan»!

— Przepraszam cię, co 15 tysięcy ton to nie 12...

Było czterdzieści osób, dwadzieścia dwie płaciły, wypadło po 50 z czemś rubli, ale obiad!

— Do «Daily Mail»? Pisz, jakże go? ten, wiesz co to...

— A ja ci powiadam, że «Retwizan»!

— Ona do Paryża, on do Paryża, ona na Revierę, on na Revierę, ona...

— ...do Akwaryum!

— Ha! ha! ha! ha...!

Braknie dziś akurat dwóch panów z «Nowoje Wremia»

a prawie zawsze o południu w komplecie. Ha! — wojna i zapusty.

Voilà une double raison...

Pour ne pas y voir clair

— jak śpiewają w którejs operetce. W Paryżu, niechby w trzech salkach którego *café* stłoczyła się taka mieszkalnycya inteligencyi, zamożności, arystokracyi i *haute volée* — sąsiad-by sąsiada nie słyszał od gwaru. Nie ręczę, czy gdzie na boczku nie — zanuconoby chóralnie.

— *Pas vrais, monsieur Georges?*

Monsieur Georges, kolega po urzędzie monsieur Victor'a. Pięćdziesiąt rubli mniej na miesiąc, ale co dwa lata urlop letni. Mr. Georges ma krewnych i znajomych całą furę tam, *à la campagne* pod Orleanem. A i z Paryża ani się wyrwać... tyle lat tam przebył. *Oh! Paris!* Mr. Georges wraca zawsze jak nie ten człowiek — stamtąd. Potem przez parę tygodni miejsca sobie znaleźć nie może — potem ocierpi się — i nasadzoną na widelec kaczkę rozkrawa znów w powietrzu jak gdyby nic i rekomenduje 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub>-rublowe cygaro a trzyrublowy kieliszek koniaku wydaje mu się w dalszym ciągu rzeczą tak naturalną, jak gdyby krokiem nie ruszył nigdy poza Wielką Morską, Grochową, Kirpicznyj i Mojkę.

Przerwało nam rozmowę wejście dwóch panów. Bardzo *correct*, zanadto tylko wytuzurkowani, jak na śniadanie u Cubat'a bo dobry ton przypisuje właśnie najbardziej po domowemu tam się o południu pojawiać. Co innego obiady, oho! Tam w górnej biało-żółtej sali między 7 a 9: smokingi, tużurki, damy w jedwabiach i koronkach. Innym razem tam może zajrzymy, ot tak sobie przy turbocie *sauce capres* i przy *pommes Montmorency* posłuchać rumunów płatnych 120 rb. dziennie.

\* \* \*

Ci panowie tymczasem... Naturalnie! Jeden z pod Wilna, drugi z pod Witebska. Interesa, panie dobrodzieju,

interesa!... Własne, obywatelskie... a jakże. W ministerstwie, w departamencie byli, a jakże; u kolegi szkolnego «bardzo wysoko postawionego», potem w trzech głównych zarządach i dwóch zjednoczonych pałatach, potem, a jakże, w Maryjskim na benefisie Krzesińskiej... Od tygodnia już bawia, a żaden jeszcze «sprawunek» nie załatwiony! To te przekłete petersburskie dystansy! — jedziesz, jedziesz, końca niema, dzień cały przejeździsz. Chwała ci Pani! jutro post, dobić się będzie można do wszystkiego.

Próbowałem nie słuchać — nie sposób. Hamują się, znać, a wciąż jeszcze o dobry ton głośniej i żywiej mówią, niż brzmi przeciętna petersburska rozmowa w lokalu publicznym. I z zacięcia i z głosu poznasz odrazu i zdaleka — rodaków, przyjezdnych. My — myśmy już tu mieli czas — spódnocnieć.

— Panie Georges, kochany panie, powiedz no, a jakże tam tegoroczna «maślennica»? co?

Ale Mr. Georges, który przed chwilą dyskurs prowadził z jeneralnym konsulem duńskim (*un habitué, parbleu!*) i z agentem dyplomatycznym nie wiem już jakiego mocarstwa, brwi tylko podniósł, sfałdował czoło, uczynił prześliczną pauzę i rzekł:

— *N, i — ni, fini...*

Także mi odpowiedź! Bez niego wiemy wszyscy, że skończyły się zapusty i zaczął się post.

*In pulverem reverteris...*

Luty, 1904.

# WCZASY WARSZAWSKIE.

## W PRZELOCIE.

W «Bristolu». Pierwsza wielka sala restauracyjna. Godzina: lekko po drugiej. Dzień marcowy ciemnowy i słotny. W dużych oknach, wychodzących na wirydarz hotelowy, światło bladawe. Ruch na sali stopniowo ustaje; tu i owdzie tylko przewleka siestę kilku panów. Nastrój: *fin de déjeuner*.

U stolika, nieco na stronie, dwie damy i trzech panów. Wieś... nie omylić się, ale ta, podszyta zimową Nizzą i letnią Ostendą; wieś z «Cesarstwa»; tak coś jakby z Polesia, a może z głębi Wołynia; oczywiście — przejazdem. Dziś w Warszawie silna frekwencya — przejeznych. Kwestya, hm... sytuacji geograficznej miasta.

Sądząc z zastawy stołu: *quasi* obiad. Przywyka się na wsi do wczesnego obiadu. Na stole *Barklay, Perkins and Comp*, w kamionce dla panów; lekki *Haut Barsac* dla pań. Broń Boże, żadnych ekstrawagancyj! Ciężkie czasy.. Byle się na zwykłej stopie utrzymać!... Grzech więcej wymagać. Może nie?

— Święta racya, droga pani. Byle jak, byle gdzie, byle..

— Z kim? Daj pan pokój! Byle nie — byle z kim

Trzecią klasą? Choć do Paryża! Byle w dobrem, w «swojem» towarzystwie.

— Ale państwo naprawdę do Paryża? — wtrąca średnio sympatyczny pan w szarym tużurku, oczywiście nienależący ani do jednej, ani do drugiej pary.

— Jak Kocio zechce... — słodko spuszcza z usteczek pani w kostiumie *tailleur*, tuszującym prostotą kroju nieco za strojne «dodatki». Splata rączki i podniósłszy je lekko, przygląda się ostentacyjnie paznogciom bez zarzutu.

Kocio wygląda uszczęśliwiony. Kocio czuje się panem sytuacji i śmieje się, usiłując jednak *quand même* i nie wiedzieć poco, utrzymać w ustach rozmiążdzone cygaro.

— *Il est bon enfant*, Kocio? he? — Mówi to przyjaciel Kocia, sąsiad, kolega szkolny — coś w tym rodzaju. A może ożeniony tylko z Kociowej albo z blizką krewną albo z koleżanką z *Sacré Coeur* lub z Jazłowca? W każdym razie, wali Kocia po ramieniu, a do pani zwraca się jak, do... no, jak do żony najlepszego przyjaciela.

A pani, popatrzwszy na jeszcze śmiejącego się męża:

— *Oh! oui... bien bon et bien enfant!*

Kocio poczyną zaklinać się, że do Paryża nie pojedzie. Pojechał tak sobie, byle gdzie, byle nie być na wsi, bo od dwóch tygodni oka nie mógł zmrużyć... od tych... tego... pogłosek. Żarty, bo? Straszą i straszą.

— Imaginujcie sobie. Te panie z Drenicy... Znasz Władek? A i pan, zdaje się, u nas spotykał?... siedziały cicho kiedy aż wrzało w ich własnej parafii. Uspokoili się i one wówczas zaczęły truchleć; spakowały wszystko, ale to literalnie wszystko... do ostatniej umywalki... fortepian... obrazy... i jazda z tem wszystkim do... miasteczka powiatowego! Też upatrzyły sobie Gibraltar! I — siedzą tam, dalibóg, siedzą — z fortepianem, obrazami, umywalkami i Toczkim, a jakże! bo i Toczek schronił się przed rebelią do powiatowego grodu.

— Nerwy.

— Głupota. Co za specjalne bezpieczeństwo w miasteczku!

— A u państwa co? spokojnie?

— Pisał Harasimowicz, że spokojnie, ale czy to jego dwór! spala, no to spala; gorzelnę zrujnują, a no, to «wola Boska!» U niego wszystko — wola Boska.

— No, tak! Niech tylko leśnicy co tchu dadzą chociaż znać do dworu. Trudno wymagać więcej.

— I nie zda się na nic — odezwała się dama w dużym czarnym kapeluszu, milcząca dotychczas. Z pod całego jej *savoir-vivre'u* i *comme-il-faut'u* wyzierała troska i silna wrażliwość na temat rozmowy.

— Zostawiliśmy wszystko, niema co mówić, na Boskiej opiece — dodała — Co będzie to będzie. Zresztą... już ja nie mogłam dłużej! To zamykanie okiennic, te patrole stróżów nocnych... te wiadomości, te czekania powrotu męża z folwarków, te noce!... Najpierw dzieci wysłaliśmy do Zosi, do siostry mojej, pod Brześć. A teraz sami kręgiem jedziemy...

— W Warszawie państwo dłużej zabawią?

— A broń Boże! — W innych czasach...

— Pojęcia pan niema, jak żona moja lęka się... Nie do opisania. Trzy dni tu jesteśmy i nie byliśmy w teatrze. Wieczorem, z hotelu — za nic! Namawiałem do Filharmonii, dorożką... Ani w tę stronę. Ulica Marszałkowska cieszy się u żony mojej właśnie najgorszą reputacją. Od czasu tych awantur i rozbijań grudniowych, właśnie najobfitszych na Marszałkowskiej... Czytaliśmy na wsi, a i tu nasłuchaliśmy się. Brr!...

— Psia krew! — zaklął Kocio. — Co się z tej Warszawy porobiło!

Towarzystwo zamilkło. Garson w niebieskim wice-mundurze, błyskając guzikami, dyskretnie a zręcznie proponował kawę. Mały wice-garson celebrował też, wedle sił i uzdolnienia, około stołu jaśnie państwa.

Jaśnie państwo milczeli wciąż. Przyjaciół Kocia



a może sąsiad lub eks-kolega?) sięgnął po zegarek i, zamysłiwszy się, jał go obracać w palcach.

— Która?

— Trzecia.

Warszawski znajomy pożegnał się i odszedł. Pozostali panowie poczęli szybko popijać kawę; panie ujęły za rękawiczki.

Wówczas dama w dużym, czarnym kapeluszu ruchem wielkiego znużenia odchyliła się w głąb fotelika swojego, na chwilę ręce rozwarła gestem, wcale nie uplanowanym z góry, prostym, szczerym i rzekła:

— Toć to przecie wszystko straszne! Tak żyć nie sposób! Wszędzie popas. Jutro niepewne. I — chciałoby się wyrwać... wyrwać... wyrwać się z tych czasów! Toć przecie — ludzkie! Albo zasnąć i obudzić się dopiero, gdy...

— Moja droga, — przerwał spokojnie mąż — nie diwaguj! nie egzaltuj się! Ja też, ręczę ci, wolałbym z Kociostwem pojechać gdzie za granicę... dlaczegożby nie! I czytać tam sobie spokojnie gazety. Ale jak co tam gruchnie u nas na wsi, to co? Zawsze bliżej doskoczyć z pod Brześcia, niż zza Alp. Zobaczymy zresztą. Stanie się wszędzie *intenable* — to, zabierzemy dzieci i pojedziemy.. Już bądź spokojna. Niewygodne bo niewygodne to wszystko; ale emocyonować się tak już do zbytku niema racyi.

Rzekł i kazał dać rachunek.

Marzec, 1905.

# AUCTUMNALIA.

.....  
Ma verve fut vite étouffé  
Sous le journal, rude fardeau;  
La servante chassa la fée;  
L'article tua le rondeau.

*Ch. Monselet.*



O ZMIERZCHU, W POLU.

---

Pójdziem my z tobą, pójdziem w świat daleko!

.....  
Ach! pójdziem bodaj w przestwór wiejskich pól.

Tam cisza; skrzydła myśl rozwija lekko,

W letarg zapada życia ostry ból —

I, pogodzeni z jarzmem ludzkiej doli,

Dnia wczorajszego nie pamiętni już,

Pójdziem milczący, pójdziem my powoli

Po miedzach złotych zbóż...

Pójdziem my z tobą, pójdziem tak bez końca!

.....  
Ach! bodaj chwilę wytchnąć dajcie nam;

Dajcie tę resztkę gasnącego słońca,

Trochę obłoków, już blednących tam,

Dajcie nam z życia, czego wam nietrzeba,

Co ma ptak leśny, co ma polny kwiat:

Chwilę swobody, jasny promień z nieba,

Minionych odblask lat!

Pójdziem my z tobą szukać zórz świtania!

.....

Ach! niech choć w zmierzchu zanurzym się mgłach,  
I niech nam piersi rozpętają łkania,  
Ołowie smutków niechaj spłyną w łzach,  
I niech popatrzymy chwilę w dal bezkresną,  
Jakby gdzieś przystań dla nas była tam!  
Powrócimy... w duszy z wizją tą bolesną —  
Nie mówiąc o niej wam.

---

## PRZED WIECZNOŚCI PROGIEM.

---

Czy ty sądzisz, że lot swój obniży  
Szybujący w niebo ludzki duch,  
Gdy do duszy mej przystąpi bliżej  
Na granicznych kresach światów dwóch?

Archanielskie daj mi skrzydła swoje  
Na wezglowie — bo mi zbrakło tchu —  
Nim o życiu zapomnim oboje:  
Ty — w niebiesiech, ja, samotny — tu.

Archanielskie skrzydła zwiń na chwilę,  
Pod znużoną głowę mi je daj.  
Nic nie wskrześnie! Wrażeń zgasłej sile,  
Patrz, urąga wspomnień błądy maj.

Widzisz?... Nie! My będziemy już widzieli  
Tylko smutną, straszną ową dal,  
Która od nas lata wspomnień dzieli  
I czuć mozem — nie drżysz! — tylko żal.

Więc znikomość rzucasz tę okrutną  
Dla tych światów, gdzie duch wiecznie trwa?  
W nieśmiertelność rwiesz się — bo ci smutno;  
Bo mi smutno — jej nie pragnę ja.

Na dwóch światów oto stojąc kresie,  
Przecz na oślep jabym rwać się miał

W jutro, które nie wiem co przyniesie?  
Czyż dzień życia nie dość długo trwał?

Jutro życia! Co to? Przebóstwione  
Życie moje, jego blask i lzy?  
Ach! przepłyną lzy na «tamtą» stronę...  
Nieśmiertelnych łez czyż pragniesz ty?

Obojętnem jest mi, co minęło;  
Nawet moich nie ziściło snów....  
Mamże życia rozpaczliwe dzieło  
Tam, za światem, rozpoczynać znów?

Znów oddawać siebie tam w niewolę  
Mocom, których szal bezduszny znam?  
Dumne czoło kłaść pod aureole,  
Co rozdaje czyjaś łaska tam?

Precz odemnie z łaską! Jeśli prawo  
Nie istnieje wręcz dla ludzkich dusz,  
Wolę skonać tu ofiarą krwawą  
Niż wyblagać... A ty idź, i słuź!

Słuź im wiernie! Wstrząsaj trybularze  
By nie opadł wiecznych kadzidl dym.  
Idź! Tam, w niebie, jeszcze są ołtarze...  
Idź! — i wdzięczność ziemi zanieś im.

Zeszlij stróże; do mnie niech przypadną;  
Duszę ludzką, dzieło Boskich rąk,  
Niechaj porwą, cisną niech bezwładną  
W wieczność innych — byle innych... mąk!

Milczy niebios nademną sklepienie.  
Nieskończoność... Wieczność... Gdzie? Czy tam?!  
Otom legł — i czekam na skinienie.  
O mój Stwórco! złam źdźbło trawy, złam!

## WIOSNA.

---

O brzasku wczoraj już  
Dymiły luno zórz —  
Hen, z nad dalekich mórz  
    Płynął ich dym...  
Od wschodnich nieba stron  
Wciąż bił i bił, jak dzwon,  
Rwący się, głuchy ton —  
    Huczy dziś znów...

A cichy, jasny dzień!  
Ciepłych przepelny tchnień...  
Otwórzmy w oścież się:  
    Wnijdź, wiosno, wnijdź!  
Ściany skulonych chat  
Odtajcie! W Boży świat  
Z za okien gęstych krat  
    Leć, duszo, leć!

Wesel się duszo ty!  
Ciężkie twe, mroczne sny  
Przetapia w lotne mgły  
    Słoneczny blask! — —



Od wschodnich nieba stron  
Wciąż głuchy huczy dzwon,  
Bije na trwozę, — zgon..  
Boże! — gdzie Ty?

Kwiecień 1904.

---

## PO LATACH....

---

Kiedy wnukowie między antenaty  
W tej oto sali portret mój zawieszają,  
Kto spyta w jakie-m powędrował światy  
Z umarłych rzeszą?  
Czy się nie błąka po tym starym dworze  
Duch, co wciąż jeszcze — zapomnieć nie może?

Niedługo może w to wiejskie zacisze,  
Gdziem tyle przeżył marzeń i nadziei,  
Marzeń swych przedzę snuć nowi przybysze  
Przyjdą z kolei...  
I nie postacie im te nie powiedzą,  
Co wkrąg po ścianach w starych ramach siedzą.

Gdyby postacie te nagle ożyły  
W tym dziwnym stroju, z obcem tem obliczem!...  
Z taką odeszli pompą do mogiły.  
Dziś czem są? — Niczem.  
Jakieś trwożliwe a natrętne cienie,  
Których tu niegdyś rządziło skinienie.

Już nie migają z poza drzew wyloty,  
Szczęk nie zalata znikąd karabeli,

I dawne twarze, występki i cnoty  
    My zapomnieli,  
I dawno o nie my już nie pytamy  
Skruszonych krzyżów u cmentarnej bramy.

Ojcowie nasi! w mgłę, w której toniecie,  
Nam dzień jutrzejszy miejsca przysposobi:  
Przez groby pójdzie nowy tor po świetle,  
    Czas go wyźłobi,  
Czas, co gotując nowej wiosny przyjdzie,  
Uprząta trawy doroczne i liście.

Mimo stuletnich lip tych i topoli,  
Następców naszych hałasne gromady  
Przyjdą ku grobom wędrować powoli  
    Naszemi ślady.

A nieśmiertelna, cicha praca ziemi  
Iść będzie dalej pod gwiazdami temi.

I znowu serca, młodą krwią rozgrzane,  
Szukać tu będą, czegośmy szukali,  
I, cicho gwarzyć przyjdą tu pod ścianę  
    W tej oto sali,  
Gdy jaśmin kwiaty swe na okna kładzie,  
I pieśń wieczorną słowik śpiewa w sadzie...

Wasze ja myślą przebiegałem dzieje  
O nieobecni, sadząc drzewa owe.  
Potem, gdy pierwszy cień mi te aleje  
    Kładły na głowę,  
Z radością, dziwnym smutkiem przemieszana,  
Mówiłem sobie: Dla nich pozostaną.

Pod drzew tych cieniem, dalecy, nieznanie,  
Młodości waszej złote sny prześnijcie,

Zanim wam dusze zmrozi i porani  
    Surowe życie!  
Może weselsze, niżli moje dzieje  
Zaszumią, wnukom waszym te aleje...

Cisza. Zegaru miarowe cykanie  
Chwilę za chwilą unosi do Lety —  
Zczerniałe wiszą przedemną na ścianie  
    Stare portrety,  
I dnia potężny zmierzch je przyobleka,  
Jak znak widomy — nicości człowieka.

I próżno jeszcze biją się w bezładzie  
Wśród zmroku czoła wyniosłe i blade:  
Nieubłagane, wieczne prawo kładzie  
    Na nie zagładę,  
I, snując z wieku w wiek wszechbytu prędze,  
Urąga ludzkiej bucie i potędze...

---

## HRABINA DEL FIECE.

---

Z królem gdy stała na balkonie  
Hrabina — hrabina del Fiece!  
Rzekł jej: «Ach!... serce moje płonie!  
Nam, królom, wolno nie dbać o nie, —  
Więc gdybym złożył je w twe dłonie?...»  
«Milcz, serce!» — hrabina odrzecz.

W wewnętrzne przeszli gdy komnaty,  
Hrabina — hrabina del Fiece!  
Dała królowi kwiat nad kwiaty  
I rzekła: «Chciej poprzestać na tej...  
Róży... Czas zetrze jej szkarłaty...  
Talizman to. Serca nim leczę.»

Do stóp monarszych się pochyla  
Hrabina — hrabina del Fiece!  
«Panie! Niech tryumf ten — motyla  
Dolę królewską ci umila.  
Królewska miłość — jedna chwila,  
A nasza — to życie człowiecze.

Od steru, coś go ujął w dłonie,  
Żaden już czar cię nie odwlecze...

Idź, Naród czeka tam — przy tronie...»  
Odszedł. — W sztandarach miasto tonie;  
Samotna дума na balkonie  
Hrabina — hrabina del Fiecel!

---

## ROCCOCO.

1789.

---

«Ustąpili z kraju Sasi,  
Ustąpili z miasta — z tronu!  
Jeszcze ten i ów się łasi  
Lecz my gonim bez pardonu.  
Fora! Fora z Polski dwora!  
Kto żyw, duszę jeno zbawił;  
Gdy krytyczna przyszła pora,  
Sam Brühl pałac swój zostawił.  
Ha! w karoce nie wziąć z sobą...  
Został pałac, mimo chęci.  
Będzie miasta nam ozdobą,  
Choć smród saski w nosie kręci.  
Wietrzcie! wietrzcie!

Tam do kata!

Toć gdy jechać tędy musi  
Król Stanisław, król sarmata  
W tych perfumach się udusi!»  
I pan Wojniusz wąs sumiasty  
Targnął, rzucił w tył wyloty,  
Splunăł, — zerknął na niewiasty  
I pogładził pas — z ochoty.

Potem brzęknął w karabelę  
(Też z ochoty); tupnął — w błoto;  
Zwalał sałjan mało wiele...  
Któż po mieście brnie plechotą!

Brnie pan Wojniusz po Warszawie,  
Jak w malignie wzrok mu lata.  
«Piastr! — powtarza — Piastr!... hm!... — prawie.  
Stolnik? — Tfu! — I cóż? — Sarmata!  
Tak, tak... Boskie zmiłowanie!  
Po sromocie owej saskiej,  
Po Stefanie i po Janie  
Znów Stanisław z Bożej łaski!  
Dosiądź, dosiądź ty bachmata,  
Królu-wodzu.... Powiedz przodem!...».

I szlachcica pierś kołata:  
«Naród z królem! Król z narodem!...»

Brnie pan Wojniusz po Warszawie,  
Połę gracko w garści niesie.  
Wali prosto — w pilnej sprawie!  
Choć przystanąć często chce się,  
Chce się przetrzeć wzrok, zdziczały  
Nadniemeńskim gdzieś ugorem,  
Tej stolicy okazałej  
Majestatem i splendorem.  
Lecz pan Wojniusz duszę niesie  
W twardej piersi, jak w szkatule,  
I ten skarb swój złożyć rwie się  
Między wodze... między króle...

Już, już blisko. Oto miedza  
Grodzka. Warta. Szlaban zgrzyta,  
Gmachów ciżba się przerzedza  
Buja zieleń pospolita...  
Pospolita! o, serdeńko,  
Głupis, głupis całą gębą!



Popatrz, wasze, gaju wrębą  
Perspektywą prościuteńką:  
Żwiry nawprost, w bok szpalery,  
Dworki... Głupiś! Dwór przy dworze!  
Zabielaly — znikły... Może  
Rady pańskiej to kwatery?

Pałac.

Rojno, gwarno, pstrzy się  
Od kolorów, jak w obrazku:  
Tnie kapela, woda szkli się,  
Tłum migota wkrag po lasku.  
Dziw nad dziwy!... Skąd? Maszkary?  
Czy wenecki kulig w lecie?  
— Stanął. Patrzy szlachcic stary,  
Nie wie gdzie jest, w jakim świecie?  
Na teatrum? Coś gdzieś śpiewa...  
Przed krużgankiem ktoś rzępoli...

Zszedł pan Wojniusz między drzewa  
I z myślami się mozoli.  
Zbłądził!

Idzie zwolna drogą  
Jakaś dziwna k'niemu para.  
A nie widzą snadź nikogo.  
Mówią. Dziwna jakaś gwaral  
On: (pan Wojniusz przetarł oczy)  
Wygolony, siwiuteńki,  
A tak lekko jeszcze kroczył  
Fraczek, ciżmy i spodeńki,  
Pstrawy jedwab', dyma w paski,  
Koronkowe węzły wszędzie,  
Furfurowa gała laski...  
Jezul... Fircyk w każdym względziel

A dzierlatka, choć też siwa,  
(Istne Boże pokaranie!),  
Jak z kruchego w tęczę szkliwa,  
Jak kościelne malowanie!

Zamarł szlachcic.

Idą. Gwarzą.

Czasem z szeptu śmiech ulata...  
Obróceni k'sobie twarzą,  
Jedni, zda się, pośród świata.  
Idą... Gwarzą...

Niespodzianie

Dźwięk rozbrzmiewa polskiej mowy.  
Co? — Co mówi? — Co?...

«To nowy

Kaprys, Najjaśniejszy Paniel!...»

---

## NA ODLOCIE.

---

Et s'il revenait un jour  
Que faut-il lui dire ?  
— Dites lui qu'on l'attendit  
Jusqu'à s'en mourir...  
*M. Maeterlinck.*

«O matko moja, o siostry moje,  
Po co leż tyle?...  
Wnet ja się w wiecznym śnie uspokoję,  
W cichej mogile.

Ani tu pustka po mnie zostanie  
Na życia drodze,  
Ani dla kogo moje kochanie —  
Przeto odchodzę.

A gdyby kiedy wrócił w te strony  
Z drogi dalekiej,  
Niech mu zakwitną kalin korony  
Hen, tam, u rzeki.

Niech się tam ozwą w pogodne rano  
Nasze ptaszęta;  
Odnajdzie ścieżkę dobrze mu znaną —  
Jeśli pamięta....

Zwykłą gošcinę niech ma we dworze  
Tak, jak bywało.

Może przypomni, zapyta może:  
Co się tu stało?

Na cmentarz dajcie odejść gościowi  
Niepostrzeżenie,  
I uszanujcie wy, ludzie nowi,  
Dawne wspomnienie.

Może zatęskni wśród mogił głuszy,  
W przeszłość zbląkany,  
Do tej śmiertelnie znużonej duszy —  
Niepożegnanej...»

---

## Z ARABESEK.

---

Jej zadumane, smutne oczy  
Mówiły ze mną dziś, samotnym,  
O kresie owym, nieodwrotnym,  
Co życie nagłym zmierzchem mroczy,  
O wyczerpaniu się tej siły,  
Co w świat nas rwie i naprzód niesie;  
O żądz, onamień, złudzeń kresie  
Smutne jej oczy mi mówiły.

«Choćbym ci chciała dać znów — siebie,  
Tej, której szukasz, niema we mnie,  
I ciebie szukać nadaremnie  
Po dawnych naszych dusz pogrzebie.  
Dawnośmy istnieć już przestali  
Bohaterowie baśni złotej,  
I teraz śmierć nam..... śmierć z tęsknoty  
Za tem, co sobie myśmy dali....»

---

## Z ARABESEK.

---

Skąd mi nagle się przyśniły  
Te anielskie, blade twarze,  
Mgłą owiane ziemskich snów?  
Skąd zaleciał ku mnie znów  
Jakiś haszysz dziwnej siły,  
Utajony w kruchej czarze  
Z alabastru?..

...Kameljowa,  
Martwa, chłodna obojętność;  
Oblubienic skromne pozy;  
Szalejące żarem słowa  
Po przez treści chłód i smętność;  
Miraż dziki i wspaniały  
Klątw, pożądań, żalu, zgrozy!

— Na twych włosach zapachniały  
Tuberozy...

---

## PAŹ I RYCERZE.

---

Był sobie paż. O takich już  
Dzisiejsze damy nie śnią!  
W okna bukiety rzucał róż  
I, tkliwiąc wiele tkliwych dusz,  
    Ci-di-ri-bim,  
    Ci-di-ri-bam,  
Dla pięknych dam  
Przygrywał pieśń za pieśnią  
    Na wdzięcznej mandolinie,  
    Ach!  
Na mandolinie...

Niewielki sens był pieśni słów  
Lecz nastrój był potężny.  
Co skończy grać, zaczyna znów,  
Że aż słuchając ten i ów,  
    Ci-di-ri-bim,  
    Ci-di-ri-bam,  
Do pięknych dam  
Przysiada mąż orężny —  
    Nie zawsze ku dziewczynie,  
    Ach!  
Nie ku dziewczynie...

Wiadomo, że jak świat ten trwa,  
Animusz mężę zdobi.

Całuje rycerz, a paż gra  
I przenaślodszą rozkosz ma —

Ci-di-ri-bim,

Ci-di-ri-bam,

Że serca dam

Do marzeń tak sposobi

Tą swoją mandoliną,

Ach!

Tą mandoliną...

Poeci młodzi! również wy

Grajkowie im rówieśni!

O dzięki wam za cudne sny,

Zachwyty, szaly, tęskne lzy,

Ci-di-ri-bim,

Ci-di-ri-bam,

Tych pięknych dam,

Co, słysząc wasze pieśni, —

Z miłości ku nam giną,

Ach!

Z miłości giną...



## IDYLLA.

---

Kiedy spleen cię rozpaczny ogarnie,  
Pójdź-no przejść się po Newskim Prospekcie!...  
We mgle wiszą matowe latarnie,  
Zapachniały perfumy i dziegieć.

We mgle dudnią kopyta i koła,  
Z ryn ci woda pod nogi wylata;  
»Bieregiś!» ktoś nad karkiem ci woła;  
Zmykasz... zemknął na koniec byś świata!

Płyną, błotem bryzgając przechodnie...  
Zakochanych wymija cię para.  
Nim zapalą hymenu pochodnie,  
Gdzie balkony, róż pęki, gitara!...

Ona główkę ku niemu przechyla  
Szepcząc coś w zakochanych dyalekcie —  
Płyń, płyń wiosniana idylla  
W mgłach jesiennych po Newskim Prospekcie.

I patrz! w piersi ci martwej i pustej  
Coś kołatać pocichu zaczyna,  
Coś drżącemi musnęło cię usta,  
Jakby kielich ktoś podał ci wina.

Szybko kroku przyspieszasz niechący,  
Jakbyś gonił za wiosną swą własną,  
Za twą wiosną, jak obraz niknący,  
Ach! tak dziwnie daleką, — tak — jasną!....

Petersburg, 1902.

---

## Z ARABESK.

---

Pytała panna kawalera:  
Jak długo miłość trwa?  
Czy bywa mocna, wierna, szczerą?  
Czy warta świeczki gra?

Kawaler spuścił w ziemię wzrok,  
Jął w piasku grzebać kijem...  
«Trwa miłość — westchnął — czasem rok,  
A czasem — póki żyjem.

A czasem związek bratnich dusz  
Aż po za groby sięga....  
I — coraz rzadsza miłość już,  
Choć zawsze to potęga!»

Dalszym wywodom niewiem co  
Staneło na zawadzie.  
Krótkie rozmowy zwykle są  
Samowtór — nocą — w sadzie...

---

## ŚWIĘTY CEZARY.

CEZAREMU CZ. W DNIU IMIENIN.

---

Kto pierwsze kwiaty na schyłku kwietnia  
Rozrzuca dla nas po ziemi szarej?  
Kto dzień dzisiejszy dla nas uświetnia?  
Święty Cezary.

Od Taboryszek do Wołożyna,  
Aż w Nalibockiej puszczy gęszczary  
Grzmi po powiecie dobra nowina:  
«Święty Cezary!»

Każdy za bilet chwyta skwapliwie,  
Kreśli styl nowy, kreśli styl stary;  
A z nieba mruga nam dobrotliwie  
Święty Cezary.

Jakież od ciebie, święty Patronie,  
Ma solenizant otrzymać dary?  
Błogosławiące wyciąga dłonie  
Święty Cezary.

I życzeń naszych uważnie słucha  
I dopełniając hojnie ich miary,

Coś Panu Bogu szepce do ucha  
Święty Cezary.

A z tego, co tam w niebie uradzą,  
Ciesz się człowieku niezłomnej wiary,  
Zwłaszcza gdy gada z Najwyższą władzą  
Święty Cezary!

Czy ci dolega co, czy też szkodzi,  
Czyliś niedobrał dla siebie pary,  
Wszystko złagodzi i wynadgrodzi  
Święty Cezary.

Tedy na końcu to tylko rzekę:  
Niech twe marzenia, chęci, zamiary  
Weźmie na zawsze w swoją opiekę —  
Święty Cezary!

---

## TO A LADY.

W ALBUMIE.

---

Abym wiersz polski wpisał ci,  
Kapryśna żądasz pani....  
Dziwnie tu obca mowa brzmi!  
Tłómacza trzeba dla niej.

Zagadki miły urok ma  
Nieswojska taka mowa;  
Miarowym rytmem strofka gra....  
Lecz — co też mówią słowa?

O pani! Nie są wcale to  
Hieroglificzne znaki:  
Czy słowa tak lub owak brzmią,  
Sens zawsze ich jednaki.

Nie słabiej serca biją nam,  
Nie lada co wzrok trudzi;  
Wzrok i uczucia dano nam  
Zupełnie zwykłych ludzi.

Nawet albjonńskiej welon mgły  
Nam wzroku nie omami;

I w lot dopatrzę różę my  
Za najgęstszymi mgłami.

I wtedy w album różę tej  
Wpisuję to odkrycie:  
Każdy jak umie, w mowie swej,  
Ow krótko, ten obficie.

Leżą szeregi martwych słów  
I mówią, ach! tak mało...  
Bo między linie ten i ów  
Włał chętnie duszę całą.

Tam najciekawszej mowy są  
Okazy w tym albumie —  
A pani jedna tylko ją  
Zna dobrze i rozumie.

Stuttgart, Listopad, 1892.

---

## Z ARABESK.

---

Bajka to niewyśniona.  
Noc. Morze. W dali łódź.  
A panna opuszczona  
W noc głuchą woła: Wróć!

Z żalości panna kona,  
Maleje w dali łódź.  
O panno rozżalona,  
Do zamku wróć ach! wróć!..

Szerokie życia morze,  
Nie jedna na niem łódź...  
Nie warto, żal się Boże,  
Duszycki łzami truć.

I twoja łódź popłynie  
Wesoło przestwóć pruć!  
Ku dziwnej, hen, krainie,  
Popłynie twoja łódź....

---



## PIERWSZE SŁOWO.

---

Tobie tę kartkę małą szlę  
    Jak świt — blado-różową.  
Może zbyt śmiałą wszczynam grę?  
    Wiem: zdrożny flirt — z królową.  
Pierwsze ci słowo oto szlę;  
Ostatnie — twoje słowo.

Lecz — chcesz? Już błędny płomyk zgasł.  
    Ach! O nic już nie stoję.  
Stłumią powoli dal i czas  
    Serdeczne niepokoje —  
I — szczęście przemknie mimo nas..

\*

Ostatnie słowo — twoje.

---

## PAN WOJNIUSZ.

---

Gdy ciągnął polski król na Szweda,  
Rzekły hetmany: «Rady nieda!»  
Machnęły ręką Radziwiłły:  
«Nie zmóźdz nam tak potężnej siły!» —  
Tylko pan Wojniusz rzekł: «Nie bieda!» —  
Gdy ciągnął polski król na Szweda.

Gdy się król oparł aż w Głogowie,  
Zafrasowali się panowie,  
Ile że owe szląskie góry  
Ojczyzny grobem zwał niektóry.  
Czekano: co pan Wojniusz powie? —  
Gdy się król oparł aż w Głogowie!

Gdy pan Czarnecki stłukł Gustawa,  
Gdy odzyskana znów Warszawa,  
Pan Wojniusz z królem stał na Pradze  
Wołając: «Króla wam prowadzę!  
Wygrana, *ut praedixi*, sprawa.  
Byłoż się czego bać Gustawa?!»

---

## EPIGRAMATY.

---

### NAZAJUTRZ.

Nie na wiele się zdadzą rozpacziwe kroki.  
Zamurował się kiedyś ktoś w baszcie wysokiej  
Od pokus świata. Oknem wylazł z niej. O wstydzie!  
Nie pal mostów za sobą, bo — wplaw zmykać przyjdzie.

### DO PANNY.

Łamała białe rączki panna nad artystą:  
«Jak-że marny! jak wyższych pozbawiony znamion!»  
Co? Skrzydeł niema? — Oceń wartość rzeczywistą:  
Szukaj tych skrzydeł w duszy, nie szukaj u ramion.

### HRABIEMU.

Pozbądź się, panie hrabio, szpetnego zwyczaju  
Mówić, że wciąż dla dobra poświęcasz się kraju!  
Wszak-że dawno nadgrobek dla cię ułożono:  
«Pierwszy raz coś uczynił pro publico bono.»

### WOBEC PRZYRODY.

Spójrzcie — na łono natury:  
Kogut prowadzi tam kury.  
W ludziach natura zepsuta:  
Kury prowadzą koguta.

PODWÓJNA STRATA.

Publicysta.... w dodatku, wymowny, jak slysze,  
Nieprzejednanie mówi — ugodowo pisze.  
Nie dziw że w tej karyerze rozbił na połowę  
Nieopatrzny ów bufon zasady — i głowę.

---

## Z ARABESEK.

---

Gdy miną chwile marzeń, szalu,  
I miłość znika z serc pomału,  
Z ostatnim błyskiem jej płomienia  
Czas sobie rzec: Do zobaczenia...  
Do zobaczenia...

Ale nie marzyć nigdy o tem,  
By gdzie się kiedyś zejść przelotem,  
I prosić nieba najlaskawsze,  
By rozdzieliły nas — na zawsze,  
Ach, tak — na zawsze!

---

## NAD LEMANEM.

---

Zwolna coraz niżej schodzą śniegi  
Z gór w winnice żółkłe, obumarłe,  
Na bezlistne szkielety platanów,  
Na jesiennych wichrów uroczyska.

Spójrz! Wśród szarzyzn, śniegiem przytrząśnięte,  
Jak trwałości wieczystej symbole,  
Zielenieją jeszcze laur i cyprys...  
Laur i cyprys tylko: — śmierć i sława.

---

## W CISZY.

---

Na kominku moim stoi  
Zegar, antyk staroświecki;  
W górze: Hektor u bram Troi,  
W dole: również motyw grecki.  
U zegara, z każdej strony,  
Nie pamiętam odkąd już, —  
Stoi markiz wyfraczony  
I pasterka z wiankiem róż.

Rodem z saskiej porcelany,  
Zabłąkani tu przed laty,  
Wrośli w domu tego ściany  
Samozwańcze antenaty.  
Wita, żegna mię ta para  
Ach! nie pomnę odkąd już:  
Ów margrabia u zegara  
I pasterka z wiankiem róż.

Wiosen moich nieme świadki!  
Gdy mnie czas ztąd precz wymiecie,  
Jak wierności symbol rzadkiej,  
Wy tu jeszcze trwać będziecie!

Co wam naszych lat przemiany  
Naszej doli, spraw i dusz?  
Mój margrabio wymuskany,  
Pasteczek z wiankiem róż?

Hej... hej!... zmierzcha już powoli,  
Splywa w nocny kir posoką  
Dzień tęczowej, złotej doli  
W stylu *Louis-Quinze* i roccoco.  
*Glâne encore, ma cornemuse,*  
*Mais où sont les roses d'antan?*  
*La bergère..... parfois confuse,*  
*Le marquis — toujours galant?*

Szepce zegar staroświecki  
Godzin szkaplerz nieprzerwany;  
Nie drgnie z bronzu heros grecki,  
Nie drgnie markiz z porcelany;  
Tylko ludzka postać żywa  
Drgnęła w gęstym zmroku tuż  
I ostatnie rwie ogniwa  
Z dniem słonecznym tęcz i róż...

---



## W ALBUMIE

p. Z. K.

---

Pamięta pani jak Goplana Skierce  
Każe po kwiatki biedz, po muszki złote?...  
Pani! Gdym niegdyś kochał się — w pasterce,  
Z rozkoszą taką spełniałem robotę.  
Bywało wieńczyk z niezabudek splotę  
I niosę... wierząc w tkliwe niewiast serce.

Dziś... mariwodaż taki nieprzystoi  
Tym, co we wspomnień już odeszli ciszę.  
Sa, których spokój taki — niepokoi,  
Sa, co brzdąkają w bezdźwięczne klawisze  
I piszą jeszcze wiersze... Ja — niepiszę.

Pani! Sa różni wielbiciele twoi.

Warszawa, 1904

---

# **PRZEKŁADY.**



FR. SCHILLER.

U PROGU STULECIA.

*Grudzień, 1800.*

---

»Freiheit ist nur in dem Reich der Träume  
Und das Schöne blüht nur im Gesang...«

Dla swobody przystań gdzie dziś w świecie?  
Gdzieżby pokój schronić dziś się mógł?  
Wśród zawieruch legło w grób stulecie,  
Mord nowego wieku kala próg!

Żadnych związków, żadnych pęt nie znamy,  
Gdy przeżytych kształtów runął gmach.  
Ren — Nil — morze już nie kładzie tamy  
Walkom, we krwi brozącym i łzach.

Dwa potężne zawarły się narody —  
O wszechświata berło toczą bój;  
Ludy, szczątków wyzbyte swobody,  
W jarzma, zgięty, kark pokładły swój.

Z wszystkiej ziemi wyssan haracz złota,  
Wszędzie złoto wykrzesala stal,  
I, jak ongi Brennus, zuów dziś miota  
W szalę miecz swój rozpasany Gall.

Flot Albjońskich polip niespożyty  
Opanował szlaki wszystkich wód,  
Chce wkrąg państwa wolnej Amfitryty  
Pozabijać rygle własnych wrót.

Pod nieboskłon najdalszy południa  
Flag handlarskich zmierza chyży bieg;  
Albjon wyspy wężsy i zaludnia,  
Każdy dobry mu spotkany brzeg.

Nadaremnie szukasz skrawka ziemi  
Gdzie ludzkości złoty wiek-by trwał,  
Pod gajami gdzieby oliwnemi  
U swobody świątyń ogień tlał.

Myśl się błąka, jak przez step w zamiecie,  
Po ogromie lądów tych i mórz —  
I patrz! — niema miejsca we wszechświecie  
Dla szczęśliwych kilku ludzkich dusz!

Precz od świata! Ducha szarpać szkoda!  
Własne serce przystań jeno da!  
W marzeń świecie tylko jest swoboda,  
A zaś piękno — w pieśni tylko trwa.

Grudzień, 1900.

I. TURGIENJEW.

---

KROKIET W WINDSORZE.

1876.

Po parku windsorskim zabawia się dwór.  
Fruwają wkrag dworskie damy.  
Najnowsza a modna zabawia je gra:  
Krokietem ją dziś nazywamy.  
Hej! kula gna kulę: odleci i w mig  
Znów w bramek labirynt zapada.  
Królowa przygląda się... śmieje się... Wtem  
Przycichnie — i porwie się blada.

Sen? Mara?! Jej zda się, że zamiast tych kul,  
Odbitych zwinnymi laskami,  
Wkrag toczą się — głowy!... Wkrag setki tych głów,  
A czarna krew, skrzepla je plami!  
A głowy to kobiet i dzieci — i z lic  
Wyziera przedśmiertna im trwoga,  
Ślad na nich mąk strasznych i obelg — i ślad  
Rozpacznych wybuchów — do Boga.

I oto z królewien najmłodsza — jak świt  
Poranny dziecięce jej oczy —

Wciąż toczy z głów jedną, wciąż bliżej ją gna,  
Pod stopy królewskie ją toczy.  
Dziecięca to główka: włos w puklach, a z ust  
Uśmiechu zdarć zgon nie miał mocy...  
Krzyknęła królowa. Ohydny ją lęk  
Zdjął — chwieje się — padnie... Pomocy!

«Doktorze! doktorze! co jest mi? patrz! mów!»  
I zwiesza się, bez tchu się ślania.  
A lekarz: «O! nic to. Nerwami to zwa.  
To wszystko — od gazet czytania.  
«Times» skrzeczy i skrzeczy, że w Turcy wciąż rzną  
Bułgarów. Ach! prawdy ni słowa!  
Te krople racz wypić... Przemienie to wnet!»  
Do zamku powraca królowa.

Wróciła i duma. Na ziemię jej wzrok  
Padł!... Boże! Królewskiej kraj szaty  
W krwi cały!... i struga ocieka tej krwi  
Na parkiet wzorzysty komnaty!  
«Zmyć! zmyć to! Zapomnieć! Zapomnieć ja chcę!  
Albjonu opłyńcie mię rzeki!»  
— Królowo, królowo, niewinnej tej krwi  
Już nie zmyć. Ślad trwa jej na wieki.

FR. RÜCKERT.

---

CHIDHER.

Tak mówił Chidher wiecznie młody:

Gdym mimo miasta jechał raz,  
Człek pewien w sadzie rwał jagody.

Rzekłem: Najstarszy tutaj z was  
Jaki wiek miastu może dać?

On, nie ustając w pracy swojej:

«Wiecznie — rzekł — miasto tutaj stoi  
I po wiek wieków będzie trwać».

W lat pięćset potem, z woli Boga,  
Znów mię tamtędy wiodła droga.

Miasta był zniknął wszelki ślad.

Samotne chłopię, w róg pastuszy  
Dęło wśród pastwisk smętnej głuszy.

Spytałem: Od jak wielu lat

Miasto tu znikło z lica ziemi,

I na tem miejscu macie paszę?

Oczyma spojrział zdumionemi:

«Wieczne pastwisko jest tu nasze!»

W lat pięćset potem, z woli Boga,  
Znów mię tamtędy wiodła droga.

Toń morską grzmiała po przestworzu.

Rybak w nią rzucał swoją sieć.



Rzekłem: Wiadomość chciałbym mieć,  
Od jak tu dawna macie morze?  
Odśmiał się stary memu słowu  
I na bezbrzeżną wskazał dal:  
«Odkąd — rzekł — przyплыw trwa tych fal  
Szukamy tutaj my polowu».

W lat pięćset potem, z woli Boga,  
Znów mię tamtędy wiodła droga.  
Las wielki szumiał w miejscu tem.

Jakiś robotnik pustelniczy  
Zwalał siekierą pień za pniem.  
Spytałem: Ile lat bór liczy?  
Odrzekł mi: «Wieczne w nim schronienie  
Ma tutaj wszelki zwierz i człek.  
W cieniu kielkuje drzew nasienie  
I bór rość będzie z wieku w wiek».

W lat pięćset potem, z woli Boga,  
Znów mię tamtędy wiodła droga.

Zastałem miasto. Mnogi lud  
Tłoczy się w rynku, huczy, ściska.  
Kiedyż ów — rzekłem -- stanął gród?  
Gdzie te, co były tutaj wprzód:  
Puszcza i morze i pastwiska?  
Lecz zakrzyczeli mię ludziska:  
«Przemian tych wieczne są koleje!  
Wciąż dzieć się będzie tu — jak dzieje»  
Więc za lat pięćset, proszę Boga,  
By znów mię tędy wiodła droga.

M. MAETERLINCK.

---

Z CYKLU: «PIOSNEK DWANAŚCIE».

A jeśli wróci, co mu rzec mamy

W dniu powitania?

— Powiedźcie, że go tutaj czekano

Aż do skonania...

A jeśli pytać będzie wciąż dalej?

Boże mój, Boże!...

— Mów z nim jak siostra, bądź ty dlań siostrą:

On cierpi może...

A jeśli spyta... gdzieś ty? Co znaczy

Zmieszana mowa?

— Dajcie mu tylko obrączkę moją,

Nie mówiąc słowa...

A jeśli dojrzy na naszych twarzach

Łzy nie otarte?

— Wskażcie mu tylko lampę zgaszoną

I drzwi otwarte...

A jeśli spyta... czyś go w dzień zgonu

Mogła... rozgrzeszyć?

— Mówcie, żem miała uśmiech na ustach,

Chcąc go — pocieszyć...

---

ALB. SEMAIN.

---

Z CYKLU «WIECZORY.

Mknie cicho duch wieczoru wzdłuż kwiatowych grząd...  
Anioły snów śpiewają na kościelnym chórze;  
Na niebie dzień ostatnie smugi światła sprzedał,  
Tkwią jeszcze po obłokach strzępki barw nieduże.

Wieczoru duch cichutko wzdłuż serc naszych mknie...  
Dziewice po balkonach zmogło rozmarzenie;  
Na kwiaty i na dziewic twarze, przez pół w śnie,  
Cicho, jak śnieg, padają coraz gęstsze cienie.

W sadzie róże piersiami dyszą znużonemi,  
I zda się duch Schumana, błędzący po ziemi,  
Nieutuloną jakąś skarży się żalobą...

Zda się gdzieś jakieś dziecię ciche, drogie — kona...  
Duszo moja! Twych rojeń smuga wyprzedziona:  
Anioł zstąpi i lzy twe zabierze ze sobą.

---

B. BOPARTZ.

---

SONET.

Mimozy, rączką twoją rwane i mnie dane,  
W srebrną, filigranową zanurzyłem czaszę,  
I wonią ich się pieścę i wzrok niemi paszę,  
I, zda się, widzę — ciebie, gdy przed niemi stanę.

Z ram złotych patrzą ku mnie rysy ukochane.  
Plusz miękki, białą morę z ramy precz odpaszę:  
Tak odarto z chwili szczęścia młode życie nasze...  
Ręka drży... krew napływa w świeżą serca ranę.

Przeglądam listy twoje — zwolna — list po liście.  
Treść, w słowa obojętne ukrytą przejrzyście,  
Czytam biegle — jak ongi — między linijami...

W ogień wszystko! W popioły! Na wieczne rozstanie  
Kwiaty, listy, pamiątki! — Pozostaną z nami  
Tylko wspomnienia krwawych łez, co spadły na nie.

---

L. UHLAND.

---

### DZIEWECZKA Z GOSPODY.

Junaków trzech młodych szło polem, szło lasem..  
U wdowy w gospodzie stanęli popasem.

\*

«Szynkarko-kochanie, daj piwa, daj wina!  
A gdzież jest córuchna, jak róża dziewczyna?»

\*

«Dam napój wam dobry, krzepiący i świeży,  
Lecz córuś jedyna, ta — w trumnie już leży».

\*

Gdy weszli przez alkierz do izby bokowej,  
Leżało tam dziewczę z gromnicą u głowy.

\*

Więc pierwszy z przybyszów uchylił zasłony  
I wpatrzył się w martwą głęboko wzruszony:

\*

«Ach, gdybyś ty, piękna, ożyła w tej chwili,  
Ileżbyśmy z sobą chwil szczęścia przeżyli!»

\*

A drugi powoli opuścił zasłonę  
I oczy odwrócił łez rosą zwilżone:

\*

«Ach, że też śmierć wszystko najdroższe nam bierze!...  
Kochałem cię przecie tak długo, tak szczerze».

\*

Lecz trzeci zerwaną zasłonę precz cisnął;  
Na ustach umarłej ustami zawisnął:

\*

«Ja kocham cię, kocham!... I wierny ja tobie  
Zostanę w wieczności — do grobu — i w grobie».

---

MAX KRETZER.

---

CHOINKA.

W wieczór Narodzin, kiedy miasto błyska  
We wszystkich szybach światłem choinkowem,  
Ciżby świątecznej minąwszy mrowiska,  
Placem odludnym szedłem. W miejscu owem  
Targ na choinki był — i poniechano  
Jodelką małą, lichą, w śnieg wdeptaną.  
Więc-em przystanął z myślami smutnemi...  
A drzewko zwolna podniosło się z ziemi,  
Zakólychało się i szło przedemną...  
I mnie za sobą powiodło — w noc ciemną.  
I oto cmentarz daleki od miasta,  
Oto mogiłka, co chwastem zarasta,  
Dziecka mogiłka, pod murem skopana,  
Bez krzyża, wryta w śnieg i zapomniana.  
I nad nią drzewko, cud mi jawiąc nowy,  
Wstrzymawszy biegu, stanęło u głowy...  
A jam zaś wracał skąd przywiodła droga,  
Jak ktoś, co w żywe oczy widział Boga.

---

R. WIENER.

---

ROZBITKI.

Wzdłuż przeciwnych wciąż płyniemy brzegów,  
Jak współwędrowce obcy i przygodni;  
Na drogach naszych ciszej wciąż i ciszej,  
Coraz — pogodniej.

Szczenia nam życie nie dało — i oto  
Nie omamieni cczą nadzieją żadną,  
Płyniem po fali na strzaskanych łodziach,  
Co pójdą na dno.

Wzdłuż przeciwnych wciąż płyniemy brzegów.  
W duszach nam wytłął płomień buntowniczy;  
Wciąż cichsi płyniem... a na ustach twoich  
Bezmiar — słodczy.

---



RUD. PRESBER.

---

TENOR.

(Z korespondencyi pogromcy serc).

«Piszesz mi, że ci się podobam...  
List twój niemylny dla mnie znak.  
Tak, dziecko, czują wszystkie one,  
Bardzo ich wiele — pisze tak.  
Niewieście serce rozplómieniać,  
Rzucać wszechwładny na nie czar  
To już specjalny nasz, tenorów,  
Rzekłbym: od Boga dany dar.

Nie aby w ogień lać oliwę  
Piszę — lecz, że ty w liście swym  
Kilkogroszową szlesz mi markę,  
Do twego rymu szlę ci rym.  
Patrz! — uważ proszę, że nie biore  
Prezentów żadnych ja od dam:  
Uczciwy jestem — odpisuję,  
Bo krztę godności jeszcze mam.

Pisząc mi, do nóg niemal padasz;  
Drży rączka twoja... tętni skroń...

Znane mi dobrze zwroty stylu,  
Pachnących listów znana woń.  
Jakże tam było z biciem serca?  
Wybacz — ot, wymknął mi się żart.  
Łez ślady! Biedna... tyś cierpiała.  
Powiedz? czym łez ja twoich wart?

Daj pokój!... Otrzyj łzy coprędzej.  
Ty, dziecko, kochasz złudne sny;  
Nie mnie lecz dzieło perukarza,  
I krawca, dziecko, kochasz ty.  
Kochasz to we mnie, co udaje,  
To, czego nie czuł nigdy ja,  
Młodość, co dawno mię odbiegła,  
Perukę, co mi fryzyer da.

Kochasz ty we mnie dobroć, piękno,  
Do których dusza twoja łągnie,  
Śpiewu mojego nastrój szczytny...  
Nie śpiewam wciąż ja tak — o nie!  
Kiedy opuszczam gmach opery,  
Podczas gdy tłumy klaszczą tam,  
Sądziś, w duecie mym z... kasyerem,  
Że bohaterski polot mam?

Fotograf kocha mię niejedną  
Bo moje pozy w modzie są;  
Fotografują mię poczciwcy  
Rok rocznie najmniej razy sto.  
Na każdym rogu ja ulicy  
Sciagam na siebie oczy dam:  
Tu modlę się, tam szpadą śmigam,  
W kolczudze tu — w smokingu tam.

Głosem mym skrzeczą fonografy,  
Każdy choć tak mię słyszeć chce:

«O Marto!» — aryę z Lohengrina,  
I choć koszlawe górne c.  
Wiem, znasz mię z kinematografów —  
Widzenie w duszy twojej trwa.  
Umiera Tristan, Faust uwodzi,  
A ty przysięgasz, że to — ja!

Nie, dziecko, wszystko to są pozy,  
Sztuczny to tylko odbłask ról.  
Dziecko, — prawdziwych szukaj kwiatów  
Wśród istniejących niw i pól.  
A gdy cię kiedyś mąż zapyta,  
Czyli «ideał» ci się śnił?  
Powiedz mu śmiało a wesoło:  
«Ach, tak!... to tylko tenor był!»

---

R. PRESBER.

---

### KOCHAŁO SIĘ MŁODZIEŃCÓW TRZECH...

Kochało się młodzieńców trzech  
W prześlicznej młodej pannie;  
Aż oprzytomniał jeden z nich,  
Syt wzdychać nieustannie  
I, że animusz krewki miał,  
W świat zemknął, aż się kurzy...  
Dziś kawalerski wielbi stan,  
Pyszenie mu humor służy.

Ze Izami drugi żegnał ją.  
Miłosne opiał bóle  
I na welinie puścił w świat  
W tym roku na Trzy Króle.  
Że dla poety wszelki ból  
Z cierniami róże plecie,  
W salonach dziś renome ma  
I w literackim świecie.

Trzeci zaś z tych młodzieńców... Ach!  
(«Dobrym go chłopcem» zwano)  
Niemogąc sobie rady dać  
Z swą duszą rozkochaną,

Ożenił się z dziewczeczką tą....  
Nos długi, smutna mina.  
Słucha jak żona, tłumiąc lzy,  
O tamtych dwóch wspomina...

---

W. BURENIN.

---

ARABESKI.

I.

Pan bakałarz, imię Alonzo,  
Siedział z żoną swą za stołem,  
Z dobrze spasałą Maurikittą,  
I spożywał groszek z masłem.

Nagle do Iba podniósł paluch  
I zadumał się głęboko,  
Aż rzekł: «Słuchaj! Maurikitto,  
Co to znaczy: nieskończoność?»

Powiedz, po co my istniejem  
Na podole tym? Zkąd myśmy  
Tu przybyli? I odżywszy  
Swoje, dokąd ztąd pójdziemy?»

— «Dałbyś pokój bredniom takim —  
Rzecz na to Maurikitta:  
Lepiej jadłbyś groszek z masłem;  
Zdrowszem jest to dla żołądka».

I za mądrą idąc radą  
Zacnej swojej Maurikitty,  
Pan bakałarz imć Alonzo  
Począł jest znów groszek z masłem.

II.

Działo się to w Barcelonie,  
W maju, dawno już — przed laty.  
Z okwieconych drzew po sadach  
Szły cudowne aromaty.

U siniory, młodej wdówki,  
Ciotek radził areopag,  
Radził jakby za mąż wydać  
Czarnobrewą Magdalenkę.

Jednogłośnie zaklinano,  
By wybrała wśród hidalgów  
Dostojnego, krwi szlachtetnej  
Manuela Estupidos.

«W sam raz mąż to dla niewiasty  
Młodej, a już w stanie wdowim!  
Ma fortunę i powagę:  
Lat nie więcej nad sześćdziesiąt».

Magdalenka spuszcza oczy  
I uważnie rady słucha,  
Wreszcie ciotkom tak odpowie  
Melodyjnym swym kontraltem:

«Ach! nie przeczę, że mąż taki  
Skarb to wielki. Jabym jednak  
Już wolała wybrać sobie  
Mężów dwóch — trzydziestoletnich!»

Piorun spada delikatniej,  
Niż odpowiedź właśnie taka.  
Zaskrzeczały jęcząc ciotki:  
«Magdalenko! Czyś przytomna!!»

Z okwieconych drzew po sadach  
Szły cudowne aromaty.....  
Działo się to w Barcelonie,  
W maju, dawno już — przed laty.

---



K. STIELER.

---

VALE.

Otom wdział kaptur mniszy;  
Ból w sercu trwa i trwa.  
Na Anioł Pański dzwonię —  
*Vale carissima!*

Na górze zamek stoi,  
Tam ją ujrzałem ja;  
Dzwoń, duszo moja, w dzwonach:  
*Vale carissima!*

O maro, szczęścia maro,  
Zgubiony, kto cię zna!  
W dolinie klasztor stoi —  
*Vale carissima!*

---

# TREŚĆ.

	Str.
WSTĘP . . . . .	V
Konstancya z Ryków Benisławska . . . . .	1
Z pamiątek po A. E. Odyńcu . . . . .	25
Józef Kenig . . . . .	50
Napoleon i poeci . . . . .	84
Z dziejów wyspy . . . . .	111
Przyjaciółka poetów . . . . .	123
Krytyka dzieł sztuki . . . . .	133
Ze starych szpargałów . . . . .	144
Feljetonista . . . . .	158
Don Kiszot . . . . .	177
Tak zwany styl polski . . . . .	183
»Car Fiodor Joanowicz« . . . . .	196
Wspomnienia . . . . .	205
<b>Z wrażeń krytycznych.</b>	
Dwie książki . . . . .	273
Autor »Króla Salomona« . . . . .	285
»Listy które go nie doszły« . . . . .	298
Kochankowie weneccy . . . . .	306
<b>Z letniej wycieczki.</b>	
Należców . . . . .	323
Pacanów . . . . .	336
Nowe Miasto . . . . .	341
<b>Feljetony.</b>	
U progu sezonu . . . . .	365
JW. Filantropia . . . . .	375
Moment musical . . . . .	382
Piosenki . . . . .	390

O szarej godzinie roku . . . . .	398
A konik grzebie mogiłę dla niego.... . . . . .	405
Wczasy petersburskie . . . . .	410
Wczasy warszawskie . . . . .	417

**Auctumnalia.**

O zmiernchu w polu . . . . .	423
Przed wieczności progiem . . . . .	425
Wiosna . . . . .	427
Po latach . . . . .	429
Hrabina del Fiecc . . . . .	432
Roccoco . . . . .	434
Na odlocie . . . . .	438
Z arabesek . . . . .	440
Z arabesek . . . . .	441
Paż i rycerze . . . . .	442
Idylla . . . . .	444
Z arabesek . . . . .	446
Święty Cezary . . . . .	447
To a Lady . . . . .	449
Z arabesek . . . . .	451
Pierwsze słowo . . . . .	452
Pan Wojniusz . . . . .	453
Epigramaty . . . . .	454
Z arabesek . . . . .	456
Nad Lemanem . . . . .	457
W ciszy . . . . .	458
W albumie p. Z. K. . . . .	460

**Przekłady.**

Fr. Schiller: »U progu stulecia« . . . . .	463
I. Turgienjew: »Krokiot w Windsorze« . . . . .	465
F. Rückert: »Chidher« . . . . .	467
M. Maeterlinck: »Z cyklu piosnek« . . . . .	469
Alb. Semain: »Z cyklu: Wieczory « . . . . .	470
R. Ropartz: »Sonet« . . . . .	471
L. Uhland: »Dzieweczka z gospody« . . . . .	472
M. Kretzer: »Choinka« . . . . .	474
R. Wiener: »Rozbitki« . . . . .	475
Rud. Presber: »Tenor« . . . . .	476
» . . . . . »Kochało się młodzieńców trzech... . . . .	479
W. Burenin: »Arabeski« . . . . .	481
K. Stieler: »Vale carissima!« . . . . .	484

## Niektóre przeoczenia korekty.



Str.	6.	<i>kwietnia</i>	zamiast	»kiewtnia«
»	83.	<i>1891</i>	»	»1884« (pod rozdziałem »J. Kenig«)
»	162.	<i>wywiadów</i>	»	»wykładów«
»	166.	<i>littéraires</i>	»	»litéraires«
»	169.	<i>Glessbrenner</i>	»	»Glessbrenner«
»	177.	<i>Don Kichot</i>	»	»Don Kiszot« (w przypisku)
»	427.	<i>już</i>	»	»juz«
»	428.	<i>kwiecień</i>	»	»kwiecień»
»	448.	<i>Święty</i>	»	»Święty«
»	468.	<i>ślad</i>	»	»ślad«.



## BIBLIOGRAFIA.

---

Następujące pisma **Czesława Jankowskiego** wyszły w książkowym wydaniu:

**Poezye I** (1878)

**Poezye II** (1881)

**Poezye III** (1884)

**Arabeski** — szkice prozą (1884)

**Capriccio** — cykl poezyj (1889)

**Sylwetki poetów** (1891)

**Z notatek turysty** (1892)

**Rymów nieco** (1892)

**Po Europie** — kartki z podróży (1894)

**Powiat Oszmiański.** Materiały do dziejów ziemi i ludzi.  
Części cztery w dwóch tomach. (1896—1900)

**Wybór poezyj** (1897)

**Korespondencya ks. Karola Radziwiłła «Panie Kochanku»** — z archiwum w Werkach. (1898)

**Sześćset lat stosunków polsko-pruskich** (1902)

**Wspomnienia.** Wydanie ilustrowane (1904).

---

W druku: **«Kobiety i niewieście ideały XIX wieku».**  
Wyd. ilustrowane.

---













*Acme*  
Bookbinding Co., Inc.  
300 Summer Street  
Boston 10, Mass.

This book should be returned to  
the Library on or before the last date  
stamped below.

A fine is incurred by retaining it  
beyond the specified time.  
Please return promptly.

Na marginesie literatury :

Widener Library

005454154



3 2044 085 692 291